

WSZYSTKIE ODCIENIE PRZEWROTNEGO
LUDZKIEGO LOSU

AGATA KOŁAKOWSKA

*Pieć minut
Raisy*

Prószyński i S-ka

AGATA
KOŁAKOWSKA

*Pieć minut
Raisy*

Prószyński i S-ka

Copyright © Agata Kołakowska, 2017

Projekt okładki

Zbigniew Larwa

Zdjęcie na okładce

© Drunaa/Trevillion Images

Redaktor prowadzący

Anna Derengowska

Redakcja

Ewa Charitonow

Korekta

Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8123-487-0

Warszawa 2017

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Rozdział 1

Rok 2051

Trawa po nocy była jeszcze chłodna. Raisa poczuła to, kiedy źdźbła wsunęły się pomiędzy palce jej bosych stóp. Ścisnęła mocniej uchwyt konewki i skierowała się w głąb ogrodu, gdzie rosły róże. Zawsze zaczynała od nich; uważała je za swoją dumę. Wstała przed szóstą, co jednak w jej wieku nie było niczym nadzwyczajnym. Siedemdziesiąt lat na karku miało swoje zalety. Mogła bez trudu (jeśli nie liczyć bólu w krzyżu i sztywności stawów) wstać bladym świtem, żeby zdążyć podlać rośliny jeszcze przed skwarem, który za chwilę się rozpanoszy i przyklei dosłownie do wszystkiego. Już od dekad trudno jej było wytrzymać latem, ale miała wrażenie, że tegoroczny lipiec serwował istne piekło na ziemi.

Podeszła do bujnego krzaka z jej ulubioną odmianą Chopin. Dotknęła mięsistych białych płatków róży, które w centrum kwiatu miały odcień kremowej śmietany, i uśmiechnęła się. Stanisław Żyła, który wyhodował tę odmianę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku, najwyraźniej wiedział, co robi. Nie można było nie kochać tego zapachu, nie zachwycić się liśćmi, które w dotyku przypominają skórę, nie dać się uwieść subtelnemu urokowi. W dodatku odmiana ta była dość wytrzymała i mimo trudnych warunków wciąż w całkiem niezłej kondycji. Swoją drogą, Raisa robiła wszystko, żeby afrykańskie upały nie zaszkodziły jej ulubienicy.

Z namaszczeniem podlewała kolejne krzewy, zasłuchana w ptasie trele. Chłoneła tę chwilę, bo wiedziała, że niedługo ptaki zamilkną, szukając ochłody pośród gałęzi drzew. Wciągnęła głęboko powietrze. Już o tej porze było nieco zbyt ciepłe, ale jeszcze nie duszące. Jak podleje wszystkie grządki i zrosi trawę za pomocą szlauchu, przyrządzi śniadanie, które zje przy okrągłym stoliku ustawionym w kącie różanym. I to będzie prawdopodobnie już ostatni moment, który spędzi na dworze tego dnia. Później wystawienie się na temperaturę trzydziestu ośmiu stopni groziłoby zasłabnięciem, udarem, a kto wie, może nawet zawałem. Raisa nie mogła sobie na to pozwolić. Kto po jej odejściu podlewałby róże?

W ogrodzie miała wyłącznie kwiaty i ozdobne krzewy. Mimo że co jakiś czas korciło ją, by zjeść soczystego, pachnącego słońcem pomidora z własnego krzaka, a może nawet chrupkiego ogórka, wiedziała, że nie miałyby sił na warzywniak. I tak już z trudem przychodziło jej doglądanie kwietnego kobierca złożonego z żółtych aksamitek, fioletowych i różowych werben, pomarańczowych

nagietków i strzelistych malw. Od czasu do czasu, gdy czuła się gorzej, dzwoniła do firmy ogrodniczej, by ta zajęła się chwastami. Zawsze jednak gdy ktoś obcy dotykał jej roślin, czuła niemal fizyczny ból. Właśnie dlatego zazwyczaj sama dbała o ogród.

Skończyła podlewać trawnik, zwinęła szlauch i odłożyła go w kąt tarasu. Otarła pot z pomarszczonego czoła. Zaczyna się, pomyślała, patrząc na błękitną połąć nieba. Lekko posapując, weszła do sieni i skierowała się do kuchni.

Kameralne pomieszczenie z drewnianymi meblami było sercem jej domu. Mimo że Raisa miała przestronny i przytulnie urządzonej salon, to właśnie tutaj, przy starym stole przykrytym staromodnym obrusem w czerwoną kratę, zazwyczaj czytywała książki i tutaj popijała kawę z przyjaciółką. Jej córka Nadia śmiała się, że gdyby połączyć ogród z kuchnią, a obok lodówki postawić łóżko, inne pokoje nie byłyby już matce potrzebne. Raisa nie zamierzała zaprzeczać; w tym żarcie było sporo prawdy.

Podeszła do okna, z którego rozpościerał się widok na ogród. Sięgnęła do wiklinowego koszyka na parapecie po pomidora, niestety, niewyhodowanego własnoręcznie, ale podobno ekologicznego, GMO-free i bio-organic. Posiadał jeszcze kilka określeń, których Raisa nie pamiętała, wspomnianych na stronie internetowej gospodarstwa ekologicznego zajmującego się dostarczaniem warzyw i owoców „pod same drzwi”.

Raisa nie miała złudzeń. Smaczne pomidory skończyły się w okolicach roku dwutysięcznego piątego i od tamtego czasu tylko na takie wyglądały. Z szuflady wyjęła deskę i zajęła się krojeniem. Zamierzała przyrządzić je w śmietanie z cebulką. Do tego pszenną bułkę, którą sama upiekła, bo w sklepach próżno by szukać produktów z białej mąki, na której zwolennicy zdrowego stylu życia zaczęli wieszać psy już jakieś czterdzieści pięć lat temu. Dzisiaj o takim pieczywie prawie nikt nie pamiętał, a mąkę zdobywało się z zaufanych źródeł niemal z poczuciem balansowania na granicy prawa.

Nadia przy okazji każdej rozmowy telefonicznej informowała matkę o nowych odkryciach naukowców. Trzydziestopięcioletnia córka do wszystkiego podchodziła poważnie, w szczególności do spraw zdrowia. Raisa sugerowała jej czasem, że to, co obecnie uznawane jest za zdrowe, kiedyś takie nie było i na odwrót. A w dodatku podejście to zmienia się sinusoidalnie mniej więcej co dekadę.

Z chlebaka wyjęła bułkę, przekroiła ją i posmarowała masłem, które po latach banicji ponownie wróciło na stoły. Zaparzyła kawę w futurystycznie wyglądającym ekspresie, który dostała od syna i przez długi czas bała się go używać. A potem wyszła do ogrodu, by raczyć się śniadaniem.

Usadowiła się wygodnie na krześle. Na twarzy czuła przyjemny cień ze strzelistego modrzewia. Nabierając na widelec porcję pomidorów, zastanowiła się

nad dalszym ciągiem dnia. Wezmę prysznic i przebiorę się w coś bardziej reprezentacyjnego, stwierdziła, przypatrując się białej przewiewnej tunice, którą miała na sobie. Nikogo się dzisiaj nie spodziewała, ale nie chciała wyglądać nieporządnie. A potem co?, zadumała się. Może zadzwonię do Edyty? Nie odzywała się z tydzień. Mam nadzieję, że nie umarła, dodała w myślach, gryząc cebulkę.

Jej przyjaciółka Edyta Niemirska była żwawą siedemdziesięcioletnią i nic nie wskazywało na to, że z jej zdrowiem jest coś nie tak. Jednak Raisa już dawno przekonała się, że ludzie są jak płomienie. Mały podmuch i po nich. Tak, zadzwonię do niej, postanowiła, popijając kawę, od której zrobiło się jej gorąco. Stara, a głupia!, podsumowała i spojrzała krytycznie na białą filiżankę. Trzeba było zrobić mrożoną, stwierdziła.

Odstawiła kawę i powróciła do pomidorów, lecz nagle przestała jeść, a zaczęła nasłuchiwać. W ptasie trele wdarł się jakiś dźwięk. Raisa musiała oszczędzać nogi, wołała więc się upewnić, zanim poderwie się z wygodnego krzesła. Tak, to telefon.

Należała do tej grupy, która wciąż jeszcze używała tradycyjnych i archaicznych w dzisiejszych czasach tele-fonów komórkowych. Obecnie większość ludzi miała wszczepiony pod skórę chip w okolicy nadgarstka, który był telefonem, uproszczoną wersją komputera i portfelem w jednym. Podobno implant podwyższał ryzyko zachorowania na raka, ale skoro koncerny zainwestowały w innowacyjną technologię przyszłości, nie zamierzały się z niej wycofywać. Prawdopodobnie leczenie nowotworów kosztowało mniej. Zaniepokojonych wynikami badań przekonywano, że wcale nie ma pewności, że ta nowinka ma jedno-znaczący wpływ na nieprawidłowe mutacje komórek. Poza tym, wskazywano, medycyna coraz lepiej sobie radzi z najgroźniejszą chorobą dwudziestego pierwszego wieku. Mimo niepokojących doniesień teoretyczne widmo choroby nie zniechęcało użytkowników wynalazku. Mogli przecież ułatwiać sobie życie, tworząc w wyświetlającym się hologramie pliki, wysyłając mejle, surfując po sieci, płacąc poprzez przyłożenie dłoni do czytnika przy kasie i dzwoniąc bez telefonu.

Raisa miała już tyle lat, że nie musiała specjalnie obawiać się raka, lecz nie zamierzała wszczepiać sobie czegokolwiek. Dlatego podniosła się z krzesła i poszła do domu, pewna, że nie zdąży odebrać. Wciąż trudno było jej uwierzyć, że jej ongiś sprężysty krok coraz częściej zamienia się przez ból kolan w to coś – w połączenie chodu żółwia i nieudacznego łyżwiarza. Była tym, oczywiście, zdegustowana, ale mimo to cieszyła się, że wciąż jeszcze nie jest źle i że może chodzić o własnych siłach. Zmuszała się nawet do jazdy na rowerze, żeby rozruszać zeszywniałe stawy.

Telefon zostawiła w salonie na komodzie. Szczęśliwie nie przy łóżku w sypialni na piętrze, na które wdrapanie się zaczynało przypominać wyprawę na

Mount Everest.

– Edyta, jak dobrze, że dzwoniysz! – ucieszyła się Raisa na znajomy głos po drugiej stronie. – Właśnie o tobie myślałam.

– Mam nadzieję, że dobrze?

Raisa przygryzła wargę. Bordowy odcień jej ust nie wyblakł mimo upływu lat.

– Zawsze dobrze o tobie myślę – powiedziała. – Martwiłam się trochę.

– Myślałaś pewnie, że kopnęłam w kalendarz? – roześmiała się przyjaciółka.

– No, nie aż tak...

– Nie kłam, bo ci nie wychodzi! Dla twojej informacji: jeszcze nigdzie się nie wybieram. Obudziłam cię może?

– Dobrze wiesz, że w naszym wieku trudno o tej porze o sen.

– Wpadniesz do mnie? Przyjechałabym ja, ale w tym upale trudno u ciebie wytrzymać. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie masz klimatyzacji. Tym tropikom nawet stara cegła nie daje rady.

Raisa miała ochotę na przedpołudnie z przyjaciółką, która, jak się szczęśliwie okazało, wciąż żyła. Posiedziałyby na kanapie w jej przyjemnie chłodnym salonie, co nie było bez znaczenia, a ona miałyby okazję do pochwalenia się nowymi perfumami, które dostała w prezencie urodzinowym od Filipa.

Od zawsze miała słabość do ładnych zapachów. Kolekcjonowała buteleczki, a podarowany flakonik był wyjątkowo uroczy – rżnięte błękitne szkło w kształcie kuli. Złota zatyczka sprawiała wrażenie owiniętej łańcuszkiem raz przy razie. Raisa zamierzała postawić cudny przedmiot na honorowym miejscu w witrynie w sypialni, gdy tylko zużyje jego zawartość. Podobno były to jakieś rzadkie perfumy z niewielkiej manufaktury w Prowansji. Syn, nieustannie zajęty sprawami własnej firmy, widywał się z nią zdecydowanie zbyt rzadko. Zapewne miał tego świadomość, bo nader często sprawiał jej niespodzianki.

Bez chwili wahania przyjęła zaproszenie i zakończyła rozmowę uradowana, że ma plan na bieżący dzień. Skierowała się do łazienki. Włożyła tę lawendową sukienkę z paskiem, postanowiła, upinając nad karkiem wsuwkami sięgające ramion, niemal całkiem siwe włosy. Nigdy ich nie farbowała i nie zamierzała tego zmieniać.

– Zawsze byłam blondynką. Teraz jestem nią także, tyle że nieco bardziej – odpowiadała tym sąsiadkom, które pytały czasem, dlaczego Raisa nie odwiedza fryzjera.

– Zapowiada się fantastyczny dzień – szepnęła, spoglądając w lustro.

Zawsze kiedy wydawało się jej, że przyzwyczaiła się do swojego odbicia, przytrafiał jej się dzień, kiedy była nim kompletnie zaskoczona. Bo choć z pewnością nie przypominała przerażającej starszej pani, z dawnej urody pozostał zaledwie młodzieńczy blask niebieskich oczu, kolor ust i mały nos, który jednak

z wiekiem wydłużył się nieco. W dodatku Raisa była osobą szczupłą, więc nie ominęły ją zmarszczki i odrobinę zapadnięte policzki. Nie potrafiła się przekonać do powszechnie stosowanej obecnie, jak niegdyś krem Nivea, ingerencji chirurgów plastycznych, więc pozostawało jej z godnością przyjmować efekty upływającego czasu. Sytuację, według niej, ratowała zaróżowiona, wciąż świetlista cera, dodająca jej nieco świeżości. Na stare lata trzeba umieć godzić się z przerażająco dużą liczbą rzeczy, skwitowała w duchu Raisa, przygładzając włosy. Uśmiechnęła się do siebie. Może nieco przesadnie. Przynajmniej wciąż mam własne zęby, pomyślała pokrzepiona. Niezmiennie od lat tkwiło też na jej policzku niewielkie znamię w kształcie serduszka.

Odświeżona po prysznicu, w lawendowej sukience i spiętych kłamrą włosach, potrzebowała już tylko kropki nad i. Podeszła zatem do toaletki w rogu sypialni i sięgnęła po nowe perfumy. Zeszła na dół na korytarz, gdzie wisiało ogromne lustro. Na stopy wsunęła beżowe sandały i mogła wreszcie ocenić całość wizerunku. Brakuje tylko słomkowego kapelusza, uznała. Trudno, będę musiała się bez niego obejść. Przez całe życie miała ochotę kupić sobie taki kapelusz, koniecznie przewiązany wstążką, ale jakoś nigdy tego nie zrobiła. Wyglądało na to, że przejdzie przez dane jej lata bez tego gustownego nakrycia głowy.

Odetkała złotą zatyczkę i przyłożyła szyjkę flakonu do skóry za uszami.

To była chwila.

Raisa poczuła, że szkło wysuwa się z jej dłoni. Próbowwała złapać błękitne cacko w locie, ale zawiódł ją refleks. Na szczupłej szyi nie wylądowała ani jedna kropla luksusowej wody, za to na jasnych kaflach rozlało się sporej wielkości wonne prowansalskie jezioro.

– Ależ ze mnie niezdara! – jęknęła rozżalona Raisa, załamując ręce.

Zastanowiła się przez chwilę, po czym powoli, starając się oszczędzać kolana, przykucnęła przy kałuży i zanurzyła w niej palce. Roztarła zapach na szyi, tam gdzie pierwotnie miał się znaleźć; zapachniało orzeźwiająco, daleką miętą i czymś cytrusowym. Westchnęła ciężko nad stratą i podniosła się, by pójść do składziku po robota czyszczącego. Szła z wyciągniętymi przed siebie dłońmi, przypatrując się im bacznie. Chciała sprawdzić, czy aby nie zaczęły drżeć, lecz nic z tego. Nie miała pojęcia, jak to się stało, że upuściła flakon. Wystarczyła sekunda.

– Zatrzymaj się tutaj. – Magda wskazała pobocze tuż przy sosnowym lesie.

Drzew w tej okolicy było zdecydowanie więcej niż zabudowań.

Adam włączył kierunkowskaz i samochód wtoczył się na piaszczyste podłoże.

– Poprawię makijaż i za chwilę ruszamy – oznajmiła Magda, sięgając do torebki po kosmetyczkę.

– Od kiedy potrzebujesz do tego przystanku? – zdziwił się.

– Mam nową czerwoną szminkę, która nie wybacza żadnych pomyłek.

Zresztą co ja ci tłumaczę! – Machnęła ręką. – Muszę przecież jakoś wyglądać, prawda?

– Zawsze świetnie wyglądasz. – Adam pokręcił głową.

– Dlatego, że o to dbam – rzuciła, otwierając puderniczkę.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego przy obecnym stopniu rozwoju wszelkich technologii firmy kosmetyczne wciąż nie wymyśliły pudru, który matowiłby skórę na cały dzień. Makijaż nałożyła zaledwie cztery godziny temu, a nie pokazałaby się na wizji w takim stanie.

– Myślisz, że będziemy pierwsi? – zapytał, odkręcając butelkę z wodą. – Inni mogli mieć bliżej.

– Zobaczymy. Staralam się, jak mogłam, żeby zdobyć ten adres. Dobrze mieć starych znajomych wśród gliniarzy. Że też musiała zaszyć się w tej głuszy! – Magda obrzuciła krytycznym spojrzeniem ścianę lasu za szybą służbowego samochodu.

– Nie przesadzaj. Borne Sulinowo to miasto. Nie zastaniesz jej w szalasię wśród drzew.

Magda wykręciła szminkę.

– Kto wie, co się wydarzy, zanim dojedziemy. – Wzruszyła ramionami. – Może jej dom zdąży spłonąć?

– To byłby dopiero mięsisty news!

– Każdy nasz news jest mięsisty! – Magda spojrzała wymownie.

Adam oparł głowę na zagłówek.

– Mogłabyś na wizji odliczać do miliona, a i tak by cię ludzie oglądali jak opętani. Oni cię uwielbiają.

– Fakt. Tworzymy zgrany zespół – odparła, siląc się na skromność, która nie była wiodącą cechą jej charakteru.

Adam dobrze wiedział, że to podzielenie się sukcesem programu informacyjnego, który święcił tryumfy w najpopularniejszej w kraju telewizji internetowej, to zwykle krygowanie się. Program miał trzydziestu reporterów, ale to Magda była jego niekwestionowaną gwiazdą. Nie tylko wiadomości, ale i całej stacji. Po prostu miała to coś. I nie wynikało to z jej niewątpliwej urody. Było to połączenie silnej osobowości, inteligencji, charyzmy, zawadiackiego błysku w oku, uśmiechu i łutu szczęścia, którego innym brakowało. Tak uważał.

Magda Sajewicz w to, co robiła, wkładała całe serce. To, czego dotykała, niemal od razu zamieniało się w złoto. Dlatego była tak ubóstwiana przez kierownictwo stacji. Ekipa mawiała, że gdyby wysłać ją na relację ze wzrostu liści na drzewach, materiał okazałby się hitem. A rzesze internautów nie chciałyby oglądać nic innego.

Dzięki swojej pracy i niewątpliwej popularności Magda miała dwustumetrowy dom z basenem i niewielki domek w austriackich Alpach, gdzie

każdej zimy jeździła na narty. Jej mąż Robert mógł rzucić prowadzenie firmy doradczej i na poważnie zająć się rzeźbą, o której zawsze marzył, i właśnie dopinał na ostatni guzik organizację swojej pierwszej wystawy. Magda sama mu to zaproponowała. Wierzyła w jego talent. Robert uwielbiał żonę od chwili, gdy stali się parą, i nic się w tej kwestii nie zmieniło do dziś. Zastanawiał się czasem, czy aby nie jest tak, że z roku na roku kocha ją coraz bardziej. Uważał tylko, że zbyt dużo czasu i energii Magda poświęca pracy, która niemal wyłącznie zaprzętała jej umysł, a ich oboje okradała ze wspólnych chwil. Odbyli na ten temat już niejedną rozmowę, kończoną nieodmiennie słowami: „Niedługo zwolnię”. Owo „niedługo” jednak nie nadchodziło. Magda pragnęła wykorzystać wszystkie szanse. Tego nauczyło ją życie. Czuli, że nie może się zatrzymać, choćby na chwilę.

– No to jak, pani redaktor? Gotowa? – zapytał Adam, przypatrując się, jak Magda czesze swoje czarne gęste włosy.

– Jak zawsze! Ruszaj! – zakomenderowała, rzuciwszy ostatnie kontrolne spojrzenie w lusterko.

Raisa chwyciła już za klamkę drzwi frontowych, kiedy usłyszała podjeżdżający przed dom samochód. Nie spodziewała się nikogo o siódmej rano, więc uchyliła drzwi i wyjrzała zaciekawiona. Momentalnie zmrużyła oczy, bo słońce zaświeciło jej prosto w twarz. To przypomniało jej, że zapomniała zabrać okulary słoneczne. Dostrzegła, że duży czarny samochód ma jakieś logo na karoserii, ale oślepiąca nie potrafiła go odczytać. Pomyślała, że może ktoś chce zapytać o drogę. W plątaninie okolicznych, położonych wśród parku uliczek można było stracić orientację. System GPS nie działał już od dawna. Satelity wysyłane od lat na orbitę w końcu zaczęły się ze sobą zderzać, w wyniku czego nawigacja, do której wszyscy tak bardzo się przyzwyczaili, przestała działać. Ludzie zostali zmuszeni na nowo sięgnąć po dawno zapomniane mapy, co w praktyce skutkowało tym, że ciągle ktoś się gubił.

– W czym mogę pomóc? – zapytała uprzejmie, widząc wysiadającą z auta młodą kobietę w białej eleganckiej sukience. – Zabłądziliście państwo?

– Pani Raisa Hedwig? – zapytała Magda, podchodząc bliżej.

– Tak – przytaknęła zaskoczona Raisa. – O co chodzi?

– Nazywam się Magda Sajewicz. Jesteśmy... – Wskazała zbliżającego się z kamerą Adama. – ...z telewizji internetowej NTV. Nie wiem, czy pani nas kojarzy. – Spojrzała niepewnie. – Zawsze z wami. W każdej sekundzie – powtórzyła slogan reklamowy stacji.

– Ach tak, oczywiście! – odparła Raisa, nagle orientując się, z kim ma przyjemność. – To naprawdę pani! Zawsze oglądam wasz główny program informacyjny.

– Jeśli się pani zgodzi, o dwudziestej zostanie pani naszym pierwszym newsem. A jeśli się sprzemy, możemy wrzucić coś już za godzinę.

– Byłabym newsem? – powtórzyła zdumiona Raisa.

– Czyż to nie wspaniale? – Magda uśmiechnęła się profesjonalnie. – Chcielibyśmy przeprowadzić z panią wywiad. Dłuższy materiał planujemy na wieczór, ale na gorąco, na teraz, choćby kilka zdań. Czy ktoś już może nas uprzedzić? – zapytała, rozglądając się po pustej ulicy Parkowej, która wyglądała tak, jakby po środku lasu wykarczowano pasmo drzew, by rozlać nieco asfaltu i postawić kilka willi.

– Wywiad? Ale w związku z czym? Nie bardzo rozumiem. I nikogo tutaj nie było – dodała Raisa. – Właśnie wybieram się do koleżanki. – Przyglądała fałdy lawendowej sukienki.

Magda spięta się cała. Nie mogła dopuścić, by ta kobieta się jej wymknęła i po prostu poszła sobie na pogaduszki. Kto, u licha, chodzi z wizytą o siódmej rano?, pomyślała, patrząc znacząco na Adama.

– Możemy wejść na chwilę? – zapytał. – Wszystko na spokojnie pani wyjaśnimy.

Skołowaną i niepewną Raisę niecodzienna sytuacja zaintrygowała. Skinęła zatem głową i poprowadziła dziennikarzy do domu. Towarzyszyło jej nietypowe uczucie, że najpewniej za chwilę się obudzi. Magda Sajewicz prosi mnie o wywiad? To kuriozalne!

– Przepraszam za zapach – zwróciła się do gości, zamykając za nimi drzwi wejściowe ozdobione witrażem z wizerunkiem irysa. – Przed chwilą stłukłam perfumy. Zupełnie nowe – powiedziała do dziennikarki, pewna, że kobieta zrozumie ogrom nieszczęścia. – Właśnie miałam użyć ich po raz pierwszy i trach!

– Niewiarygodne! – Magda pokręciła głową. – Prawdziwy pech!

Adam zauważył w jej orzechowych oczach błysk ekscytacji. Wyglądała tak zawsze, gdy miała przed sobą dobry temat.

Intensywny zapach, który bez pardonu wdzierał się w ich nozdrza, potwierdzał słowa starszej pani. Adam zasłonił nos. Jego astma nie tolerowała tak intensywnych woni.

– Czyli naprawdę jeszcze nic pani nie wie? – upewniła się zdumiona Magda.

– O czym mam wiedzieć?

Reporterka splotła dłonie, prezentując tym samym czerwony manikiur, i przystąpiła do wyjaśniania celu wizyty.

– Pani Raiso, nie wiem, czy pani słyszała, ale jeśli ogląda pani nasze wieczorne wydania, zapewne tak. WHO przy współpracy z Human Resources Institute ogłasza ostatnio różne statystyki. Jesteśmy w połowie dwudziestego pierwszego wieku. Nasza planeta, z powodu działalności człowieka, znajduje się w coraz trudniejszej sytuacji. Co roku ginie ponad pięćdziesiąt różnych gatunków fauny, w wielu miejscach na świecie zaczyna brakować wody pitnej. Sama pani wie. – Magda spojrzała wymownie na rozmówczynię. – Światowa Organizacja

Zdrowia, zapewne chcąc potrząsnąć ludźmi, dać im do myślenia, że Ziemia znajduje się w poważnych tarapatach, przeprowadza takie podsumowania. Zajmuje się dostępnymi zasobami, stanem środowiska, wpływem rozwoju technologii na zdrowie. Podejmuje też temat ludzki. Podaje statystyki globalne, ale również, co jest nowością, zajmuje się jednostkami. Wybiera te najbardziej wyróżniające się w konkretnej dziedzinie... – Zawiesiła głos. – Wczoraj wieczorem podała, że została pani wybrana na najbardziej pechową osobę na świecie.

Raisa przełknęła ślinę.

– Co pani mówi...? – wymamrotała.

Magda spodziewała się nieco bardziej żywiołowej reakcji.

– Właśnie o tym chcielibyśmy z panią porozmawiać.

Raisa zastanowiła się przelotnie, czy zapach perfum długo będzie wietrzył z jej korytarza.

– No dobrze – zwróciła się do dziennikarki. – Ale skąd WHO z tym Human coś tam ma pojęcie, że gdzieś w ogóle żyje jakaś Raisa Hedwig?

– Bardzo trafne pytanie! Już wyjaśniam. Otóż kie-rowano się statystykami. Policyjnymi, szpitalnymi. Przesortowano stare materiały prasowe, zasoby Internetu...

Raisa uniosła brwi.

– Czy oni nie mają co robić?

– Najwyraźniej wychodzą z założenia, że Ziemi kurczy się termin ważności i trzeba zrobić podsumowanie – wtrącił przez zatkany nos Adam.

– Wszystko w porządku? – Raisa spojrzała na jego poczerwieniałą twarz. – Rety, ja wciąż trzymam państwa w korytarzu! Przejdźmy do pokoju. Gdzie moje maniere!

Adamowi wyraźnie ulżyło.

Gdy weszli do jasnego przestronnego salonu i usiedli na białej, ozdobionej kolorowymi poduszkami sofie, Magda postanowiła podejść rozmówczynię.

– Wydaje mi się, że nie wygląda pani na szczególnie zaskoczoną?

– Cóż, sama nie wiem. Po prostu nie sądziłam... Może podam coś do picia?

– zapytała Raisa, zerkając na operatora.

– Bardzo chętnie – odparł z wdzięcznością w głosie Adam.

– Pani Raiso – powstrzymała ją Magda. – Zgodzi się pani na kilka słów do kamery, tak? Chcielibyśmy pokazać naszym widzom, że jest wśród nas ktoś wyjątkowy. Jedyny taki na świecie.

Starsza pani potarła czoło.

– Nie jestem pewna, biorąc pod uwagę kategorię, w jakiej zostałam wybrana, czy jest się z czego cieszyć.

– Gdy przyjdzie oficjalny list gratulacyjny, spojrzysz pani na to inaczej.

– To jeszcze będą mi gratulować tego tytułu? – Raisa otworzyła szerzej

niebieskie oczy.

Zapomniała o obiecanej wodzie?, zaniepokoił się Adam. W domu nie było klimatyzacji i obawiał się, że jeszcze chwila, a Magda będzie musiała kręcić wywiad sama. Jak ta kobiecina znosi te mordercze temperatury?, zastanowił się.

Magda dotknęła nadgarstka i w tym samym momencie pojawił się przed nią hologram. Odczytała zapiski w wirtualnym notatniku i zamknęła aplikację.

– Ale zanim odbierze pani laury, chciałabym się upewnić – powiedziała. – Czy to prawda, że przeżyła pani zatonięcie statku, katastrofę pociągu i atak szaleńca w Madrycie?

Raisa wzięła głęboki oddech.

– Żeby tylko...

– Adam, włącz kamerę! – ponagliła Magda kolegę.

Na jej przypudrowanych policzkach pojawił się soczysty rumieniec.

– Czy mógłbym jednak dostać odrobinę wody? – wychrypiął operator, próbując wachlować się kołnierzykiem niebieskiej koszulki polo.

Magda spojrzała na niego tak, jakby chciała przegryźć mu tętnicę. Konkurencja zaraz zajędzie przed dom, a ja muszę mieć ten materiał jako pierwsza!, postanowiła.

Rozdział 2

Raisa postawiła na stoliku tacę z dzbankiem i trzema szklankami.

– Proszę chwilę zaczekać – zwróciła się do gości. – Tylko zadzwonię do przyjaciółki powiedzieć, że się spóźnię.

– Myślę, że rozsądniej będzie uprzedzić, że dzisiaj pani w ogóle nie przyjdzie – stwierdziła Magda, zakładając nogę na nogę.

– To nagranie będzie trwać aż tak długo?

– Liczyłabym się ze sporym zamieszeniem. Podejrzewam, że po nas pojawią się inni.

– Nie jestem przekonana, czy mam na to ochotę...

– Zawsze może pani odmówić komentarza. Mam jednak nadzieję, że nas pani nie zawiedzie. – Magda ściszyła głos.

Zanim Raisa zdążyła otworzyć usta, rozległ się dźwięk telefonu.

Dziennikarka zakłęła w duchu, pewna, że to koledzy po fachu, i chciała poprosić starszą panią, by ta nie odbierała, lecz ona była już w korytarzu.

– O wilku mowa, to właśnie Edyta! – oznajmiła, sięgając po komórkę. – Cześć, kochana, wyobraź sobie... – zaczęła na wdechu.

– Czy ty zaglądałaś dzisiaj do sieci?! – wypaliła zaaferowana przyjaciółka. – Na głównej stronie niemal każdego serwisu jest twoje zdjęcie! I te tytuły! „Najbardziej pechowa osoba na świecie mieszka w Polsce!”, „Mamy to! Dziękujemy, Raiso!”, „Raisa Hedwig – historia pecha”, „Oto Raisa Hedwig: współczuć czy gratulować?”

– Czyli już wiesz. Właśnie miałam w tej sprawie do ciebie dzwonić. Nie mogę dzisiaj przyjść. Przyjechali dziennikarze. Mam odpowiedzieć na kilka pytań. Jest u mnie Magda Sajewicz... – wyszeptała.

– Sajewicz?! Coś podobnego! Oczywiście, nie ma sprawy. Ale że naprawdę najbardziej pechowa? Zawsze twierdziłam, że jesteś nietypowa, ale że aż tak? – ekscytowała się Edyta.

– Muszę kończyć, ponaglają mnie. – Raisa zauważyła kątem oka reporterkę dającą jej dziwne sygnały.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi trafi się jego pięć minut, co? – zachichotała Edyta. – No nic, w takim razie idę na miasto. Pewnie już całe huczy. Zdam ci relację, jak się zobaczymy.

– W porządku, trzymaj się! – odparła Raisa i zakończyła połączenie. – To się nie dzieje naprawdę – powiedziała, zwracając nieśpiesznie do salonu.

W międzyczasie Magda z Adamem przemeblowali nieco pokój, aby miejsce wywiadu ładnie prezentowało się w kadrze. Od ściany z obrazami odsunęli sofę,

stawiając tam dwa fotele. Pomiędzy nimi znalazł się okrągły stolik, a na nim mały wazon z bukietem żółtych gerber, który dotychczas stał na komodzie tuż przy wyjściu na taras.

Magda spojrzała na stojącą pośrodku pokoju gospodynię, która wyglądała na zagubioną. Dłonie splotła przed sobą, jakby chroniła brzuch przed ciosem. Wydawała się taka drobna i krucha. Magdzie zrobiło się jej żal. To uczucie towarzyszyło jej ostatnio, gdy widywała starsze osoby. Coś w rodzaju mieszaniny współczucia, litości i smutku, że wszystko kiedyś się kończy. Jak ta drobina przetrwała te wszystkie katastrofy?, pomyślała, kiedy Raisa usiadła we wskazanym jej fotelu po lewej.

Raisa od razu zorientowała się, co oznacza ten wzrok. Odkąd przekroczyła sześćdziesiąt pięć lat, zaczęła wyłapywać **to** w oczach młodszych od siebie ludzi. Sama zapewne kiedyś patrzyła podobnie. Jednak teraz to na nią przyszedł czas, to ona stała się obiektem litościwych spojrzeń. A może pani Sajewicz współczuje mi jedynie przeżyć?, zamyśliła się. Poprawiła leżącą na stoliku szydełkową serwetkę, którą lata temu wydzierała jej matka.

– Jest pani gotowa? – Magda przysiadła w fotelu obok. – Mamy wejście za pięć minut.

– Czyli to będzie na żywo? – Raisa poczuła, jak zasycha jej w gardle.

Adam podszedł do niej i podpiął mikrofon do kołnierzyka sukienki, co speszyło ją jeszcze bardziej.

– Teraz tak. Taka szybka relacja na gorąco. Zadam pani kilka ogólnych pytań. Potem, już na spokojnie, dokręcimy resztę. Do wieczornego wydania.

– O rety... – Przejęta Raisa przygładziła włosy. – Dobrze wyglądam? – zapytała.

Magda nachyliła się ku niej.

– Powiedziałabym nawet, że zaskakująco dobrze.

– Myślała pani, że zastanie mnie bez co najmniej dwóch kończyn i z twarzą pokrytą bliznami? – roześmiała się Raisa.

– Nie to miałam na myśli. Chciałam raczej podkreślić, że nie wygląda pani na kogoś, kto aż tyle przeżył.

Raisa postanowiła uznać to za swoisty komplement. Czowała, jak jej serce przyśpiesza, a w żyłach krew zaczyna krążyć szybciej. Dawno nie doświadczyła aż takiego przyływu adrenaliny. Musiała przyznać, że było to uczucie ożywcze.

Magda założyła włosy za ucho i zaczęła wykonywać przedziwne ruchy szczęką – to do przodu, to do tyłu, w prawo i w lewo. Następnie zaczęła parskać jak koń, co nadważyło nieco warstwę pieczołowicie nałożonej szminki. Ale szybko poprawiła makijaż i po chwili, gdy Adam za kamerą dał znać, że są online, wyglądała już, jakby przed sekundą nie wykonywała kuriozalnych ćwiczeń mimicznych. Wyciągnęła smukłą jak u łani szyję, przywołała olśniewający

profesjonalny uśmiech i przywitała się z widzami specjalnie wyszkolonym, nieco obniżonym tembrem głosu.

– Dzień dobry, zapraszam na specjalną relację prosto z Borneo Sulinowa. Gościmy dzisiaj u pani Raisy Hedwig, najbardziej pechowej osoby na świecie według wczorajszego oświadczenia WHO i Human Resources Institute. Będziemy chcieli przybliżyć państwu tę niezwykłą osobę. Na obszerniejszy materiał zapraszam o dwudziestej, ale już teraz z myślą o naszych widzach poprosiliśmy panią Raisę o komentarz na gorąco. Warto podkreślić, że o tytule dowiedziała się przed chwilą, właśnie od nas. Pani Raiso. – Magda zwróciła się do rozmówczyni, a Adam rozszerzył plan do amerykańskiego. – Jeszcze wczoraj zapewne spędzała pani całkiem zwyczajny spokojny dzień w tym uroczym domu z pięknym ogrodem, a dzisiaj oczy całego świata zwrócone są właśnie na panią! Proszę powiedzieć, co pani czuje?

Raisa spojrzała w kamerę z zakłopotanym uśmiechem.

– Jestem dość oszołomiona.

– To zrozumiałe. Proszę nam opowiedzieć, jak się żyje z takim pechem?

– Dość przewidywalnie. – Raisa wzruszyła ramionami.

– Przewidywalnie? Czy spodziewała się pani zatonięcia statku, katastrofy pociągu i ataku w muzeum?

– Oczywiście, że nie. Nie jestem przecież jasnowidzem. Po prostu wraz z upływem czasu przyzwyczaiłam się, że właściwie zawsze coś mi się przydarza.

– Może warto byłoby od razu uprzedzać otoczenie? – roześmiała się Magda.

– Myśli pani, że ktoś by mi uwierzył? Raczej wzięto by mnie za niespełna władz umysłowych.

Dziennikarka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Zapewne ma pani rację. Czy myśli pani, że możemy się czuć w tym salonie bezpiecznie? – zażartowała, spoglądając wymownie w stronę sufitu.

– Najzupełniej. Dom jest wprawdzie stary, ale można ufać solidnemu niemieckiemu budownictwu.

– Ciekawi mnie, czy w którymś momencie życia nie doświadczyła pani stanów lękowych? Ciągłe napięcie, oczekiwanie na tragedię, wypadki i katastrofy może chyba zszargać nerwy?

Zaskoczona pytaniem Raisa wydeła nieco dolną wargę.

– Nigdy tego nie oczekiwałam. Mój spokój mąciły zupełnie inne kwestie.

– Pozazdrościć stalowych nerwów, pani Raiso. – Reporterka spojrzała z uznaniem. – Czy zatem pani bliscy martwią się o panią? Wziąwszy pod uwagę te wszystkie zdarzenia z pani udziałem?

– Podejrzewam, że nie bardziej niż bliscy innych mniej pechowych osób... – Raisa spróbowała się uśmiechnąć, ale poczuła, że drżą jej kąciki ust. Zastanowiła się, czy widzowie to zauważą.

– Och, wydaje mi się, że po prostu o tym pani nie mówią. – W oczach Magdy pojawiło się zrozumienie. – Proszę powiedzieć, które z tych trudnych doświadczeń było dla pani najbardziej nieprzyjemne?

Chyba dzisiejszy dzień, kiedy to oficjalnie uznano mnie za najbardziej pechową, więc muszę teraz publicznie tłumaczyć się ze swojego życia, pomyślała Raisa, choć oczywiście nie powiedziała tego na głos.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – Rozłożyła dłonie. – Nie zastanawiałam się nad tym.

– Może zatonięcie promu do Szwecji? – podsunęła Magda. – W ponadstuletniej historii armatora – zwróciła się do kamery – aż do tamtej chwili nie wydarzył się żaden wypadek. Do czasu, gdy postanowiła pani wybrać się na wakacje i zaznać morskiej podróży.

Raisa natychmiast przypomniała sobie tamten wczesnojesienny wieczór. Słońce zachodziło, barwiąc chmury na złoto i odcienie fioleto. Ona stała na pokładzie, pewna, że nie może być piękniej. Trzymała się chłodnej balustrady, wiatr owiewał jej twarz. Marek, jej pierwszy mąż, obejmował w pasie żonę będącą na lekkim rauszu, bo do kolacji podano wyborne, lekkie białe wino. Wiązali z tą podróżą wielkie plany. To miał być wspaniały urlop. Czas, który będą wspominać do końca życia. Raisa nie kojarzyła już dokładnie, czy najpierw usłyszała syrenę alarmową, czy męski rozdzierający krzyk: „Tonimy! Wszyscy do szalup!”. W pamięci pozostał jej wyłącznie pełen niedowierzania wzrok Marka, a potem jego dzikie przerażenie. Z perspektywy czasu podejrzewała, że to właśnie wtedy po raz pierwszy zaświtała mu w głowie myśl, żeby spakować walizki i pewnego weekendu pozostawić po sobie wyłącznie zdawkową kartkę: „Nie mam już siły! Żegnaj, Raiso”.

– Sądząc po pani minie, chyba dobrze trafiłam? – drażyła Magda, widząc, że gospodyni nie jest łatwą rozmówczynią.

Dzisiejsi widzowie nie chcą oglądać utykających wywiadów, pomyślała zirytowana. Rozmowa ma płynąć, wciągać. Dobrze wiedziała, że ma pięć sekund, żeby zainteresować odbiorcę, bo w przeciwnym wypadku jedno kliknięcie przeniesie go do konkurencji. W oczekiwaniu na odpowiedź pocieszała się, że ma tutaj kawał dobrej historii. Być może to sprawi, że widz jednak pozostanie.

– Tak, chyba tak – odparła Raisa.

Dała reporterce to, co, jak wyczuła, tamta najwyraźniej chciała usłyszeć.

– Pani Raiso – ożywiła się Magda. – Proszę mi wybaczyć, jeśli to pytanie zabrzmiało niedelikatnie, ale podejrzewam, że wiele osób je sobie dzisiaj zadaje. Czy jest pani nieszczęśliwa?

Raisa zmarszczyła jasne przeredzone brwi i spojrzała z niedowierzaniem.

– To nie tylko brzmi. To jest niedelikatne.

– Oczywiście nie musi pani odpowiadać... – Magda sugestywnie spojrzała

w oko kamery.

Wyraźnie poczuła, że nastrój opadł, a rozmowa zmierza w nieodpowiednim kierunku. Postanowiła kończyć. Tym bardziej że Adam właśnie zaczął machać dłonią, aby się streszczała.

– Drodzy widzowie, niestety w tym momencie musimy przerwać. Na materiał o pani Raisie, najbardziej pechowej osobie na świecie, i dalszą część wywiadu zapraszam do wieczornego wydania wiadomości. Z Bornego Sulinowa mówiła do państwa Magda Sajewicz.

Olśniewający uśmiech prowadzącej zakończył relację.

Raisa z westchnieniem ulgi opadła na oparcie fotela. Wywiad trwał może jakieś pięć minut, ale chyba nigdy w życiu nic nie wyczerpało jej w tak krótkim czasie. Miała ochotę wdrapać się na górę, do swojej sypialni, położyć na łóżku i zasnąć, choć był przecież wczesny ranek. Przymknęła oczy.

– Przepraszam, jeśli moje pytanie panią uraziło – odezwała się Magda, sięgając po szklankę wody. – Telewizja rządzi się swoimi prawami. Ma przyciągać widzów.

Raisa powoli uniosła powieki.

– Znam pani styl i do tej pory podziwiałam pani nieustępliwość. Teraz patrzę jednak na to nieco inaczej. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja wiem, że to pani praca, ale nie chcę być materiałem powiększającym oglądalność waszej stacji. To nie na moje nerwy, nie w moim wieku.

– Myśli pani, że chcemy panią wykorzystać? – Magda otworzyła szerzej oczy.

– Myślę, że jest pani dziennikarką z krwi i kości, ze wszystkim, co się z tym wiąże. Nie mam siły na całodzienną batalię. Jeśli wie pani, co chcę powiedzieć... – Raisa wbiła wzrok w rozmówczynię. Jej wypowiedź podkreślił niespodziewany dźwięk dzwonka. – Czyżby następni? – przeraziła się.

Adam spojrział w stronę drzwi, jakby obawiał się ich sforsowania.

– Pewnie tak – odparł przeprasząc.

– Odeśle ich pan? – zapytała błagalnie.

Magda zacisnęła szczęki, pewna, że zaraz podzieli los kolegów, którzy mieli zostać spławieni, zanim zadali choć jedno pytanie. Dlatego poderwała się z fotela i podeszła do gospodyni.

– Ja im powiem, że pani nie udziela więcej komentarzy – oświadczyła.

– I tak po prostu odejdą?

– Tak łatwo zapewne nie odpuszczą. Powłóczą się po okolicy, popytają, potem wrócą i będą nagabywać, ale przez jakiś czas będzie spokój. Obracamy się w jednym światku. Mam swoje sposoby, żeby do nich trafić – dodała.

– No dobrze. A co pani za to chce? Chodzę po tym świecie już dostatecznie długo, bym zdążyła się przekonać, że w życiu nie ma nic za darmo.

Magda spojrzała na bohaterkę dnia z uznaniem. Może i jest pechowa, małowówna i skryta, ale z pewnością nie jest głupia, pomyślała.

– Wyłącznie, pani Raiso – odparła. – Chcę mieć panią dzisiaj na wyłączność.

Raisa ciężko wypuściła powietrze.

– Nie wiem, dlaczego to robię, ale niech będzie. Wolę jedną dziennikarkę niż całe stado.

– Doskonale! – Magda zatarła ręce. – Będę chciała trochę o panią popytać osoby z pani otoczenia. Myślę tu o dzieciach, bracie, o tej koleżance, która dzwoniła. Chcę porozmawiać także z mieszkańcami miasta. Planuję przygotować pani portret. Widziany także oczami innych.

Raisa nachyliła się ku niej i spojrzała prosto w ciemne oczy.

– Sądzi pani, że oni cokolwiek o mnie wiedzą?

– Na pewno mają swój punkt widzenia na sprawę.

Nie było sensu wchodzić głębiej w tę wymianę zdań. Raisa uznała, że Sajewicz po prostu chce mieć swój materiał, i nawet ją rozumiała. Kto powiedział, że telewizja ma cokolwiek wspólnego z rzeczywistością?, pomyślała, wstając z fotela.

– Pewnie jesteście głodni – stwierdziła. – Może zrobię kanapki?

Magda nie zwykła jadać kanapek, które kojarzyły się jej z wakacjami, w dzieciństwie spędzonymi zazwyczaj w rozpadającym się domku letniskowym ciotki. Siostra jej matki szykowała kanapki na cały dzień, na wyprawę na plażę wraz z wujkiem i dwiema kuzynkami. Chleb zazwyczaj był przekładany żółtym serem i sałatą, która szybko wędła i robiła się gorzka i niezjadliwa. Najwidoczniej pani Raisa należy do pokolenia, które wciąż jada kanapki, skonstatowała. Wiedziała jednak, że czeka ją mnóstwo pracy, więc podziękowała za propozycję. Nie zamierzała wybrzydzać.

Pozostała w salonie pod pretekstem wykonania kilku telefonów, Adam zaś udał się z Raisą do kuchni, by pomóc w przygotowaniu jedzenia. Żołądek przykleił mu się do kręgosłupa. Wczoraj wieczorem w redakcji ustalono, że z Magdą pojedzie kto inny, lecz w nocy złapał Damiana ból zęba. Magda zadzwoniła po północy, informując Adama, żeby przyjechał po nią o drugiej. Nie dało się nawet pomyśleć o śniadaniu.

Patrzył na krzątającą się po kuchni poczciwą starszą panią, wyjmującą po kolei z lodówki wędlinę, biały ser i rzodkiewkę, i zrobiło mu się jej szkoda. Magda była świetną dziennikarką, ale bezkompromisową. Czasami nie potrafiła się zatrzymać, wycofać w odpowiednim momencie. Szkoda, że pani Raisa trafiła akurat na nią, pomyślał, smarując kromki masłem. Choć w zasadzie czego się można było spodziewać? Była przecież najbardziej pechową osobą na świecie...

Rozdział 3

W gabinecie było cicho i ciemno. Pozasuowano wszystkie zasłony. Pomieszczenie sprawiało wrażenie, jakby nie było w nim nikogo.

Rafał Walczak, sekretarz stanu, ostrożnie wszedł do środka.

– Panie prezydencie, jest pan tutaj?

Zrobił kolejny krok, stąpając niemal na palcach. Przy każdym następnym na jego twarzy pojawiał się grymas bólu. Czuł, że mąci nieskazitelną, niemal uświęconą ciszę.

Z drugiego końca gabinetu dobiegł zmęczony głos.

– Jestem. – Po ledwie słyszalnym skrzypnięciu Rafał zorientował się, że fotel się obrócił. Zapewne w jego kierunku. – Powiesz, o co chodzi, czy będziesz tak stał?

Walczak przyglądał granatowy krawat i wyprostował się, dodając sobie animuszu. Nie wiedział, czemu przy głowie państwa kompletnie traci pewność siebie. Może sprawiała to powaga urzędu, może osobowość prezydenta, a może fakt, że młody urzędnik otrzymał stanowisko wyłącznie dlatego, że był synem brata lidera partii, z której wywodził się zaprzysiężony dwa lata temu Jacek Nowaczyk.

– Oczywiście, już mówię. – Starał się brzmieć rzeczowo. – Słyszał pan już może o Raisie Hedwig?

– To Niemka czy Rosjanka? I czego od nas chce? Oskarża nas o coś?

– Polka. I prawdopodobnie nie chce niczego.

– To niemożliwe – cmoknął prezydent. – Wszyscy czegoś chcą.

– Tym razem mamy do czynienia z zupełnie inną sprawą. Wczoraj WHO i Human Resources Institute ogłosiły ją najbardziej pechową osobą na świecie. Powinniśmy na to zareagować. Już przygotowałem list gratulacyjny i właśnie przyniosłem panu do podpisu. Dobrze by było także zaprosić tę panią do pałacu, ucisnąć jej dłoń. To byłby ładny obrazek. Jeśli nie zrobimy nic, znów zeżrą nas media.

Prezydent pomasaował nieznośnie pulsujące skronie.

– Najbardziej pechowa, powiadasz? Czy my naprawdę nie możemy odnieść sukcesu w jakiejś normalnej kategorii?

– Lepszy taki sukces niż żaden. Zawsze możemy obrócić go na naszą korzyść.

– Podaj to pismo – rzucił zniecierpliwiony prezydent. – Wydaj oświadczenie dla mediów, że nasz naród zawsze był ciężko doświadczany, ale wszystkie klęski ostatecznie potrafił przekuć w sukces. Taki jak ten. I wciśnij tę kobietę w grafik.

Pismo wylądowało na biurku.

Prezydent szukał pióra po omacku, więc najpierw trafił na ołówek, potem na łyżeczkę po kawie, którą pił w przesadnych ilościach, licząc, że uśmierzy ona ból głowy.

– Rozsuń trochę zasłony, nic nie widać – mruknął. – A, powiedz no, czym się niby objawiał ten jej wielki pech, co?

– Panie prezydencie, aż trudno uwierzyć, że ona jeszcze żyje! Przeżyła katastrofę morską, wykolejenie się pociągu, porażenie piorunem. Niech pan zajrzy do Internetu. Piszą dzisiaj wyłącznie o niej.

– O tak! Naród uwielbia pławić się w martyrologii.

Rafał podrapał się nerwowo, czując, że nastrój prezydenta zaczyna pikować.

– Ośmielę się zauważyć, że w tym przypadku to chyba jednak sukces...

– Chyba żartujesz! – parsknął Nowaczyk. – Nasi rodacy siedzą teraz po domach i pocieszają się, na zasadzie przekory, że im to się w życiu jednak udało. Choćby wiedli najbardziej podły żywot – dodał i złożył zamaszty podpis tuż pod gratulacjami, których nawet nie przeczytał.

– Zapewne ma pan rację.

– A teraz załatw mi coś przeciwbólowego – polecił prezydent, oddając pismo. – Rano wziąłem jakieś proszki z apteczki, ale nie pomogły. W nocy do późna oglądałem Snake River Stampede. Czy masz pojęcie, że to jedna z dwudziestu pięciu najlepszych imprez rodeo w Stanach?

– Tak, wiem. – W głosie Rafała zabrzmiała duma. – Rozgrywane w Nampa, w stanie Idaho – dodał.

Dowiedział się o słabości prezydenta do tej rozrywki i podszkolił się w temacie natychmiast.

– Zgadza się. W każdym razie, zdaje się, wypłem o jeden koniak za dużo. Ale czasem człowiek musi się rozluźnić. Prawda, Walczak? – Prezydent spojrział w jego kierunku i nie czekając na przytaknięcie, ciągnął: – Dzisiaj przyjeżdża ten żabojad i muszę być na chodzie. Znowu niektórym chodzi po głowie kolejna unia. A wydawało się, że po atmosferze, jaka była, gdy kurz opadł po tej europejskiej, już nikt nie będzie miał ochoty się jednoczyć.

– Zjednoczenie to chyba dobra rzecz. Nie jest pan idealistą?

– Jestem obserwatorem. Z moich spostrzeżeń wynika, że wszystko, wcześniej czy później, trafia szlag. Im lepiej się zaczyna, tym gorzej kończy. Więc po co się napinać? Zapytaj tej całej pani Raisy, czy jak jej tam. Pewnie powie ci to samo.

Rafał po cichutku zaczął się wycofywać w stronę drzwi.

– Lepiej załatwię te lekarstwa – powiedział. – Nie jest pan dzisiaj w najlepszym nastroju.

– Też byś nie był, gdybyś miał w głowie młot pneumatyczny. Idź, tylko wróć prędko! Wszystko w tym kraju idzie jak krew z nosa... – wymamrotał do siebie.

Kiedy za Walczakiem zamknęły się drzwi, prezydent ponownie zasunął ciężkie kremowe story obszyte złotą lamówką. Ból sprawiał, że wszystko go drażniło. Powrócił do biurka i wsparł głowę na dłoniach, próbując ją ścisnąć, co nieco zmniejszało cierpienie. I po co ja się w to pchałem?, zadumał się, mając w perspektywie dyplomatyczne uśmiešky ze swoim francuskim odpowiednikiem i idiotyczną galę, gdzie pod wielkim żyrandolem złożonym z trzech tysięcy sześciuset kryształów będzie dziękować jakiejś nieudacznej babie. Właściwie za co?, pomyślał. Za to, że nic jej w życiu nie wyszło? Inni ludzie z tego powodu popełniają samobójstwa, a nie dostają nagrody. Świat się kończy! Amerykańscy naukowcy w tej kwestii z pewnością mają rację, uznał.

Miasteczko aż huczało.

Edyta wiedziała, gdzie się udać, by usłyszeć najwięcej przy jak najmniejszym wysiłku. Market w centrum miasta od lat stanowił punkt spotkań i centrum wymiany informacji, ale to, co się dzisiaj działo przy samoobsługowych kasach, przechodziło ludzkie pojęcie. Było jasne, że nikt z obecnych nie pojawił się w sklepie po zakupy.

– Ale że ona...? – zaperzyła się pani Agnieszka, pulch-na właścicielka salonu fryzjerskiego. – Przyszliby posłuchać, co mnie się w życiu przydarzyło, to na pewno zmieniliby zdanie. To musi być jakaś pomyłka!

Stojący obok Błażej, prawnik, potarł oczy. Wyglądało na to, że znów nabawiłem się zapalenia spojówek, westchnął. Jego dziewczyna niedawno wprowadziła się do niego wraz z psem, na którego sierść ewidentnie miał uczulenie.

– Mnie się wydaje, że po prostu musieli kogoś wybrać. Wyskoczyła im pierwsza z brzegu, gdy wyszukiwali poszkodowanych po jakimś haśle, i nie chciało im się dalej szukać. Coś słyszałem, że przeżyła zatonięcie jakiegoś statku. Ale bądźmy poważni, przecież nie ona jedna!

– Właśnie – przytaknęła pani Anna, sędziwa internistka z ośrodka zdrowia. – Pamiętam tę katastrofę. Wszyscy w mieście mówili, że przeżył ją ktoś od nas. Słyszałam, że udało się też jej mężowi. Tyle że ponoć się połamał.

– Ale do miasta wróciła już z drugim mężem. Tak przynajmniej mówiła moja mama – zachichotała młoda kobieta z dzieckiem na rękę. – Ten pierwszy wziął chyba nogi za pas.

Wysoki starszy pan skrzyżował ręce na wątej piersi.

– Raisa niejednego wykończyła. Nie potrafiła docenić uczucia. A to się mści...

– Tak, Wojtek, zwłaszcza twojego uczucia nie potrafiła docenić, co? – wtrąciła zdenerwowana Edyta, nie mogąc już wytrzymać tej gadaniny. – Wciąż będziesz to wypominał? Nawet po tylu latach?

– O proszę, kogo ja widzę! Czyżby Raisa ukryła się przed sąsiadami, a ciebie

wysłała na zwiady? – Pan Wojtek uniósł podbródek.

– Nigdzie mnie nie wysyłała. Ale widzę, że dobrze zrobiłam, przychodząc tutaj. Jak tak was słucham, to odnoszę wrażenie, że zżera was zazdrość.

– Nie sądzę, żeby pani Hedwig była wyjątkowa. Każdy z nas przecież różnych rzeczy doświadczył – oświadczyła piskliwym głosem Aneta, kierowniczka sklepu. – Ciekawe, ile za to dostanie?

– Za to nie przyznają żadnych pieniędzy. Nigdzie o tym nie czytałam – wtrąciła młoda matka.

– A wiesz to na pewno? – odezwał się pan Paweł, którego wiadomość zastała po drugim, ale jeszcze przed trzecim porannym piwem. Informacja zanadto go otrzeźwiła, więc czuł, że całą procedurę będzie musiał zacząć od początku. A na to nie bardzo pozwalał mu budżet.

– Może wspomozę nasze centrum kultury? – rozmarzyła się spieczona na raka pani Natalia, dyrektorka placówki.

– Albo przychodnię – dodała internistka.

Edyta wzięła się pod boki.

– Przestańcie dzielić pieniądze, których nikt jej nie da!

– Jak nie da bezpośrednio, to przyjdą potem – zauważył z miną znawcy Błażej. – Dziennikarze już tu są. A za nimi przywędrują kontrakty reklamowe.

– Co może reklamować najbardziej pechowa osoba na świecie? – roześmiała się kierowniczka sklepu, wkładając dłonie do kieszeni zielonego firmowego fartuszka.

– Jak to: co? Choćby ubezpieczenia na życie – roześmiał się pan Paweł, tęsknie spoglądając w stronę alejki z alkoholami.

– Znana twarz sama w sobie jest już interesująca dla reklamodawców. Co taka osoba robi, kim jest, to przecież drugorzędne. Autorytety powymierały już dawno. Ludzie ich nie potrzebują – zauważył poważnie Błażej.

– Potrzebują! A jak ich nie ma, to piją – zauważył pan Paweł.

Edyta czuła, że się gotuje. Jej policzki przybrały odcień buraczkowej bluzki.

– Nie można was słuchać! – wypaliła. – Na waszym miejscu zdobyłabym się na dumę z wyróżnienia kogoś, kto mieszka razem z wami w jednej miejscowości! A jeśli to za dużo, to choćby na współczucie. Co z wami?

– A niby czego mamy jej współczuć? Rozgłosu? Uznania za nic? Zainteresowania całego świata? – zapytała właścicielka salonu fryzjerskiego.

– A może porannego wywiadu w NTV? – wtrąciła dyrektorka domu kultury.
– Widzieliście? Przyjechała sama Magda Sajewicz!

– Naprawdę? I jak wypadła Raisa? – zainteresował się pan Wojtek.

Kobieta lekceważąco machnęła ręką.

– Próbowwała udawać zdystansowaną. Że niby to wyróżnienie nie robi na niej najmniejszego wrażenia.

– Hipokrytka! – ocenili chórem zgromadzeni.

Edyta początkowo miała zamiar wejść do sklepu i kupić mleko, bo obudziła się z ochotą na bawarkę, ale teraz wyłącznie zbierało się jej na mdłości. Poczuli, że nie wytrzyma nawet sekundy dłużej wśród tych ludzi. To byli jej sąsiedzi, mieszkańcy tego samego miasteczka, codziennie mijani na ulicach, mówiący sobie „dzień dob-ry”! Wiedzący jedni o drugich to i owo. Jednych lubiący bardziej, drugich nieco mniej. Naprawdę nie spodziewała się, że usłyszy to, co usłyszała. Liczyła raczej na życzliwe żarty albo próby podpytania jej, czy faktycznie Raisie przydarzyło się to wszystko. Znały się przecież od lat. Ich przyjaźń zawiązała się jeszcze w liceum i przetrwała próbę czasu.

Wiedziała, że nie ma na co czekać. Wypadła ze sklepu i wsiadła do zaparkowanego naprzeciwko wejścia samochodu. Ruszyła z piskiem opon, za co nie raz dostawała reprimendę od Raisy. Tym razem jednak miała wytłumaczenie – wzburzona, musiała czym prędzej poinformować przyjaciółkę o panujących w mieście nastrojach. Powinna być na nie przygotowana, pomyślała.

Magda Sajewicz oświadczyła kolegom po fachu, którzy tymczasem zdążyli już rozbić małe miasteczko medialne na trawniku przed domem, że bohaterka dnia odmówiła udzielania komentarzy. Wywołała tym wzburzenie dziennikarskiej braci.

– Może niech pani Raisa wyjdzie i sama nam to powie – zaproponował Darek Morąg, umięśniony i wytatuowany reporter plotkarskiego portalu Mopsik.

Ani trochę nie pasuje do miejsca, gdzie pracuje, pomyślała Magda.

– To starsza osoba. Szokiem jest dla niej zarówno sama informacja, jak i całe to zamieszanie wokół niej. Jest zmęczona – wyjaśniła.

– Tak ją wykończyłaś? – rzucił jakiś niski chłopak, gryząc jabłko.

– Może odpowie nam na pytania choćby przez telefon albo mejlowo? – zaproponował korespondent BBC, nadającej, podobnie jak większość stacji, wyłącznie w Internecie.

– Może uda mi się ją namówić, ale na pewno nie teraz. Idźcie w miasto. Może tam dowiedzie się czegoś ciekawego – rzuciła Magda z szelmowskim uśmiechem.

– Chcesz nam powiedzieć, że wybrała cię na swojego rzecznika? – Paulina z dziennika „Breaking News” spojrzała podejrziwie.

– Nie wydaje mi się. Po prostu byłam tu pierwsza. – Magda obdarzyła koleżankę wymownym uśmiechem. – Powodzenia! Jakby coś się zmieniło, dam znać.

Obróciła się na obcasach beżowych szpilek i energicznie zawróciła do domu.

Zamierzała trzymać resztę z dala od pani Raisy tak długo, jak to będzie możliwe. Dopóki jej stacja będzie miała monopol na najgorętsze wieści i wyłączność na komentarze bohaterki zamieszania, dopóty jej szef będzie zadowolony. To wszystko przekładać się będzie na wyniki oglądalności. A potem

na jej pozycję w stacji, która choć mocna, zawsze może być jeszcze lepsza...

Nadia z rodziną rozpoczynali właśnie rozkoszny trzeci dzień wakacji nad Bałtykiem. Wrócili do pokoju ze śniadania z zamiarem przebrania się w kostiumy kąpielowe i wyruszenia na plażę. Łukasz, mąż Nadii, jeszcze przeglądał mejle, a ona spokojnie przygotowywała plażowe akcesoria. Spakowała wiaderko i piłkę dla pięcioletniego Bartusia, który wiercił siostrze dziurę w brzuchu o wspólną zabawę. Hania, ośmioletnia pannica, nie miała na to najmniejszej ochoty. Planowała leżenie plackiem i słuchanie audiobooków.

– Kochanie! – zawołał zaaferowany Łukasz. – Nie uwierzysz! – Wskazał na wyświetloną na hologramie stronę internetową telewizji informacyjnej. – Przecież to twoja mama!

Nadia podeszła zaciekawiona, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, i przysiadła na podłokietniku fotela. Szybko przebiegła tekst wzrokiem, zdjęta nagłym strachem, że być może znów coś się stało. Na szczęście tym razem obyło się bez wypadku.

– Nie wierzę! – Zakryła dłonią usta. – Jeszcze i to! Czy ona nie może po prostu wieść normalnego życia? – Spojrzała na męża.

– Wygląda na to, że w pewnym sensie została uhonorowana! – zachichotał Łukasz.

– Pewnego dnia dostanę przez nią zawału! – Nadia wpatrywała się z niedowierzaniem w zdjęcie na stronie głównej portalu.

Zostało zrobione przy okazji afery związanej z pewnym losowaniem Lotto. Wolą tego zdarzenia nie wspominać.

– Co się stało? – zapytała Hania, podchodząc do rodziców. – O rany, to babcia! Bartek, chodź, zobaczysz babcię w hologramie!

Po chwili cała czwórka zgodnie przeglądała zamieszczone informacje. Kliknięcie w link do wywiadu Magdy Sajewicz sprawiło, że wszyscy szeroko otworzyli usta.

– Mamo, ale babcia ma fajnie! – westchnęła zachwycona Hania. – Też bym chciała poznać panią Magdę. Jak dorosnę, zostanę dziennikarką!

Nadia pogładziła córkę po zaróżowionym policzku.

– Wątpię, czy babcia też się tak cieszy. Z jej miny wynika raczej coś przeciwnego...

Łukasz nie potrafił powstrzymać się od śmiechu, choć bardzo się starał, zobaczywszy wyraz twarzy żony.

– Była skrępowana, nie dziw się – bąknął. – Niecodziennie człowiek występuje w telewizji. Zadzwoń do niej.

– Dziwię się, że jeszcze się do nas nie odezwała...

– Tak, tak, zadzwońmy do babci! – przekrzykiwały się dzieciaki.

– Pewnie teraz nie ma czasu – zauważył przytomnie Łukasz. – Jest

rozrywana przez media – dodał z błyskiem w oku.

– Mamo, babcia naprawdę ma takiego pecha? – zainteresowała się Hania. – No tak, w sumie... Pamiętasz, Bartek? Wtedy, w wesołym miasteczku?

Chłopiec podrapał się po głowie. Zdarzenie sprzed roku było dla niego odległą przeszłością.

– Wjechaliśmy z babcią na samą górę i wtedy w diabelskim młynie coś się zepsuło i utknęliśmy. Przez godzinę go uruchamiali...

Rodzice wymienili spojrzenia.

– Nic o tym nie mówiliście! – sapnęła Nadia.

– Bo babcia nas prosiła – oświadczyła dumna z dochowania tajemnicy Hania. – Mówiła, że będziesz się niepotrzebnie przejmować. A po co, skoro wszystko się dobrze skończyło?

– Odtąd nigdzie nie wybieracie się z babcią sami! – powiedziała ostro Nadia. – Jak mogłam nie wziąć tego pod uwagę? – mruknęła pod nosem.

– Babcia miała rację... – zauważył przytomnie Bartuś.

– Koleżanki w klasie pękają z zazdrości! – gorączkowała się Hania, żałując, że zobaczy się z nimi dopiero we wrześniu. Gotowa była natychmiast odwołać wakacje, byleby tylko pochwalić się sławną babcią.

– I co ja mam jej powiedzieć? – Córka Raisy spojrzała bezradnie na męża.

– Że jesteś z niej dumna.

– Z tego, że zabiera dzieci do wesołego miasteczka i zawisa z nimi na godzinę na wysokości? A do tego trzyma to w tajemnicy i zachęca dzieciaki do oszustwa.

– Nie, kochanie. Z zupełnie innego powodu – odparł spokojnie Łukasz.

Nadia skrzyżowała ręce na piersi i wzięła głęboki oddech.

– Swoją drogą, nieźle dogadała tej Sajewicz, co? – roześmiała się.

– Na jej miejscu nie zadzierałbym z mamą – zawtórował Łukasz.

Zafascynowany przeglądał kolejne strony internetowe, na których bezwzględnie królowała jego teściowa.

Edyta podjechała pod dom przyjaciółki i zamarła, zobaczywszy obozowisko na jej trawniku. Wokół zaparkowanych wzdłuż całej ulicy samochodów kręcili się dziennikarze pracujący nad materiałem. Część pisała, inni nagrywali, kolejni przeprowadzali rozmowę z panią Renatą, sąsiadką z domu obok, najwyraźniej wniebowziętą. Wytatuowany olbrzym sterował wiszącym nad ogrodem dronem, oznajmiając reszcie z zawodem, że nie dzieje się tam nic godnego uwagi.

W niewielkim namiocie zorganizowano prowizoryczny bufet złożony z dwóch stolików i kilku przenośnych lodówek, w których chłodziły się butelki z wodą mineralną, sałatki i owoce. Zadbano też o parasole chroniące przed słońcem i ustawiono kilka leżaków udostępnionych przez panią Renatę.

Edyta przypatrywała się temu obrazkowi ze zdumieniem. Czuła się jak na

planie filmowym, nie zaś jak mieszkanka zazwyczaj dość nudnego Bornego Sulinowa. Wyłączyła silnik i przez dobrą chwilę zastanawiała się, czy wysiąść. Nie była pewna, czy bardziej współczuć Raisie tego, co dzieje się w mieście, czy tego, co tutaj.

Mimo wszystko postanowiła wysiąść, gdyż nie miała w zwyczaju tchórzyc. Jednak gdy tylko zamknęła za sobą drzwiczki, pożałowała swojej decyzji. W jednej chwili otoczył ją kordon przekrzykujących się reporterów. Chcieli wiedzieć, kim jest Edyta, po co przyjechała, czy zgadza się z nadanym Raisie tytułem, czy może powiedzieć coś więcej na temat jej pecha, czy była świadkiem któregoś ze zdarzeń i czy mogłaby namówić panią Hedwig, by ta wyszła i udzieliła odpowiedzi na kilka pytań.

Edyta odpowiadała zdawkowo, a przy ostatnim pomyślała tylko: „Po moim trupie!”. Nie rzuci Raisy na pożarcie temu stadu hien żadnych sensacji.

– Zapytam – powiedziała dla świętego spokoju, próbując precyzyjnie się do drzwi wejściowych.

Piegowata dziennikarka z portalu lifestylowego niemal uderzyła ją w nos wyciągniętym z nienacka mikrofonem.

– Proszę powiedzieć, dlaczego właściwie przyjaźni się pani z panią Hedwig?
– zapytała.

Edyta zdębiała. Aż przystanąła, zastanawiając się, czy dobrze słyszy.

– Widocznie jestem masochistką! – rzuciła.

Drzwi otworzył jej dobrze zbudowany mężczyzna, przedstawiając się jako Adam Wolski, operator. Zanim wpuścił ją do środka, upewnił się, czy gospodyni ma ochotę na tę wizytę. Starsza pani nakarmiła go wymyślnymi kanapkami, więc odwdzięczał się, występując w roli lokaja.

Edyta zastała przyjaciółkę jak zwykle przy stole w kuchni. Raisa jak gdyby nigdy nic popijała miętę. Naprzeciwko niej siedziała Magda Sajewicz we własnej osobie, zajęta wprowadzaniem do hologramu jakiejś notatki.

Raisa dokonała prezentacji. A Edyta pomyślała, że znana dziennikarka jest znacznie drobniejsza niż na ekranie. I jeszcze ładniejsza. A to już było odrobinę nieprzyzwoite.

– Podobno nie chcesz udzielać komentarzy? – Przycupnęła na podsuniętym jej krześle.

– Chyba widziałaś, co się tam dzieje? Podejrzewam, że odpadłby mi język, gdybym odpowiedziała na te wszystkie pytania. Poza tym nie prosiłam się o to. Nie mam obowiązku w tym uczestniczyć. – Raisa objęła dłonią szklanę.

– Jak widać, pani się poszczęściło. – Edyta uśmiechnęła się do Magdy.

– Jestem niezmiernie wdzięczna. – Dziennikarka założyła włosy za ucho. Niewielki złoty kolczyk zakotłosał się miarowo. – Właśnie robię listę osób, z którymi warto porozmawiać o pani Raisie. Czy pani także powie o niej kilka

słów?

– Już powiedziałam. Tamtym za drzwiami.

Raisa odwróciła się do przyjaciółki i ułożyła usta w ciup. Robiła tak zawsze, jeśli coś ją naprawdę zirytowało.

Edyta rozłożyła ręce.

– No co? – zapytała. – Musiałam im rzucić jakiś ochłap, bo nie wypuściliby mnie w jednym kawałku. Ale nie martw się. – Dotknęła uspokajająco ramienia Raisy. – Same ogólniki.

– Czy pani coś ukrywa? – zainteresowała się, zawsze czujna, Magda.

– Ja? – zdumiała się Raisa. – Skąd taki pomysł?

Dziennikarka oparła przedramiona na stole. Poczwała na skórze nieco chropowatą strukturę kraciastego obrusa.

– A tak przyszło mi na myśl. Skoro pani Edyta zapewniła panią, że powiedziała niewiele...

Wywołana do odpowiedzi Edyta Niemirska obrzuciła ją ostrzegawczym spojrzeniem.

– Po prostu spróbowałam wczuć się w położenie przyjaciółki – wyjaśniła. – I wydedukowałam, że nie chciałaby stać się tematem publicznych debat.

– Nie zawsze możemy wybierać sytuacje, w jakich stawia nas życie – powiedziała filozoficznie Magda.

– To stwierdzenie chyba wyczerpuje temat osobliwego życia Raisy? – skwitowała Edyta, zadowolona ze swojej riposty.

– Ale też rzadko życie serwuje taką mieszankę, prawda? Trudno powstrzymać zaciekawienie takim przypadkiem. Trzeba to zrozumieć – odparła spokojnie reporterka, splatając palce wypielęgnowanych dłoni.

– Dlatego postanowiłam, że to, co mam do powiedzenia, powiem dzisiaj waszej stacji. I będę miała święty spokój – podsumowała Raisa.

– Nie mogła pani wybrać lepiej. Zapewniam.

Edyta sięgnęła po stojący na stole dzbanek z miętą i napełniła szklanekę. Magda zaś powróciła do wypytywania gospodyni o użyteczne kontakty.

– Przyszłam – oznajmiła Edyta, upiwszy kilka łyków orzeźwiającego napoju – żeby cię uprzedzić, że w mieście... Hm, jak by to ująć? No, nie nazwałabym tego morzem miłości. Weszłam na chwilę do sklepu i... – gwizdnęła. – Ależ tam buzuje! Od oburzenia, zawodu – to Wojtek, który najwidoczniej wciąż wspomina wasze randki – po zazdrość. Licytują się, kto miał w życiu gorzej, rozdzielają pieniądze za kontrakty reklamowe, które rzekomo masz podpisać.

– Słucham?! – roześmiała się Raisa. Chyba po raz pierwszy naprawdę szczerze od początku dnia.

– Martwią się, że zostaniesz twarzą ubezpieczeń na życie.

Przyjaciółki wymieniły rozbawione spojrzenia i zachichotały jak nastolatki.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby tak się stało, pani Hedwig – wtrąciła Magda z miną znawczyni.

Raisa pobłażliwie pokręciła głową.

– Nie zamierzam w niczym występować.

– A co takiego sprawiło, że wokół pani skupiły się takie emocje mieszkańców?

– Jak to: co? Nic. Ludzka natura, droga pani – wycodziła przez zęby Edyta.

Ta kobieta zaczyna mnie irytować, pomyślała z niechęcią.

Magda zapisała coś w wirtualnym notatniku. Przyjaciółka Raisy zauważyła uśmiech, który zamajaczył na pełnych wargach dziennikarki, w których, jak sądziła, skumulowała się imponująca ilość kwasu hialuronowego. Mogłaby przysiąc, że gwiazda mediów nie dała wiary jej tłumaczeniu. Czy dziennikarze naprawdę muszą być tak wścibscy?, pomyślała poruszona trudnym do zdefiniowania niepokojem.

Rozdział 4

Raisę ucieszyła myśl, że Magda Sajewicz wraz ze swoim operatorem zaraz wyjdą na miasto, aby, jak to określiła dziennikarka, „zdobywać inne punkty widzenia do materiału o pani”. Podała im telefony do dzieci oraz adres Bernarda, choć wątpiła, że brat będzie zadowolony z wizyty. Magda była jednak nieugięta, a Raisa marzyła o odrobinie spokoju. O ukryciu się, choć na chwilę, przed baczny spojrzeniem reporterki, która, choć miła, zdawała się czyhać na każdy interesujący smaczek, który będzie mogła obejrzeć z kilku stron, obrócić, wyżyć jak pranie i zastosować w relacji.

W towarzystwie Edyty Raisa czuła się znacznie pewniej, ale ta, wypiwszy miętę, odjechała do siebie, tłumacząc, że nie chce przeszkadzać. Nie powstrzymała się przy tym od nieśmiertelnej uwagi o nieznośnym skwarze panującym w domu przyjaciółki, z powodu kilkudniowego upału, który potrafił sforsować nawet ponadstuletnie mury. Istotnie, dziennikarze także odczuwali brak klimatyzacji – pocili się straszliwie i bez przerwy pili wodę. Ale żadne z nich nie narzekało ani tym bardziej nie zamierzało skracać wizyty. Magda Sajewicz od czasu do czasu spoglądała tylko z niepokojem na swoją białą sukienkę, aby sprawdzić, czy nie została naznaczona nieestetycznymi mokrymi plamami.

Raisa właśnie odprowadzała ich do drzwi, zamierzając zaraz potem zamknąć je na cztery spusty i uczynić z domu niemożliwą do sforsowania twierdzą. Niemal czuła na sobie ciekawskie spojrzenia prześwietające ściany starej willi i wyobrażała sobie czujnie nastawione uszy, niczym najczulsze radary. Kiedy Edyta uświadomiła jej, że wysłano drona nad ogród, Raisa odczuła to tak, jakby okradano ją z prywatności. Oto chciano wykraść nie rzeczy materialne, a informacje. Informacje o jej życiu, które przez siedemdziesiąt lat jakoś nikogo zanadto nie interesowało.

Właśnie uchylała drzwi, kiedy odezwał się telefon. Melodyjka sprawiła, że Raisa podskoczyła nerwowo. Pomyśleć, że zawsze wydawała mi się zbyt cicha!, pomyślała i zerknęła na Adama.

Ten od razu wiedział, co zrobić.

– Tak, słucham? – Sięgnął po komórkę i odebrał.

– Dzień dobry. Czy dodzwoniłem się do pani Raisy Hedwig?

– Tak. A w jakiej sprawie?

– Z tej strony Rafał Walczak. Telefonuję z Kancelarii Prezydenta. Czy mogę rozmawiać z panią Hedwig?

Adam zasłonił dłonią mikrofon i wyszeptał przejętym głosem:

– Pani Raiso, to od prezydenta.

– A nie mówiłam! – Magda aż przysiadła na ozdobnym taborecie obok szafki.

Pewnie tutaj gospodyni wkłada buty, stwierdziła w duchu.

Źrenice Raisy rozszerzyły się, dłonie zaczęły drżeć. Tym razem nie miała żadnych wątpliwości – wszystkie flakony świata byłyby w jej rękach zagrożone.

– Ale jak to? Po co? – wymamrotała spłoszona, patrząc na komórkę. – Halo? – powiedziała do mikrofonu.

– Dzień dobry, pani Raiso. Z tej strony Rafał Walczak. Dzwonię z polecenia prezydenta. Pan Jacek Nowaczyk chciałby w imieniu wszystkich Polaków pogratulować pani tytułu. Zdajemy sobie sprawę, że uczestniczyła pani w wielu traumatycznych zdarzeniach, i ubolewamy z tego powodu, ale czas pokazał, że było warto. Oficjalne zaproszenie wraz z listem gratulacyjnym dostarczone będzie pani jeszcze dzisiaj po południu, a teraz chciałbym osobiście panią zaprosić do pałacu prezydenckiego na uroczyste śniadanie. Odbędzie się ono pojutrze o dziesiątej. Pan prezydent chciałby panią poznać. Czy znalazłaby pani czas?

– Dziękuję, bardzo to miłe ze strony prezydenta – odparła cicho Raisa.

Szukała wzrokiem pomocy to u Magdy, to u Adama.

– Mam rozumieć, że zaszczyci nas pani swoją obecnością?

– Prezydentowi podobno się nie odmawia – powiedziała Raisa, pojawiając się, że się nie wywinie.

– Wspaniale! Wyślemy po panią samochód. Kierowca będzie u pani o wpół do piątej rano. Błady świt, ale co zrobić. Do Warszawy jest kawałek.

– To niezwykle uprzejme, bardzo dziękuję. Mieszkam...

– Pani Raiso, znamy pani adres. Do zobaczenia. I raz jeszcze bardzo dziękujemy za to wyróżnienie! Jesteśmy z pani dumni!

Raisa odłożyła komórkę na szafkę i stwierdziła, że roztropniej zrobiłaby, gdyby przestała odbierać telefony. Z jednej strony, owszem, czuła się doceniona. Nie co dzień człowiek ma okazję, by spotkać się z prezydentem, i to na jego zaproszenie. Z drugiej jednak czuła zawód, bo miała nadzieję, że jutro rano wszystko się uspokoi, a ona będzie mogła wrócić do codziennej rutyny i zapomnieć o całym zamieszaniu. Do tego wszystkiego załała ją fala niepewności. Myśli kłębiły się natarczywie w jej głowie i przepychały jedna przed drugą. Jak powinnam zachowywać się na takim spotkaniu? Czy będę potrafiła odnaleźć się w protokole? Czy nie pomyłę sztuców przy posiłku? Czy nie powiem czegoś niestosownego? I wreszcie: czy znajdę w szafie cokolwiek odpowiedniego na tę okazję?

– Wszystko w porządku? – Magdę zaniepokoiła nagle bledość na obliczu gospodyni.

Bardzo nie chciałabym, żeby mi tutaj z wrażenia padła trupem, pomyślała. Wpisywałoby się to wprawdzie w ogólny obraz jej życia, ale nie robi się takich

rzeczy. Nie w takim momencie. Nie Magdzie Sajewicz.

– Szczerze mówiąc, nie bardzo. – Raisa uśmiechnęła się nieprzekonująco. – Zaproszono mnie na śniadanie do pałacu. Pojutrze. A ja wcale nie mam ochoty tam jechać.

– Pani Raiso, co pani wygaduje? To wyróżnienie! Proszę się cieszyć. Może nawet włączymy pani przygotowania do naszego materiału...

– Chce pani zrobić relację z panicznego przeglądania przestarzałej modowo zawartości mojej szafy?

Ale Magda miała już przed oczami wizję całości.

– Proszę mi wierzyć, widzowie byliby wniebowzięci! – zapewniała rozanielona. Dostrzegła jednak przerażoną minę Raisy, dodała więc czym prędzej: – Pomyślmy o tym. Chodź, Adam. Czas ucieka, a my jeszcze w proszku.

Wyszli z domu wprost w ramiona koczujących na trawniku kolegów po fachu, spragnionych wieści, że być może bohaterka dnia zmieniła decyzję. Magda doskonale zdawała sobie sprawę z ich irytacji i narastającej złości. Na ich miejscu czułaby dokładnie to samo, choć najpewniej nie czekałaby biernie na zmianę nastroju starszej pani. Sami są sobie winni, uznała. Przekazała mało pocieszające wieści i odjechała z Adamem w kierunku centrum miasteczka.

Wyjeżdżali właśnie z jego części położonej przy brzegu jeziora Pile, gdzie park mieszał się z lasem. Tutejsze zabudowania pośród starych sosen powstały podczas drugiej wojny światowej. Na końcu ulicy Parkowej, przy której mieszkała Raisa, znajdował się ogrodzony murem klasztor karmelitanek bosych. Gdyby nie dziennikarze, w okolicy panowałaby kompletna cisza, nie licząc bicia co jakiś czas dzwonu na zakonnej wieży.

W trakcie wojny w uroczych willach mieszkały rodziny oficerów Wehrmachtu. A po niej, do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, oficerowie Armii Radzieckiej z rodzinami. Rosjanie, opuszczając miasteczko, pozostawili za sobą ruinę, dewastując dosłownie wszystko, co się dało.

Borne Sulinowo uzyskało prawa miejskie dopiero w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku i od tamtej pory systematycznie podnosiło się z gruzów. Przez długi czas miejscowości w ogóle nie było na mapie. Lokalizacja w środku lasu gwarantowała pełną konspirację i idealne miejsce do ćwiczeń wojskowych.

Magda z Adamem przejechali obok imponującego niegdyś budynku oficerskiego kasyna, które przez lata niszczało, opustoszałe i zdewastowane po pożarze. Jednak jakieś dwie dekady temu miasto sprzedało go inwestorowi z pieniędzmi, który po generalnym remoncie, pochłaniającym ogromne środki finansowe, urządził w nim gustowny hotel.

– Ładnie tutaj, prawda? – odezwał się Adam, skręcając obok dawnego kasyna w prawo. – Nie dość, że tak zielono, pachnie żywicą i historią, to jeszcze

w dodatku bardzo... Jak by to określić? Logicznie. Umysł odpoczywa wśród tej nienachalnej zabudowy i sensownego układu ulic. Niemcy znają się na architekturze.

– Może i ładnie, ale na krótki urlop, a nie na normalne życie. Umarłabym tutaj z nudów.

– Jak to? Jest las, piękne jezioro. Możesz iść na ryby, grzyby, na rower, na kajak. Marzenie!

Magda się roześmiała.

– Tak! Bo ja często chodzę na grzyby. Że o rybach nie wspomnę. Mówiłam, że to dobre miejsce na urlop. W dodatku dla emeryta – dodała.

– Załóżę się, że twój Robert byłby zachwycony. Mógłby się zaszyć w jakimś miłym miejscu i rzeźbić. Swoją drogą, co u niego słychać?

– Dopieszcza właśnie swoją pierwszą wystawę – odparła Magda. – A co u Oli? – zmieniła temat.

– O, naprawdę? Czyli jednak mu się udało? To wspaniale! A u Oli dobrze, wraca do pracy. Mała skończyła trzy lata i idzie do przedszkola. Olka już nie może się doczekać. Próbowałam ją wcześniej zachęcić, żeby pomyślała o żłobku, ale mimo że tęskniła za wyjściem do ludzi, jakoś nie potrafiła się przełamać. Utrzymywała, że szkoda jej dziecka.

– Nie wyobrażam sobie trzyletniej przerwy w pracy. Twardzielka!

Adam spojrzał rozbawiony.

– Ona też sobie nie wyobrażała i przez całą ciążę zarzekała się, że po roku wraca do pracy. Potem jej się odmieniło. Sama zobaczysz, jak to jest.

Magda obdarzyła go spojrzeniem, po którym nie sposób było nie zdać sobie sprawy, że została przekroczona niewidzialna granica, od której Adam powinien trzymać się z daleka.

– To dokąd mam jechać? – bąknął, zatrzymując się na rozstaju dróg.

– Teraz w lewo, a na końcu ulicy w prawo. – Magda zerknęła na mapę. – Do marketu. Ta Edyta, przyjaciółka Raisy, mówiła, że to właśnie tam gromadzą się miejscowi. Podobno odbył się tam dzisiaj niemały klub dyskusyjny na interesujący nas temat. A potem na Reja, do pana Lechowicza, brata pani Hedwig.

– To ona ma brata? Ile on ma lat?

– Siedemdziesiąt cztery. Miała także siostrę, ale ta już nie żyje.

Magda poczuła delikatną wibrację pod skórą nadgarstka i dotknęła chipa, by sprawdzić, kto dzwoni. Zagryzła wargi, na języku poczuła smak czerwonej szminki. Robert.

Odrzuciła połączenie. Nie miała teraz czasu na rozmowę. Przecież on wie, jak ważny jest dla niej ten materiał. Muszę się teraz skupić, a nie rozpraszać!, postanowiła twardo.

Bernard Lechowicz postawił na stoliku szklankę mrożonej herbaty. Po

schłodzonym szkle spływały krople wody, zraszając lakierowany blat. Mimo że był pedantem, nie zauważył tego, bo marzył wyłącznie o zanurzeniu w napoju rozgrzanych nieznośnym upałem ust. Rano zastanawiał się, czy nie wybrać się na drobne zakupy; lodówka nie oferowała zbyt wiele, skończyła się również kawa, bez której nie potrafił funkcjonować. Jednak gdy tylko wychylił głowę przez okno, zrozumiał, że powinien zamówić dostawę do domu. To już nie wiek na ekstremalne przygody, westchnął w duchu, wyglądając z drugiego piętra na ulicę.

Teraz, upiwszy kilka łyków, odetchnął z ulgą i zabrał się do rozkładania szachów.

Uwielbiał tę grę. Podobało mu się w niej głównie to, że na szachownicy nic nie dzieje się przypadkowo. Wszystko to kwestia strategii i bystrości umysłu gracza. Zasad nauczył go ojciec i już w szkole podstawowej Bernard święcił tryumfy na turniejach. A później przez większość życia żałował, że nie rozwinął swojego talentu. Kto wie, może gdyby miał ku temu okazję, zostałby kolejnym Kasparowem? Tak czy siak, obecnie mógł tylko czerpać przyjemność z kolejnej samotnej partyjki we własnym mieszkaniu, rozgrywanej bez uznania i pieniędzy. Niestety, szachowi koledzy powymierali. Jedyny, który pozostał, Roman, z niedalekiej wsi Krągi, niczego już nie pamiętał, a tym bardziej zasad gry.

Bernard sięgnął po skoczka i przestawił go o dwa pola do przodu i jedno w bok. Wyobraził sobie, że oto rozgrywa finał szachowych mistrzostw świata i śledzące jego pierwszy ruch setki oczu. Czuł napięcie i podekscytowanie.

Słodkie myśli przerwał mu krótki, zdecydowany dzwonek do drzwi. A Bernard z sali wypełnionej fanami szachów powrócił do własnego pokoju ze standardowym umeblowaniem: witryna z książkami, komoda, kredens i kanapa wgnieciona nieco bardziej z jednej strony.

– Kogo diabli niosą? – burknął, odchodząc od stołu.

Zasugerowana drobną figurką Raisy Magda wyobrażała sobie jej brata zupełnie inaczej. Spodziewała się chuderlawego staruszka, a otworzył jej wysoki jak dąb i postawny (bynajmniej nie otyły) mężczyzna z burzą popielatych, gęstych, zaczesanych do tyłu włosów. Z całą pewnością rodzeństwo nie było do siebie podobne. Życzliwy i miły wyraz twarzy starszej pani mocno kontrastował z surowym spojrzeniem i zaciętą miną jej brata.

Przywitała się, przedstawiając cel wizyty.

Chłód w spojrzeniu Bernarda ustąpił miejsca zdumieniu, a potem, jeśli Magda się nie myliła, wściekłości.

– A więc chcą państwo porozmawiać o jej pechu... – powtórzył, pocierając gładko ogoloną brodę. – O tym, jaką jest osobą – dodał twardo. – Jeśli ma to być materiał pochwalny, nie ma pani czego szukać.

Wielka dłoń zacisnęła się na klamce, drzwi przymknęły się nieco.

Magda zrobiła krok naprzód. W takiej chwili na pewno nie dam się spławić!,

pomyślała.

– Niekoniecznie pochwalny. Ma być prawdziwy.

Zwarte jak bramy średniowiecznego zamczyska szczęki starszego pana rozluźniły się nieco.

– Skoro prawdziwy, to zapraszam. – Cofnął się w głąb mieszkania. – Czego się państwo napiją? Mam mrożoną herbatę. W sam raz na ten upał!

Szachy zostały odstawione na komodę obok kanapy. Bernard chwycił dzbanek, w którym miło pobrzękiwały kostki lodu, i napełnił szklanki gości.

Adam rozejrzał się po wnętrzu urządzonego w sposób prosty i niezdradzający zbyt wiele o gospodarzu. Niczego poza tym, że ten bardzo lubi sprzątać. Adam pomyślał, że albo Lechowicz ma gdzieś ukrytą armię najnowocześniejszych robotów czyszczących, albo z jakichś względów oddawał się dbałości o dom, traktując ją jak najrozkoszniejszą czynność na świecie. Wszystko lśniło, błyszczało i pachniało. Na żadnej tkaninie ani powierzchni mebla nie było choćby drobnego pyłku, żadnych plam ani smug. Moja Ola jest czyścioszką, ale brat Raisy bije ją na głowę, stwierdził. Dlatego gdy zobaczył na blacie kilka kropel obok szklanki starszego pana, niemal odetchnął z ulgą.

Gospodarz wyjął z kieszeni spodni chusteczkę higieniczną i przetrął stół. Po kropkach nie było już śladu.

– Co państwa dokładnie interesuje? – zapytał poważnie.

– Wszystko, co ma pan do powiedzenia na temat siostry. Czy możemy nagrać pańską wypowiedź? – zapytała Magda, wskazując kamerę.

Lechowiczowi zadrżały usta.

– O niczym innym nie marzę – odparł, po czym przypomniał sobie swoje fantazje o mistrzostwie świata w szachach przy gromkim aplauzie widowni. – Tak – powtórzył zamyślony. – O niczym innym nie marzę.

– Zamieniamy się w słuch, panie Bernardzie – odparła Magda, dając znak Adamowi, żeby uruchomił sprzęt.

– Wie pani, co najbardziej pamiętam z dzieciństwa?

Wzrok miał nieobecny. Sięgał właśnie pamięcią dziesiątki lat wstecz.

– Co takiego?

– Powtarzające się jak mantra słowa matki: „Gdzie jest Raisa? Uważajcie na Raisę!”.

– To chyba nic dziwnego? O ile wiem, jest najmłodsza z rodzeństwa.

– Najmłodsza... Czy to cokolwiek tłumaczy? Przede wszystkim była złodziejką. Okradła mnie i Laurę, naszą świętej pamięci siostrę, dosłownie ze wszystkiego – oświadczył z naciskiem Lechowicz. – Nigdy jej tego nie zapomnę.

Magda spojrzała na Adama, żeby upewnić się, czy nakręcił to wyznanie. Poczuła szybszy rytm krwi w żyłach.

– Czy mógłby nam pan wyjaśnić, co ma na myśli? – zapytała ostrożnie.

Nadia ułożyła się wygodniej na plażowym leżaku. Bezskutecznie próbowała skupić się na lekturze. Zamierzała skorzystać z rady Łukasza i zadzwonić do matki, ale nieco później. Tyle że trawiła ją niecierpliwość. W tym momencie przeczytanie nawet elementarza pierwszoklasisty przekraczałoby jej możliwości. To nie ma sensu, uznała, zamykając z impetem książkę.

Niedaleko Bartek grał w piłkę z jakimś nowo poznanym chłopcem, a Hania właśnie porzuciła audiobooka i poszła z ojcem się kąpać.

Nadia dotknęła chipa i wyświetliła przeglądarkę internetową, żeby raz jeszcze przejrzeć wiadomości o matce. Długo wahała się, czy wszczepić sobie tę małą płytkę pod skórę, ale ostatecznie przemówiły względy praktyczne. Choć nie przestała obawiać się przykrych konsekwencji, o których ostatnio rozpisywano się w mediach.

Zdumiona mina matki na zdjęciu z dawnych lat wciąż tkwiła na pierwszej stronie portalu, który Nadia miała ustawiony jako startowy.

Westchnęła ciężko, przewinęła stronę i ku swojemu zdziwieniu zauważyła zdjęcie pani Niemirskiej zrobione pod domem matki. Wytłuszczony tytuł głosił: „Przyjaźń z Raisą to masochizm!”.

Nadię zamurowało. Matka przyjaźniła się z panią Edytą praktycznie od zawsze, a ona zazdrościła im obu tej relacji. Sama nie miała bliskiej przyjaciółki, a już na pewno nie tak oddanej jak one. Tytuł jednak oburzał. Jeśli jest prawdziwy, przestanę wierzyć w przyjaźń!, stwierdziła Nadia. Poderwała się z leżaka i skierowała do hotelu, żeby porozmawiać z matką w ciszy i spokoju.

Raisa leżała w sypialni na łóżku i w żadnym wypadku nie zamierzała wstawać. Gdy dzwonek telefonu odezwał się ponownie, obróciła się na drugi bok i nakryła głowę poduszką. Nie chciała z nikim rozmawiać, ale dziennikarze najwyraźniej nie dawali za wygraną. Raisa była zła, że traktują trawnik przed jej domem jak własny.

Kiedy była już pewna, że dzwoniący stracił zapał, postanowiła się zdrzemnąć. Lecz w chwili gdy jej ciało rozluźniło się, a ona sama zaczęła przysypiać, komórka odezwała się ponownie. Może to od prezydenta?, zaświtało w głowie Raisy. Może kancelaria poszła po rozum do głowy i szczęśliwie postanowiła odwołać zaproszenie?

Wyłącznie ta nadzieja sprawiła, że opuściła bezpieczne schronienie własnej sypialni i nie zważając na ból kolan, zeszła po schodach.

– Mamo, nareszcie! Bo już myślałam, że pochłonęła cię ta medialna wrzawa – usłyszała po drugiej stronie zniecierpliwiony głos córki.

– Ach, czyli i do ciebie dotarła już ta radosna nowina... – odparła z przekąsem Raisa. – Miałam zadzwonić, ale tyle się działo. Właśnie chciałam się zdrzemnąć.

Nadia zastanawiała się, od czego zacząć rozmowę: czy od wyrzutów za

wydarzenie w wesołym miasteczku, od pochwały, którą sugerował Łukasz, czy może od wypowiedzi pani Niemirskiej. Uznała, że najpilniejsze jest wyjaśnienie tej ostatniej kwestii.

– Czytałaś już może, co powiedziała pani Edyta? – zapytała. – Szczerze mówiąc, jestem poruszona.

Raisa wysłuchiwała relacji.

Z tego wszystkiego zapomniała wspomnieć o planowanej wizycie w pałacu prezydenckim i poradzić się Nadii w kwestii ubioru. Odłożyła telefon i nieśpiesznie skierowała się do kuchni. Zazwyczaj moja córka wyolbrzymia, stwierdziła w duchu. Lepiej spokojnie pójść sprawdzić, jak się sprawy mają w istocie.

Usiadła przy stole i uruchomiła komputer.

Tytuł rzeczywiście był mocny. Lecz zdecydowanie był także ogólnikowy, a Edyta sama przyznała, że mówiła ogólnikami. Ale żeby takimi?, zaniepokojona Raisa podrapała się po policzku. Wiedziała, co potrafią dziennikarze, ale coś w jej środku drgnęło z niepokoju.

Prawdopodobnie były to wyrzuty sumienia.

1981–1990

– Ma pani córkę! – oświadczył lekarz, pokazując matce noworodka. – Z pewnością ma zdrowe płuca – dodał, kiedy dziewczynka po raz kolejny rozdarła się na całe gardło, marszcząc przy tym zabawnie buźkę.

Maria Lechowicz wyciągnęła rękę.

– Jaka jesteś śliczna! – wyszeptła do leżącego na jej piersi maleństwa, które natychmiast przestało płakać. Wyciągnęło rączkę i paluszkami dotknęło matczynej skóry. – Witaj na świecie, Raiso!

Trzynastego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, o znaczącej godzinie trzynastej trzynaście, w Drawsku Pomorskim przyszła na świat Raisa Lechowicz. I to właśnie godzinę jej przyjścia na świat obwiniano później o wszystko. Mawiano, że gdyby mała pośpieszyła się lub spóźniła, choćby o minutę, być może sprawy wyglądałyby inaczej.

Raisa była najmłodszym dzieckiem Bogdana i Marii Lechowiczów. Powitanym tyle z radością, ile ze zdziwieniem, że w ogóle ma się pojawić na świecie. Rodzice w środku nocy jechali do szpitala starą syrenką, która zepsuła się w drodze, więc znaczną część trasy pani Maria pokonała pieszo. Lecz żadnych więcej trudności tego dnia nie odnotowano. Poród przebiegł stosunkowo szybko i bardzo sprawnie. Prawdopodobnie dlatego, że było to już trzecie dziecko, a być może także z powodu dość grubej koperty zapobiegliwie przekazanej w stosownym czasie ordynatorowi oddziału ginekologiczno-położniczego. W działaniu szpitalnych procedur bez takiego załącznika państwo Lechowiczowie ostatecznie

przestali wierzyć tuż po narodzinach Laury, kiedy to pani Maria rodziła przez dwie doby, prawie zupełnie zapomniana przez personel. Na końcu wyciśnięto z niej niemowlę, w wyniku czego wszystko, co mogło popękać, popękało.

Można zatem powiedzieć, że Raisa miała ułatwione przyjście na świat. Lecz od tego dnia jej rodzicom nie starczyłoby kopert, gdyby chcieli przekupić los.

Była uroczym niemowlakiem, który spał jak zaklęty i nie płakał zbyt wiele. W odróżnieniu od swojego rodzeństwa, nie doprowadzała rodziców na skraj desperacji z braku snu, bezsilności i przemęczenia. Wszystko początkowo szło jak z płatka, jednak wraz z upływem lat pani Maria nawet nie zauważyła, że słowami, które najczęściej wypowiada, są pełne niepokoju: „Gdzie jest Raisa? Uważajcie na Raisę!”. Nieustannie napominała Bernarda i Laurę, wyglądała z okna na podwórko przed blokiem, gdzie zwykle bawiły się dzieciaki. Choć okolica była raczej bezpieczna, to jednak miały głowy pełne szalonych pomysłów, co przy odrobinie nieuwagi mogło wywołać nie lada problemy. A pani Maria i tak miała ich już sporo ze śliczną jak aniołek dziewczynką. Kręcone, jasne jak len włosy i błękitne oczy sprawiały, że Raisa wyglądała, jakby spadła z puszystej białej chmurki. Dopiero nieodłączne siniaki, zranienia i otarcia mąciły ten sielski obrazek. Gdyby na osiedlu nie znano Lechowiczów, sąsiedzi zapewne poważnie niepokoiłoby się o dziecko.

Kiedy czteroletnia Raisa poparzyła sobie rękę herbatą, pani Maria obwinięła o ten wypadek wyłącznie siebie. Ostatecznie to przecież ona postawiła szklankę zbyt blisko krawędzi stołu. Na szczęście szybka interwencja uchroniła małą od blizn. Trudno jednak, żeby nieustannie winiła siebie za wszystko, co do szóstego roku życia przydarzyło się jej córce: za spadnięcie na nią sporej gałęzi podczas rodzinnego spaceru po parku (lekarz na pogotowiu nie mógł się nadziwić, że mała nie odniosła żadnych obrażeń), za pogryzienie jej przez potulnego jak baranek psa przyjaciół rodziny, którzy od tamtego momentu z respektem spoglądali na swoje zwierzę, za złamanie ręki podczas gry w gumę (Raisa zaplątała się w nią tak niefortunnie, że straciła równowagę i upadła), za połknięcie w przedszkolu drobnej kostki, która znalazła się w zupie i dotkliwie poraniła jej gardło, praktycznie uniemożliwiając jedzenie na ponad trzy tygodnie.

Przy tym wszystkim państwo Lechowiczowie nie liczyli już zwykłych siniaków, ran i skaleczeń. Wszystko, co obywało się bez pilnej wizyty na pogotowiu, zaczęli traktować jak niebyłe.

Potem nastąpiły trzy lata względnego spokoju, podczas których Raisa jedynie chorowała za każdym razem, kiedy w klasie miała się odbyć jakaś zabawa, wycieczka czy inne wyczekiwane wydarzenie, co wykluczało ją tym samym z uczestnictwa. Pani Marii nie dziwiło to jednak. Ocierała czule łzy zawiedzionemu dziecku, bo sama była osobą słabego zdrowia i całkiem podobnie wyglądało jej dzieciństwo. Bernard i Laura na szczęście nie odziedziczyli tej skłonności po matce, najwidoczniej jednak ktoś musiał. Próbując zbić kolejną gorączkę, pani

Maria myślała, że z dwojga złego i tak woli te wszystkie anginy, przeziębienia i zapalenia oskrzeli niż to, co działo się z Raisą wcześniej.

Aż nadszedł sierpień tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. W całym kraju tętniło od zachodzących zmian, zapisywano nowe, wyjątkowe karty historii, ale dzieci nie były specjalnie zainteresowane przemianą ustrojową. Żyły wakacjami i swoimi sprawami, które wydawały im się nader ważne.

Raisa wybiegła pewnego dnia z domu, trzymając w dłoni dwie pajdy chleba z wodą i cukrem. Czekala już na nią Marta, ruda dziewczynka, z którą pierwszego dnia szkoły usiadły razem w ławce i tak już zostało. Państwo Lechowiczowie cieszyli się z tej znajomości, bo Marta była rezolutnym, spokojnym i rozsądnym jak na ośmiolatkę dzieckiem. Po cichu liczyli, że być może taki kompan do zabaw ustrzeże ich córkę przed kolejnymi kłopotami.

– To co robimy? – zapytała Raisa, podając koleżance kromkę.

– Dzięki! – uśmiechnęła się Marta, wgrzając się białymi zębami w słodkie pieczywo. – Może będziemy robić widoczki? – zaproponowała z pełną buzią.

Raisa zawahała się.

– Czy nie jesteśmy już na to za duże?

– Nie sądzę. Poza tym przecież to lubisz. Pod twoim szkiełkiem zawsze są najładniejsze obrazki.

– O ile udaje się je znaleźć – roześmiała się Raisa.

W końcu ruszyły w dół ulicą z zamiarem pójścia nad jezioro. Rozmawiały poważnym tonem, który wydawał się im właściwy osobom dorosłym, rozprawiając o ważnych sprawach. Akurat mijały lodziarnię, kiedy Raisa nachyliła się ku Marcie i podekscytowana wyjawiała jej sekret, że Laura chyba ma chłopaka.

Przyjaciółka nie wyglądała na poruszoną.

– Twoja siostra ma w końcu jedenaście lat. Co się dziwisz? – zapytała. – A kto to jest?

– To właśnie najlepsze! To Grzegorz, z jej klasy. Pamiętam, jak jeszcze niedawno ciągle na niego narzekała.

– Kto się lubi, ten się czubi – oświadczyła Marta z miną osoby biegłej w sprawach damsko-męskich.

– Myślisz, że oni się całują? – wypaliła zaaferowana Raisa.

– Kto wie? Może w policzek.

– Obrzydliwe! – Raisa straciła ochotę na resztę chleba.

Marta chętnie dokończyła go za nią, po czym oblizwała palce.

Weszły na piaszczystą drogę biegnącą w kierunku miejskiej plaży. Po chwili dotarł do nich duszny zapach wilgoci znad jeziora.

– A tobie ktoś się podoba? – zapytała Marta, kopiąc szyszkę.

– Coś ty! Chłopaki tylko się wydurniają. No, sama powiedz, taki Przemek z naszej klasy. Albo Sebastian.

– Przemek faktycznie łobuzuje, ale ma ładną buzię.
– Nie wiem, nie przypatruję się. – Raisa przystanęła. – Nie mów? Zabujałaś się w Przemku?!

– Nie... – odparła niepewnie Marta i zaczęła skubać końcówkę warkocza. – Nie w nim.

– A w kim? – Zaskoczony Raisie aż zaparło dech w piersi.
Szeszona Marta schowała dłonie w kieszenie żółtej sukienki.

– Nie powiem ci, bo będziesz się śmiać.
– Nie powiesz swojej najlepszej koleżance?

Marta zastanowiła się przez chwilę, po czym wzięła Raisę pod rękę.

– No dobra... Kojarzysz Rafała Wrońskiego? Tego z drugiej B?
– Tego wysokiego z jasnymi włosami? W zimie nosił głupią pomarańczową kurtkę.

– Wcale nie jest głupia. Jest w porządku.

– Byłaby, gdyby miała inny kolor – odparła nieprzekonana Raisa, skręcając w kierunku placu zabaw. – Naprawdę ci się podoba? Zadziera nosa!

– Jest piękny! Gdybym taka była, pewnie też bym zadzierała.

Raisa szturchnęła Martę w bok.

– Chyba nie chciałabyś wyglądać jak Rafał Wroński? – zachichotała.

– Jaka ty jesteś dziecinna! Nie można z tobą poważnie porozmawiać!

– Która pierwsza na huśtawki? – wypaliła Raisa, rzucając się w te pędy między drzewami ku niedalekiemu placowi zabaw. Była szybsza, więc gdy dobiegła do pierwszych drabinek, zatrzymała się, by sprawdzić, jak daleko jest Marta. Zauważyła, że koleżanka wcale nie biegnie, a tylko powłóczy leniwie nogami. – Ej, co jest? Jak mamy się ścigać, skoro nie biegniesz? – zapytała.

Marta tylko popukała się w głowę. Podeszła do drabinki, z której zwisała Raisa, odrzuciła na plecy rudy warkocz.

– Jak wyglądam? – zapytała poważnie.

– Jak to: jak? Jak zawsze!

– Wariatko, nie widziałaś, kto jest na huśtawce?

Raisa zrobiła fikołka, po czym puściła drążek i wylądowała na ziemi. Odwróciła się, żeby sprawdzić, ale Marta syknęła, chwytając ją za rękę:

– Nie odwracaj się! To Rafał! Jeszcze się zorientuje, że o nim mówimy!

– I co z tego?

Marta uśmiechnęła się szelmowsko.

– Może obmyślimy plan, jak do niego zagadać?

– Może po prostu? „Cześć, Rafał, bardzo mi się podobasz. Nigdy nie sądziłam, że męża poznam na huśtawce”.

– Durna! A coś lepszego?

Raisa wyszczerzyła się i klepnęła Martę w ramię.

– Berek! Goń mnie! – rzuciła i już jej nie było.

Początkowo lawirowała między drabinkowym labiryntem i karuzelą, a potem skierowała się prosto w stronę huśtawek, gdzie Rafał bujał się już tak wysoko, że widać było jedynie podeszwy jego tenisówek i dyndające sznurówki. Podbiegła od tyłu, starając się utrzymać bezpieczną odległość. Lecz dokładnie w momencie, kiedy przebiegała za chłopcem, krzeselko huśtawki znalazło się na dole i wznosząc się ponownie, uderzyło Raisę prosto w żuchwę. Siła odrzutu była tak duża, że dziewczynka zdążyła tylko odnotować, iż unosi się wysoko, a potem leci w powietrzu.

Tępy ból kości rozlał się po całej głowie, gdy upadła odrzucona trzy metry dalej na trawnik. Usłyszała jeszcze pisk Marty i zobaczyła jej przerażone oczy.

– O Boże, Raisa, nic ci nie jest?!

A potem pociemniało jej w oczach. Nie zdążyła się przyjrzeć twarzy Rafała, który również wpatrywał się w nią śmiertelnie przestraszony.

Państwo Lechowiczowie, siedząc w szpitalu przy łóżku córki w szynie na złamanej kości żuchwy, zrozumieli, że ani żadna rozsądna koleżanka, ani ich baczenie nie uchronią Raisy przed nią samą. Patrzyli po sobie z tym samym wyrazem bezsilności w oczach.

– Gdyby urodziła się choć minutę wcześniej... – westchnęła pani Maria, gładząc córkę po dłoni.

– Albo minutę później – dodał zafrasowany pan Bogdan.

Kiedy Raisa wróciła ze szpitala do domu, rodzice wzięli Bernarda i Laurę do pokoju na rozmowę i poprosili ich, by teraz traktowali siostrę wyjątkowo. Rodzeństwo wymieniło znaczące spojrzenia. Odkąd najmłodsze dziecko w rodzinie skończyło trzy lata i zamieniło się w chodzący kataklizm, nic innego przecież nie robili.

– Gdybyśmy nagle znikli, rodzice pewnie by tego nie zauważyli – szepnął Bernard na ucho Laurze, kiedy wyszli na rower.

– Nie mów tak. To nie ich wina, że Raisa ciągle coś sobie robi – napomniała go.

– Gdyby urodziła się pierwsza, ciekawe, czy zdecydowałiby się na nas? – zauważył Bernard, zjeżdżając z krawężnika na ulicę.

Z tym akurat Laura mogła się zgodzić.

– Czy uważasz, że mniej nas kochają?

Bernard poprawił jasną falę gęstych włosów nad wysokim czołem.

– Czasem tak mi się wydaje.

Rozdział 5

Robert wyszedł z pracowni z zamiarem zaparzenia sobie kawy.

Potrzebował przerwy. Dopinał właśnie sprawy związane z cateringiem, który zamówił na swój pierwszy wernisaż. Nie mógł już się doczekać. We wszystkie rzeźby włożył wiele wysiłku. Ekspozycja nosiła tytuł „Koło życia” i przedstawiała człowieka na różnych jego etapach. Robert miał nadzieję, że jego prace spotkają się z dobrym odbiorem. Magda twierdziła, że są wymowne, choć nie widziała całości cyklu. Niemniej jednak jej mąż był zadowolony z tej opinii, bo taki właśnie cel mu przyświecał, gdy spędzał setki godzin z dłońmi umazanymi gliną. Liczył, że goście wystawy będą odbierać jego twórczość podobnie.

Był zdumiony, kiedy Magda zaproponowała mu, żeby sprzedał wspólnikowi udziały w firmie doradczej i zajął się na poważnie swoją pasją. Wydawało mu się, że ona należy do typu kobiet, które pragną mieć u boku męża z poważnym zajęciem. Jednak gdy wyraził wątpliwość, dotknęła czule jego szorstkiego policzka.

– Wiem, jak to kochasz – powiedziała. – Chcę, żebyś był szczęśliwy.

Postanowił, że to przemyśli. Mieli oszczędności, do nich doszłyby środki ze sprzedaży firmy. A praca jego żony od dawna przynosiła spore pieniądze. Zwłaszcza odkąd Magda dostała własny program. Robert uznał, że spróbuje. Jeśli nic z rzeźbienia nie wyjdzie, powróci do garnituru i arkuszy kalkulacyjnych, które, prawdę mówiąc, z roku na rok frustrowały go coraz bardziej.

Z zapałem rzucił się do realizacji planu. Stworzył pracownię w pomieszczeniu gospodarczym przylegającym do garażu. Wnętrze miało odpowiednio duże okna, co zapewniało potrzebne światło dzienne. Każdego ranka, kiedy wstawał z łóżka i po śniadaniu nie musiał wbijać się w marynarkę, Robert w luźnej koszuli wychodził do przydomowej pracowni, dziękując w duchu za tak cudowną żonę. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie ona, nigdy nie zdecydowałby się na taki krok. Zresztą bez środków z jej pensji nie byłoby to możliwe.

Robert nie był człowiekiem odważnym, spontanicznym czy działającym brawurowo. Był ostrożny, więc zanim przystąpił do działania, każdą sprawę starał się rozważyć gruntownie. Prawdopodobnie krępowała go wewnętrzna obawa przed porażką. W swoim życiu zaledwie raz zachował się w sposób przeczący tym cechom.

Było to dwanaście lat temu, pewnego wrześniowego wieczoru w barze tlenowym. Ludzie, zamiast na drinka, zjawiali się tam, by pooddychać świeżym powietrzem. Na niektórych podobno działało to lepiej niż alkohol. Z pewnością było też zdrowsze. Robert zapewne nigdy by tam nie wstąpił, gdyby nie jego

zwariowany na punkcie ekologii i zdrowego stylu życia współnik, z którym rozkręcił firmę. Tobiasz miał ścisły umysł, ale duszę społecznika. W wolnych chwilach uczestniczył w demonstracjach ekologów, głęboko wierząc, że matce Ziemi można jeszcze pomóc.

Robert długo opierał się wypadowi do lokalu, gdzie gościom, zamiast drinka, aplikowany jest tlen, aż Tobiasz niemal siłą wepchnął go do środka i usadził na fotelu. Chciał zaprotestować, ale w tej samej chwili na miejscu obok usiadła wysoka brunetka o pięknych i regularnych rysach twarzy. Robert nie mógł oderwać od niej oczu, choć bardzo się starał, by nie zorientowała się, że na nią patrzy. Wyglądała na zamyśloną, niezmiernie czymś pochłoniętą, a on uważał, że bardzo jej z tym do twarzy. Gdy pojawiła się pani z obsługi, dziewczyna zamówiła tlen o zapachu lawendy. W Robercie zadudniła panika, bo dotarło do niego, że ma zaledwie pół godziny, by ją zagadnąć (tyle bowiem trwała jedna sesja), a on nigdy nie czuł się w tym najlepszy. W myślach gorączkowo przerzucał zdania, którymi dobrze byłoby zacząć rozmowę, a jednocześnie zachowawcza część jego osobowości podpowiadała mu, żeby dał sobie spokój. Tym razem nie chciał jej ulec. Odezwało się w nim przejmujące poczucie, że jeśli nie zagadnie nieznajomej, straci coś bezpowrotnie.

– Czy lawenda to twój ulubiony zapach? – wykrztusił z siebie na wdechu, czując, że zadaje właśnie najważniejsze w życiu pytanie.

Chwila, zanim dziewczyna odwróciła się w jego kierunku, zdawała się trwać bez końca. Kosmyk jej czarnych włosów opadł leniwie na kremowe oparcie fotela, zanim podniosła oczy.

– Ulubiony, jeśli chcę się zrelaksować – odparła. – A ty jaki wybrałeś?

Robert nie miał pojęcia, czy tlen, który wdychał, pachniał czymkolwiek. Nie był nawet pewien, czy w ogóle oddychał. Podniósł dłoń, przywołując obsługę.

– Właśnie zamierzałem poprosić o lawendę. – Uśmiechnął się do uroczej nieznajomej, która wyciągnęła do niego smukłą dłoń, mówiąc, że ma na imię Magda.

Do baru tlenowego nie poszedł już nigdy więcej, ale pokochał i tę kobietę, i kojący zapach lawendy.

Lata spędzone przy jej boku były najlepszym czasem w jego życiu. Magda sprawiła, że pozbył się swojego sztywnego pancerza i nauczył się marzyć. Widział, z jakim zapałem ona realizuje swoje plany, jak sięga po więcej, kroczy śmielej i dalej. Jak początki w internetowej stacji telewizyjnej bardzo szybko przerodziły się w karierę z prawdziwego zdarzenia. Obserwował, jak rozkwita i z dnia na dzień zdaje się być jeszcze piękniejsza, pełna nowych pomysłów i energii do ich realizacji.

Ubóstwiał ją już nie tylko on, ale i rzesze widzów.

Niemal rok temu przy kolacji Robert ośmielił się zadać żonie pytanie.

I zapamiętał jej orzechowe oczy, gdy na niego spojrziała. Zazwyczaj lśniące, spochmurniały. Pojawiło się w nich coś obcego. Spłoszył się i postanowił nie drażnić. Ale dostrzegł, że niedługo potem Magda zaczęła przygasać. Zaczęła mniej mówić. Oddalała się od niego coraz bardziej, by w końcu coraz częściej odrzucać połączenia, gdy dzwonił.

Robert wszedł do kuchni, w której było idealnie czys-to dzięki wczorajszej wizycie sprzątaczkki. Nastawił ekspres i po chwili popijał kawę z niewielkiej filiżanki. Dotknął nadgarstka, wyświetlając stronę telewizji informacyjnej, w której pracowała Magda, i włączył film z porannej relacji.

Zobaczył znajomy błysk w oku żony i ten zniewalający uśmiech. Ostatnio, jeśli chce go widzieć, muszę oglądać jej materiały, stwierdził ponuro. Wiedział, że powinni porozmawiać, ale coś go powstrzymywało przed tym krokiem. Może wspomnienie tamtego spojrzenia sprzed roku? Robert znów był człowiekiem, który nie potrafi pójść do przodu, dopóki ktoś go nie popchnie.

Nie chciał stracić Magdy.

Znał jej przeszłość i wiedział, że pod twardą z pozoru skorupą skrywa się miękkie i tkliwe wnętrze. Myślał jednak, że jego żona uporała się już z demonami przeszłości, że lata temu zdecydowała się rozpocząć kolejny rozdział w życiu. Razem z nim. Lecz widocznie się pomylił. A wtedy, przy kolacji, zadał niewłaściwe pytanie.

Byłoby kuriozalnie, gdyby jedno pytanie rozpoczęło, a drugie zakończyło nasz związek, pomyślał, upijając kolejny łyk kawy.

– To właśnie uwielbiam w tym zawodzie! Rzadko cokolwiek wygląda naprawdę tak, jak się z początku wydaje – oświadczyła Magda, podchodząc do samochodu.

Po chodniku miarowo zastukały obcasy szpilek.

– Szkoda, że siostra Raisy nie żyje. Dobrze byłoby usłyszeć także jej głos w tej sprawie. Pan Lechowicz wydał mi się, hm, zgorzkniały – zauważył Adam, otwierając wóz.

– Siedzi w domu sam. Tylko on, szachy i wspomnienia. Co się dziwić? – Magda usadowiła się w fotelu.

Sprawdziła połączenia i z ulgą odnotowała, że dzwonili tylko wydawca i dentysta. I z jednym, i z drugim było jej o wiele łatwiej rozmawiać niż z mężem.

Adam ruszył spod trzypiętrowego bloku zwieńczonego czerwoną dachówką.

– W tym sklepie też jej nie oszczędzali – zauważył. – Nie sądzisz, że to zwykła zazdrość?

– Nawet jeśli, to widz z pewnością to dostrzeże i wyrobi sobie zdanie. Mamy być obiektywni.

– No właśnie. Nie wiem, czy materiał nie jest za mocny...

Magda spojrziała zaskoczona. Zachowuje się tak, jakby zaczął pracować

w tym biznesie wczoraj, pomyślała i połączyła się z wydawcą.

Stefan Mrozowicki nie lubił czekać. Już po tonie jego głosu zorientowała się, że ma dla niej coś, co powinno ją zainteresować.

– Dzwoniłem, bo mieliśmy ciekawy telefon do redakcji – oświadczył. – Od niejakiego Marka Szewczyka, pierwszego męża Raisy Hedwig.

Magda zacisnęła usta, zła, że sama o nim nie pomyślała. Miała nadzieję, że szef jej tego nie wypomni.

– I czego chciał? – zapytała.

– Jak to: czego? – roześmiał się Mrozowicki i postukał długopisem w szklany blat biurka. – Po co ludzie się z nami kontaktują? Albo chcą być sławni, albo komuś zaszkodzić. Czasem jedno łączy się z drugim.

– Myślisz, że to któryś z tych przypadków?

– Powiedział, że skoro robimy materiał o Raisie, na pewno będziemy zainteresowani tym, co on ma do powiedzenia.

– Czyżby aż tak załazła mu za skórę? Może lepiej, żebyśmy nie byli platformą dla kłótni byłych małżonków?

– Dowiedz się. Prześlę ci jego numer. Powiedział, że chce rozmawiać wyłącznie z tobą.

Niezadowolona Magda przyjęła polecenie i rozłączyła się. Czas mijał nieubłaganie, a materiał trzeba jeszcze zmontować. Dlatego w drodze powrotnej do Raisy, nie chcąc tracić czasu i narażać się na niezadowolenie bohaterki zamieszania, zadzwoniła do Szewczyka. Odebrał natychmiast.

Marek Szewczyk zajął miejsce w przytulnej kawiarni, w której podawano wymienite lody. Choć często tu na nie przychodził, dzisiaj pojawił się głównie po to, aby posiedzieć i pomyśleć w spokoju. Lucyna, jego życiowa partnerka, nie zносиła jego byłej żony. Podejrzewał, że dlatego, że po tym doświadczeniu już nigdy nie pokusił się o zawarcie związku małżeńskiego, na co bardzo liczyła. Nie tolerowała Raisy, choć nigdy jej nie poznała, bo tamta dostała coś, czego jej odmawiano. Była na nią wściekła, że tak zraziła Marka do instytucji małżeństwa. Dzisiaj od rana, kiedy zorientowała się, że media szaleją na jej temat, wprost wychodziła z siebie. By się od tego oderwać, Marek postanowił zajrzeć do ulubionej kawiarni. Zamówił lody śmietankowe i zajął się przeglądaniem starego albumu ze zdjęciami, jeszcze z czasów Raisy. Czekał też na ważny telefon. Tliła się w nim nadzieja, że być może odmieni on coś w jego nudnym życiu.

Gdy tylko poczuł, że dzwoni, odsunął album. Po drugiej stronie usłyszał dobrze mu znany z telewizji głos.

– Dzień dobry, Magda Sajewicz, telewizja NTV. Słyszałam, że ma pan dla nas jakieś informacje o pani Hedwig?

– Dzień dobry, pani Magdo, cieszę się, że pani dzwoni. Owszem. Myślę, że mogą być interesujące, szczególnie przez pryzmat pecha, jakiego się jej przypisuje.

Choć nie wszystko w jej życiu było jego skutkiem.

– Ma pan na myśli państwa rozwód?

Marek wsparł oba łokcie na stoliku. Spojrzał na zdjęcie, które zrobiła im jego matka podczas pierwszych wspólnych świąt Bożego Narodzenia. Stali objęci pod ogromną choinką.

– Cóż, istotnie, nasze małżeństwo raczej nie było udane – przyznał.

Magda poluzowała pas, który, najwyraźniej źle ustawiony, wpijał się w jej szyję.

– Panie Szewczyk, w naszym materiale nie ma miejsca na małżeńskie brudy. To nie jest program „Popamiętasz mnie na zawsze!”.

– Nie o to chodzi. Opowiem pani wszystko, kiedy się spotkamy.

– Jest pan w Bornem Sulinowie?

– Nie. Mieszkam w Szczecinie.

– Proszę pana, nie mam teraz czasu na wycieczki. Tym bardziej że to dwie godziny drogi, a muszę dokręcić jeszcze resztę materiału i zmontować go na wieczór. Może mógłby pan po prostu powiedzieć, o co panu chodzi?

– Nie wydaje mi się, żeby to była rozmowa na telefon – odparł Marek z naciskiem.

– Proszę pana, nie mam ochoty na takie gierki. Wieczorem puszczamy materiał. Albo pan chce coś do niego wnieść, albo nie.

Marek poczuł się dotknięty takim postawieniem sprawy. Nie dość, że w domu terroryzowała go Lucyna, to jeszcze ta cała Sajewicz chciała dyktować mu warunki. A przecież to jej powinno na tym zależeć, pomyślał. Wziął głęboki oddech.

– Proszę pani, jestem przekonany, że dzisiejszy materiał nie będzie ostatnim na temat Raisy – powiedział spokojnie. – Jeśli pani będzie miała ochotę porozmawiać, proszę o kontakt.

Magda się zirytowała. Co takiego niby on może mi powiedzieć?, zastanowiła się. Może Raisa go zdradzała? Też mi sensacja!, wruszyła ramionami. Odparła, że będzie o tym pamiętać, i się pożegnała.

– I co? Nic? – zdumiał się Adam.

– Jakiś niezdecydowany. Zachowywał się jak dzieciak.

– Może dlatego Raisa się z nim rozwiodła... – roześmiał się i przyhamował na pasach.

– Zawracaj. Zanim wrócimy na Parkową, podjedziemy do urzędu miasta – zdecydowała Magda. – Nagramy setkę z burmistrzem Bornego. Do córki Raisy stacja wysłała ekipę z Gdańska, więc jej wypowiedź będziemy mieć późnym popołudniem. Jak wrócimy, zadzwonimy do jej syna Filipa.

Raisa była roztrzęsiona. Wytatuowany, ogromnych rozmiarów dziennikarz, który przedstawił się jako Darek Morağ, opuścił jej dom dopiero wtedy, gdy wzięła

do ręki telefon i wybrała numer policji, gotowa zgłosić wtargnięcie. Otworzyła drzwi tylko dlatego, że dostała esemesa od kuriera, z informacją o planowanym doręczeniu przesyłki. I owszem, dzierżyła ją teraz w swoich pomarszczonych, dygocących wciąż z emocji dłoniach. Jednak kurierem okazał się być reporter. Przekupił doręczyciela z kancelarii i obiecał, że weźmie pokwitowanie, jeśli tylko będzie mógł zanieść przesyłkę zamiast niego.

Kurier zdumiał się, widząc, jakie zainteresowanie budzi adresatka. Był jednak zbyt zajęty, żeby śledzić informacje, więc nie wiedział zupełnie, o co chodzi. Ale że dodatkowe pieniądze zawsze się przydają, niespecjalnie się zastanawiał.

– Przesyłka dla pani – powiedział w progu Darek Morąg, wręczając kopertę.
– Proszę pokwitować. – Podał czytnik.

Raisa sięgnęła ostrożnie. To zapewne zapowiadany list od prezydenta, stwierdziła.

– Dlaczego pani się ukrywa? – zapytał dziennikarz, gdy składała zgrabny podpis w wyznaczonym polu.

– Nie widzi pan, co się tam dzieje? Normalne szaleństwo!

– Ludzie chcą wiedzieć o pani coś więcej. Na przykład to, czy nie ma pani żalu do losu.

– Jakiego znów żalu? – Raisa obrzuciła go zniecierpliwionym spojrzeniem. – Poza tym myślę, że do pana obowiązków należy dostarczanie przesyłek, a nie zadawanie pytań.

– Akurat myli się pani. – Olbrzym zdjął czapkę z daszkiem ozdobionym wizerunkiem orła. – Przepraszam za ten fortel, pani Raiso, ale trzyma nas pani na tym trawniku... A tak miła z pani osoba. Nazywam się Darek Morąg – przedstawił się. – Reporter portalu Mopsik.pl. Bardzo proszę o odpowiedź na kilka pytań.

Raisa aż się zatrzęsła.

– Ładnie to tak oszukiwać starszą panią?

Aż do teraz nigdy nie myślała o sobie w ten sposób. Tym razem jednak postanowiła wykorzystać zaawansowany wiek jako oręż.

– Dostarczyłem przesyłkę, mogłaby pani w zamian...

– Nie mogłabym, drogi panie. A już na pewno nie po tym pana przedstawieniu! Albo pan opuści mój dom po dobroci, albo dzwonię po policję! – Sięgnęła po telefon.

Dziennikarz pokręcił głową.

– Chyba nie chciałaby pani, aby w świat poszedł przekaz, że jest pani nie tylko pechowa, ale i bardzo niemiła.

– Jak na razie to pan jest nieuprzejmy. Żegnam! – Raisa rzuciła mężczyźnie odważne spojrzenie.

A przynajmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało. Po czym zaczęła

wybierać dziewiątki na ekranie telefonu.

Morąg wahał się przez chwilę, ale jako że miał już jeden wyrok w zawieszeniu za naruszenie nietykalności cielesnej pewnego popularnego aktora, wolał nie ryzykować odsiadki dla materiału o jakiejś nieudaczej starowinie. Wycofał się i oddał pokwitowanie czekającemu nań kurierowi. Ten, owszem, czasem narzekał na swoją pracę, gdy jednak przypatrzył się zbiorowisku miotających się w skwarze dziennikarzy, uznał, że wcale nie ma tak źle.

Raisa otworzyła kopertę i przeczytała wzniosłe słowa o tym, że naród jest dumny z tak znamienitej przedstawicielki, że jej zasługi nigdy nie zostaną zapomniane i że nowe pokolenia powinny się na niej wzorować. Dowiedziała się też, że otrzyma państwowe odznaczenie.

Kto to pisał, do licha?, uniosła brwi. Chyba mają jakiś szablon, doszła do wniosku, przejęta pomysłem bycia wzorem dla młodych. Zdecydowanie im tego nie życzyła.

Położyła list na szafce w korytarzu. Uznała, że być może zainteresuje Magdę Sajewicz.

Rozdział 6

Dzwon na wieży wybijał dwunastą.

Edyta wyszła przez bramę, pozostawiając za sobą grube klasztorne mury. Była środa, dzień odwiedzin u karmelitanek. W tym miesiącu nie planowała wizyty, ale jako że plan na dzisiejszy dzień legł w gruzach, również ona zmieniła postanowienie.

W klasztorze panował przyjemny chłód, dlatego gdy wyszła na zewnątrz i upał jak mięsisty koc otulił szczelnie jej ciało, zrobiło się jej odrobinę słabo. Przystanąła przy sośnie i wsparła się dłonią o chropowaty pień. Wzięła kilka spokojnych głębokich oddechów. Zawsze gdy stamtąd wracała, miała w sercu jednocześnie spokój i smutek. Podziwiała wybór zakonnic, pokorę, z jaką kroczą przez życie, ich ogrom wiary i wytrwałość w postanowieniu. Sama by tak nie potrafiła. I właśnie przez tę świadomość nie była pewna, czy ongiś podjęła słuszną decyzję. Dlatego przekraczała klasztorne mury regularnie od lat – żeby wciąż od nowa przekonywać się o słuszności swojego wyboru. Każdy kolejny rok wskazywał, że nie powinna się wahać.

Poczuła się lepiej, więc wsiadła do samochodu i ruszyła w powrotną drogę do domu. Jej myśli poszybowały ku Raisie. Mam nadzieję, że ta dziennikarka nie wyszła z niej całej energii, pomyślała. Wiedziała, że przyjaciółka nade wszystko ceni sobie spokój i ukochaną przewidywalność dnia. A wszystko, co działo się od dzisiejszego poranka, obracało to wniwecz.

W urzędzie miejskim klimatyzacja chodziła pełną parą.

Gdy tylko Magda z Adamem weszli do gabinetu burmistrza, poczuli, że przydałyby im się cieplejsze ubrania. Choć Krzysztof Sroka był nad wyraz gościnnie, oferował kawę, herbatę i chwilę wytchnienia w jego gabinecie, chcieli zrobić swoje jak najszybciej i uciec z tej Syberii. Poprosili urzędnika, by usiadł za biurkiem, a plakat z herbem miasta, ogromną lipą, wiszący na przeciwnej ścianie, przymocowali za jego plecami. Magda zauważyła, że burmistrz zaczął nerwowo pocierać ręce i sygiąć niespecjalnie zabawnymi żartami, próbował odwlec nagranie.

Wprawdzie Krzysztof Sroka nagrywał już kolejną „setkę” tego dnia, bo od kilku godzin miał u siebie korowód dziennikarzy, ale dopiero kiedy w progu gabinetu stanęła Magda Sajewicz, zdjęła go prawdziwa trema. Starał się wypaść jak najlepiej, ale jego silny zazwyczaj głos odmawiał posłuszeństwa; brzmiał niepewnie i odrobinę piskliwie. Odpowiedź na pierwsze pytanie, o Lechowiczów, trzeba było dublować. Nie chcąc wyjść na nieobytą niedołęgę, burmistrz spał się w sobie.

– Rodzina państwa Lechowiczów sprowadziła się do miasta niedługo po

tym, jak Borne Sulinowo po latach niebytu wreszcie ujawniło się na mapie Polski – oświadczył. – Według ksiąg meldunkowych dokładnie trzeciego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. Ojciec pani Hedwig mieszkał tutaj do końca swoich dni. Pani Raisa po latach także do nas powróciła, z czego bardzo się cieszymy. Nawiasem mówiąc, zamieszkała w swoim rodzinnym domu.

– Czy w związku z tym, że mieszka tutaj najbardziej pechowa osoba na świecie, wydarzyły się w mieście jakieś nieprzyjemne spektakularne wydarzenia?

Sroka przełknął ślinę. Nerwowo przetrząsał archiwum pamięci. Odkąd dowiedział się o zainteresowaniu, jakie wzbudza jego miasto przez wzgląd na jedną z mieszkanek, starał się przygotować do tematu, ale pod tym kątem nie zbadał sprawy. Ta dziennikarka go zaskoczyła.

– Nie, raczej nie – odparł. – Nasze miasto jest spokojne i przyjazne. I nieustannie się rozwija. – Burmistrz nie zapomniał o ujmującym uśmiechu na koniec zdania. Piastował swój urząd już drugą kadencję i skrycie liczył na kolejną reelekcję. – Chciałbym zapewnić, że szcycimy się faktem, że pani Raisa jest mieszkanką akurat Bornego Sulinowa.

Magda wspomniała wypowiedzi, jakie usłyszała w sklepie, lecz nie zamierzała ich teraz przytaczać. Postanowiła, że stanowiska obu stron puści w materiale jedno po drugim. Powinno to zabrzmieć interesująco.

– Pragnę też zapewnić, że pani Raisa może czuć się u nas bezpieczna – stwierdził gorliwie Sroka.

Dlaczego on wygaduje takie farmazony?, zastanowiła się Magda. Przecież musi wiedzieć, że w żaden sposób nie jest w stanie zapewnić Raisie bezpieczeństwa. Dała znak Adamowi, że to już koniec.

Blady dotąd jak ściana burmistrz poczerwieniał na twarzy i zapytał, czy są zadowoleni z jego wypowiedzi.

– Mamy, co trzeba – odparła Magda. – Dziękuję panu. Materiał będzie dzisiaj o dwudziestej w NTV.

– Bardzo lubię pani relacje. – Sroka splótł dłonie jak do modlitwy. – Często oglądam.

– Bardzo nas to cieszy. – Magda skierowała się do wyjścia. Z zimna skostniały jej dłonie i stopy. Niemal szczękała zębami. – Nie za chłodno tu panu? – Rozejrzała się po gabinecie.

– Zmarzli państwo? – przejął się, dopiero teraz zauważywszy gęsią skórkę na ramionach reporterki. – Musiało coś się zepsuć w klimatyzacji. Bardzo przepraszam.

Prawda była taka, że targanemu od rana emocjami burmistrzowi dokuczało nieustannie gorąco. Garnitur, który miał na sobie, tylko pogarszał sprawę. Gdy Magda Sajewicz opuściła jego gabinet, nie mógł sobie darować, że taka kobieta zmarzła w jego urzędzie. Podczas gdy on starał się wypaść jak najlepiej, znana

dziennikarka trzęsa się jak osika!

Edyta weszła do mieszkania i z ulgą zrzuciła sandały z opuchniętych stóp. Włączyła klimatyzację. Już niedługo odetchnę swobodniej, pomyślała. Parkiet, choć skrzypiący nieco, chłodził przyjemnie.

W dużym pokoju Edyta ułożyła się na kanapie. Poprawiła poduszkę pod głową i poczuła, że jej mięśnie rozluźniają się, a stare kości i stawy wreszcie mogą odpocząć. Kiedy była młoda, wydawało się jej, że gdy osiągnie ten wiek, będzie się czuła znacznie gorzej. Okazało się, że nie jest tak źle, lecz ograniczenia dawały znać o sobie. Sięgnęła po kryminał leżący na stoliku i spróbowała się odprężyć po pełnym emocji przedpołudniu.

Nie doczytała rozdziału do końca, kiedy poczuła burczenie w żołądku. Była głodna, ale zupełnie nie miała ochoty na pitraszenie. Skrycie liczyła, że dzisiaj wyręczy ją Raisa, którą wystarczyło wpuścić do kuchni, by zaczęła przestawiać garnki.

Co ja właściwie mam w lodówce?, zastanowiła się. Coś, na co mam ochotę, a nie wymaga gotowania? Arbuz?

Uniosła się nieco i w tej samej chwili poczuła wibracje w nadgarstku. W przeciwieństwie do przyjaciółki wszczepiła pod skórę niewielki chip, tak bardzo ułatwiający życie. Gdy zobaczyła, kto dzwoni, szczerze się zdziwiła. Syn Raisy nie miał w zwyczaju niepokoić znajomych matki. Czasami, choć rzadko, do Edyty telefonowała Nadia.

– Cześć, Filipie. Co słychać?

– Pani Edyto, jak pani mogła zrobić to mamie? – zapytał bez wstępów.

Edyta ponownie poczuła, że spinają się jej wszystkie mięśnie.

– Chyba nie bardzo wiem, o czym mówisz... – bąknęła.

– Przed chwilą dowiedziałem się od dziennikarki o tej całej aferze wokół mamy. Wszedłem do sieci i przeczytałem, że nazwała pani waszą przyjaźń masochizmem. Chyba zdaje sobie pani sprawę, że mamie nie są potrzebne dodatkowe ciosy?

– Masochizmem? – powtórzyła. I natychmiast złapała się za głowę. – Wcale tak nie powiedziałam – odparła z naciskiem. – To znaczy, powiedziałam, ale nie w takim znaczeniu. To była ironiczna odpowiedź na głupie pytanie bezczelnej reporterki.

– Z Nadią zawsze uważaliśmy panią za oddaną i wspaniałą przyjaciółkę mamy. – W głosie Filipa słychać było żal. – Proszę pamiętać, że jest pani dla niej bardzo ważna.

– Przysięgam, oni przekreśliли moje słowa!

Edycie skoczyło ciśnienie. Lekarz przestrzegwał ją wprawdzie przed nadmiernymi emocjami, ale... Ciekawa jestem, czy on by zachował spokój w takiej sytuacji?, pomyślała.

Z nadzieją, że Raisa jeszcze nie przeczytała tego durnego artykułu, zakończyła rozmowę z Filipem, tłumacząc, że musi natychmiast wyjaśnić tę sprawę. Nie miała pewności, że jej uwierzył.

Cholerni aferzyści!, zaperzyła się, idąc szybkim krokiem do drzwi.

Filip akurat zakończył spotkanie z nowym klientem w Berlinie.

Prowadził firmę zajmującą się sprzedażą systemów solarnych. Handlował nimi w całej Europie, dzięki czemu zwiedził ją wzdłuż i wszerz. Jego żona Alicja narzekała na te częste wyjazdy, ale osładzał jej rozłąkę podarunkami z podróży. Choć wiedział, że wołałaby mieć go przy sobie.

Kiedy zadzwonił telefon, stał akurat pośrodku Potsdamer Platz. Początkowo wydało mu się, że coś źle zrozumiał, bo hałas na ulicy panował nieznośny. Wsiadł zatem do samochodu.

Słuchał i coraz szerzej otwierał oczy. Odpowiedział Magdzie Sajewicz na szereg pytań, w tym również na to, czy odziedziczył po matce pecha. Odparł ze śmiechem, że wprost przeciwnie.

– Czasem myślę, że mam więcej szczęścia niż rozumu – podkreślił.

A potem znalazł w Internecie wypowiedź pani Edyty i aż w nim zawrzało. Poczul, że musi sprawę wyjaśnić natychmiast. Wiedział, że matka zniosła w życiu wiele, ale czy wytrzyma cios zadany przez przyjaciółkę? Tego nie był pewien. Martwił się o nią i żałował, że poświęca jej zbyt mało czasu. Choć nie łączyły ich więzy krwi, nigdy nie miał wątpliwości, kto ofiarował mu miłość, troskę i czułość. Kto zbudował w nim poczucie własnej wartości. W domu dziecka nigdy by nie zaznał niczego podobnego. Chwilę, w której rodzice powiedzieli mu, że zostanie już z nimi na zawsze, uważał za najważniejszą w życiu. Doskonale pamiętał, gdy pierwszy raz zobaczył swój własny pokój z łóżkiem w kształcie samochodu. Ależ to były emocje!

Filip odczuwał prawdziwą wdzięczność. Za gest, który zmienił wszystko.

Edyta nie przebierała w środkach. Przeszukała mias-teczko namiotowe przed domem Raisy i szybko odnalazła rudą dziennikarkę portalu lifestylowego, która rano zadała jej tamto pytanie. Chwyciła ją mocno za ramię i odciągnęła na bok.

– Co pani wyprawia?! – podniosła głos młoda kobieta. – Czy pani oszalała?

– Kim trzeba być, żeby przeinaczać wypowiedziane przez innych słowa? – syknęła Edyta, biorąc się pod boki. – Wszystko dla taniej sensacji? Wzbudzenia fermentu? To jest dziennikarstwo? To jest ten pani „lifestyle”?

Reporterka nie wyglądała na przejętą.

– Gdyby pani przyjaciółka była bardziej rozmowna, nie musielibyśmy niczego się domyślać!

Edyta pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Na moje oko może pani sobie stąd w ogóle pojechać. I tak pani zmyśli, co się pani żywnie podoba! – fuknęła na odchodnym, wymijając przybyłych

z odsieczą kolegów rudej.

– Proszę uważać na słowa! – rzucił w jej kierunku jeden z nich.

– Wzajemnie! – odparła ze stoickim spokojem.

Obrzuciła grupkę krytycznym spojrzeniem i ruszyła do domu Raisy. Czuła, że pieką ją policzki i zaczyna jej szumieć w uszach.

Mimo natrętnego dzwonięcia do drzwi przyjaciółka nie otwierała. Edyta czuła, jak rośnie jej ciśnienie. Najchętniej zawróciłaby do dziennikarki i dopowiedziała jeszcze kilka zdań na temat profesjonalizmu tamtej. Wszystko wskazywało na to, że Raisa przeczytała już, co miała przeczytać, i najwyraźniej postanowiła jej ulżyć, kładąc kres długoletniej przyjaźni.

Mimo to Edyta przysiadła na schodach. Co jakiś czas próbowała naciskać dzwonek, lecz bezskutecznie. Nic tu po mnie, pomyślała i postanowiła wrócić do siebie.

Jeden z kolegów rudej reporterki spojrzał na nią rozbawiony.

– Teraz już chyba pani wie, jak się czujemy? – zapytał złośliwie.

Raisa nie miała zamiaru otwierać kolejnym dziennikarskim przebiezańcom. Telefon zostawiła na dole i ani jej się śniło po niego schodzić. Miała teraz na głowie zupełnie inne zmartwienie.

Stała na wprost szafy, twarzą w twarz z jej zawartością. Cokolwiek z niej wyciągała, nie wydawało się odpowiednie na wizytę w pałacu. Albo zbyt znośne, albo mało uroczyste, albo pamiętające poprzednie dwie dekady. Nie dbała za bardzo o podążanie za trendami. Zależało jej wyłącznie, aby to, co ma na sobie, było schludne i wygodne. Żadna z jej podomek, żadne ze spodni dresowych, dzinsów czy zwykłych sukienek z pewnością nie nadawały się na śniadanie u prezydenta.

Niechże już wróci pani Magda!, pomyślała. Elegancka z niej kobieta, na pewno zrozumie powagę sytuacji. Może będzie mogła mi coś doradzić?

Normalnie poprosiłaby o to Edytę, ale nie chciała sprowadzać jej na głowę mediów. Poza tym wciąż dokuczało jej niejasne uczucie w okolicy serca, ale nie miała siły się z nim konfrontować.

1991–2001

Dzwonek ogłaszający koniec ostatniej lekcji zawsze brzmiał radośniej niż inne.

Raisa z Martą spakowały książki do tornistrów i wybiegły z klasy. Zaczynała się wiosna, wszystko wokół kwitło, a w dodatku był piątek. Czego więcej mogły chcieć od życia trzecioklasistki? Zbiegały właśnie pośpiesznie po schodach, kiedy Raisa przystanąła w połowie stopni, zdjeta przedziwnym niepokojem. Uczucie to pojawiło się najpierw w okolicy serca, by po chwili zejść niżej i rozlać się palącym bólem w żołądku. Coś się dzieje z mamą!, -pomyślała

przerażona, czując ucisk w gardle.

– Hej, co jest? Chcesz zostać na weekend w szkole? – zawołała z dołu Marta. Raisa potrząsnęła głową. Złoty warkocz opadł na ramię.

– Nic, nic. Już idę – odparła.

To tylko głupia myśl!, zbeształa się w duchu. Nic nie znaczy.

Wyszła na kwietniowe, wciąż jeszcze nieśmiałe słońce i wystawiła buzię na jego kojące promienie. Choć czuła ciepło na skórze, po jej drobnym ciałku rozpełzł się chłód. I nie dawał spokoju.

Dzieci dowiedziały się o chorobie matki, kiedy rodzice byli już pewni diagnozy. „Rak jajnika”. Nazwa brzmiała obco i groźnie. Choroba uderzyła w życie rodziny jak meteor, pozostawiając ogromny krater w miejsce dotychczasowego spokoju, bezpieczeństwa i kojącej przewidywalności. Po pierwszym szoku, który wywrócił życie do góry nogami, przyszła mobilizacja. Zaczęło się leczenie, a wraz z nim sinusoida stanów pani Marii. Początkowo wszystko wyglądało na to, że kuracja odnosi pożądany skutek, ale kiedy pozwolono sobie odetchnąć swobodniej, choroba przypuściła bezpardonowy atak. Raisa była przerażona, widząc, jak jej zawsze radosna siostra Laura popłakuje wieczorami w pokoju. A kiedy przyłapała Bernarda, który zszedł do piwnicy pod pretekstem naprawy roweru, ocierającego podpuchnięte oczy, zrozumiała, że sytuacja jest o wiele gorsza, niż się wydaje. Rak wcale nie zamierzał się poddać. Brał, co swoje, choć wcale jego nie było. Mama była ich! Tylko ich! Ale on zabierał ją kawałek po kawałku.

Raisa desperacko garnęła się do matki, chcąc złapać każdą chwilę, zapytać o wszystko i wszystko zapamiętać. Dźwięk głosu, zapach i miękkość skóry, każdy rys drobnej kochanej twarzy. Pani Maria odsyłała czasem najmłodszą córkę od łóżka, nie chcąc, by ta zatracala się w jej chorobie. Pragnęła, by Raisa biegła z dziećmi po podwórku i korzystała z należnego jej prawa do bez troski. Choć wiedziała, że jest to niemal niewykonalne.

Coraz częściej w oknie na drugim piętrze trzypokojowego mieszkania pojawiał się pan Bogdan, przywołując dzieci do domu głosem nagłym, pełnym napięcia. Sąsiadki wracające z magła szeptały wtedy między sobą:

– Lechowiczowa umiera.

– Który to już raz w tym tygodniu?

– Chyba drugi. Na pewno pogotowie było przedwczoraj. Biedne dzieciaki!

– Biedny pan Bogdan. Jak on sobie poradzi?

Raisa nieraz słyszała te komentarze. Ilekroć widziała w oknie ojca, z tyłu głowy pojawiał się głos którejś z sąsiadek. Przechodził ją wtedy dreszcz i dopadało najczystsze, obezwładniające przerażenie. Tak bardzo nie chciała zostać bez mamy! Nikt tak jak ona jej nie rozumiał. Nikt tak nie potrafił jej pocieszyć ani tak kojąco ukołysać w ramionach.

Bardzo wątpiła, czy będzie w stanie przeżyć bez niej choć jeden dzień.

Wracając ze szkoły noga za nogą, to zatrzymując się przy wystawie sklepu papierniczego, to bawiąc z nieznanym psem na ulicy. W końcu Marta oświadczyła, że powinna już iść, bo zaraz spóźni się na obiad. Umówiły się później, o trzeciej pod trzepakiem, na spacer po parku. Raisa obiecała być punktualnie.

Nie przyszła.

Tamtego dnia pod magłem sąsiadki wymieniły się najświeższą informacją.

Lechowiczowa umarła.

Wbrew przewidywaniom Raisie udało się przeżyć następny dzień, którego minuty mijały jak zwykle, a wszystko wyglądało zupełnie tak samo, tyle że serce mamy przestało bić. Przetrwiała także kolejną dobę, następny tydzień, miesiąc, rok i dwa lata. Jednak powstałej pustki nie dało się niczym wypełnić. Matki brakowało dotkliwie, a dorastanie bez jej wsparcia okazało się jeszcze trudniejsze niż dotychczas. Laura próbowała przygotować siostrę na to, czego wcześniej doświadczała sama, szczególnie na pierwszą miesiączkę, ale zdawała sobie sprawę z własnej niemocy. Tego dnia, kiedy Raisa stała się kobietą, ojciec zabrał ją do kawiarni i uroczyście wręczył jej bukiet frezji. Córka była mu wdzięczna, ale nie potrafiła poradzić na to, że to nie z nim pragnęła siedzieć przy napoleonce i imbryczku z herbatą...

Z siostrą natomiast poszła po pierwszy stanik.

Wyjątkowe wydarzenie zamieniło się w koszmar. Bardzo się pokłóciły, bo złość, zazdrość i bunt, które targwały Raisą, że Laurze mama zdążyła pomóc w wyborze, storpedowały radość.

– Gdybym urodziła się choćby minutę wcześniej albo później, może wszystko wyglądałoby inaczej? – szeptała Raisa w zaciszu przymierzalni, trzymając w dłoniach biustonosz z białej koronki.

Życie wyglądało, jak wyglądało. Toczyło się dalej, a codzienne sprawy wymagały uwagi. Jak wieściły sąsiadki, pan Bogdan istotnie początkowo się załamał, ale zdołał się podnieść, choć był już zupełnie innym człowiekiem. Nie tak otwartym i nie tak radosnym jak dotychczas. Jako że trudno było związać koniec z końcem, więcej pracował. Kiedy żyła żona, utrzymywali się z łatwością, bo mieli do dyspozycji dwie pensje: księgowej i kierownika bazy transportowej. Gdy okazało się, że mimo renty, którą dostały dzieci po matce, są problemy z dopięciem domowego budżetu, przerobił swojego poloneza na taksówkę i dorabiał kilka dni w tygodniu. W zasadzie dla dzieci pozostawała mu wyłącznie niedziela, choć często przesypiał ją powalony kłopotami, nostalgią i zmęczeniem.

Cała czwórka musiała przystosować się do nowego trybu życia. Laura zajęła się gotowaniem, praniem i prasowaniem, Bernard zakupami, Raisie przypadły w udziale porządki. Wychodziło im różnie, ale wszyscy rozumieli doskonale, że

dobre czasy minęły bezpowrotnie.

Pewnej październikowej soboty pan Lechowicz wrócił wcześniej do domu. Nie miał już siły kursować po mieście. Z dużego pokoju dobiegły go podniesione głosy dwojga starszych dzieci.

– Naprawdę nie mówiła ci, gdzie idzie? Przypomnij sobie! – nalegała Laura.

– Nie. Musiała wyjść wcześniej rano, jak jeszcze spaliśmy. Pewnie specjalnie, żeby wykpić się od sprzątanania. – Bernard, wsparty na ulubionym fotelu ojca, włożył dłonie w kieszenie dżinsów.

– Co ty gadasz? Zawsze nam pomaga.

Pan Bogdan wszedł do pokoju.

– Gdzie jest Raisa? – zapytał, patrząc to na syna, to na córkę.

– W tym sęk, że nie wiemy. – Bernard wzruszył ramionami.

Laura, zobaczywszy na twarzy ojca napięcie, dodała natychmiast:

– Może poszła do Marty? Zaraz zadzwonię. Ciągle gdzieś razem latają.

Okazało się, że siostry u przyjaciółki nie ma. Laura obdzwoniła jeszcze kilka koleżanek, których numery znalazła w notesiku obok telefonu. Gdy i one nie potrafiły nic powiedzieć o Raisie, Bernard poszedł sprawdzić okolicę. Pan Bogdan zaś zszedł na parter, do starszej pani Malinowskiej, która zawsze siedziała w oknie, bacząc na osiedlowe życie. Tym razem jednak nie posiadała najcenniejszej informacji.

Pan Lechowicz wyszedł od sąsiadki, która nie bardzo chciała go wypuścić, i poczuł w piersi ogromny ciężar. Jego wyobraźnia ruszyła na dobre. Oto nigdzie nie było jego małej dwunastoletniej córeczki, która od zawsze wpada w kłopoty! A tyle się słyszy o potwornościach, jakie mogą spotkać takie podlotki! Zobaczył zmasakrowane ciało dryfujące w jeziorze...

Nie był gotowy na kolejny cios. Na następną stratę.

Gdy do mieszkania wrócił Bernard, zastał ojca na brązowej kanapie w stołowym, zgarbionego, z opuszczoną głową.

– Nie ma jej, tato – powiedział. – Przepadła jak kamień w wodę. Ale pewnie zaraz przyjdzie.

Pan Lechowicz podniósł się i bez słowa podszedł do syna. Bez chwili zastanowienia wymierzył mu policzek.

– Mieliście na nią uważać! – krzyknął. – O co zawsze prosiła was matka?

Oszołomiony Bernard wpatrywał się w wykrzywioną strachem twarz. Ojciec nigdy dotąd go nie uderzył. Poczuł upokorzenie, wściekłość i chęć odwetu. A zaraz potem żał na myśl, że może faktycznie zawiódł matkę.

Nie było czasu na roztrząsanie emocji, bo ojciec zarządził poszukiwania.

– Jeśli Raisa nie odnajdzie się w ciągu godziny, dzwonię na policję – postanowił.

Gęsiego schodzili po schodach.

Laura była bliska płaczu. Nie mogła znieść niemal namacalnego strachu. Gdy znaleźli się na dworze, po drugiej stronie ulicy zobaczyli Raisę. Całą i zdrową. Zadowoloną.

Ojciec chwycił ją za ramiona.

– Gdzie byłaś?! Odchodziliśmy od zmysłów!

Kiedy odparła, że na zbiórce harcerskiej, a potem wraz z kilkoma koleżankami z zastępu w kinie, Bernard był pewien, że zaraz i ona dostanie w twarz.

– Przecież wam mówiłam...? – Spojrzała na rodzeństwo.

– Nie pamiętam niczego takiego – uciął ostro.

Laura w zamyśleniu potarła policzek.

– Chyba faktycznie coś wspominałaś... Ale to musiało być dawno temu. Mogłaś przypomnieć wczoraj wieczorem – powiedziała z wyrzutem.

Ojciec czule pogładził Raisę po złotej główce, jakby odzyskał skarb, który uznał za bezpowrotnie stracony. Bernard pomyślał wtedy, że nie cierpi siostry. A gdy zobaczył, jak tato przygarnia ją do piersi, pomyślał, że może nawet...

– I jak wam się podoba? – Pan Bogdan zaparkował na ulicy przed domem, w którym mieli zamieszkać. – Co prawda nie wszystko jest gotowe, ale wasze pokoje czekają.

Wysiedli z samochodu i przyjrzeni się willi.

Był to piętrowy budynek z kremową elewacją i spadzistym dachem z czerwonej dachówki. Do wejścia prowadziło sześć kamiennych stopni, zwieńczonych żeliwną balustradą z motywem pnącego się bluszczu. W otoczeniu domu rosły wysokie sosny, które poruszone łagodnym wiatrem wyglądały, jakby kłaniały się na powitanie.

Bernard, Laura i Raisa spojrzeli po sobie. Do tej pory widywali ten dom wyłącznie na zdjęciach. Na pierwszych, które zobaczyli, miał powybijane okna, zburzone niektóre ściany. Opuszczając go, radzieccy żołnierze postanowili sobie postrzelać... Gołe cegły, pozbawione tynku, przerażały. Kiedy ojciec oznajmił, że to właśnie tam się przeprowadzą – do tego domu, który wyglądał jak rudera, do miasta, które jeszcze niedawno nie istniało na mapach – żadne z jego dzieci nie zapałało entuzjazmem.

Teraz jednak wszystko jawiło się inaczej.

Ojciec obiecał niespodziankę i dotrzymał słowa.

Budowy doglądał przez dwa lata. Rzadziej pracował na taksówce i dojeżdżał do Bornego Sulinowa praktycznie w każdy weekend. Pilnował ekipy, zamawiał materiały, sprzęty i meble. Te ostatnie konsultował z dziećmi, żeby czuły, że mają swój wkład.

Pracował niestrudzenie i mimo wyczerpania entuzjazm w nim nie słabł. Kiedy dowiedział się, że miasteczko opuszcza Armia Radziecka, uznał to za znak

od losu. To było tak, jakby tworzył coś z niczego. Jakby to miejsce było czystą kartą do zapisania. A ich rodzina potrzebowała nowego początku.

Ta wizja sprawiła, że pan Lechowicz schował dumę do kieszeni i poprosił brata o pożyczkę, a ten pożyczył, ile mógł. Sprzedał mieszkanie i wynajął dwupokojową klitkę, w której cała czwórka miała gnieździć się do chwili zamieszkania w willi. Dzieciaki narzekały na ciasnotę, ale zapewniał je, że prace postępują, a nagrodą za niedogodności będzie piękny dom w wyjątkowej okolicy.

Weszli po schodkach, a ojciec uroczyście włożył klucz do zamka. Czerwone drzwi z witrażem z wizerunkiem irysów otworzyły się powoli, niemal dostojnie. Oto wprowadzali się do domu, w którym wcześniej mieszkały dwie radzieckie rodziny oficerskie, a przed nimi, w trakcie wojny, niemieckie. Teraz jego historię miała pisać rodzina Lechowiczów.

Na dole znajdował się przestronny salon z widokiem na ogród. Obok kuchnia, jego sypialnia, łazienka i pomieszczenie gospodarcze. Na piętrze pokoje dla dzieci i jeden dodatkowy, jeszcze niezagospodarowany, oraz druga łazienka z wanną i prysznicem. Nic nie przypominało niedawnej ruiny.

Pani Lechowiczowa uwielbiała rosyjski język, ballady i literaturę. Jej mężowi dwa razy udało się odwieść ją od pomysłu nadania dzieciom rosyjskich imion, ale przy Raisie złożył broń. Zobaczył w oczach żony, że tym razem nie będzie kompromisów. Pamiętał swoje zdumienie, gdy po raz pierwszy ujrzał zdewastowaną willę. Skąd u Marii ta nostalgia do Rosjan?, pomyślał wtedy.

– Ależ przestrzeń! – Bernard zadarł głowę ku wysokiemu sufitowi.

– I te schody... – Zachwycona Raisa pogładziła lśniąca balustradę. – Zawsze marzyłam o domu ze schodami.

– Jak z jakiegoś starego filmu – zachichotała Laura.

– Mama byłaby zachwycona – powiedziała cicho jej siostra.

Panu Bogdanowi zaszklity się oczy.

– W jakiejś mierze zrobiłem to też dla niej – powiedział. – Nieraz wspominała, że cudownie byłoby mieć dom z ogrodem.

– Chodźmy zatem do ogrodu! – zapaliła się Laura.

– Na razie jest tam tylko trawa, ale jak włożymy trochę pracy, zrobi się wspaniale. Planuję posadzić tu róże. Mnóstwo róż! – Ojciec wskazał jej drogę.

Wszyscy widzieli już oczami wyobraźni śniadania na tarasie, letnie opalanie się na trawie, olbrzymie prawdziwe choinki, na które co roku z pewnością znajdzie się miejsce w przestronnym salonie. Rozmawiali o przejażdżkach rowerowych po lesie i zbieraniu grzybów jesienią.

Gdy dzieci poszły obejrzeć swoje pokoje, były już po uszy zakochane w nowym miejscu. Każde z nich miało własną przestrzeń. Pokoje były jasne, umeblowane prosto, ale zgodnie z potrzebami każdego, z oknami wychodzącymi na las. Słowem, fantastyczna rekompensata za dwa lata ciasnoty. Żal było tylko, że

nie ma tu z nimi mamy. Mimo że ta myśl powracała do nich nieustannie, wieczorem każde zasypiało w nowym łóżku jednakowo szczęśliwe.

Raisa natychmiast wsiąkła w licealne życie. Wprawdzie obiecały sobie z Martą, że mimo przeprowadzki nie stracą kontaktu, lecz coraz rzadziej pisywały do siebie i nieczęsto dzwoniły. Najpewniej przyjaciółkę nowa szkoła pochłonięła równie mocno, myślała Raisa. I rozumiała to.

Pokochała tę miejscowość i czuła się w Bornem tak, jakby tu mieszkała od zawsze. Polubiła też swoją szkołę i klasę, która z czasem okazała się bardzo zgrana. Większość kolegów i koleżanek także była przyjezdna i każdy dopiero się aklimatyzował. Raisa nie wyobrażała sobie już życia bez rowerowej przejażdżki wzdłuż jeziora po lekcjach. Porzucała rower przy plaży i wskakiwała do przyjemnej szafirowej wody. A gdy było zbyt zimno, po pros-tu siadywała na pomoście. Jeśli odczuwała zmęczenie, szukała wytchnienia wśród drzew.

Październikowe wieczory były już chłodne, więc Raisa włożyła dzinsy, gruby sweter, a na nogi bordowe martensy, od których zakupu starał się ją odwieść ojciec. Na szczęście zarobiła na nie latem przy truskawkach, więc nie miał w tym temacie zbyt wiele do powiedzenia. Już na początku roku szkolnego została posiadaczką modnych, jak to określał, „buciorów”.

Przez ostatni tydzień nie mogła doczekać się dzisiejszej imprezy.

Przed wyjściem z domu weszła jeszcze do salonu, gdzie tato w fotelu czytał gazetę.

– Ubrałaś się ciepło? – zapytał. – Baw się dobrze. Bernard przyjdzie po ciebie o wpół do dziesiątej.

Raisa wątpiła wprawdzie, czy zdąży się wybawić do tej pory, ale wiedziała, że ta kwestia nie podlega negocjacom. Wzięła, co oferowano, i wyszła pośpiesznie, żeby nie tracić cennego czasu.

Na plażę szło się niecały kwadrans piaszczystą drogą przez las. Zmierzchało już, więc wszystkie leśne odgłosy, normalne za dnia, wydawały się teraz podejrzane. Każdy szmer w zaroślach czy chrzęst łamanej gałązki budził nieprzyjemny niepokój. Raisa powtarzała sobie w duchu, że to zapewne zwierzęta; nieraz spotykała na spacerze sarny czy umykające zające. Mimo to wyobraźnia robiła swoje. Dlatego gdy usłyszała za sobą kroki, w pierwszej chwili ulżyło jej, że nareszcie nie jest sama, ale już sekundę później ogarnął ją jeszcze większy strach, że oto ma za plecami nieznanne towarzystwo. Do plaży wciąż pozostawał kawałek drogi. Raisa zdawała sobie sprawę, że nikt nie usłyszy jej wołania o pomoc, a już na pewno nie rozbawieni i zajęci sobą znajomi.

Piasek pod czyimiś butami chrzęścił coraz głośniejsze. Kroki przyśpieszyły. A Raisa poczuła tego kogoś tuż za plecami. Zaciśnęła pięści i otworzyła usta, gotowa wrzeszczeć wniebogłosy.

– Nie znoszę chodzić po ciemku, a ty? – usłyszała dziewczęcy głos.

Odwróciła się. Gdyby nie ciemność, nieznana dziewczyna na pewno dostrzegłaby jej białą jak kreda twarz.

– Prawie umarłam na zawał! – Raisa wypuściła powietrze i położyła dłoń na sercu. – Kiedy tak szłaś za mną, miałam różne myśli w głowie...

– Nie miałam zamiaru cię przestraszyć – roześmiała się brunetka w krótkiej twarzowej fryzurze. – Mam na imię Edyta. – Wyciągnęła dłoń do powitania.

– Raisa. Idziesz na ognisko?

– Tak. Ma tam być pół mojej klasy. Miałam iść razem z dziewczynami, ale musiałam pomóc rodzicom w sklepie. No i trochę mi zeszło.

– Uwielbiam ten las, ale drugi raz chyba nie zapuszczę się tutaj sama po ciemku...

– Teraz jesteśmy we dwie. Chodźmy! – zadysponowała Edyta i uśmiechnęła się pokrzepiająco.

Na plaży chłopcy zorganizowali naprawdę duże ognisko. Na patykach pieczono chleb i kiełbaski, na gitarze grano popularne hity. Jedni tańczyli, inni śpiewali. Śmiech niósł się daleko w głąb lasu.

Pojawiło się piwo, a Raisa, choć wiedziała, że ojciec nie byłby zadowolony, skusiła się na jedno. Świat po nim okazał się jeszcze bardziej zabawny i zawirował odrobinę. Dziewczyny usiadły przy powalonym konarze brzozy, na przyniesionym przez Raisę kocu, i zagadały się tak, jakby znały się od lat, a nie od dwóch godzin. Okazało się, że rodzice Edyty prowadzą sklep spożywczy w centrum miasta, w którym córka pomaga im od czasu do czasu. A cała rodzina mieszka w bloku niedaleko szkoły.

Edyta była rok starsza i nie miała rodzeństwa, nad czym ubolewała szczerze. Za to miała dwa koty, o czym z kolei marzyła Raisa. W żartach uznały, że mogłyby się od czasu do czasu wymieniać stanem posiadania.

– Obawiam się, że ja wyszłabym na tym lepiej – roześmiała się Raisa. – Kocham mojego brata, ale on jest nieco, hm, gburowaty. Nie obchodzi go nic, tylko te jego szachy. W podstawówce wygrał kilka turniejów i chyba wciąż wierzy, że będzie mistrzem świata. Laura jest w porządku, choć na moje oko zanadto kochliwa. Tak bardzo płakała przed wyjazdem z Drawska! Twierdziła, że umrze z tęsknoty za swoim chłopakiem, a zapomniała o Jacku już po pierwszym półroczu, kiedy zaczęła się umawiać z chłopakiem ze swojej klasy. Aż ojciec zaczął się martwić o jej naukę, bo ciągle chodziła z głową w chmurach.

– To chyba jeszcze nie czas na miłość do grobowej deski – stwierdziła przytomnie Edyta.

– Okej, ale po co tak rozpaczała? – Raisa sięgnęła po stojącą w trawie puszkę z piwem.

– To co? Za spotkanie? – zaproponowała Edyta.

Kiedy o wpół do dziesiątej nad jeziorem pojawił się Bernard, Edyta

stwierdziła, że natychmiast zamieniłaby na niego wszystkie swoje koty. Raisa spojrzała na nią jak na szaloną. Jakoś nie dostrzegą we własnym bracie nic ujmującego.

– Przystojniak z niego! – szepnęła jej do ucha koleżanka. – Naprawdę myśli tylko o szachach?

– Wariatka! – Raisa wymierzyła jej kuksańca.

Bernard nie był szczególnie rozmowny, po czym Raisa wnosila, że został wkurzony powierzona mu misją doholowania siostry do domu. I jeszcze na dodatek ta jej nowa koleżanka!

Przeszło mu nieco, gdy Edyta wysiadała z samochodu.

– Rozgrywasz partie w stylu rubinsteinowskim czy petrosjanowskim? – zapytała na do widzenia.

Spojrzał uważnie, ale samotna latarnia przy bloku świeciła zbyt słabo, żeby wyraźnie zobaczyć twarz.

– Uważam, że styl jest nie do podrobienia – odezwał się poważnie. – Każdy szachista ma własny.

Dziewczyna skinęła głową, co miało zapewne oznaczać, że przyjmuje wyjaśnienie, i podziękowała za dostawę pod same drzwi. Wysiadając, puściła oko do Raisy.

Ta była pod wrażeniem. A jednocześnie miała głęboką nadzieję, że nie znaczy to, że Edyta pasjonuje się grą w szachy. Albo co gorsza próbuje podrywać jej brata.

– Chodzisz z nią do klasy? – zapytał Bernard, zawracając w wąskiej uliczce.

– Nie, poznałam ją dopiero dzisiaj. Chodzi do drugiej.

– Wydaje się niegłupia. Trzymaj się jej.

Edyta z Raisą nie potrzebowały rad Bernarda, gdyż obie od razu poczuły w sobie bratnie dusze.

Nić przyjaźni zawiązała się bardzo szybko. Każdą wolną chwilę spędzały razem, snując się po ulicach mias-teczka, spacerując po lesie albo siedząc przy muzyce i świecach raz u jednej, a raz u drugiej. Wymieniały się ubraniami, kosmetykami i marzeniami. Raisa chciała po maturze zdawać na historię sztuki, co jednak odradzał jej ojciec. Uważał, że powinna pomyśleć o medycynie, na którą szykowała się Laura, lub pójść na politechnikę, jak Bernard. Według niego te kierunki gwarantowały godną przyszłość. Raisa jednak, jak jej matka, była wrażliwa na sztukę i w tym kierunku pragnęła się kształcić. Z kolei Edyta, bardziej praktyczna, marzyła o założeniu własnej firmy, ale nie sklepu, jak rodzice, a czegoś znacznie mniej przyziemnego. Problem polegał na tym, że nie potrafiła jeszcze określić tej nieprzyziemnej branży.

Obie jednakowo szybko popadały w zauroczenia chłopakami, znanymi aktorami czy piosenkarzami i w równie zawrotnym tempie im ono przechodziło.

Raisa z ulgą przyjęła wiadomość, że przyjaciółka nie jest jednak zainteresowana Bernardem, a tylko się droczy. Z kolei Bernard, gdy tylko przyjeżdżał z uczelni do domu na weekend, zawsze pytał, co słychać u Edyty.

Nadszedł gorący czerwiec. Laura zdała znakomicie maturę, czym wprawiła w zachwyty ojca. Teraz spędzała całe dni zamknięta w pokoju, ucząc się do egzaminów wstępnych na studia, a pan Bogdan donosił jej posiłki, napoje i owoce z nadzieją, że ta ciężka praca się opłaci, a jego córka będzie mieć stabilny, dobrze płatny i poważany zawód. Ona jednak nie myślała o tym w takich kategoriach. Wciąż pamiętała bezradność, jaka towarzyszyła jej, kiedy nie mogła pomóc matce. Była zła na lekarzy, uważała, że mogli zrobić więcej. To właśnie wtedy postanowiła, że będzie pomagać ludziom.

Raisa podziwiała ten zapał, tytaniczną pracę i determinację. Była pewna, że Laura dopnie swego, i była z niej bardzo dumna. Mimo że pachniało już wakacjami, siostra nie mogła pozwolić sobie na rozprężenie, za to Raisa leniła się na dobre, bo większość ocen była już wystawiona. Razem z Edytą spędzały niemal całe dni nad jeziorem. Zabierały koszyk z prowiantem, przenośne radio, książki i gazety. Uwielbiały oglądać strony z propozycjami fryzur i wybierać nowe uczesania albo oglądać modelki w szalowych ubraniach, na które, niestety, nie było je stać. Jeśli na plaży pojawiali się jacyś koledzy, grały z nimi w piłkę, pływały albo flirtowały, bardziej dla zabawy niż na poważnie. Edyta uważała, że wszelkie umiejętności należy trenować, aby nie zanikły, z kolei Raisę zafascynowało odkrycie, że nie jest to wcale takie trudne, jak się wydaje. Czasem czuły się jak wędkarze, którym ryby same wskakują na haczyk. Lecz mimo że połów mógł być imponujący, nie miały z tego wędkowania dużej frajdy. Zazwyczaj szybko traciły zainteresowanie i wracały na swój koc, odprowadzając zainteresowanych.

Tego dnia plaża była kompletnie pusta.

Raisa leżała na wznak, z zamkniętymi oczami. Niebo było bezchmurne. Miała na sobie jednoczęściowy niebieski kostium w srebrne gwiazdy, a w planach bikini z prawdziwego zdarzenia. Wprawdzie ojciec otworzył własny warsztat samochodowy i zyskiwał coraz to nowych klientów, ale nie zamierzała go prosić o dofinansowanie. Jak wcześniej, zatrudniła się u lokalnego rolnika. Praca nie była lekka, a już na pewno nie w upalne dni, lecz pozwalała na małe szaleństwa zakupowe. Raisy nie zraził do niej nawet udar słoneczny, jakiego doświadczyła w ubiegłym roku przy porzeczkach. Dla czerwonego kostiumu, który zobaczyła w katalogu wysyłkowym, była gotowa znieść całkiem sporo.

Edyta czytała na głos harlequina. Żadna z nich nie przepadała za wydawanymi w serii książkami, ale sięgały po nie czasem, głównie dla rozrywki. Śmieszyło je zagęszczenie omdleń, płomiennych uniesień i westchnień na stronę.

Już miały się dowiedzieć, czy Emanuel odkryje tajną schadzkę żony i ogrodnika Miquela, gdy Raisa zauważyła na horyzoncie łódkę. Nie przykuła jej

uwagi na dłużej, bo po jeziorze często pływali wędkarze liczący na imponujące okazy; Pile było niezwykle malownicze, z wodą czystą jak łza, w której aż roiło się od dorodnych okoni i szczupaków.

Raisa ponownie ułożyła głowę na kocu i zasłuchała się w płomienny iberyjski romans. Jednak plusk odgarnianej wiosłami wody, zamiast słabnąć, stawał się coraz głośniejszy.

W łódce siedział chłopak w błękitnej koszulce i granatowej czapce z daszkiem. Ewidentnie zmierzał w kierunku plaży. Wiosłował zapamiętale, jakby ta czynność pochłaniała go najbardziej na świecie.

– Czego on tutaj szuka? – mruknęła pod nosem Raisa. – Chyba nie będzie tu łowił?

Edyta początkowo nie rozumiała. Zdziwiła się nawet, skąd przyjaciółce przyszło do głowy, że Miquel ma zamiar wędkować, skoro właśnie dobiera się w ogrodowej altance do bujnych piersi Esmeraldy.

– Ach, o niego ci chodzi... – Spojrzała za wzrokiem przyjaciółki. – Skąd mam wiedzieć?

Chłopak wyskoczył z łódki i zaczął holować ją do brzegu. Gdy osiadła pewnie na piasku, wyjął z niej plecak i adidasy. Zdjął z głowy czapkę, zmierzwił ciemne włosy i otarł czoło. Nie zaszczycił dziewczyn spojrzeniem.

– Niech to szlag! – rzucił pod nosem, próbując włożyć buty. – Zupełnie przemokły – wymamrotał.

Zirytowany związał sznurówki i przewiesił adidasy przez ramię. Włożył ponownie czapkę, zarzucił plecak, z którego zaczęła kapać woda. Powoli skierował się do lasu.

– Chyba zapomniałeś wędek! – zawołała za nim Raisa.

Chłopak odwrócił się.

– Nie płynąłem wędkować, ale dziękuję za troskę.

– Przyjechałeś na weekend czy jesteś tutejszy? – zapytała.

Nigdy nie była tak dociekliwa..., pomyślała zaskoczona Edyta.

– Mieszkam po drugiej stronie jeziora. – Chłopak wskazał na przeciwny brzeg. – Zepsuł mi się skuter, a łódką szybciej na drugą stronę niż pieszo.

– Mieszkasz w Dąbrowicy? – zainteresowała się Edyta.

Przytaknął.

– Nie przeszkadzajcie sobie, dziewczyny – dodał. – Domyślam się, że książka jest wciągająca... – Uśmiechnął się na widok okładki z parą w namiętym uścisku.

Raisa usiadła po turecku.

– Oho, ktoś tutaj jest uszczypliwy – roześmiała się.

– Może trochę. Ale sama powiedz, jaki miałabyś humor, gdyby na środku jeziora okazało się, że w twojej ukochanej łódce jest dziura?

– Nie zdziwiłabym się znanadto – odparła lekko Raisa.
– Zapewne przed zwodowaniem bym ją sprawdziła – zauważyła Edyta, sięgając po truskawkę.

Jej uwaga wyraźnie się nie spodobała. Chłopak podszedł bliżej.

– Jeśli chcesz wiedzieć, wczoraj wieczorem wy pływałem i była w porządku. Ktoś w nocy musiał urządzać w niej niezłą imprezę.

– No dobrze. Dowiodłeś własnej przezorności. – Edyta wpakowała truskawkę do buzi. – A teraz pozwól, że powrócimy do harlequina.

– To nie ja was zaczepiłem. – Rozłożył ręce.

Raisa chwyciła butelkę z wodą.

– Może masz ochotę? – zapytała. – Musiałeś się zmęczyć. Wiosłowałeś jak szalony.

Edyta rzuciła przyjaciółce niezadowolone spojrzenie.

Raisa była pewna, że chłopak odmówi, ale skorzystał z propozycji. Pił zachłannie, dużymi łykami. Miała chwilę, by dokładnie przypatrzeć się jego regularnym rysom, wyraźnie zarysowanej szczęce i silnym ramionom, które opinała koszulka. Podziękował i przysiadł obok nich na kocu. Niepytany, zaczął opowiadać. Najwyraźniej emocje znalazły wreszcie ujście.

– Gdybyście wiedziały, co sobie myślałem... – Pokręcił głową. – Umiem pływać, ale nie wiem, czy dałbym radę dopłynąć do brzegu ze środka jeziora. A ten jeden raz zapomniałem dużej kamizelki!

– Widać nie taka durna. – Edyta zerwała źdźbło trawy i zawiązała na nim supeł.

– Nie wiem, co mi się stało. Zawsze dbam o takie rzeczy.

– Ja to akurat świetnie rozumiem – wtrąciła Raisa. – Mimo że staram się mieć głowę na karku, często mi się coś przytrafia. Podobno dlatego, że urodziłam się trzynastego o trzynastej trzynaście.

– Serio? – Spojrzał rozbawiony. – Przynajmniej masz jakieś usprawiedliwienie. Tak w ogóle to mam na imię Marcin. Marcin Sobierajski.

Wymienili uściski dłoni, chłopak został poczęstowany ciastem drożdżowym upieczonym przez Raisę i owocami ze sklepu rodziców Edyty. W końcu spojrzął na zegarek i zorientował się, że jest już późno.

– Kurczę, miałem zawieźć materiał mamy do krawcowej! Ma zamiar uszyć sobie dokładnie taką samą sukienkę, jaką najczęściej nosi, tylko w innym kolorze. Wy, kobiety, jesteście dziwne. Jeszcze trochę, a nie zdązę! – Poderwał się i sięgnął po wciąż ociekający wodą plecak. – Zdaje się, że ten materiał trzeba będzie najpierw wysuszyć. Miło było was poznać.

– Wzajemnie! – odparła Raisa, zapatrzona w oczy o barwie zbliżonej do koloru jeziora.

– Może jeszcze kiedyś na siebie wpadniemy – dodał.

Raisa pomachała mu na do widzenia.

Edyta pokiwała głową, nie mogąc wyjść z podziwu. Przyjaciółka odprowadzała Marcina wzrokiem jak nie przymierzając Esmeralda, kiedy po raz pierwszy zobaczyła nowego ogrodnika.

– Szybko zmieniasz zdanie – rzuciła, wracając do książki.

– W jakim sensie?

– Mówiłaś, że te całe harlequiny cię śmieszają...

Raisa położyła się na brzuchu.

– Bo tak jest.

– A to, co tutaj właśnie się rozegrało, to niby co?

– Przestań! – obruszyła się Raisa. – Sama przyznaj, jest przystojny. Do tego wydaje się miły. Chyba można zamienić kilka słów?

– Tylko czasem nie wpadnij na pomysł, żeby wynająć łódkę i kazać mi kursować po jeziorze w poszukiwaniu tego Miquela z Dąbrowicy.

Raisa rzuciła w przyjaciółkę zakrętką od mineralnej.

– Głupia jesteś! – powiedziała i upiła kilka łyków.

Myśl, że przed chwilą pił z niej Marcin, sprawiła, że woda smakowała jak nigdy wcześniej.

Raisa przyszła na plażę następnego dnia. Choć dobrze wiedziała, że prawdopodobieństwo, że spotka Marcina, jest znikome, ciągnęło ją tam. Po łódce nie było śladu, więc uznała, że jest w naprawie. Pamiętała, że ze skuterem też są problemy. Szybko się na niego nie natknę, stwierdziła. Jeśli w ogóle.

Choć ją zaintrygował, nie zamierzała jechać do Dąbrowicy i przechadzać się po wsi, licząc, że wpadnie na niego niespodziewanie.

Minęły dwa tygodnie. Myśli o Marcinie zdarzały się rzadziej, choć Edyta robiła wszystko, by przypominać o nim przyjaciółce. A już na pewno o maślanych oczach, które ta podobno do niego robiła.

Raisa, po całym dniu spędzonym na truskawkowym polu, nie miała ochoty nigdzie wychodzić, ale ojciec poprosił ją o drobne zakupy. Szła ulicą, przypatrując się jadącym samochodom, kiedy usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Zaraz potem dobiegł do jej uszu warkot silnika.

– Cześć, Raisa. Znowu się spotykamy.

– O, widzę, że skuter już naprawiony. – Obrzuciła spojrzeniem niewielką srebrną maszynę.

– Tak, na szczęście. Mama była w zeszłym tygodniu na poprawkach u krawcowej, a dzisiaj przyjechałem, żeby odebrać sukienkę.

– Ta krawcowa szyje jak szalona. – Raisa się uśmiechnęła.

– To prosta sukienka. Nic skomplikowanego.

– Zastanawiałam się, jak twoja łódź.

– Niestety, będzie musiała chwilę poczekać na naprawę. Mamy teraz

z rodzicami trochę pilniejszych wydatków. A jak skończyła się książka? – Marcin spojrzął z błyskiem w oku.

Raisa założyła włosy za ucho.

– Tak jak większość. Była ucieczka kochanków, próba odbicia żony, połała się krew. A później żyli długo i szczęśliwie.

– Każdy liczy na szczęśliwe zakończenie.

– Cóż, Emanuel go nie doczekał. Ogrodnik zwiął z jego żoną, a potem na dodatek poderżnął mu gardło.

– Biedak! – podsumował Marcin. – Chyba powinienem zacząć czytać romanse. – Pokiwał głową. – To brzmi jak kawał dobrej sensacji. Masz trochę czasu? Może skoczmy na lody?

– W sumie szłam po zakupy, ale chyba mogą poczekać.

Raisa ze wszystkich sił starała się, aby jej głos brzmiał spokojnie i nie zdradzał prawdziwych emocji. Kiedy bowiem Marcin zaproponował jej lody, poczuła się niemal jak Esmeralda przy Miquelu w różanej altanie.

Chwilę potem siedzieli na ławce w cieniu drzew. A Raisa dowiedziała się, że Marcin kończy pierwszy rok marketingu na uniwersytecie w Szczecinie. Studiuje zaocznie, bo na co dzień pracuje u ojca w hurtowni materiałów budowlanych. Ma nadzieję, że niedługo załapie pracę zbliżoną do kierunku studiów i wyjedzie do Szczecina.

To mało optymistyczne, pomyślała Raisa i zaraz napomniała się w duchu, że przecież nic ich nie łączy.

Nie czuła smaku lodów, które jadła, zapatrzona jak sroka w gnat w nieco melancholijne oczy i zasłuchana w niski i ciepły tembr głosu. Marcin miał na sobie zwykłe džinsy i prosty zielony T-shirt, ale według niej wyglądał w tym zestawie wyjątkowo atrakcyjnie. Słuchała o koszykówce, którą lubił oglądać i grywać w nią z kolegami, o pierogach z mięsem, za którymi przepadał, i muzyce Ennia Morricone, której uwielbiał słuchać. Choć w upodobaniach znacznie się różnili, rozumieli się w lot i mieli podobne poczucie humoru.

Gdy w końcu Raisa dotarła do sklepu, zapomniała o połowie zakupów, ponieważ chodząc między półkami, wciąż na nowo przeżywała ich rozmowę. Zdanie po zdaniu.

Pan Bogdan krzątał się po kuchni zaniepokojony długą nieobecnością córki. Gdy wreszcie się pojawiła, ale bez pomidorów i szynki, a zamiast śmietany przyniosła jogurt, zdziwił się nieco. Wiele można było powiedzieć o Raisie, ale raczej nie to, że jest roztargniona. A sklep, do którego ją wysłał, zawsze był dobrze zaopatrzony.

– Tym razem nie mieli śmietany, tato – skłamała gładko.

Pan Lechowicz schował sprawunki do lodówki.

– W sumie dlaczego mnie to dziwi? Przecież to ty poszłaś po zakupy, więc

mogło czegoś zabraknąć. Dobrze, że chociaż cokolwiek przyniosłaś na jutrzejszy obiad – zauważył ze śmiechem.

– Jutro dokupię resztę. Na pewno dowiozą – odparła Raisa i pośpiesznie wyszła z kuchni. Miała ochotę zaszyć się na górze u siebie i na nowo wyświetlić w głowie film ze spotkania z Marcinem. Mimo że wiedziała, co powiedziała by o tym Edyta, nie potrafiła się powstrzymać.

Nie musiała tęsknić do spotkań, bo coraz częściej natykała się na Marcina w mieście. Jakby miał w Bornem coraz to nowe sprawy do załatwienia. Kiedy jednak zaczął przyjeżdżać na plantację po to tylko, aby przywieźć Raisie lemoniadę, dotarło do niej, że najprawdopodobniej nie tylko ona myśli o nim przed zaśnięciem.

Uważała, że trwają właśnie najpiękniejsze wakacje w jej dotychczasowym życiu. Nie przeszkadzał jej skwar lejący się z nieba, bolący od zbierania truskawek krzyż ani ręce pocięte przez komary. Wieczorami chadzali z Marcinem na romantyczne spacery brzegiem jeziora, wybierali się na wycieczki skuterem do lasu i na wrzosowiska albo grillowali w ogrodzie jego rodzinnego domu.

Pan Lechowicz, nieustannie zajęty w warsztacie, myślał, że córka jak zwykle włóczy się gdzieś z Edytą. Tylko Laura, kiedy złożyła już wszystkie egzaminy i wyjrzała wreszcie zza książek na świat, szybko zorientowała się, że coś jest na rzeczy. Pewnego czwartkowego wieczoru, podczas przygotowywania kolacji, zaproponowała:

– Raisa, przyprowadź go do domu. Tato powinien go poznać. Tym bardziej że, jak wspomniałaś, spędzasz czas u jego rodziców. To trochę nie w porządku, nie sądzisz?

Raisa przerwała darcie sałaty.

– Spokojnie, nie pali się przecież – powiedziała. I dodała po chwili: – Wiesz, obawiam się trochę reakcji ojca. On od razu wypali, że jestem jeszcze za młoda na chłopaka. No, sama wiesz...

– Nie musisz od razu ze wszystkiego się zwierzać. Powiedz mu, że to twój przyjaciel.

– Laura, tato nie jest głupi.

Laura zawzięcie kroїła cebulę.

– Nie jest. Ale bardzo chce wierzyć, że jesteś jeszcze za młoda, żeby się zakochać. À propos, widziałam was kiedyś razem na mieście. Jest bardzo fajny. – Uśmiechnęła się filuternie. – Chyba trochę starszy od ciebie, co?

– Co z tego? Zaledwie kilka lat. A jak tam twoje sprawy sercowe?

Laura wzruszyła ramionami.

– Karol stwierdził, że skoro wybieramy się na studia w przeciwległe zakątki kraju, to nie ma sensu tego ciągnąć. Może i ma rację...

– To brzmi jak wymówka. Ale skoro z ciebie zrezygnował, nie powinnaś

żałować.

Laura uśmiechnęła się smętnie.

– Staram się skupiać teraz na czymś innym. Wiesz co? Skoro jutro przyjeżdża do domu Bernard, to może zorganizujemy sobie grilla? Przyprowadziłabyś Marcina. Fajna okazja, żeby na bezpiecznym gruncie zapoznać go z ojcem. Jak sądzisz?

Raisa zawahała się na moment, ale zaraz przytuliła siostrę. Pomyślała, że w podobny sposób na wieść o jej pierwszym chłopaku zareagowałyby mama. I poczuła ogromną wdzięczność.

Edyta miała prawo mieć pretensje. Raisa wiedziała, że zaniedbuje przyjaciółkę, ale nie potrafiła nic poradzić na to, że w wolnym od pracy w polu i w domu czasie ciągnie ją do Marcina. Obawiała się, że kiedy zaprosi ją na grilla, zirytowana Edyta zatrześnie jej drzwi przed nosem.

– No proszę! Któż to mnie odwiedził? Esmeralda we własnej osobie!

Edyta oparła się ramieniem o framugę i ostentacyjnie skrzyżowała ramiona na piersi.

– Wiem, nawaliłam. – Raisa zagryzła wargi. – Nie mam niczego na swoje usprawiedliwienie.

– Właż! Liczę tylko, że będziesz tak samo wyrozumiała, jak pewnego dnia to ja wpadnę w otchłań miłości.

Twarz Raisy pojaśniała.

– Możesz na mnie liczyć!

Przyjaciółka zaprowadziła ją do pokoju.

Włączyły muzykę. Zajadając szarlotkę, Raisa opowiedziała jej o przeżyciach ostatnich tygodni.

– Żebyś wiedziała, jak on całuje! – westchnęła, układając się wygodniej na łóżku.

– Chyba nie chcesz, żebym się dowiedziała? – roześmiała się Edyta.

– Zawsze stroisz sobie żarty... – Raisa spoważniała i dotknęła jej dłoni. – Chcę ci powiedzieć, że jestem taka szczęśliwa! Nie wiedziałam, że można aż tak.

– Cieszę się. Naprawdę ci się należało. Tylko postaraj się o mnie nie zapominać, dobrze?

– Nigdy w życiu!

Mimo że obawiała się reakcji ojca na wieść o Marcinie, grill zorganizowany w przydomowym ogrodzie uspokoił Raisę. Obyło się bez dziesiątek niewygodnych pytań. Wyglądało na to, że Laura napracowała się, żeby tatę przygotować, najprawdopodobniej łagodząc nieco rzeczywistość. Wprawdzie Bernard sam na sam z najmłodszą siostrą pokpiwał sobie trochę z jej wielkiej miłości, ale nie byłby sobą, gdyby tego nie robił. Mimo to i on w obecności Marcina nie palnął nic głupiego. Nie uczynił nawet żadnej zgryźliwej uwagi, gdy okazało się, że Marcin

nie ma bladego pojęcia o szachach. Raisa nie wiedziała, czemu zawdzięcza tak dobre traktowanie, choć podejrzewała, że bratu poprawia humor wizja solidnego zarobku na budowie w Niemczech, gdzie wybierał się niebawem. Natomiast Edyta, doglądając karkówki, cicho przekomarzała się z Marcinem, że muszą ustalić grafik spotkań z Raisą. Zarzekała się, że inaczej się nie polubią.

Bawiono się do późna. Rozmawiano, grano w planszówki, tańczono. Tylko pan Lechowicz, popijając piwo przy ogrodowym stoliku i popatrując na tę wesołą gromadę, popadał w melancholię. Choć starsza córka zapewniała go, że Marcin to tylko przyjaciel Raisy, nie był przecież ślepy i widział, jak młodzi na siebie patrzą. Może to za wcześnie, ale i tak tego nie powstrzymam, pokiwał głową. Są jak ja w młodości, pomyślał, gdy zobaczył ich wywijających rock and rolla. Jak wtedy, gdy poznałem Marię i byłem tak niemożliwie szczęśliwy...

Marcin został w willi na noc. Raisa przygotowała mu pokój gościnny. A następnego dnia po śniadaniu odprowadziła go do furtki i wręczyła zapakowane ciasto, które tak mu wczoraj smakowało.

– Było super – powiedział. – Cieszę się, że poznałem twoją rodzinę. Jestem pod wrażeniem tego, co twój tato zrobił z tym domem. Włożył ogrom pracy.

– Myślałam, że pęknie z dumy, jak go zacząłeś chwalić – roześmiała się.

– To nie była kurtuazja. Naprawdę go podziwiam. A córka to już w ogóle mu się udała! – Marcin przyciągnął Raisę do siebie.

Poczuła zapach mydła na jego skórze.

– Mówisz o mnie czy o Laurze? – zapytała, zadzierając głowę.

– Oczywiście, że o Laurze.

– Ożeż ty!

– Dobrze wiesz, kogo miałem na myśli – powiedział.

A Raisa zapagnęła zaszyć się z nim w jakimś uroczym zakątku i mieć go przy sobie naprawdę blisko.

Nie pamiętała już, jak wyglądały jej dni bez kojącej świadomości, że ma w swoim życiu Marcina. Był jak dopełnienie; dzięki niemu uwierzyła, że wszystko, co złe w jej życiu, już się wydarzyło. Przed Raisą rozpościerała się jego lepsza część. Jej życie wcale nie jest naznaczone pechem, a tym bardziej nie ma nic do rzeczy jej data i godzina urodzenia!

– Owszem – mawiał czasem Marcin. – Przytrafiło ci się mnóstwo nieprzyjemnych zdarzeń, ale popatrz, poznałaś też mnie. A to chyba nie taki znowu pech?

Nie można się było z tym nie zgodzić.

Była wdzięczna losowi za to uczucie, za tego niezwykłego człowieka. Marcin bardzo jej pomagał przed maturą. Jeśli w jej głowie były zupełnie inne rzeczy niż wkuwanie dat z historii, przywoływał ją do porządku, choć i jemu trudno było oprzeć się pokusie. W trakcie egzaminów przychodził pod szkołę; po

każdym kolejnym z bukietem jej ukochanych białych róż. Mówiła mu wtedy, że dobrze jej idzie tylko dlatego, że ma świadomość, że on o niej myśli. Planowała studia na historii sztuki, a Marcin miał zamiar ostatecznie skończyć z hurtownią ojca i znaleźć inną, bardziej odpowiadającą mu pracę. Chcieli wynająć kawalerkę i wreszcie być razem. Budzić się i zasypiać przy sobie.

Pod koniec lipca Raisa dostała wiadomość, że została przyjęta na wymarzony kierunek, i powiedziała o tym Marcinowi pierwszemu. Uznali, że to znak, otwarta droga do ich wspólnej przyszłości. Ojciec, o dziwo, także się ucieszył, mimo że historia sztuki nie wprawiała go w zachwyt. Nie wiedział jeszcze o dalszej części planu. Raisa postanowiła oswajać go z tym stopniowo.

Spotkali się wieczorem, na plaży, gdzie się poznali. Raisa włożyła białą letnią sukienkę, na stopy wsunęła sandaalki, a nie, jak jeszcze niedawno, martensy. Przeglądając się w lustrze, pomyślała, że przydałby się jej słomkowy kapelusz. Sprawię sobie taki, postanowiła. Koniecznie przewiązany wstążką.

Szła powoli leśną ścieżką. Ptaki śpiewały cudownie, powietrze było rozkosznie ciepłe. W jej żyłach płynęły radość i ekscytacja. Wieczór na romantyczną randkę z ukochanym był wprost wymarzony.

Czekał przy swojej białej łódce. Gdy do niego podeszła, porwał ją w ramiona. Kręcili się tak długo, aż świat niebezpiecznie zawirował.

– Jestem z ciebie taki dumny, kochanie! – powiedział Marcin, stawiając wreszcie Raisę na piasku. – Popatrz, co dla nas przygotowałem. Wszystko, żeby uczcić twój sukces.

Dno łódki zostało wyścielone kocem i poduszkami. Pośrodku stał koszyk. W kubelku z lodem chłodził się szampan, w miseczce tłoczyły się czereśnie i winogrona. W pudełku z cukierni małe ciasteczka.

– Ale jesteś kochany! – Raisa była zachwycona.

Elegancko podał jej ramię.

– Mademoiselle...

Kiedy odpływali, spojrzała z niepokojem.

– Ale sprawdziłeś, czy nie jest dziurawa? – zapytała.

Popatrzył z niedowierzaniem.

– Pewnie! To było tak dawno, a ty wciąż o to pytasz! Od tamtej pory robię to zawsze, jeszcze dokładniej niż kiedyś. W razie czego mam też kamizelki. – Wskazał miejsce pod ławką za plecami.

Na środku jeziora Marcin odłożył wiosła i przystąpił do otwierania szampana. Rozlał buzujący napój do smukłych kieliszków. Raisa wzniosła toast.

– Za nas! – powiedziała uroczyście.

Zabręczało szkło.

– Kocham cię, Raiso! Cieszę się, że cię spotkałem. Jesteś najważniejszą osobą w moim życiu.

Popatrzyła w znajome błękitne oczy, w których zatoneła już tamtego czerwcowego popołudnia na plaży, poruszona wyznaniem. Marcin był czuły i romantyczny, ale nieszczęśliwie wylewny. Domyślała się, że kolejne takie słowa nie powtórzą się zbyt szybko.

– Ja ciebie też – wyszeptała wzruszona.

Pływali, zachwyceni cudownym zachodem słońca, które zgotowało im barwny spektakl na niebie. Oboje czuli, że mogą dryfować tak bez końca. Niczego więcej nie było im trzeba. Dopiero po chwili dostrzegli, że niebo zaczyna się zmieniać. Zza drzew wyłoniły się spiętrzone granatowe cumulonimbusey i w szybkim tempie parły do przodu. Zerwał się wiatr. Im bliżej były chmury, tym stawał się coraz bardziej niepokojący.

– Dobra, nie ma na co czekać! Zmykamy stąd! – Marcin chwycił za wiosła i zaczął kierować się do najbliższego brzegu.

Zawziętość, z jaką nimi pracował, przypomniała Raisie chwile, gdy płynął ku plaży, ratując łódkę przed zatonięciem.

– Powinniśmy zdążyć – rzuciła uspokajająco, odwróciwszy głowę.

I wtedy usłyszeli pierwszy grzmot, a grafitowe niebo przecięła oślepiająca błyskawica.

Wiatr wył złowrogo. Spokojne dotąd jezioro rozchygotało się niebezpiecznie. Spore fale utrudniały dotarcie do brzegu, a Raisa pożałowała, że nie mają dodatkowej pary wiosel.

Wpłynęli w szuwały. Byli już naprawdę blisko i zaczęli nawet zastanawiać się, gdzie się skryją. Pełno tu było opuszczonych powojennych zabudowań, więc liczyli, że szybko znajdą schronienie. Usłyszeli kolejny grzmot, tuż nad nimi. Potem jeszcze jeden.

– Spójrz na moją rękę! – krzyknął Marcin, pokazując sterczące od naelektryzowanego powietrza włosy.

Oślepiający piorun uderzył dokładnie w ich łódkę. Po jeziorze przetoczył się huk, ale oni już go nie usłyszeli.

Ocknęła się w szpitalu. I zupełnie jak kiedyś zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz ojca. Pomyślała, że postarzał się przez ostatnie lata. Na czole miał znacznie więcej zmarszczek.

– Obudziłaś się, córeczko! – Poglądził ją czule po głowie.

– Raisa!

Pełen ulgi głos Laury, która weszła na salę z kawą dla taty, był jak anielskie pienia.

– Kochanie, jak się czujesz? – zapytał pan Bogdan.

– Ja? Nie wiem. Właściwie...

Raisa spróbowała usiąść, ale ojciec ją przytrzymał.

– Leż, odpoczywaj. Na szczęście lekarze mówią, że z sercem jest

w porządku, ale nie powinnaś się przemęczać.

W pierwszej chwili nie wiedziała, o czym mówi ojciec i dlaczego właściwie znalazła się w szpitalu. Wspomnienie powróciło nagłą falą, z siłą bolesnego ciosu. Stało się jasne, dlaczego czuje tętniący niepokój.

– Tato, co z Marcinem? – zapytała.

– Najważniejsze, że jesteś cała i zdrowa – odparł, uciekając wzrokiem.

– Co z nim?! – Raisa spojrzała na siostrę.

Laura dotknęła ramienia ojca.

– Tak mi przykro, córuś – powiedział pan Bogdan. – Marcin nie żyje.

Raisie pociemniało przed oczami. Zapadła się w otchłań. Wcale nie czuła, że z jej sercem jest wszystko w porządku.

Ono właśnie rozpadło się na kawałki.

Piorun trafił w głowę. Prąd pobiegł z krwią aż do serca, a potem w dół, ku prawej kończynie. Marcin stracił przytomność, ośrodkowy układ oddechowy przestał pracować, rytm serca ustał. Wypadł za burtę. Również Raisa w momencie porażenia zemdląła, na szczęście pozostała w łódce. Znalazł ją przejeżdżający wędkarz, który uciekając przed burzą, zauważył w szuwarach biały kształt.

W szpitalu lekarz przyjmujący wyjaśnił, że najwyraźniej dziewczyna doznała porażenia bocznego, poprzez odgałęzienie ładunku głównego. Na skórze brzucha, gdzie piorun przepalił jej ubranie, i przedramion, gdzie nosiła bransoletki, miała poparzenia, ale nie dolegało jej nic więcej. Doktor zalecił obserwację i w razie pojawienia się jakichkolwiek dolegliwości natychmiastowy powrót na oddział. Ostrzegł wyraźnie przed możliwością wystąpienia stresu pourazowego i skierował na konsultacje do psychologa.

Jednak Raisa z nikim nie chciała się konsultować. Wszystko, co miała wiedzieć, już wiedziała. I nic nie mogło zmienić tego przerażającego stanu rzeczy. Nurkowie szybko odnaleźli ciało Marcina, a ona każdego dnia żałowała, że nie zginęła razem z nim. Przynajmniej nie cierpiałabym teraz tak bardzo, kołatało jej w głowie.

Po pogrzebie zamknęła się w pokoju i w sobie. Praktycznie nie wychodziła na zewnątrz i żyła niemal jak karmelitanki z pobliskiego zakonu. Tyle że nie odcięła się od świata, by dni wypełnić modlitwą. Pochłonęła ją rozpacz, niezgoda na los i bolesna, niemal rozrywająca ciało tęsknota. Zastanawiała się nawet, czy ze sobą nie skończyć.

Czuła się źle. Bardzo źle. Z każdym mijającym tygodniem gorzej. Ojciec napierał na wizytę u lekarza, ale Raisa odmawiała uparcie, twierdząc, że nikt nie może jej pomóc, a żaden medyk życia Marciniowi nie wróci. Pod koniec sierpnia zorientowała się, że złe samopoczucie nie jest wyłącznie wynikiem doznanego urazu i wstrząsu psychicznego.

Sądziła, że została zupełnie sama, tymczasem czekała ją niespodzianka.

Zaskoczyła ją gwałtowność uczuć, które ją dopadły. Zamiast tkliwości przepełniały ją złość, gorycz, niezgoda i bunt. Zanegowała swój stan, ale jak Scarlett O'Hara postanowiła zmierzyć się z tym później. Teraz wiedziała wyłącznie jedno – że się dusi. W tym domu, w tej miejscowości, której wszystkie zakątki kojarzyły się z Marcinem.

A mieliśmy wieść wspólne życie! Wspólne! Ja i on!, myślała obsesyjnie.

Końca września i początku roku akademickiego wyczekiwała jak wybawienia. Ojca cieszył ten jej zapal do wyjazdu. Sądził, że jego córeczka wraca do żywych.

Tuż przed wyjazdem Raisa odwiedziła Edytę, która przez całą rekonwalescencję towarzyszyła jej w każdej wolnej chwili. Starła się odrywać przyjaciółkę od smutnych myśli, o co gorąco prosili ją Laura i pan Lechowicz, ale wiedziała, że to próżny trud. Patrzyła Raisie w oczy, lecz nie widziała w nich nadziei. Dostrzegła bezsilność i rezygnację. Dlatego, podobnie jak pan Bogdan, liczyła, że zmiana miejsca dobrze jej zrobi. Że studia, dni wypełnione zajęciami pozwolą jej choć trochę ukoić rozpacz.

Raisa siedziała po turecku na jej łóżku, zupełnie jak kiedyś, z kubkiem gorącej herbaty w dłoni.

– Jestem w ciąży – oświadczyła beznamiętnie.

Edyta pobladła.

– Ale jak to...? Przecież...

– Edyta, ja oszaleję – wykrztusiła Raisa przez ściśnięte gardło. – Jego już nie ma i nigdy nie będzie! Rozumiesz? Nie potrafię... Po prostu nie mogę!

Zobowiązała przyjaciółkę do milczenia i wyjechała.

Co z tego, jeśli czuła, że nie przystaje do tej wesołej, beztroskiej i skłonnej do zabaw studenckiej gromady? Rosnący brzuch zaczął być widoczny, ale Raisa zachowywała się tak, jakby nic się nie zmieniło. Gdy koleżanki z roku pytały ją, co dalej z nauką, jak zamierza się zorganizować, czy pomoże jej ojciec dziecka, odpowiadała tylko, że jakoś to będzie. A one podziwiała jej spokój.

Grała w tę grę pozorów, choć w istocie czuła się zagubiona jak nigdy. Nie przyjechała do domu na święta, tłumacząc się paskudną gripą. Posiłkując się licznymi wymówkami, a to sesją, a to zmyślnym stażem, na który się dostała, doczekała wiosny. Lecz prawda była taka, że w rodzinie nikt w te wymówki nie wierzył. Wszyscy sądzili, że Raisa ucieka przed przyjazdem do Borneo, żeby nie konfrontować się z bolesnymi wspomnieniami. Postanowiono dać jej czas. Bliskich uspokajały liczne rozmowy telefoniczne, potwierdzenie, że Raisa wciąż żyje i że wszystko jest w porządku. Pocieszały ich rozmowy z Edytą, która stała za przyjaciółką murem, nawet jeśli jej nie rozumiała i nie pochwałała jej postępowania.

Dziecko przyszło na świat w kwietniu.

Edyta wsiadła w samochód natychmiast po telefonie, że zaczęły się skurcze. Dotarła jeszcze przed rozwiązaniem, szczęśliwa, że oto zostanie zwolniona z przymusu milczenia.

Dziewczynka była śliczna. Edyta rozpływała się nad jej malutkimi paluszkami, drobnymi delikatnymi uszkami i oczami jak małe węgielki. Za to Raisa prawie wcale nie patrzyła na córkę.

– Długo nad tym myślałam – powiedziała, gdy Edyta kołysała małą w ramionach. – Chcę ją oddać.

– Co ty wygadujesz? Przecież ona jest taka cudowna!

– Zgadza się, ale to postanowione. Przy mnie nie czeka jej nic dobrego. Powinna trafić w dobre, bezpieczne miejsce, do kochających ludzi. Tego dla niej pragnę.

– Takie miejsce jest przy matce – oświadczyła Edyta ze zgrozą.

– Nie przy takiej jak ja – ucięła Raisa. – Pomożesz mi?

Przyjaciółka znieruchomiała.

– Czego właściwie ode mnie oczekujesz? – zapytała po chwili.

– Pomocy. Niczego więcej.

– Porozmawiamy, jak ochłoniesz – powiedziała uspokajająco Edyta. – Jesteś przemęczona. Jutro będzie nowy dzień. Jestem pewna, że zmienisz zdanie. A jeśli nie... Może powinnaś skonsultować się z psychologiem?

Nadszedł nowy dzień, który nie zmienił niczego. Raisa nie zamierzała zwierzać się nikomu z własnych uczuć. Wiedziała, że i tak nikt jej nie zrozumie. W sercu miała wyrwę, pustą otchłań i niezłomne postanowienie.

Jedyne, co mogę zrobić dla niej i dla tej malutkiej bezbronnej istotki, to je wesprzeć, pomyślała Edyta.

Czuła, że to najlepsza z możliwych decyzji.

Rozdział 7

Czołem, panie prezydencie! – zakrzyknęła chórem kompania reprezentacyjna Wojska Polskiego w składzie trzech rodzajów broni.

Jacek Nowaczyk, w towarzystwie dyrektora protokołu dyplomatycznego MSZ, razem z prezydentem Francji Jakiem Girardem oddał hołd sztandarowi, po czym ruszył po czerwonym dywanie przez dziedziniec pałacu.

Dwaj prezydenci przystanęli przed fotoreporterami i tkwili tak przez chwilę wśród serdecznych uśmiechów i potrząśnięć dłoni w przyjacielskim uścisku. Choć dzięki lekarstwom, które załatwił Walczak, prezydent zdążył zapomnieć o migrenie, od tych nieco przesadzonych uśmiechów rozboleła go szczęka. Czuł nieprzyjemne napięcie w policzkach.

Położył dłoń na plecach Girarda, co, jak go szkolono, miało podkreślać jego siłę, pewność oraz dać znać gościowi, kto tutaj rozdaje karty. Po chwili poczuł jednak dłoń na swoich plecach.

Ci Francuzi są jednak zbyt pewni siebie!, pomyślał.

Kiedy fotoreporterzy mieli już swoje zdjęcia, Nowaczyk zaprosił Girarda do pałacu, gdzie czekał uroczysty obiad.

– Bardzo lubię polską kuchnię! – ucieszył się Francuz, choć, jak można było wnosić po jego wątlej posturze, wyglądał raczej na kogoś, kto preferuje wyłącznie ślimaki, a i to w nieprzesadnych ilościach.

Kolację podano w Sali Niebieskiej. W jej centralnym miejscu ustawiono długi, elegancko nakryty stół. Pomieszczenie rozświetlał kryształowy żyrandol, rzucający delikatne refleksy na portret Tadeusza Kościuszki nieznanego autora oraz *Byka rozjuszonego* Francesca Casanovy.

– *Oh là là!* – zachwycił się Girard, siadając przy stole. – Jakie piękne!

– W istocie, mamy się czym pochwalić – powiedział Nowaczyk. – Może to nie Luwr czy muzeum d’Orsay, ale mamy w pałacu wspaniałe płótna. Po kolacji podejmiemy do sali bankietowej, zwanej też obrazową, właśnie ze względu na dzieła, które się w niej znajdują. Można tam podziwiać między innymi *Walkę centaurów z lampartem* Louisa de Silvestre. A w Sali Nowosielskiego prace naszego cenionego artysty Jerzego Nowosielskiego. Bardzo lubię jego pejzaże – dodał prezydent.

Tłumaczka, zajmująca miejsce po jego lewej ręce, dokończyła przekład.

– Bardzo chętnie obejrzę – odparł Francuz. – Jestem miłośnikiem malarstwa. Cieszę się również, że mogę panu osobiście pogratulować wyróżnienia waszej rodaczki Raisy Hedwig. Wśród Francuzów odznaczono Nicolasa Bonarda w kategorii „najbardziej płodny mężczyzna świata”. Podobno ma czterdzieścioro

dzieci i dwadzieścioro pięcioro wnucząt. Z pewnością przyczynił się do rozkwitu naszej planety.

Nowaczyk pomyślał o dramatycznym przeludnieniu, z jakim zмага się Ziemia, ale przemilczał uwagę gościa.

– Bardzo dziękuję, także się cieszymy. To tylko pokazuje, jak silni są nasi rodacy. Jak wiele potrafią znieść i wyjść z tego z podniesioną głową. Pojutrze zamierzam odznaczyć panią Raisę Krzyżem Zasługi.

– Och tak, zdecydowanie jej się należy. Podziwiam tę panią chyba nawet bardziej niż Bonarda – roześmiał się Girard.

Na kolację podano supę krem z borowików, kaczkę z morelami, jagnięcinę z powidłami śliwkowymi i karczochami, perliczkę w rozmarynie i trochę bałtycką marynowaną w soli. Dania rozdzielano sorbetem, który miał przygotować podniebienia biesiadników na kolejne potrawy. Na deser zaserwowano tartę z malinami i puszysty mus z jagód.

Posiłek przebiegał w miłej atmosferze, pełnej wzajemnej kurtuazji. Nowaczyk robił, co do niego należało. Nie szczędził peanów urokowi francuskich miast i bogactwu krajobrazów. Zapewnił również o swojej wielkiej miłości do francuskiego kina. Podkreślał znaczenie przyjaźni, która łączy oba kraje, oraz rolę dalszego rozwoju współpracy gospodarczej. Francuz nie pozostawał mu dłużny. Opowiedział o wspaniałych wakacjach, które spędził u polskich przyjaciół na Mazurach.

– Co to były za czasy! Miałem wtedy trzydzieści lat i wszystko przed sobą – podkreślił.

Nowaczyka aż zaświerbiło, żeby porzucić te pieruńskie, obwarowane protokołem dyplomatycznym konwersacje i zapytać Girarda wprost, czy jest zadowolony z miejsca w życiu, w którym się znalazł. I czy zdarzają mu się poranki, kiedy dociera do niego, że cel, do którego dążył, okazał się w gruncie rzeczy niewart zachodu. Chciał to wiedzieć, sam bowiem miewał takie poranki. W zasadzie zdarzały mu się codziennie od niemal dwóch lat. Wątpliwości, które coraz częściej przebijały się do jego świadomości, oddalał, oglądając po nocach rodeo i zalewając się pięciogwiazdkowym koniakiem, gdy prezydentzy przedstawiali byki przed występem. Robili to z taką pasją, że każdy wydawał mu się ciekawszy i ważniejszy niż on sam. Dziwne uczucie.

Kiedy w ubiegły weekend żona poinformowała go, że chce odejść, poczuł, że ostatecznie zapada się w otchłań, z której nie ma wyjścia.

W sobotni wieczór Małgorzata wyszła z łazienki ze szczoteczką do zębów w jednej dłoni, a pastą w drugiej i oświadczyła tonem godnym bardziej przyziemnych rzeczy, że chce rozwodu. Dodała, że wyświadczy mu przysługę i utrzyma pozory do końca kadencji.

– Mam nadzieję, że nie będziesz się starał o reelekcję? – zapytała

z naciskiem, wprawnym ruchem nakładając pastę na szczotkę.

– Masz kogoś? – Nowaczyk przerwał rozpinanie koszuli.

– Mowy nie ma! – Aż się wzdrygnęła. – Marzę wyłącznie o swobodzie i o świętym spokoju.

Po czym pierwsza dama, powiewając połami granatowego szlafroka, znikła za drzwiami łazienki, a prezydent wyobraził sobie, jak na takiego newsa rzucają się dziennikarze. I skulił się w sobie. Dzięki Bogu chłopcy są już dawno dorośli i rozpad małżeństwa nie zaważy na ich szczęściu, pomyślał.

Synowie naprawdę im się udali – Tomek był adwokatem, Igor chirurgiem. Obaj mieli wspaniałe rodziny. To była jedyna rzecz, z której Nowaczyk był dumny naprawdę. Choć nie mógł powiedzieć, aby miał pod górkę...

Na pewno nie tak jak Raisa Hedwig, stwierdził. Tylko co z tego? Co z tego?

– Po kolacji czeka nas wspaniały koncert – zwrócił się do Girarda. – Nasz najlepszy pianista Rafał Mechacz zagra Chopina. Słyszałem, że to pański ulubiony kompozytor.

– Zgadza się! – ożywił się Francuz. – Kocham Chopina. Jak by nie patrzeć, jest trochę nasz wspólny, prawda?

Nowaczyk uśmiechnął się w duchu. Nie byłoby dobrze widziane, gdyby zaczęli się licytować, kim Chopin był bardziej. Podejrzewał, że Girard i tak wiedział swoje, tak samo jak on.

Wizytę francuskiego prezydenta zaplanowano na dwa dni. Jutro politycy mieli zjeść wspólnie śniadanie, co gospodarza niespecjalnie cieszyło, a Girard spotkać się potem z premierem i marszałkiem Sejmu. Na później wyznaczono wspólną konferencję prasową obu prezydentów, podsumowującą omawiane przez nich kwestie.

Kiedy wyczerpano lżejsze tematy, Girard przeszedł do rzeczy. Mówił o zasadności powołania kolejnej wspólnoty państw.

Obaj dobrze pamiętali schyłek Unii Europejskiej. Zaczęło się od wyjścia Wielkiej Brytanii, a potem zadziałała zasada domina. Kolejnym krajom nie podobał się nacisk na przyjmowanie rosnącej fali uchodźców z Syrii. Obawa przed coraz częstszymi i coraz bardziej nieprzewidywalnymi zamachami terrorystycznymi zmiotła strefę Schengen. A gdy przywrócono kontrolę na granicach, zaczęto zastanawiać się nad sensem wspólnoty, która targana nacjonalistycznym nastawieniem przywódców niektórych państw, przestawała być jednością. W polityce wybijały się ruchy skrajnie narodowe, które miały wyborców pięknymi patriotycznymi hasłami, wykorzystując nastroje społeczne do zdobycia władzy. Prawicowe rządy podsycaly nieufność, agresję i prowokowały alienację. To nie mogło się dobrze skończyć. Wspólnotę rozwiązano z poczuciem porażki i niesmaku, ale i ulgi w najbogatszych państwach Europy. Największą odczuły Niemcy, z przyzwyczajenia chyba obwiniane o wszystkie złe decyzje.

Girard twierdził, że Wielka Brytania i Niemcy otrząsnęły się i są gotowe do nowej współpracy w zmienionej formule. I bardzo chciał wiedzieć, jak na ten pomysł zapatruje się Polska.

Nowaczyk nie bardzo potrafił ująć to dyplomatycznie. Najchętniej wywaliliby kawę na ławę i wyjaśnił, że nie po to partia, z której się wywodzi, już dekadę wcześniej zdemontowała wszystkie ważniejsze instytucje państwa i poprawiła konstytucję pod własne potrzeby, żeby teraz na nowo spętały ją odgórne ograniczenia. Oficjalnie jednak utrzymywano, że rząd polski jest proeuropejski i hołduje zasadom demokracji.

Girard z pewnością był nie w ciemną bity i jak inne głowy państw wyczuwał pismo nosem, ale został wysłany z misją badawczą. Usłyszał zatem stanowisko, że Polska, owszem, ceni sobie współpracę z europejskimi krajami i uważa, że partnerstwo na wielu płaszczyznach jest czymś potrzebnym i niezbędnym. Jednak rząd i prezydent nie będą się angażować w przedsięwzięcia ryzykowne dla partii.

– Poza tym powinniśmy się uczyć na błędach poprzedników – oświadczył Nowaczyk, patrząc prosto w duże, nieco wylupiaste oczy Francuza.

– Też jestem tego zdania. Należy poznawać przyczyny tych błędów i realizować nowe projekty z ich wyłączeniem, za to z nowymi rozwiązaniami. Pomyślcie o tym. Możemy razem zbudować silną strukturę, która stawi czoła wyzwaniom, jakie niesie przyszłość. Myślę, że ważna byłaby dla Polski choćby współpraca energetyczna. Wasze zasoby węgla są na wyczerpaniu, wycięliście też i spaliliście połowę lasów, zamiast wspierać produkcję energii ze źródeł odnawialnych. Nigdy nie zbudowaliście elektrowni jądrowej, a my mamy ich ponad sześćdziesiąt. Nie twierdzę, że to najlepsze rozwiązanie, ale przynajmniej nie emitujemy gazów cieplarnianych powodujących tragiczne zmiany klimatu. Proszę się nad tym zastanowić! A nawiązując do idei, które kiedyś nas połączyły, musimy pamiętać, że zbaczanie z drogi solidarności czy też rezygnacja z demokratycznych rozwiązań nigdy nikomu nie przyniosły niczego dobrego.

– Ależ my z niczego nie zbaczamy. A każde propozycje rozważamy poważnie i skrupulatnie – zapewnił spokojnie Nowaczyk, upijając łyk kawy.

Gdy gorycz ciemnego jak smoła napoju rozlała się po języku, pomyślał, że żadna unia, demokracja czy solidarność nie ułatwi mu rozwodu z żoną.

Zrobiło mu się słabo na myśl, że przed nim jeszcze długi wieczór. Najbardziej w świecie marzył o łóżku, ale nie o tym w pałacu ani nawet nie o tym w krakowskim mieszkaniu. Marzył o jednoosobowym łóżku z drewnianym wezgłowiec w domu nieżyjącej już babci Teresy. Ona zawsze wiedziała, jak go pocieszyć. Kiedy wskakiwał pod kołdrę, przynosiła ciepłe mleko i maślane ciasteczka. Zajadał je, maczając w mleku, a babcia czytała mu *Przygody Tomka Sawyera*, za którymi przepadał. To były te krótkie chwile, kiedy czuł się naprawdę ważny i akceptowany. W jego domu rodzinnym, jeśli chodzi o uczucia, panowały

podbiegunowe temperatury. Jego matka była znanym w mieście notariuszem, a do tego chodzącą pięknoscią. Niejeden klient, zamiast słuchać treści odczytywanego przez nią aktu, wpatrywał się urzeczony w jej idealne rysy oraz pełne usta. Ojciec jednak, uznany architekt, nie miał czasu zauważać, jak oglądają się za nią na ulicy mężczyźni, pochłonięty własnymi sprawami. Jego wrodzona potrzeba niezależności owocowała częstymi samotnymi podróżami, podczas których poszukiwał podobno pomysłów do nowych realizacji. Tych nowych projektów mały Jacek nigdy nie widział, za to obserwował łzy matki, która przepłakiwała kolejną noc. Gdy go na tym przyłapała, stawiała się nieznośna i oschła. Nie lubiła przyznawać się do słabości.

Jacek z biegiem lat więcej czasu spędzał u babci niż w rodzinnym domu. Babcia tłumaczyła mu, że rodzice są bardzo zajęci, ale on wiedział swoje. Nie był uroczym dzieckiem, a rumianym grubaskiem z okrągłą buzią i perkatym nosem. A jego matka była estetką. Na dodatek dostrzegała, jak prezentuje się jej przystojny mąż. Przez jakiś czas poważnie zastanawiała się, czy aby nie podmieniono jej syna w szpitalu, lecz w końcu uznała, że matka natura najwidoczniej ma spaczzone poczucie humoru. Stwierdziła, że jej Jacek zapewne będzie miał inne przymioty.

Gdy jednak poszedł do szkoły, okazało się, że nie jest prymusem ani też nie posiada żadnego talentu, który łagodziłby niedostatki urody.

– Przynajmniej jest grzeczny – słyszał czasem, jak mama z westchnieniem mówiła do koleżanek, które przychodziły w odwiedziny.

I były to w zasadzie jedyne miłe słowa, jakie usłyszał od rodziców. Gdy przynosił trójkę ze sprawdzianu lub ojciec zbyt długo bawił w podróży, dowiadywał się, że jest niedojdą, bezbarwnym beztalenciem czy pokracznym przedstawicielem swojej płci. Kiedy matka powiedziała mu kiedyś, że wygląda jak Quasimodo, dał się uwieść nadziei, że to nazwa jakiegoś uroczonego puszystego zwierzaczka. Przez to doświadczenie, mimo wielokrotnych wizyt w Paryżu, nigdy się nie przemógł i nie wszedł do katedry Notre Dame.

Tylko dla babci był „kochanym Jacusiem”. Tylko ona w niego wierzyła, tylko dla niej nie musiał być ładniejszy, szczuplejszy czy mądrzejszy. Ale to widać nie wystarczyło, gdyż od małego w sercu Jacka Nowaczyka tliła się silna potrzeba, by dojść do czegoś w życiu i pokazać rodzicom, na co go stać. Udowodnić, że nie jest tłukiem ani beztalenciem.

Jednak w dniu zaprzysiężenia oboje już nie żyli, a on nie osiągnął głównego celu w życiu. Gdy po złożeniu przysięgi wyszedł z Sejmu, spojrzął w zasnuwane szarymi chmurami niebo. To miał być jego wyjątkowy dzień. Wyczekiwana chwila tryumfu.

Jacek Nowaczyk wciąż czuł się życiowym niedojdą. Choć na studiach wyszczupiał, wciąż czuł się pulpetem z perkatym nosem.

Przeciwnicy polityczni nazywali go „wydmuszką” i „marionetką” lidera

partii. Nie wiedzieli jednak, że nie ma słów, którymi byliby w stanie go obrazić. Wszystko, co miało go zabość, już go zabolalo w dzieciństwie. Gdy czepiał się Walczaka, odzywały się w nim czasem wyrzuty sumienia, choć jednocześnie możliwość wykorzystania służbowej hierarchii do zarządzania ludźmi dawała mu satysfakcję. Przy nim czuł się odrobinę lepiej. Kiedy szef jego kancelarii wpatrywał się w niego jak w obraz, licząc się z każdym kaprysem, gotów spełnić najgłupsze polecenie, Nowaczyk choć na chwilę rósł w siłę.

Prezydent był idealnym reprezentantem swojego narodu – wznosił się na szczyty po ugiętych plecach słabszego. A wszystko po to, by jego własne braki choć przez chwilę stały się mniej dokuczliwe.

Raisa nie musiała namawiać Magdy do wizyty w sklepie. Dziennikarka już wcześniej wspominała, że byłoby to ciekawym elementem jej materiału. Wypiła zaledwie kilka łyków wody i cała trójka wyszła z domu.

Tłum dziennikarzy od razu otoczył starszą panią, lecz ona wciąż nie chciała odpowiadać na pytania. Tak jak wcześniej ustaliły, odprawiła ich Magda. To jednak tylko wzmogło niezadowolenie reporterów, którzy nie widzieli powodu, aby być gorzej traktowani niż gwiazda NTV. Na nic zdały się próby pertraktacji – Raisa bez słowa komentarza odjechała w dół Parkowej firmowym samochodem stacji.

Darek Morąg z Mopsika miał już naprawdę dość tej upartej kobiety. Zirytowany wsiadł bez chwili namysłu do swojego opla. Może doprowadzą mnie do jakiegoś interesującego wątku?, myślał. Z jego doświadczenia wynikało, że gdy ktoś uchyla się od komentarza, z zasady ma bardzo wiele do powiedzenia.

W końcu wóz NTV zatrzymał się w Czaplunku, przed futurystycznym budynkiem centrum handlowego. Magda, Adam i Raisa wysiedli. Nieco zaskoczony Morąg uczynił to samo.

W środku okazało się, że celem podróży był sklep z odzieżą damską. Wytatuowany dziennikarz poczuł się tak, jakby z niego zakpiono. Wściekły wpadł między wieszaki i ponownie tego dnia stanął twarzą w twarz z Raisą.

– Dla nas nie ma pani czasu, ale na wyprawę do sklepu to owszem?

– Właśnie tak – odparła spokojnie, zadzierając głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– Dlaczego pani to robi?

– Gdyby nie prezydent, w ogóle by mnie tutaj nie było. Proszę mi wierzyć.

– A co ma prezydent do damskich sukienek? – Skołowany Darek powiódł spojrzeniem po rzędach kobiecych strojów.

Magda stwierdziła, że nie ma czasu na te jałowe dyskusje.

– Drogi kolego, jak to tak? – zapytała. – Nie jesteś na bieżąco? Pani Raisa została zaproszona na śniadanie do pałacu. W dodatku otrzyma państwowe odznaczenie, i to już pojutrze. Dlatego szukamy odpowiedniej kreacji.

– Przy prezydencie też będzie pani taka milcząca? – drażył Morağ.
– Prezydent z pewnością nie będzie tak napastliwy – ucięła Magda. – A teraz co? Będziesz nam towarzyszył w przymierzalni?

Dziennikarz wzruszył barczystymi ramionami. Zrozumiał, że niczego nie ugra w kwestii wywiadu, więc chwycił za aparat. Fotorelacja to zawsze coś lepszego niż nic, stwierdził. Dobrze wiedział, że może mieć wiele odstępów, jeśli tylko dotyczy osoby wzbudzającej zainteresowanie. Wszystko zależy od tego, jak się ją poda.

Raisa tymczasem, starając się nie zwracać na niego uwagi, próbowała skupić się na kolorach, długościach i fasonach.

Jako że dziennikarz nie miał zamiaru odpuścić i wciąż kręcił się obok przymierzalni jak natrętna mucha, Magda zdecydowała, że pójdzie po kierowniczkę. Po chwili wyszła z zaplecza razem z energiczną brunetką w beżowej sukience. Kobieta surowo oświadczyła, że w jej sklepie nie można robić zdjęć. Kazała Morağowi usunąć te wykonane dotychczas, ale on tylko się roześmiał. Sekundę później już go nie było.

Kierowniczką przeprosiła Raisę za niedogodności i zaoferowała pomoc w zakupach.

– A tak w ogóle to serdecznie gratuluję! – Uścisnęła jej drobną dłoń. – Czy mogę poprosić o autograf?

Chyba się przesłyszałam, pomyślała Raisa.

– Co proszę...?

– Byłoby mi bardzo miło. Mam również nadzieję, że będę mogła wywiesić na wystawie informację, że ubiera się u nas pani Raisa Hedwig?

– Ależ proszę pani, ja nie jestem nikim niezwykłym.

– Jeśli nie pani, to nie wiem, kto nim jest! – oświadczyła z przekonaniem kobieta i popędziła na zaplecze po kartkę i długopis.

A potem osobiście asystowała przy wyborze odpowiedniej sukienki na tę wyjątkową okazję.

Ostatecznie stanęło na prostej kreacji za kolano, w kolorze królewskiego błękitu, z krótkimi rękawami i dekoltem w łódkę. Raisa była zachwycona. Dawno nie miała na sobie nic tak eleganckiego. Uznała, że w takim stroju zdecydowanie może pokazać się u prezydenta. Potrzebowała jeszcze odpowiednich butów na stosunkowo niskim obcasie, ale to załatwiły piętro niżej w poleconym przez kierowniczkę sklepie obuwniczym.

Zakupy poszły zadziwiająco sprawnie.

W drodze powrotnej do Bornego Sulinowa wszystkim w aucie dopisywał humor. Magda cieszyła się, że utarła nosa konkurentowi z Mopsika. Włączyła radio, żeby muzyka umilała jazdę, ale pech chciał, że zrobiła to o pełnej godzinie. Wszędzie trwały programy informacyjne, których bohaterką była Raisa Hedwig.

– Czy moglibyśmy to wyłączyć? – zapytała z tylnego siedzenia.
– Oczywiście. Nie chciałam pani zdenerwować – zreflektowała się Magda. – Ta kreacja to świetny wybór – pośpiesznie zmieniła temat. – Sama bym chętnie taką włożyła. Klasa sama w sobie.

Raisa przyglądała fałdy lawendowej sukienki, która jeszcze rano wydawała się jej wyjątkowo atrakcyjna, a teraz, na tle niebieskiej elegancji, prezentowała się dość ubogo. Pochyliła się do przodu i dotknęła ramienia Magdy.

– Czy myśli pani, że w wieczornym materiale mogę się pojawić w sukience, którą mam na sobie?

– Tak to jest. Zabrać kobietę na zakupy! – roześmiał się Adam.

Magda odwróciła się i przyjrzała uważniej.

– Oczywiście. To skromny codzienny strój. Absolutnie odpowiedni.

Do tej pory traktowałam ją jak wyjściową, pomyślała smętnie Raisa. Zrozumiała, że zbyt pochopnie wzięła rozwód z modą.

– Mogę zapytać, co powiedział mój brat?

Magda spojrzała na Adama, niepewna, co odpowiedzieć. Operator też miał nietęgą minę.

Cisza się przedłużała.

– No, dalej, pani Magdo. Domyślam się, że się nade mną nie rozpląwał.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Znam Bernarda.

– Coś was poróżniło?

– Można tak powiedzieć.

– Takie właśnie odnieśliśmy wrażenie...

Raisa dotknęła dłonią szyi.

– Powiedział wam coś więcej?

Magda się zawahała.

– Nie wiem, czy powinnam...

– Domyślam się, że dzisiejszego wieczoru szczegóły tego tematu pozna cała Polska. – Uśmiechnęła się z przymusem. – A przynajmniej ta jej część, która ogląda wieczorne wiadomości NTV.

Magda nie po raz pierwszy dzisiaj pomyślała, że pani Hedwig ma głowę na karku.

– Nazwał panią złodziejką – oświadczyła.

– Chyba pani żartuje? Przecież nigdy mu niczego nie ukradłam!

– A jak to się stało, że to właśnie pani mieszka w rodzinnym domu?

– Ach, o to chodzi! Formalnie jesteśmy kwita. Spłaciłam należny mu zachówek. Takie są fakty.

– Zatem dlaczego nazywa panią złodziejką?

Raisa patrzyła przez szybę na mijaną wieś.

– Może dlatego, że ojciec zapisał ten dom mnie. I tylko mnie.

– Ale dlaczego? – Adam spojrział we wsteczne lustro.

Mina świadczyła, że Raisa odpłynęła w przeszłość, która najwyraźniej nie pozwalała na sformułowanie pros-tej odpowiedzi.

– Ach te rodzinne zawirowania... – podsumował, ratując ją od najwyraźniej niewygodnego tematu.

Jak udzielić odpowiedzi na to pytanie?, zastanawiała się Raisa. Zwłaszcza że sama jej nie znam. Przekonała się już dawno, że w życiu czasem sprawy tak się komplikują, że nie sposób niczego wyprostować. I nie zmieniają tego najlepsze chęci.

– Może warto szczerze porozmawiać? – Magda była zaintrygowana tą kwestią. – Wszystko sobie wyjaśnić. Moglibyśmy na przykład... – zaczęła i urwała.

Przypomniał się jej Robert i niedopowiedzenia między nimi. Uczucia czasem wymykają się spod kontroli i nie sposób ich ubrać w słowa, westchnęła w duchu.

– Raczej nie moglibyśmy – ucięła Raisa.

Rozdział 8

Do Bornego przybyli solidnie głodni. Planowali posilić się naprędce przygotowanym przez Raisę chłodnikiem, a potem dokręcić tę część materiału, w której sama bohaterka mówi o swoim życiu.

Magda postanowiła zjeść w ogrodzie, choć posiłek w tym skwarze wcale nie był przyjemnością. Potrzebowała jednak chwili dla siebie. Ostrożnie niosła talerz z zupą do stolika pod modrzewiem, gdzie rano spożywała śniadanie Raisa. Rozejrzała się wokół i poczuła się jak na kwietnej łące. Feeria barw delikatnych płatków cieszyła oczy. Gospodyni musi naprawdę kochać kwiaty, stwierdziła Magda i pomyślała o własnym ogrodzie obsadzonym tujami, na który składały się wyłącznie trawnik i oczko wodne. Ceniła sobie prostotę, ale musiała przyznać, że tutaj jest o wiele przyjemniej.

Obrazowi domu towarzyszyło wspomnienie Roberta. Magda wiedziała, że powinna do niego oddzwonić, choć nie była to jedyna rzecz, jakiej nie zrobiła, mimo że należało już dawno. Lekarz powiedział, że powinna teraz dbać o siebie, zażywać suplementy, racjonalnie się odżywiać i trochę zwolnić tempo. Mówił zapewne jeszcze wiele innych rzeczy, ale przestała go słuchać, gdy tylko potwierdził jej przypuszczenia.

Magda była w drugim miesiącu ciąży, ale nie podzieliła się tą informacją z mężem. Chociaż zdawała sobie sprawę, że Robert oszalałby ze szczęścia. Przecież tego właśnie chciał. To tę kwestię poruszył rok temu przy kolacji, patrząc na nią przejmującym, pełnym nadziei wzrokiem. Pragnął wiedzieć, czy ona chce mieć z nim dziecko, czy jest na to gotowa. Wtedy mu nie odpowiedziała. Mało to, odsunęła się od niego, a on także się wycofał. Mijały miesiące, lecz nie wracali do tematu. Magda domyślała się, że mąż postanowił dać jej czas, choć przecież miała już swoje lata. Medycyna wprawdzie potrafiła w tej materii bardzo wiele, ale wciąż należało kierować się rozsądkiem. Tyle że Robert, empatyczny i wyrozumiały, nie potrafił forsować swojego zdania.

A ona niczego przez te miesiące nie rozważała. Żyła z dnia na dzień, naiwnie licząc, że sprawa zniknie sama, że rozejdzie się po kościach. Dlatego, kiedy okazało się, że spodziewa się dziecka, wiedziała, że może mieć pretensje tylko do siebie. W natłoku zajęć, nowych wyzwań w postaci przygotowań do programu publicystycznego, którego prowadzenie niedawno jej powierzono, zdarzyło się jej zapomnieć kilka razy o pigułkach. Nie przejmowała się tym, bo z zasady była albo zbyt zajęta, albo zanadto zmęczona, aby myśleć o łóżku w innym kontekście niż spanie. Ale kilka tygodni temu przyjaciele zaprosili ich do siebie na sobotni wieczór i poczęstowali dużą ilością wymyślnych drinków. Zabawa była cudowna,

a Magda wreszcie się odprężyła. Po powrocie do domu znaleźli się z Robertem w jego pracowni. On bardzo chciał, aby mu pozowała, twierdząc, że stworzy dzieło swego życia.

Chwilę później byli już cali w glinie.

Cóż, w jakimś sensie stworzył dzieło swojego życia, pomyślała w gabinecie lekarskim. Tyle że ona czuła zupełnie inaczej. Dla niej świat nagle zahamował. Wszystko wydawało się obce i inne. Magda straciła grunt pod nogami i poczucie bezpieczeństwa. Miała pewność wyłącznie co do jednego – nie może zostać matką. Słowo „matka” nie kojarzyło się jej z niczym dobrym.

Z ciężkim westchnieniem odłożyła łyżkę na brzeg talerza i wybrała numer Roberta. Miała nadzieję, że może będzie zajęty wernisażem i nie odbierze. Pomyliła się.

– Cześć, kochanie. Czekałem, aż oddzwonisz – ucieszył się.

– Wiesz, mam tu dzisiaj urwanie głowy. O co chodzi?

Robert odszedł od biurka, przy którym właśnie pracował, próbując ułożyć krótkie przemówienie powitalne. Ale słowa nie chciały układać się w gładkie zdania. Ten wernisaż był dla niego bardzo ważny. Był krokiem milowym, lecz jak to przekazać?

– Chciałem zapytać, o której wrócisz. Przygotuję coś dobrego na kolację.

Magda oparła podbródek na dłoni.

– Nie wiem jeszcze. Dam ci znać, ale nie szykuj nic dla mnie.

– Jak to: nie? Po całym dniu będziesz przecież głodna.

– Nie jest źle. Właśnie jem chłodnik u pani Hedwig.

– Mmm – mruknął Robert. – Zazdroszczę. Z dużą ilością koperku?

Zerknęła na talerz.

– No, jest go całkiem sporo.

– Skoro tak ci tam dobrze, może w ogóle nie będziesz chciała wracać? – roześmiał się Robert, odwracając się do okna.

Sąsiadka w sportowym stroju uprawiała jogging punktualnie jak w szwajcarskim zegarku. Czasami, gdy akurat w tym czasie był na zewnątrz, zamieniali kilka słów, choć Robert czuł, że oboje odrobinę przymuszają się do tej konwersacji.

Magda sięgnęła po łyżkę i energicznie zamieszała zupę. Amarantowy płyn rozlał się po białych brzegach porcelany. Pomyślała, że mąż niechcący trafił w sedno. Owszem, odkąd wiedziała o swoim stanie, niespecjalnie śpieszyło się jej do domu. Starła się unikać towarzystwa Roberta, bo nieustannie miała wrażenie, że on odkryje jej sekret. Na razie jednak omijały ją typowe ciążowe dolegliwości, co ułatwiało utrzymanie tajemnicy. Magda wołała nie wyobrazać sobie, jak mąż wpada w euforię, zaczyna ją nosić na rękach i snuć sielskie wizje wspólnej przyszłości z dzieckiem. To byłoby zdecydowanie zbyt dużo, pomyślała.

I nagle dotarło do niej, że popełniła błąd. Nie powinna za niego wychodzić. Nie powinna wychodzić za kogokolwiek. Powinna liczyć się z tym, że jej partner kiedyś będzie chciał mieć potomstwo. Tak, wydawało się jej, że pewnego dnia i ona tego zapragnie. Ale instynkt macierzyński wciąż pozostawał uśpiony. Za to Magdy nie opuszczało dojmujące wrażenie, że coś w jej życiu pozostało niespełnione. I że dziecko sprawi, że ta otchłań już nigdy się nie zasklepi.

– Bez obaw – odparła. – Jak dla mnie jest tutaj za spokojnie. Choć ty byłbyś zapewne zachwycony. Przepraszam, muszę kończyć. Zaraz wracamy do nagrań.

– Jasne. Uważaj tam na siebie.

Robert nie zamierzał posłuchać żony w kwestii kolacji, więc poszedł do kuchni, by sprawdzić, czy z zawartości lodówki da się wyczarować coś dobrego. Zapasy jedzenia były pokaźne, ale postanowił zadzwonić do Kornela i poprosić go o przepis na drinka, który tak ostatnio smakował Magdzie na imprezie. Był pewien, że po całym dniu pracy zrobi jej przyjemność, serwując w progu odprężający zimny napój. Przyjaciel, który miał własny klub nocny, niczym wytrawny barman znał przepisy na wiele smacznych koktajli. A Robert od razu wsiadł w auto i pojechał do sklepu po cointreau, złotą tequilę i limonki. Truskawki miał w domu. Wyjeżdżając z bramy, uśmiechnął się do wspomnień. Kto wie, pomyślał, może i dzisiejszy wieczór skończy się równie przyjemnie jak ten kilka tygodni temu?

Magda dokończyła zupę, która wypełniła jej żołądek przyjemnym chłodem. Ale reszta jej ciała gotowała się z gorąca. To nie był dobry pomysł jeść na dworze, zreflektowała się, wracając do domu. Przetarła kark, który pod kurtyną jej gęstych włosów solidnie zrosił pot.

W salonie zastała Raisę stojącą naprzeciwko elegancko ubranego, wysokiego starszego pana. Gospodyni buńczucznie wsparła ręce na biodrach. Wyglądała na zirytowaną.

– Zgodnie z tradycją powinny być czerwone, ale pamiętam, że lubiłaś białe – wyjaśnił mężczyzna, podając Raisie ogromny bukiet.

– Ty chyba oszalałeś!

Magdzie wydawało się, że już dzisiaj gdzieś widziała tego mężczyznę. On jednak nie zaszczycił jej nawet przelotnym spojrzeniem. Skupiony był wyłącznie na Raisie.

– Można tak powiedzieć – odparł niezrażony. – Oszalałem na twoim punkcie jakieś pół wieku temu.

Raisa machnęła ręką.

– Wojtek, co ty za stare dzieje teraz wyciągasz?

– Może ja państwa zostawię... – Zażenowana intymnością sceny Magda zawróciła w progu.

Przypomniało się jej, gdzie widziała tego mężczyznę, i tym bardziej poczuła się nieswojo.

– Ależ niech pani zostanie! – powstrzymywała ją Raisa, ale na próżno.

Wojciech zbliżył się i spojrział na gospodynię z tkliwością.

– Ostatnio wspominałem jedną z naszych randek. Wybraliśmy się na łąkę oglądać gwiazdy. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. Podobnie jak to, że dla nas obojga dość szybko stało się jasne, że do siebie nie pasujemy.

– Może dla ciebie – podkreślił.

– Nawet jeśli tylko jedna strona tak czuje... – Raisa spokojnie dała dwa kroki do tyłu. – A zresztą nieważne. To było sto lat temu! – dodała pośpiesznie, bo Wojciech podążył za nią.

– Kiedy zobaczyłem dziś te wszystkie nagłówki na twój temat, nagle to zrozumiałem. Doznałem olśnienia! No, sama pomyśl! To, że los nie ułożył się dla nas pomyślnie, jest być może wyłącznie dziełem twojego pecha! – Wyciągnął ręce, by chwycić jej dłonie. – Chciałem cię też przeprosić za to, co wtedy napisałem w liście. Zwłaszcza teraz wydaje mi się to przerażające.

Raisa splotła ręce na piersi. Wpatrywała się w Wojciecha niepewna, czy nie ma do czynienia z szaleńcem. Wiedziała, że ludzie na stare lata dziwaczejają, ale nie sądziła, że to aż tak spektakularne. I nagle przypomniała sobie słowa Edyty: Wojtek mówił coś w sklepie o ich dawnych dziejach. Nie, to były żarty, stwierdziła. Przecież zupełnie nie było do czego wracać. Owszem, pod koniec studiów spotykała się z nim przez jakiś czas, lecz nic ich tak naprawdę nie łączyło. Ot po prostu, byli przez chwilę sobą zainteresowani, ale nic z tego nie wynikło. Zupełnie nic.

Raisa uśmiechnęła się na myśl o dawnych czasach, kiedy była młoda i piękna. Pamiętała, że największe powodzenie miała przez tych kilka lat, kiedy zupełnie nie myślała o związku. Wszystkich wtedy porównywała do Marcina, pomyślała i zacisnęła dłonie. Przed oczami stanął jej tamten wieczór na łódce i to wszystko, co nastąpiło potem. Nawet po takim czasie żal ścisnął ją za gardło.

Wojciech zauważył zmianę w jej twarzy.

– Widzę, że jesteś poruszona.

Pokręciła głową.

– Owszem. Faktem, że taka niedorzeczna myśl pojawiła się w twojej głowie. Myślę, że dobrze zrobisz, jeśli wrócisz do domu i napijesz się czegoś zimnego. Chyba zbyt wiele czasu spędziłeś dzisiaj na dworze.

– W porządku – odparł spokojnie. – Wiem, że możesz być zaskoczona, ale rozważ proszę to, co ci powiedziałem. Może w to nie wierzysz, ale nigdy o tobie nie zapomniałem. Jakby co, wiesz, gdzie mnie szukać – dodał niemal szeptem.

Przygarbiony wyszedł powoli z salonu.

Raisa ledwie powstrzymywała śmiech, ale robiła wszystko, aby do końca zachować klasę. Chyba właśnie wypuściłam z rąk okazję na ostatni romans

w życiu, pomyślała rozbawiona. Usłyszała zamykanie frontowych drzwi, a po chwili w pokoju pojawili się Magda z Adamem.

– Pewnie zaraz dziennikarze dopadną tego pana – zauważyła reporterka. – O ile nie zrobili tego już wcześniej.

– Może odechce mu się głupich pomysłów – odparła Raisa.

Adam, który przechadzał się po salonie, przystanął przy komodzie i zaczął przypatrywać się stojącym na niej zdjęciom w ramkach, dziś już rzadko spotykanym. Ze wszystkich fotografii spoglądali na niego uśmiechnięci ludzie. Rodzina pani Raisy wydawała mu się bardzo szczęśliwa.

– Mam nadzieję, że nie rozważy pani jego oferty – powiedziała Magda. – Przepraszam, ale niechący słyszeliśmy państwa rozmowę.

Raisa machnęła ręką.

– Nie ma za co przepraszać. A słów Wojtka w ogóle nie biorę na poważnie. Nie wiem, co mu strzeliło do głowy.

Magda przystanęła pośrodku pokoju, obok stołu.

– Ja też nic z tego nie rozumiem. Nagrywaliśmy dzisiaj materiał w sklepie. Ten pan też tam był, ale nie wypowiadał się jak ktoś, kto myśli o pani czule. Mogę to pani pokazać jeszcze przed emisją.

– Tak to jest, jak się rani męską dumę... – wtrącił Adam.

Obie kobiety spojrzały na niego jednocześnie.

– Co tak patrzycie? – zapytał. – Może facet mówi jedno, a czuje drugie. Wy, kobiety, powinnyście co nieco o tym wiedzieć, nieprawdaż?

Raisa usiadła na kanapie.

– Niech mnie pan nie rozśmiesza – powiedziała. – To bardzo romantyczna koncepcja, ale mężczyźni nie są aż tak sentymentalni, żeby przez pół wieku nosić w sercu kilka randek.

Adam wycelował w nią palcem wskazującym.

– A zdziwiłaby się pani!

– Nie wiedziałam, że z ciebie taki romantyk. – Magda przysiadła obok gospodyni. Chciała już wrócić do pracy, bo czas naglił. – Jest pani gotowa, pani Raiso? Powinniśmy zaczynać.

– Pewnie! Im szybciej, tym lepiej. Robi mi się słodko na myśl, że jeszcze chwila i będę wolna.

Ta chwila okazała się wcale długa, bo nieobyta z kamerą Raisa potrzebowała trochę czasu na oswojenie. Poza tym była rozkojarzona wizytą Wojtka i zmęczona wrażeniami dzisiejszego dnia. A Magda chciała mieć prawdziwą Raisę, a nie stremowaną czy nieobecną. Mimo że znały się zaledwie od kilku godzin, zdążyła już wyczuć, kiedy pani Hedwig jest naprawdę sobą. Miała oko do takich rzeczy.

Na szczęście główna bohaterka dnia rozkręciła się i rozmowa potoczyła się sprawnie. Ostatnie pytanie dotyczyło tego, jak widzi swoją przyszłość.

Uśmiechnęła się dobrotliwie.

– Myślę, że zbyt wiele jej przede mną nie ma, ale ucieszę się, jeśli okaże się spokojna.

– Czego pani życzyć! – odparła Magda i skinęła na Adama, sygnalizując koniec. – Mamy to! Dziękuję! – powiedziała zadowolona.

A Raisa poczuła ulgę, cudowną, rozkoszną wręcz błogość. Gdyby nie świadomość czekającej ją wizyty u prezydenta, zrelaksowałaby się zupełnie. Niemal tanecznym krokiem podeszła do kredensu i zaproponowała po kieliszku brandy.

– Dziękuję, pani Raiso, prowadzę – odparł niepokieszony Adam, pakując sprzęt.

– Przecież może pan włączyć autopilota. – Mrugnęła porozumiewawczo.

– Chybabym oszalał! Wciąż nie ufam tej technologii. Nieraz się zdarzało, że kierowcy lądowali w rowach. Poza tym trasa dłużałaby mi się w nieskończoność.

– Ja też podziękuję. – Magda spojrzała przepaszająco. – Jestem wdzięczna, że wybrała pani właśnie naszą ekipę. Czujemy się wyróżnieni – dodała, ściskając dłoń gospodyni.

– Nie jestem pewna, kto tu kogo wybrał. – Raisa pogroziła jej palcem.

– Mam jeszcze jedną prośbę. Gdyby była pani tak uprzejma i nie udzielała wywiadów do dzisiejszego wieczoru...

Raisa sięgnęła po pękatą butelkę.

– To ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę – oświadczyła. – A poza tym pamiętam o naszej umowie. Ja słowa dotrzymam, ale mam nadzieję, że przekona pani tych dziennikarzy, aby wreszcie opuścili mój trawnik.

Zakłopotana Magda potarła skroń.

– Nie bardzo wiem, co mogłabym zrobić, żeby sobie poszli...

– Żartowałam. – Starsza pani dotknęła jej ramienia. – I tak przez cały dzień dzielnie odpieraliście państwo ich szturm. A pan Adam był na dodatkowym etacie telefonisty i odźwiernego. Dalej muszę radzić sobie sama.

Para z NTV pożegnała się, a przed domem skonstatowała, że większości jej kolegów po fachu nie ma już przed domem.

– Chyba im się znudziło – uznała Magda, schodząc po kamiennych schodkach.

– Na to wygląda. – Adam otworzył samochód.

Kiedy wkładał do bagażnika kamerę i blendę, podszedł do nich niski blondyn z BBC w przepoconej po całym dniu koszulce.

– I jak? Pani Hedwig nie zmieniła zdania? – zagadnął uprzejmie.

– Niestety – odparła Magda. – A gdzie reszta towarzystwa?

– Część odpuściła, inni poszli ochłodzić się nad jezioro. Pozostali postanowili zadowolić się materiałami z miasta. Szczęściara z ciebie – dodał,

poprawiając skórzaną torbę na ramieniu.

Magda uśmiechnęła się pobłażliwie. BBC najwyraźniej obniżyło loty w kwestii zatrudniania ludzi, pomyślała. Nie czuła się szczęściarą. Raczej dobrą organizatorką.

– Powodzenia! – Uścisnęła dłoń konkurenta.

– Powiedz chociaż, jaka ona jest?

Magda przystanęła w pół kroku. Zastanawiała się, jak opisać panią Hedwig.

– Absolutnie niezwykła – odparła. – Krucha i silna jednocześnie.

Myślała o tym, co powiedziała angielskiemu korespondentowi, jeszcze długo po wyjeździe z miasta. Wspominała, co podczas rozmów powiedziała o sobie Raisa. Mówiła wiele fascynujących i zaskakujących rzeczy o swoim niezwykłym życiu, ale tylko jedna informacja mocno przykuła uwagę Magdy. W trakcie wywiadu dowiedziała się, że pani Hedwig dorastała bez matki, i to sprawiło, że nagle poczuła z nią dziwną bliskość. Jakby obie znały tajemny język, którym można posługiwać się bez słów. Spojrzenie Raisy, kiedy wspominała liczne katastrofy, których była uczestnikiem, nigdy nie było ani tak smutne, ani tak zagubione jak wtedy, kiedy wyznała, że długo obwiniła się o śmierć matki. Miała wrażenie, że pani Maria odeszła przez nią. Że gdyby miała szczęście być matką kogoś innego, być może wciąż by żyła.

Magda nie skomentowała tego wyznania, lecz świetnie rozumiała, co jej rozmówczyni miała na myśli. W głębi serca wciąż bowiem czuła, że gdyby była ciekawszym, bardziej interesującym dzieckiem, jej matka by jej nie zostawiła. Swoją przeszłość rozgrzebywała wciąż i wciąż na nowo podczas długich bezsennych nocy, które z upływem lat zdarzały się jej coraz częściej.

Pół roku po ślubie z Robertem, pewnej styczniowej nocy, kiedy napadało tyle śniegu, że na zewnątrz było niemal zupełnie jasno, Magda, zamiast bezowocnie obracać się z boku na bok, postanowiła pójść do salonu poczytać. Ze stosu książek czekających na komodzie na swoją kolej wyjęła autobiografię Agathy Christie. Na początku części pierwszej słynna autorka kryminałów napisała: „Jedną z najlepszych rzeczy, jakie mogą ci się przydarzyć w życiu, jest szczęśliwe dzieciństwo”.

W oczach Magdy natychmiast zalśniły łzy. Jeśli to twierdzenie uznać za prawdziwe, pomyślała, właśnie to mnie ominęło. I już nic tego nie zmieni. Niczym tego nie nadrobię.

Kiedy miała cztery lata, jej ojciec wyjechał do Chicago. Miała o nim zaledwie mgliste wspomnienie, jak idą razem przez park. Jest zimno i mokro, a jedyne źródło ciepła to tylko mocny uścisk ojcowskiej dłoni. Podobno w Stanach miał zapracować na dom i wrócić. Tak tłumaczyła jej zawsze ciotka Zofia, siostra matki, pod której opiekę Magda trafiła, gdy mama poczuła, że chce czegoś więcej od życia. Mąż bowiem odzywał się coraz rzadziej, a do sklepu z artykułami

biurowymi, w którym pracowała, wstąpił pewnego lata wyjątkowo, według niej, atrakcyjny mężczyzna. Wpadli sobie w oko, a on w niedługim czasie zaoferował matce nowe, szczęśliwsze życie. Jej córki w tej relacji, zdaje się, sobie nie wyobrażała, bo Magda została oddana pod opiekę ciotce, początkowo tylko na pół roku. Matka twierdziła, że chcą się lepiej poznać i zorganizować warunki do wspólnego życia. Z sześciu miesięcy zrobił się jednak rok, później dwa... Aż stało się jasne, że Magda niepotrzebnie marzy tuż przed zaśnięciem, że mama wreszcie zjawia się w progu trzypokojowego mieszkania siostry i oznajmia, że po nią wróciła. Musiała się przyzwyczać do obcego pokoju, który dzieliła z młodszą kuzynką Kasią, i do drugiej kuzynki Iwony, dokuczającej jej nieustannie. Ciotka wcale nie uważała, że Magdzie przydarzyło się w życiu coś wyjątkowo paskudnego. To raczej siebie uważała za pokrzywdzoną. Dodatkowy dzieciak był dla niej obciążeniem i wydatkiem, a jednocześnie popychadłem, na którym zawsze można było odreagować frustrację. Wujek Andrzej przestał mieć pretensje o taki stan rzeczy, dopiero gdy jego szwagierka zaczęła przysyłać większe pieniądze na wychowanie córki.

Wydawało się, że wraz z nowym partnerem matka istotnie zaczęła wieść bardziej szczęśliwe, a na pewno bogatsze życie, lecz to, z czego się utrzymywali, pozostawało w sferze dość niepokojących domysłów. Kiedy pewnego dnia zadzwoniła policja, wpytując o Bartosza Bieleckiego, dla wujostwa stało się bardziej klarowne, skąd matka Magdy ma pieniądze, których jednak nie zamierzali przestać przyjmować. W końcu wychowywali nie swoje dziecko.

Kiedy matka przyjechała wreszcie na święta Bożego Narodzenia, dziesięciolatka była pewna, że zabierze ją do siebie. Skończyło się na prezentach, którymi bawiły się zachwycone kuzynki, bo Magdzie od patrzenia na nie pękało serce.

Zawsze czuła się gorsza od Kasi i Iwony. Ciotka kupowała ubrania „swoim dziewczynkom”, jak podkreślała, a ona zazwyczaj dostawała po nich znoszone ciuchy.

– Niech ci matka sprawi nowe – kwitowała czasem ciotka ironicznie, a jej dwie pociechy stroiły się przed lustrem.

Magda zaciskała wtedy zęby, żeby nie płakać, i obiecywała sobie, że gdy tylko dorośnie i zacznie zarabiać, kupi sobie najpiękniejsze ubrania. I wszystko, czego tylko zapragnie. I nikt jej tego nie odmówi, nikt nie zabroni. Przez całe dorastanie marzyła, aby pewnego dnia poczuć się niezależną, wolną, docenianą i bardzo dla kogoś ważną. Najważniejszą!

Dlatego kiedy poznała Roberta, z jego opiekuńczością i ciepłem, pomyślała, że wreszcie opuści ją ten dojmujący niedosyt uczuć. Że przestanie być niekompletna. Niestety, przeżyła rozczarowanie. Okazało się, że pragnie być ważna dla tych dwóch osób, a jednak one świadomie z niej zrezygnowały.

Magda wciąż zatem czekała, aż pusty życiowy plecak, z którym wyruszyła w dorosłość, wreszcie się wypełni. Była już niezależna i doceniana. Miała kochającego męża. Tyle że wciąż nie potrafiła się nasycić. Plecak najwyraźniej był dziurawy.

– Wiesz, na początku myślałem, że przemielisz tę biedną starszą panią... – wyrwał ją z zamyślenia głos Adama.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Nie wiem. Wydawało mi się, że będziesz chciała udowodnić, że to nie pech towarzyszył jej w życiu, a... Sam nie wiem... Życiowa niefrasobliwość, brak odpowiedzialności? Coś w tym guście. Zawsze przecież idziesz pod prąd.

– Nie jestem od udowadniania czegokolwiek, ale od pokazania, jak jest. I w zależności od sytuacji dobieram stosowne metody.

– Czy mi się wydaje, czy ty ją polubiłaś? – Adam spojrzał z niedowierzaniem. – Pociłaś się tam jak mysz, jadłaś kanapki, których podobno nie cierpisz, cierpliwie pomagałaś jej wybierać kieckę, jakby to była twoja przyjaciółka. Albo i matka. I nie bąknęłaś słowem, bo... Zwyczajnie ją polubiłaś!

Magda przykręciła klimatyzację. Uwaga o matce zaniepokoiła ją.

– Przede wszystkim zbierałam materiał – powiedziała. – Ale masz rację. Jest w niej coś ujmującego.

Adam energicznie klepnął w kierownicę.

– Nie wierzę! Magda Sajewicz wykazuje ludzkie odruchy!

– Spadaj! – Szturchnęła go. – Nie jestem żadnym potworem! A jeśli masz jakieś wątpliwości, to powiem ci jedno: każdy ma taką Magdę Sajewicz, na jaką sobie zasłużył.

– Musi być ze mnie zatem kawał gada, skoro zwlokłaś mnie dzisiaj w środku nocy...

Wzruszyła ramionami.

– Ty to powiedziałeś. W każdym razie dzięki za dzisiejszy dzień – dodała. – Spisałeś się.

Adam, zadowolony z komplementu, postanowił zadzwonić do żony i uprzedzić ją o godzinie powrotu. Magda poszła w jego ślady.

Wystarczyło jej brzmienie głosu Roberta, by wiedzieć, że jednak zrobił tę kolację i że najpewniej będzie czekał przy elegancko nakrytym stole z zapalonymi świecami. Bo taki właśnie był.

Magda patrzyła przed siebie; białe pasy na drodze szybko umykały pod kołami samochodu. Zrobiło jej się smutno. W świetle tego, co przed chwilą powiedziała Adamowi, Robert nie zasłużył sobie na taką Magdę, jaką dostawał od jakiegoś czasu. Ale tego wymaga sytuacja, pomyślała. Muszę się jakoś chronić.

Rozdział 9

Raisa rozkoszowała się odzyskaną ciszą i spokojem własnego domu.

Wzięła odprężający prysznic i wyciągnęła z szuflady różową pidżamę w Atomówki. Być może było to odzienie infantylne, ale bawiła ją myśl, że ma siedemdziesiątkę na karku, a śpi w nocnym stroju w postaci z kreskówki. Planowała w łóżku obejrzeć wiadomości NTV, nie dawała jej jednak spokoju myśl o Edycie. Przyjaciółka wciąż się nie odzywała, a milczenie było do niej niepodobne. Może Nadia ma rację i faktycznie nasza przyjaźń to dla niej masochizm?, zaniepokoiła się Raisa. Tylko dlaczego zdecydowała się uświadomić mi to dopiero teraz, i to w takiej formie?

Stała przez chwilę pośrodku sypialni, tej samej, w której zamieszkała pierwszego dnia w tym domu. Mogła przenieść się na dół, do większej, która niegdyś należała do ojca, ale wolała, żeby zostało jak kiedyś.

Uznała, że dość już tego zawieszenia, i poszła do łazienki po szczoteczkę do zębów. A potem zeszła na dół i zapakowała ją razem z pidżamą do plecaka. Przed wyjściem z domu sięgnęła jeszcze po butelkę brandy, której nie chcieli skosztować dziennikarze. Znam jedną masochistkę, która nigdy nie odmawia, uśmiechnęła się pod nosem. Z piwnicy wyprowadziła rower. Wieczne powietrze nie jest już tak upalne, mogę sobie pozwolić na kwadrans spokojnej jazdy bez ryzyka wyładowania na pogotowiu, stwierdziła.

Po całym dniu szaleństwa przejażdżka cichymi parkowymi alejkami okazała się czystą przyjemnością. Choć był dopiero lipiec, w powietrzu unosił się przywodzący wspomnienia młodości zapach spalonej słońcem trawy.

Rower przypięła tuż obok bramy. Wstukała kod, który знаła na pamięć, i pełna nadziei, że jej kolana to zniosą, ruszyła po schodach na trzecie piętro.

Entuzjazm po przejażdżce opadł gwałtownie, kiedy przyjaciółka nie otworzyła ani po pierwszym, ani po drugim dzwonku. A co, jeśli podana w mediach informacja jest jednak prawdziwa?, zaniepokoiła się Raisa. Zapukała nerwowo i już uniosła ramię, by bezpardonowo rąbnąć w nie z całej siły, na szczęście drzwi otworzyły się wreszcie.

Owinięta ręcznikiem Edyta, zaróżowiona na twarzy, w czepku kąpielowym na głowie, z pianą na skórze, stanęła w progu.

– To ty? – zdumiała się, ściskając mocniej skąpe okrycie.

– Przyszłam sprawdzić, czy to, co dzisiaj pisali, to prawda. Naprawdę uważasz, że przyjaźń ze mną to masochizm? – zapytała bez wstępów Raisa.

– Byłam u ciebie w południe, żeby to wyjaśnić, ale mi nie otworzyłaś.

Raisa wybałuszyła oczy.

– Nie miałam pojęcia!
– Siedziałam u ciebie na schodach i dzwoniłam jak durna.
– No tak... – Raisa potarła czoło. – Cały dzień ktoś się dobijał i...
– Posłuchaj. – Edyta weszła jej w słowo. – Ta ruda baba, wybitnie bezczelna, zapytała mnie, dlaczego właściwie się z tobą przyjaźnię. – Zdenerwowana podniosła głos. – Odparłam jej ironicznie, że pewnie jestem masochistką. No i masz! Przerobiła to, jak chciała.

Raisa z ulgą wypuściła powietrze.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałam wierzyć, że to tylko nieporozumienie – sapnęła.

– Tak właśnie było! – Edyta podkreśliła swoje słowa energicznym gestem.

Ręcznik opadł na podłogę.

Raisa najpierw spuściła wzrok, a później parsknęła śmiechem.

– Właż do środka! – zawtórowała jej przyjaciółka, owijając się ponownie. – Cała klatka nie musi oglądać mojego ponętnego ciała.

– Jasne. Masz absolutną rację!

– Chyba nie masz wątpliwości co do moich wdzięków? – Edyta łypnęła podejrzliwie.

– A skąd! – odparła Raisa. I dodała poważniej: – Wiesz, obawiałam się, że to przez... – urwała. – Niepotrzebnie wplątałam cię wtedy w swoje sprawy. Powinnam była mieć odwagę i sama przez to przejść. Przepraszam.

Edyta patrzyła w napięciu.

– Naprawdę myślisz, że chowałam w sobie urazę przez tyle lat?

– Miałaś pełne prawo.

– To nie mnie powinnaś przepraszać, a siebie. I nie ma takiej rzeczy, która mogłaby sprawić, że zrezygnuję z twojej przyjaźni. Byłam pewna, że o tym wiesz. Po tylu latach, po tym wszystkim, co przeszliśmy...

Raisie zaszklily się oczy.

– Wiem. Ale dobrze jest czasem to usłyszeć. – Potrząsnęła plecakiem. – Przyniosłam brandy. Mam też szczoteczkę i pidżamę.

– Czyli jednak aż tak bardzo nie obawiałaś się o naszą przyjaźń, skoro planowałaś u mnie zanoć?

– Gdyby było trzeba, spałabym na wycieraczce.

– Chyba tylko po to, żeby potem świat dowiedział się, jak traktuję nasz skarb narodowy! Dobra, dość już tych rzewnych wynurzeń. – Edyta skierowała się do łazienki. – Muszę zdążyć się opłukać. Zaraz początek wiadomości.

Dwadzieścia minut później przyjaciółki siedziały w pidżamach na łóżku w sypialni Edyty – nadruk na kreacji Raisy został pominięty milczeniem – i było zupełnie jak za starych, nastoletnich czasów. Obie zmieniły się zewnętrznie, swoje przeżyły, ale serca wciąż miały młode. Popijały brandy i oglądały NTV, gdzie

informacja dnia dotyczyła Raisy Hedwig.

Musiąły przyznać, że Magda Sajewicz się spisała. No, może bohaterka jej materiału dowiedziała się nieco zbyt wiele o tym, jak odbierają ją niektórzy mieszkańcy, ze sprawiającym wrażenie zakochanego Wojtkiem na czele, burmistrzem, który podobno bardzo ją sobie ceni, i bratem, publicznie oświadczającym, że jest z niej kawał nieuczciwej cholery... Ogólnie jednak z relacji wyłaniał się obraz poczciwej kobiety, którą niesprawiedliwie doświadczał los, której teraz, w obliczu wyróżnienia, wiele osób bezpodstawnie zazdrości. Mimo tego wszystkiego, co przeszła, Raisa jest dobrą matką, babcią i przyjaciółką. Dzielną i skromną, która przetrwała trudności z uniesioną głową.

Edyta była zachwycona materiałem, lecz Raisa nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Magda Sajewicz przesadziła nieco. Wyszło na to, że był Batman, Superman i Raisa Hedwig, która ma być może trochę kłopotów z wyborem odpowiedniej reakcji na wizytę w pałacu prezydenckim, ale poza tym wyjdzie bez szwanku z każdej opresji.

Nie czuła, że zasłużyła na taką laurkę. Obiecała sobie, że jutro zadzwoni do dziennikarki z podziękowaniami. Spodziewała się czegoś gorszego, świadoma, że nawet rzetelną i opartą na faktach relację można zmontować przewrotnie. Nie tak pozytywnie.

Edyta dolała brandy do kieliszków. A kiedy przestała już rozplływać się nad istotnym wkładem swojej wypowiedzi, która przydała reportażowi miękkości, Raisa wtrąciła:

– Wyobraź sobie, że był dzisiaj u mnie Wojtek. I sugerował, że może powinniśmy być razem.

– Żartujesz? Wprawdzie nie od dziś wiem, że on wciąż czuje do ciebie miętę, ale powinien zachowywać się godnie i nie afiszować ze swoją raną sprzed stu lat. Najpierw wygaduje na ciebie w porze najwyższej oglądalności NTV, a potem przychodzi z takimi ofertami!

– Może chciał sobie ze mnie zażartować? Może to był jakiś zakład?

Edyta uniosła palec.

– Wiem, o co chodziło! – oznajmiła. – Jak byłam w sklepie, ludzie nie mogli przeżyć, że będziesz miała teraz kokosy z kontraktów reklamowych. A Wojtek to straszliwy materialista. Na mieście mówi się nawet, że łowca spadków. Kto wie, ile w tym prawdy.

– Co takiego? – parsknęła Raisa.

– To jasne. Szybki ślub, potem on pozoruje wypadek, a że jesteś pechowa i wiedzą już o tym na całym świecie, nikogo to specjalnie nie dziwi. I kasa zostaje dla niego – wyjaśniła przyjaciółka.

Raisa zachichotała.

– Są jeszcze moje dzieci. Im też się coś należy ze spadku. Co z nimi

pocznie?

Edyta przyglądała śliski materiał nocnej koszuli.

– Tego zapewne nie przemyślał. Nigdy nie był najbystrzejszy.

– Wariatka z ciebie! Ale jak już zostanę gwiazdą, spuchnie mi konto i Wojtek zjawi się ponownie, wezmę twoją wersję na poważnie – zapewniła z udawaną powagą Raisa.

Na talerzu wciąż leżała nietknięta wystygła jajecznica. Kompletnie marnotrawstwo, bo jajka kosztowały fortunę. Pochodziły z fermy, na której przez nikogo nieniekuszone kury skubały wyselekcjonowane odmiany traw i koniczyn, zmodyfikowane genetycznie pod kątem odporności na wysokie temperatury. Obok leżał nieruszony ogórek, pokrojony w idealne trzymilimetrowe plasterki, i dwie kromki razowego chleba z masłem. Przypominało to bardziej martwą naturę niż kolację.

Bernard tkwił w bezruchu, z oczami wlepionymi w hologram. Wieczorne wiadomości NTV właśnie się skończyły, lecz on tego nie zauważył. Ta dziennikarka obiecała mi szczerść, myślał, moją chwilę prawdy. Kiedy rozmawiali, tu, w tym salonie, wydawało mu się nawet, że stoi po jego stronie, że rozumie, kim naprawdę jest Raisa. Owszem, w materiale jego słowa nie zostały przeinaczone ani tendencyjnie pocięte, ale puszczono je po pełnych zawiści wypowiedziach największych miejskich plotkarzy, a przed kwes-tiami zachwyconego burmistrza oraz Nadii, Filipa i Edyty. No i wyszło na to, że on ujada na biedulę Raisę zupełnie bezpodstawnie, że jest zgorzkniałym zaburzonym starcem. Jak piskliwa sklepowa albo ta pazerna lekarka!

– A to nie jest tak! – ryknął, waląc pięścią w wypolerowany stół.

Talerz podskoczył i upadł z brzękiem. A kawałki jajecznicy wylądowały na blacie i dywanie, przelatując wcześniej przez okno hologramu.

– Odebrała mi wszystko! I jeszcze to! – wymamrotał Bernard, zaciskając pięści.

A pojutrze, pomyślał, czując, jak jego serce niebezpiecznie przyspiesza rytm, będzie zbierać laury u prezydenta! Poczul się jak wtedy, kiedy dostał za nią od ojca w twarz. I jak w stu innych momentach, kiedy niezasłużenie okazywała się ważniejsza.

Zignorował jajeczny bałagan i zaczął przeglądać w sieci informacje o siostrze. Większość z nich była neutralna lub podobna w wymowie do materiału NTV. Część dziennikarzy wspomniała, że zaskoczona i zmęczona zamieszaniami Raisa nie udzielała komentarzy.

Odczytawszy te rewelacje, Bernard zatrząsł się jeszcze bardziej.

– Zmęczona zamieszaniami! – prychnął zdegustowany, nie wierząc własnym oczom.

Wreszcie natrafił na relację, która wydała mu się obiecująca. Wolałby, aby

nie została umieszczona na Mopsiku, ale trudno, widocznie tylko tam można liczyć na obiektywnego pismaka, skonstatował. Ponad zdjęciami Raisy z jakiegoś sklepu wyłuszczonego podtytuł głosił: „Pechowa Raisa Hedwig każe reporterom siedzieć na trawniku, a sama wybiera się na zakupy!”.

Cała ona, pomyślał Bernard. Zaznaczył imię i nazwisko autora informacji, po czym wpisał je w wyszukiwarkę. Po chwili miał już adres mejlowy. Uwierzył, że tylko Darek Morąg podejdzie do jego sprawy z należnym zrozumieniem i starannością. Uspokoił się, dopiero gdy kliknął „wyślij”, i sprzątnął rozrzuconą jajecznicę.

– Tak naprawdę powinienem wręczyć tę ścierkę Raisie – mruknął pod nosem. – Jak by nie było, to przecież wszystko przez nią – stwierdził, przecierając blat.

W mieszkaniu rozpętało się piekło.

Po nieudanej rozmowie z Magdą Sajewicz Marek Szewczyk powrócił do domu zły i zawiedziony. I choć wmawiał sobie, że tak nie jest, tak naprawdę przez cały dzień czekał na telefon od dziennikarki. Sądził, że ona chwyci przynętę i zechce dowiedzieć się czegoś nowego o Raisie. Ale koniec końców przyszło mu obejrzeć informacje NTV bez poczucia, że przyczynił się do powstania tego materiału.

To, co zobaczył, bardzo go zawiodło. Jego życiową partnerkę zaś doprowadziło do białej gorączki.

– Skoro była taka cudowna, dlaczego właściwie się z nią rozwiodłeś? – warknęła Lucyna, gdy prowadzący program informacyjny przeszedł do dwudniowej wizyty prezydenta Francji w stolicy.

Marek nerwowo potarł policzek. Pomyślał, że wreszcie powinien się ogolić.

– O co właściwie masz do mnie pretensje? – wycedził przez zęby.

Lucyna przerwała wycieranie z kurzu kwiatów na parapecie. Zajął się tym ostentacyjnie tuż przed wieczornym programem, żeby Marek nie myślał, że jest zainteresowana. Teraz jednak poczuła, że nie ma siły na dalsze odgrywanie teatru.

– Od rana śledzisz wszystkie wiadomości o niej! Nie zauważyłam, żebym kiedykolwiek robiła na tobie podobne wrażenie! – rzuciła drżącym głosem.

– Pleciesz bzdury! – odburknął Marek, czując, że zaraz straci nad sobą panowanie.

Nie po raz pierwszy w trakcie tego związku pomyślał, że trzeba było zdecydować się na życie w pojedynkę. Jednak zdecydowały względy praktyczne.

Pod koniec małżeństwa z Raisą był już pewien, że to żona jest przyczyną wszystkich jego życiowych niepowodzeń. Nie robił tego, co chciał, nie zarabiał tyle, ile pragnął, nie doszedł do tego, o czym marzył. Co więcej, nieustannie prześladował ich pech. Po katastrofie promu do Nynäshamn dostrzegł to wyraźnie. Tyle że Raisy nie było już w jego życiu, a ono wciąż nie przynosiło mu satysfakcji.

Teraz, u schyłku pogoni za czymś, co oddala się nieustannie, Marek czuł, że to jego ostatnia szansa. Żeby udowodnić samemu sobie, że znaczy cokolwiek i że cokolwiek od niego zależy.

Podniósł wzrok i zmierzył się z pełnym pretensji spojrzeniem Lucyny. Miała na sobie żółtą sukienkę w białe groszki. Niegdyś bardzo ją w niej lubił, lecz opatrzyła mu się już dawno. Ona nigdy nie czuje przesady, zauważył w duchu. Czy naprawdę sądzi, że chodzi mi o Raisę?, pomyślał zawiedziony brakiem przenikliwości partnerki.

– Nie przeszło ci przez myśl, że mnie też nie podoba się to, co się dzieje? – odparł rozeźlony, kiedy znów zalała go wymówkami.

Lucyna odłożyła szmatkę na parapet. Zaintrygowana, podeszła bliżej do skórzanego fotela, w którym siedział Marek.

– Nie dziw się tak! – wypalił. – Wszystko zrzucają na tego jej rzekomego pecha. A przecież to, co zrobiła z dzieckiem...

Oczy Lucyny rozbłyły.

– Słucham? Z jakim dzieckiem? Twierdziłaś, że nie mieliście dzieci.

– Bo nie mieliśmy.

– Zatem o jakie dziecko chodzi?

– Nigdy nie było powodu, żeby o tym mówić – bąknął Marek pod nosem.

– A teraz jest?

– Teraz zdecydowanie jest.

Opowiedział pokrótce, z czego zwierzyła mu się Raisa. I szybko zauważył, że spięta dotąd twarz Lucyny zaczęła się rozluźniać. Znikła pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami, opadły ramiona. Oto wreszcie znalazła skazę na obrazie kobiety, która z jakiegoś niewytłumaczalnego dla niej powodu była godna, by zawrzeć związek małżeński z kimś, z kim jej nie wyszło.

Lucyna od razu poczuła się lepiej.

Natomiast Markowi do dobrego samopoczucia było daleko. Rozweselona partnerka zaproponowała kolację, lecz oświadczył zdecydowanie, że nie jest głodny i musi się przejść.

Miał ważny telefon do wykonania, ale nie zamierzał mówić o tym Lucynie. I tak by niczego nie zrozumiała, wzruszył ramionami.

Magda, przekraczając próg, marzyła tylko o zrzuceniu sukienki i wskoczeniu pod prysznic. Robert znał ją doskonale, więc powitał drinkiem według receptury Kornela. Podziękowała za niespodziankę, wymówiwszy się koniecznością wzięcia proszka od bólu głowy. Choć nie akceptowała ciąży, nie zamierzała robić nic głupiego, dopóki nie podejmie ostatecznej decyzji.

Na szczęście Robert jej nie posłuchał i przyrządził również coś ciepłego. Makaron w sosie brokułowym z orzeszkami piniowymi pachniał smakowicie. Magda wzięła szybki prysznic i w cienkim szlafroku, z włosami związanymi

w wysoki kok, usiadła do stołu.

– I jak było? – zagadnął Robert, nakładając jej sową porcję na talerz. – Ciekawe życie musiała mieć ta kobieta...

Magda sięgnęła po widelec.

– Z pewnością nielekko.

– Nie wydaje się osobą, która narzeka na swój los.

– Bo taka nie jest. Ale nikt nie wie, co kryje się pod powierzchnią, prawda?

– Nie mów, że tego nie zgłębiłaś?

Magda skosztowała makaronu i zapewniła męża, że z takimi zdolnościami catering na wernisaż mógłby przygotować własnoręcznie.

– Nikt nie może tego zgłębić – powróciła do tematu. – Czasami nie wiemy nawet, jak naprawdę jest z nami.

Robert sięgnął po wodę.

– Widzę, że wróciłaś w nostalgicznym nastroju – zauważył.

– To wszystko trochę skłoniło mnie do rozmyślań...

– Teraz dla odmiany skup się na jedzeniu. Jakaś blada jesteś.

– Trudny dzień. Wyśpię się i odzyskam rumieńce. – Magda się uśmiechnęła.

Przerwała mężowi ledwie co rozpoczętą relację z mijającego dnia, bo ktoś próbował się z nią połączyć. Wprawdzie skrzywiony Robert gestem dał znać, żeby nie odbierała, ale skąd miał wiedzieć, że połączenie pozwoliło jego żonie nie wkraczać na grząski grunt ich prywatności.

Początkowo nie skojarzyła Marka Szewczyka.

– Widziałem pani materiał, pani Magdo – usłyszała.

– Podobnie jak cztery miliony widzów. Dobrze, że nie dzwonią wszyscy. –

Magda wstała od stołu.

Były mąż Raisy przechadzał się powoli chodnikiem, mijając sąsiadów wyprowadzających czworonogi. Kłaniali się, ale był tak przejęty swoją sprawą, że tego nie zauważał.

– Ależ pani kądziwa – odparł ze spokojem kogoś, kto czuje, że ma przewagę.

– Szkoda, że nie było tego widać w pani dzisiejszym materiale. Ale rozumiem, nie miała pani pełnego obrazu.

– Obrazu czego?

– Raczej kogo. Raisy, oczywiście. Ale to przeze mnie. Miała pani rację.

Powinienem od razu wyłożyć karty na stół.

Magda podeszła do kuchennej wyspy i oparła się o blat.

– A to my w coś gramy, panie Szewczyk?

– Zapewne nie razem, ale każde z nas z osobna i owszem. Jak wszyscy. Ale do rzeczy. Proponuję, aby zapytała pani Raisę, co zrobiła ze swoim pierwszym dzieckiem. Podobno to była dziewczynka. Świadomej decyzji nie sposób raczej nazwać pechem, prawda? Jaka matka zrobiłaby taką rzecz swojemu

dziecku? Proszę mi wierzyć, ten słodki obrazek, który obejrzałem przed chwilą, nie bardzo przystaje do mojej byłej żony.

Magda nieśpiesznie wyszła z jadalni i skierowała się ku tarasowi. Odsunęła szklane drzwi i wyszła na zewnątrz. Jej prosty, niemal ascetyczny ogród w niczym nie przypominał różanego cudeńka Raisy. To, co usłyszała przed chwilą, także nie pasowało do tego, co myślała o pani Hedwig. Czyżby grała na moich emocjach rzewną historyjką o własnym dzieciństwie, wczesnej utracie matki, a milczała o czymś tak ważnym?, myślała gorączkowo.

– Co pan insynuuje? – zapytała. – Poza tym skąd mam wiedzieć, że w ogóle mówi pan prawdę? – Skierowała się w stronę oczka wodnego.

– Niech ją pani po prostu zapyta. Sama pani zobaczy.

– Czy to było wasze dziecko?

– A skąd! – obruszył się Szewczyk. – Nigdy bym jej na to nie pozwolił! A już na pewno bym się z panią nie dzielił tą historią.

– Mam rozumieć, że oddała je do adopcji?

– Tak naprawdę to niewiele wiem o jego losie.

– I nigdy pan nie dociekał?

– Nie rozmawiamy o mnie, prawda? – zirytował się.

– Ale chyba nie zrobiła małej nic złego?

– Raisa to nie morderczyni. Ale nie trzeba decydować się na kroki ostateczne, by zniszczyć czyjeś życie. Prawda?

Magda doskonale o tym wiedziała. Aż do teraz myślała, że łączą ją z Raisą Hedwig wspólne doświadczenia wynikające z braku matki w ich życiu. Ale ten brak najwyraźniej nie uwrażliwił jej na tyle, by nie skrzywdziła później świadomie własnego dziecka, pomyślała. Nić porozumienia okazała się wymysłem. Magda czuła, że narasta w niej gniew.

– Pani Magdo, jest tam pani? – usłyszała.

– Tak – odparła w zamyśleniu. – Niezależnie od wszystkiego, wydaje mi się, że żaden z pana dżentelmen – oświadczyła chłodno.

Marek Szewczyk przysiadł na kamiennym murku okalającym wejście do parku. Przełknął tę uszczyp-liwość i pożegnał się grzecznie, ponieważ czuł, że dziennikarka chwyciła przynętę. A o to mu przecież chodziło. Trwał chwilę nieruchomo, wdychając nabrzmiąle zapachami wieczorne powietrze. Zagadnął nawet sąsiadkę z jamnikiem. Nie przepadał za nią ani za jej jazgotliwym psem, ale w tym momencie kochał cały świat.

Oszołomiona Magda patrzyła, jak woda leniwym strumieniem spływa po kamieniach. A po chwili poczuła na ramionach ciężkie i ciepłe dłonie Roberta. Odwróciła się do niego.

– Kolacja stygnie – powiedział i pocałował ją w policzek.

– Muszę wrócić do Bornego Sulinowa – oznajmiła.

- Dlaczego?
- Możliwe, że pani Hedwig nie jest taką ofiarą przeciwności losu, jak mi się wydawało. Jak się wydawało wszystkim – poprawiła się Magda.
- Nie rób tego. Zrobiłaś już swoje, więc odpuść. Co kogo obchodzi jakaś starsza pani?

Magda milczała. Oto jej mąż sądzi, że powoduje ją zawodowa zawziętość w dążeniu do prawdy. A mnie się po prostu nie oszukuje, myślała gorączkowo. I nie zawodzi...

2002–2012

Raisa wybiegła z budynku uczelni prosto w rzęsisty deszcz. Ruszyła w kierunku przystanku tramwajowego, odruchowo kuląc głowę w ramionach. Jesień wprawdzie miała swoje prawa, ale Raisie wydawało się, że pada dosłownie za każdym razem, ilekroć zapomniała parasolki.

Już po chwili jej jasne włosy zamieniły się w mokre strąki, a wszędobylskie krople skapywały z jej rzęs, rozmazując makijaż. Była zmęczona i głodna po całym dniu zajęć. W dodatku dzisiejszą noc znów spędziła bezsennie. Gdy tylko przymykała oczy, wydawało się jej, że słyszy płacz niemowlęcia. Płacz, który przesładował ją od wielu miesięcy.

Nie miała zamiaru chodzić na terapię, ale poddała się pod naciskiem przyjaciółki. Jako że Edyta zrobiła dla niej więcej, niż Raisa mogła oczekiwać, postanowiła zrobić, o co prosi. Na pierwszych trzech spotkaniach podchodziła do tego konceptu dość sceptycznie. Siadywała naprzeciwko psychologa, wciśnięta między komodę a dorodny bluszcz. Pan Norbert zapadał się w swój pikowany fotel przy oknie, za którym rósł rozłożysty kasztan. Ona speszona i nieco wycofana, on uważny i skupiony. Początkowo go sondowała. Sprawdzała, czy może mu zaufać. Choć fakt, że był mężczyzną, oznaczał połowę sukcesu. Raisa nie zdołałaby wykrztusić słowa na ten temat przed żadną kobietą. Ale tak czy siak, dopiero na czwartym spotkaniu zdołała wyznać, co tak naprawdę sprowadza ją do gabinetu i nie daje jej spokoju.

Gdy słowa wreszcie wypłynęły z jej ust, czekała w napięciu na reakcję psychoterapeuty, gotowa w każdej chwili uciec i już nigdy nie pokazać się światu. Jednak na dobrotliwej czterdziestoletniej twarzy nie zagościł nawet rys oceny. Pan Norbert nachylił się ku niej i popatrzył z takim współczuciem i zrozumieniem, że tama, która do tej pory broniła jej dostępu do uczuć, puściła. Raisa rozplakała się i po chwili łkała tak, jakby dopiero co odkryła tę umiejętność. To wtedy po raz pierwszy pomyślała, że ta terapia może mieć sens.

Podczas kolejnych wizyt opowiedziała wszystko. Ile znaczył dla niej Marcin, jak sobie wyobrażali dalsze życie. Jak ona, tak bardzo złaćniona miłości, po stracie

matki zatoneła w tym uczuciu i oddała mu się w pełni. Ufna i pełna wiary w dobrą przyszłość. W jednej chwili wiara ta rozsypała się w pył. Wszystko się skomplikowało. Zbyt szybko. Zbyt nagle. Zbyt wiele naraz spadło na jej barki. Nie chciała tego, nie potrafiła udźwignąć. Ledwie starczało jej sił, żeby wstać rano na zajęcia, a co dopiero zająć się dzieckiem. Poza tym co dobrego mogła mu zaoferować?

– Jak pani myśli, dlaczego nie powiedziała pani o ciąży najbliższemu? – zapytał terapeuta.

Raisa ścisnęła w dłoni chusteczkę.

– Ojca by to kompletnie załamało. Dość miał przeze mnie zmartwień w życiu.

– Nie wiedziała pani tego na pewno. To były tylko przypuszczenia.

– Owszem. Po prostu czułam, że muszę poradzić sobie sama i samodzielnie podjąć decyzję. To była sprawa moja i Marcina. A jego już nie było.

– Czy gdyby Marcin wiedział o dziecku, postąpiłaby pani inaczej?

– Nie wiem. I już tego nie sprawdzę.

Od wizyty, na której padło ostatnie pytanie, zadawała je sobie nieustannie. Wciąż nie była pewna odpowiedzi, ale odkryła w sobie niepokój. Być może Marcin miałby do mnie pretensje, myślała i szamotała się ze sobą coraz bardziej. Wątpliwości, dotąd skutecznie odsuwane, dopadły ją ze zdwojoną siłą. Czy dobrze zrobiłam? Czy będę tego żałować przez całe życie?

Z takimi myślami budziła się każdego ranka. I nie opuszczały jej one przez resztę dnia.

Tramwaj z zaparowanymi szybami wreszcie zatrzymał się na przystanku. Raisa zeszła po stopniach. Wciąż lało intensywnie, jakby ktoś odkręcił nad miastem ogromny prysznic i zamierzał kapać się już do końca świata. Truchtem minęła kwaciarnię, kiosk „Ruchu” i za apteką skręciła w lewo. Popchnęła ciężką bramę; przywitało ją znajome skrzypienie i charakterystyczny zapach przychodni lekarskiej znajdującej się na parterze budynku.

Czekała na tę wizytę niecierpliwie przez tydzień. Chciała porozmawiać z terapeutą o koszmarach, które śnią się jej zawsze, ilekroć przytłumiona lekami nasennymi w końcu zasypia. I zawsze wtedy znajduje się na łódce. Sama, pośród złowrogiej burzy. Łódka chwieje się niebezpiecznie, Raisa rozpaczliwie przechyla się przez burtę i zanurza ramiona w wodzie. Płacz niemal ją dusi, ale nieustępliwie szuka Marcina. W końcu czuje coś pod palcami i z ciemnej toni wydobywa niemowlę. Sine. Zimne. W tym momencie budzi się z krzykiem, cała spocona.

Pośpiesznie wspięła się po schodach na drugie piętro, z kojącym uczuciem, że zaraz zostanie naprawdę uważnie wysłuchana i choć przez chwilę poczuje ulgę. Zapukała i nacisnęła klamkę.

Drzwi były zamknięte. Przyłożyła ucho. Żadnych głosów. Czyżby

zapomniał?, przeleciało jej przez głowę. Miała nadzieję, że nie. Sięgnęła do torebki i pomiędzy zeszytów i książek wyjęła telefon. Wybrała numer. Może to ja coś pomyliłam?, spłoszyła się Raisa. Może pan Norbert dzwonił i przekładał dzisiejsze spotkanie? Odczekała kilka sygnałów.

Nie odebrał.

Posiedziała pod gabinetem jeszcze kwadrans, po czym postanowiła wrócić do domu. Z jeszcze większym ciężarem w piersi niż zwykle.

Mieszkanie, które wynajmowała na spółkę z trzema koleżankami z uniwersytetu, stało się jej azylem. Lubiła je, choć nie było ani przytulne, ani nie znajdowało się blisko uczelni, na którą jechała przez niemal godzinę w porannych korkach. Było za to ciche. A słońce, jeśli akurat wychodziło zza chmur, witało ją co rano, zaglądając w okna jej pokoju.

Przywitała się z Goską, Eweliną i Jagodą, które biesiadowały w kuchni nad sałatką z makreli i czerwonym winem. Zaprosiły Raisę do stołu, ale ona nie miała ochoty ani na jedzenie, ani na alkohol. Chciała tylko wziąć leki nasenne i przyłożyć głowę do poduszki z nadzieją, że tym razem nic jej się nie przyśni.

Komórka odezwała się, gdy Raisa była już w łóżku. Spojrzała na wyświetlacz. Norbert Leszczyński. Poczowała, jak zalewa ją fala ulgi.

– Dobry wieczór, panie Norbercie! Czy ja coś dzisiaj pomyliłam? – zapytała.

– Dobry wieczór, nazywam się Kamil Leszczyński. Jestem bratem Norberta. Spadło na mnie zadanie obdzwonienia wszystkich jego klientów – dodał. – Niestety, Norbert już nie będzie przyjmował. Nie żyje.

Raisa usiadła na łóżku. Zsunęła stopy na podłogę.

– Ale...? Co się stało?!

Zakłopotanie po drugiej stronie było niemal namacalne.

– Brat targnął się na życie. Niestety skutecznie. Nikt z rodziny nie ma pojęcia dlaczego.

– Mój Boże... – Raisa zasłoniła usta. – To straszne! Tak bardzo mi przykro. Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia.

– Dziękuję. Jeszcze jedno pytanie... Czy zapłaciła pani może za jakieś wizyty z góry?

– Nie.

– To dobrze. Musiałem to sprawdzić. Niestety, muszę już kończyć. Do widzenia pani.

Raisa gapiała się na mało gustowny dywan w kolorowe esy-floresy i czuła, że zapada się w sobie. Informacja, że jej terapeutę popełnił samobójstwo, nie mieściła się jej w głowie. A wydawał się takim zrównoważonym człowiekiem! I tak na niego liczyłam! Co z moją nadzieją, że będzie w stanie mi pomóc?

Najwyraźniej lepiej będzie, dla całej rzeszy psychologów, żeby nie szukała u nich pomocy, pomyślała.

Tej nocy nawet tabletki nie były w stanie jej pomóc. Po drugiej Raisa poszła do kuchni, gdzie znalazła resztkę wina po imprezie. Wypiła zawartość butelki duszkiem, po czym zawróciła do pokoju. Nie bacząc na porę, zadzwoniła do Edyty.

– Co się stało? – zapytała rozespana przyjaciółka.

– Co ja zrobiłam...! – załkała Raisa, kładąc się na kłującym dywanie.

Edyta ciężko wypuściła powietrze.

– Wiesz, że nie można tego odwrócić – powiedziała łagodnie. – Tego przecież chciałaś.

– Ale czy da się z tym żyć?

– Obawiam się, że nie masz innego wyjścia. Co na to twój terapeuta?

Raisa zaniósła się jeszcze większym płaczem.

– Zabił się!

– Co ty mówisz? Jak to? Dlaczego?

– Nie wiem. Boję się nawet zastanawiać. Ale wiem na pewno, że będę musiała jakoś poradzić sobie z tym sama. Chociaż coraz częściej wydaje mi się, że nie dam rady i oszaleję.

Noc była piękna. Niebo, jak czarna płachta usiana drobnymi mieniącymi się klejnotami, zdawało się wisieć nisko, tuż nad ich twarzami. Leżeli na trawie w kameralnej zatoce. Od czasu do czasu w szuwarach zaśmiała się jakaś kaczka. Rechotały żaby. Trzciny, muskane wiatrem, szumiały miarowo.

To była ich dziesiąta randka.

Poznali się, kiedy Raisa przyjechała do domu zrelaksować się odrobinę i w spokoju pouczyć przed obroną pracy magisterskiej. Umówiła się z koleżankami z liceum na piwo. I właśnie tamtego wieczoru dosiadł się do nich wysoki blondyn. Znała go z widzenia jeszcze ze szkoły, ale wiedziała tylko, że ma na imię Wojtek. Kiedy przedstawiał swoich dwóch kolegów, zauważyła, że ma ładne dłonie, miły uśmiech i wydaje się sympatyczny.

Następnego dnia umówili się na spacer, a trzy dni później w kawiarni.

Teraz, już jako magister historii sztuki, Raisa przyjechała na wakacje. A znajomość z Wojtkiem, co zaskakujące, miała swój ciąg dalszy.

– Pięknie tu, prawda? – Przysunął się bliżej.

– Faktycznie – odparła, nie spuszczać oka z mrugających gwiazd.

– Jesteś smutna?

– Nie, skąd.

– Wydajesz się nieobecna.

Poczuła na szyi jego oddech, gdy nachylił się, zasłaniając gwiazdy. Odrobinę ją to zirytowało. Wiedziała, że zaraz ją pocałuje. Godziła się na te pocałunki, głównie po to, aby pozbyć się wspomnień. W trakcie studiów nie narzekała na brak zainteresowania wśród kolegów, których odprawiała, nie mogąc wyobrazić sobie, że dotyka jej męska ręka, inna niż Marcina. Lecz po pięciu latach doszła do

wniosku, że jeśli chce ruszyć do przodu, musi wreszcie zrobić pierwszy krok. I wtedy pojawił się Wojtek. Pracował w księgowości miejscowej firmy logistycznej. Swoją pracę traktował najwyraźniej jak misję, bo mówił o niej nieustannie. Raisa wyłączała się zazwyczaj już przy trzecim zdaniu.

– Wspaniale całujesz – powiedział teraz, układając się ponownie obok.

Nie mogła powiedzieć tego samego. Jego wargi były spięte, twarde, jakby niedomyślne. Na dodatek smakował ostro, niemal agresywnie.

– Chyba czas wracać. – Usiadła i sięgnęła po leżące obok koca tenisówki.

– Zrobiłem coś nie tak?

– Nie. Dlaczego?

Zbity z tropu Wojtek wsparł się na łokciu.

– Może nie całuję jak Marcin Sobierajski, ale żadna dziewczyna dotąd się nie skarżyła.

– Skąd wiesz o Marcinie? – Raisie zadrżał głos.

– Żartujesz? W Bornem każdy zna tę historię.

– Jaką historię? – zapytała, obawiając się najgorszego.

– Co z tobą? Porażenie piorunem na jeziorze. Wszyscy się dziwili, że tobie udało się przeżyć. Miałaś dużo szczęścia.

Raisa poczuła, jak lęk odpływa, a zastępuje go gniew.

– Nigdy więcej o nim przy mnie nie wspominaj!

– Jak tu nie wspominać, skoro ciągle mam wrażenie, że mnie do niego porównujesz?

Raisa spojrzała uważnie. Światło księżyca było zbyt subtelne, by zobaczyć wyraz oczu Wojtka.

– Nie porównuję was.

– Jasne! Zobaczyłabyś czasem swoją minę! To coś pomiędzy zawodem a zniecierpliwieniem. – Wojtek mocno przygarnął Raisę.

Wpił się w jej usta, jakby chciał jej coś udowodnić. Próbowwała się wyszarpnąć, ale trzymał mocno. A gdy wreszcie zwolnił uścisk, otarła usta wierzchem dłoni i włożyła buty. Bez słowa podniosła się z koca. Teraz patrzyła na niego z góry.

– Nie porównuję was, bo nie ma czego porównywać – wycedziła spokojnie, słowo po słowie.

Zostawiła go samego. Szła szybko ścieżką przez las, tłumiąc płacz. Zrozumiała, że szamocząc się, próbując na siłę, nie robi dla siebie niczego dobrego. Po chwili usłyszała biegnącego Wojtka.

– Raisa, przepraszam! Zagalopowałem się!

Przystanąła i obróciła się na pięcie.

– Nie. To ja cię przepraszam. Byłam okrutna. Wojtek, nic z tego nie będzie. Pomyliłam się.

- Ale skąd możesz mieć pewność? Przecież my dopiero co...
- Takie rzeczy po prostu się wie.
- W każdym razie ja czuję coś zupełnie przeciwnego.
- Przykro mi – powiedziała cicho.

Następnego dnia znalazła w skrzynce pocztowej list. Niegdyś marzyła o takiej romantycznej korespondencji, ale teraz jawiła się ona jak ponury żart. Wojtek próbował ją przekonać, żeby dała im szansę. Jeszcze tego samego dnia odpisała, życząc mu, najserdeczniej, jak potrafiła, wiele szczęścia i powodzenia. Zapewniała, że wierzy, iż znajdzie on dla siebie bardziej odpowiednią dziewczynę, która doceni jego zalety.

Po trzech dniach, gdy wracała z ojcem z niedzielного spaceru, podbiegł do niej Przemek, kolega Wojtka, i wręczył papierowe zawiniątko. Rozwinęła je i przeczytała tekst napisany pochyłym pismem: „Zobaczysz, jeszcze będziesz żałować! Nigdy nie będziesz szczęśliwa”.

Bardzo możliwe, pomyślała Raisa, zgniatając papier.

Skrzypienie dobiegało najpierw z oddali, od lewej. Parkiet pod ciężarem kroków zwiedzających uginał się w różnym tempie. Jeśli obrazy podobały się, skrzypienie było powolne i rzadkie. Ustawało. Gdy szesnasto- i siedemnastowieczne dzieła, zgromadzone jeszcze przez książąt pomorskich, nie znajdowały zrozumienia, deszczułki skrzypiały nerwowo i głośno. Wtedy Raisa podnosiła się z niewielkiego krzeselka ustawionego w rogu sali i z ledwie dostrzegalnym uśmiechem wymieniała spojrzenia ze zwiedzającymi. W połowie dnia marzyła, aby wreszcie ktoś ją o coś zapytał. By zechciał dowiedzieć się czegoś więcej o *Portrecie Filipa I* z tysiąc pięćset czterdziestego pierwszego roku, wiszącym w sali numer XIV najcenniejszym dziele w zbiorach muzeum. By był choć odrobinę zainteresowany pędzlem Lucasa Cranacha Młodszeo. Jednak zdarzało się to nader rzadko.

Czasem ktoś do Raisy podchodził. A ją rozsadzała wówczas radość, że zaraz usłyszy ludzki głos i odezwie się nie tylko do krótkofalówki służącej do komunikacji z innymi pracownikami. I że wreszcie będzie mogła podzielić się wiedzą. Zwiedzający podchodził zazwyczaj nieco niepewnie, ale patrzył rozumnie. I niemal z desperacją w głosie, typową dla człowieka głodnego wiadomości, zadawał pytanie.

- Przepraszam, gdzie tu jest toaleta?

Raisa nie wiedziała wtedy, czy bardziej współczuć sobie, czy kompletnie zignorowanemu Cranachowi Młodszeemu.

- Do końca korytarza i schodami w dół na pierwsze piętro – odpowiadała uprzejmie, czując, jak ubywa w niej nadziei.

Czasami pośród pustych godzin spędzanych w muzealnej sali dopadała ją refleksja, że na studiach mogli ją nauczyć wyłącznie tego jednego zdania.

I pomyśleć, że gdy dostała tę pracę, czuła się tak, jakby złapała Pana Boga za nogi. Tak bardzo się cieszyła, że będzie obcować ze sztuką, a jej wiedza się przyda. W praktyce jednak dzień dłużył się w nieskończoność. Nie pomagały nawet setki potajemnie czytanych książek, czego nie tolerował dyrektor.

– Jak by to wyglądało, gdyby przyłapano was na czytaniu? – mawiał oburzony na zebraniach.

Mimo to wszyscy pracownicy wiedzieli, że to niemożliwe. Stary parkiet Muzeum Narodowego w Szczecinie jęczał jak umęczona dusza i nie sposób było pojawić się w jakiegokolwiek sali zniecka.

Z niedogodności zajęcia Raisa nie zamierzała zwierzać się ojcu, który na pewno oświadczyłby z poważną miną:

– A nie mówiłem!

Tym razem skrzywienie parkietu narastało od dobrych kilku minut. Raisa wiedziała już, że ktoś w sali numer XIII ogląda płótna uważnie. I czekała cierpliwie, zastanawiając się, czy to kobieta, czy mężczyzna. Obstawiała pierwszy wariant, lecz nie trafiła, bo w końcu w sali pojawił się młody i szczupły mężczyzna w okularach. Raisa wstała z krzeselka i przyjrzała się dyskretnie. Miał na sobie białą koszulę i szare sztruksy. Podszedł prosto do *Portretu księcia Filipa I*, czym niemal przywrócił jej wiarę w ludzkość.

Wstrzymała oddech. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że powinna. Mężczyzna zbliżał twarz niebezpiecznie blisko płótna. Powinnam go upomnieć, pomyślała, ale skończyło się na obserwacji.

Zwiedzający wreszcie wyprostował się, odsunął o kilka kroków, potarł brodę w zamyśleniu i odwrócił ku Raisie. Były tylko dwie możliwości: albo zapyta o toaletę, albo okaże się jednym z „tych”. „Tymi” określała osoby, które obchodziło cokolwiek.

– Przepraszam... – zaczął, a Raisa poczuła, że dudni jej serce. – Czy nie sądzi pani, że to niesprawiedliwe, iż Lucas Cranach Młodszy przez długi czas pozostawał w cieniu ojca?

Nie wierzyła własnym uszom. Patrzyła jak urzeczona, przekonana, że wraz z nią świat wstrzymał oddech.

– Też tak uważam – odparła. – Bardzo długo nie doceniano jego sztuki. Uważano, że naśladuje styl ojca. A przecież w tym dziele widać jego charakter. Jego wkład w szesnastowieczne niemieckie malarstwo jest niezaprzeczalny.

Słuchał uważnie, jakby właśnie mówiła najważniejsze rzeczy w jego dotychczasowym życiu. I wydał się Raisie nad wyraz interesujący. Nie była jednak pewna, czy tak jest w istocie, czy też ona, pod wpływem euforii, że wreszcie znalazł się ktoś zainteresowany malarstwem, chce go takim widzieć.

Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym raz jeszcze spojrzął na księcia Filipa.

– Ma pani bardzo ciekawą pracę – powiedział.
Uniosła brwi, ledwie powstrzymując się od śmiechu.
– Choć pewnie jest tu pani dość samotna... – dodał.
– Powoli zamieniam się w pustelnika niemowę – szepnęła.
– Wcale pani nie przypomina pustelnika. – Poprawił okulary. – Może nie powinienem być tak śmiały, ale czy pozwoliłaby pani zaprosić się na kawę?
Raisa zerknęła w prawo i w lewo, jakby obawiając się, że zobaczy dyrektora.
– Bardzo chętnie – odparła.
– Nazywam się Marek Szewczyk. – Nieznajomy wyciągnął dłoń.
– Raisa Lechowicz.
Podał jej notatnik, który trzymał w ręce, a ona zapisała w nim numer telefonu.
– Zadzwoń wieczorem – odparł i przeszedł do kolejnej sali.
Inne prace oglądał z równym namaszczeniem. Raisa była tego pewna, bo parkiet poskrzypywał od czasu do czasu.
– Chciałem prosić pana o rękę Raisy – oświadczył poważnym tonem Marek. Miarowe tykanie zegara słychać było przez stanowczo zbyt długą chwilę.
Ojciec Raisy lubił tego młodego człowieka. Uważał go za ambitnego i z aspiracjami, choć wolałby, aby zajmował się w życiu czymś innym. Wprawdzie Marek twierdził, że jego doktorat z historii jest już na ukończeniu, a na uczelni czeka niemal pewny etat, w dalszym ciągu musiał ratować finanse posiadłości przewodnika miejskiego. Podczas wspólnych weekendów w Bornem, gdy popijali wieczorami piwo na tarasie, zapewniał:
– Zobaczysz pan, panie Bogdanie. Jeszcze kiedyś będę profesorem w tej katedrze. To tylko kwestia czasu.
– Życzę ci tego – odpowiadał poważnie pan Lechowicz.
Towarzyszyło mu jednak czasami uczucie niepokoju, niemniej Raisa zdawała się nie widzieć świata poza poznanym dwa lata temu Markiem.
Pan Bogdan wyprostował się, choć nie na wiele się to zdało, bo przyszły zięć był wyższy o głowę. Zrozumiał powagę sytuacji. Odchrząknął.
– Będiesz dla niej dobry? Będziesz o nią dbał? – zapytał.
– Oczywiście. Może być pan spokojny.
– W takim razie macie moje błogosławieństwo – oświadczył uroczyście. – Ale jeśli tylko... – Uniósł palec wskazujący.
– Nie będzie żadnego ale! – zapewnił go Marek pośpiesznie.
Raisa oplotła palcami jego dłoń.
– Tato, to raczej o niego powinieneś się niepokoić. – Mrugnęła do ojca.
Choć myślała, że nie przydarzy jej się to już nigdy w życiu, była w tej chwili naprawdę szczęśliwa. I czuła, że Marcin, gdzieś tam, na górze, również jest zadowolony. Że odważyła się spróbować. Że układa sobie życie na nowo.

– Więc jak? Opijemy to? – Pan Bogdan podniósł butelkę koniaku, którą dostał tego wieczoru w prezencie.

Weekend zapowiadał się fantastycznie, zwłaszcza że z Bydgoszczy mieli przyjechać Laura z Patrykiem. Chodzili ze sobą od pięciu lat, ale zamążpójście nawet przez chwilę nie powstało Laurze w głowie. Na razie spełniała się jako pediatra na szpitalnym oddziale dziecięcym i to pochłaniało ją w całości. Patryk czasem żalił się Raisie, że gdyby założył pieluchę, jej siostra zapewne obdarzyłaby go większym zainteresowaniem. W odpowiedzi słyszał, że Laura na pewno go kocha i traktuje bardzo poważnie. Tyle tylko, dodawała Raisa już w duchu, że odrobinę się zagubiła.

Jednak gdy tylko dowiedziała się o zaręczynach, zarządziła imprezę okolicznościową. Najmłodsza z rodzeństwa miała wyjść za mąż jako pierwsza i należało to uczcić.

W sobotni wieczór w salonie rozpalono w kominku. Stół ugiął się od jedzenia i alkoholi. Grała muzyka. A kiedy wszystkim zrobiło się bardzo wesoło, Laura odciągnęła świeżo upieczoną narzeczoną na bok.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Że wszystko ci się ułożyło – powiedziała.

Raisa ścisnęła rozgrzane dłonie siostry. Owszem, wchodziła z nadzieją w nowe życie, ale przeszłość nie dawała o sobie zapomnieć. Nie sądziła ponadto, że pozwoli kiedykolwiek. Może byłoby mi łatwiej, gdybym podzieliła się tym z Laurą?, pomyślała. Mogłybyśmy teraz pójść na górę. Wyjawiłabym jej wszystko, co ukrywam od lat...

Ostatecznie przeważała obawa przed reakcją siostry. Poza tym Raisa nie chciała, żeby cokolwiek zepsuło ten dzień. W jej życiu rzadko co bywało idealne.

– Miałaś rację – odparła, całując Laurę w policzek. – Sama nie wierzę w to, co się dzieje. A co u Bernarda, odzywał się do ciebie? – zmieniła temat.

– Ech, wygląda na to, że zostanie już w Niemczech na zawsze. Kilka razy wspominał o jakiejś Dorocie. Więc to chyba coś poważnego.

Raisa mocniej ścisnęła kieliszek z czerwonym winem.

– Chciałabym, żeby mu się ułożyło – powiedziała.

– Wszystkim nam się ułoży. – Laura pogładziła ją po plecach.

– A ty i Patryk? Jakie macie plany? Wiesz, wydaje mi się, że on chciałby, żebyś poświęcała mu więcej czasu.

– Do niczego nam się nie śpieszy – odparła Laura. – Patryk przecież teraz też skupia się na pracy. Chce być najlepszym adwokatem w Bydgoszczy. A ja... Sama wiesz. Dla mnie teraz liczą się tylko te cierpiące maluchy.

– Nie przegap tylko swojego momentu...

Laura podparła się pod boki. Rany, ależ ona jest chuda!, stwierdziła w duchu Raisa. Jak na dłoni było widać, że zatracą się w pracy.

– Będę brała przykład z ciebie – obiecała. – Nie ma co, kujesz żelazo póki

gorące – roześmiała się, spoglądając na Marka. – A jest całkiem gorące...

Mury niewielkiego białego kościoła rozbrzmiewały marszem Mendelssohna i radosnym biciem w dzwony.

Raisa w białej powłóczystej sukni, pod ramię z Markiem, prezentującym się dostojnie w eleganckim garniturze, główną nawą wyszli ze świątyni. Zostali przywitani gromkimi brawami i okrzykami bliskich. Ściskali się mocno za ręce, szczęśliwi i przejęci. Tradycyjnie obsypano ich deszczem monet, a potem pocałunkami i serdecznymi życzeniami. Spod kościoła ruszyli do domu rodziców pana młodego, gdzie w ogrodzie zorganizowano przyjęcie weselne.

Ten dom w niewielkiej wiosce pod Szczecinem miał być od dzisiaj także domem Raisy i Marka. Państwo Szewczykowie bowiem, ku radości młodych, postanowili oddać im w użytkowanie całe poddasze, zaadaptowane na przytulne mieszkanie specjalnie z myślą o nich.

Raisa lubiła teściów i była im bardzo wdzięczna za ten gest. Pani Barbara i pan Jerzy okazali się sympatyczni, choć ojciec Marka miał jedną dość męczącą wadę. Był malkontentem i zdawał się pielęgnować tę cechę z wielkim oddaniem. Czasami odnosiło się wrażenie, że Marek swoim doktoratem, o którym jego ojciec marzył od zawsze, wzbudzi uśmiech na jego twarzy. Raisa obawiała się jednak, że mąż może się zawieść.

– Jak się czujesz? – zwróciła się do niego, kiedy usadowili się w samochodzie.

– Świetnie! Myślę, że całkiem dobrze nam poszło. Zastanawiam się tylko, czy szampan jest dobrze schłodzony.

Pogładziła go po dłoni.

– Na pewno. Twoja mama wynajęła do pomocy połowę kobiet ze wsi. Kiedy domawialiśmy szczegóły imprezy, brzmiały tak, jakby w życiu nie zajmowały się niczym innym.

– Miejmy nadzieję. Mama zazwyczaj wie, co robi.

– A nawet jeśli. Najwyżej powitamy gości ciepłym toastem.

– Ojciec gadałby o tym przez pół roku.

– Naprawdę się tym przejmujesz, mężu? – Raisa podkreśliła ostatnie słowo.

Wypowiedziała je z większą przyjemnością, niż podejrzewała.

Szampan na szczęście okazał się schłodzony odpowiednio, a do tego wyborny. Rozległy ogród prezentował się jak żywcem wyjęty z amerykańskich komedii romantycznych. Na trawie rozbito białe namioty, podwieszono lampiony. Na okrągłych stolikach rozłożono białe obrusy i ustawiono bukiety białych róż. Ukochane przez Raisę kwiaty były motywem przewodnim przyjęcia. Znajdowały się na zaproszeniach, w kompozycjach kwiatowych w ogrodzie. Panna młoda zaś we włosach i bukietcie miała róże, które własnoręcznie wyhodował w ogrodzie jej ojciec.

Zespół grał miłe dla ucha melodie, a wesele było właśnie takie, jakie Raisa wyobrażała sobie czasem, myśląc o ślubie. Nawet pan Jerzy nie miał szczególnych powodów do narzekań. Raisa wirowała w tańcu pod rozgwieżdżonym niebem w objęciach męża, myśląc, że to właśnie ten moment, który wspomina się z rozrzewnieniem na stare lata. Czuła, że jest szczęśliwa. Cieszyła się, że ma przy sobie Marka, a przed sobą przyszłość. Byli przy niej jej bliscy: tato, rodzeństwo i Edyta. Lecz choć pani Barbara bardzo starała się zastąpić jej w tym dniu matkę, nie było to możliwe. Raisa spoglądała w ciemne przepastne niebo i zastanawiała się, ile prawdy jest w tym, że ci po drugiej stronie czuwają nad tymi, którzy wciąż chodzą po Ziemi. Mamo, już nie musisz się o mnie martwić, pomyślała, gdy zespół zaczął grać *Love Me Tender*. Słyszysz, mamo? Daję sobie radę.

Myśli Laury zdawały się podążać podobnym torem, bo kiedy na stole pojawiły się kolejne dania na ciepło, podeszła do siostry z kieliszkiem wina. Usiadła obok i objęła ją mocno.

– A wiesz, że kiedy byliśmy małe, sądziłam, że nie dożyjesz własnego wesela? Ciągłe się w coś pakowałaś.

Raisa rozłożyła ręce.

– Jak widzisz, udało się.

– Cieszę się razem z tobą. Naprawdę. A ojciec to już zupełnie pęka z dumy.

– Miło, że mi to mówisz. Bernard nie wygląda na równie zadowolonego.

Myślisz, że wciąż złości się o tę pożyczkę?

Laura poprawiła błękitny szal, który zsunął się z jej ramion.

– Przecież wie, że ojciec nie jest krezusem. Jego warsztat dobrze prosperuje, ale nie aż tak, żeby starczało na wszystko. Bernard chyba zrozumiał, że wasz ślub miał pierwszeństwo. Państwo Szewczykowie dołożyli się do wesela, wy ubieraliście swoje, więc ojciec nie widział powodu, aby wam nie pomóc.

– Myślę, że Bernard ma o to do mnie żal. Niby ze mną rozmawia, ale jakoś tak...

– Poczekaj trochę z wymianą samochodu, nic mu się nie stanie. Ten jego ford przecież jeździ. I jeszcze nigdy nawet nie miał usterki.

Raisa delikatnie poprawiła włosy upięte w niski kok.

– Tyle że ten samochód to jego narzędzie pracy. Dojeżdża nim na budowę.

– Przecież Dorota chciała się z nim zamienić.

– Podobno jej auto ma zbyt niskie zawieszenie – zauważyła Raisa.

– I jest babskie – dodały chórem siostry.

– Daj spokój, przejdzie mu – roześmiała się Laura. – Znasz Bernarda, wiesz, jaki potrafi być. A teraz bawmy się! W końcu to twoje wesele. – Pociągnęła Raisę do ostatniego tańca przed muzyczną przerwą.

Okazało się, że trafił im się akurat energetyczny rock and roll, a potem jeszcze jeden i jeszcze, bo orkiestra, zadowolona z aktywności na parkiecie,

postanowiła jeszcze chwilę pograć. W końcu zziębnięta Raisa zapragnęła oddalić się na moment od centrum wydarzeń.

Wyszła przed dom złąkniona chwilą odpoczynku od weselnego zgiełku. Oddychała powoli, ciesząc się rześkim nocnym powietrzem. Mimo że był dopiero sierpień, wyczuwało się w nim pierwsze nuty jesieni. Po znajomym aromacie perfum J'adore, który wkradł się w zapach nocy, Raisa domyśliła się, że na podobny pomysł wpadła Edyta.

– Jak się bawisz? – zagadnęła, nie odwracając się w kierunku przyjaciółki.

Edyta objęła ją w pasie.

– W twoim towarzystwie jak zawsze świetnie.

– Jak myślisz, goście też?

– Masz wątpliwości? Jest wspaniale!

– To dobrze. Staraliśmy się.

– Cieszę się, że wyszłaś za męża. Że otwierasz nową kartę. Myślę, że będziesz tutaj szczęśliwa. – Edyta spojrzała na dom, którego bryła wznosiła się tuż za nimi.

– Choć dobrze wiesz, że Marek, jak dla mnie, to lekki nudziarz.

– Nudziarz, bo nie rozumiesz jego pasji? – roześmiała się Raisa.

– Nie. Bo za każdym razem, kiedy mnie widzi, zanudza mnie jakimiś historycznymi tematami. Wiesz, że tego nie cierpię. Pamiętam, jak w liceum ze łzami w oczach odbyłam ostatnią lekcję historii... Mam nadzieję, że jak Marek ugrzęźnie na dobre na tej swojej uczelni, odechce mu się nauczać znajomych.

– A ja mam nadzieję, że i ty spotkasz swojego nudziarza, przy którym będziesz tak samo szczęśliwa jak ja.

– Wiesz, jaki mam fart do facetów. Pchają się dosłownie drzwiami i oknami! – zakpiła Edyta.

– Zobaczysz, jeszcze znajdzie się odpowiedni. Nie taka znowu z ciebie zołza.

– No, dzięki! – Edyta ze śmiechem wydlubała szpilką dziurę w ziemi. – Teraz nie w głowie mi miłości. Właśnie dopinam biznesplan swojej kawiarni. Chcę się usamodzielnąć. Nie mogę przez całe życie tyrać w sklepie rodziców!

– Proszę cię! – Panna młoda obrzuciła przyjaciółkę wymownym spojrzeniem. – Nie bądź jak moja siostra.

– Przecież Laura jest już tyle lat z tym swoim Patrykiem... Gdzie tu podobieństwo?

– Ale jeśli nie poświęci mu więcej uwagi, obawiam się, że to już długo nie potrwa. Słyszałaś, co mówił do niej, jak trochę się napił? Jemu ten jej szpital już bokiem wychodzi.

– Może powinien wykazać więcej zrozumienia? A może ona ma po prostu inne powołanie? Może chce się poświęcić leczeniu? Lepiej się w to nie wtrącaj. To ich sprawa.

Raisa spojrzała na białego kundelka, który merdając ogonem, przebiegł obok. Ciekawe, czy teściowie mieliby coś przeciwko, gdybym przygarnęła jakiegoś psa?, zastanowiła się.

– Raisa! – zawołał Marek. – Ach, tutaj jesteś. Wszędzie cię szukam. – Podszedł bliżej.

– Wyszliśmy na chwilę odsapnąć.

– Chodźcie! – Uśmiechnął się tajemniczo. – Mam dla ciebie wyjątkowy prezent.

Przyjaciółki wymieniły zaciekawione spojrzenia i poszły za Markiem do ogrodu. On wszedł na scenę, a wokalista podał mu mikrofon. Pan młody odchrząknął i nieco podenerwowany poprosił o uwagę.

– Droga Raiso! – zwrócił się do żony, która stała tuż przed nim otoczona wianuszkami gości. – Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. W panice próbowałem przypomnieć sobie cokolwiek o Cranachu, żeby jakoś inteligentnie do ciebie zagadnąć.

Weselnicy roześmiali się, a Raisa pokręciła głową. Aż do teraz nie wiedziała, że tak właśnie było. Poczowała, że do oczu napływają jej łzy.

– Przez te trzy lata, kiedy byliśmy razem, dodawałaś mi siły i wiary w to, że mogę sięgać w życiu po więcej. Jestem pewien, że razem zajdziemy daleko. Gdzie tylko zapragniemy. Ramię w ramię. Dzięki naszemu uczuciu. A to specjalnie dla ciebie. – Marek uniósł dłoń, dając znak komuś z tyłu. – Na cześć naszej miłości.

Fajerwerki wystrzeliły w niebo ze świstem, rozświetlając złotymi warkoczami mrok nocy. Kolorowe rozbłyski raz przypominały kwiaty, raz gwiazdy. Raisa uwielbiała sztuczne ognie. W sylwestra zawsze niecierpliwie czekała północy, żeby móc je podziwiać. Pobiegnęła do męża i wtuliła się w niego. On ogarnął ją czule ramionami.

– Podoba ci się? – wyszeptał jej do ucha.

– Jeszcze jak! – odparła, zadzierając głowę. – Nie wiem, jak udało ci się utrzymać to w tajemnicy.

– Staralem się. Rodzice też się spisali. Obawiałem się, że mama nie wytrzyma, ale dała radę.

– Jesteście kochani. Dziękuję! To najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

Nie wszystkim jednak spodobała się ta wyjątkowa atrakcja. Bernard wyszedł z wesela, nie pożegnawszy się z siostrą. A wcześniej zdążył zrobić awanturę ojcu, że zamiast wysadzać pieniądze w powietrze, mógł udzielić mu pożyczki na samochód. I mimo że pan Bogdan zapewniał syna, że nie miał o pokazie zielonego pojęcia i nie partycypował w kosztach, ten mu nie uwierzył. W głębi serca czuł, że ojciec dla Raisy zrobiłby wszystko. Jego partnerka Dorota zdążyła tylko ucałować pannę młodą i przeprosić za Bernarda, ale musiała się śpieszyć. Taksówka już

czekała, a on gotów był odjechać bez niej. Kiedy rozsadzała go złość, nie oglądał się na nikogo.

Ogień zauważono dwie godziny później. Alarm wszczął pan Jerzy, który poszedł na poddasze po skrzynkę wina. Straż pożarna pojawiła się po dziesięciu minutach, ale tymczasem pożar zdążył narobić zniszczeń. Ogień wdarł się przez dach i strawił część poddasza, rujnując to, co zostało odnowione dla młodych. Jeden z fajerwerków podczas pokazu spadł na tylną, niewidoczną z ogrodu część dachu.

Wprawdzie nikomu nic się nie stało, lecz straty były znaczne, państwo Szewczykowie wstrząśnięci, a Marek zdruzgotany.

Gdy goście pojechali do hotelu, Raisa weszła na piętro, które miało od dzisiejszej nocy oficjalnie być ich domem. W białej sypialni zobaczyła nadpalone ściany, poczerniały sufit. Całe poddasze było zalane wodą, dach nadawał się do wymiany. Bezradna przysiadła na schodach, czując w nozdrzach swąd spalenizny. Właśnie tak zaczyna się moje nowe lepsze życie, westchnęła ponuro. Miała ochotę się rozpłakać, ale nie chciała denerwować Marka, więc wzięła się w garść i zeszła do kuchni, gdzie przy stole ze zwieszonymi głowami siedzieli teściowie, Marek, Laura z Patrykiem i ojciec.

– Że też taki durny pomysł wpadł ci do głowy! – powiedział pan Jerzy do syna.

– Nie podejrzewałem, że tak to się może skończyć. Wybrałem solidną firmę. Zapewniali, że nic się nie stanie.

– Widać nie dość solidną.

– To był wypadek – wtrącił ostrożnie pan Bogdan. – Na szczęście ogień zauważono w porę. Straty mogły być dużo większe.

Spojrzenie starszego pana Szewczyka jasno wskazywało, że nie widzi w tym zdarzeniu żadnych elementów szczęścia.

– Tak bardzo mi przykro – powiedziała cicho Raisa.

Czuła się bardzo niezręcznie, bo niespodzianka była przygotowana specjalnie dla niej.

Na twarzach Laury i ojca zauważyła znajomy niepokój, bezsilność i zrozumienie, do których zdążyła przywyknąć od najmłodszych lat. Obawiała się, że rodziną Szewczyków targają w tej chwili znacznie bardziej intensywne uczucia.

– Nie mogę w to uwierzyć! – wysapał Marek, wkładając przed lustrem marynarkę.

Raisa podeszła i pogładziła go po plecach. Materiał ustępował miękko pod jej palcami.

– Wiem, że czujesz się rozczarowany, ale zapewne niedługo znajdziesz lepszą ofertę.

– Lepszą ofertę? Chyba żartujesz! – prychnął. – Lepszą ofertę to ja miałem

mieć na uniwersytecie! Zbywano mnie, ale teraz już wiem dlaczego! Aby w końcu obsadzić stanowisko wnukiem dziekana! Marzenia o karierze naukowej przysły jak bańka mydlana!

– Możesz się realizować na innych polach. Jesteś przecież taki mądry – podsunęła delikatnie.

Marek wyrzucił w górę ramiona.

– Toż właśnie idę się realizować! Zostałem bibliotekarzem!

Raisie zrobiło się chłodno. Zapięła beżowy sweterek.

– Przecież nic w tym złego.

– Oczywiście, że nic, jeśli nie miało się moich ambicji. I zupełnie nic, jeśli nie trzeba wysłuchiwać ciągłego zrządzenia ojca.

Wspólne zamieszkiwanie młodego państwa Szewczyków ze starszymi zasadniczo sprawdzało się i przebiegało bez większych konfliktów. Po pożarze, przez czas remontu, Raisa i Marek mieszkali w wynajętym lokum, a potem wprowadzili się na poddasze. Pani Barbara z synową dogadywały się świetnie, ale między ojcem i synem narastało napięcie. Pan Jerzy nieustannie dopytywał, jak długo jeszcze jego syn ma zamiar bawić się, jak to określał, w przewodnika miejskiego. Choć biuro turystyczne podniosło stawkę, on uważał to zajęcie za niegodne ambicji syna. Niestety, tylko one pozostały Markowi, kiedy wizja kariery naukowej okazała się płonna.

Przygnieciony presją Marek niemal popadł w depresję i nie chciał nawet słyszeć o dalszej pracy w biurze turystycznym. Opowiadał tam bowiem wszem wobec, że to tylko przejściowe zajęcie, a on ma przed sobą świetlaną przyszłość na uczelni. Nie mogąc wytrzymać ciężkiej atmosfery w domu, z zapalem zabrał się do szukania nowej posady, efekty jednak nie pozostawiały złudzeń. Nikogo nie interesował doktor historii z aspiracjami. Ani w placówkach oświatowych, ani w ośrodkach naukowych, muzeach, urzędach czy w instytucjach kulturalnych. Marek był zszokowany faktem, że absolutnie nikt go nie potrzebuje. Po miesiącach poszukiwań na jego ofertę pozytywnie zareagowała jedynie biblioteka dziecięca. I właśnie tam od dzisiaj miał zacząć pracę.

Raisa przechadzała się po pokoju, skubiąc rękawy sweterka.

– To przecież całkiem przyjemna, spokojna praca. Wśród książek. Przecież ty tak lubisz czytać.

– Literaturę dziecięcą? – Spojrzał na nią jak na wariatkę.

Ugryzła się w język. Może istotnie nie jest to najlepszy argument, uznała.

– Będiesz miał codziennie do czynienia z dziećmi. Możesz się wprawiać, skoro planujemy mieć własne – podsunęła.

– Nie ma co, jesteś królową motywacji! Idź i przekonaj mojego ojca, że właśnie znalazłem się u szczytu kariery! – fuknął i założył okulary.

– Nie marudź, ja bym się mogła z tobą zamienić. Wiesz, jak wygląda moja

praca. Przynajmniej będziesz miał się do kogo odezwać, zamiast robić po części za babcię klozetową. – Uśmiechnęła się pokrępiąco.

– No nic. – Marek podszedł do żony i pocałował ją w czoło. – Przepraszam, że się uniosłem. To przecież tylko przystanek, prawda? Na pewno coś wymyślę.

– Jestem o tym przekonana – dodała z ulgą, że udało się jej podtrzymać męża na duchu.

W łazience zapadła pełna napięcia cisza. Słyszeć było tylko cichy szmer dobiegający z kaloryfera.

– Może to przeze mnie? – westchnęła Raisa, wyrzucając do kosza na śmieci negatywny test ciążowy.

– Daj spokój! Co ty pleciesz? – Marek objął ją ramieniem.

Przysiadła na brzegu wanny. Gonitwa myśli rosła.

– Obawiam się, że to może być kara za błędy przeszłości... – powiedziała cicho, ledwo dosłyszalnie.

Zmarszczył brwi.

– Jakie błędy?

– Do tej pory nie mówiłam o tym nikomu – zaczęła Raisa niepewnie. – Widzisz, Marek, ja już kiedyś byłam w ciąży i... urodziłam dziecko. Dziewczynkę.

– Co ty mówisz?

– To było dziecko Marcina. Pamiętasz, mówiłam ci o nim. Wtedy, po jego tragicznej śmierci, nie mogłam sobie poradzić z jego odejściem. Byłam młoda, zagubiona, przerażona wszystkim.

Marek usiadł obok.

– I co zrobiłaś?

Spuściła wzrok. Marek się wyprostował.

– Nie mogę uwierzyć, że dopiero teraz mi o tym mówisz. I to ot tak, w łazience, bezceremonialnie.

– Jakkolwiek bym to zrobiła, zawsze będzie to brzmieć tak samo przerażająco. Pomyślałam, że może to, że nam się nie udaje, ma jakiś związek z tamtym wydarzeniem. Chodziłam na terapię, żeby się z tym uporać, ale nie dokończyłam jej, bo mój psycholog... No cóż, popełnił samobójstwo. A później nie chciałam przed nikim otwierać się na nowo i od nowa o tym opowiadać.

– Czy twoja rodzina o tym wie?

– Nie. I proszę cię, żeby tak pozostało.

Marek pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Boże, ja ciebie w ogóle nie znam! Ale co się stało z małą? Oddałaś ją do adopcji?

Raisa splotła dłonie.

– W pewnym sensie.

– Jak to: w pewnym sensie?! – podniósł głos.

Jej odpowiedź nie wystarczyła, żeby zrozumieć, ale była stanowczo zbyt szokująca, by przejść nad sprawą obojętnie. Wtedy po raz pierwszy Marek Szewczyk spojrzął na żonę inaczej. Siedziała na wannie przygarbiona i wyglądała jak chodzące nieszczęście. Nie wiedział, czy jej współczuć, czy ją winić. Ale pojawiła się w jego głowie myśl, że jego żona skupia wokół siebie same trudne wydarzenia. I dostał przesłankę, że być może ona sama je generuje. Zaczął się zastanawiać, czy pożar w domu jego rodziców i kompletna ruina jego naukowej kariery mogą mieć jakiś związek z obecnością Raisy w jego życiu. Jak by nie patrzeć, Marcin, jej wielka pierwsza miłość, z którą, jak się właśnie dowiedział, miała dziecko, zginął, pływając razem z nią łódką. I nawet psycholog się zabił, pomyślał Marek ze zgrozą.

Patrzył na żonę z rosnącą niepewnością. Zupełnie tak samo jak na swoje życie.

Choć Raisa obawiała się, że to wyznanie zaburzy harmonię ich związku, nic takiego się nie wydarzyło. Marek okazał się osobą, która nie skreśla łatwo drugiego człowieka i nie tapla się w przeszłości, a już na pewno nie w tej, której częścią nie był. Tu i teraz wymagało od niego skupienia, bo musiał odnaleźć się w bibliotecznej rzeczywistości. Nie powracali więcej do tematu dziecka.

Raisa z jednej strony była wdzięczna mężowi, lecz z drugiej nieco zaniepokojona. Ale przyjęła ten stan rzeczy z pokorą.

Marek pracował z samymi kobietami: dwiema paniami po pięćdziesiątce i jedną czterdziestolatką. Nie dość, że był rodzyńkiem, to także najmłodszym w zespole. Okazało się, że młodzi czytelnicy wprost za nim przepadają, co samo w sobie było miłym doświadczeniem, tyle że nieszczególnie odpowiadającym jego ambicjom. Uważał się za człowieka czynu, więc zaczął się zastanawiać, co zrobić, aby nieco bardziej spełniać się w pracy. A przy okazji sprawić, by odwiedzające bibliotekę dzieciaki grzecznie siedziały na zielonym dywaniku w kącie czytelniczym, nie zaś wisały mu u nogi. Postanowił podszkolić z historii zarówno dzieci, jaki i swoje starsze koleżanki, których wiedza w tej dziedzinie była, według niego, dalece niezadowalająca. Organizował pogadanki, a żeby były atrakcyjne, postarał się o rekwizyty. Wieczory spędzał na budowaniu Biskupina z zapalek, wycinaniu papierowych koron i formowaniu bereł z folii aluminiowej. Słuchacze byli zachwyceni, a ich rodzice jeszcze bardziej, mogąc podczas zajęć wyskoczyć na godzinkę albo zaszyć się w kącie za ostatnim książkowym regałem i zaznać odrobiny spokoju.

Sceptycyzmem wykazywał się wyłącznie starszy pan Szewczyk. Podszedł do syna, gdy ten rano pakował do samochodu kostium na dzisiejszy wykład.

– Widzę, że tym razem dałeś z siebie wszystko – ocenił.

– Naprawdę tak uważasz?

Pan Jerzy cmoknął.

– Zależy, w jakich kategoriach to rozpatrywać. Przeszłych czy teraźniejszych. Pracownik naukowy to żadne odniesienie do przedszkolanki. Ale podejrzewam, że zakasujesz wszystkie w Szczecinie.

Marek zamknął z trzaskiem bagażnik.

– Dałbyś już spokój – powiedział. – Wiesz, że szukam czegoś bardziej adekwatnego, ale teraz jest, jak jest. Staram się dawać z siebie jak najwięcej.

– O, to widać! – roześmiał się pan Jerzy, wkładając dłonie do kieszeni spodni.

– Jerzy, przestań już! – wtrąciła się pani Barbara. Przysłuchiwała się rozmowie, zamiatając taras. – Nie wszystko w życiu idzie zgodnie z planem. Poza tym czego ty chcesz od pracy w bibliotece? Przy okazji nauczyci czegoś dzieciaki.

– O własne byś się postarał... – mruknął ojciec.

– W dzisiejszych czasach młodzi nie od razu pakują się w pieluchy – ruszyła z odsieczą pani Barbara.

Pan Jerzy odwrócił się ku żonie.

– Tak, jeśli mają inne priorytety. Jak kariera czy, dajmy na to, rozwijające podróże – odparł spokojnie. – U was zdaje się...

– To nie twoja sprawa! – ofuknęła go żona.

Zniecierpliwienie w jej głosie świadczyło, że temat jest drażony już nie pierwszy raz.

– Jak to: nie moja? Chciałbym być dziadkiem.

– A ja chciałbym pracować na uczelni! – uciął zirytowany na dobre Marek, siadając za kierownicą. Wychylił się przez okno. – Będziemy dzisiaj z Raisą później – powiedział do matki. – Przychodzi dzisiaj na moją pogadankę do biblioteki. A potem wybieramy się na kolację.

– W porządku. Robię dzisiaj gołąbki, to wam odłożę. Będziecie mieli na jutro.

Marek wyjechał z podjazdu, zadowolony, że wyrwał się spod ojcowskiego obstrzału. Próbował sobie przypomnieć, jakie to czynniki sprawiły, że postanowili z Raisą zamieszkać z rodzicami. Podejrzewał, że w Bornem Sulinowie żyłoby mu się o wiele spokojniej.

Tyle że tam na pewno nie znalazłby żadnej pracy.

Dzień w muzeum dłużył się Raisie jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Czekala na popołudniowe spotkanie w bibliotece z niecierpliwością. Cieszyło ją zaproszenie od męża. Miło było widzieć jego zadowolone oczy, kiedy planował kolejny temat dla dzieci, i obserwować z ulgą, że rano wstaje z łóżka z werwą, a nie zwleka się, jak ostatnimi czasy. Dlatego dzisiaj miała zamiar dać mu jasny sygnał, że go wspiera. Była mu wdzięczna, że jej nie odtrącił po wyznaniu; od chwili kiedy się przed nim otworzyła, znaczył dla niej jeszcze więcej. Dziwiła się teściowi. To w końcu jego jedyny syn, a miejsce, w którym pracuje, nie zmienia

tego faktu, myślała.

Nie знаła tematu pogadanki, bo Marek chciał zrobić jej niespodziankę. Liczył, że powie mu szczerze, ile faktycznie warte są jego pomysły. A ona obiecała mu, że tak będzie. Po pracy niemal pobiegła na osiedle, gdzie znajdowała się biblioteka, niepozorny budynek wciśnięty pomiędzy labirynt wieżowców.

Właśnie przechodziła przez parking pod jednym z bloków, gdy usłyszała swoje imię. Obróciła się i zobaczyła Michała, kolegę Marka z biura turystycznego. Stał przy samochodzie, obładowany siatkami.

– Cześć, Raiso, miło cię widzieć – powiedział. – Co cię sprowadza w moje okolice?

– Hej. Marek zaraz będzie prowadził tutaj pogadankę. – Spojrzała na komórkę. – Zaczyna za dziesięć minut.

– Serio? A ja nic nie wiem. Gdzie?

– W bibliotece.

– To tutaj jest jakaś biblioteka? – Michał wyduł dolną wargę.

– Coś jesteś kiepsko zorientowany...

– Zaczekaj na mnie chwilę. Podrzucę to Beacie. – Podniósł siatki. – Zaraz wracam. Bardzo chętnie z tobą pójdę i wesprę kumpla.

Zapał już zmrok, więc rozświetlone szyby biblioteki zdradzały, co dzieje się w środku. Z całą pewnością Marek nie będzie narzekał na publiczność, pomyślała Raisa, widząc gromadę dzieciaków.

– To tutaj? – zapytał zaskoczony Michał.

– Aha. Chodźmy. Już czas! – Pociągnęła za klamkę.

– Ale to przecież biblioteka dla dzieci – zauważył skonsternowany. – Myślałem, że mówisz o jakiejś innej.

– No i co z tego? – rzuciła Raisa w korytarzu. – Dzieci też interesują się historią.

W środku panował harmider jak w przedszkolu. Dzieciaki siedziały na zielonym dywaniku przed tablicą ze zdjęciami i pracami plastycznymi z poprzednich spotkań.

Raisa zauważyła przysadzistą brunetkę i wyszło jej, że to pani Danuta z opowieści Marka. Podeszła bliżej i przedstawiła się. Kobieta uścisnęła jej dłoń.

– O, jest pani! – powiedziała. – Marek wspominał, że pani wpadnie. Przyprowadziła pani przyjaciela z dziećmi?

– Moje dzieci zostały w domu – wyjaśnił Michał.

– A to akurat wielka szkoda. Nasze zajęcia cieszą się ogromnym zainteresowaniem. Sam pan zobaczy i zacznie przysyłać swoje pociechy.

– Gdzie możemy usiąść? – zapytała Raisa, rozglądając się po kolorowym wnętrzu, które znajomo pachniało książkami.

– O, tutaj. – Pani Danuta wskazała nieco oddalone od dywanika krzesła. – To

miejsca dla rodziców. – Zaklaskała. – Dzieci, zaraz zaczynamy!

Raisa z Michałem przysiedli obok kilkorga rodziców. Raisa rozpięła kurtkę i zawiesiła ją na oparciu.

– Powiesz mi, w ramach jakiego projektu Marek ma tutaj wykłady? Uczelnia to organizuje? – zapytał Michał.

Co ja najlepszego narobiłam?, spłoszyła się Raisa. Przecież Marek w biurze turystycznym opowiadał o spodziewanym etacie na uniwersytecie, a gdy nic z tego nie wyszło, po prostu uciekł z poprzedniej pracy przed tłumaczeniami.

Pojąwszy grozę sytuacji, zaczęła się jąkać.

– Nie, nie do końca tak jest. Bo widzisz...

– Marek pewnie zadowolony z nowej posady, co? O niczym innym nie mówił, tylko o karierze naukowej i uniwerku. Czasami już mieliśmy go dość – dodał, rozbawiony wspomnieniem.

Gwar ucichł, a pani Danuta stanęła pośrodku sali i splotła dłonie.

– Kochane dzieci, witamy w naszej bibliotece na kolejnych zajęciach z cyklu „Dotknij historii” – powiedziała uroczyście. – Cieszymy się, że nasze spotkania tak wam się podobają. Na tablicy – wskazała za siebie – wywiesiliśmy wszystkie prace z poprzedniego wykładu na temat Bolesława Chrobrego. A dzisiejsze popołudnie upłynie nam pod znakiem... – zawiesiła głos. – Rycerzy!

Z tyłu sali otworzyły się drzwi. Dzieci odwróciły się i oniemiały. Na ich twarzach malował się zachwyt. Raisa jeszcze nie wiedziała dlaczego, ale pomyślała, że Marek ani trochę nie przesadzał, twierdząc, że maluchy za nim przepadają. Po chwili do uszu obecnych dobiegł szcęk metalu, chrobot i ciężkie kroki, a zza regałów z książkami wyłoniła się postać w samodziślowej lśniącej zbroi, z domowej roboty tarczą z papieru i sztyletem z różną w roli miecza.

– Jam jest najznamienitszy polski rycerz, wzór cnót i honoru, niepokonany w bitwie, zawsze oddany niewiastom Zawisza Czarny – oświadczyła głosem Marka.

Raisa otworzyła szeroko oczy w niemym zaskoczeniu. A Michał zaczął trząść się ze śmiechu dokładnie w chwili, kiedy Zawisza Czarny szukał swojej żony wzrokiem zza chałupniczego hełmu. Dostrzegł kolegę z dawnej pracy, przed którym nieraz roztaczał wizję świetlanej kariery, i zaczął się pod zbroją intensywnie pocić. Dzieciaki otoczyły go zachwycone, chwytając ze rękawice, dotykając kolczugi. Marek wiedział, że nie może ich zawieść. I był to jedyny powód, dla którego z chrzęstem metalu nie rzucił się do ucieczki.

– Kazali mu się w to ubrać? – wyszeptał do Raisy Michał, niemal dusząc się ze śmiechu. – Ładnie się teraz traktuje pracowników naukowych!

Raisa desperacko pragnęła naprawić sytuację. Wręcz czuła, jakie gromy spod hełmu ciska w jej stronę męża.

– Nie, Michale. Marek pracuje w tej bibliotece. I to on wpadł na pomysł tych

pogadankę dla dzieci. Cieszą się wielkim zainteresowaniem.

– Marek tutaj pracuje?!

Po tonie jego głosu Raisa zrozumiała, że nie udało się jej niczego naprawić.

– Odnajduje się tutaj – oświadczyła z naciskiem.

– Ale jak to? Przecież mówił wyłącznie o uniwersytecie! A praca przewodnika to według niego było pajacowanie!

– W życiu bywa różnie.

– W biurze umrą ze śmiechu, jak się dowiedzą – parsknął.

– Proszę, nie opowiadaj o tym. Wiesz przecież, jak Markowi zależało na karierze naukowej. Po prostu nie wyszło...

– Raiso, przecież to nie wstyd być Zawiszą Czarnym – odparł Michał poważnie, a ona zrozumiała, że wszystko stracone.

Po wykładzie, który dzieci zgodnie nagrodziły gromkimi oklaskami, Raisa i Michał podeszli do bohatera wieczoru. Mimo uszczypliwości kolegi Marek trzymał się dzielnie, odpowiadając argumentami zasłyszczanymi u żony: że można spełniać się w różny sposób i powinno się otwierać na nowe możliwości. Michała jednak nie przekonał. Wiedział doskonale, że już niedługo bardzo wielu wspólnych znajomych będzie miało nie lada ubaw z zawrotnej kariery Marka Szewczyka.

Gdy wyszli z biblioteki, niosąc w siatkach do samochodu kostium Zawiszy Czarnego, Raisa bała się odezwać. Jej serce tłukło się jak oszalałe.

– Spotkałam go przypadkiem... – bąknęła.

– Nie mogłaś go spławić?

– W pierwszej chwili nie pomyślałam, jak to może zostać odebrane. Cały dzień czekałam na twój występ, cieszyłam się, więc odruchowo chciałam się tym podzielić.

– Tylko mnie ośmieszyłaś! – warknął.

– Nie żartuj, byłeś świetny! A zbroja cudowna. Ja bym takiej nigdy własnoręcznie nie zrobiła. – Wyciągnęła rękę, ale ją odtrącił.

– Daruj sobie, Raisa. To i tak już niczego nie zmieni. Zobaczyłem siebie jego oczami. I uwierz mi, nie spodobało mi się to, co widzę.

W posępnych nastrojach wrócili do domu. Pani Barbara zdziwiła się, że tak wcześnie, ale zobaczywszy ich miny, postanowiła nie drażnić. Marek cieszył się, że nie ma ojca, który wyszedł do kolegi. Gdyby jeszcze on spytał, jak udała się pogadanka, najpewniej straciłby panowanie nad sobą.

Raisa czuła się winna. Miała wrażenie, że w jednej chwili zrujnowała coś, co jej mąż budował tak misternie. Marek ponownie wpadł w wir poszukiwań pracy i bezowocnego chodzenia na rozmowy kwalifikacyjne. Choć w dalszym ciągu organizował pogadanki dla dzieci, nie angażował się już tak bardzo i przyglądał uważniej rodzicom maluchów.

Czuła się tym gorzej, że Marek zachował się wobec niej w porządku. Nie

oceniał jej. Po prostu przy niej był.

– A ja go tak zawiodłam – oznajmiła Edycie, która od godziny regularnie dolewała przyjaciółce wina.

Raisa przyjechała na weekend do domu. Oficjalnie w odwiedziny do ojca, lecz tak naprawdę chciała oderwać się od ciężkiej atmosfery jej związku. Edyta odstawiła butelkę i podsunęła kawałek warzywnej tarty na talerzyku.

– Masz, zjedz coś, bo zaraz się ululasz – powiedziała.

– Może o to mi chodzi? – Raisa wzruszyła ramionami.

– Moim zdaniem niepotrzebnie przeżywasz to aż tak. Skąd miałaś wiedzieć, że ubierze się w tę zbroję? Spotkałaś jego kumpla i zaprosiłaś. Na moje oko Marek obwinia cię o swoją porażkę.

– Gdyby nie ja, nie stałby się pośmiewiskiem. Wyobraź sobie, że jego dawni koledzy z biura zadzwonili do niego niedawno. Gdy odebrał telefon, usłyszał odgłosy jakiejś bitwy. Puścili mu do telefonu fragment ekranizacji *Krzyżaków*! Masz pojęcie? Domyślam się, jaki mieli ubaw. Tak mi go żal...

Edyta nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

– Swoją drogą, Markowi nie zaszkodziłaby odrobina dystansu.

– Niełatwo mu o to. On wszystko bierze do siebie. No i jeszcze ojciec. Niekoniecznie go wspierał, gdy Marek zaczynał pracę w bibliotece. W dodatku... – westchnęła. – Zmagamy się z innymi problemami. Bezskutecznie staramy się o dziecko. Ostatnio Marek zarzucił mi, że to przeze mnie.

– Jak to: przez ciebie?

– Zrobiłam wprawdzie badania i wygląda na to, że wszystko jest w porządku, ale powiedziałam mu kiedyś, że obawiam się, że to kara. Wiesz za co.

Edyta spoważniała.

– I po co? To dawne dzieje. Naprawdę nie sądzę, by miały cokolwiek wspólnego...

– Byłam przytłoczona i czułam, że muszę to z siebie wyrzucić – weszła jej w słowo Raisa. – Poza tym to mój mąż.

– Wiesz, że najbliżsi ludzie potrafią zranić najbardziej?

– Jakoś mnie dotąd nie zraniłaś.

Edyta milczała przez chwilę, zapatrzona w ścianę pokoju. Wciąż mieszkała z rodzicami.

– Lepiej doradź mu, żeby to on się przebadał – powiedziała wreszcie.

– Wspominałam mu kiedyś. Ale teraz odebrałby to jak kolejny cios.

Edyta skinęła w stronę kieliszka.

– Myślę, że powinnaś się napić. Chyba jednak nie tak źle zrobiłam, skupiając się na rozwoju kawiarni zamiast na miłostkach – doszła do wniosku. – Wprawdzie mój biz-nes jeszcze raczkuje, ale ma perspektywy. Najważniejsze, że nie rzuca na mnie oskarżeń, nie wyładowuje frustracji i nigdy mnie nie zrani. Związek idealny!

– Tylko tak gadasz, dobrze cię znam.

Edyta podniosła się z krzesła i podkręciła radio. Rytm dawnego hitu, popularnego w czasach ich licealnych dyskotek, sprawił, że zaczęła ruszać biodrami.

– Wstawaj! Poskaczemy trochę, to od razu inaczej spojrzysz na świat!

Raisa nie miała ochoty, ale przyjaciółka chwyciła ją za ręce i poderwała z miejsca. Chwilę potem tańczyły, zaśmiewając się do szkolnych wspomnień. Dwie piosenki później opadły zmachane na krzesła.

– Chyba brak mi kondycji – oznajmiła Raisa, ocierając czoło. – Za dużo siedzę w tej swojej pracy.

Edyta starała się uspokoić oddech.

– Ze mną też nie jest najlepiej.

– Drodzy słuchacze! – usłyszały głos spikera. – A teraz zapowiadany konkurs. Główną nagrodą jest pięciodniowa wycieczka promem do Sztokholmu. Należy odpowiedzieć na pytanie o tytuł najcenniejszego obrazu w zbiorach Muzeum Narodowego w Szczecinie. Nagrodę wygra pierwsza osoba, która zadzwoni się z poprawną odpowiedzią.

Portret księcia Filipa I, pomyślała Raisa. Nerwowo rozejrzała się po pokoju.

– Gdzie mój telefon? – zapytała.

Edyta sięgnęła do toaletki.

– Bierz mój.

Po trzech długich sygnałach i kilku słowach rozmowy Raisa usłyszała, jak prezenter komunikuje słuchaczom, że to właśnie ona wygrała dwuosobową wycieczkę. Nie zamierzała przyznawać się na antenie, że każdego dnia spędza długie godziny w towarzystwie Cranacha.

– Rany! – zapiszczała Edyta. – Naprawdę ją wygrałaś! Niewiarygodne!

– Niesamowite, prawda? Ja! Ja coś wygrałam! Niech mi teraz ojciec powie, że moje studia na nic się nie przydały.

– To jak? Zabierzesz mnie? – Edyta puściła oko. – W końcu użyłam ci telefonu.

– Wybacz, ale chciałabym zrobić niespodziankę Markowi...

Przyjaciółka sięgnęła po butelkę.

– Przecież wiadomo, że pojedziesz z nim! Żartowałam!

Raisa zatonąła w wyobrażeniach o cudownej wyprawie, która oczyści atmosferę między nimi i przywróci radość. Chociaż wcześniej bezczynne godziny spędzane na muzealnym krzeselku irytowały, dzisiaj nie żałowała ani minuty i ani jednego wskazania drogi do najbliższej toalety.

Marek czekał na właściwy moment, żeby powiedzieć żonie o wynikach badań.

Zrobił je w tajemnicy. To miała być tylko formalność. I dowód, że to jednak

przez nią nie mogą począć dziec-ka. Okazało się jednak zupełnie inaczej. Znał prawdę już od miesiąca, lecz wciąż zwlekał z jej wyjawieniem. Wiedział, że wyniki nie zamykają drogi do rodzicielstwa, lecz jego męskie ego cierpiało. Był to kolejny cios w jego dumę i nie potrafił sobie z nim poradzić.

Kiedy Raisa powiedziała mu o wygranej w radiowym konkursie, roztaczając wizję podróży poślubnej, która dotąd się nie odbyła, w pierwszej chwili się ucieszył. A ona przytuliła się do niego w łóżku i wyszeptwała:

– Może wtedy nam się uda? Zrelaksujemy się, zmienimy otoczenie.

Marek przełknął ślinę. Powinien jej wówczas powiedzieć, jak się sprawy mają, ale słowa nie chciały przejść mu przez gardło. Ona też nie we wszystkim była taka wylewna, pomyślał.

– Masz rację. Oboje potrzebujemy odpoczynku. – Zgasił nocną lampkę.

Choć twierdził, że jest senny, przewracał się jeszcze długo. Nie potrafił uwierzyć, że jego klarowny plan na życie rozsypuje się jak klocki domina. Jeden po drugim.

Nagle poczuł, że musi wstać. Że jeśli chce w ogóle zasnąć, musi pójść na kanapę. Ciepłe ciało żony obok, jej oddech działały mu na nerwy.

Oboje byli tak samo podekscytowani. Pojawili się w porcie późnym popołudniem, gotowi wjechać swoim starym oplem na prom, który imponował rozmiarami. Miał dziewięć pokładów, mógł przewieźć dwa tysiące pasażerów i czterysta pięćdziesiąt samochodów. Płynęli do Nynäshamn, gdzie mieli rozpocząć swoją szwedzką przygodę. Statek odbijał z Gdańska o osiemnastej, na miejscu miał być w południe. Pogoda sprzyjała – październikowe słońce powoli znikало za horyzontem, jak wprawny malarz barwiąc chmury na złoto, ogniście pomarańczowo i fioletowo. Subtelny wiatr delikatnie studził rozpalone z emocji policzki.

– Ależ pięknie! – wyszeptwała Raisa, zapatrzona w odległy horyzont, gdzie woda z niebem zdawały się tworzyć jedność. Po słońcu zostały już tylko złociste smugi na niebie.

Marek, który zamierzał czerpać z wyjazdu pełnymi garściami, chwycił jej rękę.

– Nie mogę się już doczekać zwiedzania Sztokholmu – powiedział. – Zawsze chciałem zobaczyć to miasto.

Przyłgnęła do niego, wsunęła dłoń w kieszeń jego szarej rozpinanej bluzy. Wciągnęła ostry zapach morskiego powietrza. Pomyślała, że ta nagroda spadła im jak z nieba. I że ten wyjazd naprawdę im posłuży.

Popatrzyli sobie w oczy.

– Jesteś głodna? – zapytał Marek. – Podobno mają tu niezłą kuchnię.

Przytaknęła, lecz poprosiła, żeby pozostać na pokładzie jeszcze przez chwilę i popatrzeć na fale.

Do sali restauracyjnej zeszli, dopiero gdy zrobiło się chłodno. Subtelne oświetlenie sprawiało, że dość spore pomieszczenie wydawało się kameralne. Grała spokojna, miła dla ucha muzyka. Kelnerzy poruszali się bezszelestnie.

Raisa i Marek wybrali stolik w zacisznym kącie. I zapomnieli, że znajdują się na promie, otulonym czernią nocy. Ona przejrzała kartę i zdecydowała się na halibuta w sosie estragonowym, on po raz pierwszy w życiu zamierzał skosztować krewetek. Kelner zapewniał, że przyrządzone z czosnkiem i chili bez wątplenia go zachwyca. Choć początkowo sceptyczny, dał się przekonać. Popijając białe wino, raczył się daniem, nie mogąc się nadziwić, że wcześniej był uprzedzony do owoców morza. Rozmawiali o drobnostkach, oboje w wyśmienitym nastroju, jaki potrafi wyczarować wizja miłego niespodziewanego urlopu.

Przy deserze, tarcie bezowej z owocami, Marek przedstawił żonie szczegółowy plan wycieczki. Głównymi jej punktami były pałac królewski Kunliga Slottet i ratusz Stadshuset, który, jak wyczytał w przewodniku, uznawany jest za jeden z symboli stolicy Szwecji.

– Wiesz, że budynek inspirowany jest Pałacem Dożów? A swoją drogą Wenecję też chciałbym kiedyś zobaczyć...

– Będę śledzić konkursy – roześmiała się Raisa, odkrawając kawałek bezy.

– Koniecznie musimy też zwiedzić luterzańską katedrę Świętego Mikołaja. Czytałem, że znajduje się tam rzeźba Bernta Notkego *Święty Jerzy ze smokiem*. Podobno warto ją zobaczyć. I oczywiście obowiązkowo Muzeum Nobla na Starym Mieście.

Raisa słuchała i robiło się jej ciepło na sercu. Dawno nie widziała Marka tak ożywionego i zapalonego do czegokolwiek.

– Pasuje ci? – zapytał, odstawiając kieliszek.

– Jak najbardziej. – Uśmiechnęła się.

– A słuchałaś mnie w ogóle?

– Oczywiście. Zawsze cię słucham. – Spojrzała za okno. – Mam ochotę jeszcze się przejść. Co ty na to? Chodź, popatrzymy w gwiazdy.

Jest w wyjątkowo romantycznym nastroju, zauważył Marek, domyślając się, co kołacze żonie po głowie. Znał jej oczekiwania związane z tym wyjazdem i wiedział, że są płonne. Zdawał sobie sprawę, że powinien wreszcie powiedzieć, jak się sprawy mają, ale wciąż nie potrafił podjąć decyzji.

Dopili wino, zapłacili za kolację i ponownie wyszli na pokład. Ciepłe restauracyjne wnętrza i alkohol rozgrzały ich tak bardzo, że na początku nie poczuli przeszywającego do szpiku kości zimnego wiatru, który rozhulał się na zewnątrz. Niestety, na niebie nie widać było gwiazd, na które liczyła Raisa. A fale zmieniły się ze spokojnych, niemal leniwych, w napierające olbrzymy, rozbryzgujące się z silnym pluskiem o burty promu. Kiedy zaczął padać deszcz, zrozumieli, że z ich romantycznej nocnej przechadzki nici.

Górny pokład pustoszał. Raisa złapała Marka za rękę i wąskim korytarzem, wyłożonym czerwoną wykładziną, poprowadziła do kabiny. Może to nawet lepiej, że pogoda się popsowała?, pomyślała z uśmiechem.

– Trochę jednak buja – ocenił Marek, zamykając za nimi drzwi.

– Nic nie szkodzi. Ważne, że dopisuje nam humor. – Raisa podeszła do męża.

Dotknęła palcami jego warg. Powiodła po ich konturze, po czym wspięła się na palce i pocałowała go. Rozpięła suwak przy bluzie i zaczęła rozpinąć guziki błękitnej koszuli.

– Nieco się przejadłem... – oświadczył Marek z ciężkim westchnieniem.

– Zaraz ci przejdzie – wyszeptła mu do ucha.

– Chyba nawet odrobinę mnie mdli. – Chwycił się za brzuch. – Jak myślisz, może to choroba morska?

– Zrelaksuj się – odparła kojąco. – Myślę, że zaraz coś na to poradzę. – Pogładziła go delikatnie po karku.

Istotnie, i ona zaczęła odczuwać kołysanie. Ale zmieniła się pogoda, więc nie było się czemu dziwić.

– To przecież spory prom – mruknął Marek, nieczuły na pieśzcoty żony. – Żeby aż tak nim bujało?

– Myślę, że jeśli się położymy, nie będziemy tak tego czuć – odparła Raisa, popychając go delikatnie w stronę łóżka.

Chwilę później wzburzone morze stało się odległą kwestią. Gdy wreszcie zasnęli, utuleni gwizdzącym za oknem wiatrem i miarowym kołysaniem, mieli pod powiekami wspomnienie udanego wieczoru.

Raisę obudził metaliczny huk, podobny do odgłosu przejeżdżającego pociągu. Statkiem zatrzęsło.

– Słyszałeś to? – Dotknęła ramienia Marka.

Otworzył oczy, niezadowolony, że przerywa mu sen.

– O co chodzi? Dlaczego...

– Usłyszałam dziwny trzask, a potem promem zahuśtało. Nie wiem. Jakby jakaś ciężarówka przewróciła się na pokładzie dla samochodów.

– Pewnie coś ci się przyśniło – mruknął Marek, wtulając twarz w poduszkę.

Raisa usiadła i skupiła się na słuchaniu. Ponieważ jednak dźwięk się nie powtórzył, i ona postanowiła się położyć. Już przysypiała, gdy pokładem zakołysało ponownie. Poderwała się na równe nogi.

– Marek, wstawaj! – rzuciła zdenerwowana.

Mąż spał w najlepsze.

Po chwili dało się wyczuć, że statek wchodzi w ostry skręt.

Raisa przysiadła na łóżku, niepewna, co właściwie powinna robić. Może to normalne, a ja panikuję?, myślała. Ale po kilku minutach zawyły syreny – kilka

krótkich dźwięków, po których następował dłuższy. Powtarzały się regularnie.

Przy takim koncercie nie dało się spać. Marek usiadł na łóżku, zupełnie skołowany. Raisa czuła, jak pod jej skórą niemal boleśnie kotłuje się niepokój.

– Jak myślisz, co się dzieje? – wykrztusiła.

Marek patrzył przez okno, za którym panowała atramentowa ciemność.

– Nie mam pojęcia. – Sięgnął po leżące na krześle spodnie i zaczął je wciągać. – Idę się rozejrzeć. Może to jakieś ćwiczenia?

– Alarm ogólny – przemówił w tej samej chwili radiowęzeł głosem kapitana. Spokojnym, choć pełnym napięcia.

Załodze i pasażerom nakazano natychmiastową ewakuację do punktów zbornych na pokładzie. Wezwanie powtórzono po szwedzku i angielsku.

Nie było mowy o żadnych ćwiczeniach.

Raisa na pidżamę narzuciła kurtkę, wskoczyła w buty.

Po korytarzu w panice miotali się ludzie. Jedni w jedną stronę, inni w przeciwną.

– Toniemy! Wszyscy do szalup! – krzyczał sporych rozmiarów mężczyzna w mundurze, waląc kolejno do każdych drzwi.

Przepychano się na schodach, na pokładzie robiło się coraz ciasniej. Pasażerowie przypominali stado rozbieganych mrówek, którym ktoś zniszczył mrowisko. Panował chaos. Ludzie, kierując się oznaczeniami i poleceniami załogi, biegli do wyznaczonych miejsc ewakuacyjnych. Popychali się, krzyczeli na siebie. W każdej parze oczu widoczny był strach. Niektórzy, niekompletnie ubrani, drżeli na całym ciele z zimna i z trwogi. Niesione na rękach dzieci zanosily się histerycznym płaczem.

– Co się stało? – próbowali zorientować się niektórzy.

– Boże, wszyscy zginiemy! – lamentowała jakaś kobieta. Siedziała na schodach w wałkach na głowie, powtarzając modlitwy.

– Rusz się, babo, bo tarasujesz przejście! – szturchnął ją jakiś młokos.

Raisa pochyliła się nad płaczącą.

– Proszę wstać – powiedziała. – Musimy uciekać. Nie może pani tutaj siedzieć.

Tamta spojrzała szeroko otwartymi oczami. Drżała jej broda. Miała mokre od łez policzki.

– I tak wszyscy zginiemy! – wymamrotała. – Chyba widziała pani *Titanica*?

Marek szarpnął żonę za rękę.

– Zostaw ją! Nie mamy czasu!

Gdy wybiegli na pokład, ich oczom ukazał się okropny widok. Prom stał w przechyle, ludzie z trudem utrzymywali się w pozycji stojącej, wpadali na siebie, desperacko starali się chwycić czegokolwiek. Wszyscy biegali w tę i z powrotem, czując, że tylko najszybsi i najsilniejsi mają szansę przeżyć. Wył wiatr, twarze

smagał zacinający deszcz, pokład zalewały fale. Wokół kumulował się krzyk, płacz, jęk i zawodzenie. Niektórych raniły odpadające od konstrukcji elementy.

Marek złapał Raisę za rękę i pociągnął w stronę szalup.

Nagle, z niepokojącym stęknieniem, statek przechylił się jeszcze bardziej i oboje upadli na pokład. Zjechali na burtę i poobijali się mocno. Kilka osób, uświadomiwszy sobie, co je czeka za chwilę, spanikowało i zaczęło wdrapywać się na barierki. Skoczyło w zimną toń, zapewne nie mogąc znieść oczekiwania na najgorsze.

Od ogłoszenia ewakuacji minęło siedem minut. Czteryście dwadzieścia pełnych grozy sekund. Przemieszczanie się po pokładzie nie było bezpieczne; statek przegrywał ze sztormową pogodą. Fale sięgały dziesięciu metrów. Marek w duchu podziękował Bogu, że udało im się wydostać akurat na tę burtę, która jeszcze znajdowała się nad powierzchnią. Doholował Raisę do punktu zbornego i polecił jej ustawić się wraz z innymi kobietami w kolejce do tratwy. Sam ruszył dalej, licząc, że uda mu się znaleźć choćby koło ratunkowe.

Zauważył je ponad zamkniętą na kłódkę skrzynią, w której trzymano kamizelki. Już miał je zdjąć z haka, gdy tuż obok wyrósł olbrzymi mężczyzna. Obaj wiedzieli, co stanie się za chwilę.

Marek pierwszy chwycił koło, ale olbrzym natarł na niego i powalił go na skrzynię. Przeszywający ból w piszczeli w jednej chwili uświadomił Markowi, że złamana noga diametralnie uszczupla jego szanse na przeżycie. Olbrzym założył koło z niemałym trudem, po czym wychylił się przez barierki i z okrzykiem wyskoczył za burtę.

Statek nie przestawał się przechylać.

Marek był pewien, że to na nic, a mimo to szarpnął za kłódkę. Musiał spróbować. Ku jego zaskoczeniu, zabezpieczenie puściło. Pośpiesznie otworzył skrzynię. Na siedząco, posykując z bólu, założył jedną z kamizelek. Tyle mógł dla siebie zrobić. Doczołgał się do jakiejś rury biegnącej przy ścianie, licząc, że doczeka interwencji ekipy ratowniczej. Modlił się, żeby zdążyła, zanim morze pochłonie prom. Tkwił skulony, aby go nie zauważono i nie zdarto z niego tej jedynej, lichej, pomarańczowej nadziei wypełnionej twardą gąbką.

Resztę kamizelek szybko zabrali ze skrzyni inni pasażerowie.

Raisa była zbyt przerażona, by krzyczeć i płakać, jak większość kobiet. Stała, czekając na swoją kolej, i wypatrywała Marka, coraz bardziej przekonana, że już nigdy się nie zobaczą. Prom wydawał mrozące krew w żyłach metaliczne dźwięki. Chylił się ku rozszalałej lodowatej wodzie z głuchym pomrukiem.

Czarna otchłań wzburzonej wody sięgała po życie pasażerów. Wprawdzie szalupy zjeżdżały w dół wypełnione po brzegi, ale szło to zbyt wolno. Członek załogi w przemoczonym mundurze zakomunikował, że pozostały jeszcze dwie łódki. Ci, którzy się do nich nie zmieszczą, będą musieli poczekać na ekipę

ratowniczą.

– No to po nas! – jęknęła zrozpaczona Raisa.

Zdawała sobie sprawę, że informacja o ekipie ma jedynie uspokoić spanikowanych pasażerów. Zaczęła myśleć gorączkowo, co zrobić, jeśli nie dostanie się na tratwę, co było niemal pewne.

I wtedy nadeszła olbrzymia fala. Uderzyła znienacka, z ogromną siłą. Choć Raisa próbowała desperacko chwycić się poręczy, jedynie ją musnęła. Została zmyta z pokładu.

Pod wodą straciła orientację. Nie wiedziała, gdzie dół, gdzie góra. I gdzie właściwie powinna płynąć. Było ciemno i lodowato. Przerazona Raisa dostrzegła bąbelki powietrza wypływające z jej ust i zrozumiała, że pozostała jej dosłownie chwila, aby wypłynąć na powierzchnię. Podążyła za nimi z rozdzierającym bólem w piersi i nagle poczuła, że znów oddycha.

Jej oczom ukazał się straszliwy widok.

Prom był już w większej części pod wodą. Ludzie wpadali do niej jeden po drugim. Wokół słychać było wycie morza; wiatr tłumił krzyki. Raisa wiedziała, że w tym sztormie długo nie utrzyma się na powierzchni. Tym bardziej że nie czuła się dobrą pływaczką. Zaczęła rozglądać się za jakąś łódką. W sporej odległości dostrzegła jedną z szalup, która w dodatku zdawała się płynąć w jej kierunku.

– Pomocy! – zawołała, wymachując ręką.

Odczekała chwilę i ponowiła wołanie.

Łódka tkwiła w miejscu, bujając się nerwowo. Raisa nie miała na sobie kamizelki z gwizdkiem ani niczego, co mogłoby przyciągnąć uwagę. Poczowała, jak w stalowym uścisku zamyka ją śmierć. Widziała już morskie dno i swój objający się po nim szkielet. Pojęła, że jej życie zależy wyłącznie od mocy jej płuc. Wzięła głęboki oddech.

– Ratunku! Pomocy! Jestem tuuutaj! – wrzasnęła ile sił.

Żadnej reakcji.

Raisie zbierało się na płacz. Nie mogę sobie na to pozwolić, bo osłabnę, zdała sobie sprawę.

– Pomocy! – krzyczała desperacko.

Tylko się nie poddawaj!, napominała się w duchu. Choć nie miała już sił, a ciało z zimna zaczynało sztywnieć, wrzeszczała w ciemną noc, by dać sobie jakąkolwiek szansę.

Na jej twarzy spoczął snop światła, a oślepiona Raisa zmrużyła oczy. Wydało się jej, że dostrzega ruch wiosła.

Po nieskończone długim czasie podpłynęła do niej łódka ratownicza. Raisa została wciągnięta do środka.

– Dziękuję! – mamrotała w kółko, dygocąc z zimna.

W łódce był Szwed, dziesięć Polek, Niemka i dwóch Estończyków.

Wystrzelili pierwszą raketę. A Raisa w końcu pozwoliła sobie na płacz. Pośród szalejącej wody, z załzawionymi oczami, bezskutecznie wypatrywała Marka. Ściągnięte rozpaczą twarze współpasażerów świadczyły, że większość z nich robi to samo. I że najpewniej żadne z nich nie znajdzie tego, kogo szuka.

– Jak to się mogło stać? – załkała drobna blondynka w nocnej koszuli.

Drżała z zimna.

Siedząca obok kobieta próbowała otulić ją swoim swetrem.

– Najważniejsze, że żyjemy – pocieszała.

Szwed powiedział coś, czego nikt nie zrozumiał, ale wszyscy mieli wrażenie, że nigdy w życiu nie słyszeli niczego piękniejszego. Po chwili wystrzelił drugą racę. A niedługo potem rozbitkowie zobaczyli nadlatujący helikopter. Poderwali się na równe nogi, zaczęli wymachiwać i krzyżeć, by ich zauważono. Szwed sięgnął po latarkę i skierował snop światła w górę, przysłaniając go rytmicznie dłonią.

Pewnie nadaje sygnał SOS, pomyślała Raisa. Ona z lekcji przysposobienia obronnego pamiętała jedynie swój rozmiar maski przeciwgazowej.

Gdy znalazła dane Marka na liście żywych przywiezionych do szpitala, poczuła, że już nigdy o nic więcej w życiu nie będzie prosić Boga. Na pokładzie było ośmuset siedemdziesięciu sześciu pasażerów, uratowano trzystu czterdziestu jeden. To, że przeżyli oboje, było cudem. Większej ich liczby nie należało się spodziewać.

Biegła białym długim korytarzem do sali, w której leżał jej mąż, nie pozwalając sobie na wiarę w ocalenie, dopóki go nie zobaczyła. Z impetem popchnęła drzwi i dopadła łóżka przy oknie.

– Jesteś! – Złapała Marka za rękę. Zaczęła całować go po czole i czule głaskać po policzkach. Wyglądało na to, że nie ma większych obrażeń. Nie licząc nogi w gipsie na wyciągu. – Marek... – wyszeptała. – Tak się bałam!

Wtuliła się w niego.

Po chwili poczuła dotyk na plecach.

– Raisa... – powiedział drżącym głosem, a potem się rozplakał. – Byłem pewien, że to koniec.

– Ciii... Wiem. Ja też – odparła przez ściśnięte gardło. – Fala zmiotła mnie z pokładu. Byłam przekonana, że się utopię.

– Przecież miałaś wejść do łódki?

– Nie zdążyłam. Ale szczęśliwie wyłowiono mnie z wody. Akurat kiedy myślałam, że już po mnie, że tam zamarznę. Wszystko wokół wyglądało jak zupa z ludzi... – Zadrżała.

– Wiem. Ja w końcu zdecydowałem się wskoczyć do wody. Statek szedł na dno. Jakiś facet złamał mi nogę, walcząc ze mną o koło ratunkowe, ale udało mi się otworzyć skrzynię z kamizelkami. Tak czy siak, miałem nikłe szanse.

Przejęta Raisa pokiwała głową.

– Przepraszam cię! Chciałam, żeby to był wyjątkowy wyjazd, taki czas tylko dla nas...

– Za co ty mnie przepraszasz? – zapytał i urwał.

Raisa przytuliła się do niego ponownie.

Jej słowa go zastanowiły. Faktycznie, gdyby nie ona, nie byłoby go na tym statku. Dramat by go ominął. Nie musiałyby dryfować ze złamaną nogą w lodowatej wodzie, walcząc o życie.

– Trzeba zadzwonić do domu. Rodzice na pewno odchodzą od zmysłów – powiedział słabo.

– Zaraz to zrobię. Musiałam... Najpierw musiałam dowiedzieć się, co z tobą. Myślałam, że oszaleję ze strachu.

W sali pojawiła się pielęgniarka, żeby zapytać, czy pacjentowi nie potrzeba środków przeciwbólowych, a Raisa przeszła do poczekalni, żeby zadzwonić do ojca i rodziców Marka. Korytarzami wciąż wożono pasażerów, którzy ucierpieli w katastrofie. Część z nich miała zakryte twarze. Pachniało bólem, strachem i rozpaczą.

Podeszła do telefonu i przyłożyła słuchawkę do ucha. Wybrała numer komórki taty.

– Boże, Raisa! To naprawdę ty! Kiedy zobaczyłem kierunkowy, byłem przekonany, że... – Głos ojca się załamał. – Bez przerwy wydzwaniam na infolinię dla rodzin pasażerów, ale wciąż aktualizują listę ofiar. Taki chaos! Pocieszałem się, że nie ma cię na liście ofiar, ale nie było cię także na liście ocalałych. Odchodziłem od zmysłów! A co z Markiem?

– Na szczęście też żyje. Ma złamaną nogę, jest wyziębiony, ale nic mu nie jest.

– Chyba Opatrzność czuwała nad wami! W telewizji mówili, że furta dziobowa promu nie wytrzymała sztormu i po prostu się urwała. Podejrzewają, że to jakaś wada konstrukcyjna. Woda wlała się do wnętrza i prom poszedł na dno w ciągu jedenastu minut! Jak można było puścić go w morze?

– Jedenastu minut? – powtórzyła Raisa, ściskając mocniej słuchawkę.

– Tak podano.

Przygryzła wargę. Czowała, że za chwilę zaraz znów się rozpłacze. Nie potrafiła zapanować nad emocjami.

– To zdawało się nie mieć końca, tato... – wyszeptała.

Z teściami zamieniła dosłownie kilka zdań. Ale były to zapewne najważniejsze słowa w ich życiu, które przyniosły ulgę i spokój. Raisa musiała się śpieszyć, bo do telefonu ustawiła się tymczasem spora kolejka.

Zwolniejszy aparat, skierowała się do automatu z kawą. Wciąż było jej zimno, mimo że w szpitalu zaoferowano jej rozgrzewającą zupę i otulono ciepłym szlafrokiem. Zamarzył się jej wzmacniający napar i pomyślała, że być może Marek

też ma ochotę. Ale dopiero kiedy miała wcisnąć przycisk z wybraną opcją, zorientowała się, że przecież nie ma pieniędzy. Wszystko, co miała ze sobą, wraz z portfelem i dokumentami, spoczywało na morskim dnie.

Podszedł do niej młody mężczyzna w białym swetrze, z najbardziej zakłopotaną miną, jaką w życiu widziała.

– Ma pani ochotę na kawę? – zagadnął po angielsku.

– Właściwie to na dwie – odparła. – Dla mnie i dla męża.

Wyjął z portfela drobne i wrzucił do automatu.

– Pozwoli pani.

Raisa uśmiechnęła się z wdzięcznością. A on zapytał, czy mogłaby mu odpowiedzieć na kilka pytań.

– Zrozumiem, jeśli nie czuje się pani na siłach – dodał, gdy się zawahała.

Kawa była nieco zbyt słodka, ale w tym momencie Raisie zupełnie to nie przeszkadzało.

– Chyba jestem winna wszystkim ofiarom opowiedzieć o tym, jak to wyglądało – powiedziała po prostu. – Widziałam piekło, proszę pana – dodała, po czym szczegółowo opisała przebieg zdarzeń.

Reporter notował skrzętnie.

W jednej z najtragiczniejszych katastrof na Bałtyku morze pochłonęło ogrom ofiar, które w większości straciły życie w wyniku utonięcia lub hipotermii. Spora część pasażerów została uwięziona pod pokładem, bo drzwi i przejścia zablokowano. Wytoczono liczne procesy sądowe armatorowi, a on z kolei firmie konstrukcyjnej, bo prom okazał się wadliwy. Rodziny ofiar słusznie oczekiwały sporych odszkodowań od ubezpieczyciela, który asekurował armatora.

Mimo że piszczel Marka zrosła się bez powikłań, coś innego pękło w nim nieodwołalnie. Wspólne przeżycie nie zbliżyło go z Raisą. Marek ewidentnie się oddalił. Był zdystansowany i chłodny. Gdy tylko nadarzała się okazja, spędzał wieczory poza domem, co nie umknęło także uwadze jego rodziców. Pani Barbara w rozmowach z mężem zrzucała to na szok. Obojgu żal było patrzeć na synową, która snuła się po domu coraz bardziej przygnębiona.

Pewnego piątkowego wieczoru Raisa leżała w łóżku z laptopem, wyszukując polecanych specjalistów od terapii małżeńskiej. Marek powinien już dawno wrócić z pracy, ale wciąż go nie było. Stało się dla niej jasne, że aby ratować związek, musi postawić wszystko na jedną kartę.

Marek wrócił po dwudziestej. Nie zamierzał się tłumaczyć, tylko od razu poszedł do łazienki. Gdy wsunął się do łóżka, Raisa poczuła ostrą woń alkoholu.

– To w ten sposób teraz rozwiązujesz problemy? – zagadnęła zirytowana.

– Niczego nie rozwiązuję. Miałem ochotę na piwo.

– Oboje dobrze wiemy, że coś się między nami zmieniło. Popsuło się, odkąd wróciliśmy do kraju.

– Jednego nie sposób ci odmówić – powiedział. – Jesteś spostrzegawcza i bystra. Choć... – roześmiał się gorzko. – Przedziwnie pechowa.

– Przecież nie zaplanowałam tej katastrofy...

– Jesteś pocieszna. – Marek zacisnął zęby. – Ale nie bierz tego do siebie. Nie mam do ciebie pretensji. A nawet jestem ci w pewien sposób wdzięczny. Przejrzałam dzięki temu na oczy. – Odwrócił się plecami.

Raisa nie miała odwagi zadać tego pytania, ale czuła, że musi.

– Co masz na myśli?

– Zwolniłem się dzisiaj z pracy. Dość już tych poniżeń.

– Jak to? Tak po prostu? Masz coś innego na oku?

– Nie. Ale coś znajdę.

– Wiesz przecież, że wcale nie jest tak łatwo. Co teraz zamierzasz?

– Życ, moja droga! Życ!

Raisa poczuła nagle, że obok niej leży kompletnie obcy człowiek. Nie wiedziała, jak z nim rozmawiać.

– Czyli nasze plany już nic dla ciebie nie znaczą? Chcieliśmy być rodziną, mieć dzieci.

Marek położył się na plecach.

– No tak. I jeszcze to – wycedził z przekąsem. – Miałem ci powiedzieć. Wcześniej jakoś się nie składało. Zrobiłem wtedy te badania, o których wspominałaś. I podobno parametry mojego nasienia pozostawiają wiele do życzenia.

– Ale... – Raisę zamurowało. – Dlaczego dopiero teraz? No i przecież to jeszcze niczego nie przekreśla. Porozmawiajmy o tym.

– Nie chce mi się gadać – rzucił i wzruszył ramionami.

Wstał z łóżka, wziął poduszkę i wyszedł z sypialni.

Oszołomiona Raisa długo wpatrywała się w zamknięte drzwi. Zastanawiała się, dlaczego Marek milczał tak długo o przyczynie ich wspólnych kłopotów, skoro je poznał. Czy dlatego, że może wygodniej było mu utrzymywać mnie w poczuciu odpowiedzialności za brak potomstwa? Dlatego był taki odległy? Dlatego zdawał się palić za sobą wszystkie mosty?

Czuła zagubienie, a jednocześnie złość. Postanowiła, że w następnym tygodniu weźmie kilka dni wolnego i pojedzie do domu. Może jak zniknę mu z oczu, coś do niego dotrze?, dumiała. Zrozumie, że nie pozwolę się tak traktować. Zagapiła się tępo w ekran komputera, na którym widniała lista polecanych specjalistów od terapii par.

Natychmiast po przyjeździe do Bornego Raisa skierowała kroki do kawiarni.

Edyta spędzała w „Filizance” całe dni, osobiście dbając, by zagląającym do lokalu niczego nie zabrakło. Choć miała świetne kelnerki, lubiła osobiście witać gości, polecać im wysmienite herbaty czy aromatyczne kawy, które serwowała.

Raisa była dumna, że przyjaciółka dopięła swego i spełniła licealne marzenie. Przy rozruchu interesu pomogli jej rodzice, ale dzięki niewątpliwemu sukcesowi Edyta zdążyła już oddać dług. W sezonie, kiedy do Bornego zjeżdżali wczasowicze, w kawiarence było jak w ulu. Poza sezonem jednak można było liczyć wyłącznie na mieszkańców miasta oraz przejezdnych handlowców i biznesmenów. Ale w „Filiżance” nigdy nie bywało pusto. Ludzie twierdzili, że u Edyty jest jak na rodzinnym podwieczorku, co ona odbierała jako wyraz najwyższego uznania.

Gdy dowiedziała się o katastrofie, nie mogła sobie darować, że to z jej telefonu Raisa zadzwoniła do radia. A kiedy przyjaciółka powróciła do kraju, czekała na nią w domu państwa Szewczyków razem z panem Lechowiczem i Laurą.

– Nie pozwalam ci brać udziału już w żadnych konkursach! – powiedziała, obejmując ją na powitanie.

– Wierz mi, nie zamierzam – odparła Raisa, poruszona, że oto została jej dana szansa, by móc przytulać bliskich.

Teraz, otwierając przeszklone drzwi „Filiżanki”, przypomniała sobie tamtą scenę. Od progu wyczuła rozkoszny zapach wanilii i czekolady, a w tle nieco cięższy aromat kawy, do której Raisa miała ogromną słabość. Przyjaciółki nie było na sali, więc udała się na zaplecze.

– Puk, puk! – Zastukała we framugę, by zwrócić uwagę Edyty, pochylonej nad papierami.

– Raisa?! Co za niespodzianka! – Przyjaciółka odrzuciła plik papierów, jakby nagle stały się nieważne.

– Miałam ochotę na dobrą kawę.

Edyta podeszła i uściskała Raisę na powitanie.

– A to w Szczecinie nie mają kawiarni?

– Nie z tak smaczną jak twoja.

– Tak do mnie mów! – roześmiała się Edyta, podstawiając krzesło. – Poczekaj tu na mnie, zaraz zaparzę ci naszą najlepszą arabicę. Mam dzisiaj taki piernik, że oszalejesz! – dodała, znikając za drzwiami. – Nie mogłaś wybrać lepszego dnia na wizytę!

Kiedy dziesięć minut później obie siedziały, zajadając ciasto w świetle biurkowej lampy, dla Edyty stało się jasne, że nie jest to zwykła wizyta. Raisa była dla niej jak otwarta księga.

– Dobrze, że nie zostałam aktorką. Nie mogłabyś grać nawet w podrzędnych filmach – oceniła, odstawiając talerzyk. – No dobrze. Mów, co się dzieje.

Raisa upiła łyk kawy.

– Masz rację. Nie mogłabym być aktorką. A ostatnio mam poczucie, że do niczego się nie nadaję. Myślałam, że to, że wyszliśmy cało z tej katastrofy, zbliży nas z Markiem do siebie. A wygląda na to, że jest wprost przeciwnie. On znika

gdzieś po pracy, jest odległy. Ostatnio oświadczył mi, że chce zacząć żyć, choć nie wyjaśnił mi, co dokładnie ma na myśli. Poza tym pamiętasz, jak ci wspominałam, że prosiłam go, żeby zrobił badania?

– Podobno nie mogłaś tego wyegzekwować...

– Jednak je zrobił. Wyszły źle, a on to ukrył przede mną. Wygląda na to, że od dawna znajdujemy się na równi pochyłej.

– Nie mów! – Edyta pokręciła głową z niedowierzaniem. – Dlaczego to ukrywał?

– Zaczynam myśleć, że może mu po prostu nie zależy...

– Raczej nadszarpnęło to jego męską dumę.

Oczy Raisy wyrażały kompletne zagubienie.

– Nie wiem. Ostatnio niczego już nie wiem.

– Może powinniście dać sobie czas? Takie przeżycie może wytrącić człowieka z równowagi na długo. Może wyjaśni ci, dlaczego tak postąpił.

Raisa rozważała te słowa. Poczula, że najchętniej zaszyłaby się tutaj, na zapleczu kawiarni przyjaciółki. Ukryła przed światem i problemami.

Rozległo się pukanie do drzwi, które uchyliły się po chwili. Stał w nich wysoki, dobrze zbudowany brunet w popielatej marynarce.

– Cześć, Edytka – powiedział. – Umawialiśmy się na szóstą, więc jestem.

Nie sposób było nie dostrzec blasku na twarzy przyjaciółki.

– Poznajcie się. To moja bratnia dusza, Raisa. A to Paweł – dokonała prezentacji.

– Miło cię poznać. Wiele o tobie słyszałem.

Wymienili uścisk dłoni.

– Widzisz, Pawełku, raczej przełożymy nasze dzisiejsze plany. Raisa wpadła niespodziewanie. Chciałabym spędzić z nią trochę czasu.

– O nie, nie! – Raisa poderwała się z krzesła. – Ja już lecę, dzięki za kawę. A spotkać się możemy jutro.

Paweł uśmiechnął się z wdzięcznością.

– W takim razie czekam w samochodzie – zwrócił się do Edyty. – Do zobaczenia! – Skinął Raisie na pożegnanie.

– Do widzenia! – odparła. Gdy wyszedł, ostentacyjnie podparła się pod boki.

– Masz minutę, żeby wyjaśnić mi, dlaczego nic o nim nie wiem.

Edyta zarumieniła się, choć nie była osobą, którą łatwo wprawić w zakłopotanie.

– To jest bardzo świeże – powiedziała. – A ty miałaś swoje sprawy. Nie chciałam ci zawracać głowy błahostkami.

– Błahostkami?

Edyta przyglądała golf, który otulał jej szyję.

– Początkowo myślałam, że to nic takiego.

– A co myślisz teraz? – Raisa uniosła jedną brew.

– Teraz wiem, że straciłam dla niego głowę.

Raisa uściśnęła przyjaciółkę z zapewnieniem, że bardzo cieszy się z jej szczęścia. Ostrzegła, że puszcza ją na randkę pod warunkiem, że jutro wszystko jej opowie z detalami.

– A widzisz, czyli jednak nie tylko praca jest ważna – szepnęła jej do ucha, kiedy rozstawały się przed kawiarnią.

– Racja. Wiesz, jak kocham „Filiżankę”, ale Paweł... Paweł to zupełnie co innego. – Edyta się rozpromieniła.

Podobnie jak pan Bogdan, kiedy zobaczył Raisę w progu. Zamknął nawet w sobotę swój warsztat, żeby spędzić z córką jak najwięcej czasu. Raisa nie zamierzała wtajemniczać go w prywatne kłopoty, bo miał już swoje lata i dość stresów w życiu. Spędzali zatem weekend na długich spacerach i nasiadówkach w salonie przy kawie i herbacie, racząc się swoim towarzystwem. Kiedy Raisa leżała na kanapie pod miękkim kocem, łapała się na tym, że myśl o powrocie do Marka wcale nie wydaje się miła.

– Jak ci się żyje, tato? – zapytała przy kolacji.

– Trochę pusto w tym wielkim domu. Kiedy siedzę tu sam wieczorami, stwierdzam, że chyba niepotrzebnie go kupiłem. Wy nie namieszkaliście się tu zbyt długo, zaraz wyfrunęliście z gniazda, a ja zostałem sam. To nie było rozsądne.

– Uwielbiam ten dom!

– Ale nie chcieliście się do niego wprowadzić z Markiem. – Uspokajająco podniósł dłoń. – Wiem dlaczego i rozumiem. A teraz myślę, że skoro Bernardowi i Dorocie ma urodzić się dziecko, może zaproponuję im, aby ze mną zamieszkali?

– Przecież oni mają swoje życie w Niemczech.

– Niby tak, ale Bernard napomknął coś ostatnio, że myśli o powrocie do kraju. Przecież u nas rynek budowlany ciągle się rozwija. A Dorota wszędzie może wykonywać te swoje redakcje.

– Skoro tak... – Raisa podrapała się po skroni.

– Masz coś przeciwko? – Pan Lechowicz dołożył sobie potrawki z dzika, ostatnio jego popisowego dania.

– Ja? Skądże! Poza tym przecież to twoja decyzja, bo ty tutaj mieszkasz. Na pewno miałabym okazję częściej się widywać z Bernardem.

– Też mam taką nadzieję. Przykro mi, że Bernard tak się od nas odsunął. A Laura... – Ojciec westchnął ciężko. – Też nie wiem, co właściwie wyprawia ze swoim życiem. Przyjęła oświadczyzny Patryka, ale gdy pytam ją o ślub, tylko mnie zbywa. Wiesz coś może na ten temat? – Popatrzył z nadzieją. – Dobrze, że chociaż tobie się układa.

Raisa wyciągnęła rękę i pogładziła go po dłoni.

– Nie wiem więcej niż ty, tato – odparła, nieco speszona ostatnią uwagą. –

Nie martw się. Wszystko będzie w porządku. Ale są i dobre wieści. Wiesz, że Edyta się zakochała?

Ojciec przygarbił się nieco, pojawiwszy, że nowiny o rychłym pojawieniu się wnuka dzisiaj nie usłyszy.

– Serio? A kim jest ten szczęśliwiec?

– Wiem tyle, że ma na imię Paweł i że jest bardzo przystojny.

– To cudowna dziewczyna. Cieszę się, że jej się układa. Często zaglądam do „Filiżanki”.

Raisa się roześmiała.

– Dobrze, że nie do kieliszka, tato.

Raisa wracała do domu pokrzepiona. Pobyt wśród znajomych kątów, z serdecznymi ludźmi wokół, wlał w jej serce nadzieję. Gotowa była pracować nad swoim związkiem. Szczęście, które aż biło od Edyty, sprawiło, że i ona zapragnęła ponownie po nie sięgnąć.

Przyjaciółka rzeczywiście była zakochana po uszy. Okazało się, że Paweł prowadził firmę zajmującą się serwisem ekspresów do kawy. W „Filiżance” kilka miesięcy temu zdarzyła się awaria. Edyta zadzwoniła po pomoc i w Bornem pojawił się osobiście jej właściciel. Zaoferował wyjątkowo krótki czas naprawy i promocyjną cenę. Gdy po dwóch dniach pojawił się z ekspresem, Edyta zaprosiła go na kawę, by mógł się upewnić, czy wszystko działa, jak należy. Po częstotliwości, z jaką zaczął bywać w miasteczku, można było wnosić, że na ekspres w „Filiżance” działa jakaś destrukcyjna siła...

Raisa weszła do domu i od progu poczuła pierogi teściowej. Pani Barbara знаła jej gusta i przygotowała ulubiony przysmak.

– Jesteś kochana! – przytuliła ją Raisa. – Tylko pobiegnę na górę przywitać się z Markiem i od razu schodzę na kolację.

Na twarzy pani Szewczykowej odmalowało się zaskoczenie.

– Ale Marka nie ma... Nie mówił ci, że wyjeżdża?

– Jak to: wyjeżdża? Dokąd?

– Przedwczoraj wieczorem, kilka godzin po twoim wyjeździe, też się spakował i oświadczył, że jedzie w góry. Podobno umówił się z jakimiś kolegami. Zrobili sobie taki przedłużony męski wypad. Byłam pewna, że o tym wiesz.

Raisa zastanowiła się, o jakich to kolegach mógł mówić Marek. Chyba nie o tych z biura turystycznego, których nie cierpiał, i nie o koleżankach z byłej już pracy w bibliotece?

– Widocznie musiało mi coś umknąć – powiedziała. – Wspominał, kiedy wraca?

– Właściwie to nie. Ale przecież w końcu musi wrócić do pracy.

– Do pracy? – zdumiała się Raisa.

– No przecież dzieciaki w bibliotece nie mogą zbyt długo czekać. Prawda?

Oni o niczym nie mają pojęcia!, dotarło do Raisy. Zapewne Marek nie chciał narażać się na kąśliwe uwagi ojca. Lojalność zobowiązuje, westchnęła w duchu i zamilkła.

– Pójdę się rozpakować – rzuciła, wycofując się z kuchni.

Może potrzebował tego samego co ja?, myślała, wchodząc po schodach. Chwili dla siebie, żeby nabrać dystansu i uspokoić myśli?

Ich ostatnia rozmowa była pełna goryczy.

W sypialni panował idealny porządek. Jakby Marek specjalnie zadbał, żeby mnie dodatkowo nie zdenerwować, stwierdziła Raisa. Dość zaskakujące jak na bałaganiarza...

Na jej szafce nocnej leżała kartka. Raisa domyśliła się, że zapewne zawiera szczegóły wyprawy i termin spodziewanego powrotu.

– Może napisał przynajmniej, co mam mówić jego rodzicom o pracy w bibliotece – mruknęła pod nosem z przekąsem.

Na białym papierze widniały dwa zdania: „Nie mam już siły! Żegnaj, Raiso!”.

To jakiś żart, pomyślała, wpatrując się w wąskie pismo.

Serce załomotało jej w piersi. Niemal tak samo gwałtownie jak wtedy, gdy wzburzona fala zmiotła ją z pokładu do zimnej wody. Wszystko stało się dla niej aż nazbyt jasne.

Kiedy Raisa płakała nad wiadomością od męża, zmęczony, ale zadowolony Marek wracał do pensjonatu. Cały dzień spędził na beskidzkim szlaku. Owszem, zastanawiał się nad słusznością swojej decyzji, ale z każdym dniem tylko się w niej upewniał. Nie mogę być z kimś, kto sprowadza na mnie same nieszczęścia, podsumował. Myślał też o pożarze, swojej karierze, do której nie doszło, o tym, że stał się pośmiewiskiem wśród znajomych, i o życiu, które na morzu wisiało na włosku. Podejrzewał, że negatywne wyniki badań zapewne też nie są przypadkowe. Bez niej będę szczęśliwszy, uznał, zdejmując plecak. W końcu może coś osiągnę. A na pewno będę żył bez strachu o jutro.

Rozdział 10

Raisa wracała do domu po leniwym śniadaniu, które zjadła z przyjaciółką. Mogłaby z Edytą jeść choćby suche ryżowe wafle, a i tak smakowałyby jej lepiej niż najwymyślniejszy omlet samotnie. Skręcała w Parkową ostrożnie, pedałując powoli, gotowa w każdej chwili do odwrotu. Obawiała się, że dziennikarze przyjechali ponownie i zasiedlili trawnik przed jej domem, więc odetchnęła, gdy okazało się, że jest zupełnie pusto. Na szczęście zajęli się innymi tematami, pomyślała z ulgą, zajeżdżając na tyły.

Zeszła z roweru, złapała za ramę i ostrożnie zaczęła sprowadzać po stopniach. Otwierała właśnie drzwi, gdy za plecami usłyszała szybkie kroki. Zacisnęła dłoń mocniej na chłodnym metalu, pewna, że koszmar zaczyna się od początku.

– Dzień dobry, pani Hedwig! Widziałam, że pani nadjeżdża, więc szybko wybiegłam z domu!

Raisa oparła rower o schody.

– Dzień dobry, pani Kowalska. Co panią do mnie sprowadza?

Niska kobieta wypięła dumnie pierś, jakby oczekiwała medalu za refleks. W ręce trzymała ścierkę do kurzu.

– Tak się śpieszyłam, że zapomniałam zostawić – roześmiała się, zgniatając ją w dłoni. – Właśnie robiłam drobne porządki, ale wypadłam z domu, bo chciałam pani osobiście pogratulować. Wczoraj tyle się tutaj działo, że nie chciałam zawracać pani głowy. Swoją drogą, dziennikarze również mnie pytali o panią – dodała zadowolona.

– Ach, rozumiem. Dziękuję. Mam nadzieję, że nie wymęczyli pani za dużo.

– Skąd! Zawsze to jakaś odmiana. Nie wiem, czy pani czytała ostatnie relacje, ale wypowiadałam się o pani zawsze w najlepszych słowach.

– Miło to słyszeć. – Raisa przestąpiła z nogi na nogę.

– Nie miałam pojęcia, że w pani życiu aż tyle się działo. To zupełnie niesłychane! Kto wie, może znajdzie się ktoś, kto napisze o pani książkę?

– Nie wydaje mi się. – Raisa zmrużyła oczy.

Sąsiadka poprawiła podwinięty rękaw. Rozkloszowana spódnica, którą miała na sobie, prezentowała ten sam co bluzka odcień ordynarnego różu.

– Ale pieniądze zawsze się przydadzą, prawda? – zapytała retorycznie. – Słyszałam, że zawarła pani jakiś intratny kontrakt reklamowy. Z towarzystwem ubezpieczeń, tak?

Raisa prychnęła.

– Co za bzdury! Niech pani nie wierzy we wszystko, co mówią na mieście.

– Chodzi o jakąś inną branżę? – Kowalska otworzyła szeroko błyszczące z emocji oczy.

Do tej pory była Raisie raczej obojętna. Wprowadziła się do domu obok zaledwie kilka lat temu, ale już zdążyła sobie zapracować na reputację jednej z większych plotkarek w mieście. Raisa nigdy nie dostarczała jej materiału do obróbki, więc ta cecha sąsiadki nie absorbowwała jej zanadto. Koegzystowały, wymieniając się uprzejmościami i uwagami o pogodzie.

Renata Kowalska miała silną potrzebę mówienia czegokolwiek, byleby tylko w dużej ilości. Jej mąż nie był szczególnie zainteresowany konwersacją, bo godzinami zajmował się swoim motorem na podwórku. Jakbym miała taką żonę jak pan Feliks, też pucowałabym i wymieniała części, pokiwała głową Raisa.

– Pani Renato – zwróciła się spokojnie do sąsiadki. – Z tym wątpliwym wyróżnieniem nie łączą się żadne pieniądze.

Kowalska rozejrzała się konspiracyjnie na boki i podeszła bliżej. Dopiero teraz Raisa zauważyła, że ma na sobie kaptcie.

– Mnie może pani powiedzieć – oświadczyła scenicznym szeptem. – Przecież nikomu nie zdradzę. Wiem, co to klauzula poufności. A zresztą przecież niedługo i tak wszyscy zobaczą, prawda?

Raisa wzięła głęboki oddech. Próby tłumaczenia najwyraźniej mijały się z celem.

– Przepraszam, nie bardzo mam czas.

Sąsiadka machnęła niedbale ścierką.

– No nic. Jeśli nie chce pani powiedzieć, rozumiem. Ale myślałam, że skoro jesteśmy sąsiadkami...

Raisa poczuła, że rośnie jej ciśnienie.

– Pani Renato, dostałam list gratulacyjny. To wszystko. Czy pani pojmuje? Ludzie plotą bzdury!

– Doprawdy?! – zapytała sąsiadka podejrzliwie. – To niemożliwe! Może i jestem osobą prostą, ale nie jestem głupia! Przecież cały świat o pani mówił! To się musi na coś przekładać! – Skrzyżowała ręce na bujnych piersiach, które niemal rozsadzały różową bluzkę.

Raisa zrozumiała, że Kowalska przyszła nie po prawdę, a po materiał do dalszego mielenia językiem. Nie miała ochoty ciągnąć tej rozmowy, ale wyglądało na to, że tamta nie powróci do ścierania kurzu, dopóki nie usłyszy czegoś w jej pojęciu interesującego. Raisa uśmiechnęła się pod nosem.

– A gdybym pani powiedziała, że chodzi o biuro podróży? Że będę reklamować wycieczki pod hasłem: „Po prostu to przeżyj!”?

Kowalska wyrzuciła ręce do góry w radosnym geście.

– Pani Raiso, nie można było tak od razu? Ale rozumiem. Domyślam się, że chciała pani potrzymać mnie w niepewności. Obiecuję, nikomu nie powiem!

Z pewnością, pomyślała Raisa z przekąsem.

– A teraz przepraszam, trochę się śpieszę – dodała na głos.

– Oczywiście! – oświadczyła z werwą sąsiadka. – Ja też mam porządki do dokończenia. Już mnie nie ma! – Ruszyła do siebie, klapiąc kapciami.

Raisie, oczywiście, do niczego nie było śpieszno. Od lat nic jej nie goniło. Z ulgą zamknęła za sobą drzwi z zamiarem spędzenia długiego spokojnego dnia w swojej samotni. Jutro pojedę na to śniadanie do prezydenta i wreszcie wszystko się skończy, podsumowała w drodze do sypialni, by przebrać się w wygodne lniane spodnie i T-shirt.

Zeszła na dół do kuchni. Postanowiła nastawić kompot z truskawek, które od dwóch dni czekały w lodówce. A potem zadzwonić do dzieci i uspokoić je, że z jej przyjaźnią jest wszystko w porządku. Ujęło ją, że tak się przejęły artykułem i tak się o nią troszczą. Filip, jak się dowiedziała, zadzwonił do Edyty z reprimendą. A pełna niepokoju Nadia przestrzegła matkę przed życiowym rozczarowaniem.

Ściągnę ich do siebie jeszcze przed końcem wakacji, pomyślała. Dom zapełni się śmiechem i gwarem. Będzie taki, jakim chciał uczynić go ojciec, dumająca, płucząc owoce na sitku. Nagotuję mnóstwo jedzenia i chętnie wysłucham, że stanowczo przesadziłam i znów chcę wszystkich przekarmić. A wieczorem pooglądamy razem stare zdjęcia, poczytamy książki, posłuchamy muzyki, popijając wino, albo zagramy w stare jak świat planszówki wyciągnięte ze składzika. Dla wnuków oficjalnie są reliktem przeszłości, ale, o dziwo, i one chętnie w nie grywają. Tak, uśmiechnęła się Raisa do swoich planów. Tego mi właśnie trzeba.

Gdy wszystkie zalane wodą truskawki tłoczyły się już w garnku, rozległ się dzwonek do drzwi. Raisa zagryzła zęby, wyobraziwszy sobie Kowalską szurającą niecierpliwie kapciami na kamiennych schodach, i postanowiła zignorować natręta. Otworzyła szufladę z przyprawami. Przecież zawsze mogę być pod prysznicem, stwierdziła i uśmiechnęła się filuternie.

Dzwonek rozległ się ponownie. I jeszcze raz. Raisa wyjęła z szuflady pojemnik z cynamonem i przyprawiła kompot. Dzwonienie nie ustawało. Gdy jednak odezwała się komórka, gospodyni postanowiła uświadomić sąsiadkę, jaka jest różnica pomiędzy niezdrowym zainteresowaniem a nękaniami. Wyszła na korytarz i otworzyła z impetem.

– Pani Kowa... – zaczęła ostro i urwała, bo zamiast lokalnej plotkary zobaczyła znajomą postać, jak zwyk-le elegancką, w prostej czerwonej sukience przed kolano.

– Pani Magdo! Co pani tutaj robi? – zdumiała się. – Ależ niespodzianka.

Gość zaprezentował kamienną twarz. Choć widok drobnej starszej pani wzbudził w Magdzie znajomą tkliwość, nie zamierzała dać się ponieść temu niedorzecznemu uczuciu.

– Pani Hedwig, przyjechałam, bo mamy sprawę do omówienia.

– Tak? – Raisa patrzyła zaciekawiona. – Chciałam dzisiaj do pani zadzwonić, żeby podziękować za ten materiał.

Magda założyła włosy za ucho.

– Podobał się pani?

– Był aż nazbyt pochwalny.

– To interesujące. – Magda uśmiechnęła się gorzko. – Pewna osoba też zwróciła mi na to uwagę.

Raisa pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Zapewne mój brat. Mam nadzieję, że nie ma pani przez niego nieprzyjemności?

– Nie brat. Chodzi o kogoś zupełnie innego.

– Proszę, niech pani wejdzie. – Raisa cofnęła się w głąb korytarza. – Niezależnie od tego, jakie uwagi mają ludzie, dziękuję, że przedstawiła mnie pani w tak pozytywnym świetle.

Magda weszła i zamknęła za sobą drzwi. W korytarzu wciąż można było wyczuć zapach perfum. Jeszcze wczoraj czułam się w tym starym domu tak dobrze, pomyślała, ale dzisiaj to wrażenie przyszło.

– Uważa pani, że na to nie zasłużyła? – zapytała.

Raisa przystanęła i spojrzała uważnie. Dopiero teraz dostrzegła w dziennikarce coś, co niepokoiło. Zamiast energii i swobody dystans i chłód. Nawet głos brzmiał inaczej, jakby miała w ustach watę.

– Skąd to pytanie?

Magda, która zawsze chodziła wyprężona jak struna, wyprostowała się jeszcze bardziej.

– Powiem wprost. Jestem tutaj, bo wygląda na to, że nie była pani wobec mnie szczerą.

– Nie bardzo rozumiem – odparła Raisa. – Proszę, przejdźmy do pokoju. Nie będziemy przecież stały w korytarzu. Może podam coś do picia? Nastawiłam kompot, ale zanim się ugotuje i wystygnie, trochę minie. Co pani powie na wodę ze świeżą miętą i limonką?

– Dziękuję. Nie jestem spragniona. Chcę zadać pani jedno pytanie.

Usiadły na kanapie – Raisa na jednym jej końcu, Magda na drugim.

– To aż tak ważne, że przyjechała pani osobiście? – zapytała gospodyni.

– Nie wiem, jak dla pani, ale mnie wydało się dość znaczące. – Magda wzięła głęboki wdech. – Co się stało z pani córką?

– Z Nadią? O ile mi wiadomo, spędza wakacje nad morzem. Odpoczywa z rodziną.

Spojrzenie było nieustępliwe.

– Nie o tę córkę pytałam.

W Raisie zadudnił głuchy niepokój.

– Mówiłam pani, że mam jeszcze drugie dziecko. Syna Filipa.

– Pani Raiso, wiem, że jest pani inteligentną osobą. Chyba nie będzie pani udawała, że nie wie, o kogo pytam?

Raisa spoważniała.

– Nie mam pojęcia, o co pani chodzi. Chyba nie uwierzyła pani w jakieś miejscowe plotki? Przed chwilą była u mnie sąsiadka żądna kolejnych sensacji, ale pani bym nie podejrzewała.

Magda spojrzała w bok. Na komodę, na której stały liczne rodzinne zdjęcia.

– Akurat w mieście nikt o tym nie wspomniał – odparła. – Widać dobrze to pani ukryła. Ale ja dowiedziałam się, że miała pani jeszcze jedno dziecko – wypaliła. – Pierworodne. Córkę. Podobno nie chciała jej pani. Pytam: co się z nią stało? – Spojrzała z wyzwaniem.

Raisa patrzyła na ładną twarz dziennikarki. W regularnych rysach znać było napięcie. Wczoraj przystępna, dziś Magda wydawała się dokładnie taka, jaką widywała czasem w telewizji. Nieustępliwa i twarda. Mimo to Raisa nie zamierzała się jej przestraszyć. Nie zawierała kontraktu na żadną publiczną spowiedź.

– Nie wiem, od kogo pani to usłyszała, ale nie widzę powodu, żeby się przed panią tłumaczyć, pani Magdo.

– Czyli to prawda?

– Niech pani myśli, co chce.

– Chciałam skonfrontować to doniesienie z panią. Uważam, że powinnam.

– Co właściwie chciała pani usłyszeć?

– Że to bzdury!

Magdę poniosły emocje. Na moment zapomniała o dystansie, jaki obiecała sobie zachować.

– Dlaczego akurat na tym tak pani zależy?

– Bo... Bo pani uwierzyłam! Myślałam, że jest pani inna. – Magda denerwowała się coraz bardziej.

Nie poznawała się, ale coś sprawiało, że nie potrafiła siedzieć spokojnie w swoim pancerzu. Nie mogła jednak dopuścić, żeby role się odwróciły. To ona miała zadawać pytania.

Raisa dostrzegła tę zmianę. Spięte dotąd usta zaczęły nieznacznie drżeć.

– Niech mi pani powie, od kogo ta informacja? – zapytała łagodniej.

Musiała ustalić, czy to redakcja NTV ma tak dobry research, czy też jest tak, jak zaczęła podejrzewać.

– Nie powinnam o tym mówić, ale... Liczę na szczerłość. Od Marka Szewczyka.

Raisie zrobiło się gorąco. Jednak Edyta miała rację, że popełniłam błąd, dzieląc się tajemnicą, pomyślała. Milczała, nie wiedząc, co powiedzieć. Sądziła, że z Markiem rozstali się w zgodzie. Nie widzieli się lata, więc dlaczego on nagle

macza palce w jej życiu? W jej prywatności, którą kiedyś nie przejął się zanadto. Później doszła do wniosku, że to dlatego, iż był zbyt zajęty sobą, żeby zajmowały go jej sprawy.

Nic z tego nie rozumiała.

Magda nie mogła nie dostrzec tej konsternacji.

– Czyli to jednak prawda?

– Powiem tyle, że Marek o tej sprawie nic nie wie, więc nie może służyć pani jakąkolwiek rzetelną informacją.

– Zatem jak było, pani Raiso? – Głos Magdy złagodniał.

Raisa zacisnęła dłonie.

– Dlaczego tak to panią interesuje?

– Podobno nie wszystko w pani życiu było kwestią pecha. Tymczasem ja wczoraj pokazałam sprawę w nieco innym świetle. Zależy mi na prawdzie.

– Nie wiem, o co pani chodzi, ale na pewno nie o prawdę. Czuję to. Może będzie prościej, jeśli to sobie wyjaśnimy.

– Jeśli pani mi nie powie, ja i tak się dowiem.

Raisa usztywniła się. Nie zamierzała pozwolić na szantaż. Była już za stara na takie gierki.

– Myślę, że najlepiej pani zrobi, jeśli już sobie pójdzie – powiedziała.

– Liczyłam na szczerłość – odparła Magda, sięgając po torebkę. Podniosła się z kanapy.

– Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia. – Raisa podniosła oczy.

Magdą aż zatrzęśło. Była zła, że wczoraj odkryła się przed tą kobietą bardziej, niż chciała. Nie zdarzyło jej się to nigdy dotąd. Nie powiedziała jej wszystkiego, jedynie to, że dobrze rozumie, jak to jest wychowywać się bez matki, bo doświadczyła tego sama, ale i tak czuła się jak obnażona. Obawiała się, że pani Hedwig ma do niej tajemniczy kod dostępu, a to było denerwujące.

Magda czuła, że musi się bronić. Od lat sięgała w tym celu po najlepszą broń...

Prezydent wsiadł do limuzyny i odetchnął. Wspólna konferencja podsumowująca wizytę francuskiej głowy państwa, na której on i Girard zapewnili o dobrych wzajemnych stosunkach obu krajów, owocnych rozmowach i wizjach dalszej partnerskiej współpracy (choć obaj widzieli tę kwestię inaczej), wreszcie się zakończyła. Wprawdzie pozostało jeszcze sporo rzeczy do zrobienia: zapoznanie się z dwiema ustawami, które zgodnie z linią partii powinny być podpisane jeszcze dzisiaj, i przejrzenie jutrzejszego przemówienia, które z samego rana przesłał Walczak, ale nie miał na to siły. Wracił do pałacu, zastanawiając się, czy nie udać się na wagary i trochę zrelaksować.

Dzisiejszego poranka zadzwonił do niego syn z pretensjami, co takiego zrobił matce, że ta zamierza odejść. A zatem już wiedzą, pomyślał przybity

Nowaczyk, opadając ciężko na łóżko. Znał Małgorzatę i wiedział, że jeśli tylko zechce, owinie sobie Igora i Tomka wokół palca. A on wyjdzie w oczach chłopców na nieczułego egoistycznego potwora. Kiedy teraz myślał o żonie, dostrzegał, że ma wiele cech wspólnych z jego matką. Niewykluczone, że wyboru partnerki życiowej dokonała za niego podświadomość, pomyślał. Podobnie jak matka, Małgorzata zawsze miała ogromne wymagania, którym on próbował, z różnym skutkiem, sprostać.

– Nic jej nie zrobiłem. Sam byłem zaskoczony jej decyzją – zapewnił Tomasz.

– Co ty opowiadasz? Przecież takich decyzji nie podejmuje się z dnia na dzień! Matka nie jest histeryczką. To musiało narastać.

Nowaczyk przerwał wkładanie czarnych skarpetek i odłożył je na łóżko.

– Być może.

– A więc?

Prezydentowi nie spodobał się ton syna, którego ten zapewne używał na salach rozpraw.

– Cokolwiek to jest, to sprawy pomiędzy mną a matką.

Tomasz się zachnął.

– Nie jestem pewien, skoro to do mnie wydzwania załamana.

– Załamana?

Nowaczyk chwycił się tego słowa jak tonący brzytwy. Jego żona nie bywała załamana. Przynajmniej on jej takiej nigdy nie widział. Brała życie za gardło i w razie problemów dociskała krtani, uważając, że to ona rządzi. Jeśli z ich dwójki ktokolwiek był załamany i bezsilny, to raczej on. Szczególnie ostatnimi laty.

– A jaka ma być, skoro przed nią wizja rozwodu? Zrób coś z tym. Cokolwiek zepsułeś, napraw to! O ile – zawahał się Tomasz – jesteś tym zainteresowany.

– Powiedziała ci, że liczy, że to się jeszcze jakoś poukłada? – Nowaczyk przechadzał się po przestronnej sypialni.

– Zapewniła, że dla twojego dobra będzie utrzymywać pozory szczęśliwego związku do końca kadencji. Widzisz, tato, jaka ona jest? Zawsze o tobie myśli. Też mógłbyś. Pamiętaj, że nie jesteś tylko głową państwa.

Jacek Nowaczyk wysłuchał reprimendy. A gdy się rozłączył, dokończył toalety – włożył skarpety i wciągnął spodnie. Męczyło go, że codziennie musi wbijać się w garnitur. O takich nużących aspektach prezydentury wcześniej nie myślał. Jako zwykły poseł częściej mógł pozwolić sobie na luz. Choć był to luz wyłącznie garderobiany, bo Nowaczyk nigdy nie był człowiekiem rozluźnionym. Kiedy podczas kampanii wyborczej jego sztab naciskał, żeby pokazywał się wyborcom także jako człowiek spontaniczny, otwarty i swobodny, on spinał się jeszcze bardziej. Uśmiechając się do wspólnych zdjęć, tańcząc na scenie z grupą przedszkolaków czy wyśpiewując hity modnego rockowego zespołu, czuł się jak

klaun. Nie wierzył, że któryś z wyborców da się na to nabrać. A jednak.

Wiążąc przed lustrem krawat, zaczął się zastanawiać, czy może jednak syn nie ma racji. Czyżby sytuację dało się jeszcze odwrócić?, zadał sobie pytanie. Może Małgorzata tylko udaje zdecydowaną i niezłomną, a tak naprawdę czeka, aż o nią zawalczę?, zadumał się na chwilę.

Na dłuższe rozważania nie było czasu.

Prezydent rozpoczął dzień pracy.

Kierowca zatrzymał samochód przed samym pałacem. Drzwiczki otworzył oficer BOR-u. Nowaczyk nie znośli być traktowany jak niepełnosprawny, ale rozumiał, że takie są zasady. Udał się prosto do gabinetu, uprzedzając ochronę, że dzisiaj już nigdzie się nie wybiera, bo ma mnóstwo pracy. Zamknął za sobą drzwi, odczekał kwadrans, a później wymknął się do sypialni, gdzie z szafy wyciągnął dres, w którym zazwyczaj uprawiał jogging. Nie żeby specjalnie za tym przepadał, ale podobno uprawianie sportu było pozytywne wizerunkowo. Na głowę włożył czarną czapkę z daszkiem, na nos ciemne okulary. Nie przedstawiając się, zadzwonił do korporacji taksówkarskiej, by podstawili samochód pod kościół Świętej Anny. Powiedział, że potrzebuje wynająć auto na jakieś trzy, może cztery godziny, ale w opcji bez kierowcy. Usługa wynajmu samochodów na krótko cieszyła się coraz większym zainteresowaniem i uwalniała od konieczności podróżowania w nierzadko gadatliwym i wścibskim towarzystwie.

Załatwiwszy transport, ostrożnie wyszedł z sypialni. Dzięki sportowym butom stąpił bezszelestnie. Schodził po schodach, kucając przy kolumnach, ilekroć zauważył kogoś z obsługi. Czuł się prawie jak bohater amerykańskiego filmu akcji. Prawie. Gdyby nie okoliczności. Jako postać z filmu ratowałby świat przed zagładą, teraz zaś, maluczki, umykał z twierdzy w poszukiwaniu samotności. Wymknął się z pałacu tylnym wyjściem.

Szedł szybko Krakowskim Przedmieściem, wpatrzony w chodnik. Mimo że ubiór gwarantował mu anonimowość, czuł się nieswojo i niepewnie. Na szczęście samochód już czekał. Kierowca wręczył kluczyki i pokazał, jak go zaprogramować, gdyby była potrzebna funkcja autopilota.

– Dziękuję, chętnie poprowadzę sam. Ostatnio rzadko miewam okazję... – zaczął Nowaczyk i urwał spłoszony. Nie ma co, jestem mistrzem kamuflażu!, pomyślał, siadając za kierownicą.

Gdy tylko za Magdą Sajewicz zamknęły się drzwi, Raisa zdjęła maskę pozornego opanowania. Zaczęła paniczne poszukiwania komórki. Zazwyczaj telefon leżał na komódce w korytarzu, ale tym razem go tam nie było. Zajrzała do kuchni, wyróciła do góry nogami salon i łazienkę. Wdrapała się na piętro, by spenetrować kolejne pokoje, kiedy przypomniała sobie, że telefon spoczywa spokojnie w rowerowym koszyku. Nerwy nie sprzyjają logicznemu myśleniu, stwierdziła i zeszła na dół. Natychmiast wykręciła numer Edyty.

– Jesteś w domu? – zapytała bez wstępów.
– Jeszcze tak, ale zamierzałam wyjść. Już się za mną stęskniłaś?
– Siedz i się nie ruszaj! Mamy kłopoty.
– My? A co się takiego wydarzyło przez te niecałe dwie godziny od twojego wyjścia?

– Była u mnie Magda Sajewicz. I pytała, co się stało z moim pierwszym dzieckiem.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Skąd ona...

– Od Marka! Wyobrażasz sobie? – Raisa kręciła się nerwowo po korytarzu.

– Pierwszego męża to chyba wybrałaś sobie po omac-ku. W tym muzeum tak ci się nudziło, że wydał ci się objawieniem! – zdenerwowała się Edyta.

– Jadę do ciebie! – przerwała jej Raisa bezpardonowo.

Wiedziała, że przyjaciółka może tak długo. I nigdy nie przepadała za Markiem, choć w czasie gdy Raisa z nim była, szanowała status quo.

Wyprowadziła rower na zewnątrz, podejrzewając, że kolana wkrótce wypomną jej tę nadmierną aktywność. Na dworze było już nieprzyjemnie duszno, lecz Raisa nie miała wyjścia. Musiały naradzić się z Edytą. Poza tym potrzebowała bliskości przyjaciółki. Poczuć, że nie jest z problemem sama.

Mimo że nie padły żadne kategoryczne odpowiedzi, reakcja pani Hedwig była dość klarowna, choć starsza pani starała się pilnować. Ten cały Szewczyk miał rację, pomyślała Magda, włączając lewy migacz. To było widać po oczach.

Zaparkowała przy alei Niepodległości, głównej ulicy biegnącej przez środek miasta, ale nie bardzo wiedziała, co teraz. Buzowała w niej złość. Biedna pani Raisa!, ironizowała. Doświadczona przez los, sama doświadczyła własne dziecko! Do czego jest zdolna? Co stało się z tą dziewczynką? Może po latach wciąż walczy z poczuciem odrzucenia i bycia niekochaną?, zastanawiała się Magda. Bo komuś nie chciało się nią zająć. „Nie widzę powodu, żeby się przed panią tłumaczyć”, przypomniało się jej.

– Też coś! – wymamrotała. – Ależ musisz się przede mną tłumaczyć! A już na pewno powinnaś przed swoim dzieckiem!

Zirytowana Magda nacisnęła chip i wyświetliła hologram. Zajrzała do robionych wczoraj notatek, przejrzała dane osób, z którymi się kontaktowała w jej sprawie. Zastanawiała się, która z nich mogłaby wiedzieć cokolwiek o pierwszym dziecku Raisy. Wszyscy z listy wydali się jej bezużyteczni. Wątpiła, by cokolwiek na ten temat mogły powiedzieć dzieci pani Hedwig, którym zapewne nie pochwaliła się swoją przeszłością. Ile ona wtedy miała lat?, zadumała się. Tego spróbuję się dowiedzieć od Szewczyka, stwierdziła. Kim był ojciec? Czy ktoś w Bornem wiedział? Możliwe. Magda podrapała się po szyi. Ciężę raczej trudno ukryć. Trzeba podpytać tu i ówdzie, na przykład Bernarda. Ale z drugiej strony,

skoro miał okazję oczernić siostrę, co ochoczo wczoraj uczynił... Nie, nie zatrzymałby raczej takiej wiedzy dla siebie, choć trzeba to sprawdzić. No i jeszcze Edyta Niemirska. Dobra przyjaciółka zazwyczaj wie sporo. Tyle że, jeśli jest lojalna, może milczeć. Jak ją skłonić do zwierzeń?

Przed maską samochodu przefrunął chłopiec na powietrznej desce, zeszlórocznym hicie. Wprawdzie gadżet wymagał specjalnych ścieżek magnesowych, bo tylko na nich mógł działać, ale dzieciaki uwielbiały go tak bardzo, że władza stała pod ścianą. Budowała je mimo tragicznej w większości przypadków sytuacji lokalnych budżetów.

O tym, że wydawca jest zadowolony z wczorajszego materiału, Magda dowiedziała się w drodze do Bornego. Wiadomości miały sporą oglądalność, a jej materiał był szeroko komentowany przez widzów, którzy uznali panią Hedwig za niebywałą kobietę. Młodzież pisała, że chciałyby mieć takie babcie. Kobiety podkreślały siłę, która tkwi w ich płci, mężczyźni liczyli prawdopodobieństwo uczestnictwa w katastrofach. Znalazły się, oczywiście, i uwagi uszczypliwe, że to żadne osiągnięcie i że telewizja mogłaby zająć się poważniejszymi tematami, Mrozowski był jednak bardzo zadowolony. Magda przeciwnie, choć nie podzieliła się z szefem tą refleksją. Rankiem poprosiła go natomiast, żeby nie przydzielał jej innych tematów, bo wraca do Bornego.

– Możesz powiedzieć, o co chodzi? – zapytał zaintrygowany.

– Na razie powiem tylko, że ten cały Szewczyk podsunął mi w końcu coś bardzo interesującego. Ale najpierw muszę wy badać sprawę. Na dzisiaj nic już nie przygotowuję, ale jeśli będziesz cierpliwy, a informacje się potwierdzą, przywiozę ci coś naprawdę mocnego.

– Jesteś bardzo tajemnicza. Ale ufam ci. Działaj!

Wyglądało na to, że Magda na własną prośbę, spontanicznie stanęła w obliczu wyzwania. W głębi duszy była niemal pewna, że Raisa powie, że jej były mąż to złośliwy kłamca i od dawna robi wszystko, by utrudnić jej życie. Zapewni, że to wierutne bzdury i że ma już na koncie wygraną sprawę o nękanie. Ale stało się inaczej.

Do Magdy powrócił moment, kiedy zadała pytanie, a pani Hedwig wyprostowała plecy i nieznacznie poruszyła głową w odruchowym geście przywodzącym na myśl pytanie: „Skąd o tym wiesz, do cholery?”. W jej oczach przez chwilę coś się zatliło, a dopiero potem spojrzenie stało się bardziej odległe i zacięte. Kompletnie ustała gestykulacja. Jakby w Raisie wszystko zamarło w oczekiwaniu ataku.

Taka reakcja nastąpiła nie bez powodu, doszła do wniosku Magda.

Włączyła wyszukiwarkę. Wiedziała, że trochę zabawi w Bornem, więc musi zapewnić sobie nocleg. Robert nie był zadowolony, gdy mu oświadczyła przed wyjazdem, że ma się przygotować na taką ewentualność.

– Liczyłem, że pomożesz mi w przygotowaniu mowy na wernisaż – oświadczył zawiedziony. – Jesteś w tym lepsza.

– Dasz sobie radę. To przecież ty najlepiej wiesz, co czujesz i co chcesz przekazać.

Popatrzył na nią tak, że poczuła, iż znów go zawodzi. Miała jednak nadzieję, że mąż nie zacznie testować jej szczerości. Nie była na to przygotowana. Spakowała torbę podróżną, do kosmetyczki wrzuciła podstawowe akcesoria do makijażu i szybko wyszła z domu. Tak bardzo się bała ewentualnych słów Roberta. Że on widzi od dawna, że jest inna, że coś się zmieniło i że muszą poważnie porozmawiać...

Wybrała numer hotelu malowniczo położonego nad jeziorem i zarezerwowała jedynekę. Najpierw tam pojedę, odświeżę się i coś zjem, a później umówię się z Markiem Szewczykiem, zdecydowała.

Edyta czekała na przyjaciółkę z dzbankiem schłodzonej melisy. W tej sytuacji powinna jej zaoferować kieliszek wódki, ale po kolejnej przejażdżce rowerowej w tym skwarze byłoby to niewskazane. Denerwowała się, rozumiała też emocje Raisy – wszak nikt nie chce grzebania w najintymniejszych historiach z jego życia – ale czuła się nie najlepiej. Lata temu nie zrobiła bowiem tego, na co się umówiły, i od tamtej pory trzymała to w tajemnicy. Początkowo nie było jej łatwo, lecz z upływem czasu, kiedy sprawa przyschła nieco i zapanowała niepisana zasada, że do niej nie wracają, zrobiło się lepiej. Aż do dzisiaj.

Będę musiała udawać przed Raisą i uważać na węszący nos Magdy Sajewicz, westchnęła w duchu Edyta. Ani jedna, ani druga nie może dowiedzieć się, co stało się z dzieckiem. Ta wiedza, w tym momencie życia, jest Raisie do niczego niepotrzebna. I trudna.

Otworzyła drzwi.

Raisa wyglądała jak z krzyża zdjęta. Wypłowiałe włosy wysunęły się z kłamry spinającej je w kucyk i sterczały we wszystkie strony, okalając jej czerwoną z wysiłku i spoconą twarz. T-shirt przykleił się do dekoltu.

– Daj mi pić, bo padnę trupem! – oświadczyła, pokonując suchość w gardle.

W tej sytuacji nie byłoby to znów takie najgorsze, pomyślała Edyta ponuro, prowadząc przyjaciółkę do salonu. Nalała jej naparu z melisy do wysokiej szklanki wypełnionej lodem.

– Myślisz, że to coś pomoże? – zakpiła Raisa, wypiwszy duszkiem ziołowy napój.

– Jeśli cię nie uspokoi, zapewne ugasi pragnienie.

– Podziwiam twoje opanowanie – skwitowała kąśliwie Raisa i opadła ciężko na kanapę.

– Moja matka mawiała, że facetowi nie należy mówić wszystkiego. Miała rację. Doigrałaś się.

– Moja, niestety, nie zdażyła mnie uświadomić.

– Ja ci o tym mówiłam!

– Ale gdy było już za późno. Wiesz, że wygadałam się Markowi pod wpływem emocji. Zresztą wtedy traktowałam go jak przyjaciela. W końcu był moim mężem i mieliśmy wspólne problemy. Wtedy obawiałam się, że moje wyznanie położy kres naszemu małżeństwu. W życiu nie sądziłam, że to powróci po tylu latach!

Edyta poprawiła ozdobną poduszkę i usiadła obok.

– Myślisz, że to zemsta? Ale za co?

– Nie mam pojęcia. Przecież to on mnie zostawił.

– Może powinnaś do niego zadzwonić?

Raisa wzruszyła ramionami.

– Od lat nie mam jego numeru.

– Spróbuj znaleźć go w sieci.

– I o co niby zapytać? Dlaczego postanowiłeś zatruć mi ostatnie lata życia?

– Chociażby.

– Cokolwiek odpowie, i tak to niczego nie zmieni. Lawina ruszyła.

Edyta założyła ręce za głowę.

– Inna sprawa, dlaczego ta dziennikarka w ogóle draży temat. Przecież wczoraj przygotowała taki pozytywny materiał.

– Taki ma zawód. I najwyraźniej nie ma skrupułów. Mówiła coś, że poczuła się oszukana. W ogóle dzisiaj zachowywała się dziwnie. Jakby ta sprawa była dla niej niezwykle ważna. Niemal osobista.

Edyta postanowiła napić się melisy, więc sięgnęła po dzbanek. Napełniła również szklanekę przyjaciółki.

– To pewnie nic osobistego – powiedziała. – Podejrzewam, że kryje się za tym wyłącznie troska o karierę. Domyślam się, że Marek mógł skontaktować się z wieloma mediami, a ta Sajewicz obawia się zapewne kompromitacji i oskarżeń o brak obiektywizmu.

Raisa wzięła do ręki przyjemnie zimną szklanekę.

– Może masz rację – bąknęła. – Tylko co ja mam teraz zrobić?

– Mówię ci: spróbuj się z nim skontaktować i nakłonić, żeby wszystko odszczekał.

– Mogę spróbować. Ale podejrzewam, że nie po to się zdecydował, żeby się wycofać. Najwyraźniej zależy mu na skompromitowaniu mnie.

– Ale dlaczego? Nie jesteście ze sobą od czterdziestu lat!

Raisa uśmiechnęła się pod nosem.

– Najwyraźniej nie potrafi mi darować Zawiszy Czarnego...

– Czego? Ach, no tak! – roześmiała się Edyta. – Choć, z tego, co pamiętam, przecież nie ty wbiłaś go w tę zbroję.

– Ale przyprowadziłam kolegę, przed którym puszył się i snuł wizje świetlanej przyszłości. I który uśmieł się setnie.

Mimo że w sercach tlił się niepokój, wspomnienie serdecznie rozbawiło obie przyjaciółki. Gdy już przestały chichotać, Edyta powiedziała uspokajająco:

– Jak by nie patrzeć, przecież nikt tutaj o niczym nie wie. Może zapal pani Sajewicz szybko się wypali w zetknięciu z murem niewiedzy?

– Oby było, jak mówisz! – Raisa ciężko wypuściła powietrze.

Chociaż spotkały się, aby coś postanowić, nie ustaliły wiele, poza tym, że Raisa spróbuje przemówić do rozumu byłemu mężowi. Edyta zaś zdecydowała, że spotka się z dziennikarką w cztery oczy, o czym jednak nie zamierzała informować nikogo.

Jacek Nowaczyk wyjechał za miasto. Gdy opuścił tłoczną i gwarną Warszawę, chroniony taksówkarskimi barwami samochodu i sportowym strojem, poczuł się niemal jak kiedyś. Już dawno dotarło do niego, że kariera polityczna nie była najszcześniejszym wyborem, mimo że została zwieńczona sukcesem. Miał dość poczucia tkwienia w imadle, nacisków z jednej i z drugiej strony. Sprzecznych oczekiwań. Próby zrealizowania polityki partii, z której się wywodził – przy jednoczesnym sprawianiu wrażenia, że jest prezydentem wszystkich Polaków – spalały go wewnątrz. Kojarzyły mu się z dzieciństwem, przypominały, jaki w gruncie rzeczy jest słaby. Do tego Małgorzata...

Tomasz miał trochę racji. Istotnie, konflikt między małżonkami nie wziął się znikąd i nie pojawił się nagle. Narastał, ale Jacek nie podejrzewał, że kwestie polityczne mogą zagrozić ich związkowi. Ostatecznie były to przecież tylko poglądy. Najwyraźniej się pomyliłem, skwitował, dodając gazu. Żona od ponad roku wielokrotnie go ostrzegała, że jeśli nie zacznie zachowywać się jak niezależny mąż stanu, który ma własne zdanie i z którym należy się liczyć, ona nie wytrzyma.

– Ganasz jak ratlerek za przewodniczącym tej nieszczęsnej partii! – unosiła się podczas coraz częstszych kłótni. – Myślisz, że ja nie mam własnych opinii? Owszem, mam. Ale milczę i ich nie wyrażam, bo ty miałeś marzenie, a ja chciałam, abyś je spełnił! W oczach opinii publicznej wychodzę na milczącą kukłę, a ty nie doceniasz mojego poświęcenia! Nawet nie czerpiesz satysfakcji z prezydentury, o której ponoć śniłeś po nocach!

– Pamiętam, że kiedyś zgadzałaś się z założeniami partii...

– Dopóki nie zapanował w niej fanatyzm! Dopóki w tym kraju można było cokolwiek! Teraz partia wepchnęła swoje zachłanne łapska w niemal każdą dziedzinę życia! Naród się „nie buntuje”, bo zakazano publicznych zgromadzeń, ale to nie znaczy, że ludziom żyje się lepiej! Przewodniczący najwyraźniej uważa, że sam może decydować o wszystkim.

– Ktoś jednak wybrał tę partię. Powiedz konkretnie, zarzucasz coś mnie albo polityce rządu?

– Tobie! Czy on was wszystkich narkotyzuje? Kiedyś nie zgodziłbyś się na to, ale dzisiaj zachowujesz się jak bezmyślny robot. Dziwię się, że Walczak jest tobą tak zafascynowany. Czy on nie widzi, jaką odgrywasz w tym wszystkim rolę?

– Chyba przesadziłaś!

– Bez swojego lidera nigdy nie doszedłbyś na Krakowskie Przedmieście, prawda?

Zapieкло. Ostatnie słowa zabolaly Jacka najbardziej. A potem Małgorzata dodała:

– Robiłam dla ciebie dużo, ale mam dość wciągania mnie w to polityczne bagno. Chcę patrzeć rano w lustro bez obrzydzenia. Ty najwidoczniej nie masz z tym problemu. Nie mogę być z człowiekiem, który się nie szanuje. Myśli jedno, ale z jakichś powodów robi drugie.

Tak naprawdę, w głębi duszy, Nowaczyk wiedział, że żona ma rację. I że wytrzymuje w zakłamaniu wyłącznie dla jego dobra. Nie potrafiła mu tego wybaczyć.

Od kiedy zapisał się do partii, wpadł w oko przewodniczącemu. Był obrotny, całkiem bystry i pracowity. Robił, co do niego należało. Wiedział, że jeśli będzie trzymał się blisko lidera, on wyniesie go wysoko, bo jest mu to wygodne. A jego protegowanemu potrzebne. Nowaczyk chciał szybkiego sukcesu, żeby zaimponować rodzicom, wyglądało jednak na to, że nikt, poza przewodniczącym, nie wyszedł na tym dobrze. Ani on, ani jego małżeństwo. Ani nawet kraj.

Skrecając w boczną drogę, która wiła się wśród drzew, prezydent poczuł, że musi się zatrzymać i zaczerpnąć świeżego powietrza. Wprawdzie było nabrzmiałe od upału, ale okolica wydawała się malownicza i spokojna, a tego właśnie potrzebował. Wyciszenia.

Zaparkował na poboczu i postanowił się przejść wzdłuż jezdni z wygryzionym na krawędziach asfaltem. Nie mijało go żadne auto. Pamiętał jeszcze, jak jego ojciec narzekał na stan krajowych dróg. Jak widać, wciąż miałyby powody do biadolenia.

Przechadzka w cieniu drzew była przyjemna, lecz osłona z ich koron wkrótce się skończyła. Nowaczyk dostrzegł wijącą się w pobliżu rzekę i wiszący nad nią niewielki most. Wygląda na taki, któremu, podobnie jak drodze, przydałby się remont, doszedł do wniosku.

Wszedł w trawę i ruszył w kierunku wody. Miał ochotę popatrzeć na leniwy nurt, poszukać w nim ryb. Gdy dotarł do brzegu, spojrzął w kierunku mostu. Zmrużył oczy. Ostatnie badanie lekarskie wykazało, że wciąż ma sokoli wzrok, ale mimo to prezydent nie był pewien, czy aby go właśnie nie myli.

Na moście zauważył człowieka. Sądząc po posturze, mężczyznę, który trzymał coś w dłoniach i niebezpiecznie wychylał się za barierkę. Nowaczyk podszedł jeszcze kilka kroków i przeraził się, bo obraz stał się wyraźniejszy –

dźwiganym ciężarem okazało się kilka cegieł związanych sznurem zapętlonym na szyi. Co robić?, myślał gorączkowo. Nie mogę go wystraszyć, a za sekundę może być już za późno. Skakać do wody nie miał zamiaru.

– Hej! – krzyknął donośnie i natychmiast zorientował się, że nie było to najmądrzejsze posunięcie.

Mężczyzna nie zareagował.

– Hej! Proszę pana!

– Zostaw mnie! – wrzasnął desperat w kierunku brzegu.

– Proszę się nie ruszać! – zawołał Nowaczyk, puszczając się biegiem.

Godziny spędzone na joggingu zaprocentowały.

– Nie podchodź do mnie! – ostrzegł samobójca.

– W porządku. Będę stał tutaj. – Prezydent wskazał miejsce, gdzie asfaltowa droga przechodziła w betonowy most.

– Chcesz sobie popatrzeć? Interesuje cię czyjaś śmierć? Psychol!

– Przeciwnie. Wolałbym pana przekonać, że zawsze istnieje wyjście z sytuacji – zapewnił Nowaczyk.

Na oko pięćdziesięcioletni mężczyzna miał na sobie sprane dżinsy i szary T-shirt.

– Nie znasz mojej sytuacji, więc nie wiesz nic – prychnął.

– Ma pan rację – przyznał spokojnie prezydent. – Może zatem mi ją pan przybliży?

W zapadłej ciszy słyhać było tylko nieco nieadekwatny radosny śpiew ptaków i szum rzeki.

– Po co?

Nowaczyk rozłożył ręce.

– Chętnie posłucham.

– Kto by chciał słuchać o problemach nieudacznika?

– Fakt. – Prezydent spoważniał. – Niewielu się takich spotyka.

Mężczyzna spojrzał niepewnie, a Nowaczyk, żeby go ośmielić, zdjął ciemne okulary. Cegły wylądowały na ziemi.

– W sumie co mi zależy – powiedział desperat. – Ale nie podchodź bliżej! – zastrzegł.

Prezydent doszedł do wniosku, że najwyższa pora przejść na ty.

– Ty tutaj rządzisz – odparł.

Magda zostawiła bagaż w pokoju hotelowym i zeszła do restauracji, gdzie szybko przełknęła sałatkę o nijakim smaku. Myślami była już przy Marku Szewczyku, który zgodził się spotkać w przydrożnym zajeździe w połowie drogi między Bornem a Szczecinem. Jego głos aż kipiał niepokojącym tryumfalnym zadowoleniem. Magda zapłaciła za jedzenie i wsiadła do samochodu. W trasie rozmyślała nad pytaniami, które ma zadać. Z nadzieją, że mąż Raisy będzie

współpracować. Że rozmowa z nim nie będzie jak zabawa w kotka i myszkę, na którą nie miała ani ochoty, ani czasu.

Droga była dobra, ruch niewielki, więc po niecałych dwóch godzinach Magda zjeżdżała na niemal pusty parking przy drewnianej chacie. Być może świadczyło to o niskiej jakości serwowanego tutaj jedzenia, ale na tym jej nie zależało. Bardziej na spokojnie, pomyślała, ustawiając się obok czerwonej hondy.

Wysiadła z auta i ruszyła po chrzęszczącym żwirze, gratulując sobie, że zamieniła szpilki na pantofle na płaskiej podeszwie. Idąc, przyglądała się rejestracjom; miała nadzieję, że znajdzie szczecińską i nie będzie musiała czekać.

Tuż przy wejściu zauważyła czarnego, nieco przechodzonego volkswagena z tablicą z literami ZS. Załatwił to szybko, pomyślała z ulgą.

Weszła do środka. W knajpie pachniało dymem z grilla, choć nigdzie nie było widać rusztu.

Przy stoliku w głębi siedział starszy mężczyzna w granatowej koszulce polo. Akurat podnosił szklankę z wodą do ust. Magda natychmiast poczuła pragnienie.

– Jest pani punktualna – powiedział Marek Szewczyk. – To dobrze.
– Gdybym się spóźniła, odjechałby pan? – Spojrzała, zirytowana uwagą.
– Zależy, jak bardzo by się pani spóźniła. Ale domyślam się, że pani zależy?
– Panu, zdaje się, też – odparła z naciskiem, siadając naprzeciwko. – Tylko zamówię wodę i przechodzimy do rzeczy – dodała.

– Nie marnuje pani czasu.

– Mam nadzieję, że będę mogła to samo powiedzieć o panu.

Magda piła, a Szewczyk przyglądał się jej intensywnie. Denerwowało ją to, choć zdążyła już się przyzwyczaić do podobnych spojrzeń, odkąd zaczęła pracować na wizji.

– Proszę mi powiedzieć, czyje to było dziecko? – zapytała wreszcie.

– Pierwszego chłopaka Raisy.

– A konkretniej?

Szewczyk splótł dłonie. Skóra na nich zdradzała wiek, w dodatku była przesuszona.

– Nie pamiętam jego nazwiska. To było wieki temu.

– A imię?

Podrapał się po czole.

– Imię pamiętam. Marcin.

– Świetnie! Niezmiernie mi pan pomógł – rzuciła z przekąsem. – A ile mógł mieć lat?

– Raisa była bardzo młoda. To było jakoś po maturze. On był chyba kilka lat starszy.

– W jakich okolicznościach powiedziała panu o tym? – Magda badała grunt.

– Staraliśmy się o dziecko, nadaremnie. Chyba odezwały się w niej wyrzuty

sumienia.

- Z tego, co wiem, nie mieliście państwo dzieci.
- No właśnie. Widać sumienie dokuczało mocno.
- Ale pani Raisa ma córkę i adoptowanego syna. To nijak się nie składa.
- Widać i sumienie w końcu milknie. Choć pewnie nie do końca, skoro

przygarnęła obcego dzieciaka.

Adopcja istotnie mogła być pokłosiem decyzji sprzed lat, pomyślała Magda, ale to akurat nie świadczyło źle o Raisie. Pamiętała, jak czule mówił o niej syn. Gdyby tylko wiedział, jakie miał szczęście... Z pewnością większe niż starsza siostra.

– Pani Magdo, jest pani tutaj? – Głos Szewczyka przywołał ją do rzeczywistości.

– Tak. Czy ktoś jeszcze może wiedzieć o sprawie? Potwierdzić pana słowa.

– Nie mam pojęcia. Wtedy, kiedy mi o tym mówiła, nie wiedział chyba nikt.

– A pani Edyta Niemirska?

– Teoretycznie Raisa mogła się jej zwierzyć. Były bardzo blisko. Ale nie wiem na pewno.

– A rodzina? Rodzice i siostra pani Raisy już nie żyją. Ale jest jeszcze brat.

– To dziwak. Z tego, co pamiętam, już za czasów naszego małżeństwa ich relacje były nie najlepsze. Ciągle miał o coś pretensje. Nawet o fajerwerki na naszym weselu. Poza tym przecież rozmawiała z nim pani. Widziałem materiały. Nie wypowiadał się miło o siostrze. Gdyby o tym wiedział, na pewno skorzystałby z okazji.

– Też tak podejrzewam. Po prostu szukam punktu zaczepienia.

– A czy to takie istotne? Nie wystarczy sam fakt?

Magda spojrzała zaskoczona. Szewczyk najwyraźniej miał w nosie los niechcianego dziecka. Zwyczajnie pragnie dokopać Raisie, zorientowała się.

– Dlaczego pan jej to robi? – zapytała. – Przecież kiedyś łączyła was miłość. Przetrwaliście potworną katastrofę. Czytałam o tym. To musiało być straszne.

Szewczyk nachylił się ku niej. Zbliżenie się do tej uroczej twarzy sprawiło mu ogromną przyjemność. Podobnej nie zaznał od lat.

– Owszem, łączyła nas miłość – odparł. – Ale życie wystawiło mi za nią gorzki rachunek. Obecność Raisy naznaczyła je na zawsze. Odkąd ją poznałem, nic nie toczyło się tak, jak powinno. Zaliczałem nieustający zjazd w dół.

– Czy dobrze rozumiem, że obwinia ją pan o swoje życiowe niepowodzenia?

Szewczyk pomyślał o ojcu, który po rozwodzie z jeszcze większym zapamiętaniem ciosał mu kołki na głowie. Nie dość, że zrujnował swoją karierę, to jeszcze nie potrafił utrzymać małżeństwa.

– To była całkiem sensowna dziewczyna! Co ci się nie podobało? – grzmiał pan Jerzy. – Zobaczmy, która teraz zechce bezrobotnego faceta, rozwodnika

mieszkającego z rodzicami!

Minęły lata, a on wciąż słyszał tamte pretensje.

– Po prostu swoje wiem – odparł oschle. – Pani zapewne też ma swoje powody, żeby dociekać prawdy?

– To moja praca. Płacą mi za to.

– Podziwiam zaangażowanie. – Pokiwał głową, świdrując ją wzrokiem.

– Wróćmy do meritum. Proszę spróbować sobie przypomnieć cokolwiek. Jakikolwiek szczegół związany z ojcem dziecka Raisy. Skąd był? Gdzie mieszkał?

– Mieszkał niedaleko Bornego.

Skrzywiła się.

– To wciąż niewiele.

– Mam! – Szewczyk klasnął w dłonie. – Mam coś! Raisa przeżyła porażenie piorunem!

– Tyle i ja wiem. Czytałam jej biogram przygotowany przez WHO.

– A czy napisano tam, że zginął wtedy jej chłopak? Byli razem na łódce i bach! On padł trupem, ona wyszła bez szwanku. Już wtedy musiała być w ciąży. No, chyba że pioruny w Bornem czynią cuda – dodał, wyraźnie z siebie zadowolony.

Magda spojrzała zniesmaczona.

– O tym nie pisano – powiedziała. – Pani Raisa też milczała na ten temat.

– Ot, maleńkie przeoczenie.

– Tak czy siak, to już jest coś. Jakiś trop...

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Co zaproponuje mi pani w zamian?

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Satysfakcja panu nie wystarcza?

– Dziennikarze chyba płacą informatorom?

Uśmiechnęła się.

– Mogę zapłacić za pańską kawę. – Wskazała na nietknięte espresso obok szklanki.

– Dobre i to – rzucił. – Żartowałem. Tak naprawdę to, co dostanę w zamian, jest więcej warte niż jakiegokolwiek pieniądze świata.

W tym mężczyźnie jest coś przerażającego, pomyślała Magda.

Mimo to warto było się z nim spotkać, choć marzyła, by czym prędzej opuścić jego towarzystwo. Miała w rękach informację, która mogła okazać się ważna. Której tropem warto było podążyć, bo mogła rzucić więcej światła na historię Raisy.

Rozdział 11

Desperat otarł spocone czoło i przysiadł obok cegieł. Oparł się plecami o barierkę, przedramiona ułożył na kolanach i zwiesił głowę. Gdyby Nowaczyk nie wiedział o jego zamiarach, uznalby, że się zmęczył, upił albo znalazł nietypowe miejsce do kontemplacji.

– Skoro jesteś taki ciekawy, co konkretnie chcesz o mnie wiedzieć? – zapytał mężczyzna, patrząc w stronę intruza siedzącego na krawężniku trzy metry dalej.

Prezydent miał w głowie kompletną pustkę. Znalazł się w sytuacji zgoła niecodziennej. Jego życie było zbiorem reguł i zasad, nie działał przypadkowo. W większości z zamierzonym celem. A tutaj? Aż zadrżał na myśl, do czego może doprowadzić jego jeden nieodpowiedni ruch. Błędne decyzje w sprawach państwowych zazwyczaj rozkładały się w czasie...

– Co pchnęło cię na ten most? – powiedział ostrożnie.

– Lawina spraw, które przez całe życie spadały mi na głowę. Czasem po prostu nie daje się ich unieść.

– Ale co było gwoździem do... – Nowaczyk urwał i odchrząknął zmieszany.

– To znaczy, chciałem zapytać, co przechyliło szalę?

Mężczyzna rzucił mu ukradkowe spojrzenie.

– Negocjator też nie trafił mi się najlepszy. – Pokiwał głową.

Prezydent spanikował. Jeszcze trochę, a facet skoczy, żeby tylko ze mną nie rozmawiać!, pomyślał.

– Masz rację. Za to całkiem niezły słuchacz.

– Dobra, opowiem ci – zdecydował nieznajomy. – Choć sam nie wiem dlaczego. – Spojrzał w niebo. – Może po to, żeby choć jedna osoba na tym zasranym świecie wiedziała, dlaczego ze sobą skończę.

Nowaczyk pożałował, że wymknął się potajemnie z pałacu i nie towarzyszy mu sztab ochroniarzy. Wezwaliby odpowiednie służby. A na pewno lepiej wiedzieliby, jak się obchodzić z takim przypadkiem.

– Zamieniam się w słuch – powiedział spokojnie.

– Zaczęło się wcześniej. Po moich narodzinach matka, nie wiedząc czemu, popadła w depresję. A ojciec był zbyt zajęty rozwijaniem hodowli bydła, żeby zauważyć, że z nią naprawdę jest coś nie tak. Podobno nieustannie powtarzała, że do niczego się nie nadaje, że jest złą matką. Nie chciała się mną zajmować. I wiesz co? Powiesiła się. Ojciec bardzo ją kochał, więc do końca życia nie mógł sobie darować, że nie miał dla niej czasu. Ale żeby nie oszaleć, obwinił o wszystko mnie. Dowodem miał być fakt, że nie zabiła się, kiedy trzy lata wcześniej urodziła brata. Przez całe życie ojciec zaledwie mnie tolerował. A przecież dziecko potrzebuje

miłości, prawda?

Nowaczyk poczuł, że coś ściska go za gardło. Jak dobrze to rozumiał!

– Masz absolutną rację – zapewnił z przejęciem.

– Właśnie. Nie wiem, może przez to potem nie radziłem sobie z kobietami?

Ale na drugim roku studiów, a wybrałem się na Akademię Rolniczą, żeby zaimponować ojcu, poznałem ją. Wiola miała w sobie coś takiego, że mogła ze mną zrobić dosłownie wszystko. Po studiach wzięliśmy ślub. Ojciec nawet podarował mi kawałek ziemi i trochę pieniędzy na start, twierdząc, że wreszcie przestanę na nim wisieć. Nie chciałem brać, ale w końcu uznałem, że choć tyle mi się należy za lata zmarnowanego dzieciństwa. Kupiliśmy z Wiolą maleńki domek, na polu zasiałem rzepak. Zaczęliśmy prowadzić gospodarstwo agroturystyczne. Akurat zapanowała moda na *slow life* i przyjeżdżało sporo turystów. Całkiem nieźle nam się powodziło. Nawet miałem wrażenie, że poprawiają się moje stosunki z bratem, dotąd nie najlepsze. Witek częs-to do nas zaglądał, pomagał, gdy trzeba było coś wyremontować albo zorganizować dla gości. Często zostawał na noc. Aż w końcu odkryłem, dlaczego jest taki skory do pomocy. Pewnego dnia zastałem go z Wiolką w szopie na narzędzia. Cały mój świat się zawalił! – Mężczyzna machnął ręką.

– To rzeczywiście straszne...

– To jeszcze nic! Tydzień później pojawił się w naszym domu z walizkami, oświadczając, że się wprowadza. Gdy zapytałem żonę, jak ona to sobie wyobraża, odparła: „Chyba nie będziemy tu mieszkać we troje?”.

– Serio? – Nowaczyk szeroko otworzył oczy.

– A co na to mój braciszek? „Jak się odkuję na mojej biogazowni, to cię splączę!”.

– I co zrobiłeś?

– A co miałem zrobić? Odszedłem. Mam swój honor. I wylądowałem u ojca, który szydził, że co ze mnie za facet, że pozwoliłem wypędzić się z domu, zabrać żonę, przejąć biznes. Milczałem z zaciśniętymi zębami. Ale co to za życie? Zacząłem pić. Musiałem się jakoś znieczulić.

Tamtego dnia ojciec wrócił późno od bydła i zobaczywszy mnie przy flasce, stwierdził, że tylko na to mnie stać. Nóż leżał na desce, akurat kroilem kielbasę, żeby nie pić na goły żołądek. Nie sądziłem, że... Tak po prostu... – Głos mężczyzny zadrżał. – Jeden cios i nie ma człowieka. Nie planowałem tego. Chciałem tylko, żeby przestał...

Nowaczyk siedział jak wmurowany. Oto mam przed sobą mordercę!, myślał w popłochu. Kogoś, kto pozbawił życia ojca. I komu na dodatek współczuję!

Mężczyzna na niego nie patrzył. Może obawiał się potępienia, a może po prostu był skupiony na własnej historii. Przeżywał wszystko od nowa.

– I przestał – dodał po chwili. – A ja trafiłem na dziesięć lat do paki.

Adwokat podkreślał, że czynu dokonałem pod wpływem silnego wzburzenia usprawiedliwionego okolicznościami, wieloletnim szykanowaniem. Czy ty masz pojęcie, że Wiolka z moim bratem przychodzili do mnie na widzenia? Ale jeszcze gorsze od ich bezczelności było to, że przychodziłem na nie ja, gardząc sobą coraz bardziej. Tak miałem dość tego pieprzonego zamknięcia! Przez wszystkie dni w więzieniu marzyłem o życiu, które sobie urządzę po wyjściu na wolność, jednak moje plany rozminęły się z rzeczywistością. Nikt nie chciał zatrudnić mordercy. Na szczęście miałem gdzie mieszkać, był dom po ojcu. W każdym razie, żeby mieć za co żyć, miałem się różnych prac, najczęściej fizycznych i na czarno.

Jednego lata pracowałem przy remoncie domu. Gospodarz był prostym, ale uczciwym człowiekiem. Oferował niezłą kasę za rzetelną robotę. Miał córkę, która czasem parzyła nam kawę. Nie była ładna, ale bardzo ciepła. Świetnie mi się z nią rozmawiało. Miała trzydzieści jeden lat i wciąż była wolna, co bardzo jej ciążyło. Każdy tęskni za kimś bliskim sercu, prawda? – Kandydat na samobójcę spojrzął na Nowaczyka, a ten mu przytaknął. – W pewnym momencie pijałem naprawdę dużo kaw – roześmiał się. – Dziwne, że pikawa mi nie wysiadła. Zaczęliśmy się spotykać potajemnie. Nie chciałem, żeby jej ojciec się dowiedział, bo nie uśmiechała mi się strata roboty. Ale po miesiącu okazało się, że Ewa jest w ciąży. Masz pojęcie, jak się ucieszyłem? Nagle zamiast czarnej plamy zobaczyłem przed sobą przyszłość. Tyle że jeden z moich kumpli z ekipy doniósł na mnie gospodarzowi. Nie wiem, może liczył, że za lojalność ten dorzuci mi coś do tygodniówki? Ojciec Ewy się wściekł, powiedział, że żaden kryminalista nie będzie bałamucił mu córki. Obił mi ryj i wyrzucił z roboty. A Ewa, mimo że dzwoniłem, pisałem, przyjeżdżałem nocą pod dom, nie chciała się ze mną zobaczyć. Widzisz, nie powiedziałem jej, że siedziałem w pierdłu... Bałem się, że ją stracę. No i straciłem. Co gorsza... – Mężczyzna urwał i wypuścił ciężko powietrze. – Z tego, co wiem, dziecko nie pojawiło się na świecie. Może poroniła? Ale myślę, że nikt w jej rodzinie nie chciał dziecka kryminalisty. Odechciało mi się wszystkiego.

Nowaczyk siedział jak mysz pod miotłą.

– Chcesz słuchać czy już ci się znudziło? – usłyszał.

– Słucham cię cały czas. Bardzo uważnie.

– Miałem dość rodzinnej wsi. Chciałem zacząć od nowa. Sprzedałem pole po ojcu, sprzedaż domu miał się zająć mój brat. Ustaliliśmy, że podzielimy się pół na pół. Jakby zapomniał, że mieszka w moim domu, za który nie dał mi ani grosza! Nie miałem ochoty się z nim użerać. To, co miałem dostać, i tak mnie zadowalało. Wyjechałem do Gdyni i wynająłem mieszkanie. Rozglądałem się za jakąś fuchą, a w międzyczasie umiłałem sobie puste wieczory wizytami w barach. Poznałem wesołe towarzystwo. Może nie była to elita, ale mieli dla mnie czas. No i było z kim pić. Kiedyś zaprosiłem ich do siebie. Impreza była przednia, tyle że zakończona kacem gigantem i pustkami w szafce, gdzie trzymałem kasę ze

sprzedaży pola. Jaki idiota trzyma pieniądze w szafce? No, sam powiedz? – Mężczyzna popukał się w czoło. – Ja! Głupio mi było prosić brata, żeby przyspieszył sprzedaż domu, bo zostałem bez pieniędzy. Wiedziałem, co sobie o mnie pomyśli. A że roboty nie znalazłem, szybko wylądowałem na ulicy. Myślałem, że zdarza się to tylko ludziom z marginesu. I chyba właśnie wtedy stałem się kimś takim... Zabójcą i bezdomnym.

Wytrzymałem na ulicy do zimy. Kiedy mróz ścisnął, postanowiłem wrócić na wieś.

Okazało się, że dom jest od dawna wynajęty, bo brat zmienił zdanie w kwestii sprzedaży. Oczywiście wpływami z wynajmu nie zamierzał się dzielić. Siedziałem na przystanku z jedną torbą. Z ulicy zgarnął mnie stary znajomy. Był po rozwodzie i rozumiał, że w życiu może się wszystko spieprzyć. Zamieszkałem u niego. Dodał mi odwagi do walki o swoje. Wymusiłem na Witku uregulowanie naszych spraw finansowych i dom po ojcu stał się oficjalnie moją własnością. Przecież on mieszkał z Wiołką na mojej posesji. Rozwiodłem się z żoną. To już było coś. Jakiś początek.

W któryś weekend wybraliśmy się z kumplem na imprezę. Poznałem kobietę. W tańcu poruszała się zgrabnie jak kotka. Szybko wzięliśmy ślub, wprowadziła się do mnie. Byłem pewien, że to już koniec moich kłopotów. Joasia stała się kobietą mojego życia! – Mężczyzna potarł powieki. – Umarła miesiąc temu. Jak widzisz, mam prawo... – Spojrzał w bok. – ...do tych cegieł. Nie spoglądam już w przyszłość, bo się boję, jaki szajs tam zobaczę. Teraz chcę już tylko znaleźć się tam, gdzie moja kochana Asia.

Prezydentowi zaszklily się oczy, zupełnie tak samo jak jego rozmówcy. Nagle zapragnął porwać tego człowieka w objęcia. Pokrzepić go. Tylko co mu powiedzieć? Że wszystko się ułoży? W jego życiu jak dotąd nic się nie ułożyło, pomyślał, a takie frazesy tylko zepchną go z tego mostu szybciej.

Czuł serce w krtani, a w głowie miał gonitwę myśli. Nie wiedział, czy to przez upał, czy przez tę przerażającą historię.

– I co? Nie wiesz, co powiedzieć? – Mężczyzna spojrzał na niego. – „Skacz!” byłoby odpowiednie, co?

– Masz rację. Zamurowało mnie.

– Co powiedziałeś?

– Masz rację, zamurowało mnie – powtórzył Nowaczyk. – Dziękuję za tę opowieść. Faktycznie, życie cię nie rozpieszczało. Bardzo, naprawdę bardzo mi przykro. Jeśli zdecydujesz się skoczyć, nigdy o tobie nie zapomnę.

– Nie będziesz mnie powstrzymywał?

– Nie bardzo wiem, jak miałbym cię przekonać. Przepraszam, nie potrafię. Nie jestem psychologiem. Jestem tylko prezydentem... – Zamyślił się i zapatrzył w niebo.

Błękitną przestrzeń przecięło stado ptaków.

– Kim? – Mężczyzna wyprostował plecy. – Słoneczko ci przygrzało? Z prezydentem byłaby tu cała świta – dodał. – Wyprawa za miasto z ochroną za nasze podatki! Tak by to wyglądało.

– Tak by wyglądało, gdybym nie wymknął się w sekrecie. – Nowaczyk, który pozbył się okularów już wcześniej, teraz zdjął czapkę. – Wybrałem się na przejażdżkę, żeby trochę odetchnąć po spotkaniu z francuskim prezydentem i porannej męczącej rozmowie z synem.

Mężczyzna wybałuszył oczy.

– Nie wierzę! To naprawdę pan!

– Zapomniałeś, że od jakiegoś czasu jesteśmy na ty?

– Inaczej nie wypada do prezydenta...

– Przed chwilą nie miałeś oporów.

– Powie mi pan, jak to jest?

– Co jak jest?

– No, być kimś tak ważnym. Osiągnąć taki sukces!

Nowaczyk wyprostował nogi.

– Nigdy nie czułem się ważny – powiedział. – Choć zawsze tego pragnąłem.

– Ale teraz zdecydowanie pan jest!

Prezydent prychnął.

– Gdybym teraz to ja skoczył z tego mostu, nikt by się specjalnie nie przejął.

– No jak! Państwo stanęłoby na głowie!

– Nic by nie stanęło. – Nowaczyk przewrócił oczami. – Do wyborów zastąpiłby mnie marszałek Sejmu. A potem stałbym się zaledwie krótką wzmianką w encyklopedii. Nieważne, ile by mi postawiono pomników.

– To i tak coś. Ale niech pan nie przesadza, przecież ma pan dzieci. A pierwsza dama? Jest taka...

– Małgorzata niedawno oświadczyła mi, że chce odejść. – Prezydent wszedł rozmówcy w słowo. – Nie może znieść, że podobno nie mam charakteru. A moi synowie stoją murem za matką. Zostałem prezydentem, bo bardzo zależało mi na karierze politycznej. Chciałem udowodnić rodzicom, że nie jestem takim nieudacznikiem, za jakiego mnie uważają. Niestety, nie dożyli zaprzysiężenia.

– Uuu... To marnie.

– W rzeczy samej. Wtedy wszystko, do czego dążyłem, nagle straciło sens. Nie tego się spodziewałem. Wczoraj na kolacji z Girardem niemal popłakałem się z rozpaczy. Francuz mówił rozsądnie, ale ja sam przecież nic nie mogę! Partia ma program, który mam realizować. Myślę, że żona ma wiele racji, krytykując niektóre moje decyzje. Nocami nie mogę przez to wszystko spać, więc oglądam rodeo...

– Słyszałem o tym!

– ...piję zbyt dużo koniaku i surfuję w sieci. Po tym wszystkim rano męczą

mnie paskudne bóle głowy, lecz muszę udawać przed rodakami, że jestem stabilną głową państwa. Okłamuję wszystkich. Nawet siebie.

Mężczyzna splótł dłonie. Wpatrywał się w Nowaczyka szeroko otwartymi oczami. Oniemiał, prawie nie mrugał.

– Tego jednego w życiu nie zrobiłem – oświadczył. – Nigdy się nie okłamywałem.

W jego głosie dźwięczała duma.

– No widzisz! Czyli masz jednak jakieś osiągnięcie!

Na twarzy mężczyzny po raz pierwszy zagościł uśmiech.

– Myśli pan, że już pana szukają?

– Jeśli się zorientowali, to na pewno. Uciekałem jak spłoszony zając. – Prezydent zakrył dłonią oczy.

– Nie jest chyba tak źle? W końcu miał pan odwagę dać nogę!

– Niestety, muszę wrócić. Jutro czeka mnie uroczyste śniadanie. Będę podejmował nim Raisę Hedwig. Słyszałeś o kimś takim?

– Nie. Kto to?

– Najbardziej pechowa osoba na świecie.

– Co? Kto tak powiedział?

– WHO i Human Resources coś tam. Podobno przeżyła liczne katastrofy, co według statystyk czyni ją najbardziej pechową.

– Czyli nawet to... – Mężczyzna zmarkotniał. – Nawet w tej kwestii przegrałem...

– Nie tylko ty.

Potencjalny samobójca popatrzył prezydentowi w oczy. A po chwili namysłu rozluźnił pętlę i zdjął z szyi sznur. A później podał swojemu rozmówcy cegły.

– Mogę odstąpić – powiedział. – Mieszkam niedaleko, więc szybko skombinuję sobie nowy zestaw.

Chyba jest ze mną naprawdę źle, skoro facet z takim życiorysem uznaje, że powinienem skończyć ze sobą przed nim, pomyślał Jacek Nowaczyk. Z tym że do samobójstwa potrzeba odwagi...

– A może...? – wykrztusił, pokonując suchość w ustach. – To znaczy... Może żaden z nas ostatecznie nie ma tak źle? Może nie powinniśmy pocieszać się randką z kostuchą?

Desperat podrapał się po czole.

– Może? Sam już nie wiem. Ta pana historia... Jestem trochę oszołomiony.

Nowaczyk wstał.

– Warto chyba nad tym pomyśleć – powiedział. – A tymczasem zapraszam cię jutro do pałacu na śniadanie. Będziesz moim specjalnym gościem.

– Gdzie? Po co ja tam? Poza tym miałem w planach nie dożyć jutra!

– Jeden dzień cię chyba nie zbawi? I zawsze może wydarzyć się coś

ciekawego. Poza tym zastanów się, co pomyśli sobie twój brat, gdy zobaczy cię w telewizji.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Ty tak na serio? – wypalił, zapominając o konwenansach.

– Jak najbardziej!

– Janek jestem. Janek Kuźbik.

– Jacek Nowaczyk. – Prezydent wyciągnął dłoń.

– Przecież wiem! – roześmiał się tamten i wyciągnął swoją.

Na propozycję podwiezienia do domu nie zaprotestował. A cegły zostawił na moście.

Powstrzymanie niedoszłego topielca to naprawdę sukces, uśmiechnął się w duchu prezydent, jadąc leśną drogą. I choć Janek uznał, że i on miałyby pełne prawo skoczyć do wody, już dawno nie był tak zadowolony.

Darek Morąg wyszedł na klatkę schodową, na której panował przyjemny chłód. W mieszkaniu Lechowicza spociał się jak szczur, mimo że starszy pan podjął go lodami.

– Dziękuję, panie Bernardzie! – powiedział. – Jeszcze dziś wieczorem prześlę panu tekst do autoryzacji.

Bernard uśmiechnął się rozanielony.

– Po rozmowie z panem jestem absolutnie przekonany, że będzie dobrze – odparł. – Ale oczywiście chętnie rzucę okiem. Wciąż nie mogę uwierzyć, że moja siostra trzymała was na trawniku! Najwyraźniej doszczętnie przewróciło się jej w głowie.

– Musiała zrobić niezłe pranie mózgu Magdzie Sajewicz. Taka z niej żyleta, a zmiękła przy pani Raisie jak воск.

– Też byłem zdziwiony, oglądając wczorajszą relację.

– No nic. Po to jesteśmy my, żeby pokazywać ludziom, jak jest! – Reporter Mopsika dumnie wypiął wytatuowaną pierś.

Gdy Bernard zobaczył go w progu, pomyślał, że to jakiś bandyta. Mimo że tatuaże były popularne od dekad, jemu nie podobały się nigdy. A przesada w tej kwestii kojarzyła mu się jednoznacznie. Lecz wystarczyło zamienić z gościem kilka słów, by przekonać się, że mimo miłości do atramentu pod skórą jest on godny zaufania. I co najważniejsze, prawdziwie zainteresowany historią Raisy z punktu widzenia jego, Bernarda. A o to mu właśnie chodziło.

Kiedy znów został sam, stwierdził, że warto uczcić to kieliszkiem schłodzonego chardonnay.

Ostatnią godzinę spędził nadzwyczaj przyjemnie. Dziennikarz wsłuchiwał się w każde jego słowo, zupełnie jak psycholog podczas sesji. Choć Bernard nigdy na żadnej nie był, tak właśnie ją sobie wyobrażał: pełna akceptacja, stuprocentowe zrozumienie i możliwość powiedzenia wszystkiego, co mu leży na sercu. Teraz

poszedł do lodówki, wyjął wino i napełnił hojnie kieliszek. Uniósł go.

– Za sprawiedliwość! – powiedział.

Ten dziadyga spadł mi jak z nieba!, uśmiechnął się Darek Morağ, rzuciwszy torbę na tylne siedzenie samochodu. Miał z panią Hedwig na pieńku po wczorajszym dniu i chciał jej pokazać, że nie ona rozdaje karty. Że nie wystarczy powiedzieć: „Nie udzielam komentarzy”, żeby mieć spokój.

Obejrzał materiał NTV i wypowiedź Lechowicza dała mu do myślenia. Kiedy rozwinę to, co Magda potraktowała za ledwie po łebkach, być może podważę także jej wiarygodność?, dumał. Marzył wyłącznie o tym, aby ta wyniosła Sajewicz poczuła jego oddech na plecach. To, że pracuje dla największej stacji internetowej w kraju, wcale nie czyni jej lepszą, stwierdził złośliwie. A ja zamierzam jej to udowodnić.

Wracał do redakcji, paląc się z niecierpliwości, żeby rozpocząć pracę nad tekstem.

Magda zaparkowała przed sklepem, w którym raz już przepytowała mieszkańców na temat Raisy. Weszła do środka i od razu zauważyła znajomą kierowniczkę. Pani Aneta też spostrzegła gościa.

– Pani Sajewicz, pani znowu u nas? – zawołała. – Bardzo się cieszę! Oglądałam wczorajsze wiadomości. Nie przepadam za informacjami, ale wczoraj nie wolno mi było ich przegapić! Choć myślę teraz, że jako mieszkańcy nieco zbyt surowo potraktowaliśmy panią Raisę...

– Tak pani uważa?

– A pani nie?

– Pani Aneto... – zaczęła Magda. – Potrzebuję pewnej informacji.

– Tak? Jakiej konkretnie? – Kierowniczka włożyła dłonie w kieszenie uniformu.

Nagle poczuła potrzebę ukrycia nieco nieświeżego manikiuru.

– Czy kojarzy pani porażenie piorunem, którego doznała pani Hedwig?

– Słyszałam o tym. Sama tego nie pamiętam, jestem za młoda. – Uśmiechnęła się. – Ale pomyślmy. Kto może pamiętać? No tak, z pewnością pan Wojtek. To rówieśnik pani Raisy. A w sumie to dlaczego pani jej o to nie zapyta?

– Gdzie znaję pana Wojtkę? – Magda nie zamierzała niczego wyjaśniać.

– Wiem, że mieszka na Sosnowej, choć nie znam dokładnego adresu. Ale przychodzi co rano do sklepu. Chyba bardziej, żeby z kimś pogadać, a nie na zakupy. Na pewno go pani tutaj złapie jutro.

– Dziękuję. W takim razie do jutra.

Pani Aneta myślała intensywnie.

– No i przyjaciółka pani Raisy! – wykrzyknęła. – One są praktycznie nierozłączne. Często je razem widuję. Podejrzewam, że znają się od lat.

Ona akurat nic mi nie powie, pomyślała Magda.

– Może spróbuję i u niej. Do widzenia – powiedziała i skierowała się do wyjścia.

Przystanąła na chodniku i rozejrzała się po okolicy. Przyglądała się ludziom, w większości w wieku, który nie wskazywał na to, aby mogli cokolwiek wiedzieć na interesujący Magdę temat. Pomyślała o burmistrzu, ale było już po godzinach pracy urzędu. A chwilę później popukała się w głowę i poszła do samochodu. Jak mogłam nie pomyśleć o tak oczywistym rozwiązaniu?, zadała sobie pytanie.

Usiadła w fotelu i zaczęła przeglądać Internet w poszukiwaniu wzmianki o porażeniu w Bornem przed pięćdziesięciu laty. Lecz ku swojemu zaskoczeniu nie znalazła niczego przydatnego. Skąd to pieruńskie WHO o tym wiedziało?, zirytowała się.

Odpaliła silnik.

Czas wracać do hotelu, stwierdziła. I zacząć od nowa jutro.

Raisa wróciła do domu.

Na myśl o jutrzejszej wizycie u głowy państwa zbierało się jej na mdłości. A świadomość, że Magda Sajewicz w tym czasie będzie drażyła jej życie, nie ułatwiała zmiany nastawienia. Postanowiła jednak posłuchać rady przyjaciółki i poszukać kontaktu z Markiem. Może faktycznie będę w stanie do niego dotrzeć?, pomyślała z nadzieją.

Rzecz nie okazała się trudna; wystarczyło przeszukać popularny portal społecznościowy.

Raisa napisała od razu na prywatną skrzynkę.

Cześć Marek,

doszły mnie słuchy, że podobno podzieliłeś się z dziennikarką NTV osobistymi informacjami o mnie. Nie wiem, dlaczego to robisz. Nic ci to przecież nie da. Myślałam, że wspólnie spędzone lata sprawiły, że mimo wszystko darzymy się szacunkiem. Czyżbym się myliła? Proszę, abyś się wycofał. Pozostawmy sobie dobre wspomnienia.

Raisa

Lucyna co kwadrans podchodziła do okna i sprawdzała, czy Marek już wrócił. Nie podobała się jej jego tajemniczość. To nie jest już wiek na zdrady, stwierdziła, po raz setny odsłaniając firankę, ale kto wie?, pomyślała. Niepokój narastał. Obiecała mu kiedyś, że nie będzie węszyć w jego rzeczach i korespondencji, ale teraz nie miała wyboru – uruchomiła chip i wyświetliła jego skrzynkę odbiorczą.

Pewnie sądzi, że nie znam hasła, ale jest w błędzie, pomyślała mściwie.

Zobaczyła dwie nieodebrane wiadomości: reklamę jakiegoś środka na potencję i list od Raisy Hedwig. No nie!, wściekła się. A gdy przebiegła wzrokiem

treść, rozzłościła się jeszcze bardziej. Nie życzyła sobie, aby była żona pisała do Marka. I nie życzyła sobie, żeby on w jakikolwiek sposób uczestniczył w życiu Raisy. W dodatku nie spodobało się jej, że Marek ukrywa przed nią kontakty z jakimiś dziennikarkami. I to z NTV!

– Pewnie chodzi o tę Sajewicz – wymamrotała pod nosem. – Tę, która zrobiła ten wczorajszy materiał.

Lucyna czuła, że pali ją twarz i drżą jej ręce. Nie wiedziała, co robić. Na pewno nie mogła dopuścić, by Marek miał jakikolwiek kontakt z Raisą. Jednym kliknięciem palca usunęła wiadomość, po czym opróżniła kosz. Lecz kiedy to zrobiła, poczuła niepokój.

Kilka minut później usłyszała, że otwierają się drzwi.

– Jestem już! – zawołał Marek, zadowolony jak nigdy. – Co jest na kolację?
– Zajrzał do dużego pokoju, akurat w chwili gdy Lucyna wyłączyła hologram.

– Nic! – odburknęła.

– Ty znów nie w sosie? – usłyszała. – Dlaczego?

– Nie mów, że cię to interesuje.

Marek nie miał ochoty na kłótnię, zwłaszcza że każda kolejna wybuchała o to samo, więc wyszedł do kuchni. Po co ja właściwie jestem z tą kobietą?, zastanowił się po raz nie wiadomo który. Nie dość, że muszę znosić jej fochy, to jeszcze przygotowywać sobie kolację.

Nie, nie będę się denerwować, postanowił. Nie dzisiaj. Nie zamierzam psuć sobie humoru.

2013–2023

– Jesteś z siebie zadowolona? – wybuchnęła Laura, wchodząc do mikroskopijnej kuchni Raisy, która od roku wynajmowała kawalerkę o marnym standardzie.

Po wygodach w przestronnym domu państwa Szewczyków w tej klitce na blokowisku można było nabawić się klaustrofobii.

Ręka Raisy, która sięgała po czajnik, aby nastawić wodę na herbatę, zawisła w powietrzu.

Gdy siostra zadzwoniła z informacją, że wybiera się z wizytą, Raisa bardzo się ucieszyła, ale ciężka atmosfera, która zawisła w kuchni niczym gradowa chmura, wskazywała, że ploteczek raczej nie będzie.

– O co ci chodzi? – zapytała zdziwiona.

– Zrobiłam ci coś złego? – Laura gestykulowała gwałtownie. – Zawsze cię wspierałam, troszczyłam się o ciebie od dzieciaka. A ty tak mi odpłacasz?

Raisa nigdy nie widziała jej tak wzburzonej. Jej siostra była z natury osobą spokojną i opanowaną. Podobna erupcja emocji zdarzyła się po raz pierwszy.

– Uspokój się i powiedz, co się stało – zaproponowała.

Laura odsunęła od stołu krzesło, które nieprzyjemnie zgrzytnęło po terakocie; jego kształt i obicie wskazywały na dizajn jeszcze z czasów PRL-u. Założyła nogę na nogę, wyprostowała plecy i splotła dłonie na kolanie.

– To, że twoje małżeństwo się posypało, nie znaczy, że musisz maczać palce w moim związku – oświadczyła ostro, choć tym razem nie podniosła głosu.

Raisie zrobiło się duszno. Wprawdzie dzisiejszego ranka włączyła kaloryfer w kuchni, bo listopad dawał się we znaki, ale przysięgłaby, że jeszcze przed kwadransem marzła.

– Chyba nie podejrzewasz, że ja i Patryk...? – wykrztusiła.

Laura zaśmiała się gorzko.

– Nie, tego nie podejrzewam. Ale nie wiem, czy to, co zrobiłaś, nie jest przypadkiem jeszcze gorsze. Gdybyś się z nim przespała, przynajmniej byłby jakiś powód. Dajmy na to, że byłaś rozbita po rozwodzie, że od dawna ci się podobał, że rzucił mnie dla ciebie. Ale nie! Ty rozwaliłaś mój związek ot tak! – Pstryknęła palcami. – Bez powodu. Wczoraj wieczorem Patryk oświadczył, że ode mnie odchodzi, że dłużej nie chce tak żyć. I dodał... – Popatrzyła wymownie. – ...że uświadomił to sobie po rozmowie z tobą!

Raisa oparła się o plastikowy blat stolika. Rewelacje Laury tak ją zaskoczyły, że skojarzyła sytuację dopiero po chwili.

– Tyle że to nie tak, jak myślisz! – zapewniła z przekonaniem.

– Czyli się przyznajesz?

– Posłuchaj, faktycznie rozmawialiśmy w zeszły weekend. Spotkałam Patryka, gdy wracałam z pracy. On akurat miał trochę wolnego czasu, był w mieście na spotkaniu z jakimś klientem. No i wstąpiliśmy na kawę.

Laura zabębniła palcami o blat.

– I?

– Chciał się mnie poradzić. Powiedział, że jestem twoją siostrą i pewnie znam cię najlepiej. Myślałam, że pragnie zrobić ci jakiś prezent, ale chodziło o coś innego. Zapytał, czy zwierzałaś mi się kiedykolwiek i dlaczego właściwie odkładasz ślub. Powiedział, że on chce normalnej rodziny, domu, dzieci, a nie tego, by wasze dni wypełniała wyłącznie praca.

– To samo powiedział mi, pakując walizki.

– Sama widzisz!

– Tak czy siak, nie powinnaś była się wtrącać!

– Jeśli chcesz wiedzieć, odparłam, że to sprawy, które powinniście dogadać we dwoje.

– A co on na to?

Laura splotła ramiona na piersi. Błękitny sweter zmarszczył się na dekolcie.

– Że próbował już wielokrotnie i że jest tym zmęczony. Ma dość tego, że dla

ciebie liczy się wyłącznie szpital i oddział pełen obcych dzieciaków. Zapewniłam go, że tobie na nim bardzo zależy, a wszystko zapewne wynika z potrzeby niesienia pomocy innym. Że kiedy umierała mama, musiałaś patrzeć na to bezradnie, a teraz możesz to jakoś nadrobić.

– Wytrawny z ciebie psycholog, Raiso! – prychnęła Laura. – Chyba minęłaś się z powołaniem! Sama nieraz korzystałaś z tej mojej „potrzeby niesienia pomocy”, a mówisz o niej tak, jakby to była jakaś skaza.

Raisie opadły ręce.

– Jaka tam skaza, co ty wygadujesz! Patryk twierdzi, że czuje się niepotrzebny. Macie już po trzydzieści pięć lat, a on chce ruszyć ze swoim życiem naprzód. Był pewien, że to dobra pora i dla ciebie. Liczył, że skoro przyjął zaręczyny, traktujesz go poważnie. A właściwie dlaczego dotąd za niego nie wyszłaś?

Laura schowała dłonie w rękawy swetra.

– Bo... Bo było mi dobrze tak, jak było. Wciąż jest tyle rzeczy do zrobienia! Poza tym absorbują mnie wszyscy. Choćby ty, ciągle narzekający Bernard, ojciec, dzieciaki w szpitalu, ich rozhisteryzowani rodzice, denerwujący ordynator i to ciągle doszkalanie się. Wieczorami wracam do domu i chcę po prostu odpocząć. A potem iść spać.

– Chcesz przespać życie?

– Nie! – Siostra spojrzała twardo. – Chcę wyrozumiałego partnera. Kiedy poznałam Patryka, nie mówił o niczym innym, tylko o rozwoju swojej praktyki. Byłam pewna, że i on uważa pracę za cel. Za misję.

– Widać to jednak dla niego nie wszystko. Albo z biegiem czasu zrozumiał, że pragnie realizować się i na innych polach. Wiem, że zawsze myślałaś o wszystkich wokół, ale już dawno zwracałam ci uwagę, że zapominasz w tym młynie o sobie. O sobie i o Patryku. On właśnie tak się czuł. Zapomniany. No i zapytał mnie wprost, czy wydaje mi się, że zmienisz swoje podejście.

– I co mu odpowiedziałaś?!

– Nic.

– Jak to: nic?

– No, nic! Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. A poza tym nie chciałam ci zaszkodzić.

– Nie wpadłaś na to, że milczenie bywa bardzo wymowne?

– Wpadłam. I w końcu poradziłam mu, żeby zadał to pytanie tobie.

Zapadła cisza, którą przerwał klakson za oknem.

– On mnie nie zapytał... – wyszeptała Laura łamiącym się głosem.

Raisa chciała ją przytulić, ale siostra zrobiła unik.

– Pytał cię o to za każdym razem, kiedy próbował wybrać datę ślubu – powiedziała ostrożnie, przykucając. – A ty zbywałaś go, twierdząc, że nie masz

czasu, że pogadacie o tym później. Laura, nie obraż się, ale to był najbardziej cierpliwy facet, jakiego w życiu poznałam.

– Dobrze to określiłaś. Był! Bo dzięki tobie właśnie odszedł! – Laura wstała gwałtownie, a Raisa straciła równowagę i wylądowała na podłodze.

Wybiegła do przedpokoju, dopiero gdy siostra sięgała po płaszcz.

– Nie wychodź tak – poprosiła. – Pogadajmy!

Ale Laura już była na klatce schodowej. Przywołała windę.

– Laura... – odezwała się błagalnie Raisa, stojąc w skarpetkach na gołym betonie.

– Możesz być z siebie dumna! – odparła Laura. – To kolejna rzecz, jaką udało ci się spartolić. Jesteś moją sios-trą i miałaś obowiązek stać po mojej stronie.

Raisa podeszła bliżej.

– Ależ stałam. I cały czas stoję. Nie wiedziałam tylko, co mu odpowiedzieć.

– To, co chciał usłyszeć! Dopiero resztę trzeba było zostawić mnie. – Laura odwróciła się do niej plecami, dając znak, że uważa rozmowę za zakończoną.

Raisie zbierało się na płacz.

Gdy winda ze złowieszczym zgrzytem przystanęła na piętrze, Laura weszła do niej i zamknęła za sobą drzwi.

Raisa mogła już tylko patrzeć, jak zjeżdża w dół.

Wróciła do mieszkania, które wydało się jej jeszcze mniejsze i jeszcze brzydsze niż dotychczas. Była zdruzgotana. Naprawdę nie chciałam jej zaszkodzić, myślała, ale rozżalona Laura mogła tak zinterpretować moją rozmowę z Patrykiem. Ta sama Laura, która wspierała mnie w trakcie rozwodu z Markiem, gdy spędzałam niezliczone dni u niej na kanapie. Tym bardziej powinna wiedzieć, jak bardzo pragnę, żeby jej i Patrykowi się udało...

Choć z jednej strony czuła, że gdyby Patryk nie był zdecydowany odejść, zwyczajnie by tego nie zrobił, to z drugiej miała poczucie, że zawiodła. I nie mogła tego znieść.

Pozostaje mi liczyć, że kiedy Laura ochłonie, ujrzy tę sytuację we właściwym świetle, westchnęła.

Choć siostra stosunkowo szybko doszła do siebie po rozstaniu z narzeczonym – wpadła w wir pracy i mogła w końcu poświęcić się jej w całości – to jednak przy każdej nadarzającej się okazji dawała Raisie jasno do zrozumienia, że nigdy jej nie zapomni tej historii. Bernard, który skorzystał z propozycji ojca i sprowadził się do Bornego z Dorotą i dzieckiem, zdecydowanie trzymał stronę Laury, co zbytnio nie dziwiło. Ale Raisę zaskoczył fakt, że zdawał się czerpać satysfakcję z ochłodzenia siostrzanych stosunków. Podobnie zresztą jak z jej rozwodu z Markiem.

– Ach, tak? – powiedział wówczas i tyle było wsparcia.

Za to pana Lechowicza napięcie między córkami martwiło. Mimo że

zapewniały go, że wszystko jest w porządku, nie był przecież ślepy i głuchy. Widział, że siostry, kiedyś bardzo sobie bliskie, teraz prawie ze sobą nie rozmawiają.

– Matka pragnęła, abyście się wspierali. Żeby cała wasza trójka mogła na siebie liczyć – oświadczył podczas jednego z rodzinnych niedzielnych obiadów.

– Mama zawsze była idealistką – zauważyła Laura, dokładając sobie ziemniaków.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic, tato. Nie przejmuj się nami. Nic się nie dzieje.

Pan Lechowicz ostrożnie odstawił na śnieżnobiały obrus szklankę z wiśniowym kompotem.

– Martwię się właśnie tym, że nic się nie dzieje. Zachowujecie się jak obce sobie kobiety.

– Ja po prostu wciąż jeszcze przeżywam rozstanie – wyjaśniła Laura, spoglądając ostentacyjnie na siostrę.

Raisa milczała.

Pan Bogdan westchnął ciężko.

– A mówiłem ci, córuś, nieraz... Ile można czekać?

Laura drgnęła.

– Ile? Całą cholerną wieczność, tato! – Rzuciła sztućcami o talerz i odeszła od stołu.

Gwałtownie otworzyła drzwi na taras. Ostre zimowe powietrze wtargnęło do środka. Nie zważając na nie, Laura wyszła do ogrodu.

– No i gdzie idziesz? Zaziębisz się! – zawołał za nią ojciec. – Co ją ugryzło? – zwrócił się do reszty rodziny. – Nigdy taka nie była...

Bernard obdarzył Raisę spojrzeniem spode łba, ciekaw, co ta odpowie. Dorota spojrzała na udręczoną szwagierkę ze współczuciem. Ich dwuletnia córeczka zajadała palcami marchewkę.

– Jest zła i rozgoryczona – odparła smutno Raisa.

Spojrzała na pieczeń na talerzu, na którą, choć była pyszna, zupełnie straciła ochotę.

– Ma prawo – skwitował Bernard.

– Ale sama jest sobie winna! – zirytował się ojciec. – Z tego Patryka to był święty człowiek! A mnie martwi, że moim córkom się nie układa. Może gdyby tak wcześniej nie zabrakło wam matki, wszystko wyglądałoby inaczej – dodał.

Raisa spojrzała na niego z czułością. Przejmował się bardziej, niż sądziła.

– Nie martw się, tato – powiedziała łagodnie. – Laura na pewno będzie jeszcze szczęśliwa. Wszystko się ułoży.

– A wnuki? Chciałbym mieć wnuki...

Raisa się roześmiała.

– Przecież jest Zosia.

Spojrzała na bratanicę, która najwyraźniej miała dość gotowanej marchewki, bo rozsmarowała jej resztki po obrusie. Zaczęła wyrwać się do rozrzuconych na podłodze zabawek. Dorota pozwoliła małej odejść od stołu.

– Wiem. Cieszę się, że chociaż u was... – Ojciec spojrzał na nią i Bernarda. – ...jest wszystko, jak należy. – Odetchnął ciężko. – Ale Marek... Mój Boże, jak on mnie zawiódł! A tak obiecywał, że nigdy cię nie skrzywdzi. – Pokręcił głową.

– Tato, nie tylko ty doznałeś zawodu. – Raisa czule pogładziła go po ramieniu.

Miała dość.

Dość pracy w muzeum, problemów w relacji z siostrą i pustyni w życiu prywatnym, na którą po części skazała się sama, odmawiając nieustannie, gdy koleżanki z pracy chciały wyciągnąć ją gdzieś wieczorem. Po zimie spędzonej głównie w domowym zaciszu, w towarzystwie smakołyków, miała cztery kilo do przodu i początki depresji. Kiedy pewnego dnia przypadkowo spotkała na zakupach byłych teściów, przyglądali się jej uważnie, ze współczuciem i troską. A pan Jerzy zapytał nawet, czy dobrze się czuje i czy nie odwieźć jej do domu. Nigdy nie był oazą empatii i troski, dlatego po jego reakcji Raisa domyśliła się, że chyba istotnie wygląda nie najlepiej. Ostatnio nie miała głowy do makijażu, włosy związywała w byle jaki kok na czubku głowy i wciągała na siebie to, na co trafiła o poranku jej dłoń nurkująca na chybił trafił w szafie.

Podzieliła się tą refleksją z Edytą, która wpadła do niej w pierwszy ciepły kwietniowy weekend. Przyjaciółka pokiwała głową.

– Pytasz, czy źle wyglądasz? – upewniła się. – Okeeej – rzuciła przeciągle. – No cóż, delikatnie to ujął! Jest tragicznie, tyle że nie miałam odwagi ci o tym powiedzieć. Nie chciałam cię dobijać. Sądziłam, że to dlatego, że wciąż przeżywasz rozwód. Nawet rozmawiałam o tobie z Pawłem. On też sądził, że to trochę niepokojące, ale uważał, że powinniśmy dać ci jeszcze trochę czasu.

– O, dziękuję! To miłe z waszej strony! – fuknęła Raisa.

– No wiesz, troszczymy się o ciebie...

– Już dawno dotarło do mnie, że nasze drogi z Markiem rozeszły się definitywnie. Że najwyraźniej wyobrażaliśmy sobie życie zupełnie inaczej. On się nie realizował, a do mnie miał pretensje. O wszystko. Przybija mnie raczej to, że Laura się ode mnie oddaliła. No i w ogóle... Czuję się samotna!

Edyta odłożyła na stolik bombonierkę, która dotąd leżała między nimi na kanapie. Objęła przyjaciółkę ramieniem.

– Posłuchaj, Laura jest sama sobie winna – powiedziała. – Zresztą ty też. Zabunkrowałaś się w tej norze, to i czujesz się samotna. A nie jesteś! Masz choćby mnie, a to nie byle co, prawda? – Mrugnęła porozumiewawczo. – Na początek powinnaś koniecznie odwiedzić fryzjera i podciąć włosy. Możesz też wybrać się do

kosmetyczki. I przestań żreć tyle czekolady! – Spojrzała ze zgrozą. – Zawsze byłaś ode mnie szczuplejsza, a zaczynasz mnie przeganiać.

Raisa pomacała się po brzuchu, gdzie pod obszerną bluzą prezentował się wcale okazały walek tłuszczu.

– Chyba masz rację – bąknęła. – Dwa miesiące temu musiałam kupić o rozmiar większe spodnie.

– Pewnie, że mam! I wreszcie musisz ruszyć tyłek do świata. On do ciebie nie przyjdzie. Jasne, rozumiem, lizałaś rany, ale wierz mi, są już odpowiednio opatrzone. Więc teraz szoruj do ludzi! – Edyta wyprostowała ramię. Z wyciągniętym palcem wskazującym wyglądała jak wódz przed swoją armią. – Może powinnaś gdzieś pojechać? Oderwać się od codzienności?

– Ale jak? Tak sama? – Raisa była nieprzekonana.

– Najlepiej sama. Może poznasz w podróży kogoś miłego? – wyszczerzyła się Edyta, zadowolona z konceptu.

Raisa wreszcie się roześmiała. Obiecała, że spróbuje wziąć się w garść i nawet pomyśli o jakichś wakacjach.

– Jeszcze tylko jedną. – Prosząco wskazała na pudełko czekoladek. – Należy mi się po takiej reprimendzie.

Edyta klepnęła ją po dłoni.

– Ani mi się waż! – powiedziała. – Jeszcze trochę, a bez poszerzenia drzwi nie dasz rady wyjść z mieszkania! Konfiskuję te słodycze.

– Myślę, że trochę przesadzasz... – Raisa spojrzała tęsknie za znikającą w torebce przyjaciółki bombonierką.

– Jeszcze mi podziękujesz! – zapewniła ją Edyta.

Raisa nie miała nic do stracenia, więc postanowiła się za siebie wziąć.

Następnego dnia poszła z Edytą do fryzjera i jej blond włosy znów nabrały lekkości. W następnym tygodniu umówiła się do kosmetyczki na zabieg rewitalizujący skórę. Kupiła sobie także spodnie w poprzednim rozmiarze, w który na razie, niestety, się nie mieściła, ale chciała mieć motywację do zrzucenia zbędnych kilogramów. Wykupiła karnet w klubie fitness. A potem zamknęła oczy i w biurze podróży zainwestowała w wycieczkę do Madrytu. Na tydzień, który miał być odskocznią, duchowym relaksem i nowym początkiem.

Już drugiego dnia pobytu w stolicy Hiszpanii przekonała się, że dużo rozsądniej postąpiłaby, jadąc na własną rękę. Sądziła, że wycieczka to doskonała okazja, by wyjść do ludzi i być może poznać kogoś interesującego, było jednak inaczej. Raisa znalazła się wśród malkontentów narzekających dosłownie na wszystko: na lokalizację hotelu, konsystencję jajecznicy na śniadanie, zbyt ostre chorizo, zbyt wczesne godziny zbiórek, napięty plan zwiedzania, ceny w Madrycie, gadatliwą naturę Hiszpanów, zbyt dużą reprezentację owoców morza w menu restauracji, przesadnie dużo eksponatów w muzeach, kierowcę autokaru

ruszającego z hiszpańską werwą czy zabytki i widoki, które okazywały się zbyt mało okazałe i nieszczególnie imponujące.

Ją zachwyciło wszystko. Wysyłała Edycie zdjęcia miejsc, które zrobiły na niej szczególne wrażenie, nieustannie dziękując przyjaciółce za podsuniecie jej pomysłu na wyjazd.

Kiedy razem z grupą weszła na dziedziniec Palacio Real, aż zaparło jej dech w piersi. Błękitna połać nieba kontrastowała z białymi jak śnieg murami królewskiej barokowej rezydencji.

Pan Nikodem, jeden z uczestników wycieczki, który razem z żoną wiódł prym w narzekaniu, rozglądał się po okalających dziedziniec loggiach z niesmakiem. W końcu podszedł do przewodniczki.

– A podobno wzorowano go na Luwrze! – powiedział z pretensją. – Wolne żarty!

Przewodniczka, według Raisy niewyczerpane źródło cierpliwości, poprawiła okulary przeciwsłoneczne.

– Panie Nikodemie, Giovanni Battista Sacchetti, który po śmierci pierwszego projektanta pałacu, Filippa Juvary, przejął inwestycję, znacznie zmniejszył jej rozmiary – wyjaśniła spokojnie. – Oczywiście ze względu na koszty, które okazały się zbyt duże – dodała.

– To powinno się uprzedzać w przewodnikach: „Miało być imponujące, ale nie wyszło” – oświadczył twardo pan Nikodem. A jego żona pokiwała potakująco głową.

– Naprawdę sądzi pan, że nie wyszło? – zapytała przewodniczka.

– Jest wspaniały! – zachwyciła się Raisa.

– Też tak uważam – zgodziła się stojąca obok niej Bogna, młoda brunetka w sportowej sukience, także podróżująca samotnie.

– Podobno za pałacem są wspaniałe ogrody... – zwróciła się do niej Raisa.

– E tam. Zapewne nie wyszły. – Bogna puściła oko.

– Mają panie jakiś problem? – zainteresował się pan Nikodem.

– Kochanie, daj spokój. – Żona pociągnęła go za ramię. – Niektórzy mało w życiu widzieli, więc robi na nich wrażenie byle co.

Może i coś było w tej opinii, bo Raisa zachwyciła się z każdym dniem bardziej. Na placu Hiszpańskim wdrapała się na sporych rozmiarów pomnik Don Kichota, by zrobić sobie zdjęcie z nim i jego wiernym Sancho Pansą. Wręcz zakochała się w będącym płucami Madrytu parku del Retiro. Przechadzała się alejkami, podziwiając liczne posągi i uroczy ogród francuski, odpoczywała w zacisznych altanach. Kiedy klucząc z mapą w ręku, dotarła do Palacio de Cristal, nie mogła od niego oderwać oczu. Dziewiętnastowieczny pawilon zbudowano wyłącznie ze stali i szkła, co dawało wrażenie niebywałej lekkości konstrukcji. Według Raisy budowla wyglądała jak wydziergana koronka. W przewodniku

porównywano ją do londyńskiego Crystal Palace, który, niestety, nie przetrwał.

Choć podróż pod względem doznawanych przeżyć niewątpliwie była doskonałym pomysłem, to jednak, zamiast zaowocować nowymi znajomościami, spotęgowała w Raisie poczucie osamotnienia. Bardzo brakowało jej bliskiej osoby u boku, z którą mogłaby dzielić się wrażeniami. Bogna najwyraźniej czuła podobnie, a przynajmniej tak się wydało Raisie, która pochwyciła melancholijne spojrzenie dziewczyny u stóp wzgórza, gdzie wznosił się imponujący granitowy El Escorial. Położony na zachód od Madrytu szesnastowieczny kompleks w pobliżu Sierra de Guadarrama, obejmujący klasztor, bazylikę, pałac królewski, seminarium i bibliotekę, był dość oszczędny w formie, ale urzekający.

– Filip II – objaśniała przewodniczka, prowadząc grupę przez dziedziniec do bazyliki – zbudował ten klasztor jako mauzoleum ku czci swojego ojca Karola I. Cały zaś kompleks wzniesiono na planie rusztu, na którym upieczono żywcem świętego Wawrzyńca. Królowi zależało, żeby budowla była szlachetna w formie, ale pozbawiona wyniosłości. Co, jak sądzę, udało się znakomicie – stwierdziła.

Pan Nikodem i grupa malkontentów wiedzieli swoje, lecz kilkoro turystów, z Raisą na czele, rozglądało się wokół ze szczerym podziwem.

Ostatni dzień wycieczki był dla uczestników czasem wolnym, więc Raisa planowała wizytę w jakiejś miłej knajpce, gdzie chciała raz jeszcze przed wyjazdem skosztować *cocido madrileño*, madryckiego gulaszu, którego tradycyjna receptura pochodziła z czasów, kiedy gospodynie domowe wkładały do garnka wszystko, co było pod ręką. Dzisiaj można było w nim znaleźć równie wiele: nóżki wieprzowe, kurczaka, ciecierzycę, warzywa, aż po kielbaski. Miała też ogromną ochotę na paellę. Nie bardzo wiedziała, jak pogodzić te zachcianki; wprowadzić obiecała sobie solennie, że będzie trzymać się diety, ale w Hiszpanii jej postanowienie legło w gruzach. Oczami wyobraźni widziała siebie popijającą przysmaki dębowym w smaku winem rioja.

Wcześniej jednak zamierzała zajrzeć do muzeum. Odwiedziła już wprawdzie w ramach wycieczki najszynniejsze, madryckie del Prado, gdzie miała okazję podziwiać między innymi *Trzy gracje* Rubensa czy *Rozstrzelanie powstańców madryckich* Goi, i Reina Sofia, gdzie zachwyciła ją *Guernica* Picassa, jednak wciąż czuła niedosyt. Zależało jej, by na własne oczy zobaczyć *Baletnicę w zieleni* Degasa. Jeszcze jako studentka historii sztuki upodobała sobie jego twórczość. Tkliwy pędzel artysty sprawiał, że coś w niej miękło i robiło się jej ciepłej na sercu.

Rano zajrzała do Bogny z pytaniem, czy miałyby ochotę pójść razem z nią, ale ta miała już zaplanowany rajd po sklepach. Zatem do muzeum Thyssen-Bornemisza, na spotkanie z Degasem, Raisa wybrała się sama. Galeria znajdowała się niedaleko od Prado, w znajomej okolicy.

Wysiadła na stacji metra Banco de España i z Calle de Alcalá skręciła w Paseo del Prado. Po krótkim spacerze znalazła się przed wejściem do

osiemnastowiecznego Palacio de Villahermosa, gdzie mieściła się siedziba muzeum. Twórcą znajdujących się w nim kolekcji był baron Heinrich von Thyssen-Bornemisza, bogaty przemysłowiec, który w latach dwudziestych dwudziestego wieku postanowił wzbogacić swoją szwajcarską willę, kupując arcydzieła światowego malarstwa. Jego syn, Hans Heinrich, po śmierci ojca zaczął poszerzać zbiory o płótna francuskich impresjonistów czy rosyjskiej awangardy.

Raisa czytała w przewodniku o tej rodzinie i nie mieściło jej się w głowie, jak bajecznie bogatym trzeba być, żeby móc kupić sobie El Greca czy Rembrandta. Rząd Hiszpanii w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku zakupił całą kolekcję za kwotę trzystu pięćdziesięciu milionów dolarów; obecnie jej rzeczywista wartość szacowana jest na blisko miliard. Kolekcję w dwa tysiące czwartym roku poszerzyła baronowa Carmen von Thys-sen-Bornemisza. Uważana jest ona za jedną z najważniejszych kolekcji malarstwa europejskiego na świecie.

Przeszła przez dziedziniec i weszła do środka głównym wejściem, usytuowanym obok szatni i sklepu. Kupiła bilet i przejrzała mapkę obiektu. Postanowiła obejrzeć zbiory w porządku chronologicznym – zacząć od drugiego piętra i wczesnych mistrzów włoskich, a skończyć na dwudziestowiecznym malarstwie i pop-arcie. Wisienką na torcie miał być jej ukochany Degas.

Dopisywał jej świetny nastrój. Przechadzała się spokojnie po kolejnych salach, z rozlewającą się w żołądku przyjemnością, że jest zwiedzającą, a nie pracownikiem. Obcowanie na co dzień z takimi arcydziełami musi być niezwykle, a jednak każda codzienność powszedniejsze, myślała. I cieszyła się, że te płótna nie są częścią jej pracy. Korciło ją, by podejść i zapytać hiszpańską koleżankę, jak często, i czy w ogóle, zwiedzający pytają ją o drogę do toalety. Jedno było pewne – podłogi w Thyssen nie skrzypiały. Ludzie przesuwali się po nich prawie bezszelestnie.

Raisa uwielbiała galerie. Relaksowała ją ta szczególna atmosfera, będąca mieszaniną skupienia, szacunku dla mistrzostwa twórców i pokory wobec arcydzieła, z którym się obcuje. A które przetrwa każdego, kto na nie patrzy.

Choć skupiała się głównie na malarstwie, podpatrywała też ludzi. Robiła to także u siebie, w szczecińskim muzeum. Na twarzach zwiedzających malowały się zazwyczaj koncentracja i zainteresowanie. Czasem obojętność, gdy jakaś praca nie trafiała w ich gust albo została niezrozumiana. Jednak najwspanialszy był moment, kiedy w oczach zwiedzających rozpalala się iskra zachwyty i wzruszenia. Raisa lubiła wyłapywać tę chwilę. Czasem goście tłoczyli się przy jakimś znanym dziele, stając na palcach, by je obejrzeć dokładnie. Niecierpliwi okrażali grupkę, inni czekali na swoją kolej, by stanąć vis-à-vis. Ale najbardziej poruszające były nie grupowe adoracje dzieła, a intymne spotkania z nim pojedynczego odbiorcy. Dla niego, z jakiegoś powodu, było ono ważne. Taki ktoś zamierał przed nim w bezruchu, sprawiając wrażenie, że znajduje się zupełnie gdzie indziej. Jakby

poza czasem.

Raisa ponownie spojrziała na plan muzeum i wiedziała już, że za chwilę sama popadnie w ten stan. Wchodziła bowiem do delikatnie oświetlonej sali z łososiowymi ścianami. Przy wejściu stała brunetka w czarnym uniformie, z którą wymieniła krótkie spojrzenie, wystarczyło ono jednak, by Hiszpanka zorientowała się, że Raisa wie doskonale, co zobaczy za chwilę.

Na ścianie po lewej wisiała *Kobieta z parasolką w ogrodzie* Renoira. Płótno przedstawiało ogród skąpany w ciepłym słonecznym świetle. Raisa wpatrywała się w bujną zieleń w najróżniejszych odcieniach, w plamy kolorów, które, gdy się na nie patrzyło z odległości, stawały się kwiatami. Pośród roślinności stała ubrana na czarno kobieta z białą parasolką w dłoni. Raisa, analizując sposób nakładania farby, przypomniała sobie, że jeszcze na studiach czytała, że malarz przez kilka lat zajmował się zdobieniem porcelany i uważał, że to właśnie dzięki temu do perfekcji opanował umiejętność operowania powierzchnią i fakturą.

Wpatrywała się w ten bujny romantyczny ogród, celowo wydłużając czas oczekiwania na spotkanie z Degasem. Pragnęła uczynić ten moment jeszcze bardziej przyjemnym.

Zwiedzający zatrzymywali się obok, przechodzili tuż za jej plecami. Szeptali coś między sobą, na coś wskazywali. Spędzali z baletnicą zaledwie chwilę. Raisa nie miała pojęcia, ile osób jest w sali oprócz niej, bo wyłączyła się zupełnie.

W końcu zrobiła krok w bok. Teraz była tylko ona i obraz o wymiarach 64×36 centymetrów, oprawiony w grubą złoconą ramę. Baletnica w zielonej sukience pokazana została z perspektywy bocznego teatralnego balkonu. Degas przedstawił ją, gdy wykonuje szybki skomplikowany obrót. Tylko jej postać w grupie tancerek w zieleni przedstawiona została w całości. Reszta, w pomarańczowych sukienkach, stała w głębi, czekając na swój występ.

Z piersi Raisy wyrwało się pełne zachwyty westchnienie. Patrzyła i czuła, że dane jej jest uczestnictwo w przedstawieniu, którego nie miała okazji zobaczyć. Misternie namalowana sukienka, chłodniejsze i ciepłe barwy przeplatające się w idealnej harmonii, doskonale oddany ruch... Było to niewątpliwie wspaniałe studium tancerki. Degasa fascynował świat baletu; namalował serię obrazów poświęconych temu tematowi. Ten tutaj był jeszcze wspanialszy, niż się spodziewała Raisa. Nie czuła i nie słyszała niczego. Wpatrywała się jak urzeczona w porcelanową buzię tancerki i jej ciemne włosy połyskujące w świetle świateł rampy.

Z zamyślenia wyrwał ją kobiecy krzyk.

Raisa odwróciła się powoli, jakby wciąż niepewna tego, co słyszy. W wyobraźni przebywała wciąż w łożu teatru. Ale głośny wystrzał sprowadził ją na ziemię i rozwiął złudzenie.

Ludzie uciekali w popłochu, przepychając się między sobą. Dobrze

zbudowany mężczyzna w czarnej kominiarce obejmował za szyję pracownicę muzeum, mierząc do zwiedzających.

– *Don't move!* – wrzeszczał po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem. – *Everybody down!*

Wystraszeni zwiedzający posłusznie położyli się na ziemi.

Zakładniczka zalewała się łzami. Czarny tusz spływał jej po policzkach. Raisa wpatrywała się w nią oniemiała ze strachu. Zastanawiała się, czy kobieta zdążyła wezwać ochronę, ale roztrzaskana krótkofalówka rozwiła wątpliwości. Pozostawała tylko zawieszona pod sufitem kamera i ludzie w pomieszczeniach obok, którzy musieli przecież słyszeć strzał.

– *What are you waiting for?* – krzyknął mężczyzna, bo Raisa wciąż stała. – *Are you deaf or you wanna die first?* – Wymierzył do niej.

Raisa w żadnym razie nie była głucha, a tym bardziej nie chciała umierać. Posłusznie, jak inni, położyła się czym prędzej na podłodze. A bandzior wycelował w kamerę i strzelił. Trafił celnie. Stało się jasne, że potrafi posługiwać się bronią i że z całą pewnością nie używa atrapy.

Siwy mężczyzna w rozpinanej bluzie, klęczący na końcu sali, spróbował negocjacji. Amerykanin!, domyśliła się Raisa po akcencie. Sugerował napastnikowi, że jeśli ten chce jakiś obraz, to niech go sobie weźmie, a ludzi zostawi w spokoju.

– W dupie mam te bohomazy! – warknął bandyta po angielsku.

– To czego pan chce? – zapytał grzecznie Amerykanin, wciąż trzymając w górze ręce, które wyraźnie drżały.

Facet w kominiarce tylko się roześmiał.

– Żebyś się zamknął! – wycedził, po czym wymierzył w Amerykanina i nacisnął spust.

Strzelił mężczyźnie prosto w czoło. Tamten zwałił się bezwładnie na podłogę.

Przez salę przetoczył się wrzask spanikowanych ludzi.

– *Shut up!* – uciszył ich napastnik. – *Who want to be next?* – ryknął, przechodząc na środek pomieszczenia.

Włókł za sobą Hiszpankę, która kurczowo trzymała się jego ramienia, próbując ochronić szyję przed uciskiem.

Raisa struchlała. Nikt nie chciał być następny, a wnios-kując po tym, co właśnie się stało, mógł być nim każdy. W jednej chwili pożałowała własnej potrzeby pozachwycania się Degasem i porannej decyzji, żeby nie iść z Bogną na zakupy. Pojęła, że najpewniej już nigdy nie napije się wina rioja ani nawet kompotu truskawkowego. Zginie tutaj, w muzeum, pod oryginałem *Baletnicy w zieleni*, wśród zupełnie obcych sobie ludzi.

– Masz jakieś żądania czy przyszedłeś nas po prostu pozabijać? –

wykrztusiła przez obolałe gardło pracownica muzeum.

Mężczyzna musiał wzmocnić ucisk, bo poczerwieniała na twarzy i zaczęła się dusić. Wiła się, próbując się uwolnić. Zbir w kominiarce obserwował jej szamotaninę z wyraźnym rozbawieniem. Lecz gdy wydawało się, że kobietę dzieli od śmierci sekundy, zwolnił ucisk i popchnął ją na podłogę.

– Pod ścianę! – rozkazał.

Trzymająca się za szyję Hiszpanka zaległa obok Raisy, jak wszyscy, twarzą do podłogi. Obie oddychały jednakowo szybko, w rytmie trzepoczących ze strachu serc.

– Masz rację, faktycznie nie wspomniałem, po co tutaj jestem! Nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz – zwrócił się do niej mężczyzna. – Myślicie pewnie, że możecie ot tak sobie, po prostu, przyjść tutaj pooglądać obrazki? Jak gdyby nigdy nic? – zapytał, przechadzając się nieśpiesznie po sali i mierząc kolejno do leżących ludzi. Bawił się ich przerażeniem. Gdy komuś wyrwał się szloch, piśnięcie czy jęk, podchodził i kopał bez pardonu. – Sądzicie, że jesteście tacy kulturalni, lepsi? A to gówno prawda! Leżycie teraz przede mną pokotem! I nic nie możecie zrobić! Czy to nie zabawne? Tamten jankes już nigdy nie wróci do swojej Ameryki! – Wskazał pistoletem na martwego mężczyznę. – A ty? – Szturchnął butem młodego Azjatę, który przerażony mamrotał coś pod nosem. Nachylił się nad nim. – Skąd jesteś? – zapytał. – Z Korei, z Japonii?

– *Japan* – odparł chłopak ze ściśniętym gardłem.

– Jeśli tak zdecyduję, już nigdy nie zeżresz tego swojego cholernego sushi! Pojmujesz?

– Tak. – Azjata przytaknął i wbił wzrok w podłogę.

Bandzior zarechotał, ubawiony jego poddaniem.

– I żeby było jasne, nie zamierzam niczego kraść! – wrzasnął na całe gardło, aż zakładnicy się wzdrgnęli. – Nie jestem złodziejem! To, że wszedłem akurat tutaj, to przypadek. Ochrona – zwrócił się do pracownicy muzeum – nie jest zbyt uważna, skoro wszedłem z tym. – Pomachał pistoletem.

– To po co pan tutaj jest? – odezwała się Raisa.

Brzmienie własnego głosu zadziwiło ją samą. Wydobył się z jej gardła niezależnie od jej woli. Być może właśnie wydałam na siebie wyrok, pomyślała. Odruchowo wtuliła głowę w ramiona.

Spoczęła na niej para oczu wyzierająca z dziur w kominiarce. Spojrzenia spotkały się i Raisa pożałowała tego natychmiast. Odniosła wrażenie, że mężczyzna ocenia, czy ona nadaje się na kolejną ofiarę.

– Jak masz na imię? – zapytał.

– Raisa – odparła cicho.

– O, Rosjanka!

– Jestem z Polski.

– Nigdy nie byłem w Polsce. Podobno to całkiem ładny kraj. Ale ty może już nigdy do niego nie wrócisz... – Wycelował. – Smutne, co?

Raisa czuła, że krew w jej żyłach przestaje krążyć. Jej pole widzenia zawęziło się do niewielkiego otworu broni napastnika, z którego zaraz najpewniej wyleci kula kończąca wszystko...

– Jak wiele rzeczy w moim życiu – odparła wbrew sobie.

– O! – cmoknął mężczyzna. – Proszę państwa, ktoś tu dostał chyba solidnie po dupie – oznajmił. – Widać jednak nie dość mocno. W przeciwnym wypadku stałabyś tutaj teraz jak ja, z bronią w ręku, mierząc do tych wszystkich cholernie zadowolonych mord – zwrócił się do Raisy. – Dziwne, że już nie mam się z czego cieszyć, co nie? – Powiódł wzrokiem po rozdygotanych ludziach.

Raisa pomyślała, że być może to jakiś punkt zaczepienia. Że desperat z bronią właśnie nieco się odłonił.

– Co się panu przytrafiło? – zapytała. – Bo coś musiało, prawda?

– *Shut up!*

Mężczyzna znalazł się przy niej w jednej chwili.

Poczuła zimno metalu na skórze; lufa została boleśnie wciśnięta w jej skroń. Słyszała ciężki oddech, czuła ciepło napastnika na policzku. Zbierało się jej na mdłości. Struchlała i poczuła, że zaraz się rozplacze, a on wtedy na pewno naciśnie spust.

– Myślisz, że będę ci się spowiadał?! Takiemu robakowi jak ty? Nie po to tutaj jestem! Przyszedłem po sprawiedliwość!

Ostatnie zdanie nie zdążyło wybrzmieć do końca, gdy ktoś poderwał się do ucieczki. Raisa bała się spojrzeć w tamtą stronę. Ucisk na skroni znikł. Było jasne, co stanie się za chwilę.

Rozległ się strzał. Głośny, złowrogi. Młoda Francuzka, która chciała wykorzystać szansę na przeżycie, leżała na posadzce z szeroko otwartymi nieruchomymi oczami.

Szaleniec z zadowoleniem odchylił głowę do tyłu.

– Tak nie robimy, dobrze? – odezwał się, omiatając wzrokiem salę. Zrobił kilka kroków; gumowe podeszwy jego butów skrzypiały cicho. Podeszedł do ofiary, wsparł dłonie na kolanach i przyjrzał się jej uważnie. Po chwili zagwizdał. – Wielka strata. Ładniutka.

Dziesięcioro, policzyła zakładników Raisa, w tym dwoje zabitych. Gdyby pozostali rzucili się jednocześnie na wariata, mielibyśmy szansę go powalić, ale nie sposób w tych warunkach umówić się na cokolwiek. Boimy się wykonać choćby nieznaczny ruch. On ma rację, pomyślała gorzko. Jesteśmy jak robaki. Może nas rozdeptać w każdej chwili.

Ta świadomość paraliżowała.

Raisa podejrzewała, że w umyśle każdego z leżących kotłowały się teraz

podobne myśli: kiedy wypadnie moja kolej, czy to bardzo boli. Tak bardzo żałują, że nie zobaczą już nigdy rodziny... I każdy zapewne modlił się o jak najszybszą interwencję policji. Wszyscy wiedzieli, że na zewnątrz zorientowano się już, że w muzeum dzieje się coś złego – strzały i zamieszanie były jednoznaczne.

Para leżąca naprzeciwko trzymała się za ręce i szeptała do siebie bezgłośnie. A Raisa pozazdrościła obojgu, że są tak blisko. Że jeśli przyjdzie im umrzeć, nie odczną samotnie. Myślała o ojcu, Edycie, o Laurze, z którą już nigdy nie dojdzie do porozumienia, o Bernardzie, z którym nie będzie miała szansy się zbliżyć. O dzieciach, których nigdy już nie urodzi, i o tym jednym, na które nie starczyło jej siły. Dla którego chciała lepszej przyszłości, a nie miała pojęcia, czy tak się stało. Zaczęła drzeć, więc zacisnęła szczęki, żeby nie dzwonić zębami. Ciało przestało jej słuchać. Gdyby teraz przyszło mi decydować, zrobiłabym inaczej, pomyślała, czując, że na jej sercu zaciska się obręcz. Już nigdy nie będę dla kogoś naprawdę ważna ani nikogo nie pokocham. Nie poczuję zapachu choinki, nie wcisnę się w nowe spodnie, nie zarwę nocy z książką.

Gdy w jej spanikowanym umyśle trwała gonitwa myśli, Raisa poczuła przejmujący żal. A potem złość. Jakim prawem ten facet w idiotycznej kominiarce, zapewne zrobionej z zimowej czapki, ma czelność mi to wszystko odbierać?, wściekła się.

– Pokaż twarz! – powiedziała.

– Co takiego? – Bandyta odwrócił się w jej stronę. – Co powiedziałaś?

– Skoro chcesz nas pozabijać, miej odwagę pokazać, jak wyglądasz.

Podszedł bliżej.

– Głupia jesteś? – wycedził. – Nie zamierzam spędzić życia za kratkami! – roześmiał się.

– Myślisz, że uda ci się uciec?

– A słyszysz gdzieś jakąś policję? – Mężczyzna teatralnym gestem przyłożył dłoń do ucha. – Tak się śpieszą! To nie amerykański film. Wyjdę stąd łatwiej, niż ci się wydaje.

Raisa dostrzegła kątem oka jakiś ruch.

Jeden z mężczyzn, w średnim wieku, podniósł się powoli. Ubrany był w sztruksowe spodnie i cienki sweter; miękkie tkaniny nie wydały najmniejszego szelestu. Gestem dał Raisie znać, by nie przestawała mówić, by spróbowała odwrócić jego uwagę.

A ona robiła, co mogła. I myślała intensywnie. Ponieważ jednak przyszło jej do głowy wyłącznie szkolenie z zakresu bezpieczeństwa przeciwpożarowego, zapytała napastnika o najbliższe wyjścia ewakuacyjne. A pracownica muzeum dodała, że może mu wskazać najkrótszą drogę ucieczki.

Mężczyzna w sztruksach zrobił dwa kroki do przodu.

Chłopak, który jeszcze przed chwilą szeptał do swojej ukochanej, postanowił

mu przyjść z pomocą. Niestety, zawadził stopą o torebkę dziewczyny, która nieco się przesunęła.

Szaleniec w kominiarce odwrócił się natychmiast.

– A wy dokąd? – zapytał złowrogo. – Który chce być pierwszy? Ty, młody, czy ty? – Wskazał na mężczyznę w średnim wieku.

– Nie rób tego! – krzyknęła Raisa.

Dziewczyna, która miała za chwilę stracić miłość swojego życia, zalała się łzami.

– Chcesz go zastąpić, laluniu? Co z tobą? Wszyscy grzecznie siedzą cicho, a ty ciągle masz coś do powiedzenia.

– Przeżyłam w życiu porażenie piorunem i katastrofę na morzu, w której zginęło ponad pięćset osób. Myślę, że mój limit szczęścia i tak się wyczerpał. Zwyczajnie nie mam nic do stracenia.

– Nie gadaj! – Mężczyzna wziął się pod boki. – A teraz napad w muzeum! – roześmiał się. Rozejrzał się po sali, jakby oczekiwał, że ktoś się do niego przyłączy. – Trudno ocenić, czy masz farta, czy przyciągasz nieszczęścia!

– Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego właściwie mam zginąć. Dlaczego zabiłeś tamtych. – Wskazała na ofiary. – Przecież nic ci nie zrobili.

Zapadła cisza. Zakładnicy gapili się na Raisę jak w obraz.

Napastnik złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. Chwycił za szyję, zbliżył twarz do jej twarzy. Otarł się policzkiem o jej policzek. A później ścisnął jej krtań tak mocno, że nie mogła oddychać.

Pracownica muzeum, która niedawno była w tym samym położeniu, spojrzała na nią ze współczuciem.

– Bo tak! – wyszeptał bandyta do ucha Raisie i popchnął ją brutalnie na ziemię.

Zostało nam bardzo niewiele czasu, pomyślała.

Mężczyzna znów zaczął się śmiać. Najwyraźniej świetnie się bawił i zamierzał włączyć do tej zabawy zakładników. Podszedł do pracownicy muzeum i kazał jej wybierać, kto następny. Opierała się, więc wcisnął pistolet w jej dekolt.

– Masz pięć sekund na zastanowienie – powiedział.

Kobieta zamknęła oczy.

– Starszy pan w kącie sali – wyszeptała.

Wybrany pobladł, ukląkł i zaczął błagać, składając ręce jak do modlitwy. Wszystko na nic.

– Zero honoru! – Splunął na podłogę po skutecznym strzale w pierś.

W tej samej chwili wybuchły granaty hukowe, a do sali wkroczył oddział specjalny madryckiej policji, powalając zdezorientowanego szaleńca na podłogę. Reszta uczestników wydarzenia mogła wreszcie się podnieść, ale była w takim szoku, że wciąż leżała bez ruchu. A gdy w końcu nastąpiło przesilenie, część

rzuciła się do ucieczki, jakby w obawie, że tragedia może się powtórzyć.

Okazało się, że napastnik dwa miesiące temu wyszedł ze szpitala, gdzie leczył depresję. Był bez pracy, z ogromnymi długami i nakazem eksmisji. Była żona nie chciała rozmawiać o nim z dziennikarzami, twierdząc, że zmarnował jej i dziecku życie.

– Chciałabym wyrazić współczucie rodzinom ofiar – powiedziała tylko. – On nigdy nie powinien był wyjść ze szpitala – dodała z naciskiem. – Lekarze, którzy go wypisali, mają krew na rękach.

Z kolei sąsiedzi mężczyzny byli zszokowani tym, czego ten się dopuścił. Zgodnie twierdzili, że był to miły, niesprawiający kłopotów, spokojny człowiek. A rzecznik szpitala psychiatrycznego zapewniał, że nie zostałby wypuszczony, gdyby jego zdrowie na to nie pozwalało.

– Widać przez ostatni czas stan psychiczny tego człowieka gwałtownie się pogorszył – mówił z zafrasowaną miną.

Hiszpania była w szoku. A informacja o ataku na muzeum obiegła cały świat.

Raisa wróciła do kraju po złożeniu zeznań na policji i konsultacji psychologicznej. Wciąż była w szoku, wywołanym nie tylko wydarzeniem, w którym uczestniczyła, ale i faktem, że wyszła z niego cała. Powzięła postanowienie – natychmiast zwalnia się z pracy w muzeum. Gdy zakomunikowała tę decyzję psychologowi, jeszcze w Madrycie, zasugerował, żeby wstrzymała się i dała sobie czas.

– Pani chęć może być efektem przeżytej traumy. I jest dość naturalna w tej sytuacji – uspokajał.

Mimo to Raisa doskonale pamiętała, co czuła, leżąc na podłodze pod obrazem Degasa. Żałowała straconych szans. Praca w szczecińskim muzeum miała swoje plusy, ale nie była taką, jaką niegdyś ją sobie wyobrażała. Zrozumiała, że pragnie dobrych, budujących zmian. Na każdym polu. I nawet jeśli dostanie od życia w twarz ponownie, nie będzie siedzieć w kącie ze strachu przed kolejnym ciosem.

Raisa zamierzała celebrować święta Bożego Narodzenia i cieszyć się nimi jak dziecko.

Mimo że wszyscy wokół narzekali na kolejki w sklepach i brak śniegu, jej dopisywał wyśmienity humor. Nuciała pod nosem kolędy, a popołudniami pakowała kolejne prezenty dla rodziny.

Z Laurą wszystko znów było jak dawniej. Kiedy Raisa wróciła do kraju z Madrytu, siostra przywitała ją na lotnisku, wzięła w ramiona i przytuliła mocno.

– Tak się bałam! – wyszeptała. – Dobrze, że jesteś. Przepraszam cię! Miałaś rację, głupia byłam, że winiłam cię za rozpad związku z Patrykiem. – Zwolniła uścisk i spojrzała Raisie prosto w oczy. – Ale byłam tak zaskoczona, że on

zdecydował się odejść, że potrzebowałam kogoś o to obwinić. Wybaczysz mi?

Raisa nie zastanawiała się ani chwili. Wtuliła się w Laurę. I obie rozplakały się jak dzieci.

Teraz razem z Dorotą zaplanowały prawdziwe, wspaniałe, rodzinne święta. Panu Bogdanowi poleciły tylko zadbać o piękną choinkę i likier jajeczny, który własnoręcznie przygotowywał co roku. Choć początkowo się buntował, twierdząc, że nie będzie siedział bezczynnie, wkrótce dostrzegł pozytywy sytuacji, a oczami wyobraźni siebie – jak zagląda do kuchni, podbiera smakołyki, wylizuje makutry i cieszy się sielską rodzinną atmosferą.

Raisa była cała i zdrowa, wszyscy znów byli razem, co zamierzali celebrować. Były powody do radości.

Raisa nacisnęła na klamkę, upewniając się, że dobrze zamknęła drzwi sklepu.

Udało jej się zrealizować zamierzenie, które powzięła jeszcze w madryckim szpitalu, i znalazła nowe zajęcie. Choć w zasadzie to ono znalazło ją. Pewnego deszczowego lipcowego dnia poszła oddać książki do biblioteki. Jak zwykle wpatrywała się we wszystkie mijane witryny, choć nieszczególnie uważnie. Lecz gdy przechodziła obok maleńkiej galerii z antykami, zauważyła po wewnętrznej stronie witryny kartkę. Raisa przystanęła i przeczytała.

Szukano pracownika. „Zainteresowanie sztuką mile widziane”, dopisano w nawiasie.

Spojrzała przez szybę do środka. Lokal wyglądał jak składowisko wszystkiego: kruchej porcelany, figurek z brązu, srebrnych sztućców, obrazów w bogato zdobionych ramach, złotych puzderek i klasycznej biżuterii sprzed wieku. Bez chwili wahania weszła i zapytała o szczegóły.

Mężczyzna, który okazał się właścicielem, nie zdążył dojść do biurka, gdy Raisa pewnym głosem oświadczyła, że się nadaje. Zmierzył ją uważnym spojrzeniem, najwidoczniej nieprzekonany co do entuzjastycznie nastawionej kandydatki w nieco przemokłej letniej sukience w kwiaty. Prawdopodobnie liczył na kogoś starszego. Jednak gdy dowiedział się, że Raisa ukończyła historię sztuki i uwielbia malarstwo, a kilka miesięcy wcześniej omal nie straciła życia w muzeum Thyssen-Bornemisza, przyjął ją od ręki.

Choć w pewnym sensie pozostała w branży, to jednak obecne zajęcie uważała za znacznie ciekawsze. Miała kontakt z klientami, mogła im doradzać. Miała także okazję pomagać w organizacji aukcji cennych przedmiotów. Jednak najważniejszy był fakt, że w tej niewielkiej galerii czuła się bezpiecznie. Miejsce nie przywodziło na myśl nieprzyjemnych skojarzeń.

Schowała klucz do torebki i ruszyła w kierunku nieodległego centrum handlowego, żeby dokupić brakujące prezenty. Jutro z samego rana odjeżdżał jej pociąg. Po trzech godzinach z kawałkiem miała się znaleźć w Szczecinku, skąd

obiecała odebrać ją Dorota. A potem już tylko krojenie, pieczenie, mielenie, ugniatanie, faszerowanie, mieszanie, zdobienie... Raisa nie mogła się doczekać.

Weszła do centrum bogato ustrojonego zielonymi girlandami i czerwonymi wstążkami. Z głośników dobiegało nieśmiertelne *Last Christmas* George'a Michaela. Liczba klientów przetaczająca się przez korytarze świadczyła niezbicie, że święta tuż-tuż.

Raisa skierowała się prosto do sklepu z artykułami dla domu. Brakowało jej prezentu dla Edyty, która każdą chwilę wolną od obowiązków w „Filiżance” poświęcała dopieszczaniu małżeńskiego gniazdka. Raisa wiedziała, że nic nie ucieszy jej bardziej od gustownego wazonu, oryginalnych kieliszków czy eleganckiej patery.

Kręciła się wśród pięknych przedmiotów, zastanawiając się nad najtrafniejszym wyborem. Sklep oferował takie cudenka, że przy ograniczonym budżecie decyzja była zadaniem karkołomnym. W końcu Raisa zdecydowała się na zestaw przepięknie rżniętych kryształowych szklanek. Wydała na prezent więcej, niż planowała, ale gdy je zobaczyła, wiedziała, że przyjaciółka po prostu musi je mieć. Ekspedientka pięknie je zapakowała, a Raisa wyobraziła sobie minę Edyty. Wzięła torbę i nucąc pod nosem, wyszła ze sklepu.

Uderzenie było silne. Odrzuciło ją aż na wystawową szybę. Raisa straciła równowagę i przewróciła się na posadzkę. Upadkowi towarzyszył brzęk tłuczonego szkła.

Sprawca zamieszania pochylał się nad nią przejęty.

– O Boże, przepraszam! Nic pani nie jest?

– Czy pan oszalał? – rzuciła rozeźlona. – To nie jest miejsce na zawody sprinterskie!

– Wiem, ale bardzo się śpieszę!

– Tak bardzo, że postanowił mnie pan staranować? – zauważyła kąśliwie i rozmasowała obolałe ramię.

– Wyszła pani ze sklepu tak nagle... Nie zdążyłem zareagować. – Podał jej rękę i pomógł wstać.

– Czyli to moja wina? – Popatrzyła zdumiona. – Wystarczyłaby odrobina wyobraźni! Po co pan biega tuż przy sklepach?

Uniósł dłonie w geście poddania.

– W porządku, ma pani rację. Ale bardziej niż wykład o moim braku wyobraźni interesuje mnie, czy nic się pani nie stało?

– Ze mną wszystko w porządku, ale... – Raisa wskazała na torbę. – Właśnie potłukł mi pan prezent gwiazdkowy dla przyjaciółki.

– Może jest cały? Teraz wszystko tak dobrze pakują. Proszę sprawdzić. – Nieznajomy spojrział znacząco na zegarek.

– Brzęku tłuczonego szkła nie sposób pomylić z niczym innym. – Raisa się

skrzywiła, ale przystąpiła do odwijania wstążki.

Zdjęła złoty ozdobny papier i otworzyła pudełko. Trzy szklanki faktycznie były całe, jednak trzy pozostałe nie miały tyle szczęścia.

– Co też pani za dziadostwo kupiła?

– Dziadostwo? Toż to prawdziwy kryształ! Co się dziwić, że kruchy?

Ten nieokrzesany facet zaczyna mi działać na nerwy.

– No nic. Chodźmy do sklepu. Odkupię pani te stłuczone szklanki – rzucił niecierpliwie.

Raisa wypuściła ciężko powietrze.

– To, niestety, były ostatnie egzemplarze.

– Z całej oferty wybrała pani jakieś resztki? Prawdziwa z pani przyjaciółka!

– Były najładniejsze! – zirytowała się Raisa. – I najdroższe! Nie wiedziałam, że jakiś wariat na mnie wbiegnie, rozbije je w proch i na dodatek zacznie mnie oceniać!

– Ma pani rację, nie zachowuję się jak dżentelmen – przyznał mężczyzna pokornie. – Ale to dlatego, że śpieszę się na lekcje. Za pięć minut mam zacząć zajęcia z moją grupą. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza po portfel. – Dam pani pieniądze. Proszę kupić coś zamiast tych nieszczęsnych szklanek. – Podał banknot dwustuzłotowy. – A teraz przepraszam. Swoją drogą, znam miejsce, gdzie mogłaby pani znaleźć znacznie ładniejsze rzeczy.

– Tak? – zainteresowała się Raisa, chowając pieniądze.

– W galerii na Złotowskiej.

Uśmiechnęła się pod nosem.

– Za marne dwieście złotych?

– Mój wujek bardzo się stara, żeby oferta jego galerii była zróżnicowana...

– Znam tę ofertę doskonale.

– Bywa tam pani?

– Pracuję tam. – Spojrzała rozbawiona.

– Poważnie? Chyba od niedawna, bo dotąd tam pani nie widziałem.

– Od lipca. Chyba dawno nie był pan w sklepie wujka.

Zakłopotany mężczyzna podrapał się po głowie.

– Czas pędzi tak szybko...

– Wspomnę mu, że pana spotkałam. Pozdrowić go od pana?

– Nie, nie. Sam to zrobię. Obowiązki, ta codzienna bieganina... Sama pani rozumie.

– Podobno pan się śpieszy – przypomniała mu.

– Właśnie, moi uczniowie już czekają. Do widzenia i przepraszam!

Raisa skinęła głową na pożegnanie, a on ruszył biegiem. Tym razem jednak środkiem, sprawnie lawirując pomiędzy ludźmi. Poły długiego płaszcza powiewały na boki.

– Pamiętasz, jak na mnie wpadłeś?

– Jak mogę nie pamiętać? – roześmiał się Mikołaj. – Po pierwsze było to zaledwie dwa lata temu, po drugie już następnego dnia poczułem niewytłumaczalnie silną potrzebę wizyty u wujka.

– Aha. Czyli to wujka chciałeś wtedy zobaczyć?

– Właściwie to chciałem sprawdzić, czy kupiłaś prezent koleżance.

– Świnia!

– Tyle że, jak się okazało, byłaś już w domu i zapewne piekłaś świąteczne ciasta. A ja załapałem się na dłuuuugą rozmowę ze stęsknionym wujem. A wiesz, jak on się rozkręci...

– Oj, wiem. – Raisa się uśmiechnęła. – Mimo to bardzo go lubię. Jest może nieco ekscentryczny, ale taki poczciwy... Ałaaa! – jęknęła przeciągle. – Możesz pomasować mi plecy? – Odwróciła się na bok na szpitalnym łóżku.

Z Mikołajem wszystko poszło szybko i tak naturalnie, jakby obojgu brakowało dokładnie **tej** drugiej osoby. A życie wreszcie wskoczyło na właściwe tory i po prostu potoczyło się naprzód. Gładką i prostą drogą. Wtedy, tuż przed świętami, Mikołaj nie potrafił skupić się na lekcji niemieckiego, którą prowadził w szkole językowej. Nie przestawał myśleć o jasnowłosej dziewczynie z galerii i jej potłuczonych szklankach. Ponieważ ten stan się utrzymywał, bywał częstszym gościem w sklepiku wuja, który w końcu pojął, że wizyt bratanka nie wywołała nagła potrzeba zacieśnienia rodzinnych więzów. Jego pracownica po wyjściu Mikołaja stawała się rozkojarzona i zamiast prezentować porcelanowy imbryk, z rozanielonym uśmiechem na twarzy podawała cukiernicę, oświadczając z przekonaniem, że zaparzona w niej herbata smakuje jak żadna inna. Wybuch uczucia między dwojgiem młodych był ewidentny.

Mam nadzieję, że nie stracę przez to zbyt wielu klientów, wzdychał w duchu pan Hedwig.

Raisa nie zamierzała niczego racjonalizować, jak często mają w zwyczaju czynić osoby poturbowane przez życie. W Madrycie obiecała sobie żyć z szeroko rozłożonymi rękami i dotrzymała słowa. Kiedy Mikołaj na nią wpadł, była zanadto zdenerwowana sytuacją, żeby przyjrzeć się nieznajomemu dokładnie. Ale już pierwszego dnia, gdy pojawił się w drzwiach galerii, dostrzegła regularne rysy twarzy, gęste kasztanowe włosy i przenikliwe szare spojrzenie. Był odpowiednio wysoki, by czuć się przy nim bezpiecznie, a pachniał tak, że wewnątrz Raisy rozlewało się przyjemne łaskoczące ciepło. Zupełnie takie samo, jakie pojawia się na myśl o ulubionym smakołyku albo o powrocie do domu po ciężkim dniu.

Była bardzo zaskoczona, gdy przyszedł do galerii, ale od tamtego dnia, od rozmowy nad dziewiętnastowiecznym zestawem do herbaty Rosenthala, modliła się, żeby pojawiał się jak najczęściej. Interwencja sił wyższych w tej sprawie okazała się jednak zbyt duża, bo Mikołaja nie trzeba było zachęcać. Przy okazji

drugiej wizyty zaprosił Raisę na randkę, a dwa miesiące później mieszkali już razem u niego.

Pan Lechowicz był nieco przerażony tym tempem. Uważał, że Raisa powinna być bardziej rozważna, szczególnie po doświadczeniu nieudanego małżeństwa. Ale ona po prostu wiedziała, że się nie myli i że nic nie ryzykuje. Było to silne przekonanie, z gatunku tych, że Ziemia kręci się wokół Słońca.

Podczas długich wspólnych wieczorów poznawali się wzajemnie.

Mikołaj miał trzydzieści pięć lat. Uczył w szkole językowej niemieckiego, a dodatkowo tłumaczył. Jego matka Wanda pracowała jako księgowa, a ojciec Stefan prowadził własny sklep ogrodniczy. Mikołaj miał młodszą o dziesięć lat siostrę, która była jego przeciwieństwem – on spokojny, rzeczowy i opanowany, Zusa spontaniczna, postrzelona i żywiołowa. Pracowała jako przedstawiciel handlowy i osiągała świetne wyniki.

– Najprawdopodobniej klienci kupują od niej wszystko, byleby tylko wreszcie przestała gadać – podsumowywał Mikołaj. – Jesteśmy zwyczajną nudną rodziną – stwierdził kiedyś, obejmując Raisę ramieniem.

Ale jej bardzo podobały się takie nudy. Opowiedziała mu o swoim życiu, które nie było tak przewidywalne jak jego, o rodzinie, o małżeństwie z Markiem. Chciała, żeby wiedział o niej wszystko. No, prawie wszystko, bo pominęła jeden ważny szczegół. Nauczona doświadczeniem, nie powiedziała mu o córce. Nie chciała ryzykować.

Kiedy okazało się, że jest w ciąży, radość, która ją ogarnęła, zaskoczyła ją samą. Były to emocje zupełnie inne niż za pierwszym razem. Choć zależało jej na Mikołaju, nie miało dla niej znaczenia, jak on zareaguje na tę niespodziankę. Raisa pragnęła tego dziecka całą sobą. Zamierzała je wychować i kochać jak szalona. Stała w łazience wpatrzona w dwie kreski na teście, a łyż jedna po drugiej kapały na jasne płytki. Łzy zarówno szczęścia, jak i z żalu, że kiedyś mogła postąpić inaczej. Wówczas jednak była przekonana do własnej decyzji. Dzisiaj widziała to inaczej, ale czasu nie można było cofnąć.

Mikołaj, choć zaskoczony nowiną, ucieszył się wcale nie mniej. Raisa powiedziała mu przy kolacji, którą dla nich przygotowała, pieczołowicie przyrządzona kaczką pozostała jednak nietknięta. Mikołaj bez chwili wahania zapytał, czy Raisa zostanie jego żoną, a potem nie myśleli już o jedzeniu. Kiedy później leżeli wtuleni w siebie, Mikołaj pocałował przyszlą żonę w czubek głowy.

– Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie – oświadczył.

– To niemożliwe – odparła, gładząc jego tors.

– Nie? A dlaczego? – zdumiał się.

– Bo ja nim jestem. – Raisa się uśmiechnęła.

Pan Lechowicz zdążył już się przyzwycząć, że w przypadku jego młodszej

córki wszystko zawsze staje na głowie. Początkowo nie był szczególnie zachwycony odwrotną kolejnością zdarzeń, ale już na ślubie cywilnym wręcz tryskał radością.

– Znów dzwoni twój tata – westchnął Mikołaj, sięgając po telefon leżący na szpitalnej szafce.

Raisa przewróciła oczami.

– Powiedz mu, że dasz znać, jak tylko mała się urodzi.

– Już sto razy mu to mówiłem. Ale on chyba nie słucha... – odparł zakłopotany.

– To powiedz dobitniej! – ryknęła Raisa, czując, że nadchodzi kolejny skurcz.

Pan Lechowicz pojął powagę sytuacji, dopiero kiedy w tle usłyszał krzyk córki. Grzecznie się wycofał i obiecał spokojnie zaczekać na wieści, które nadeszły trzy godziny później. Mała Nadia urodziła się o 21.35. Ważyła 3250 gramów i mierzyła 49 centymetrów.

Kiedy położna położyła matce dziecko na piersi, Raisa ucałowała zaczerwienioną buźkę.

– Cześć, kochanie – szepnęła czule. – Z góry przepraszam cię za wszystko, co zepsuję. Ale pamiętaj, zawsze będę cię kochać. Jak nikt inny!

Codzienne życie, choć może i przepełnione rutyną, sprawiało Raisie wiele satysfakcji. Nadia rosła jak na drożdżach, a związek jej rodziców zwycięsko wyszedł z próby, jaką z pewnością jest pojawienie się dziecka na świecie. Odmianą były dni, które cała trójka uwielbiała, spędzane u dziadka w Bornem. Raisa uwielbiała ten dom, więc wcale nie dziwiła się Bernardowi, że postanowił tutaj zamieszkać. Zawsze kiedy spędzała tam z rodziną kilka dni, wybierali się na długie leśne spacerunki, bawili nad wodą, korzystali z przydomowego ogrodu. A Nadia korzystała z towarzystwa starszej kuzynki i Maciusia, syna Edyty.

Nieraz Raisie wyrывało się westchnienie, jak by to było cudownie przenieść się tutaj na stałe. Ojciec natychmiast reagował entuzjastycznie, zapewniając, że w domu jest przecież sporo miejsca i wszyscy razem się pomieszczą. Jednak sam na sam Bernard dawał siostrze jasno do zrozumienia, co o tym myśli.

– Chyba nie będziemy siedzieć sobie na głowach? Poza tym ojciec ma już swoje lata. Jedno małe dziecko w domu zupełnie mu wystarczy.

Raisa nie rozumiała, dlaczego brat aż tak poważnie podchodzi do niezobowiązujących słów. Odpowiadała, że ma pracę w Szczecinie, Mikołaj uczniów, a Nadia przedszkole, które uwielbia. I nic nie zamierzają zmieniać. Bernard uspokajał się wtedy nieco, choć za każdym razem, gdy siostra zachwycała się posiadaniem własnego domu, przyglądał się jej bacznie.

Raisa uwielbiała bycie matką. Nigdy nie podejrzewała, że będzie aż tak realizować się w tej roli. Ale to sprawiało, że żal z powodu dawnej decyzji narastał.

Dowiedziała się, co straciła na własną prośbę i czego odmówiła pierworodnej córce. Choć nierzadko bywała nieziemsko zmęczona, to jednak chwila, kiedy Nadia zarzucała jej rączki na szyję i cienkim głosikiem oznajmiała: „Kocham cię, mamusiu”, sprawiała, że w Raisie topniało wszystko.

Ta wyjątkowa relacja wywoływała chęć posiadania kolejnego dziecka. Pragnienie to było z każdym dniem silniejsze i nie pozwalało się zignorować. A jednocześnie Raisa czuła potrzebę ofiarowania szczęśliwego domu i kochającej rodziny komuś, kto został tego pozbawiony.

Pewnej wiosennej soboty, po wyjątkowo udanym dniu spędzonym na rodzinnej wycieczce rowerowej zwieńczonej piknikiem na leśnej polanie, gdy Raisa z Mikołajem leżeli już w łóżku, postanowiła porozmawiać z mężem. Przytuliła się i spojrzała uważnie.

– Co jest, kochanie? – zapytał troskliwie.

Zawsze wiedział, kiedy ma do niego jakąś sprawę.

– Chciałabym uszczęśliwić jakieś dziecko.

Roześmiał się.

– O, dzisiaj z pewnością uszczęśliwiłaś aż troje! Zosię, Nadię i Maciusia. Miały taką radochę, że w powrotnej drodze padły jak muchy. A jeśli uznać, że wszyscy mężczyźni to duże dzieci, pieczonym schabem uszczęśliwiłaś również mnie.

– Żartujesz sobie, a ja mówię poważnie. – Raisa zapatrzyła się w okno młodzieńczej sypialni, za którym niezmiennie na baczność stały rzędy sosen. – Myślałam o adopcji.

Ręka Mikołaja, który gładził żonę po plecach, zastygła bez ruchu.

– Słucham?

– Tyle radości sprawia mi obserwowanie, jak Nadia rośnie, jak się rozwija, jaka jest szczęśliwa, jak dobry i ciepły ma dom. Kochających ludzi wokół. Dostała to od życia ot tak. I dobrze. Tak właśnie powinno być. Ale chciałabym stworzyć taką szansę również innemu maluchowi. Takiemu bez normalnego dzieciństwa.

Mikołaj odchrząknął.

– Przyznam, że mnie zaskoczyłaś – mruknął. – Naprawdę nie wystarcza ci nasze?

– Wiesz, jak kocham Nadię. Ale to nie ma nic do rzeczy. Po prostu chcę się podzielić miłością.

– Raisa... To nie jest takie proste. To poważna decyzja. Poza tym nie wiem, czy potrafiłbym pokochać obce dziecko. Muszę o tym pomyśleć.

– W porządku – odparła.

Ważne, że nie powiedziałaś nie!, pomyślała.

Raisa miała mnóstwo powodów, żeby kochać męża, a ta chwila była niewątpliwie jednym z nich. Mogła jej doświadczyć wyłącznie dlatego, że on także

tego zapragnął. Że w to uwierzył. Miał odwagę podjąć wyzwanie i wziąć na siebie odpowiedzialność.

– To co? Jedziemy do domu? – Chwyła drobną rączkę Filipa.

Malec przytaknął ochoczo, podając drugą dłoń Mikołajowi. Cała trójka wyszła z domu dziecka, który chłopiec miał opuścić raz na zawsze.

Raisa nie potrafiła uwierzyć, że półtoraroczna procedura adopcyjna wreszcie dobiegła końca. I tak wszystko poszło stosunkowo sprawnie, bo zadeklarowali z Mikołajem chęć adopcji dziecka starszego niż dwuletnie. Przebrnęli przez długotrwały etap kwalifikacji, a kiedy w końcu przedstawiono im Filipa, od razu wiedzieli, że malec należy do nich. Nie zawahał się, nie wstydził, tylko podbiegł z ufnością i poruszającym pragnieniem miłości, uwagi i czułości. Mikołaj, początkowo nieco niepewny, niemal natychmiast znalazł z nim kontakt i już po chwili budowali razem wieżę z klocków. Po kilku miesiącach spotkań powstała między nimi wyjątkowa więź.

A teraz jechali do domu.

Serca świeżo upieczonych rodziców waliły z przejęcia jak oszalałe.

Po otwarciu drzwi zastali w przedpokoju komitet powitalny złożony z Nadii i jej dziadka.

– Wejdz, Filipku. To przecież twój dom – powiedziała Raisa, delikatnie popychając synka.

Chłopiec zawahał się na chwilę i mocniej ścisnął misia, ale kiedy podbiegła do niego Nadia, z którą zdążyli się bardzo polubić, trema znikła natychmiast. Siostra nie była zazdrosna o pojawienie się całkiem dużego brata. Wręcz przeciwnie, chwaliła się tym przed wszystkimi koleżankami.

– Fajnie, że od teraz już zawsze będziemy razem! – Uścisnęła go.

– Ja też się cieszę! – Filipkowi roziskrzyły się oczy.

Pan Bogdan ucałował wnuka i zaproponował, aby Nadia pokazała bratu pokój. Początkowo był zszokowany pomysłem córki i miał sporo obaw, ale z czasem i on zaczął się angażować i cieszyć na nowego członka rodziny. Był przekonany, że jego żona byłaby bardzo dumna z Raisy. Podobnie jak on.

– To będę miał własny pokój? – wypalił zaaferowany Filip.

Mikołaj przykucnął przy synku.

– Urządziliśmy go dokładnie według twoich życzeń. Pamiętasz, narysowałeś nam kiedyś pokój marzeń. Łóżko w kształcie samochodu wyścigowego też jest. – Mrugnął.

– Naprawdę? – Chłopiec aż pisnął z radości.

Nadia pociągnęła go za rękę, a po chwili zza ściany dobiegły okrzyki świadczące o tym, że trafiono z pokojem w dziesiątkę. Raisa wiedziała, że tę chwilę zapamięta na zawsze i że będzie do niej powracać, gdy Filip już dorośnie. Miała nadzieję, że jej pierwsza córka znalazła równie kochający dom. Że jest tak

samo szczęśliwa jak te dwa szkraby skaczące teraz po łóżku.

W jej oczach zalśniły łzy.

Mikołaj przygarnął żonę, pewien, że jej wzruszenie wynika wyłącznie z faktu, że oto zakończyła się wielomiesięczna adopcyjna odyseja.

Tak bardzo chciałabym mieć pewność!, pomyślała Raisa, ocierając oczy.

Byli spóźnieni.

Raisa zapakowała dzieciakom naprędce przygotowane kanapki z topionym serem, które tym razem rażąco odbiegały od obowiązującego trendu wymyślnych, zbilansowanych, zgodnych ze slow foodem posiłków serwowanych w zamykanych pudełeczkach, i pośpiesznie zamknęła za sobą drzwi. Mikołaj pierwsze zajęcia z kursantami miał dopiero o jedenastej, więc spał w najlepsze, kiedy rano wpełzała z łóżka. Och, jakże mu zazdrościła!

– Co mam powiedzieć pani? – zagadnęła ją Nadia, skóra zdarta z ojca.

Nie tylko pod względem fizycznym – miała takie same kasztanowe włosy i szare oczy – ale i charakterologicznym. Tak jak on lubiła, kiedy wszystko było zapięte na ostatni guzik. Spóźnianie się w świecie córeczki Raisy było jak zakazane przekleństwo.

Raisa przywołała windę, ale ta, jak na złość, nie reagowała.

– Zepsuła się czy co? – mruknęła. – Chodźmy po schodach – popędziła dzieciaki. – Powiesz, że były korki.

– Przecież tu nigdy nie ma korków – zauważyła Nadia.

– Dzisiaj mogły być. Mógł wydarzyć się jakiś wypadek – wtrącił Filip.

Raisa miała ochotę go uściskać.

– Ale przecież to kłamstwo!

– Kochanie, zawsze możesz powiedzieć prawdę o budziku. Ale nie wiem, czy to się spodoba. Pani Ela jest wprawdzie miła, ale i bardzo wymagająca.

– No dobrze. Spróbuję z tymi korkami. Ale ja bym w to nie uwierzyła! – rzuciła Nadia, zbiegając z kolejnego piętra.

Uwielbiała swoją nauczycielkę, więc chciała uchodzić w jej oczach za świętszą od papieża. Filip z kolei wizją spóźnienia nie przejął się wcale. Choć lubił szkołę i kolegów, jeszcze bardziej lubił spać.

Na dole drzwi otworzył im wysoki barczysty mężczyzna w skórzanej kurtce. Obok niego stała drobna brunetka, dzierżąc w dłoni, podobnie jak jej towarzysz, sporą walizkę.

– Dzień dobry! – przywitały się chórem dzieciaki.

– Dziękuję bardzo. – Raisa spojrzała na nieznanego z wdzięcznością.

– Nie ma za co. Sąsiedzi muszą sobie pomagać – odparł niskim głosem.

– Państwo się wprowadzają? – Raisa wskazała na walizki.

– Owszem – przytaknęła brunetka. – Pod siedemnastką.

– O, to zamieszkacie państwo pod nami! Mam nadzieję, że nie będziemy

zbyt uciążliwi. Wiecie państwo, jak to z dziećmi...

– To my mamy nadzieję, że nie będziemy za bardzo hałasować – roześmiał się nowy sąsiad. – Prawda, Beatko? – Przygarnął kobietę, która uśmiechnęła się nieco speszona.

– A państwo macie dzieci? – wypalił Filip, jak zawsze otwarty na nowych towarzyszy do zabawy.

– Nie, mały. Korzystamy z życia. – Mężczyzna wepchnął walizkę do klatki.

– To znaczy, ja mam, ale... – wtrąciła kobieta.

Jej partner obrzucił ją takim spojrzeniem, że umilkła.

– Przepraszam, śpieszymy się – powiedział.

– My też. Właściwie to już jesteśmy spóźnieni. Dzieciaki, do samochodu! – zarządziła Raisa.

Siedemnastka była mieszkaniem przechodnim; nowi lokatorzy to pojawiali się, to znikali. Sprawdzając, czy dzieci zapięły pasy, Raisa zastanawiała się, czy spotkana przed chwilą para zabawi w nim na dłużej. Facet wydał się jej taki sobie, ale drobna kobieta miała w sobie coś sympatycznego. Raisa nie miałaby nic przeciwko, aby poznać ją bliżej. Może nie chciałyby powtórki z Drawska sprzed lat, gdzie wszyscy sąsiedzi na osiedlu wiedzieli o sobie wszystko i komentowali to pod magłem, ale byłoby miło wpaść od czasu do czasu na kawę. Dobre relacje z sąsiadami należały do reliktyw przeszłości. Teraz uskutecziano sprinty do windy, żeby tylko przejechać te kilka pięter samotnie. Było w tym, według Raisy, coś przeraźliwie smutnego.

– Mamusiu, czy ty nie korzystasz z życia? – zapytał Filip, gdy nieco zbyt szybko wyjechała z osiedlowej uliczki.

– Co? Skąd ci to przyszło do głowy?

Refleksja syna już nie po raz pierwszy wprawiała ją w zdumienie.

– Bo masz dzieci. Tak powiedział ten duży pan. Że nie mają z tą panią dzieci, więc korzystają z życia.

– Mogę was zapewnić, że niczego mi nie brakuje do szczęścia. – Raisa uśmiechnęła się do swoich pociech we wstecznym lusterku.

– Ale ta pani powiedziała, że ma – zauważyła jak zawsze czujna Nadia. – Więc jak to jest?

– Kochanie, nie znam tych państwa. Wiem tyle, co i ty.

Późnym wieczorem, kiedy po całym dniu wklepywała w sypialni krem pod oczy, Raisa zrozumiała, co oznaczały słowa nowego sąsiada o uciążliwości. Dochodzące spod podłogi hałasy były dość jednoznaczne.

– Oho! Komuś najwyraźniej jest bardzo przyjemnie! – zauważył rozbawiony Mikołaj, wciągając górę od pidżamy.

– To lokatorzy spod siedemnastki. Zdążyli mnie nawet uprzedzić, że tak będzie.

– Co takiego? – parsknął. – Powiedzieli: „Dzień dobry, jesteśmy nowymi sąsiadami, od dzisiaj prosimy spodziewać się głośnego seksu”?

– Nieco mniej dobitnie...

– To chyba jakaś młoda parka?

– Ona ma może jakieś trzydzieści pięć lat, on jest nieco starszy, ale trudno ocenić wiek. To taki typowy byczek.

– Słysząc! – zachichotał Mikołaj, wsuwając się pod kołdrę. – Chcesz czytać czy idziemy za ich przykładem?

– Przykład powinno się brać z góry – roześmiała się Raisa.

– Tam mieszka starsza pani. W takim razie czytamy! – Mikołaj sięgnął po książkę.

Rozdział 12

Raisa, wystrojona w elegancką sukienkę, w której zakupie pomogła jej Magda, siedziała na tylnym siedzeniu limuzyny. Kierowca przyjechał punktualnie.

Powinna czuć się wyjątkowo, a kotłowały się w niej złość i niepewność. Ta cała afera sprowadziła na mnie tylko kłopoty i wprowadziła zamieszanie w moje ustabilizowane życie, irytowała się. Przed wyjazdem sprawdziła skrzynkę odbiorczą – Marek wciąż nic jej nie odpisał i raczej tego nie zrobi, westchnęła w duchu. A zatem nie zadzwoni do tej Sajewicz i nie cofnie swoich słów. Po co zresztą miałby to robić, skoro zdecydował się na taki krok?, zacisnęła dłoń.

W Warszawie odezwała się jej komórka. Raisa sięgnęła po telefon do granatowej kopertówki i zerknęła na wyświetlacz. Nadia!, uśmiechnęła się.

– Cześć, mamó! – usłyszała. – Jak się czujesz? Niedługo twoja wielka chwila. Będziemy oglądać!

– Nie macie nic lepszego do roboty na wakacjach?

– Nie żartuj! Miałabym to przegapić? Myślałam sporo i stwierdzam, że po tym wszystkim, co przeszedłeś, naprawdę należy ci się to wyróżnienie. Komu, jak nie tobie? – roześmiała się Nadia. – Wyjaśniłyście sobie sprawę z panią Edytą? – zapytała.

– To było nieporozumienie. Niepotrzebnie z Filipem wszczęliście taki alarm. Jesteście kochani, ale to dziennikarze wszystko przekręcili.

Nadia odetchnęła z ulgą.

– Tak podejrzewałam. Ale nie chciałam dla ciebie kolejnego stresu. Myślę, że już wystarczy. Za to wujek Bernard, niestety, się nie popisał – dodała.

– Nie mam o to do niego żalu – powiedziała Raisa, przyglądając się mijanym warszawskim kamienicom.

Mam teraz poważniejszy problem, pomyślała.

– Zawsze byłeś zbyt wyrozumiały – zauważyła Nadia. – Ale to nie jest dzisiaj najważniejsze. Wiedz, że wszyscy bardzo cię kochamy i jesteśmy z ciebie dumni.

– Dziękuję ci, córeczko. Odezwę się później.

Raisę ogarnęło wzruszenie. Nadia nie należała do wylewnych. Rzadko mówiła o uczuciach, więc fakt, że pozwoliła sobie na takie wyznanie, znaczył naprawdę wiele.

Raisa miała już swoje lata i coraz częściej dokonywała podsumowań. Nie miała pewności, co pomyślałaby sobie o niej córka, gdyby wiedziała wszystko. Nadia była wspaniałą matką, więc nie wiadomo, czy zrozumiałaby decyzję sprzed lat, która wtedy wydawała się jedyną możliwą. Raisy nie opuszczało poczucie, że

w młodości nie radziła sobie z własnym życiem. Że szarpało nią ono jak sztorm małą łódką. Tym bardziej nie czuła się wówczas na siłach dbać o kogokolwiek. Jednak tamto postanowienie tkwiło w niej jak cierń. A najgorsza była świadomość, że sama zadała sobie ranę, która nie chciała się zagoić. Od lat, mijając na ulicy różne kobiety, zastanawiała się, czy któraś z nich to może jej córka. Szukała w obcych twarzach odbicia siebie i Marcina. A później besztowała się za te próby. Czuła, że nie ma do tego prawa.

Kiedy samochód wreszcie wtoczył się na dziedziniec pałacu, Raisa poczuła, że ogarnia ją strach. Nie, nie przed czekającą ją uroczystością, na myśl o której jeszcze wczoraj drżała z tremy, a przed tym, co pomyśla o niej jej dzieci, jeśli Magda Sajewicz zrobi użytek z informacji od Marka. Czy Nadia i Filip jeszcze kiedykolwiek będą ze mnie dumni?, zmartwiła się, gdy kierowca zaparkował.

Wysiadł, otworzył drzwiczki i eleganckim gestem podał jej rękę.

– Wszystko w porządku? Dobrze się pani czuje? – zagadnął, widząc pobladłą twarz pasażerki.

– Tak, dziękuję.

– Rozumiem. Każdy byłby przejęty. Choć po tym, co pani przeszła, drobna wizyta u prezydenta nie powinna stanowić wyzwania. – Uśmiechnął się do niej pokrzepiająco.

Była mu za to wdzięczna. Uścisnęła jego dłoń.

– Czasami bywamy zaskoczeni tym, co okazuje się wyzwaniem... – odparła.

– To prawda. Życzę zatem udanego śniadania. No i do zobaczenia za parę godzin.

Magda, ku własnemu zaskoczeniu, nie czuła się najlepiej. Do tej pory jej organizm reagował, jakby nic się nie zmieniło, pozwalając jej unikać konfrontacji z faktami. Na śniadanie z trudem wmusiła w siebie odrobinę płatków owsianych. Lecz mimo że była słaba, kwestię samopoczucia spychała na dalszy plan. Miała inne rzeczy na głowie. Musiała być rano w mieście, licząc, że w sklepie pojawi się pan Wojtek.

Przed wyjściem z hotelu zadzwoniła do Roberta. Gdybym tego nie zrobiła, dobijałby się do mnie na pewno, pomyślała. A Magda pragnęła skupić się wyłącznie na sprawie, dla której tu przyjechała.

Od razu wyczuł, że ma dzisiaj gorszy dzień. Zapytał, czy źle się czuje, i już szykował się do reprimendy na temat jej pracoholizmu, kiedy Magda zrzuciła winę na trudną noc.

– Po okolicy biegало jakieś zwierzę, wydając dzikie odgłosy. Prawie nie zmrużyłam oka – poskarżyła się, starając się, by zabrzmieć naturalnie.

– A po co w ogóle tam tkwisz, skoro twoja bohaterka jest dzisiaj w Warszawie? – zapytał przytomnie.

– Sprawdzam pewien trop. Spotkałam się wczoraj z jej byłym mężem

i muszę coś wyjaśnić.

– Magda, prosiłem cię... – Robert zawiesił głos. – Cokolwiek to jest, zostaw to. Chyba nie chcesz namieszać jej w życiu na stare lata?

Nie mogę tego zostawić!, zirytowała się Magda. Nie chciała dłużej ciągnąć tej rozmowy.

– To byłoby nieprofesjonalne – powiedziała, sięgając po butelkę wody mineralnej. Schowała ją do torebki.

– Marzę o tym, żebyś była odrobinę mniej profesjonalna. Może wtedy...

– Może wtedy co? – rzuciła ostro.

– Spokojnie. Nie denerwuj się.

– Przestań mi ciągle mówić, co mam robić!

– Dobra, w tej chwili nasza dyskusja nie ma sensu – spasował Robert. – I tak zawsze robisz to, co uważasz za słuszne, prawda? Zadzwoń, jak poprawi ci się nastrój. Zaczynam współczuć tej pani Hedwig. Biedula najwyraźniej nie wie, co ją jeszcze czeka...

Magdą aż zatelepało. Biedna pani Hedwig?! Co ty możesz wiedzieć!, oburzyła się w duchu. Wiedziała, że potraktowała Roberta niesprawiedliwie, ale i on tak postąpił. A ja miałam powód!, zbuntowała się. On nigdy tego nie zrozumie! W dodatku Magda nie znosiła, kiedy wciąż przypomina jej o tym, o czym ona tak usilnie stara się nie myśleć. Udawała, że jeśli nie poświęci swojej ciąży zbyt wiele uwagi, to będzie trochę tak, jakby nie nastąpiła. A sugestia Roberta była jak wbijanie palców w tkliwe miejsce. Zmuszał ją do podjęcia dojrzałej decyzji.

Była na niego wściekła.

Teraz miała przed sobą inny cel. Pośpiesznie wyszła z hotelu, wsiadła w samochód i pojechała do centrum miasteczka. Zaparkowała przed sklepem, który dopiero co zaczął działać. Rozglądała się czujnie po okolicy w oczekiwaniu na starszego pana, który obsmarował Raisę w jej materiale, a potem przyszedł do bohaterki dnia z naręczem kwiatów. Wtedy współczuła pani Hedwig, lecz dzisiaj już nie była pewna, co właściwie o tym myśleć.

Na razie na ulicy było pusto. Niebo stało w błękicie, absolutnie bezchmurne. Zapowiadał się kolejny skwarny dzień, więc jeśli ktoś chciał załatwić cokolwiek, była na to najlepsza pora. Wciąż jeszcze było czym oddychać. Magda miała nadzieję, że pani Aneta zna obyczaje swoich klientów.

Po kwadransie oczekiwania zauważyła starszego pana zmierzającego dziarskim krokiem w stronę sklepu. Ucieszyła się i wysiadła z samochodu.

– Dzień dobry, czy mogłabym zająć panu chwilę? – zapytała, podchodząc.

– Pani Sajewicz? – zdumiał się. – Czy nie powinna być pani teraz z Raisą w Warszawie?

Magda poprawiła ześlizgującą się z ramienia torebkę.

– Życie pokazało, że powinnam być tutaj.
– Może chce mnie pani przeprosić za to, w jakim świetle ukazała mnie pani we wczorajszym materiale? Wyszedłem na zazdrosnego wariata o urażonej dumie.

A jaka jest prawda?, zastanowiła się Magda. Założyła włosy za ucho.

– Przykro mi, że poczuł się pan dotknięty. Ale tak to wczoraj wyglądało.

– A dziś wygląda inaczej?

– Proszę mi wierzyć, coraz częściej odnoszę wrażenie, że nic nie jest takie, jakim się wydaje. Przyjechałam tutaj z samego rana, żeby się z panem spotkać.

Mężczyzna wyprostował się, wyraźnie zadowolony, że Magda Sajewicz czekała specjalnie na niego. A ona zaprosiła go do auta. Po chwili otaczała ich morelowa woń nowego odświeżacza powietrza, który jeszcze wczoraj jej nie irytował. Teraz Magda zdjęła nerwowym ruchem saszetkę i wrzuciła do schowka. Pan Wojtek patrzył zaskoczony.

– Całkiem przyjemny zapach...

– Dla mnie już nie – ucięła i spojrzała poważnie. – Panie Wojciechu, zapytam prosto z mostu. Czy pamięta pan może to porażenie piorunem, które wydarzyło się na tutejszym jeziorze? To, którego doświadczyła pani Raisa?

– Pewnie, że tak – odparł, prostując plecy. – To znaczy, nie widziałem tego, ale swego czasu tylko o tym mówiło się w mieście.

Magda wstrzymała oddech.

– Zginął wtedy chłopak pani Raisy – podsunęła. – Pamięta pan, jak się nazywał? Podobno miał na imię Marcin.

Starszy pan się roześmiał.

– Czyżby poczciwa Raisa zapomniała nazwiska swojej pierwszej miłości?

Magda nie dzieliła tej wesołości. Patrzyła wyczekująco.

– Oczywiście, że pamiętam. Mam już swoje lata, ale pamięć jak dzwon. Imię się zgadza. To był Marcin Sobierajski. Pamiętam, bo kiedyś bardzo się o niego pokłóciliśmy... – Pan Wojtek wziął oddech, ale Magda weszła mu w słowo:

– Czy oni mieli dziecko?

– No co pani! Gdzie tam! Myślę, że zbyt szybko go piorun strzelił. Nic mi o tym nie wiadomo. Gdyby Raisa urodziła w tamtych czasach, w tak młodym wieku, wszyscy przecież by o tym wiedzieli. Skąd to pani w ogóle przyszło do głowy? – zapytał, wyraźnie rozbawiony. – Raisa była wyjątkowo niedotykalska. Wiem coś o tym.

Facet właśnie sobie wytłumaczył miłosne niepowodzenie, stwierdziła Magda w duchu.

– Rozumiem – powiedziała cicho. – A gdzie mieszkał ten Marcin? Może żyją jeszcze jego rodzice?

– W Dąbrowicy. Jego ojciec prowadził hurtownię materiałów budowlanych. No ale teraz bardzo wątpliwe, że żyje. Musiałby mieć ze sto lat.

– Dziękuję za te informacje. Sprawdzę je.

– To wszystko, co chciała pani wiedzieć?

– Tak. Pomógł mi pan trochę.

Pan Wojtek otworzył drzwiczki.

– Jeśli mogę coś doradzić, lepiej niech się pani już nie zajmuje Raisą. Ostatecznie to najbardziej pechowa osoba na świecie. Co dobrego może wyniknąć z kontaktu z nią?

– O ile dobrze pamiętam, jeszcze wczoraj chciał się pan z nią związać...

– Niespodziewany poryw sentymentu. Jak będzie pani w moim wieku, to zrozumie, jak to działa. – Starszy pan zrobił ruch, jakby chciał wysiąść, ale zrezygnował. – A może też i wyrzuty sumienia? Kiedyś w pewnym liściku napisałem jej coś niemiłego. Choć pewnie ona nawet tego nie pamięta.

Magda skinęła głową. Wyrzuty sumienia pana Wojtka nie bardzo ją interesowały.

Pożegnali się, a ona spojrzała na mapę.

Dąbrowica znajdowała się niedaleko. Nie było na co czekać.

Magda wyjechała z parkingu wiedzona poczuciem obowiązku, ale bez złudzeń. Prawdopodobieństwo, że któreś z rodziców Marcina Sobierajskiego żyje, było nikłe.

W niewielkiej typowo letniskowej miejscowości aż roiło się od plażowiczów. Nic dziwnego, lipiec, westchnęła Magda w duchu, jadąc powoli główną drogą, w poszukiwaniu kogoś, kto wyglądałby na tutejszego. Wiedziała, że powinna wypatrywać starszych mieszkańców.

Skrajem jezdni podążała na rowerze kobieta w słomkowym kapeluszu. Pedałowała energicznie, z takim zapamiętaniem jak kolarz finiszujący na etapie Tour de France.

Rowerzystka z pewnością nie była stara, na oko miała jakąś sześćdziesiątkę, ale Magda postanowiła spróbować szczęścia. Opuściła szybę.

Kobieta przystanąła i spojrzała przepraszająco.

– Zapewne szuka pani kwatery, ale muszę panią zmartwić. W okolicy wszystko już pozajmowane.

– Nie o kwaterę mi chodzi. Chciałam zapytać, czy gdzieś w pobliżu mieszkają państwo Sobierajscy.

Starsza pani poprawiła kapelusz.

– Pan Sobierajski – uściśliła.

– Naprawdę? – ucieszyła się Magda.

Kobieta już chciała wskazać drogę, ale się zawahała.

– A kim pani jest? Proszę wybaczyć, ale w dzisiejszych czasach...

Magda w pierwszej chwili osłupiała; od lat nie zdarzyło się jej, że nie została rozpoznana. Natychmiast jednak uznała to za miłą odmianę, zwłaszcza że w tej

chwili jej to pasowało.

– Jestem dziennikarką. Chciałabym zadać mu kilka pytań.

– A to zapewne z okazji zbliżającego się jubileuszu? – uśmiechnęła się rowerzystka. – Sto lat! Piękny wiek, prawda? A najpiękniejsze jest to, że umysł pan Włodzimierz ma wciąż jak żyleta. Na pewno ucieszy się z odwiedzin. Tutaj zaraz skęci pani w lewo. – Wskazała nieodległą boczną drogę. – Drugi dom po prawej stronie.

Magda podziękowała za pomoc i po chwili zaparkowała przed parterowym domem, oplecionym bujnym bluszczem. Przy płocie dumnie prężyły się malwy. Na ławce przed domem spały w słońcu dwa koty. Na widok takiego obrazka nie sposób było się nie uśmiechnąć – posesja wyglądała zupełnie jak stare wiejskie siedliska na filmach o dawnych czasach. Dom Raisy też miał swoje lata, ale był elegancki i klasyczny, ten tutaj zaś prosty, bezpretensjonalny i sielski. W budownictwie od lat dominowały nowoczesne trendy, wszędzie rosły jednakowe szklane klocki. Ulegli im również Magda z Robertem, bo ona zapragnęła, jako nowoczesna prężna kobieta, zamieszkać w miejscu odzwierciedlającym jej charakter. Ale teraz, pod domem pana Sobierajskiego, stwierdziła zaskoczona, że jego archaiczna forma wywołuje w niej ciepłe uczucia. Miejsce kojarzyło się jej z relaksem i spokojem. Wszystkim, na co nie miała czasu w codzienności. A może sobie na to zwyczajnie nie pozwalam?, pomyślała, wchodząc przez skrzypiącą furtkę.

Gdy podeszła do pomalowanych na zielono drzwi, koty na chwilę uchyliły ciężkie powieki. Nie uznały jednak gościa za wystarczającą atrakcję, żeby zainteresować się nim bardziej.

Magda zapukała do drzwi.

– Idę, już idę – usłyszała męski głos w głębi domu.

Po chwili zobaczyła chudziutkiego mężczyznę w błękitnej koszuli i lnianych spodniach. W ręce trzymał książkę, której lekturę przerwała zapewne niespodziewana wizyta. Patrzył z zaciekawieniem.

A do Magdy dotarło, że nie wie, od czego zacząć. Do tego zdała sobie sprawę z wieku gospodarza i zaczęła obawiać się jego reakcji.

– Magda Sajewicz, dziennikarka – przedstawiła się. – Chciałabym zadać panu kilka pytań o pańskiego syna – wykrztusiła.

– O Marcina? Przecież on, biedak, nie żyje już od lat. Jakie jeszcze sprawy może mieć na tym świecie?

– Kojarzy pan Raisę Hedwig?

– Jedyna Raisa, jaką znałem, nazywała się Lechowicz. I była dawno temu dziewczyną mojego Marcina.

– Właśnie o nią mi chodzi.

– W takim razie proszę wejść – zaprosił staruszek.

– Wie pan, że wybrano ją na najbardziej pechową osobę na świecie?

Pan Sobierajski otworzył szeroko oczy.

– Poważnie? Nie, o niczym takim nie słyszałem. Odkąd zaprzestano przekazów telewizyjnych, mój świat zmniejszył się do Dąbrowicy. I powiem pani, że mi to w zupełności wystarcza. Teraz głównie czytam książki. – Wskazał na egzemplarz w twardej oprawie, który trzymał w ręce. – W starej papierowej formie. Nie uznaję żadnej innej. – Poprowadził Magdę do salonu dość wąskim korytarzem, na którego ścianach tłoczyły się rodzinne fotografie. – To o tym chciała pani porozmawiać? O jej pechu? No tak. Raisa była wtedy z moim synem na łódce. Tyle że, zdaje się, to on wówczas miał większego pecha. Bardzo się kochali. Byłem pewien, że kiedy się pobiorą. Piękna był z nich para.

Magda słuchała uważnie, choć nabierała coraz większego przekonania, że nie będzie to łatwa rozmowa.

Salon dobitnie potwierdzał słowa gospodarza o miłości do papierowych książek. Jego biblioteczka zajmowała wszystkie ściany, nie licząc tej, pod którą stała mocno sfatygowana sofa. Przez wysokie okna wkradało się do pokoju jasne światło, znacząc smugi na starej drewnianej podłodze i dywanie.

Magda usiadła na sofie, a gospodarz obok, w fotelu z wytartym podłokietnikiem. Odłożył książkę. *Zbrodnia i kara*, zauważyła Magda. Tytuł niezłe wpisuje się w sprawę, z którą przyszłam, stwierdziła.

– Lubi pan Dostojewskiego? – zagadnęła.

– Nie wiem, który raz już to czytam. Mimo że dobijam setki, nieustannie zadziwia mnie ludzka natura.

– Mnie również. – Magda popatrzyła niepewnie. – Nie chciałabym burzyć pana spokoju, ale wczoraj robiłam materiał o pani Raisie – zaczęła. – Przy okazji dowiedziałam się o pewnej sprawie z jej życia, którą pominęła w naszych rozmowach.

– Chyba nie musiała się pani spowiadać ze wszystkiego?

– Pewnie nie. Ale ta sprawa jest dość przejmująca. Łączy się z pańskim synem.

– Z moim synem? Nie wiem, o co może chodzić. Może pani mówić jaśniej?

– Staruszek poruszył się nerwowo w fotelu. – Za stary już jestem na zgadywanki.

– Proszę się nie denerwować.

– To proszę mówić konkretnie – zirytował się.

– W porządku, zapytam wprost. Czy Raisa i Marcin mieli dziecko?

Pan Sobierajski popatrzył w taki sposób, jakby Magda nagle przemówiła w niezrozumiałym języku. Zamarł na chwilę.

– Skąd pani to przyszło do głowy? – zapytał w końcu.

– Od pewnego informatora.

– A skąd ten ktoś ma takie wiadomości?

– Podobno od samej Raisy.
Staruszek uciekł spojrzeniem.
– Kiedy młodzi byli ze sobą, nic takiego się nie zdarzyło. Zapytała ją pani o to?

– Tak. Ale ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła.
Na twarzy gospodarza odmalowała się złość.
– Chyba wiedziałbym, gdybym miał wnuka albo wnuczkę!
– Rozumiem pana wzburzenie... – spróbowała Magda łagodnie.
– Nic pani nie rozumie! Oddałbym za to wszystko. Oddałbym wszystko, żeby tak było! – Głos pana Sobierajskiego zadrzał. – Może?... – Zamyślił się. – Byli wtedy młodzi. Może przydarzyło im się i... Ale to niemożliwe. Mój syn nigdy nie zgodziłby się na aborcję!

– To nie tak. – Magda pokręciła głową. – Podobno dziec-ko przyszło na świat.

– A pomyślała pani może, że ten pani informator chce zwyczajnie zaszkodzić Raisie?

– Ten ktoś rzeczywiście może mieć ukryte pobudki, ale sprawa nie wygląda na wyssaną z palca. Czuję się w obowiązku dotrzeć do prawdy.

– I z powodu tego poczucia obowiązku przychodzi pani teraz do mnie? Do starca, który sądził, że wie o swoim życiu wszystko? I który chce tylko w spokoju doczekać swoich dni? Czuje się pani uprawniona, żeby wywrócić moje życie do góry nogami?

– Może to tak wyglądać, jednak... – Magda poczuła narastające wzburzenie.
– Nie tylko o pana w tym chodzi! – uniosła się. – Wiele lat temu zostało wywrócone do góry nogami życie dziecka! Taka jest prawda! I nie można tego tak po prostu zostawić!

Starszy pan zamknął oczy i zadrzał.

– Od zawsze podejrzewałem, że prawda jest przereklamowana...

– Przereklamowana? Być może żyje gdzieś pana wnuczka!

– Czyli to dziewczynka? – mruknął gospodarz pod nosem.

Magda skinęła głową z nadzieją, że zrozumiał.

– Naprawdę uważa pani, że będzie mi łatwiej umierać ze świadomością, że ją mam? – usłyszała.

Na elegancko nakrytym stole pyszniły się wspaniałości, które prezydentowi z trudem przechodziły przez gardło. Wiedział, że powinien jeść, bo tak wypada, ale nie pozwalały mu emocje. Oczywiście powinien poświęcać najwięcej uwagi gościowi honorowemu, czyli Rasie Hedwig, ale tak się ucieszył na widok Janka Kuźbika, że powód śniadania stał się drugorzędny.

Nowaczyk nie przespał nocy, martwiąc się, czy nowy znajomy nie zmieni zdania i nie wróci na most, gdzie jednak zrobi użytek z porzuconych cegieł.

Obawiał się również trochę drażenia przyczyny pojawienia się nieznanego gościa na śniadaniu. Na szczęście decyzji prezydenta nikt nie miał w zwyczaju podważać.

Janek zjawił się w swoim jedynym garniturze, przejęty i podekscytowany, czego nie można było powiedzieć o Raisie. Siedziała przy stole spokojna i cicha. Kosztowała kolejnych dań, doceniła cudowne jajka po benedyktyńsku i odpowiadała uprzejmie na pytania. Żeby nie wyjść na nieokrzesaną, starała się od czasu do czasu zagadywać prezydenta, jego żonę albo sąsiada obok, mężczyznę o imponującym apetycie. Został przedstawiony Raisie jako gość specjalny głowy państwa. To właśnie on wykazywał największe zainteresowanie jej życiorysem.

– Naprawdę przeżyła pani i tę katastrofę na morzu, i atak w muzeum? Trochę poczytałem przed przyjściem – pochwalił się.

– Właśnie między innymi dlatego dzisiaj tutaj jestem – odparła z nieśmiałym uśmiechem.

Starała się sprawiać wrażenie, że jest obecna przy stole i duchem, i ciałem, ale nie opuszczała jej myśl, że podczas gdy ona zajada wytworne śniadanie, gdzie indziej trwa dziennikarskie śledztwo, które może doprowadzić do kolejnej katastrofy w jej życiu.

Janek Kuźbik sięgnął po szklanekę ze świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym i upił łyk.

– Musi być pani bardzo silną osobą, skoro wyszła z tego wszystkiego obronną ręką i się nie poddała – zauważył.

– Za to właśnie panią wyróżniliśmy – zwrócił się do Raisy prezydent. – Za typowo polski hart ducha w obliczu trudności.

– Bardzo doceniam ten gest, choć nie miałam wielkiego wpływu na te wydarzenia.

– Ale miała pani wpływ na swoją wobec nich reakcję. – Prezydent spojrzał wymownie na Kuźbika, aby upewnić się, czy ten zrozumiał aluzję.

– Panie prezydencie, a jakie miałam wyjście? Sta-rałam się po prostu przetrwać i żyć dalej – odparła Raisa.

– O, z pewnością! Ale równie dobrze mogła pani się poddać. A w pewnym momencie pomyśleć nawet o samobójstwie.

Raisa spojrzała zaskoczona. Głowa państwa była dzisiaj wyjątkowo radosna. Nigdy go takim nie widziałam w mediach, pomyślała. Czy ma naprawdę udany dzień, czy może dziennikarze przedstawiają go innym, niż jest w istocie? Dziwiła ją swoboda, z jaką prezydent mówił o trudnych sprawach. Dobrze pamiętała, jak po śmierci Marcina chciała ze sobą skończyć. Ten jeden jedyny raz rozpatrywała taką możliwość na poważnie. Później zbyt często ocierała się o śmierć, by się do niej wrywać.

– Nie ma co się śpieszyć do tego, co i tak nas dopadnie – podsumowała.

Prezydent uniósł wymownie brwi. Uśmiechnął się do Raisy, a potem

przeniósł wzrok na jej sąsiada.

– Sam bym tego lepiej nie ujął. Wzniesmy zatem toast za życie – zaproponował. – Za odważne życie!

– A czy pan żyje odważnie, panie prezydencie? – zapytał Janek Kuźbik, już nieco zmęczony ciągłymi aluzjami do siebie.

Zdecydowanie odbierały mu przyjemność z kosztowania tych wszystkich pyszności na stole. Tym bardziej że wczoraj aż nazbyt jasne stało się dla niego, że nie tylko on czuje się niepewnie w swoim życiu.

Nowaczyk roześmiał się nerwowo. Jego żonę najwyraźniej zainteresował poruszony wątek.

– Zadaje pan ryzykowne pytania – zwróciła się do Kuźbika.

Choć nie miała pojęcia, kim jest ten człowiek, w tym momencie go polubiła.

Prezydent sięgnął po wodę.

– Pewnie nie zawsze, ale się staram.

Typowa asekuracyjna odpowiedź, pomyślała Małgorzata Nowaczyk, uśmiechając się pod nosem.

– A pani jak sądzi? – Gość odłożył sztućce na brzeg talerza. – Samobójstwo to akt odwagi czy tchórzostwa?

Prezydent zamarł. Nie życzył sobie, aby ktokolwiek dowiedział się, w jaki sposób się poznali, tymczasem robiło się niebezpiecznie.

Prezydentowa odstawiła filiżankę.

– Zdecydowanie tchórzostwa. Ale potrafię zrozumieć, że ktoś się na nie decyduje. Czasami życie potrafi przytłoczyć, szczególnie mniej odporne jednostki. Mogę zatem wyobrazić sobie sytuację, gdy taka decyzja przyniesie ulgę.

– A może to tylko wołanie o pomoc, gdy bliscy nie dostrzegają dramatu? – podsunął Kuźbik.

Nowaczyk odchrząknął i spojrzał na Raisę z nadzieją, że ta zmieni temat. Zbeształ się w myślach za toast, który być może przycisnął Janka do muru.

– Co pan ma na myśli? – zapytała jego żona.

Raisa popatrywała to na sąsiada, to na prezydentową, coraz bardziej zaskoczona konwersacją. Czy oni sugerują, że powinnam ze sobą skończyć?

Janek uśmiechnął się, zadowolony, że prezydentowa okazuje zainteresowanie tym, co on ma do powiedzenia.

– Weźmy na przykład naszego szanownego pana prezydenta. Odgrywa ważną rolę w państwie, wydaje się silnym człowiekiem. Zapewne wzbudza szacunek i respekt u swoich współpracowników i rodaków. A co, jeśli pod powierzchnią kryje się coś zupełnie innego? Może czuje się niezrozumiany i niedoceniony? Może nawet niekochany. Teoretycznie możliwe, prawda?

– Wolalbym nie służyć jako przykład do teoretycznych rozważań – odparł ostro prezydent.

I poczuł, że być może popełnił błąd, zapraszając na śniadanie, pod wpływem współczucia, jakiegoś desperata. A jeszcze większy, odsłaniając się przed nim.

– Pana słowa są zaskakujące – zwróciła się do Kuźbika prezydentowa. Muszę się o nim dowiedzieć czegoś więcej, postanowiła. Ciekawe, czy jego obecność to nie jakaś zagrywka mojego męża? – Ale skoro już sobie tak dywagujemy, uważam, że dojrzały człowiek powinien prosić o pomoc wprost. Straszenie samobójstwem ma znamiona emocjonalnego szantażu.

– Po co poruszamy takie tematy? – wtrąciła Raisa, wyczuwając, że atmosfera przy stole gęstnieje.

Nowaczyk popatrzył na nią z wdzięcznością. Choćby tylko za to zdanie należy się jej odznaczenie, stwierdził w duchu.

– Przecież nikt z tutaj siedzących nie zamierza się zabić – ciągnęła. – A już na pewno nie ma po temu powodów, prawda? Jesteśmy w pięknym wnętrzu, we wspólnym towarzystwie i jemy wyborne dania. Czego chcieć więcej?

Prezydent odetchnął.

– Myślę, że warto posłuchać pani Raisy. Z pewnością najlepiej wie, co jest w życiu najważniejsze. I jak się tym życiem cieszyć. Udowodniła to wielokrotnie.

Kuźbik potarł dłonie.

– A co by pani powiedziała, gdyby dowiedziała się, że jeszcze wczoraj chciałem skoczyć z mostu? – zwrócił się do Raisy.

Przełknęła ślinę.

– Co bym powiedziała? Że dobrze, że pan tego nie zrobił. Bo straciłby pan okazję do skosztowania tych pysznych jajek.

Para prezydencka roześmiała się, choć dość nerwowo.

– Jednym słowem, warto żyć dla jajek – podsumował Kuźbik, patrząc na talerz, na którym zółcił się sens życia. – Niech pani to powie ludziom w desperacji... Panie prezydencie, kosztował już pan?

– Nawet jeśli nie dość wzniosły, to dla mnie wystarczający powód – podsumowała Raisa.

Zawsze wyobrażała sobie, że podobne spotkania toczą się wokół zupełnie innych tematów. Ale, jak widać, moja wyobraźnia nie jest zbyt bujna, pomyślała.

Nowaczyk patrzył w napięciu na Janka. Wczoraj chciał mu pomoc. Wierzył, że jeżeli zaprosi go na dzisiejsze śniadanie, będzie to wsparcie dla niego, wyróżnienie, impuls do zmian. A on najwyraźniej poczuł, że mają ze sobą coś wspólnego, i chciał pociągnąć go za sobą na dno.

Na szczęście najwyraźniej spasował, a jego uwaga skupiła się na pochłanianiu jajek po benedyktyńsku i kruchej tarty z borówkami.

Prezydent z ulgą, tak jak powinien to zrobić już wcześniej, poświęcił większość uwagi Raisie. Próbował się dowiedzieć, jak obecnie wygląda jej życie, czy dobrze się jej mieszka w Bornem Sulinowie.

– Nigdy tam nie byłem – oświadczył. – A to takie ważne, z punktu widzenia naszej historii, miasto.

Raisa rozluźniła się nieco i ożywiła wyraźnie, opowiadając o urokach ukochanej miejscowości. Mówiła tak sugestywnie, że Nowaczyk aż nabrał ochoty, aby tam zawitać.

– To wymarzone miejsce na spokojne życie – skwitowała. – Choć mnie to ciągle różnie wychodzi – dodała nieco ciszej, jakby tylko do siebie.

Po kawie wszyscy przeszli do Sali Kolumnowej, gdzie miała odbyć się oficjalna część spotkania. Czekali już na nich dziennikarze, gotowi udokumentować uroczys-tość. Raisa stanęła we wskazanym miejscu, na zielonym dywanie, naprzeciwko ściany, gdzie pod godłem ustawiono polską flagę. Po lewej i prawej widziała zielone kolumny, od których pomieszczenie zapewne wzięło nazwę.

Poczuła dreszcz emocji. Starła skupić się na obrazach wiszących na odległych ścianach, ale wzrok już nie był taki jak kiedyś. Widziała jedynie zamazane plamy. W dalszym ciągu kochała malarstwo, ale po wydarzeniach w madryckim muzeum jakby odrobinę mniej. Nie potrafiła opanować nieprzyjemnych wspomnień.

Nie potrzebowała jednak sokolego wzroku do podziwiania imponującego dziewiętnastowiecznego żyrandola pośrodku sufitu. Po bokach sali, między kolumnami znajdowało się również kilka mniejszych, ale tylko „księżniczka” zwracała powszechną uwagę. Żyrandol nazywany był tak ze względu na kształt, który przypominał księżniczkę w koronie i krynolinie. Składał się z pięciu obręczy, na których umocowano sto pięćdziesiąt sześć żarówek. Obręcze połączono misternymi łańcuchami z trzech tysięcy sześciuset kryształów. Jakże wielu wydarzeniom towarzyszył, pomyślała. Podpisywano pod nim Układ Warszawski i prowadzono obrady Okrągłego Stołu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku. A teraz świeci nade mną, kiedy odbieram odznaczenie za nic, pomyślała Raisa, przepraszając w duchu historię za tę niestosowność.

Światła fleszy oślepiały.

Prezydent w otoczeniu pracowników kancelarii podszedł do mikrofonu i powitał zgromadzonych.

– Szczególnie gorąco pragnę powitać panią Raisę Hedwig. Niezwykłą kobietę, która została wybrana przez WHO i Human Resources Institute na najbardziej pechową osobę na świecie. Wczoraj rozmawiałem o tym z prezydentem Francji Jakiem Girardem. Mimo że jedno z wyróżnień otrzymał również przedstawiciel narodu francuskiego, pan Girard nie krył podziwu dla hartu ducha, determinacji i odwagi naszej rodaczki. Na to właśnie chciałbym zwrócić państwa uwagę. Raisa Hedwig doświadczyła w życiu traumatycznych wydarzeń – podkreślił z mocą. – W dodatku w takiej ilości, że można by nimi obdzielić

niejeden życiorys. Większości z nas nic podobnie trudnego nie przytrafia się przez całe życie, a mimo to bywa, że ono nas łamie.

Stojący obok dziennikarzy Janek Kuźbik spojrzął czujnie. Jacek Nowaczyk zrobił znaczącą przerwę i powiódł wzrokiem po sali.

– Postawa pani Raisy jasno pokazuje, że powinniśmy kroczyć przez życie z podniesioną głową. Mimo przeciwności brnąć do przodu! Nie poddawać się naciskom! Być sobą, walczyć o to, co dla nas ważne, co nas uszczęśliwia i... – Wziął głęboki oddech. – ...Cieszyć się drobnostkami. Dzisiaj przy śniadaniu, które miałem przyjemność zjeść w towarzystwie pani Hedwig, stwierdziła ona, że sensem życia mogą być choćby pyszne jajka po benedyktyńsku. Odruchowo możemy pomyśleć, że to śmieszne, ale tak naprawdę tkwi w tym stwierdzeniu głęboki sens. Chodzi właśnie o te wszystkie drobne, codzienne rzeczy, o których zbyt często zapominamy, goniąc za czymś, czego nie dogonimy nigdy. Albo za czymś, za czym w ogóle nie warto jest gonić.

Prezydent zmiął kartkę z przemówieniem przygotowanym przez Walczaka, z której nie korzystał. Po raz pierwszy w swojej kadencji mówił z głowy, od siebie. Dostrzegł, że dziennikarze nie ziewają jak zwykle, a słuchają uważnie. Małgorzata wpatrywała się w niego wyraźnie skonsternowana. A drobna staruszka stała pośrodku sali bardzo zakłopotana, z wyraźnie poczerwieniałymi policzkami.

Prezydenta poniosło wzruszenie, niczym rozłożyste skrzydła orła z narodowego godła. To spostrzeżenie spłoszyło go nieco, nigdy dotąd bowiem nie słuchał emocji i nigdy za nimi nie podążał. Obawiał się nawet, dokąd mogą go zaprowadzić.

Spojrzął na Walczaka, który stał w rogu sali, kryjąc się za kolumną; sekretarz słyszał, że słowa Nowaczyka nie pokrywają się z tym, co dla niego napisał, więc podejrzewał, że znów czeka go reprymenda. I może słusznie?, myślał wsparty o zimny marmur. W moim tekście nie było za grosz emocji. No cóż, starałem się pisać jak zwykle...

– Właśnie za tę pełną umiłowania życia postawę, która może być wzorem dla wszystkich rodaków, za pokazywanie, jak godnie przejść przez życie mimo przeciwności losu, chciałbym dzisiaj odznaczyć panią Raisę Hedwig.

Raisa gotowała się z zażenowania. Płomienna przemowa była budująca, tyle że ona nie czuła się tak niezłomną, jak mówił prezydent. Wyobraziła sobie, jak dumne mogą być z niej teraz jej dzieci i wnuki, i poczuła się jeszcze gorzej. Miała świadomość, że jest na tym świecie jedna osoba, która nie ma powodów do dumy. A może Magda Sajewicz ma rację?, dumiała. Może dokopała się do mojego prawdziwego ja szybciej niż ja sama. Gdybym była taka, jaką przedstawia mnie prezydent, zdobyłabym się na siłę i odwagę, by wziąć odpowiedzialność za własną córkę. I jeszcze wplątałam w to biedną Edytę. Taka to jestem wspaniała!, podsumowała ten rachunek sumienia.

Stojąca przy drugim mikrofonie przysadzista brunetka w czarnej garsonce obwieściła oficjalnym tonem:

– Postanowieniem prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, pana Jacka Nowaczyka, za wybitne zasługi na rzecz propagowania siły, odwagi i hartu ducha w narodzie oraz rozślawienie Polski na świecie, odznaczona zostanie Krzyżem Zasługi obywatelka Rzeczypospolitej Polskiej pani Raisa Hedwig.

Rozległy się brawa, a oczy obecnych spoczęły na wyróżnionej. Prezydentowi podano odznaczenie. Raisa nieco niepewnie ruszyła w jego kierunku. To samo zrobił Nowaczyk. Spotkali się w połowie sali, tuż pod okazałym żyrandolem. Prezydent pogratulował Raisie i wpiął order w niebieski materiał sukienki. Ujął jej dłoń i skłonił się, by ją pocałować.

Dokładnie w tej samej chwili zgromadzeni usłyszeli zgrzyt, a Raisa pomyślała, że jest to dźwięk adekwatny do sytuacji. Zgrzyt powtórzył się, gdy prezydent wypuścił z uścisku jej dłoń. Zanim jednak zorientowano się, co się dzieje, było już za późno na reakcję. Z brzękiem kryształu, pękających żarówek i łomotem metalowych obręczy „księżniczka” runęła na posadzkę.

Salę Kolumnową wypełnił krzyk przerażonych ludzi.

Raisa leżała na dywanie, czując na sobie ogromny ciężar. Miała przygniecione nogi, nie mogła się ruszyć. Natychmiast podbiegli do niej dziennikarze.

– Na Boga! Wyciągnijcie prezydenta! – grzmiał przerażony Walczak, biegnąc wokół zniszczonej konstrukcji.

Początkowo oniemiała z przerażenia, Małgorzata Nowaczyk pierwsza rzuciła się na pomoc, usiłując wśród kryształowych okruchów dojrzeć twarz męża.

– Matko, Jacek! Nic ci nie jest? – wołała w amoku, na próżno oczekując odpowiedzi.

Ochroniarze odciągnęli prezydentową na bok. Obecni na sali mężczyźni wspólnymi siłami zdjęli z Raisy i prezydenta żyrandol. Ona miała wprawdzie podrapane do krwi nogi, lecz mogła nimi ruszać. Była poobijana i w szoku, ale poza tym wydawało się, że nie doznała poważniejszych obrażeń. On natomiast leżał na zielonym dywanie nieprzytomny.

Kiedy zabierano Raisę do szpitala, wszystkie media na żywo relacjonowały dramatyczne wydarzenie. Gdy dwóch ratowników ostrożnie wprowadzało ją do karetki, kamery robiły zbliżenia na jej twarz. Znacznie gorzej miał się prezydent, co bardzo mocno podkreślali zaafierowani reporterzy. Raisa ze zgrozą patrzyła, jak wynoszono go na noszach. Miał pokiereszowaną twarz, całą w ranach ciętych, w których tkwiły odłamki kryształów.

– To nie dzieje się naprawdę... – wymamrotała, z trudem powstrzymując wzbierający płacz.

Personel kancelarii był w zbyt wielkim szoku, by wypowiadać się składnie,

choć tego właśnie oczekiwali dziennikarze.

Policja od razu zabezpieczyła miejsce wypadku. Wezwano kierownika pionu technicznego, by sprawdzić, kiedy ostatnio przeprowadzono konserwację żyrandola. Dzięki specjalnemu mechanizmowi „księżniczkę” można było opuszczać i podnosić, więc być może uległ awarii któryś z jego elementów?, snuto przypuszczenia.

Nikt nie chciał być teraz w skórze Piotra Skotnickiego, odpowiedzialnego za techniczną obsługę pałacu. Zaczęto już bowiem spekulować o zamachu na życie prezydenta. Ta wizja rozgrzewała do czerwoności wyobraźnię dziennikarzy.

Jedyną osobą, która zadziwiająco chłodno podchodziła do całego wydarzenia, był stojący nieco na uboczu Janek Kuźbik. Wyłowiło go z zamieszania bystre oko jednej z reporterek.

– Udzieli mi pan wywiadu? – zapytała, podchodząc.

Janek przyglądał klapy garnituru i zgodził się bez wahania. Miał nadzieję, że jego brat wraz z byłą żoną śledzą dzisiejszą relację. Dziennikarka dała znak operatorowi i podsunęła mikrofon.

– Był pan świadkiem tego dramatycznego wypadku. Zapewne słyszał pan sugestie o zamachu na prezydenta. Jak pan myśli, czy to może być prawdą?

– Ależ gdzieś tam!

– Skąd ta pewność?

Kuźbik spojrział odważnie w kamerę.

– To mogło być samobójstwo – oświadczył poważnie.

– Słucham?! – Dziennikarka roześmiała się mimowolnie. – Przecież to brzmi niedorzecznie!

– Nedorzecznie czy dorzecznie, prezydent miał powody, żeby ze sobą skończyć.

– Z jakiego źródła ma pan tę informację?

– Od niego. Proszę też zapytać panią prezydentową. Podejrzewam, że może ona bardziej naświetlić tę sprawę.

– Przepraszam, a kim pan właściwie jest? Panie...? – Kobieta zorientowała się, że w ferworze wydarzeń nie zapytała o nazwisko.

– Kuźbik – odparł. – Janek Kuźbik. Nie jestem nikim szczególnym, proszę pani. I chyba pierwszy raz w życiu jestem z tego zadowolony. – Wyszczrzył się do kamery.

– Dlaczego pan tak twierdzi? – zapytała zaintrygowana.

– Bo jeśli zechcę ze sobą skończyć, będzie to wyłącznie moja sprawa.

Rozdział 13

Magda wracała do Bornego w nie najlepszym nastroju. Pozostawiła pana Sobierajskiego zupełnie rozbitego i wcale nie była z tego powodu dumna. Choć czuła, że działa w dobrej wierze.

Mimo wszystko liczyłam na zbyt wiele przed tym spotkaniem, doszła do wniosku.

Sądziła, że dowie się od starszego pana czegoś nowego, a tymczasem została posłańcem z niekoniecznie chcianą nowiną.

Wyglądało na to, że tak naprawdę istnieje tylko jedna osoba, nie licząc samej Raisy, która może znać prawdę. A przynajmniej jej część. Czy jednak przyjaciółka pani Hedwig zechce współpracować?

Magda minęła tabliczkę z napisem „Borne Sulinowo”. Do cholery!, uderzyła dłonią w kierownicę. Znam się przecież na swojej robocie! Nie przez przypadek mam taką, a nie inną opinię w środowisku!

Zjechała na pobocze i uruchomiła hologram. Wybrała numer burmistrza. Widziała, jak śmiały mu się do niej oczy i jak bardzo było mu przykro, że zmarła w jego gabinecie. Była pewna, że jeśli go poprosi, dostanie adres Edyty Niemirskiej.

– Pani Sajewicz – powiedział burmistrz, odbierając połączenie. – Dzwoni pani zapewne w sprawie tego wypadku. – Wypuścił ciężko powietrze. – To straszne! Jeszcze przedwczoraj robiła pani materiał o pani Hedwig, a dzisiaj znowu to!

– O jakim wypadku pan mówi?

– Nie słyszała pani? Dzisiaj w pałacu prezydenckim podczas uroczystości na cześć pani Raisy spadł ogromny żyrandol. Prezydenta i panią Hedwig zabrano do szpitala. O ich stanie lekarze jeszcze nie informują. Według relacji dziennikarzy pani Raisa wyszła z pałacu poturbowana, ale o własnych siłach. Prezydent natomiast stracił przytomność.

Magda siedziała oszołomiona. W głowie miała gonitwę myśli. Spadł żyrandol? Jak to?, myślała w popłochu. Doskonale wiedziała, że chodzi o „księżniczkę”. Najszynniejszą w kraju i z pewnością nienależącą do lekkich.

– Nie śledziłam informacji. Zajmowałam się inną sprawą – odparła przejęta.

– Teraz próbują dociec, jak mogło dojść do tej katastrofy.

Magda potarła czoło.

– Mam nadzieję, że oboje wyjdą z tego wypadku bez szwanku – powiedziała.

– Ja też. W końcu pani Raisa to najznamienitsza mieszkanka Bornego.

– Czy mógłby mi pan podać adres pani Edyty Niemirskiej? – Magda przeszła do rzeczy.

– Oczywiście. Myślę, że ktoś powinien jej delikatnie o tym powiedzieć. Jeśli ona jeszcze o niczym nie wie, rzecz jasna. Zaraz go pani podeślę.

Dopiero gdy się rozłączała, Magda zauważyła mnóstwo nieodebranych połączeń. No tak, przełączyłam telefon w stan uśpienia na czas wizyty u pana Sobierajskiego, pomyślała. Większość pochodziła z redakcji, w tym kilka od szefa.

Zadzwoiła do Mrozowickiego, który polecił jej, aby natychmiast porzuciła tajemniczą sprawę, którą się zajmuje, i powróciła do głównego tematu Raisy Hedwig.

– Relację z pałacu obsługiwała wprawdzie Daria, ale to ty powinnaś pociągnąć sprawę – powiedział.

Magda zagryzła wargi.

– Szefie, są ważne powody, dla których nie mogę się tego podjąć.

– A to ciekawe! – ironizował Mrozowicki. – A jakież to?

– Badam pewien wątek związany z życiem pani Raisy właśnie. I z pewnych względów nie powinnam jechać do tego szpitala...

– Skoro sprawa ma związek z Hedwig, tym bardziej powinnaś tam pojechać.

Magda oparła ramiona na kierownicy. On nie może mi tego zrobić!, zbuntowała się.

– To nie takie proste – obstawała przy swoim. – Szefie, nigdy o nic nie prosiłam, ale teraz to zrobię. Proszę, aby sprawę wypadku przejęła Daria. Tym bardziej że jest na miejscu.

Mrozowicki sapnął.

– Nie podoba mi się to. Ale niech będzie. Mam nadzieję, że chociaż warto?

– Warto. Z pewnością. Zapewniam pana, że pani Hedwig nie jest taką ofiarą losu, na jaką jest kreowana.

– Chyba nie widziałaś dzisiejszych relacji! Ale dobra, rób, co masz robić! Liczę na dobry materiał! – rzucił i się rozłączył.

Magda wiedziała, że jest wkurzony, ale w tej chwili emocje szefa nie bardzo ją zajmowały. Usłyszała dźwięk nadchodzącej wiadomości, a w niej adres Edyty Niemirskiej. Burmistrz dobrze się spisał.

Wykorzystałam dramatyczną chwilę i być może to nie w porządku, ale nie ja jedna postępuję w ten sposób, rozgrzeszyła się Magda.

Bernard wstał rześki jak nigdy. Czuł nawet, że życie może jeszcze mieć urok. Zaparzył sobie kawę i ugotował owsiankę na wodzie, która smakowała lepiej niż zazwyczaj. Ubrał się też bardziej odświętnie, w elegancką białą koszulę i jasne spodnie od garnituru. Wszystko po to, by odpowiednio podjąć dobijających się do niego dziennikarzy. Był pewien, że każdy zechce poznać prawdziwe oblicze jego siostry.

Wreszcie ukazał się wyczekiwany przez niego artykuł na pierwszej stronie Mopsika, opatrzony zdjęciem. Po lewej było ujęcie Raisy, która wyraźnie zadowolona wybiera sukienki, po drugiej zaś jego, siedzącego w przyciemnionym pokoju, w fotelu, z miną zbitego psa. Nad tą fotografią pracowali wczoraj z Morągiem do późna; uzyskanie takiej miny było nie lada wyzwaniem, gdyż zazwyczaj buzowały w Bernardzie zupełnie inne emocje. Dziennikarz uważał to jednak, dla stosownego kontrastu i wymowy artykułu, za niezbędne. Tytuł głosił: RAISA HEDWIG – ZŁODZIEJKA MIŁOŚCI I DOMU!

Lechowicz musiał przyznać, że jest bardzo emocjonalny, może nawet kiczowaty, ale zdecydowanie prawdziwy. Treść niosła jasne przesłanie – Raisa, odkąd tylko pojawiła się na świecie, skradła całą uwagę i miłość rodziców. Bernard mówił, że czuł, iż on i Laura zostali sprowadzeni do funkcji osobistych ochroniarzy siostry, którzy mieli za zadanie utrzymać ją przy życiu. A przecież też byli tylko dziećmi!

„Czasem odnosiłem wrażenie, że ona popadała w tarapaty celowo, czerpiąc z tego zyski”, Morąg przytoczył jego słowa w jednym z akapitów. „Bycie normalnym dzieckiem kompletnie się jej nie opłacało. A kiedy zmarła nasza matka, było już tylko gorzej. Ojciec postawił sobie za punkt honoru jeszcze większą dbałość o biedną Raisę, bo mama miała na jej punkcie prawdziwą obsesję. »Gdzie jest Raisa?«, »Uważajcie na Raisę!« – to były słowa, które ciągle padały z jej ust. W ich rytmie upłynęło nasze dzieciństwo”.

Pod koniec artykułu znalazła się kolejna wypowiedź Bernarda: „Ani ja, ani siostra nie spodziewaliśmy się, że nasz dom, rodzinna willa w Bornem Sulinowie, pieczołowicie odrestaurowany przez ojca, zostanie przepisany właśnie na Raisę. Nie mam pojęcia, kiedy ona to załatwiła. Może za naszymi plecami sprowadziła do ojca notariusza? Jaki ojciec wyróżnia tylko jedno z dzieci? To na pewno nieczęsty przypadek. Dlatego jestem przekonany, że to ona maczała w tym palce. Jestem też pewien, że to przez ten cios nasza siostra Laura zachorowała na raka. Kosztowało ją to tyle nerwów, że podupała na zdrowiu i opuściła ten padół przedwcześnie. Raisa zwyczajnie wepchnęła ją do grobu! Od tamtej chwili nie chcę mieć z nią nic wspólnego!”.

Pojawiającymi się pod tekstem komentarzami Bernard był z początku zbudowany. Internauci twierdzili, że w końcu wyszło sztydło z worka, i tak jak on uważali, że nie ma co litować się nad Raisą. „To oszustka!”, grzmieli niektórzy. Jednak po pewnym czasie pojawiły się również inne opinie: „Kto widział wczorajszy materiał w NTV, może wyrobić sobie pogląd na temat pana Lechowicza”. Albo: „Braciszek ma spory problem ze sobą i odgrywa się na siostrze”. To denerwowało. Bernard podejrzewał nawet o ich autorstwo Edytę, która zawsze broniła Raisy jak dobrze wytresowany doberman. Może i potrafi grać w szachy, ale to zaślepiona baba!, rozzłościł się. Odechciało mu się dalszego

czytania. Skupił się na oczekiwaniu na telefon, który jednak milczał.

Gdy Bernard poczuł wreszcie wibracje w nadgarstku, aż podskoczył. Wstał i odebrał połączenie. Mina mu zrzedła, gdy na hologramie zobaczył twarz Morąga.

– Panie Bernardzie, skradziono nam show! – oświadczył ponuro dziennikarz.

– Co się dzieje, panie Darku? Obiecywał pan ogromne zainteresowanie tematem, a tu nic! I jeszcze w komentarzach zrobiono ze mnie frustrata!

– Nie wie pan, co się stało? Dzisiaj w pałacu prezydenckim zdarzył się wypadek. Pańska siostra i prezydent wylądowali w szpitalu. Spadł na nich żyrandol. Tylko o tym się teraz mówi!

– Czy... Czy coś się stało Rasie?

Morąg potarł wytatuowane ramię.

– Podobno nie jest z nią źle. Gorzej ma się prezydent. Co by nie mówić, pańska siostra jest naprawdę najbardziej pechową osobą na świecie.

Bernard zacisnął pięści.

– Że co proszę? – wycedził. – Ja określiłbym to inaczej! Potrafi świetnie skupiać na sobie uwagę. Wszystko zawsze musi się kręcić wokół niej. Nie widzi pan tego?

Dziennikarz obrócił się na krześle.

– Przecież nie zrobiła tego specjalnie. Wprawdzie pojawiły się spekulacje o zamachu, ale ona, zdaje się, jest czysta. Podobno po panią Hedwig rano przyjechał kierowca z pałacu, więc raczej nie zakradła się nocą, żeby uszkodzić żyrandol w Sali Kolumnowej – roześmiał się. – Tym bardziej w jej wieku. Co ciekawe, mówi się też o innej hipotezie. O samobójczej próbie prezydenta. I choć jest to równie kuriozalny pomysł, moim zdaniem bardziej prawdopodobny.

Bernard nie słuchał. W jego głowie huczał zawód.

– Co z pana za dziennikarz, skoro nie potrafi pan zainteresować czytelników? – wybuchnął rozsierdzony.

Czuł, że wzrasta mu ciśnienie. Paliły go policzki, krew niepokojąco tętniła w potylicy. Gdyby mógł, wyciągnąłby tego pismaka z hologramu i porządnie nim potrząsnął.

Morąg podszedł do okna. Starał się oddychać głęboko i spokojnie. Lechowicz nieświadomie uderzył w jego najczulszy punkt. On również był zły, że po raz kolejny nie utarł nosa tej przemądrzałej Sajewicz, jak planował. Dał z siebie wszystko, a wyszło jak zawsze. Żaden staruch nie będzie mi tego wypominał!, zacisnął szczęki.

– Na pewno lepszy ze mnie dziennikarz niż z pana brat! – warknął i rozłączył się natychmiast.

Raisa siedziała na łóżku na szpitalnym oddziale ratunkowym i czekała na wypis.

Wszystkie badania okazały się w porządku. Opatrzono jej rany i zszyto

rozcięcie na udzie.

W swoim życiu Raisa spędziła już trochę czasu w szpitalach. Trafiała tam za każdym razem, kiedy uczestniczyła w jakiejś katastrofie, ale jeszcze nigdy nie zajmowano się nią z takim oddaniem. Zrozumiała, że jest to sprawa państwowa i fakt, że trafiła pod opiekę służby zdrowia razem z prezydentem, zmieniał wszystko. Było to dość smutne, lecz niestety prawdziwe.

Wiedziała, że Nadia powinna przyjechać niedługo i zabrać ją do domu. Kiedy rozmawiały przez telefon (ktoś z obsługi kancelarii szczęśliwie pamiętał o torebce, gdy Raisę zabierała karetka), córka była roztrzęsiona. Zupełnie jak nie Nadia.

– Mamuś, oglądaliśmy transmisję z dziećmiakami i nagle... Ten żyrandol! Byłam pewna, że już po tobie. Przez myśl przeszło mi, że skoro tyle przeżyłaś, tym razem ci się nie uda! – Nadii załamał się głos. – Słuchałam relacji, ale dziennikarze skupiali się wyłącznie na stanie prezydenta. Na tym, jak w ogóle doszło do wypadku. A ty nie odbierałaś telefonu!

– Nie słyszałam dzwonka, kochanie. A potem lekarze wzięli mnie w obroty.

– Na szczęście zadzwoniono do mnie z kancelarii i powiedziano, w którym szpitalu cię znajdę. Chciałam tylko wiedzieć, czy żyjesz. Wszystko inne było obojętne.

Zaraz po córce zadzwonił Filip, zawiadomiony przez siostrę, że wszystko jest w porządku. Był równie przejęty. Oświadczył, że skraca służbową podróż i przyjeżdża do Bornego na weekend.

– Za rzadko się widzimy, mamó – dodał. – A mnie się ciągle wydaje, że to nadrobimy. Dzisiaj zrozumiałem, że w życiu może być różnie – powiedział poważnie.

– Warto było dać się przywalić żyrandolem, żeby cię zobaczyć – odparła wzruszona Raisa.

– Nie żartuj, mamó. Chyba nie taki zły syn ze mnie, co?

– Nie mogę mieć lepszego. – Uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że przyjedziesz z Alicją? Do Nadii dojedzie też Łukasz z dziećmiakami, więc zapowiada się zlot rodzinny. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj sądziłam, że uda mi się was ściągnąć dopiero pod koniec sierpnia!

– Oczywiście, że przyjedziemy. Cieszę się, że nic ci nie jest. Odkąd umarł tato, ciągle się martwię, że stracę i ciebie.

– Ja się jeszcze nigdzie nie wybieram – zapewniła Raisa, choć zdawała sobie sprawę, że w tej kwestii nie ma zbyt wiele do powiedzenia.

Przed oczami stanął jej dzień, gdy przywieźli z Mikołajem Filipka do domu. Byli tacy przejęci!

W oku Raisy zakręciła się łza. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby go nie być w moim życiu, pomyślała. Była wdzięczna za każdy wspólny dzień.

- Muszę ci o czymś powiedzieć – oświadczyła.
- Co takiego?
- Stłukłam te nowe perfumy od ciebie. Chciałam się popsikać i wypadły mi z ręki. A były takie piękne!
- Mamuś, kupię ci nowe – odparł z ulgą Filip. – Możesz tłuc do woli. Tylko proszę, uważaj na siebie!

Wizja rodzinnego spotkania osłodziła Raisie wizytę agentów ABW. Dwóch funkcjonariuszy, jeden przeraźliwie chudy, drugi z wydatnym brzuchem, zadało jej kilka pytań. Zaczęli od wczorajszego dnia, więc usłyszeli, że rankiem Raisa wróciła od przyjaciółki, a potem rozmawiała z sąsiadką Renatą Kowalską. Zobaczyła się również z Magdą Sajewicz, co można sprawdzić. A później znów złożyła wizytę przyjaciółce.

- Musi ją pani bardzo lubić – stwierdził gruby.
- Z jakiegoś powodu jest moją przyjaciółką.
- A przedwczoraj? – zapytał chudy funkcjonariusz.
- Niemal cały dzień spędziłam w domu, jak w twierdzy. Może to potwierdzić tłum dziennikarzy, którzy koczowali na moim trawniku. No i Magda Sajewicz, która robiła o mnie materiał. Czy panowie nie oglądają NTV? Była tam obszerna relacja.

Chudzielec w zamyśleniu potarł czoło.

- Ale mogła się pani wymknąć tylnym wyjściem, prawda?
- Chyba nie mówi pan poważnie? – Raisa spojrzała na niego jak na wariata.
- A potem co? Niepostrzeżenie włamać się do pałacu i uszkodzić ten olbrzymi żyrandol? Jak miałam tego dokonać? Ja, stara baba? Po co? Żeby zepsuć własną uroczystość?
- Kolega żartuje. – Grubszy szturchnął chudego. – Czy zna pani Jana Kuźbika? – zmienił temat. – Podobno był obecny podczas dzisiejszego śniadania z prezydentem.

Raisa splotła zabandażowane dłonie. Cieszyła się, że jest na tyle stara, by nie martwiły jej ewentualne blizny.

- Nie znam – odparła. – To znaczy, przedstawiono nas sobie na śniadaniu, ale nie wiem właściwie, kim jest ten pan. Domyślam się, że zaprosił go prezydent z sobie tylko wiadomego powodu.

– Czy prezydent mówił coś niepokojącego podczas śniadania? O czym państwo rozmawiali?

- Sporo o moim życiu – odparła lekko Raisa. – O jajkach po benedyktyńsku i o... – zawiesiła głos.

– O czym? – zainteresował się grubszy funkcjonariusz.

– O samobójstwie – dokończyła.

Agenci wymienili spojrzenia.

- Kto o tym mówił?
- Prezydent i ten pan... Kuźbik, tak?
- A kto pierwszy poruszył ten temat? Może pani sobie przypomina?

Raisa podrapała się po głowie i pod palcami poczuła, że ułożony pieczołowicie kok jest w oplakany stan. Próbowała powrócić do przebiegu rozmowy i momentu, kiedy zdumiało ją, że zbacza ona na dość nietypowe tory.

- Chyba zaczął prezydent... – bąknęła.

Wąty funkcjonariusz, na którym służbowa kamizelka prezentowała się mało okazale, zapisał coś w notesie.

– Dziękujemy. Chyba mamy wszystko. Gdyby była pani jeszcze potrzebna, będziemy się kontaktować.

- Jaki jest stan prezydenta? – zapytała.

– Odzyskał już przytomność. Ale doznał poważnego wstrząśnienia mózgu. Ma też połamane żebra.

– Szczęście, że żyje. Nie wyglądało to za dobrze. Chyba nie myślą panowie, że on chciał...

- My nic nie myślimy – odezwał się chudy.

- Zbieramy tylko informacje – uściślił drugi, odchodząc od łóżka.

Edyta kręciła się po mieszkaniu. A to podlała kwiatek, a to starła kurz zalegający na szafkach. Czasem przystawała przy oknie i wpatrywała się w spalony słońcem trawnik przed budynkiem. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Wiedziała już, że Raisa jest cała i zdrowa, ale moment, kiedy obserwowała lot żyrandola, kosztował ją sporo zdrowia. Natychmiast zadzwoniła do Kancelarii Prezydenta, a potem obdzwoniła szpitale, ale nikt nie chciał jej nic powiedzieć. Informowano wyłącznie rodzinę. Przecież ja **jestem** jak rodzina!, zirytowała się Edyta. Co z tego, że nie łączą nas więzy krwi? Łączy nas znacznie więcej! Niezliczoną ilość razy próbowała skontaktować się z samą Raisą, ale ta uporczywie nie odbierała. Edytę dopadły wtedy najczarniejsze myśli. Wprawdzie media donosiły, że jej przyjaciółka podobno wyszła z pałacu o własnych siłach, ale już wiedziała, że dziennikarzom nie ma co ufać. W dodatku uraz mógł dać znać o sobie po czasie.

Przypominały się jej wszystkie dobre i trudne chwile, które dzieliła z Raisą przez te wszystkie lata. To Raisa wspierała ją, kiedy Paweł odszedł praktycznie z dnia na dzień, zostawiając ją samą z dzieckiem. To ona była instancją, do której mogła zgłosić się zawsze, pewna, że otrzyma pomoc. Choć Raisa twierdziła, że z nich dwóch to Edyta jest tą silniejszą, ona sama uważała inaczej. Gdyby doświadczyła tego, co musiała znieść przyjaciółka, załamałaby się już dawno.

Podczas tych wszystkich lat nieraz zastanawiała się, czy aby nie powinna wyjawic Raisie swojej tajemnicy. Wiedziała, że przyjaciółki nie opuszcza myśl o pierwszej córce. Choć nie mówiła o tym wprost, jej oczy czasem zasnuwała melancholia, a ona sama stawała się nieobecna. Już nigdy jej tego nie powiem!,

przeraziła się Edyta, gdy żyrandol poleciał w dół. Poczula gorzki smak ostateczności i zastanowiła się, czy postępuje słusznie.

Niepokój o stan zdrowia Raisy zakończyła jej córka. Skontaktowała się z Edytą i zapewniła ją, że mama ma się dobrze, a Nadia niedługo przywiezie ją do domu. Choć wieści cieszyły, wewnętrzne rozedrganie nie chciało zniknąć.

Edyta marzyła wyłącznie o wyściskaniu ukochanej przyjaciółki.

Gdy usłyszała dzwonek, popędziła otworzyć. Miała już dość samotności i pułapki własnych myśli, była zatem gotowa porozmawiać z kimkolwiek. Lecz kiedy uchyliła drzwi, jej otwartość ulotniła się jak sen złoty.

Po drugiej stronie stała Magda Sajewicz w zwiewnej niebieskiej spódnicy i białej bluzce. Edyta zauważyła jej bladość, której nie był w stanie ukryć nawet róż na policzkach.

Na widok dziennikarki wezbrała w niej złość. Choć miała ochotę wciągnąć ją do środka, przywiązać sznurem do fotela i poddać torturom, żeby ta wreszcie przestała grzebać w życiu Raisy, postanowiła okazać opanowanie i klasę.

– Dzień dobry, pani Edyto – usłyszała. – Nie wygląda pani na specjalnie zdziwioną moją wizytą – odezwała się Magda.

– Owszem. Nawet się z niej cieszę. Nie będę musiała fatygować się do pani.

– Chciała się pani ze mną widzieć? To interesujące. – Magda uśmiechnęła się kąciakiem ust.

Edyta zaprosiła ją do mieszkania, ale nie zamierzała bawić się w gospodynię roku i proponować przekąsek i czegoś do picia. Chciała załatwić sprawę od ręki.

Usiadły naprzeciwko siebie na kanapie. Nieco zbyt blis-ko, bo większość mebla zajmowały kolorowe poduszki. Edyta zaprezentowała kamienną twarz.

– Słyszałam, że była pani u Raisy – zagaiła. – Podobno Marek Szewczyk zainteresował panią pewnym tematem.

Magda założyła nogę na nogę. W sandałkach jej stopy wydawały się jeszcze smuklejsze.

– Jest pani świetnie poinformowana.

– Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że Marek to niedowartościowany nieudacznik?

– Akurat w tej kwestii nie ma to nic do rzeczy – odparła Magda.

– Nie uważa pani, że biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenia, powinna pani sobie odpuścić ten temat?

Magda splotła dłonie na kolanie.

– Z tego, co wiem, pani Raisa wyszła z wypadku cała. I bardzo dobrze. Cieszę się. Jednak to niczego nie zmienia – dodała, postanawiając przejść do ataku.

– Pan Szewczyk poinformował mnie, że może pani wiedzieć coś więcej na temat pierwszego dziecka pani Raisy.

Edyta pokiwała głową.

– Czy sądzi pani, że gdybym wiedziała cokolwiek, opowiedziałabym o tym akurat pani?

– Sądzę, że zrobi pani wiele, by pomóc przyjaciółce. Podejrzewam, że zdaje sobie pani sprawę, jaką mamy oglądalność. I zapewne domyśla się, jaką burzę mogę rozpętać?

– Oglądałam pani wczorajszy materiał. Był bardzo serdeczny w wymowie. Czy nie poznała się pani na Raisie? Nie poczuła, jaka jest?

– Właśnie dlatego poczułam się oszukana! – podniosła głos Magda.

– Oszukana? Czyżby dlatego cała ta sprawa stała się dla pani tak ważna? Proszę mi wyjaśnić, czemu pani drażni ten temat?

– Nie myślę o sobie. Chcę ustalić, co spotkało to dziecko.

– Uważa pani, że stała się mu krzywda?

– A nie? Miejsce dziecka jest przy matce! Powinno być kochane i bezpieczne!

– Czy to coś zmieni, jeśli zapewnię panią, że tak właśnie było?

Magda spojrzała uważnie.

– A może pani to zrobić? – zapytała.

Edyta z trudem przełknęła ślinę. Poczowała, jak bardzo zaschło jej w gardle.

– Czy to zakończy sprawę?

– Być może.

– Zatem ma pani moje słowo.

Magda się roześmiała.

– Czy pani ze mnie kpi? Mam pani uwierzyć na słowo?

– Właśnie to pani oferuję. Uważam, że to sporo.

– Sporo, bo teraz mam pewność, że to dziecko naprawdę istnieje. Już po rozmowie z panią Hedwig tak myślałam, a teraz się w tym utwierdziłam. Uprzedzam, że będę drażnić.

– Ale po co, na litość boską?! – uniosła się Edyta. I pożałowała, że jednak nie przywiązała Sajewicz do fotela. – Wyłącznie dla skandalizującego materiału? Na tym oparła pani swoją karierę? Chyba dorobiła się już pani dostatecznego uznania i pieniędzy, żeby tę sprawę zostawić?

– Nie, pani Edyto. Źle mnie pani ocenia. Nie robię tego dla kariery ani dla pieniędzy. Robię to dlatego, że dzieci się nie porzuca! A już na pewno nie zgrywa się potem na udręczoną ofiarę! – zawołała Magda histerycznie.

Pobladła jeszcze bardziej, zauważyła Edyta. Miała nawet wrażenie, że jej gość zaraz zemdleje, ale dziennikarka wstała i chwiejnym krokiem wyszła z mieszkania. Edyta opadła na kanapę i ukryła twarz w dłoniach.

– Co ja zrobiłam! – powiedziała na głos. – Raisa mi tego nigdy nie wybaczy. Ależ jestem durna! Podałam ją jak na tacy!

Dzień powoli chylił się ku końcowi.

W pojedynczej szpitalnej sali po jednej stronie łóżka siedziała na stołeczku prezydentowa, ściskając dłoń męża, po drugiej zaś Rafał Walczak ze zboloną miną. Jego prezydent wyglądał niemal jak mumia – z opatrunkiem na dotkliwie pokiereszowanej twarzy i obandażowanymi żebrami, których bólu nie czuł, nafaszerowany lekarstwami. Oboje wiedzieli, jaki wątek bada policja, choć media wciąż rozpatrywały najróżniejsze możliwości. Żyrandol, wraz z mechanizmem dźwigowym, został zabezpieczony do profesjonalnej ekspertyzy.

Jacek Nowaczyk zmagał się z kolejną falą mdłości. Spoglądał w stronę miski, którą za każdym razem usłużnie podsuwał mu szef jego kancelarii. Tym razem jednak alarm okazał się przedwczesny. Mulenie w żołądku wyciszyło się. Prezydent, tak czuły na zwykły ból głowy, kompletnie nie był przygotowany na objawy wstrząśnienia mózgu.

– Biedna kobieta! – wykrztusił, układając ostrożnie głowę na poduszce. – Przyjechała po odznaczenie, a tu proszę. Myślicie, że WHO wciągnie to do swoich statystyk?

Małgorzata Nowaczyk spojrzała na Walczaka przeciąg-le, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Jacku, nie mydl nam oczu. – Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał łagodnie. – Nie odwracaj uwagi od problemu.

– O co ci chodzi? – Prezydent zmrużył oczy.

I zaraz je otworzył, bo ciągnęły go plastry.

– Wszyscy podejrzewają, że targnąłeś się na życie. Chyba zapominasz, że i ja byłam na dzisiejszym śniadaniu i wiem, co tam słyszałam! Czy to przez nasz rozwód?

Walczak zrobił wielkie oczy. Aż do teraz był pewien, że wie o swoim szefie wszystko.

– Może ja wyjdę? – spłoszył się.

– Siedź! – syknął Nowaczyk. – Rozumiesz coś z tego, Walczak?

– Nie bardzo – odparł sekretarz łamiącym się głosem. – Zawsze uważałem, że jest pan silnym i niezłomnym człowiekiem. Widać oczekiwano od pana zbyt wiele.

Prezydent poderwał głowę z poduszki i świat przed jego oczami zawirował nieprzyjemnie.

– Czy wyście poszaleli? – zapytał, kładąc ją ponownie.

– Naprawdę nie musiałeś ukrywać przede mną swojego przyjaciela. Gdyby nie on, pewnie długo byśmy kluczyli. Pomógł nam odkryć właściwy trop. To taki miły człowiek! – powiedziała Małgorzata.

– Jakiego znów przyjaciela?

– Janka Kuźbika. Oj, chyba jeszcze nie najlepiej z twoją głową...

– To nie jest mój przyjaciel. – Nowaczyk wycedził słowo po słowie.

Żona puściła jego rękę i położyła dłonie na udach.

– A jak nazwać kogoś, kto wie o tobie więcej niż twoja własna żona, dzieci i najbliższy współpracownik? Z nim, widać, potrafiłeś być dostatecznie blisko. Szkoda, że od kilku lat nie byłeś taki w naszym związku.

Rafał Walczak spuścił wzrok i poczerwieniał. Pożałował, że nie został oddelegowany.

– Ależ ja go wczoraj ściągnąłem z mostu! Miał cegły przywiązane do szyi i chciał się utopić! Opowiedział mi swoją straszną życiową historię, a ja zapragnąłem go jakoś pocieszyć. No, powiedziałem, że ja też nie mam kolorowo. A potem zaprosiłem go do pałacu. No i masz!

Małgorzata nachyliła się ku mężowi.

– Za dobrze cię znam, żeby uwierzyć w te dyrdymały. – Ściszyła głos. – Ale wymyśliłeś bajeczkę! Poza tym przecież ty nigdzie nie chodzisz sam, odkąd cię zaprzysiężono!

– Okej, założmy, że chciałem ze sobą skończyć. Czy zrobiłbym to przy kamerach, w dodatku narażając życie tej biednej Raisy Hedwig? Ona chyba miała już dość atrakcji!

Walczak westchnął ciężko, jak ktoś, kto nie widzi nadziei.

– Jej osoba tylko wszystko uwiarygodnia. Jeżeli ten żyrandol miał spaść kiedykolwiek, to tylko w obecności najbardziej pechowej osoby na świecie. Mimo że jestem zdruzgotany tym, na co się pan porwał, uważam, że strategicznie było to posunięcie genialne.

Prezydent wywrócił oczami i wskazał na podłogę.

– Walczak, przymknij się – powiedział. – I podaj mi miskę!

2024–2034

Raisa nie była zaskoczona, kiedy późnym popołudniem zadzwoniła Edyta. Często właśnie o tej porze relacjonowały sobie przebieg dnia. Ale tym razem coś było nie tak.

– Raisa! – chlipnęła przyjaciółka. – Paweł... Paweł mnie zostawił!

Raisa przerwała krojenie suszonych pomidorów, którymi zamierzała wzbogacić obiadowy sos.

– Co ty mówisz?!

– Wróciłam z kawiarni do domu. W łazience nie ma jego rzeczy, w szafie pustki.

– Nie planował żadnego wyjazdu? Może czegoś nie pamiętasz?

– Zwariowałaś? Na żaden wyjazd nie zabiera się połowy dobytku! W dodatku nie zostawia się takiego listu! – załkała Edyta. – Jak on mógł mi to zrobić?!

– Co napisał? – zapytała Raisa ostrożnie, choć w zasadzie mogła się domyślać. Sama miała w tej kwestii niemiłe doświadczenie.

– „Nie potrafię powiedzieć ci tego wprost. Boję się, jak zareagujesz. Jest w moim życiu pewna kobieta. To z nią chcę rozpocząć wszystko od nowa” – odczytała Edyta przez ściśnięte gardło. – „Nie miej do mnie żalu”. Nie miej do mnie żalu! Masz pojęcie?!

Raisa odłożyła nóż na deskę i przysiadła na krześle.

– A to szuja! – podsumowała. – Niczego nie zauważyłaś? To przecież niemożliwe, że nic nie wzbudziło twoich podejrzeń?

– Przecież wiesz, jak dużo pracuję. A pozostały czas staram się poświęcać Maćkowi. Faktycznie, może nie mieliśmy ostatnio z Pawłem zbyt wiele chwil dla siebie, ale podejrzewam, że podobnie wyglądają związki większości zapracowanych rodziców.

– Wygląda na to, że Paweł nie pracował tak dużo, jak mówił... – skwitowała ponuro Raisa.

– Ja tego nie wytrzymam! Przecież wiesz, jak go kocham! Nie wyobrażam sobie życia bez niego. A on... Wychodzi na to, że w ogóle nie myślał o naszej rodzinie! Po prostu jednym ruchem przekreślił wszystko!

– Jesteś w domu?

– A gdzie mam być?! Siedzę i ryczę. Maciek jest jeszcze na lekcji hiszpańskiego. Pocięłam się, że nie jest już mały. Ma dziesięć lat i dużo rozumie. Ale i tak będzie to dla niego ogromny cios!

– Może nie mów mu jeszcze? Dopóki sama się trochę nie wyciszysz? Może... Może Paweł wróci za kilka dni z podkulonym ogonem? – zasugerowała Raisa, ale w odpowiedzi usłyszała tylko, że przyjaciółka zanosi się jeszcze większym płaczem. Raisie ścisnęło się serce. – Kochana, wytrzymaj jeszcze jeden dzień – poprosiła. – Jutro wezmę wolne, dzieciaki zostaną z Mikołajem. Kupię wino i przyjadę do ciebie.

– Kup dużo wina! – wykrztusiła Edyta. – Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. – Pociągnęła nosem.

Raisa rozłączyła się, dopiero kiedy przyjaciółka uspokoiła się nieco. Powróciła do krojenia pomidorów, ale sos przypaliła i tak. Jej myśli krążyły wokół Edyty, nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Uważała małżeństwo przyjaciółki za bardzo udane. Podobnie jak sama zainteresowana, skonstatowała Raisa i pomyślała o swoim Mikołaju. Czuła się spełniona i naprawdę szczęśliwa. W ich związku panowała idealna harmonia. W jej życiu wszystko zdawało się na swoim miejscu.

Mam nadzieję, że nie są to tylko pozory, westchnęła w duchu.

Wiedziała coś o tym, choćby dzięki przykładowi sąsiadów, którzy wprowadzili się do mieszkania piętro niżej. Początkowo wydawali się spokojną i zgodną parą. Ale po fazie radosnej i jakże głośnej miłości przyszła kolej na fazę

spektakularnych awantur. Mikołaj wprawdzie uważał, że sąsiedzi najwyraźniej potrzebują nowych bodźców, bo po głośnych kłótniach równie efektownie się godzili, ale Raisa nie była przekonana do jego teorii.

Sąsiadka nie wyglądała na ofiarę. Niedawno dostała nowy samochód, zawsze nosiła naprawdę eleganckie ubrania i torby znanych marek. Wyglądało to trochę tak, jakby jej partner starał się płacić jej za swoje humory. Czasami zastanawiali się z Mikołajem, dlaczego para mieszka w tak niepozornym bloku, skoro najwyraźniej dysponuje sporymi środkami, nie zamierzali jednak o to pytać.

Mimo to Raisa za każdym razem, gdy widziała panią Beatę, choć nieskazitelną od stóp do głów, zastanawiała się, czy nie powinna delikatnie jej podpytać, czy wszystko jest w porządku. Podczas zwykłej wymiany uprzejmości przyglądała się jej bacznie, wypatrując ewentualnych siniaków, ale szczęśliwie nigdy dotąd ich nie zauważyła. A jednak w zachowaniu tamtej coś ją niepokoiło. Coś wyczuwalnego, czego nie potrafiła nazwać.

Ojca Raisy bardzo ucieszyła wizyta córki. Bernarda akurat nie było w Bornem, bo nadzorował budowę biurowca na Śląsku, a Dorota nie miała zbyt wiele czasu na plotki, bo redagowała jakąś książkę na wczoraj. Raisa mogła zatem cały swój wolny czas poświęcić Edycie, wieczory rezerwując dla taty, który ostatnio zmizerniał nieco.

– Jadasz coś czasem? – zagadnęła go, kiedy zasiedli do wspólnej obiadowej kolacji.

– A co zaraz będę robić? – rzucił ze śmiechem. – Może faktycznie trochę schudłem, bo na stare lata apetyt mam mniejszy – odparł, nalewając Raisie kolejną chochlę zupy.

– Sobie dolej – odparła.

– Nie smakuje ci?

– Twoja fasolowa jest jak zawsze świetna, ale martwię się trochę o ciebie.

Kiedy ostatnio robiłeś badania?

Pan Lechowicz odłożył chochlę do wazy.

– Nie ma badań na starość – powiedział. – Z tego nikt mnie nie wyleczy.

– Coś o tym wiem. – Raisa dotknęła twarzy. – Co rano odkrywam nowe zmarszczki wokół oczu. – Wskazała na kurze łapki. – Że o bruzdach jak kanion Kolorado nie wspomnę. O tu, przy nosie.

– Wygadujesz! – Ojciec machnął ręką. – Ledwo co przekroczyłaś czterdziestkę. Gdybym był w twoim wieku...

– Skorzystałbyś z medycyny estetycznej? – podrzuciła, zanurzając łyżkę w zupie.

– Nie skupiałbym się na bzdurach, a korzystał z młodości!

– Ech... Powiem to Edycie. To motto będzie dla niej teraz jak znalazł.

Pan Bogdan potarł brodę.

– Nigdy bym się nie spodziewał po Pawle czegoś takiego. Wydawał się taki porządny.

– Najważniejsze, żeby ona stanęła na nogi. O nim już w ogóle nie myślę.

– Przy twoim wsparciu na pewno da radę. Masz takie dobre serce, córeczko!

– Ojciec nakrył ciężką dłonią dłoń Raisy.

A ona spojrzała w pocziwe znajome oczy, z których kolor wypłukiwały już lata. Czy uważałby tak samo, gdyby wiedział?, zastanowiła się.

– Może zabrałbyś jutro Maćka na ryby? – zaproponowała. – Muszę reanimować jego matkę.

– Pewnie. Weźmiemy łódkę i wypłyniemy na jezioro. Szkoda, że nie wzięłaś ze sobą Filipa. Zrobilibyśmy sobie męski wypad.

– Innym razem, tato. Ten weekend muszę poświęcić Edycie.

Dzięki pomocy pana Lechowicza, który przyjechał po Maćka z samego rana, Edyta mogła wreszcie rozpaść się na kawałki w ramionach przyjaciółki. Raisa wycierała spuchnięte od płaczu policzki i dolewała kolejne porcje wina na życzenie porzuconej. Słuchały rzewnych piosenek i jadły lody. Raisa już dawno powróciła do młodzieńczej figury (nawet ciąża z Nadią nie nadwątliła jej tak jak rozwód z Markiem), mogła zatem brać udział w tej rozpuście bez wyrzutów sumienia. Poza tym jakkolwiek by wyglądała, kobieca solidarność wymagała w tej sytuacji sięgnięcia po odpowiednie środki łagodzące ból.

Edyta, umazana lodami jak dziecko, wyrzucała z zabarwionych na bordowo ust coraz to nowe scenariusze zemsty. Trudno było ocenić, czy była w tym bardziej okrutna, czy kreatywna.

– Tylko co mi po tym, jak teraz i tak wszystko stanie na głowie? – jęknęła desperacko, kiedy pozbyła się sporej dawki tłumionego gniewu.

– Tylko przez jakiś czas. Potem wszystko się ułoży. – Raisa pogładziła ją po plecach.

– Kim może być ta kobieta? – Edyta wbiła spojrzenie w przyjaciółkę.

– Nie patrz tak na mnie! Nie mam pojęcia.

– No ale w czym jest lepsza ode mnie?

– Na to pytanie odpowiedź akurat znam.

– Że co proszę? – Edyta sięgnęła po kieliszek.

– W niczym! Jesteś najlepszą babką pod słońcem. A Paweł zgłupiał, i tyle!

Jeszcze tego pożałuje!

Edyta objęła przyjaciółkę ramieniem.

– Łziesz jak z nut i dość nieumiejętnie, ale mogę tych twoich kłamstw słuchać bez końca!

Maciek został na noc u pana Lechowicza, co było najlepszym wyjściem z sytuacji. O ile wygląd jego matki dałoby się jakoś podreperować makijażem, o tyle na płaczący się język nie było rady. Przyjaciółki zasnęły przed północą,

w do niedawna jeszcze małżeńskim łożu.

– Czy wie pani, kto mieszka poniżej, pod numerem siedemnastym? – Policjant stał na korytarzu i patrzył wyczekująco na Raisę, przerażoną nie na żarty.

– Tak. Nasi sąsiedzi. Pani Beata z partnerem. Czy coś się stało? – przejęła się. A po chwili dodała w zamyśleniu: – Czyli jednak zdecydowała się to zgłosić?

– Co takiego? – Funkcjonariusz ściągnął gęste brwi. Patrzył wyczekująco.

– W sumie nie mam żadnej pewności, ale dość często dobiegają z ich mieszkania odgłosy awantur. Zastanawiałam się, czy nie dzieje się tam nic złego. Ale nigdy nie zauważyłam u pani Beaty siniaków ani niczego takiego.

Policjant pokręcił głową.

– Rozpytujemy wśród sąsiadów w związku z pewnymi podejrzeniami. Ale nie mają one nic wspólnego z tym, o czym pani mówi. Czy zna pani Bartosza Bieleckiego?

– Sąsiad ma na imię Bartosz, ale nazwiska nie znam. Nigdy się oficjalnie nie przedstawił.

– Rozumiem. Czy zatem zauważyła pani u sąsiadów coś podejrzanego? Nietypowego?

– Jedynie to, o czym panu powiedziałam. Sąsiedzi częs-to się kłóca, ale może tak po prostu mają?

– Czy sąsiad jeździ czarnym bmw o numerze rejestracyjnym...

Raisę zdenerwowała ta tajemniczość. Jeśli coś nam grozi, wolałabym wiedzieć, pomyślała.

– Nie mam pojęcia, jaką ma rejestrację – zirytowała się. – Ale to faktycznie ta marka.

– Dziękuję pani.

– A co się właściwie stało?

– Przykro mi, ale nie mogę udzielać takich informacji. Miłego wieczoru!

Z pewnością będzie miły, stwierdziła w duchu Raisa, zamykając drzwi. Żałowała, że Mikołaj jeszcze jest w pracy, bo poczuła się nieswojo. Nadia w swoim pokoju uczyła się wiersza na pamięć, Filip czytał lekturę. Dobrze, że nic nie słyszeli, odetchnęła ich matka. Wiedziała, że córka wpadłaby w panikę, a Filip, niepotrzebnie podekscytowany, nie daj Boże palnąłby coś przy najbliższym spotkaniu z sąsiadami.

Gdy Mikołaj wrócił do domu, a dzieci były już w łóżkach, Raisa zaparzyła herbatę i opowiedziała mężowi o wizycie policjanta.

– Mówiłam ci, że ten facet zawsze wydawał mi się jakiś dziwny.

Mikołaj ogrzewał o filiżankę zmarznięte dłonie. Jesień pokazywała już ciemniejsze oblicze, a w szkole językowej akurat dzisiaj wysiadło ogrzewanie.

– To, że pan Bartek wygląda trochę jak typ spod ciemnej gwiazdy, nie znaczy jeszcze, że nim jest. Raiso, nie myśl stereotypowo.

– A te awantury? – Spojrzała pytająco.

– Nie muszą o niczym świadczyć. Przyznaj, nie słyszeliśmy nigdy krzyków czy wołania o pomoc. Zresztą nie wiesz, w jakiej sprawie szuka go policja. Może jest tylko świadkiem?

– Nieswojo mi jakoś. Teraz, jak go zobaczę, będę powstrzymywać się przed ucieczką.

– Nie żartuj! – Mikołaj upił łyk herbaty. – Gdyby to było coś naprawdę poważnego, zagrażającego innym, policja nie urządzałaby sobie pogaduszek, a zrobiłaby zasadzkę i zakuła go w kajdanki.

Raisa usiadła obok męża.

– Może i masz rację? – Zsunęła kaptcie i położyła stopy na kolanach Mikołaja, licząc na masaż. – A może powinnam zapytać panią Beatę, czy wszystko jest w porządku?

– Oj, kochanie! Z tego, co wczoraj słyszałem, jak już zasnął, wszystko u niej jest w jak najlepszym porządku.

Mimo uspokajającego tonu męża, ilekroć widziała sąsiadkę, Raisa na końcu języka miała nurtujące ją pytanie. Aż wreszcie zaprosiła panią Beatę do siebie na kawę.

– Proszę wpaść, pogadamy, będzie miło – zachęcała.

Liczyła, że będzie jej łatwiej podjąć temat.

Lecz choć sąsiadka obiecała, że przyjdzie, nie pojawiła się. A w mieszkaniu poniżej niedługo potem zaległa cisza. Nie słychać już było ani awantur, ani odgłosów rozkoszy.

Wyglądało na to, że lokal znów stoi pusty.

Raisa umówiła się z Laurą, że będą częściej zaglądały do ojca. Siostra zrobiła mu listę niezbędnych badań i zapowiedziała, że go z nich rozliczy. To zainteresowanie jego zdrowiem wychodziło panu Lechowiczowi zdecydowanie na korzyść, bo często miewał przy sobie rodzinę w komplecie. Siostry zaś więcej czasu, żeby pobyć ze sobą.

Laura klarownie określiła swoją życiową drogę – postawiła na pracę. Nie myślała o związkach, a tym bardziej o małżeństwie. Wystarczył jej od czasu do czasu mały romans z kimś miłym, kto po nocy wracał do siebie, nie sprawiając kłopotu. A rodzice i dzieci na szpitalnym oddziale wprost przepadali za doktor Lechowicz. Kiedyś Raisa zapytała, czy Laura nie żałuje, że nie ma własnych dzieci, i usłyszała, że akurat na brak maluchów w swoim życiu siostra nie może narzekać.

– Co więcej, myślę, że mam ich aż nadto – dodała Laura. – Poza tym mam też bratanicę i siostrzeńców.

Powiedziała to w taki sposób, że Raisa uwierzyła w prawdziwość jej słów.

Dzięki temu, że częściej zaglądała do Bornego, miała też oko na Edytę, która

zaczęła stawać na nogi. Maciek na wieść o rozstaniu rodziców początkowo zareagował buntem, a potem obwinianiem matki, ale Edyta przy pomocy terapeuty dała radę wyprowadzić rozedrgane emocje na prostą. Paweł angażował się w wychowanie syna, z czego była zadowolona, choć nie potrafiła mu wybaczyć, że tak ją zawiódł. Dowiedziała się, że Ulę, bo tak miała na imię jego nowa partnerka, poznał na stacji benzynowej. Przy tankowaniu ona zagadnęła go o rosnące horrendalnie ceny benzyny, a on postawił jej kawę. I od tamtego momentu nie mogli się od siebie oderwać. Edyta, poznawszy te okoliczności, tankowała samochód z powstrzymywanym obrzydzeniem. Lecz Maciej zaakceptował partnerkę ojca, żeby się z nim swobodnie widywać. Po pierwszym spotkaniu zapewnił matkę, że pani Ula wcale nie jest od niej ładniejsza, a Edyta przekonała się o lojalności syna.

Kiedy w jej domu zabrakło mężczyzny, zawsze mogła liczyć na pomoc pana Lechowicza. Nie chciała go wykorzystywać, bo wiedziała, że ostatnimi czasy ma się nieco gorzej. Ale on nalegał, więc w końcu zrozumiała, że cieszy go bycie potrzebnym, i przystała na to. Z wdzięcznością przyjęła czas, jaki ofiarowywał jej i Maćkowi. Spędzili niejedną godzinę, rozmawiając o wszystkim, a w szczególności o zaskakujących zakrętach losu, o których pan Lechowicz także wiedział sporo. To właśnie dzięki niemu, Raisie i wsparciu rodziców Edyta nie czuła się zagubiona. I znalazła w sobie siłę, żeby po paru miesiącach wyjść na prostą.

Na piątek Raisa wzięła dzień wolnego i zamierzała spędzić go z ojcem. Laura poleciła jej, aby sprawdziła, czy zrobił zleczone przez lekarza badania i czy regularnie mierzy ciśnienie. Mikołaj miał dojechać do Bornego z Nadią i Filipem w sobotę z samego rana. Podekscytowane dzieciaki już planowały ognisko z dziadkiem.

W podróż musiała wybrać się pociągiem, bo jej samochód odmówił posłuszeństwa, ale w pozbawionym przedziałów wagonie ze strefą ciszy stwierdziła, że może to być całkiem miła podróż. Będę miała trochę czasu, żeby się zrelaksować i poczytać w spokoju e-booka, pomyślała. Jechała do Piły, w której miała przesiadkę do Szczecinka, a stamtąd obiecała odebrać ją Edyta. Ojciec z pewnością zrobiłby to równie chętnie, ale nie chciała go fatygować.

Miarowy stukot kół działał na Raisę odprężająco. Oderwała wzrok od czytnika, aby przez chwilę pozwolić odpocząć oczom, i zapatrzyła się w okno. Pola, drzewa i domy, które pojawiały się na sekundę, by za chwilę zniknąć, zastępowały kolejne pejzaże. Nie było tłoku, a podróż okazała się naprawdę komfortowa. Ciekawe, czy dzieciaki nie zapomną spakować ciepłych swetrów?, uśmiechnęła się pod nosem Raisa. Planowała długi spacer wzdłuż jeziora, a luty w tym roku był dość zimny. Przez ostatnie lata zdążono się przyzwyczaić do zim bez mrozu, tymczasem natura wcale nie powiedziała w tej kwestii ostatniego

słowa.

Świat pędził do przodu i zmieniał się gwałtownie. Był zupełnie inny niż ten, który Raisa pamiętała z dzieciństwa. Czasami wydawało jej się, że ludzie chowają się za elektroniką, bo nie potrafią tak zwyczajnie ze sobą być. Wzajemne relacje stawały się coraz bardziej płytkie i kruche. Życie toczyło się jak na przyśpieszonym filmie. Na szczęście w tym szaleństwie mam swój azyl, pomyślała Raisa, przyglądając się młodej dziewczynie obok, która zrobiła z szalika poduszkę i spała w najlepsze. Moją cudowną rodzinę, rozczuliła się.

Przed Reptomem pociąg nie zwolnił, bo na tamtejszej stacji się nie zatrzymywał. Raisa, znudzona nieco obserwowaniem widoków, sięgnęła ponownie po czytnik. I w tej samej chwili poczuła silne szarpnięcie. Zaraz potem rozległ się ogromny huk i trzask pękającego metalu, a ona uderzyła głową o szybę. Tylko nie to!, zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim wagon przechylił się i wykoleił. Śpiąca dziewczyna obok wylądowała na Raisie, niemal miażdżąc ją swoim ciałem.

Zapadła przejmująca cisza.

Raisa, dociśnięta do szyby ciałem dziewczyny, zauważyła nad jej skronią strużkę krwi. Na pewno straciła przytomność, stwierdziła. Rzuciło nią jak workiem kartofli, a uderzyć się mogła dosłownie o wszystko.

– Hej, ocknij się! – Delikatnie poklepała ją po bladym policzku. Bez reakcji. Raisa wstrzymała oddech i dotknęła szyi. – O Boże! – wyszeptła, zapatrzona w śliczną twarz rudowłosej młodej kobiety, która wyglądała, jakby wciąż smacznie spała.

Raisa odepchnęła ciało. Spoczęło na kupie bagaży, które spadając z półek, zamieniały się w śmiercionośne pociski.

– Halo, pomocy! – rozległ się słaby kobiecy głos.

– Czy ktoś nas słyszy?! – zawtórował mu męski z głębi wagonu. – Nie mogę się ruszyć. Chyba mam połamane nogi! Boli jak diabli!

– Wyciągnijcie mnie stąd! – Kobiecy głos za Raisą drżał nerwowo. – Jestem zaklinowana! Nie chcę umierać! – wrzasnęła na całe gardło jego właścicielka w ataku paniki.

– Czy ktoś ma telefon? – zapytał jakiś chłopak. – Wezwijmy pomoc. Może ktoś już to zrobił, ale nie wiadomo.

Raisa rozejrzała się za komórką. Przed katastrofą leżała na stoliku, z którego pozostały resztki. Na podłodze zauważyła telefon z potłuczonym wyświetlaczem. Drżącymi dłońmi spróbowała go uruchomić, ale bezskutecznie.

– Mój nie działa! – oznajmiła.

– Mnie wyrzuciło na drugi koniec przedziału – powiedział chłopak. – Moja torba powinna być gdzieś przy wejściu. Może ktoś da radę sięgnąć?

– Ja nie! – jęknęła zaklinowana kobieta. – Ale, do cholery, przecież na pewno wezwano już pomoc! Ratunku! Tu jesteśmy! – wrzasnęła ponownie.

– Niechże pani tak nie krzyczy! Trzeba spokojnie poczekać na ratowników – odezwał się mężczyzna z głębi wagonu. – Tyle że mogliby się pośpieszyć, bo krew zalewa mi oczy. Oberwałem konkretnie!

Na siedzeniu przed Raisą ktoś się mocował, wydając przeciągłe stęknięcia, jak przy wtaczaniu głazu na górę. Później rozległo się westchnienie ulgi, a w zagłówek wbiły się paznokcie z czerwonym manikiurem. Ponad nimi pojawiła się znajoma, choć bardzo podrapana twarz.

– Tak mi się wydawało, że to pani – usłyszała Raisa. – Poznałam po głosie.

Wpatrywała się w sąsiadkę, jakby zobaczyła ducha.

– Pani Beata?

– Ale spotkanie, co? – powiedziała tamta słabym głosem. – Myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. W życiu nie sądziłabym, że coś takiego mogłoby przytrafić się właśnie mnie.

– Zdarzają się. I to zaskakująco często – odparła Raisa.

I podziękowała Bogu, że jechała sama, bez dzieci. Gdyby Nadii i Filipowi coś się stało...

– Dobrze się pani czuje? – Sąsiadka natychmiast wychwyciła jej zmianę nastroju.

– Pomyślałam o dzieciach.

– Są tu pani dzieci? – Pani Beata rozejrzała się ze zgrozą.

– Na szczęście nie. A ja właśnie zdałam sobie sprawę, jak to wspaniale.

A jak się czuje pani?

– W chwili wypadku musiałam stracić przytomność. Ocknęłam się przygnieciona przez jakiegoś mężczyznę. Trudno mi nabrać powietrza – poskarżyła się, próbując wziąć głębszy oddech. – Może to coś z żebrami? To drobiazg, bo przecież żyję. Niestety, ten pan... – urwała. – On chyba nie miał tyle szczęścia.

Raisa pomyślała o dziewczynie z szalikiem.

– Za to my miałyśmy go sporo – powiedziała.

Dwa rzędy siedzeń za nimi płakała jakaś kobieta. Ściana wagonu wgięła się w tamtym miejscu do środka, klinując spanikowaną pasażerkę. Zostało dokładnie tyle miejsca, by przeżyła, ale nie mogła się ruszyć.

– Słabo mi. Nie mogę oddychać! – łkała.

– Proszę postarać się uspokoić – zwróciła się do niej Raisa. – Wiem, że nie jest łatwo, ale pomoc na pewno jest już w drodze!

– Nie słyhać żadnych syren! Ja mam dzieci, nie mogę ich zostawić samych!

– Ja też mam i też o nich myślę. Spokojnie, jeszcze trochę cierpliwości. –

Raisa była jak opoka.

Choć wcale się nie dziwiła, że tamtej kobiecie jej zabrakło. Wagon złożył się w harmonijkę, jakby był z papieru. Mimo to, a może właśnie dlatego, razem z panią Beatą starała się wciągnąć nieszczęśnicę w rozmowę. Podpytywały, kim

jest z zawodu, jak wygląda jej życie, gdzie jechała. Żeby choć na chwilę odciągnąć jej myśli od położenia, w którym się znalazła.

– Nie mogę zrobić tego dzieciom, rozumiecie? – wymamrotała kobieta, lecz tym razem nieco spokojniej.

– Będzie dobrze, przekona się pani – zapewniła ją Raisa.

Kiedy tamta, wymęczona emocjami, zamilkła, pani Beata popatrzyła poważnie.

– Bartka aresztowano – powiedziała. – Za handel narkotykami – uściśliła.

Raisa podniosła oczy.

– Myślałam, że się państwo po prostu wyprowadziliście...

– Bo tak było. On do aresztu, a ja tułam się po znajomych. Właśnie jechałam do koleżanki, do Piły.

No tak, wizyta policji nie była przypadkowa, pomyślała Raisa.

– Wiedziała pani o tym? – zapytała ostrożnie.

– Początkowo nie. Później zaczęłam coś podejrzewać. No i doświadczyłam tego, co z człowiekiem może zrobić miłość.

Stwierdzenie zawisło w powietrzu.

Zaskoczona Raisa nie miała pojęcia, jak zareagować. Sąsiadka, widząc jej konsternację, zdecydowała się na szczerłość.

– Mąż machnął na mnie ręką i wyjechał do Stanów. Przestał się odzywać. Poczulałam się skrzywdzona, bo obiecywał, że gdy tylko się tam urządzi, ściągnie mnie i córkę. Byłam rozgoryczona, a wtedy pojawił się Bartek. Obiecywał złote góry, obsypywał podarunkami. A przy tym był taki silny! Czulałam się przy nim bezpieczna. Kompletnie zawrócił mi w głowie. Tyle że w jego planie na życie nie było miejsca dla mojej Magdy. Więc pomyślałam, że zostawię córkę pod opieką siostry, sama uszczknę trochę z życia, a w końcu go przekonam. Tyle że lata mijają tak szybko... Powrót stawał się coraz trudniejszy. Głupio było mi spojrzeć w oczy siostrze i szwagrowi, a chyba najtrudniej córce. Gdy przyjechałam na święta, obsypałam ją prezentami. Chyba miało to uspokoić moje wyrzuty sumienia... Liczyłam, że mi w tym pomoże, że się ucieszy, ale ona była taka zdystansowana! Jakbym była jej już niepotrzebna. Cóż, po takim czasie pewnie rzeczywiście tak jest...

– Na pewno tak nie jest – zaprotestowała poruszona Raisa. – Córka z pewnością pani potrzebuje, tylko... Jak by to ująć? – zamyśliła się. – Zapewne liczyła, że po tym wszystkim pani będzie o nią walczyć. Postawiła między wami mur, żeby musiała go pani pokonać. Potrudzić się.

Pani Beata pokręciła niepewnie głową.

– No, nie wiem. Wyglądali jak pełna, szczęśliwa rodzina. Czulałam, że nie ma tam dla mnie miejsca.

– Ale przecież pani ją kocha – podsunęła Raisa. – Co pani teraz planuje?

– Kocham. Tylko czy to wszystko załatwia? Nie wiem. Nie wydaje mi się.
– Myślę, że najlepiej pani zrobi, wracając do córki. Ona na pewno na to czeka. I w końcu pani wybaczy.

– Tak pani myśli?

– Warto spróbować. Przecież wciąż ma pani szanse.

Raisa była na nią zła, a jednocześnie bardzo jej zazdrościła. Sąsiadka miała przed sobą możliwość naprawy błędów i jeszcze zastanawiała się, czy z niej skorzystać! Raisie pozostawała świadomość, że pozamykała za sobą wszystkie drzwi. Nie można już było niczego zrobić ani niczego nadrobić.

– Ruszmy się! – zarządziła. – Może damy radę jakoś dotrzeć do ludzi w naszym wagonie i wydostać się stąd.

Czas zdawał się dłużyć w nieskończoność. Zakleszczeni pasażerowie popadali to w apatię, to w panikę, to ogarniała ich agresja. Raisa z kolei czuła niemoc, od której za wszelką cenę chciała uciec. Wygramoliła się ze swojego miejsca i zaczęła przeciskać się pomiędzy powyginanymi ścianami wagonu, porzucanymi bagażami, połamanymi fotelami. Starła się dobrać do tych, którzy tracili już nadzieję i siły. Pani Beata ruszyła za nią, choć przeszywający ból w boku dokuczał jej coraz bardziej.

Najszybciej dotarły do chłopaka, który pytał o telefon. Wypadek zdarzył się, kiedy wracał z toalety. Miał otwarte złamanie ręki, które nie wyglądało dobrze. Kość przebiła beżowy sweter, bardzo już nasiąknięty krwią. Chłopak był blady jak ściana.

– Próbuje pomóc innym, ja jakoś dam radę – powiedział.

Posłuchały go.

Kiedy były już blisko mężczyzny z połamanymi nogami, usłyszały wreszcie tak wyczekiwane głosy strażaków, którzy zaczęli rozcinać żelastwo. Najpierw uwolniono osoby, które były w stanie jako tako poruszać się o własnych siłach, później zajęto się zaklinowanymi.

Widok na zewnątrz przerażał. Okazało się, że wagon jest zgnieciony bardziej, niż się wydawało. Wyglądał jak zabawka, ofiara dziecka, które przechodziło jednocześnie fazę buntu i fascynacji destrukcją. Wszędzie widniały plamy krwi, gdzieś tam poodcinane ludzkie członki. Wraz z trwaniem akcji ratowniczej na zmarzniętej trawie zaczęło pojawiać się coraz więcej czarnych worków z ciałami. A Raisę raz po raz przebiegał dreszcz. Tak niewiele brakowało..., myślała porażona ogromem tragedii.

Mimo że nie chciała jechać do szpitala, zabrano ją na siłę. Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej skontaktować się z Mikołajem, zapewnić go, że wszystko jest w porządku. I poprosić, żeby poinformował dzieci w taki sposób, żeby ich nie przestraszyć. Wyobrażała sobie dzieciaki tych, którzy leżeli w workach, i aż się kuliła w sobie.

Byłą sąsiadkę zobaczyła po raz ostatni, zanim wsiadła do karetki. Miała nadzieję, że ten wstrząsający widok także i jej dał do myślenia. I że zamiast do koleżanki, do Piły, pojedzie do córki.

Mikołaj pracował, zatem nie śledził informacji. I choć Raisa zapewniła go, że czuje się dobrze, a poza kilkoma siniakami i zadrapaniami nic jej nie jest, przeżył wstrząs. Odwołał zajęcia, poprosił matkę, żeby odebrała dzieci ze szkoły, a sam ruszył w drogę. Raisa zaklinała go na wszystkie świętości, żeby nic nie mówił ojcu, dopóki ona nie stanie w drzwiach domu w Bornem cała i zdrowa. Wołała nie ryzykować.

Gdy zobaczyła na szpitalnym korytarzu Mikołaja, zawisała mu na szyi. Dopiero teraz, wtuliwszy nos w znajomy zapach, poczuła się naprawdę bezpieczna.

– Tak dobrze cię widzieć! – wyszeptała ze łzami w oczach.

Kołysał ją mocno w ramionach.

– Jak dobrze, że jesteś cała! Widziałem w sieci zdjęcia katastrofy. Aż dziw, że ktokolwiek wyszedł z niej cało. Patrz, a byłem pewien, że już nic tak potwornego ci się nie przytrafi! Że odmieniłem twój los.

Raisa zwolniła uścisk i spojrzała w przejęte oczy męża. Delikatnie ujęła w dłoń jego twarz.

– Przecież wciąż tutaj jestem, prawda?

– Tak bardzo cię kocham, Raiso! Nie wiem, jak poradziłbym sobie bez ciebie. Jak my...

– Nie myśl już o tym. Jesteśmy razem.

– Gdybym oddał do warsztatu twój samochód wcześniej... Nie musiałybyś tego przeżywać.

– Przestań, kochanie. To nie twoja wina. Wiesz, spotkałam w tym pociągu znajomą – zmieniła temat Raisa.

– Jaką?

– Panią Beatę.

– Co ty mówisz! Żyje...? – zapytał niepewnie Mikołaj.

– Tak. Na szczęście tak. A wiesz? Wtedy policja nie zjawiała się u nas przypadkiem. Pana Bartka zamknięto za handel narkotykami. Rozstali się.

– Intuicja cię nie myliła.

– Żal mi jej. – Raisa złapała męża za rękę.

– Chyba wiedziała, z kim się zadaje?

Raisa nie tę kwestię miała na myśli, ale nie ciągnęła tematu.

Według ustaleń policji do katastrofy nie miało prawa dojść. Kiedy pociąg wjeżdżał na zwrotnicę, ta ustawiona była w pozycji „plus”, tak żeby skład mógł pojechać na wprost. Przejechały przez nią cztery wagony. Jednak w chwili gdy na zwrotnicę wjechał piąty, samoczynnie przestawiła się w pozycję „minus”, a w efekcie drugi wózek tego wagonu skierowano na tor dodatkowy. Przednie koła

pojechały prawidłowo, tylne zaś wypadły z szyn; ciągnięty po międzytorzu wagon ściął słup trakcyjny. Zaczep pomiędzy piątym a szóstym elementem składu puścił i wagony, pozbawione lokomotywy, zaczęły na siebie wpadać z ogromną siłą. Analiza wykazała, że przyczyną wypadku było sprzężenie drgań rezonansowych pociągu, zwrotnicy oraz napędu zwrotnicowego.

W katastrofie na miejscu zginęło dwanaście osób, dziesięć zmarło w szpitalu. Czterdzieści zostało rannych. A Raisa przez długie miesiące widywała tuż przed zaśnięciem śliczną twarz młodziutkiej rudowłosej dziewczyny.

Od roku wyniki pana Lechowicza były zadowalające. Tak twierdził jego lekarz prowadzący. Wprawdzie ciśnienie nieznacznie przekraczało normę, ale po zmianie leków wszystko zdawało się iść ku dobremu.

Kiedy zadzwonił Bernard, Raisa była w pracy. Nie odebrała, bo akurat zachęcała klientkę do zakupu przepięknej broszki z ametystem. Oddzwoniła dopiero po zakończeniu transakcji.

– Co tam? – zapytała.

Po drugiej stronie trwała cisza. Przez wystarczająco długą chwilę, aby Raisę przebiegł dreszcz.

– Halo, Bernard? Jesteś tam?

– Tato nie żyje – oznajmił.

– Ale jak to? Przecież...

Raisie zrobiło się słabo. Oparła się o zabytkowy sekretarzyk.

– Znalazłem go w jego pokoju. Leżał na podłodze przy łóżku. Wezwałem karetkę, ale było już za późno. Powiedzieli, że to wylew.

Raisa nie przyjmowała faktów do wiadomości.

– Przecież ostatnie badania były dobre! Tak powiedziała Laura.

– Przyjedź. Musimy ustalić, co z pogrzebem.

Rozłączyła się. Przysiadła na tapicerowanym krześle ze zdobionymi nogami. Słowa Bernarda, oschłe i nieodwołalne, dźwięczały jej w uszach. Pamiętała moment, gdy dowiedziała się o śmierci matki; informacja sprawiła, że Raisa rozpadła się na kawałki. Myślała jednak, że nabrała odporności. Że kiedy odejdzie tato, zniesie to lepiej. Była przecież dorosła, dojrzała i samodzielna. A jednak czuła się dokładnie tak samo, jak wtedy gdy była dziewczynką. Kompletnie zagubiona i osamotniona. Tak bardzo chciałabym teraz do niego pojechać, wziąć go za rękę i zjeść fasolową!, zamarzyła. Zaprzeczyć nieodwracalnemu!

– Wszystko w porządku? – usłyszała nad sobą męski głos.

Starszy pan z siwą głową pochylał się nad nią z troską. Nie miała pojęcia, że wszedł.

– Nie jest w porządku – odparła. – Właśnie dowiedziałam się, że umarł mój tato.

– O mój Boże...! – Mężczyzna ścisnął czapkę w dłoniach. – Bardzo mi

przykro. Nie będę przeszkadzał, już sobie idę. A pani niech się o siebie zatroszczy. Proszę się trzymać!

Raisa uśmiechnęła się blado i odprowadziła go wzrokiem do wyjścia.

Nie miała siły się trzymać. Siedziała na krzeselku, kołysząc się w przód i w tył. Jak osierocone dziecko, którym właśnie się stała. Dopiero po jakimś czasie zadzwoniła do wuja Mikołaja, że musi zamknąć sklep. A potem do Laury.

Laura była już w drodze do Bornego. Ale nie dało się z nią porozmawiać.

– Jak mógł nas tak zostawić? – pytała w kółko przez ściśnięte gardło.

Raisa nie знаła odpowiedzi. Frazes: „Taka jest kolej rzeczy”, wydawał się jej wyjątkowo niestosowny. Milczała.

– Ale jak to? – Zdumiony Bernard spojrział na notariusza.

Ten spokojnie położył plik kartek na biurku.

– Taka była wola pana ojca.

– Może pan to przeczytać jeszcze raz? – poprosiła Laura.

Prawnik przyglądził elegancki krawat i ponownie spojrział w testament. Raz jeszcze odczytał zapis, który mówił, że dom przy ulicy Parkowej w Bornem Sulinowie zostaje zapisany „mojej najmłodszej córce Raisie Hedwig”.

Bernard wstał z impetem. Poczzerwieniał. Na jego czole wybrzuszyła się żyła.

– Kiedyś ty zdążyła się wokół tego zakręcić? – zapytał nienawistnie. – No tak, Laura zajmowała się leczeniem ojca, a ty przeszłaś do bardziej praktycznych i przyszłościowych aspektów. No jasne! – prychnął. – Zawsze mówiłaś, że chciałabyś się tutaj znów wprowadzić.

– Proszę się uspokoić! – Notariusz próbował przywołać go do porządku.

– Czy ten testament w ogóle jest ważny, jeśli ojciec podlegał naciskom?

– O czym ty mówisz? – zirytowała się Raisa. – Nie miałam pojęcia o tym, że tato zostawił testament.

– Osobiście spisywałem ten dokument – wtrącił prawnik. – I jestem pewien, że pan Lechowicz był w pełni władz umysłowych. Nie wydaje mi się też, by cokolwiek wskazywało, że podlega jakimś wpływom.

– Może coś przeczuwał? – powiedziała cicho Raisa.

Notariusz odczytał pozostałe zapisy.

Oszczędności ojciec podzielił równo pomiędzy troje swoich dzieci, pamiętki rodzinne także. Samochód przekazał synowi.

Po wyjściu z biura Bernard zapalił papierosa.

– Bernard, niezależnie od tego, co zapisał tata, nic się nie zmienia. Nadal możecie mieszkać w domu i traktować go jak swój – zapewniła Raisa.

– Możecie mieszkać? Słyszałaś? – zwrócił się do Laury, która również miała nietęgą minę. – Już mi pozwala!

Raisa spojrzała z niedowierzaniem.

– Laura, przecież wiesz, o co mi chodziło – powiedziała. – Nie sądzisz

chyba, że poprosiłam tatę o coś takiego? – Głos zabrzmiał błagalnie.

Laura schowała dłonie w kieszeniach dżinsów.

– Ja nic nie myślę. Jest mi tylko przykro. Czuję się dotknięta i... Chyba nie będzie przesadą, jeśli użyję słowa „gorsza”?

– Tak właśnie czuliśmy się przez całe życie. – Bernard odwrócił wzrok.

– Co ty wygadujesz? – zdenerwowała się Raisa.

Spojrzał ze złością.

– Przecież to ty byłaś ukochaną córeczką rodziców! Biedna malutka Raisa, na którą trzeba było chuchać i dmuchać. A jakoś, dziwnym trafem, nie zmogły cię ani piorun, ani pożar, ani katastrofa promu, ani nawet zamach w muzeum! – zaśmiał się gorzko. – Ani wykolejenie się pociągu!

– Bernard! Teraz przesadziłeś – napomniała go Laura.

– A nie było tak? – nie zamierzał odpuszczać. – Sprytnie to wykorzystałaś! A może tatuś ulitował się nad biednym dzieckiem, tak okrutnie traktowanym przez los?

– Jak możesz! – krzyknęła Raisa.

Rosły w niej jednocześnie wściekłość i rozpacz. Nigdy nie czuła się wyróżniana przez rodziców. A już na pewno nie posunęłyby się do wyrachowanej intrygi, na której ugrałyby coś wyłącznie dla siebie.

– Dajmy temu spokój. Co się stało, już się nie odstanie – podsumowała zrezygnowana Laura.

Pożegnała się, wymówiła dyżurem i znikła. Bernard podobnie.

Raisa została sama na parkingu przed kamienicą, w której przed chwilą oświadczone, że oto jest jedyną właścicielką rodzinnej willi. Nie rozumiała ojcowskiego gestu. I czuła się przeraźliwie samotna.

Mikołaja wieść o treści testamentu zszokowała nie mniej niż rodzeństwo jego żony.

– Ale dlaczego tak? – zapytał. – Przecież twój ojciec nigdy cię nie wyróżniał.

Raisa ukryła twarz w dłoniach.

– Kochanie, nie mam pojęcia – powiedziała. – Ale mam przeczucie, że oni mi nigdy nie wybaczą. Dlaczego tata o tym nie pomyślał?

Raisa prosiła Laurę i Dorotę, żeby przemówiły Bernardowi do rozsądku. Jednak on nie chciał nawet słyszeć o tym, żeby nadal mieszkać w domu młodszej siostry. Należy zachówek, który Raisa wypłaciła, posiłkując się kredytem, potraktował jak cios w twarz. Uważał, że należy mu się znacznie więcej. Zabrał rodzinę z Bornego i wynajął mieszkanie w Czap-linku.

– Dopóki nie zdecyduję się na zakup czegoś własnego – oświadczył.

Raisa miała tylko dwa wyjścia: albo sprzedać dom, czego bardzo nie chciała z powodów sentymentalnych, albo przeprowadzić rewolucję w życiu rodzinnym i tak jak niegdyś jej ojciec sprowadzić się z bliskimi do domu przy Parkowej.

Na dyskusjach spędzili z Mikołajem wiele godzin. Takie rozwiązanie oznaczało ogromną zmianę, ale postanowili zaryzykować.

Natomiast dzieciaki były bardzo zadowolone. Borne Sulinowo kojarzyło im się z samymi przyjemnościami, więc radości nie zakłóciło nawet rozstanie ze szkolnymi kolegami. Mikołaj zdecydował, że będzie uczyć niemieckiego prywatnie, a tłumaczyć zdalnie.

Raisa została bez pracy, za to z głęboką wiarą, że i ona coś znajdzie.

Nadszedł dzień przeprowadzki.

Rodzina zajęła pod willę, która miała być od teraz jej domem. A Raisa doznała déjà vu. Już raz w swoim życiu sprowadzała się tutaj i zaczynała wszystko od nowa. Tyle że teraz jej życie wyglądało zupełnie inaczej.

Mikołaj zaparkował na podjeździe przed domem.

Robili tak setki razy, ale dzisiaj czuli się wyjątkowo. Wyszli z samochodu i zaczęli wyjmować z bagażnika pierwszą partię bagaży. Całą czwórką ruszyli ku drzwiom frontowym, które niezmiennie ozdabiał znajomy witraż z irysami. Tym razem ozdobił je jednak dodatkowy element, transparent z czerwonym napisem: „Witajcie w domu!”. Do balustrad przyczepiono wypełnione helem kolorowe balony.

Serce Raisy drgnęło. Może Bernard pojął, że nie intrygowałam?, pomyślała. A Laura przyjechała wreszcie, bo od chwili odczytania testamentu nie pojawiła się w progu?

– Niespodzianka! – Zza węgła wychyliła się Edyta z paterą z ciastem.

Była z Mackiem.

Mimo że w głębi duszy Raisa poczuła ukłucie zawodu, po chwili zalała ją wdzięczność. Edyta wiedziała doskonale, czego mi teraz trzeba!, stwierdziła.

– Co za wspaniałe powitanie! – Ucałowała przyjaciółkę i uściskała jej syna, sądząc po minie, mało zachwyconego tą porcją czułości. – I jeszcze twoje popisowe ciasto marchewkowe? Dziękujemy, kochana!

– A kto zrobił napis? – zapytała Nadia.

– Nieźle wyszedł, co? – Maciek zadarł głowę do góry w podziwie dla swojego dzieła.

– Balony to mój pomysł – oznajmiła Edyta.

– Koszmarnie dziecinne, ale mama się uparła...

– Teraz już się nas nie pozbędziesz – zapowiedział Mikołaj.

– Ani myślę! – zapewniła Edyta ze śmiechem.

Dzieciaki zaniósł ciasto do kuchni i zaczęły buszować po domu. A Raisa zaproponowała wszystkim herbatę. Na razie jednak dyskutowała na schodkach z Edytą i Mikołajem o rzeczach, które teraz robią razem, bez żmudnego umawiania się i planowania.

– Znasz może kogoś chętnego na lekcje niemieckiego? – zapytał mąż Raisy,

a jej przyjaciółka odparła, że popyta.

– Zawsze możesz zostawić swoje ulotki u mnie w kawiarni – powiedziała.

– Szczęść Boże!

Cała trójka odwróciła się i zobaczyła młodą zakonnice, która najwyraźniej pozdrawiała właścicielkę miejscowej kawiarni.

– Szczęść Boże – padło w odpowiedzi.

Raisa i Mikołaj czekali na jakiś ciąg dalszy, ale zakonnica uśmiechnęła się tylko i poszła dalej.

Zakon karmelitanek od lat mieścił się na końcu ulicy, ale był nienarzucającym się sąsiedztwem. Gdyby nie dzwon na wieży, który odzywał się w ciągu dnia, i wysoki mur, za którym znajdowały się budynki zgromadzenia, zapewne nie zauważano by jego istnienia. Odseparowane od świata zewnętrznego siostry bardzo rzadko opuszczały swoją samotnię. Dla Raisy zakon był po prostu stałym elementem krajobrazu. Niczym więcej.

– No proszę! Nic nie mówiłaś, że masz znajomości u góry! – Mikołaj zwrócił się do Edyty i wskazał palcem na niebo, po którym leniwie przesuwały się obłoki.

Zaczynało się lato, jak zwykle urocze. I jak zwykle w Bornem – najwspanialsze.

Edyta otworzyła usta do odpowiedzi, lecz Raisa weszła jej w słowo.

– Wydawało mi się, że nie po drodze ci z Kościołem, ale chyba się myliłam – roześmiała się. – A tak na poważnie... Ty znasz tutaj wszystkich. Może załatwisz mi jakąś pracę, hm?

Zakłopotana jeszcze przed chwilą przyjaciółka odzyskała rezon.

– Żebyś wiedziała! – odparła. – Co powiesz na „Filiżankę”? Latem mam mnóstwo roboty.

– Jako kto? – zdumiała się Raisa. – Jako nieco przechodzona kelnerka? – dodała rozbawiona.

– Potrzebuję menedżera. Interes się rozwija, jakbyście nie zauważyli.

– Jak to: nie zauważyliśmy? – odparł Mikołaj. – Od lat podziwiamy twoją biznesową żyłkę. Gdy przejeżdżaliśmy obok kawiarni przed chwilą, było pełno gości w ogródku.

– Zastanów się. – Edyta spojrzała na przyjaciółkę.

– To raczej ty powinnaś to zrobić. Nie mam doświadczenia na takim stanowisku.

Edyta wzięła się pod boki.

– Chyba nie sądzisz, że nie wiem, co robię? – zapytała przekornie. – Znam cię dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że masz wszystkie umiejętności, których poszukuję.

– Okej! W takim razie już jutro stawiam się w pracy! Obawiam się tylko, że

szybko mnie wyrzucisz.

– Jak mi nie wysadzisz w powietrze kawiarni, to jakoś się dogadamy. – Edyta mrugnęła porozumiewawczo. – A teraz chodźmy na ciasto. Bo jak znam życie, dzieciaki nie zostawią nam nawet okruszka.

– Jasne, zapraszamy.

Mikołaj puścił gościa przodem.

Tyle razy przekraczałam próg tego domu!, pomyślała Raisa. Kochała to miejsce, miała związanych z nim mnóstwo cudownych wspomnień. Otrzymała ten dom w darze od ojca – wiele to skomplikowało, ale też wiele umożliwiło. Choć była mu bardzo wdzięczna, to podejrzewała, że nigdy nie zrozumie jego decyzji.

Rozdział 14

Od wypadku w pałacu media żonglowały trzema wątkami w tej sprawie. Tytuły: „Teraz żyrandol, co następne?”, albo: „Niemal zabiła prezydenta!”, obwiniały Raisę. Nagłówki dotyczące osoby znajdującej się ostatnio w centrum zainteresowania zapewniały poczytność i przekładające się na pieniądze zainteresowanie internautów. Drażono także wątek zamachu na głowę państwa. Zastanawiano się, kto mógł go dokonać. Wyjaśnienia sprawy nie ułatwiał fakt, że kamery monitorujące Salę Kolumnową akurat tego dnia się zepsuły, co także wydawało się podejrzane. Jednak najwięcej emocji wzbudzała możliwość, że to sam prezydent zapragnął targnąć się na życie. Choć początkowo dziennikarze nie potraktowali poważnie wypowiedzi niejakiego Jana Kuźbika, kiedy z policji wyciekły informacje, że ta hipoteza jest badana, czym prędzej odnaleźli tego, który wspomniał o tym pierwszy.

Para prezydencka nie chciała udzielać komentarzy w tej sprawie, co w pierwszym wywiadzie sugerował Kuźbik. Media jednak mogły w zastępstwie liczyć na niego. Chętnie i ze szczegółami opowiadał o załamaniu nerwowym prezydenta, które, gdyby nie on, zakończyłoby się tragedią na moście dzień wcześniej. Z detalami opisał spotkanie z Jackiem Nowaczykiem nad rzeką i powstrzymanie go przed desperackim skokiem do wody.

– Jedźcie tam! – zachęcał. – Powinny tam jeszcze leżeć cegły i sznur z pętlą, którą miał zawiązaną na szyi.

Kiedy ekipa opiniotwórczego dziennika pojechała na miejsce i znalazła rekwizyty, samobójstwem prezydenta zaczęli żyć wszyscy. Spekulacja stała się sprawą wagi państwowej. Politycy wszystkich frakcji wypowiadali się z troską o pierwszej osobie w kraju. Twierdzono, że jego zachowanie to rezultat niezdrowej sytuacji w polskiej polityce i jasny sygnał, aby uzdrowić międzypartyjne relacje.

– Prezydent był poddawany nieustannym atakom opozycji! – grzmieli ci z jego politycznego matecznika.

– Takie mogą być efekty podejmowanych przez lata błędnych decyzji i partyjnych nacisków na głowę państwa. Domyślamy się, że to musiało mieć negatywny wpływ na psychikę – twierdzili liderzy opozycji.

W tej zawierusze Rafał Walczak stawał na głowie. Pracował dzień i noc, nieustannie dementując pogłoski. Choć czuł, że w dziennikarskich spekulacjach może być sporo prawdy, bardzo mu zależało, żeby prezydent wyszedł z tego zamieszania z twarzą. Na razie planowano, że po opuszczeniu szpitala Nowaczyk pojedzie na rekonwalescencję do letniej rezydencji. A potem pomyśli się, jak uciszyć tego całego Kuźbika. Tymczasem rozważano przymusowe leczenie go

w ośrodku zamkniętym, trudne, niestety, ze względów proceduralnych. W dodatku facet był już na tyle znany, że taki zabieg wywołałby kolejną medialną burzę.

Słowem, sekretarz starał się odcinać swojego szefa od dziennikarskich relacji i nie denerwować go za bardzo, żeby nie pogarszać sprawy.

A Nowaczyk przestał podejmować kolejne próby wyjaśniania, że to Kuźbik chciał skoczyć z mostu. Zrozumiał, że i tak nikt mu nie wierzy. Nawet Małgorzata. Ale nawet przestało mu to przeszkadzać, bo ich relacje ociepliły się ostatnio. Machnął zatem ręką, polecając tylko, aby Walczak posłał ogromny bukiet pani Hedwig. Nie potrafił znieść myśli, że kolejną traumę zafundowano tej kobiecie podczas śniadania w pałacu.

Raisa wstała o poranku i po cichutku, aby nie obudzić rodziny, wymknęła się do ogrodu.

Przechadzała się pomiędzy krzewami róż, rozkoszując się trawą pod bosymi stopami.

Uwielbiała zaczynać dzień w ten sposób. A dzisiejszy był lepszy od innych, bo Raisa miała przy sobie bliskich, którzy postanowili zrobić sobie w Bornem krótki urlop. Byłoby absolutnie rozkosznie, gdyby nie zadzwonił już do niej żaden dziennikarz. Modliła się, by wreszcie w jej życiu zapanował spokój. Miała chęć skontaktować się i z WHO, i z Human Resources Institute i poinformować szacowne instytucje, w jaką kabałę ją wpędziły.

Jednak nie to było najgorsze. Raisy nie przestawał trawić niepokój. W tajemnicy sprawdzała zasoby Internetu, aby upewnić się, czy nie pojawił się żaden nowy materiał Magdy Sajewicz. Miała nadzieję, że być może dziennikarka na wieść o wydarzeniu w pałacu odpuściła ją sobie. A może potrafi wyczuć granicę, której nie warto przekraczać?, zadumała się, głaszcząc różane liście. Tak bardzo się obawiała, że w pewnym momencie wybuchnie sensacja i świat dowie się o tym, że porzuciła dziecko. Martwiła się, co dalej. Co powie o niej rodzina? Media zaczną poszukiwania mojej pierworodnej i zburzą mój spokój, przeraziła się. O ile w tej sytuacji można mówić o spokoju...

Raisa była ciekawa, jak wygląda córka, jak potoczyło się jej życie, ale nigdy nie dałaby sobie prawa, by teraz w nie wkroczyć.

Pochłonięta myślami niespodziewanie poczuła czyjąś dłoń na ramieniu. Odwróciła się.

– Ty już na nogach? – zapytał Filip. – Powinnaś odpoczywać.

– Właśnie to robię. Nic nie odpręża mnie tak jak ten ogród.

– Pamiętam jak dziś, jak się tutaj wprowadzaliśmy. Pani Edyta przywitała nas balonami!

– I transparentem! Tyle że ciasta nikt nie spróbował, bo wywaliłeś je na podłogę. I przy okazji potłukłeś paterę.

– Tak było – roześmiał się Filip. – Piękne te twoje kwiaty – zmienił temat. –

Dziadek byłby z ciebie dumny. Nawet w bukietcie od prezydenta nie znalazły się takie okazy. Nawiasem mówiąc, to miłe, że wysłał ci kwiaty. Przynajmniej poczuwa się do kłopotu, jaki ci sprawił.

Raisa pomyślała, że taki kłopot to w gruncie rzeczy żaden.

– Czasem martwię się, co stanie się z różami, gdy mnie zabraknie – mruknęła.

– Mamuś, mamuś! Cała ty! Martwisz się o wszystko. Nawet o kwiaty.

– Szkoda, żeby zmarniały...

– W razie czego ja się nimi zajmę. Ale weź, proszę, pod uwagę, że nie życzę sobie zostać ogrodnikiem zbyt szybko.

– Domyślam się – roześmiała się Raisa. – To co? Może zabierzemy się do śniadania? – zaproponowała. – Reszta pewnie zaraz się obudzi. Na co masz ochotę?

Oczy Filipa rozblęły.

– Na twój omlet z szynką.

Raisa objęła syna ramieniem.

– To chodźmy do kuchni.

Okazało się, że wszyscy, poza mężem Nadii, są już na nogach. Hania z Bartkiem bawili się w salonie w berka.

– Zaraz coś potracicie i będzie płacz – napomniała matka.

Raisa uwielbiała patrzeć na zabawy wnuków. Kochała ich śmiech.

– Kto ma ochotę na omlet? – zapytała.

– Ja! – Bartek podniósł palec.

– I ja, babciu. Duży, koniecznie z papryką – zażyczyła sobie Hanka.

– Ja większy – podkreślił jej brat.

– Ty zawsze chcesz wszystko większe, ale to ja jestem starsza!

– Może urządzimy sobie dzisiaj piknik nad wodą? – uciął Filip tę wymianę zdań, grożącą przerodzeniem się we wrzaski. – Jak za starych dobrych czasów. – Mrugnął do siostry.

Nadia nie wyglądała na zachwyconą.

– W tym upale? Popadamy tam jak kawki! W dodatku sąsiedzi nie dadzą nam żyć. Ledwie wczoraj wieczorem wybrałam się na spacer, jak wzięła mnie w obroty pani Kowalska. Co się stało w pałacu i co się stało w pałacu! Wyobrażam sobie, co będzie, kiedy ktoś dorwie mamę.

Filip westchnął.

– To może do lasu? W cieniu będzie chłodniej i bez ludzi.

– Tak, do lasu! – Hania przytuliła się do wujka.

– A może jednak pójdziemy, choć na trochę, popluskać się w wodzie? – Alicja, żona Filipa, wzięła Bartka na ręce. Mały miał buzię w podkówkę. Zapewne wciąż zajmowała go kwestia rozmiaru omletu. – Od chwili na słońcu dzieciaki

chyba nie dostaną udaru?

– Czy ja twierdzę, że dostaną? – zirytowała się Nadia. – Na chwilę, późnym popołudniem, możemy pójść. Usiądziemy gdzieś w cieniu, mamy filtry przeciwsłoneczne. Martwię się tylko o mamę.

– Kochana jesteś. – Raisa zerknęła na córkę. – Ale przecież nie będę ukrywać się przed sąsiadami przez resztę życia. Niedługo im się znudzi. Niestety, w miasteczku dzieje się tak niewiele, że jak już się coś wydarza, zaraz staje się wielką sprawą.

– Dziwię się, że jeszcze nie zaprosił cię burmistrz – zauważył rozbawiony Filip. – Powinien nadać ci tytuł zasłużonej mieszkanki.

– Ja też tak myślę, babciu – zgodziła się z wujem Hania.

– O, ja już dziękuję bardzo za wszystkie odznaczenia! – stwierdziła stanowczo Raisa. – Jak ktoś chętny, to u mnie na toaletce leży słynny już na cały kraj Krzyż Zasługi. Można podziwiać.

– Burmistrz się nie wychyla, bo pewnie boi się o żyrandol – zachichotała Nadia.

Dzieci pobiegły na górę raz jeszcze obejrzeć babcine odznaczenie, a potem poszły pobawić się do ogrodu. Z zapowiedzią, że zostaną zawołane na śniadanie.

Filip zajął się wyciskaniem soku z pomarańczy, Nadia z Alicją krojeniem warzyw. Gdy Raisa sięgała do lodówki po jajka, doszła do wniosku, że miło by było mieć przy stole również Edytę. Pomaszerowała do sypialni po telefon, wybrała numer.

Spodziewała się entuzjazmu, a wyczuła w głosie przyjaciółki jakąś nietypową nutę.

– Wszystko w porządku? – zapytała z troską.

Edyta nie wiedziała, co odpowiedzieć. Od wizyty Magdy Sajewicz siedziała jak na szpilkach, przy włączonym non stop serwisie informacyjnym NTV, surfując po Internecie jak uzależniona. Mimo nieznośnej spiekoty odwiedziła centrum miasteczka i posłuchała, o czym mówią mieszkańcy. Żyli, jak reszta kraju, wyłącznie sprawą żyrandola. Edyta pomodliła się, żeby tak już zostało.

Kiedy Raisa wróciła do domu, poszła ją odwiedzić. Pragnęła wyznać, że powiedziała to, czego w żadnym wypadku nie powinna. Wiedziała, że jeśli nie chce stracić przyjaciółki, musi załatwić sprawę osobiście. Liczyła, że Raisa zrozumie, że działała w dobrej wierze. Tyle że zwyczajnie się bała. Dlatego ostatecznie zjadła podwieczorek, lecz ani słówkiem nie pisnęła o prawdziwym powodzie wizyty. Poza tym nie chciała psuć Raisie nastroju.

Po cichu liczyła na łut szczęścia i profesjonalizm Magdy Sajewicz. Dziennikarka nie powinna ruszyć tematu bez twardych dowodów, dumiała, a o nie bardzo trudno. Moje słowa to za mało dla widzów.

No i była jeszcze jedna kwestia. Edyta obawiała się wyjawienia

prawdziwego sekretu. Nigdy nie powiedziała Raisie, gdzie znalazło przystań jej dziecko, choć wiedziała o tym od lat. A Sajewicz była tak blisko prawdy... Przerazająco blisko.

Edyta nalała sobie wody do szklanki.

– Wiesz, że uwielbiam twój omlet, ale nie czuję się dzisiaj najlepiej – odparła. – Wolę zostać w domu.

– Coś ci dolega?

– Nic takiego. Po prostu to nie mój dzień.

– W porządku. W takim razie zaraz wyślę do ciebie Filipa z gościńcem.

– Nie żartuj! Po co ta fatyga?

– To żadna fatyga.

Głos Raisy brzmiał tak kategorycznie, że dalsza dyskusja nie miała sensu.

Edyta stała przy oknie, popijając wodę, i myślała, że ma najlepszą przyjaciółkę pod słońcem. Świadomość tego, że może ją stracić, sprawiała, że chciało się jej płakać.

Marek Szewczyk był zde gustowany. Spodziewał się, że efekty pracy Magdy Sajewicz pojawią się znacznie szybciej, a tymczasem w sieci istniała wyłącznie sprawa wypadku w pałacu prezydenckim. Cieszyły go wprawdzie sugestie, że to wina Raisy, ale według niego dziennikarze zbyt szybko zrezygnowali z tego wątku. To bzdura, że prezydent chciał się zabić, kombinował. Po co człowiek, który zaszedł tak wysoko, miałby się zabijać?

– Mogę zaświadczyć, że to sprawka Raisy – mruknął pod nosem. – Moje życie jest tego najlepszym dowodem! – powiedział do siebie, odstawiając laptopa na nis-ki stolik.

– Czego dowodem jest twoje życie? – zainteresowała się Lucyna, która wniosła miskę z surówką z kapusty pekińskiej.

Była pora obiadowa i właśnie mieli siadać do stołu.

Lucyna zachowywała się jak zwykle, ale odkąd znalazła w poczcie Marka mejla od jego byłej żony, monitorowała skrzynkę kilkanaście razy dziennie. Jak dotąd kolejna wiadomość się nie pojawiła, lecz gotowość do interwencji trwała w Lucynie nieustannie. Irytowało ją, że Marek ma przed nią tajemnice.

– Co takiego? – Obrzucił ją nieprzytomnym spojrzeniem. – A nic, nic! Muszę wyjść na chwilę. Przewietrzyć się.

– Ale jest obiad. – Lucyna energicznie postawiła miskę na stole.

– Dosłownie chwila – dobiegło ją z przedpokoju.

– Na dworze jest skwar. Nie ma czym oddychać.

– Na chwilę! – warknął rozzłoszczony inwigilacją Marek.

Włożył buty i wyszedł, trzaskając drzwiami.

A Lucyna zdenerwowała się naprawdę. Nie zamierzała robić niczego, dopóki nie zostanie zmuszona, ale czuła, że właśnie nadszedł ten moment. Miała dość, że

jej partnera interesuje wszystko oprócz niej.

W nocy, gdy Marek spał snem sprawiedliwego, uruchomiła jego chip i odszukała telefon do Magdy Sajewicz. Lista ostatnich połączeń wskazywała, że Marek jest żywotnie zainteresowany dziennikarką. Jediną kobietą, której należy się takie zainteresowanie, jestem ja!, zezłościła się Lucyna. To ze mną dzieli życie, to ja go opieram, prowadzę mu dom i gotuję obiady. Beze mnie byłby jak zagubione dziecko we mgle!

Nie zwlekając ani chwili, wybrała numer. Nie miała nic do stracenia.

Magda siedziała przy biurku w pokoju hotelowym i usiłowała uspokoić myśli. Przed chwilą rozmawiała z kuzynką. Iwona zadzwoniła do niej z prośbą o użyczenie domku w Alpach, gdzie miała ochotę wybrać się z rodziną.

Austriacka przystań Magdy była udostępniana chętnym niemal na życzenie. Czasami korzystał z niej nawet Adam, operator. Albo jakaś koleżanka z pracy. Jednak Iwona nie odzywała się od z górą dwóch lat. Poprzednim razem przypomniała sobie o Magdzie, gdy potrzebowała pożyczki, a wcześniej, kiedy trzeba było załatwić pracę mężowi. A gdy Magda stała się rozpoznawalną postacią z dorobkiem, Iwona zapalała do niej specyficzną miłością.

Pomaganie jej było poniekąd naturalne, choćby przez wzgląd na to, że matka Iwony mimo wszystko opiekowała się Magdą. Może nie stworzyła jej ciepłego domu, ale też nie pozostawiła na pastwę losu. Jednak gdy kontakty z kuzynką ograniczyły się niemal wyłącznie do interesów, nadszedł czas, by powiedzieć basta. Odbyła się bardzo nieprzyjemna wymiana zdań, podczas której Magda dowiedziała się, że zawsze myślała tylko o sobie i jak widać, odbiła jej woda sodowa.

– Jesteś niewdzięcznicą! – fuknęła obrażona Iwona, sprawiając, że wygadanej dziennikarce zabrakło słów.

Wprawdzie Magda nie miała sobie nic do zarzucenia, ale odezwały się rany z dzieciństwa. Znów poczuła się gorsza.

Telefon odezwał się ponownie.

Znów ona!, westchnęła Magda w duchu i spojrzała na hologram. Nieznany numer, zdziwiła się.

– Czy rozmawiam z panią Magdaleną Sajewicz? – usłyszała dźwięczny kobiecy głos.

– Tak. A z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Lucyna Olszańska. Jestem partnerką Marka Szewczyka. Jak mniemam, to nazwisko nie jest pani obce.

Magda wypuściła powietrze.

– Owszem, znam pana Marka. O co chodzi?

– Wiem, jaką sprawą zwracał pani głowę – oświadczyła Lucyna.

– Ach tak? Czy pani chce dodać coś od siebie?

– W rzeczy samej. Przykro mi, że muszę to robić, ale myślę, że powinnam

rzucić nowe światło na sytuację.

Magda zamieniła się w słuch. Miała wrażenie, że sprawa dziecka Raisy zabrnęła w ślepią uliczkę, więc wszelkie informacje były mile widziane.

– Słucham? – powiedziała zachęcająco.

– Na pani miejscu nie traktowałabym Marka zbyt poważnie. On jest... Jak by to powiedzieć? Bardzo go kocham, ale... Marek jest niespełna rozumu.

Magda milczała.

– Od lat ma obsesję na punkcie byłej żony – ciągnęła Lucyna. – Rani mnie, ale znoszę to w imię miłości. Jednak teraz choroba przybrała na sile i niestety... Wszystko mu się miesza. Marek pozostaje pod stałą opieką poradni zdrowia psychicznego.

Magda złapała się za głowę. Choć nie włączyła funkcji wideo i nie widziała twarzy, głos jej rozmówczyni brzmiał poważnie. Jak kogoś zażenowanego, a w dodatku bezsilnego.

– Ale ja z nim rozmawiałam – bąknęła. – Spotkałam się z nim. Wydawał się osobą normalną, logicznie myślącą. Przecież jeździ samochodem...

– Od zeszłego tygodnia już nie powinien. Lekarz kategorycznie mu zabronił. Walczymy z nasileniem objawów. Dotychczasowe leki nie dają rady... – Lucynie załamał się głos.

Kłamała jak z nut. Sama była zaskoczona, że aż tak dobrze jej to wychodzi.

– Sugeruje pani, że informacja o pierwszym dziecku pani Raisy była wyszana z palca?

Lucyna przystanęła na środku pokoju.

– Jak się dowiedziałam, co on pani naopowiadał, zrozumiałam, że muszę do pani zadzwonić. Wyobraziłam sobie, co pani może zrobić z tą informacją i ile może ona narobić zamieszania! Nikt nie powinien cierpieć z powodu czyichś urojeń!

– Rozumiem – odparła cicho Magda. – I dziękuję pani. A panu Markowi życzę zdrowia.

– Dziękuję za wyrozumiałość. Zapewne zmarnował pani trochę czasu. Przepraszam za niego – powiedziała Lucyna i rozłączyła się.

Magda siedziała przy biurku kompletnie skołowana. Rozboleła ją głowa. Jeśli ta kobieta mówi prawdę, dlaczego Edyta Niemirska potwierdziła istnienie dziecka?, zastanawiała się. Czyżby nie była tak przychylna przyjaciółce, jak wszyscy sądzą? Magda widziała już w życiu sporo i знаła ciemne oblicza ludzkich charakterów. Ludzie potrafili latami udawać serdecznych przyjaciół, by w najmniej spodziewanym momencie zadać ostateczny cios w samo serce. Może to była właśnie taka okazja? Może pani Edyta chciała, żebym negatywnie opisała moją bohaterkę?, roztarła skronie Magda. Istotnie, kiedy poznałam panią Hedwig, wydała mi się miłą i dobrą osobą. A może dałam się omamić? Może stałam się narzędziem w rękach maniaka Szewczyka i dwulicowej przyjaciółki Raisy?

Przecież nawet pan Włodzimierz nie miał o wnuczce zielonego pojęcia. Czy mogłam stracić instynkt?, zastanawiała się gorączkowo, mimo wzmagającego się bólu głowy. Może ciąża odbiera mi zdolność jasnego myślenia?, przejęła się.

Odeszła od biurka i stanęła przy oknie balkonowym. Jeśli tego dziecka nigdy nie było, zraniłam niepotrzebnie starszego pana Sobierajskiego!, podsumowała ze zgrozą. Matko, jeszcze przeze mnie umrze!

Po chwili telefon odezwał się ponownie. Tym razem dzwonił Marek Szewczyk.

Magda zadygotała. Nie zamierzała odbierać. Chciała powiedzieć mu kilka słów do słuchu, ale w jego stanie nie miałyby to sensu. I rzeczywiście, nagranie w poczcie głosowej świadczyło, że ma do czynienia z rozedrganym, zdenerwowanym mężczyzną, który w kółko mówił o Raisie, jakby była żona wypełniała cały jego świat.

Tak nie zachowuje się nikt normalny, doszła do wniosku Magda.

Marek przechadzał się pod blokiem w tę i w tę, jakby trzymał wartę. Już trzeci raz dzwonił do Magdy Sajewicz, ale ta nie odbierała. Nagrał się. Może pozostawił odrobinę zbyt emocjonalną wiadomość, ale był urażony tym lekceważącym traktowaniem. W końcu zrezygnowany wrócił do domu.

Lucyna siedziała przy stole i kończyła obiad.

– Bardzo smaczne mięso mi wyszło. Spróbuj – powiedziała.

Usiadł, nałożył sobie porcję i zaczął grzebać widelcem w talerzu. Nie miał ochoty na jedzenie. Miał za to dziwne przeczucie, że chwila tryumfu bezpowrotnie wymyka mu się z rąk. Po raz kolejny w jego życiu nie wychodzi mu to, co zaplanował. Znow nic od niego nie zależy. Gdyby tylko świat zechciał dać mi szansę!, pomyślał, czując, że przytłacza go beznadzieja.

Magda położyła się na łóżku, żeby przemyśleć sprawę. W tej chwili każda możliwość wydawała się jej tak samo prawdopodobna. Zaczęła obawiać się, co powie szefowi, kiedy ten zapyta o wyniki jej tajnego śledztwa. Jeśli oznajmię mu, że to był fałszywy trop, na pewno nie zapunktuję w jego oczach, stwierdziła. A potem pomyślała o Robercie i o tym, że być może to on miał rację. Od ich ostatniej rozmowy odzywał się do niej znacznie rzadziej niż zwykle. A ona go ewidentnie zaniedbywała. Magdę zakłuło poczucie winy.

– Przypomniałaś sobie o mnie czy dzwonisz, żeby znów być nieprzyjemna?

– usłyszała po wybraniu numeru.

– Wiem, że ostatnio nie jestem najmiłsza...

– Delikatnie powiedziane.

– Po prostu... – zawahała się Magda. – Przepraszam cię. Wszystko mi się tutaj poplątało. Co byś powiedział, gdyby okazało się, że sprawa, dla której przyjechałam do Bornego ponownie, jest wyssana z palca?

Robert w pracowni doszlifowywał przemówienie. Mocował się z nim, ale

w końcu przyszedł moment, że zdania zaczęły układać się same.

– Co bym powiedział? Na pewno nie byłbym zdziwiony. Od razu ci mówiłem, żebyś to zostawiła. Swoje już zrobiłaś.

– Tyle że to wyjątkowa sprawa... – Magda postanowiła zagrać w otwarte karty. – Dobra, powiem ci, w czym rzecz. Dowiedziałam się od pierwszego męża pani Raisy, że w młodości porzuciła ona swoje dziecko. Pomyślałam, że to być może prawda, ale teraz sama już nie wiem.

Robert odłożył długopis. Gdyby mógł, potrząsnąłby żoną.

– Boże, Magda, to o to chodzi?! Dlatego się za tym uganiaasz? Nie lecz własnej traumy kosztem innych ludzi! Co chcesz osiągnąć? Sprawiedliwość?

Nie spodziewała się takiej reakcji.

– Jak możesz tak mówić? – zapytała z niedowierzaniem. – Nie rozumiesz mnie nic a nic! – rzuciła i przerwała połączenie.

Wtuliła twarz w poduszkę i wybuchnęła płaczem. Nie robiła tego od lat. Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć od ilu. Sądziła nawet, że już nie potrafi. Ale to, co wydostawało się teraz z jej płuc, z najskrytszych zakamarków jej duszy, było jak wodospad. Silne i nie do powstrzymania. Magda szlochała, bo czuła się skrzywdzona, porzucona, zapomniana, niekochana i niezrozumiana. I tak przeraźliwie samotna! Szlochała, bo czuła się słaba, choć światu pokazywała zupełnie inną twarz. Wyuczona poza była dla niej jak zbroja. Pozwalała jej jakoś kroczyć przez życie, w którym każdego dnia starała się udowodniać, że jest cokolwiek warta.

Płakała także z innego powodu. Zrozumiała, że Robert ma rację.

Raisa z rodziną wybierała się właśnie na piknik. Dzieci cieszyły się na wyprawę do lasu i obiecaną kąpiel w jeziorze. Nadia przygotowała kosze wypełnione przekąskami i owocami oraz taką ilość wody, jakby spodziewała się, że zgubią się wśród drzew i będą musieli walczyć o przetrwanie. Wszyscy stali już przy samochodach, gotowi zapakować manatki.

Zaaferowana Raisa nie zwróciła uwagi na staruszkę przed furtką. Dostrzegła go, dopiero gdy usłyszała swoje imię. W pierwszej chwili nie poznała, z kim ma do czynienia, ale w pomarszczonej jak rodzyńka twarzy odnalazła dawno zapomniane rysy.

– Pamiętasz mnie? – odezwał się. – Włodzimierz Sobierajski. Ojciec Marcina.

– Oczywiście, że pamiętam. – Uścisnęła jego dłoń.

Nikt poza nią nie zainteresował się gościem. Wszyscy byli pewni, że to kolejny wścibski sąsiad.

– Miło pana widzieć. Tyle lat minęło... – dodała Raisa.

– Chciałem cię o coś zapytać – oznajmił bez ogródek.

Spojrzała zaintrygowana.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że nie przejął się pan moim wypadkiem u prezydenta?

– Nie słyszałem o tym. Za to słyszałem, że wybrano cię na najbardziej pechową osobę na świecie.

Raisa lekceważąco machnęła ręką.

– Dziwne czasy nastały, panie Włodzimierzu.

– To twoja rodzina? – Staruszek skinął w stronę samochodów.

– Tak. – Raisa spuchła z dumy. – Mój życiowy sukces.

– Myślę jednak, że lepiej będzie, jeśli pogadamy w cztery oczy.

Przytaknęła i uprzedziła bliskich, że może to trochę potrwać. Filip chciał wiedzieć, kto do niej przyszedł, ale poinformowała go tylko, że to stary znajomy.

– Naprawdę stary – skwitowała Hania.

I dostała reprimendę od matki. Obruszona, odrzuciła na plecy długi warkocz.

– No co, kiedy to prawda? – zapytała.

– Nie o każdej prawdzie warto trąbić – odparła Nadia.

Raisa zaprosiła pana Sobierajskiego do domu. Pomogła mu usadowić się na kanapie i podała szklankę wody.

– Jak się pan do mnie dostał?

– Poprosiłem sąsiada, żeby mnie podrzucił. Pojechał do centrum coś załatwić. Zaraz po mnie wróci.

– Czy to coś ważnego? – zapytała, przysiadając obok.

– Wydaje mi się, że bardzo.

– Przepraszam za ciekawość, ale czy pańska żona wciąż żyje?

– Nie. A w tej sytuacji może to nawet lepiej. – Staruszek nabrał powietrza. – Raiso, była u mnie pewna dziennikarka i powiedziała mi coś takiego, że... Nie przestaję się zastanawiać, czy to prawda, bo jeśli tak... Nie pojmuję, jak mogłaś nam zrobić coś takiego!

Serce zaczęło szybciej bić, a krew tętnić w uszach. Raisa domyśliła się powodu wizyty.

– Powiedziała mi – ciągnął pan Sobierajski drżącym głosem – że mieliście z Marcinem córkę.

Raisa wiedziała, że ma na odpowiedź nie więcej niż sekundę. Zaledwie sekundę, żeby zastanowić się, jaka prawda lepsza będzie dla człowieka, który dożywa właśnie swoich dni. Magda Sajewicz najwyraźniej nie miała podobnych skrupułów i nie zawahała się zburzyć świata starszego pana, ale to ja muszę zdecydować, jakie będą jego ostatnie dni. Pięćdziesiąt lat temu postanowiła, że nie powie nikomu poza Edytą. I tak powinno pozostać. To ja zabiorę tę wiedzę do grobu, choć najwyraźniej Sajewicz robi wszystko, żeby to zmienić.

– Panie Włodzimierzu... – Ujęła dłonie gościa. – Czyjemu słowu pan

wierzy? Mojemu czy jakiejś żadnej sensacji dziennikarki? Przecież pan wie, wokół czego kręci się dzisiejszy świat.

Staruszek wpatrywał się uważnie w jej oczy. Śledził każde drgnienie jej twarzy. A Raisa modliła się w duchu, żeby niczym się nie zdradzić. I miała nadzieję, że tak pozostanie.

Po chwili wyprostowane dotąd plecy pana Sobierajskiego rozluźniły się. Odetchnął.

– Tak myślałem. Chciałem się tylko upewnić. Nie uraziłem cię, prawda?

Raisa uśmiechnęła się, rozczulona.

– Ależ skąd! Zdaje sobie pan sprawę, jak bardzo kochałam Marcina? Jego strata była dla mnie potwornym ciosem, z którym borykałam się przez lata. Ale tak bardzo jestem wdzięczna, że był częścią mojego życia...

– To zupełnie jak ja, moja droga. Zupełnie jak ja – odparł.

Nie było jej lekko, ale zebrała wszystkie siły i udawała, że wszystko jest w porządku. Zapytała nawet pana Sobierajskiego, czy nie miałby ochoty skosztować ciasta, ale nalegał na powrót do domu.

– Nie obrażaj się – powiedział. – Ale najlepiej mi u siebie. Bardzo mnie zmęczyła i ta wizyta, i te emocje.

– Wyobrażam sobie – zapewniła. – Ja też najlepiej czuję się we własnym domu.

Generalnie popołudnie było bardzo udane, choć Raisa myślami była daleko. Nie czuła się dobrze z kłamstwem, ale musiała ponieść konsekwencje decyzji sprzed lat i dźwigać swój krzyż w pojedynkę. Postanowiła w nocy odpocząć i dopiero rano zdecydować, co dalej. Czuła, że jej życie jest teraz jak domek z kart, a Magda Sajewicz jak palec, który może go zburzyć.

W ten sposób nie da się żyć, doszła do wniosku.

Szpitalną salę rozjaśniało rozproszone światło. Przy łóżku ojca siedzieli synowie – Tomasz, nabuzowany i pełen pretensji, i Igor, w nieco innym nastroju. Właśnie dowiedział się od kolegów po fachu, co ze zdrowiem ojca. Zdawał sobie sprawę, że o fizyczną stronę nie ma się co martwić. Objawy wstrząśnienia mózgu miną, żebra pobolą, ale się zrosną. Ale lekarze niepokoiли się o psychikę. Igor był zmartwiony i niemile zaskoczony.

– Mogłeś nam powiedzieć, że jest z tobą aż tak źle! – wypalił Tomasz z pretensją. – Pewnie z powodu tej całej depresji nie układało się wam z mamą!

– To teraz nieważne. – Igor skarcił brata wzrokiem. – Musimy się zastanowić, jak postawić cię na nogi.

– Ale chłopcy, ze mną wcale nie jest źle – zaprotestował prezydent. – Ten cały Kuźbik! Czy i wy daliście wiarę tym jego banialukom? To ja ściągnąłem go z tego mostu, a teraz on odwraca kota ogonem. Gdybyście wiedzieli, jakie on miał życie! Teraz wszyscy się nim interesują, więc robi z siebie celebrytę. W sumie

nawet mu się nie dziwię, choć myślę, że nie zachował się wobec mnie w porządku. Zważywszy na to, że uratowałem mu życie.

– Tato, niezależnie od tego, czy kombinowałeś coś przy tym żyrandolu, czy nie – powiedział Igor – rozmawiał z tobą szpitalny psychiatra. I znalazł szereg niepokojących objawów. Jesteś zrezygnowany, nie widzisz celu, dopada cię beznadzieja, brak ci poczucia własnej sprawczości. I najgorsze, co wywołało u mnie szok: masz bardzo niskie poczucie własnej wartości.

– Co takiego? – Tomasz wybałuszył oczy i zdjął marynarkę. – Nie wiem, co za idiota mógł postawił taką diagnozę! – prychnął.

– Podobno ma to coś wspólnego z dziadkami... – ciągnął Igor. – Psychiatra zasugerował, że robiłeś karierę, bo chciałeś im coś udowodnić.

Spłoszony Nowaczyk spojrział na syna.

– Czy psychiatry nie obowiązuje tajemnica lekarska? – zainteresował się.

– Obowiązuje. Ale kolega koledze powie dużo. Dla dobra pacjenta, oczywiście.

– To prawda, tato? – zapytał zdumiony Tomasz. – Przecież zawsze to ty nam wpajałeś, że mamy doceniać swoją wartość, a nie patrzeć na to, co mówią inni. Robić swoje, nie poddawać się naciskom. To się przecież kupy nie trzyma!

Prezydent przełknął ślinę. Spojrział w sufit i zrozumiał, że nie ma drogi ucieczki. Że synowie i tak przyprą go do muru. Czuł, że zaraz zmaleje w ich oczach. A wtedy nie zostanie mu już nic, nie licząc znajomego mostu. Skoro i tak wszyscy sądzą, że zamierzał popełnić samobójstwo, równie dobrze może się do niego posunąć.

– Chciałem dla was tego, czego sam nie doświadczyłem... – bąknął.

Zapadła krępująca cisza. Igor i Tomasz spuścili głowy. Prezydent zamknął oczy, żeby synowie nie zobaczyli w nich łez.

Zakłopotany Igor odchrząknął.

– Nie zawsze się z tobą zgadzam – powiedział. – Czasem naprawdę mnie irytujesz, tato. Ale kocham cię i nie wiem, co bym zrobił, gdyby ten żyrandol cię zabił.

Nowaczyk uchylił powieki, a pozbawione bariery łzy spłynęły po policzkach na poduszkę. Patrzył z niedowierzaniem. Nie spodziewał się kiedykolwiek usłyszeć takich słów. Zresztą w jego relacji z synami nie było miejsca na podobne wyznania.

A właściwie dlaczego?, zastanowił się. Może dlatego, że nie nauczyłem się tego od własnych rodziców?

– Ja również was kocham – odparł. – I przysięgam wam, że nie mam z tym żyrandolem nic wspólnego! Czy możecie coś dla mnie zrobić?

– Oczywiście. Czego ci potrzeba? – zapytał poruszony do głębi Tomasz.

– Możecie sprowadzić do mnie panią Raisę Hedwig?

– Chyba żartujesz! – Syn nie spodziewał się takiej prośby. – Przecież ta

kobieta to chodzący kataklizm! W tym stanie nie powinienes...

– Ja nie żartuję – powiedział poważnie prezydent. – Naprawdę chcę się z nią zobaczyć.

2035–2045

Kiedy Maciek się wyprowadził, Edyta sprzedała dom i kupiła dwupokojowe mieszkanie, które w zupełności zaspokajało jej potrzeby. Nadwyżkę z transakcji przeznaczyła na podróże, wypadki do spa oraz niezliczone kursy: od fotografii poprzez malarstwo aż po naukę portugalskiego. Rzadko kiedy jednak nowa umiejętność zajmowała ją dłużej, choć tak czy siak niosła za sobą jakąś wartość dodaną. Na przykład kurs językowy zaowocował płomiennym romanssem z niejakim Andrzejem, który jednak chciał się do Edyty wprowadzić, na co ona nie miała najmniejszej ochoty. Od rozwodu spotykała się z różnymi mężczyznami, ale była niezmiernie wymagająca i jeszcze bardziej wybredna. Wyglądało na to, że sama ze sobą czuje się doskonale i nie ma ochoty na jakikolwiek kompromis. Czasami, gdy któryś z adoratorów zaintrygował ją mocniej, spędzała z nim trochę czasu. I wkrótce dochodziła do wniosku, że jej sposób na życie jest najlepszym z możliwych.

Raisa nie wysadziła w powietrze kawiarni przyjaciółki, a na dodatek okazało się, że ich przyjaźń na współpracy nie ucierpiała. Dzięki jej obecności Edyta mogła pracować mniej i wreszcie choć trochę korzystać z życia.

Pani menedżer dzwoniła właśnie z biura do cukierni, z którą niedawno podjęły współpracę. Chciała złożyć zamówienie na ciastka bez mąki i cukru. Początkowo obie z Edytą śmiały się z tego trendu, zastanawiając się, co będzie potem.

– Kielbasa bez mięsa? – chichotała Edyta.

Tymczasem zdrowe odżywianie się stało się niemal jak religia. Więc jeśli „Filiżanka” chciała mieć klientów, musiała się dostosować.

W cukierni nikt nie odbierał. Wygląda na to, że bezmączne pieczenie to bardzo absorbujące zajęcie, uśmiechnęła się Raisa pod nosem.

– Proszę – powiedziała, gdy rozległo się pukanie do drzwi, pewna, że to któraś z kelnerek.

Na widok gościa przerwała kolejną próbę połączenia.

– Kogo ja widzę? – Zrobiła wielkie oczy.

Miała przed sobą wyraźnie zmieszanego i nieco przygarbionego Pawła, byłego męża przyjaciółki.

– Cześć, Raiso – powiedział. – Jest Edyta?

– Wyszła do fryzjera. Będzie za godzinę.

– Chciałbym z nią pogadać. Mógłbym zaczekać?

– Jasne. Jest wcześniej, na pewno znajdziesz jakiś wolny stolik.

– Myślałem, że mógłbym poczekać tutaj. – Wskazał na wolne miejsce po przeciwnej stronie biurka.

Raisa ani myślała spędzić z nim godzinę w krępującej atmosferze.

– Posłuchaj, mam sporo pracy – oznajmiła. – Lepiej będzie, jak poczekaasz na sali. Mamy bardzo dobrą kawę. Co zapewne pamiętasz – pozwoliła sobie na złośliwość.

Gdy wyszedł, od razu zadzwoniła do przyjaciółki.

– Czeka tutaj na ciebie – dodała na koniec relacji.

– A po cholere? – wściekła się Edyta.

Raisa zakręciła się na krześle.

– Nie wiem. Nie spowiadał mi się.

– Nie mam ochoty go oglądać! Odkąd Maciek dorósł, nie muszę się z nim kontaktować. I bardzo mnie to cieszy. Ich obecne relacje to już tylko ich sprawa.

– Może to coś ważnego?

– Chce, niech czeka. Między nami już nie ma żadnych ważnych spraw. A już na pewno nie zrezygnuję dla niego z fryzjera. Poza tym dobrze będzie, jak pokażę mu się zrobiona na bóstwo. Nie uważasz?

– A to ma jakieś znaczenie?

– Żadnego – uznała po chwili Edyta i wkroczyła tanecznym krokiem do salonu.

Kiedy stamtąd wróciła, Paweł zaproponował jej spacer. Cóż, wiosna sprzyja przechadzkom, a ja przecież nie będę rozprawiać się z nim przy klientach, stwierdziła Edyta w duchu. A Raisie obiecała wizytę i szczegółową relację wieczorem.

Raisa, rzecz jasna, nie mogła się doczekać. Chodziła po domu bez celu, trawiona ciekawością, aż w końcu postanowiła przygotować kolację.

Dzieciaki wyjechały na studia – Nadia na pedagogikę, Filip na ekonomię – a ona wciąż nie potrafiła gotować mało. Mikołaj śmiał się, że Raisa stoi nad garnkami, jakby ich potomstwo miało wpaść z podwórka zziąjane i głodne jak wilki.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby się oswoić z nowymi realiami – odpowiadała.

Jakże rozumiała tatę, który, dopiero gdy wszyscy zjeżdżali do domu, mawiał, że wreszcie jest tak, jak powinno być.

– No, gdzie jest ta Edyta? – Raisa wyjrzała przez kuchenne okno na ulicę.

– Może przeżywa renesans miłości do Pawła? – roześmiał się Mikołaj, otwierając butelkę wina. Sięgnął do szafki po trzy kieliszki. – Może będzie co świętować?

Raisa popukała się w czoło.

– Znam ją – powiedziała. – To ostatni facet, jakim by się zainteresowała. A wiesz co? – zmieniła temat. – Zainwestowałam dzisiaj w Lotto. Jest kumulacja, pięćdziesiąt milionów.

– Serio? – Zmrużył oczy. – Przecież nigdy nie grałaś. Nie wiem o czymś? Czyżbyśmy potrzebowali sporego zastrzyku gotówki?

– A tak mi się zachciało. Bez powodu.

Mikołaj schował korkociąg do szuflady.

– Z twoim szczęściem wygraną mamy w kieszeni! – zauważył ironicznie.

– O, jest! – ucieszyła się Raisa na widok zatrzymującego się z piskiem opon auta.

Zawsze powtarzała, że Edyta jeździ jak niespełniony rajdowiec, lecz ta uważała, że to przesada. Raisa przerwała mieszanie sałatki i popędziła do drzwi.

– I co? – dopytywała podekscytowana.

– Myślę, że powinnaś rzucić pracę w „Filiżance”... – usłyszała w odpowiedzi.

– Zrobiłam coś nie tak? – przeraziła się nie na żarty.

– ...i rozpocząć karierę wróżki – dokończyła Edyta.

– Nie rozumiem...

Edyta odwiesiła płaszczyk i podała przyjaciółce wino. Zapowiadał się zakrapiany wieczór.

– Może tego nie pamiętasz – zagaiła – ale lata temu, kiedy Paweł mnie rzucił, a ja wyplakiwałam ci się w rękaw, powiedziałaś, że jeszcze kiedyś zechce do mnie wrócić. I voilà!

– Nie żartuj! – Raisa nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

– Ulka kopnęła go w zadek! Znalazła sobie młodszego. A Paweł oznajmił mi, że zrozumiał swój życiowy błąd.

– Chodźmy do pokoju – zaproponowała gospodyni. – Dopiero jak go rzuciła?

– Najwyraźniej.

– I co ty na to?

Edyta przystanęła w korytarzu.

– Jak to, co ja na to? Powiedziałam mu, że mogę służyć mu noclegiem przez kilka dni, dopóki czegoś sobie nie zorganizuje. I że to wszystko z mojej strony. Wiesz, to w końcu ojciec Maćka. Nie potrafię być kompletnie bezduszna...

– Skorzystał?

– Nie. Powiedział, że wynajął mieszkanie w Pile. Odchodząc, oświadczył, że daje mi czas do namysłu. Że niby może zweryfikuję swoje stanowisko. „Wiem, że cię zaskoczyłem” – zakończyła Edyta, całkiem udatnie naśladując napuszony ton byłego męża.

– O, tak! I to nie pierwszy raz! – roześmiała się Raisa. – Ale powiedz, masz

satysfakcję? – ściszyła głos.

– Nie bardzo. Kiedyś myślałam, że tak właśnie będzie, ale teraz raczej czuję zażenowanie, że on uważa mnie za kretynkę. Naprawdę sądził, że przez te wszystkie lata za nim tęskniłam i wciąż czekam?

– Faceci mają zadziwiająco wysokie mniemanie o sobie. – Raisa pokiwała głową.

– Co mamy zadziwiające? – zainteresował się Mikołaj, wracając do pokoju z tarasu.

– To ciebie nie dotyczy – zbyła go Edyta. – Moja przyjaciółka wyszła za jedynego sensownego faceta na Ziemi.

– Jaki komplement! Dziękuję! – Przywitał się. – A żebyś wiedziała, jak mnie kiedyś opierdzieliła, że stłukłem szklanki dla ciebie! – dodał.

– Szklanki dla mnie? Jakie szklanki?

Rozbawiona Raisa spojrzała na przyjaciółkę.

– Kiedyś na gwiazdkę dostałaś ode mnie kieliszki. Pierwotnie miały to być kryształowe szklanki, ale on na mnie wpadł, jak wychodziłam z nimi ze sklepu. I je rozbił.

– A wtedy, w galerii! No cóż, jestem pewna, że było warto.

– Też tak myślę. – Raisa objęła męża ramieniem.

– Dziewczyny, fajnie tak sobie powspominać, ale może coś zjemy? – zmienił temat Mikołaj. – Umieram z głodu, a zapiekanka zaraz się przypali.

Nakryli do stołu, postawili wino. Zapiekanka pachniała smakowicie. Rozmawiali o dzieciach, Pawle, wakacjach na Maderze, na które namawiała ich Edyta. Po którymś z kolei kieliszku alkoholu Raisa przypomniała sobie o losowaniu. Przyniosła notes, długopis i włączyła komputer, żeby obejrzeć transmisję. Mikołaj z Edytą podśmiewali się z jej poważnej miny. W końcu Raisa sięgnęła po kupon.

W pierwszym rzędzie nie było żadnych trafień, w drugim też. Zniechęcona spojrzała na trzeci. O, zgadza się, siódemka! Nie może być!, pomyślała z przekąsem. Jest też ósemka, no, no! Dwadzieścia cztery, trzydzieści jeden, trzydzieści pięć...

– O Boże! – Zasłoniła dłonią usta. – To niemożliwe... – wymamrotała. Patrzyła i nie wierzyła w to, co widzi. – Mam szóstkę! – pisnęła. – Mikołaj, naprawdę! Naprawdę mam szóstkę! Wygrałam!

– Jak to: wygrałaś? – Wstał od stołu i podszedł do kanapy. – Chyba wypitaś za dużo, droga żono. – Usiadł obok i sięgnął po leżący na stoliku notes. Porównał zapiski z zakreślonymi na kuponie liczbami. – Ja piernicę! – sapnął. – Naprawdę wygrałaś!

– No co wy? – parsknęła Edyta. – Wygrałaś w Lotto? Ty?

– Patrz! – Podbiegła do niej Raisa.

Edyta uważnie prześledziła liczby.

Stwierdzili, że cała trójka nie może mieć omamów wzrokowych.

– Jesteś pieprzoną milionerką! – Edyta popatrzyła oniemiała na przyjaciółkę.

Raisa rozłożyła ręce szeroko, jakby witała kogoś dawno niewidzianego. I roześmiała się w głos.

– Na to wygląda!

– Ale jaja! – Mikołaj złapał się za głowę.

Sprawdzali kupon jeszcze wielokrotnie, jakby żadne z nich nie ufało oczom. W końcu Mikołaj zdecydował się zadzwonić w środku nocy do dzieci. Raisa uważała, że lepiej będzie z tym poczekać, ale on nie potrafił się powstrzymać.

– Czy ty wiesz, jakie to otworzy przed nimi możliwości? – powtarzał podekscytowany.

Raisa bardzo dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Widziała także siebie, podróżującą z mężem całymi miesiącami po najcudowniejszych zakątkach świata, niemartwiącą się o nic. Część wygranej postanowiła ofiarować Bernardowi i Laurze; miała nadzieję, że brat znów zacznie się do niej odzywać, bo od lat kontakt z nią utrzymywała wyłącznie Dorota, a i to też coraz rzadziej. Na szczęście Laura nie jest tak obrażalska, a zastrzyk gotówki na pewno jej się przyda, myślała. No i trzeba by przeznaczyć jakąś kwotę dla Zuzy, siostry Mikołaja, która przejęła po wuju sklep ze starociami i nieustannie potrzebowała gotówki.

Zapowiadała się bezsenna noc.

Edycie, która spędziła ją u przyjaciół, też obiecano niewielkie wsparcie dla „Filiżanki”.

– Co się odwlecze, to nie uciecze – stwierdziła sentencjonalnie Raisa. – Goście niedługo będą sączyć soki z kryształowych szklanek – dodała ze śmiechem.

– Wiesz, nie będę miała żalu, jeśli postanowisz rzucić pracę – odparła przyjaciółka.

– No coś ty!

Przy śniadaniu Raisa uznała, że trzeba zgłosić wygraną jak najszybciej.

– Nie ma na co czekać! – zarządziła, wkładając naczynia do zmywarki. – Jeszcze gdzieś zapodziejemy ten kupon i co?

Mikołaj nie uważał, że takie tempo jest potrzebne, ale ostatecznie przyznał żonie rację. Nadia z Filipem wydzwaniali do rodziców na zmianę, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się wydarzyło.

W cudowny kwietniowy poranek Hedwigowie wsiedli zatem w samochód i ruszyli do Warszawy. Mikołaj był w tak dobrym nastroju, że nawet zgodził się zasiać w fotelu pasażera, choć zazwyczaj to on wolał trzymać kierownicę. Raisa zatrąbiła na pożegnanie, Edyta pomachała przyjaciółom.

Na drodze nie było zbyt dużego ruchu, więc pruli przed siebie, by jak najszybciej otworzyć drzwi do nowego życia. Cóż to była za podróż! Oboje byli

tak samo podekscytowani, radośni i przejęci.

– To co najpierw? Bali czy Hawaje? – zapytała Raisa, gdy do stolicy została im zaledwie godzina drogi.

– Co wolisz, kochanie! – odparł nonszalancko Mikołaj. – Ja się zastanawiam porsche czy ferrari.

– Może jedno i drugie? – Spojrzała rozbawiona.

– Żartuję! Tak naprawdę nigdy nie zależało mi na takich zabawkach. Za to mam ochotę na dłuuuugie wakacje!

– Czyli Hawaje – podsumowała Raisa. – Widzisz to? – zapytała.

– Co?

– Coś jakby dym.

– Gdzie? – Mikołaj się rozejrzył.

– Tu z przodu. – Wskazała na maskę.

– No coś ty! Nie wymyślaj. Dbam o ten samochód. Może to nie porsche, ale nigdy mnie nie zawiódł.

Raisa uspokoiła się i poprawiła w fotelu. Lecz gdy po chwili przed szybą pojawił się niebieskawy dym w ilości, której nie dało się nie zauważyć, Mikołaj zrozumiał, że jego żona niczego nie wymyśla.

– Raisa, zwolnij – poprosił, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie. – I nie panikuj, za pięćset metrów będzie pas awaryjny, tam zobaczymy, co to takiego. Stój! – wrzasnął, bo w tym samym momencie spod maski buchnęły płomienie.

Było jasne, że czasu jest niewiele. Raisa natychmiast zjechała do prawej krawędzi jezdni i zatrzymała auto. Mikołaj wyskoczył na zewnątrz, ona bezskutecznie mocowała się ze swoimi drzwiami. Nie wiedziała, czy się zablokowały, czy z nerwów ręce odmawiają jej posłuszeństwa. W końcu, ponaglana, wyszła od strony pasażera.

– Uciekaj! – krzyknął Mikołaj na całe gardło. – Schyl głowę i biegnij jak najdalej!

Pędzili przed siebie ile sił w nogach. Padli na ziemię instynktownie, w chwili gdy usłyszeli wybuch.

– Matko! – jęknęła Raisa, osłaniając głowę rękami. – Zaraz nas coś zabije!

Gdy Mikołaj obejrzał się, cały samochód stał już w płomieniach.

– Nic nam nie będzie. Jesteśmy dostatecznie daleko. Zdążyliśmy. – Przytulił żonę. – A ten pas awaryjny nie był moim najlepszym pomysłem.

Straż pożarna pojawiła się szybko, a zaraz za nią pogotowie ratunkowe, które odjechało niemal natychmiast, gdy ratownicy stwierdzili, że nikt nie ucierpiał. Wyglądało na to, że któryś z przejeżdżających kierowców wezwał pomoc.

– Najważniejsze, że żyjecie! – starali się pocieszać strażacy.

– Zgadza się. – Mikołaj nie przestawał tulić wciąż oszołomionej Raisy.

Młody strażak poklepał go po ramieniu.
– I tak nie jesteście dzisiaj największymi pechowcami na świecie. – Zdjął kask. – A jak macie AC, to ubezpieczyciel zapłaci.
– Co z tym pechem? Co pan miał na myśli? – zainteresowała się Raisa.
– Prawdziwy niefart ma ten, kto myśli, że wczoraj wygrał w Lotto. Tym bardziej że była tylko jedna szóstka.
– Dlaczego? – zapytał ostrożnie Mikołaj.
Strażak przełożył kask z ręki do ręki.
– Mówili w radiu, że wczoraj telewizja omyłkowo puściła archiwalne nagranie. Z jakiegoś wcześniejszego losowania, chyba ze stycznia. Ma pan pojęcie?
– zarechotał. – Dzisiaj będą losować nowe numery.
– Chyba pan żartuje? – Raisie zabrakło tchu.
– A co? Może to pani wygrała? – Strażacy ryknęli śmiechem. – Wtedy naprawdę miałyby pani dzisiaj pecha – podsumował młody. – A tak to tylko spalił się wam samochód.

Małżonkowie spojrzeli po sobie bez słowa. Kiedy strażacy zajęli się składaniem sprzętu, Mikołaj zadzwonił do Edyty i poprosił, żeby przyjechała po nich na stację benzynową.

– Najważniejsze, że nic się wam nie stało – powiedziała przejęta wypadkiem.
– Nie martwcie się o auto, zaraz i tak kupicie sobie jakąś fantastyczną furę.

– Nie kupimy – oświadczył zrezygnowany Mikołaj. – Przeczytaj sobie w sieci, co piszą o wczorajszym losowaniu. Poza tym może to i lepiej? Bo nasz kupon również spłonął. Chyba będziesz musiała nieco poczekać na te szklanki...

Mikołaj był zły za tę chwilę nadziei i dlatego, że wczoraj zadzwonili do dzieci. Zaraz po powrocie do domu zgłosił się do dziennikarzy, którzy szukali osób poszkodowanych wskutek pomyłki telewizji. Raisa uważała, że to niepotrzebne, lecz on chciał chociaż w taki sposób odreagować frustrację. Reporterzy jeszcze tego samego dnia przyjechali do Bornego, żeby przeprowadzić z nimi rozmowę i zrobić zdjęcie Raisie. Jej fotografia z nieszczęśliwą miną obiegła większość portali.

Wkrótce potem Raisa odebrała nieoczekiwany telefon. Dzwonił Bernard.

– Pewnie Lotto odpali ci jakieś odszkodowanie – powiedział.
– Miło, że dzwoniś – odparła. – Niestety, nic z tego. Tłumaczą się zwykłą pomyłką. Niefortunną, ale jednak pomyłką.

Bernard zaśmiał się szyderczo.

– Nie sądziłem, że się podzielisz. Chciałem się tylko upewnić.
– Nie mam czym się dzielić! Nic nam nie dadzą. Poza tym nawet nie mam tego kuponu, więc nie dysponuję dowodem do ewentualnych roszczeń – podsumowała gorzko.

– Aha! Może powiesz mi, że też się spalił? – prychnął i się rozłączył.

W Raisie zagotowała się złość. Poczwała też dojmującą bezsilność, a w sercu ogromny żal, bo zrozumiała, że choćby stanęła na głowie, nigdy nie będzie z bratem blisko.

Przejęta Nadia weszła do domu. Już od miesiąca przygotowywała rodziców na to, że przyjedzie z chłopakiem, aż wreszcie nadszedł ten dzień.

Mikołaj od rana nie mógł sobie znaleźć miejsca. Gdy Raisa pytała go, czy się denerwuje, odpowiadał, że skąd i że wszystko jest w porządku. Ona jednak wiedziała swoje. Sama też czuła tremę, ale była bardzo ciekawa tego, który skradł serce jej córce. Musi to być poważna sprawa, stwierdziła. Inaczej Nadia przyjechałaby bez niego.

– Mamo, tato. Poznajcie, to jest Łukasz.

– Łukasz Wielgosz – przedstawił się młody mężczyzna.

Spodobał się Raisie od razu. Dobrze patrzyło mu z oczu. Miał miłą twarz i serdeczny uśmiech. W niebieskiej koszuli i szarej marynarce prezentował się bardzo elegancko.

– Cieszę się, że w końcu możemy się poznać. Nadia dość długo ukrywała cię przed nami. – Mikołaj uściśnął mu dłoń.

– Tato, co ty wygadujesz? Wcale go nie ukrywałam!

– Przecież tato żartował – odezwała się Raisa. Utrata poczucia humoru to typowy objaw, że sprawa jest poważna, uśmiechnęła się w duchu. Podziękowała za piękne kwiaty i zaprosiła do salonu na obiad. – Akurat będziesz miał okazję – zwróciła się do Łukasza – poznać brata Nadii. Filip też przyjechał na weekend.

– O, to świetnie – odparł z uśmiechem.

– Nie wspominałaś nic o Filipie – szepnęła Nadia z wyrzutem. – Myślałam, że będzie bardziej kameralnie. Nie chcę, żeby Łukasz poczuł się przytłoczony.

Wywołany do tablicy Filip wyszedł na korytarz.

– A więc to ty jesteś moim przyszłym szwagrem – powiedział.

– Filip! – syknęła Nadia.

Łukasz roześmiał się i złapał ją za rękę.

– Kto wie? Całkiem możliwe...

– No, chodźcie. Nie będziemy tak stać w korytarzu – ponaglił Mikołaj.

– Macie państwo piękny dom. W ogóle okolica jest niezwykła – zauważył Łukasz. – Trochę czytałem o Bornem Sulinowie. To naprawdę wyjątkowe miejsce. Z nietatwą historią, ale właśnie przez to intrygujące.

– I piękne – wtrąciła Raisa. – Dziękuję za komplement. Dom wyremontował mój ojciec. Kiedyś był rudera, zniszczoną przez opuszczających miasteczko Rosjan. Tato włożył wiele wysiłku, żeby wydobyć z willi dawny blask. Teraz to nasze miejsce na Ziemi.

– Nie dziwię się – powiedział Łukasz z uznaniem.

Raisa przeprosiła towarzystwo na chwilę, żeby dokończyć obiad. Nadia upewniła się, że ani ojciec, ani brat nie zrobią jej wstydu, i poszła do kuchni, żeby pomóc matce. Sięgnęła po leżącą na blacie główkę sałaty i zaczęła nerwowo rwać liście.

Raisa przyglądała się jej przez chwilę.

– Spokojnie, bo do niczego się nie nada – zwróciła córce uwagę.

– Co? A, tak. Chyba trochę się denerwuję. – Nadia odłożyła sałatę. – I jak? Podoba ci się? – zapytała z niepokojem.

– A to mnie ma się podobać?

– No nie, ale wolałabym...

Raisa wyjęła z piekarnika pieczeń, odstawiła ją na stół, po czym ujęła dłonie córki.

– Kochana, na pewno jest przystojny – powiedziała. – Wydaje się też miły. A jeśli się kochacie, to trafiłaś w dziesiątkę.

Nadia odetchnęła z ulgą.

– Cieszę się, że tak mówisz. A jak go bliżej poznasz, wszystko zrozumiesz. Wiesz, tata wydaje się bardzo spięty. Biega wokół Łukasza, pokazuje mu kwiaty w salonie i opowiada historię ich wzrostu od małej szczepki.

Raisa zachichotała.

– Zgadza się. Od rana zżera go trema. Też chce się pokazać z jak najlepszej strony.

Nadia ponownie zabrała się do rwania liści.

– Jak się będzie tak starał, wyjdzie na wariata. Bardzo mi zależy na Łukaszu – dodała poważnie.

– Wiem, córuś. Nie śpiesz się jednak do niczego. Masz całe życie przed sobą.

– Oj, mam, nie zaczynaj. Mam głowę na karku. Ale dopiero teraz wiem, co to znaczy kogoś kochać. Wszystkie moje licealne miłości to dziecinada. A podchodziłam do nich tak śmiertelnie poważnie. – Pokręciła głową. – Wiem. – Podniosła do góry dłoń, powstrzymując Raisę gestem. – Wiem, że straciłaś pierwszą prawdziwą miłość. Ale w końcu i tak znalazłaś swoją przystań. Łukasz to moja przystań. Zapewniam cię.

Raisa popatrzyła na córkę. Na tę piękną, jasnowłosą, młodą kobietę, jaką się stała. Uważała, że Nadia jest mądra, dużo mądrzejsza od niej samej. Jak dziś pamiętała dzień jej narodzin. To, że ojciec wydzwaniał co chwila i pytał, czy to już, doprowadzając ją tym do białej gorączki. To, że z Mikołajem wpatrywali się w ich maleńkie cudo wzruszeni do granic możliwości. Teraz Nadia dorosła i wrywała się w świat.

– Moja mała córeczka... – Raisa pogładziła ją po policzku.

– Kocham cię, mamus. Ale nie mów tak do mnie przy Łukaszu, okej?

– Jasne. Postaram się.

Obiad przebiegł w bardzo sympatycznej atmosferze. A Raisa przyłapała się na myśli, że Łukasz tak się wpasował w ich rodzinę, jakby od dawna był jej członkiem. Zaskarbił sobie jej serce skomplementowaniem pieczeni. Raisa lubiła gotować, ale jeszcze bardziej cieszyło ją, kiedy ktoś doceniał jej starania. Nawet jeśli Łukasz był tylko uprzejmy. Gdy młodzi wieczorem wyszli do miasteczka na piwo, Raisa z mężem mieli chwilę, żeby wymienić wrażenia i trochę ochłonać.

Mikołaj zaparzył herbatę. Postawił czajniczek na stoliku i z ciężkim westchnieniem opadł na kanapę.

– Co tak wzdychasz? – zapytała Raisa. – Chyba wszystko się udało.

– Właśnie dlatego.

Spojrzała zaciekawiona.

– Gdyby był niewydarzony, mógłbym jeszcze spróbować wybić jej go z głowy...

– Nadia nie wybrałaby sobie kogoś niewydarzonego – roześmiała się Raisa.

– Wygląda to dość poważnie, nie sądzisz? Wciąż nie mogę uwierzyć. Jeszcze niedawno biegała po domu mała dziewczynka z warkoczykami i obsesją na punkcie księżniczek.

– Ja dzisiaj wspominałam jej narodziny.

– Czas płynie za szybko – podsumował melancholijnie Mikołaj, nalewając herbatę do filiżanek.

Nie sposób było się z nim nie zgodzić.

– Przyjechałam, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ostatnio trudno się do ciebie dodzwonić – oświadczyła Raisa, zdejmując kurtkę i szalik.

A potem mocno przytuliła Laurę.

Jakiś czas temu złapała się na myśli, że siostra praktycznie przestała się odzywać. W dodatku, jeśli już rozmawiały, wydawało się, że zaszła w niej zmiana. Była przygaszona i odległa. Gdy Raisa usiłowała drażnić, Laura zbywała ją stwierdzeniem, że ma dużo pracy. Tyle że tak było właściwie od matury, gdy przygotowywała się do egzaminów na medycynę. Taki stan rzeczy trwał od lat, lecz mimo że urobiona po łokcie, głos Laury nie brzmiał dotychczas tak niepokojąco.

– Masz ochotę na kawę?

– Bardzo chętnie. Pieruńsko dzisiaj zimno. – Raisa roztarła dłonie. – Przeszłam dosłownie kawałek z parkingu do ciebie, a już zmarzłam na kość.

W kuchni Laura wyciągnęła filiżanki i włączyła ekspres.

Raisa klepała, że Łukasz oświadczył się Nadii i że oni z Mikołajem cieszą się z takiego obrotu sprawy, bo zdążyli się przekonać, że to porządny chłopak.

– W dodatku ostatnio Filip zaczął przebąkiwać coś o jakiejś Alicji – dodała.

– Wiesz, dotąd miał dziewczyny, ale o żadnej nie mówił tak dużo, więc chyba to

coś poważnego. Wygląda na to, że dzieciaki niedługo mi się sparują na stałe. Tylko patrzeć, jak zostanę babcią. Czemu nie? W końcu dobiegam sześćdziesiątki, żadna młódka ze mnie.

– Dobrze, że im się układa – odparła Laura smutno.

A Raisa już wiedziała, że coś jest nie tak. Jej siostra kochała siostrzeńców i normalnie zaczęłyby wypytywać o szczegóły. Nie przepuściłyby też okazji do pożartowania sobie z upływem lat. Kiedyś uważały z Raisą, że sześćdziesięciolatek to starzec.

Przyjrzała się uważnie i w świetle kuchennej lampy zauważyła podkrążone oczy.

– Kochana, dobrze się czujesz? – zapytała. – Ja wiem, że twoi pacjenci są dla ciebie najważniejsi pod słońcem, ale jeśli nie zadbasz o siebie, to im nie pomożesz. Nie obraż się, ale nie wyglądasz najlepiej.

– Przepraszam, że nie mam niczego do kawy. – Laura pominęła tę troskę milczeniem. – Kiedy wczoraj zadzwoniłaś, miałam coś kupić, ale wypadło mi z głowy. – Postawiła na stole filiżankę z aromatyczną zawartością.

– Nie ma sprawy. Chciałam się z tobą zobaczyć. I widzę, że dobrze zrobiłam.

– Chyba tak – powiedziała cicho Laura, przysiadając obok.

Ukryła głowę w ramionach, które zaczęły drżeć.

– Siostrzyczko, co się dzieje? – Raisa chwyciła ją za rękę.

Na policzkach Laury zabłyśły łzy.

– Nie mogłam się przemóc, żeby ci o tym powiedzieć...

Raisa poczuła skurcz w żołądku. Taki wstęp nie zwiastował niczego dobrego. Laura podniosła głowę i spojrzała zapłakanymi oczami.

– Mam raka jajnika – wykrztusiła. – Jak mama.

Raisa ogarnęła ją ramionami, jakby chciała ochronić przed zagrożeniem. Rozpląkały się obie.

Długo w noc rozmawiały o czekającej Laure operacji, o dalszym leczeniu. A jednak żadna nie wypowiedziała na głos najczarniejszych myśli. Zbyt dobrze pamiętały, jak wyglądała choroba ich matki. Mimo że minęły lata, a medycyna poczyniła znaczne postępy, jedna rzecz nie uległa zmianie – zbyt późno wykryta zmiana zmniejszała szanse na wyzdrowienie. Tak właśnie było w przypadku Laury.

– Nie mogę sobie darować – wyszeptała, ściskając w dłoni zmoczoną chusteczkę. – Jestem przecież lekarzem, znam czynniki ryzyka. U mnie sprzegła się i historia rodzinna, i fakt, że nie rodziłam, ale tak byłam skupiona na innych... Myślałam, że jestem od leczenia, nie od chorowania. Mądre, co?

– Daj spokój. Takie myślenie nie ma sensu. – Raisa otuliła ją kocem, choć i ona dygotała. Z nerwów. – Bernard wie?

– Nie. I nie mam pojęcia, co u niego, bo nie odzywa się za często. Czasem zadzwoni Dorota albo Zosia.

– Do mnie nie odzywa się wcale. Chyba na dobre mnie skreślił.

– Jest trudny. Dorota ma do niego anielską cierpliwość. A wiesz, że Bernard ma nie najlepszy kontakt także z Zosią? Z własną córką, masz pojęcie? Zresztą nic dziwnego. Miał wobec niej takie wymagania! Pamiętasz, jak nabił sobie głowę, że zrobi z niej szachową arcymistrzynię. A przecież Zośka to typowa humanistka.

– Pamiętam. Strasznie ją musztrował. Gdyby nie rozsądna Dorota, dziecko nie miałoby życia.

Raisa zapatrzyła się na biblioteczkę w salonie siostry, w której większą część stanowiły pozycje o tematyce medycznej. Chciała o coś zapytać, ale nie była pewna, czy powinna zrobić to akurat teraz. Mimo to odważyła się:

– Czy naprawdę czuliście się z Bernardem mniej kochani przez rodziców?

Zaskoczona Laura podniosła wzrok.

– W dzieciństwie przyszło mi to do głowy, ale tak nie było. Ja byłam raczej zazdrosna o uwagę, którą ci poświęcali. A Bernard? Może on tak. Był najstarszy, więc rodzice oczekiwali od niego, że będzie odpowiedzialny za nas obie, a zwłaszcza za ciebie.

– Nie miałam pojęcia, że tak było...

– Po prostu przytrafiło im się dziecko, którego nie sposób spuścić z oka. – Laura uśmiechnęła się blado. – Ale teraz nie mam o to żalu. Nawet ich rozumiem.

– Laura, nie wiem, dlaczego ojciec przepisał akurat mi ten dom. Przysięgam, nie miałam z tym nic wspólnego!

Laura machnęła ręką.

– Daj spokój, to teraz nieważne! Poza tym ja się domyślam, dlaczego tak postanowił.

– Tak? – zdumiała się Raisa.

– Z troski. Sądził, że z naszej trójki masz największe szanse wylądować kiedyś pod mostem. Wyszykował ci szalupę ratunkową.

– Widzę, że przepelnia cię wiara we mnie! – zaśmiała się Raisa. – Chcę jednak, żebyś miała pewność, że jeśli będą potrzebne pieniądze na twoje leczenie, sprzedam dom bez wahania.

Laura wyciągnęła rękę do siostry, ich palce się splotły. Zupełnie tak samo jak w dzieciństwie, kiedy przeprowadzała Raisę przez jezdnię.

Dzień ślubu Nadii i Łukasza był dla Raisy trudny, choć cieszyło ją szczęście córki i pewność, że jej wybór jest słuszny. Para młoda prezentowała się jak z żurnala, a ceremonia okazała się wzruszająca. Wybieranie z córką sukni ślubnej było dla Raisy doświadczeniem wyjątkowym i ważnym, podobnie jak dla Nadii. Co wcale nie dziwiło. Raisa pamiętała, jak bardzo brakowało jej mamy podczas przygotowań do każdego z dwóch ślubów. Była szczęśliwa, że przynajmniej córka może cieszyć się jej obecnością i korzystać z matczynych rad i wsparcia.

Niezwykle ważne dla niej było także to, że w tym wyjątkowym dniu uczestniczyła Laura, choć obie wiedziały, że to najprawdopodobniej ich ostatnia wspólna uroczystość. Z zaproszenia nie skorzystał Bernard. Wysłał jedynie gratulacje młodej parze. Raisie było przykro, nawet nie ze względu na siebie czy Nadię, ale przez wzgląd na Laurę. Bernard nie przyjął do wiadomości choroby siostry. Zwyczajnie ją wyparł i zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie działo i jakby mieli mnóstwo czasu. Choć zaczął częściej dzwonić do Laury, rozmawiali o zwykłych rzeczach, a rak pozostawał tematem tabu. Laura przystała na to; nie wiadomo, czy było jej tak łatwiej, czy zwyczajnie bała się, że jej choroba ostatecznie zniechęci Bernarda do kontaktu.

Przez cały dzień Raisie do oczu cisnęły się łzy, na przemian wzruszenia i rozpacz. Obserwowała szczęście Nadii, lecz odzywał się w niej znajomy niepokój: czy jej pierworodnej córce powiodło się w życiu, czy jest szczęśliwą mężatką, czy zabłysła i dla niej dobra gwiazda? Przed Laurą udawała, że wszystko jest w porządku, a łzy płyną wyłącznie z radości. Wiedziała, że siostra pragnie ją widzieć właśnie taką.

Ona już nigdy nie pozna mojej tajemnicy, zrozumiała Raisa. Już na to za późno.

Mimo że była już bardzo słaba, Laura posiedziała na przyjęciu do północy. A gdy miała dość, Raisa odprowadziła ją do pokoju i posiedziała przy jej łóżku, aż siostra zasnęła. Cicho zamknęła za sobą drzwi.

W korytarzu natknęła się na Filipa.

– A ty co tutaj robisz? – rzuciła, spuszczać powieki, aby nie zobaczył szklących się oczu. – Nie bawisz się?

– Przyszedłem sprawdzić, jak się trzymasz.

Filip prezentował się w popielatym garniturze nadzwyczaj elegancko. A ona była z niego taka dumna! Po studiach założył własną firmę zajmującą się instalacją paneli solarnych; początki nie były łatwe, więc razem z Mikołajem starali się wspierać syna finansowo. Wprawdzie nie tak, jak mogliby, gdyby wygrali tamte pięćdziesiąt milionów, ale zawsze. Raisę cieszyło, że Filip nie jest bierny, że wykazuje w życiu inicjatywę. Jest odpowiedzialny i przedsiębiorczy. A przede wszystkim wrażliwy na innych. Dotknęła jego ramienia.

– Dziękuję – powiedziała. – Kochany jesteś. Jakoś daję radę. Gorzej z ciocią.

– Jesteś bardzo dzielna, mamó.

– Nie, to Laura jest. Ja jestem wyłącznie przerażona.

– Nie doceniasz własnej siły. Dla mnie jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam.

Raisa spojrzała wzruszona.

– Chodź, wracamy na salę – zarządziła. – Nadia będzie się niepokoić.

Ruszyli korytarzem.

– Nie pamiętam, czy zrobiłem to kiedykolwiek, ale chcę ci podziękować, że

mnie z tatą adoptowaliście – powiedział Filip. – Gdyby nie to, nie wiem, jak wyglądałoby teraz moje życie. Może to nieodpowiedni czas na takie wyznanie, ale pragnę, żebyś to wiedziała.

Raisa poczuła, że zaraz się rozplacze na dobre. Miała wrażenie, że z wiekiem coraz łatwiej jej o łzy.

– To chyba najbardziej odpowiedni czas – odparła. – Ale nie masz za co dziękować. To przecież ty wzbogaciłeś nasze życie.

– Ja chyba nie potrafiłbym się zdecydować na taki gest. Ile trzeba mieć w sobie miłości, żeby ofiarować ją obcemu dziecku? Może nie powinienem tak myśleć, bo sam zostałem wzięty z domu dziecka... Podziwiam was za tę decyzję.

– Przede wszystkim jesteś jeszcze bardzo młody – powiedziała Raisa, przystając. – Mimo to powiem ci, czego nauczyło mnie życie. Żeby nigdy nie mówić „ja nigdy” albo „ja zawsze”. Czasami zdarza się człowiekowi robić takie rzeczy, jakich nie spodziewa się po sobie. I te negatywne, i pozytywne. Życie bywa przewrotne i potrafi zaskakiwać.

– Ty, mamusiu, nie masz się czego wstydzić. Możesz być z siebie dumna. – Filip objął ją w pasie.

Raisa musiała zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Tak, z jego perspektywy zasłużyłam na te słowa, pomyślała z goryczą.

Od rana padało tak rzęsiście i nieprzerwanie, że wydawało się, że tak będzie już zawsze. Gdy wszyscy żałobnicy już poszli, Raisa przykucnęła nad niewielkim dołkiem, do którego złożono urnę z prochami Laury. Grabarze oddalili się dyskretnie, dając jej czas na pożegnanie. Położyła białą różę na stercie kwiatów.

– Ucałuj mamę i tatę – wyszeptwała.

Gardło miała ściśnięte, oczy pełne łez. Wciąż nie mogła uwierzyć, że stało się nieodwołalne.

Ostatnie tygodnie były koszmarne, więc Raisa czuła przede wszystkim ulgę, że siostra już nie cierpi, choć nie potrafiła poradzić sobie ze stratą. Podniosła się, odwróciła i... wpadła na Bernarda.

– Jesteś z siebie dumna? – zapytał.

– Słucham?

– Pewnie nie leżałaby teraz tutaj, gdyby nie stres, w jaki ją wpędziłaś przy podziale rodzinnego majątku. Podziale! – prychnął.

To było jak uderzenie obuchem w głowę.

Współpracowali z bratem przy organizacji pogrzebu. Może była to tylko logistyka, ale Raisie wydawało się, że ta tragedia okaże się momentem przełomowym w ich relacjach.

– Naprawdę myślisz teraz o pieniądzach? – zapytała. – To chyba jeszcze gorsze niż posądzenie, że Laura nie żyje przeze mnie. Ale nie chcę się z tobą kłócić, nie mam siły. – Wyminęła go, zamierzając odejść. – Aha – rzuciła przez

ramię. – Laura spisała ostatnią wolę. Poprosiłam ją, żeby mieszkanie przepisała na ciebie.

Bernard włożył dłonie w kieszenie czarnego płaszcza, zadarł podbródek i uśmiechnął się z wyższością.

– Czyli jednak gryzły cię wyrzuty sumienia!

– Żegnaj – odparła cicho Raisa.

Poszła alejką w stronę rozłożystego kasztanowca, pod którym czekał Mikołaj.

– Wchodź pod parasol. Jesteś przemoknięta – powiedział. – O czym rozmawialiście?

– Zabierz mnie do domu. Jestem wykończona.

– Chyba nie powiedział ci nic przykrego w takiej chwili?

– To już nie ma znaczenia, kochanie. To już nie ma znaczenia – powtórzyła Raisa. – Chodźmy do domu. Marzę, żeby znaleźć się u siebie.

Rozdział 15

Wnocy Edyta prawie nie zmrużyła oka.

Zasnęła tylko na chwilę, ale wtedy przyśniło się jej, że spotyka Raisę w lesie. Przyjaciółka stoi na ścieżce. Ona zagaduje do niej, ale ta nic nie mówi, nie rusza się. Tylko stoi. Ma smutną twarz, a w oczach ogromny zawód. Edyta, zupełnie zdruzgotana, próbuje ją przeprosić, lecz w końcu braknie jej słów, którymi mogłaby wyrazić przykrość. Raisa odwraca się i odchodzi, nie reagując na wołanie. Na końcu ścieżki, z szeroko rozłożonymi rękami, czeka już na nią Magda Sajewicz.

Edyta obudziła się spocona i stwierdziła, że jeśli ma śnić takie sny, woli zapalić lampkę i sięgnąć po książkę. Tak też zrobiła. Mimo to nie potrafiła się skupić i zaledwie ślizgała się wzrokiem po tekście, nie mając pojęcia, co czyta.

Kiedy pierwsze promienie słońca padły na ścianę ponad jej łóżkiem, postanowiła, że to zrobi. Że pójdzie do przyjaciółki i wyzna jej, że dała płamę. Że przez nią Sajewicz mogła nabrać pewności, że Raisa jako młoda dziewczyna zostawiła dziecko. Że przez jej błąd już niedługo może dowiedzieć się o tym cały kraj. I co gorsza, cała rodzina Raisy. Może nawet pójde o krok dalej?, dumiała Edyta, wsuwając stopy w klapki. Może po tych wszystkich latach milczenia zapytam, czy chciałaby wiedzieć, co się stało z jej córką?

W kuchni Edyta nalała sobie wody do szklanki i wypła duszkiem. Skoro nigdy o tym nie rozmawialiśmy, nie mogłam przecież wiedzieć, jak właściwie postąpić, usprawiedliwiała się w duchu. Przez cały ten czas starałam się uszanować jej wolę. Od pierwszej chwili, gdy jeszcze w szpitalu popatrzyła na mnie zdesperowanym, pozbawionym nadziei, a jednocześnie tak bardzo zdecydowanym wzrokiem i poprosiła, żeby jej pomóc...

Na samą myśl o spotkaniu z przyjaciółką Edycie robiło się słabo. Chyba wcześniej padnę trupem, doszła do wniosku.

Raisa włożyła skromną letnią sukienkę w motyle, umalowała usta pomadką w subtelnym odcieniu różu. Była gotowa do wyjścia.

Wizyta pana Sobierajskiego aż nadto dobitnie świadczyła o intencjach Magdy Sajewicz, dlatego należało się z nią spotkać. Raisa wiedziała, że ta rozmowa zaważy na wszystkim. Na jej dalszym życiu. A mimo to wsiadła na rower i ruszyła do hotelu, gdzie zatrzymała się dziennikarka.

Ustalenie adresu zajęło jej niecałe trzy minuty. Zadzwoiła do dwóch najlepszych miejsc w miasteczku: do dawnego kasyna oficerskiego i do hotelu nad jeziorem. Przedstawiła się i powiedziała, kogo szuka. I drugi strzał okazał się strzałem w dziesiątkę.

Nie ujechała daleko. Gdy tylko ruszyła spod domu, zobaczyła samochód

Edyty. Przyjaciółka wychyliła się i pomachała. Nie dało się nie zauważyć, że wygląda upiornie.

– Cześć. Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała.

– Wolalabym później. Mam teraz pilną sprawę do załatwienia. Jadę do Sajewicz.

– Właśnie o niej chcę pogadać. Narobiłam ci kłopotów.

Raisa spojrzała zaniepokojona. Położyła rower na trawie i wsiadła do samochodu.

– Całą noc zastanawiałam się, jak ci to powiedzieć – westchnęła ciężko Edyta. – Sajewicz przysłała do mnie w dniu twojego wypadku w pałacu i wypytywała o twoją córkę. O twoją pierwszą córkę. – Spuściła wzrok, po czym zerknęła niepewnie. Twarz Raisy stwardniała. – Drażyła temat i sprawiała wrażenie zdeterminowanej. Zresztą sama wiesz. Od ciebie też próbowała wyciągnąć informacje.

– Mów dalej.

– Naciskała. Ciągłe powtarzała, że zbada, co stało się z dzieckiem, że nie odpuści. Pomyślałam sobie, że jeśli ją zapewnię, że nie musi się martwić, bo dziecku nie stało się nic złego, uspokoi się i da sobie spokój. Zachowywała się tak, jakby była to dla niej sprawa życia i śmierci!

Raisa zmarszczyła czoło.

– No to wiem, kto spowodował u niej przyływ pewności siebie – podsumowała. – Wczoraj był u mnie ojciec Marcina i pytał o wnuczkę. – Spojrzała na przyjaciółkę spode łba.

– Tak bardzo mi przykro... Byłam pewna, że ona da sobie spokój, jeśli nie zwietrzy większej sensacji.

– Żłudne nadzieje. Wczoraj dałam radę wmówić stuletniemu staruszkowi, że nie miał wnuczki. Nie wiem jednak, czy zdołam skłamać swojej rodzinie, gdy zada mi to samo pytanie. A co potem? – Odwróciła głowę.

– Wybaczysz mi? – zapytała Edyta niepewnie.

– Nie mam czego ci wybaczać – odparła Raisa. – Może nie było to rozsądne posunięcie, ale nie zawiodłaś mnie nigdy. Każdy popełnia błędy, ja akurat wiem o tym najlepiej. Nigdy nie darowałam sobie, że cię w to wciągnęłam, że cię obarczyłam takim ciężarem. To ja powinnam prosić o wybaczenie.

Edyta siedziała jak trusia, zdumiona obrotem sprawy.

– Nie rozmawialiśmy o tym za wiele...

– Bo nie było sensu. Przecież żadna z nas nie mogła już nic zrobić. – Raisa zacisnęła dłoń. – Ale, ale! – dodała po chwili namysłu. – Powiedziałaś, że zapewniłaś Sajewicz, że dziecku nic się nie stało. Skąd masz tę pewność?

Edyta poczuła przyływ paniki. Czy powiedzieć jej wszystko, czy tylko odpowiedzieć na zadane pytanie?, myślała gorączkowo.

– Przecież nie wrzuciłam jej do rzeki, a oddałam w bezpieczne miejsce. – Zdecydowała się nie grać *va banque*. – Tak jak się umawialiśmy.

– Jasne – odparła Raisa. – Dobrze, że mi o tym powiedziałaś. Przynajmniej Sajewicz mnie nie zaskoczy. – Otworzyła drzwi. – Muszę się śpieszyć, a wiesz, jak jeżdżę z tymi moimi kolanami. Jeszcze wyjedzie i jej nie złapię. Muszę ją jakoś powstrzymać.

– Czekaj, podwiozę cię. Mogę pójść do niej razem z tobą.

– Nie. Chcę jeszcze zebrać myśli w trakcie przejażdżki. Poza tym muszę załatwić to sama. Dziękuję.

Edyta śledziła odjeżdżającą Raisę w lusterku. Uruchomiła silnik, dopiero gdy przyjaciółka znikła za zakrętem. Znają się tyle lat, wiele razem przeszły... W swoim życiu Edyta była dumna z dwóch rzeczy: z syna i z przyjaźni z Raisą. Bała się, że coś może położyć kres tej relacji, dlatego nie odważyła się na szczerość.

Magda właśnie zapięła walizkę, gdy przypomniała sobie, że w łazience została kosmetyczka. Dzisiaj po raz kolejny czuła się słabo. Myślała, że po śniadaniu trochę się jej polepszy, ale nie potrafiła wmusić w siebie niczego konkretnego. Zjadła zaledwie kęs melona, po czym od razu popędziła do toalety. Bonus w postaci dobrego ciężowego samopoczucia właśnie się skończył, pokiwała głową. Niczego już nie ukryję przed Robertem, spanikowała. Będę mu musiała powiedzieć, jak jest: że jestem w ciąży i nie chcę tego dziecka.

Stała w łazience i patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Nawet mocniejszy makijaż nie na wiele się zdał, skonstatowała. Magda wyglądała na chorą.

Zrezygnowana zabrała kosmetyczkę i wyszła z łazienki.

Usłyszała pukanie do drzwi.

Pewnie obsługa, pomyślała. Czego chce, skoro dzisiaj się wymeldowuję?

W progu stał niespodziewany gość.

– Dzień dobry, pani Magdo. Musimy coś sobie wyjaśnić – zaczęła twardo Raisa.

– Domyślam się, dlaczego pani przyjechała. I wcale się nie dziwię. Proszę, niech pani wejdzie.

Spodziewająca się zupełnie innego przyjęcia Raisa była zbita z tropu.

Weszła do eleganckiego, urządzonego w ciepłych odcieniach pokoju z klasycznymi meblami. No tak, w tym mieście wchodzi w grę wyłącznie taka stylistyka, stwierdziła, choć mało nawiązuje do współczesnych surowych trendów.

Magda wskazała jej miejsce przy stoliku, zaraz przy wyjściu na balkon. Usiadły naprzeciwko siebie.

Spokojna przejażdżka nie pomogła. Raisa czuła ko-tłujące się w niej emocje, choć nie zamierzała ich ujawniać.

– Cieszę się, że nic poważnego się pani nie stało w pałacu. – Magda

przerwała milczenie.

– No tak. To przecież dobrze, że pani potencjalna ofiara jest jeszcze na chodzie, prawda?

– Chcę panią przeprosić.

Raisa miała wrażenie, że się przestyszała.

– Może pani powtórzyć?

Magda wsparła przedramiona na podłokietnikach.

– Przepraszam, że uwierzyłam pani byłemu mężowi – uściśliła. – Dałam się wkreślić jak początkująca reporterka. Aż mi głupio.

– Naprawdę?

Raisa nie rozumiała niczego. Podejrzewała dziennikarkę o kolejną zagrywkę.

– Ale przyjaciółki to pani nie zazdroścę – ciągnęła Magda. – Pani Edyta jest z gruntu fałszywą osobą. Najwyraźniej pragnęła pani zaszkodzić, bo gdy przyszedłam do niej, żeby wy badać sprawę, potwierdziła moje podejrzenia. Myli się pani wobec niej. Można znać kogoś od lat, a tak niewiele o nim wiedzieć. Ludzie bywają zawistni. A pani ostatnio miała swoje pięć minut. Jak by na to nie patrzeć.

Kompletnie zaskoczona Raisa ledwie trzymała się w karkach.

– A co takiego się stało, że przestała pani wierzyć słowom Marka? – zapytała ostrożnie.

– Zadzwoiła do mnie jego partnerka i opowiedziała o jego chorobie. Podobno pan Szewczyk leczy się psychiatrycznie. Swoją drogą, musiała pani pozostawić niezatarty ślad w jego psychice, skoro ciągle o pani myśli. I to tak obsesyjnie. A choroba jeszcze to zaostrzyła, jak twierdzi pani Lucyna.

Raisa patrzyła uważnie. Nie, to nie wygląda na blef, doszła do wniosku.

– Rozumiem. Nie miałam pojęcia, że Marek jest chory.

– Ale zastanawiała się pani, dlaczego opowiada takie bzdury. Domyślam się, że i o mnie myślała pani nie najlepiej. Niewątpliwie potwierdziłam stereotyp krwiożerczej i bezwzględnej Magdy Sajewicz.

Raisa przyglądała sukienkę. Motyle na tkaninie wyprostowały skrzydła.

– Przyznam, że nie rozumiem pani postępowania – powiedziała. – Materiał, który pani zrealizowała, przedstawiał mnie z dużą dozą życzliwości i ciepła. Byłam nawet tym zaskoczona.

– Zapewne dlatego, że tak właśnie zrobiłam, skontaktowałam się ze mną pan Marek. A ja poczułam się oszukana. – Magda nachyliła się ku Raisie. – Musi pani wiedzieć, że nie zbliżam się łatwo do ludzi, ale podczas tego jednego dnia, który spędziłyśmy razem, stała mi się pani w jakiś osobliwy sposób bliska. Trochę jak matka. To za duże słowo, ale wyobraziłam sobie, że tak właśnie mogłabym czuć się przy niej. – Wzięła głęboki wdech. – Pamięta pani, jak wyznała mi, że straciła ją wcześniej? Odparłam, że ja też, ale nie powiedziałam wszystkiego. Moja mama mnie porzuciła.

Raisa poczuła, że przyspiesza jej serce. Pokój, do tej pory całkiem spory, skurczył się wyraźnie.

Magda odebrała to milczenie jak oczekiwanie na ciąg dalszy.

– Porzuciła mnie, kiedy miałam osiem lat. Po prostu zakochała się i pobiegła za nowym facetem. Ojciec wyjechał wcześniej do Stanów. Miał nas ściągnąć, ale nigdy tego nie zrobił. Myślę, że dla mamy był to cios, więc zapragnęła odciąć się od przeszłości, do której zaliczałam się i ja. Zostawiła mnie ciotce, z którą nie miałam lekko. Ale życie dało mamie prztyczka w nos. Karma jednak wraca. Niech sobie pani wyobrazi, że miłość jej życia została zapuszkowana za handel narkotykami!

Raisa siedziała jak wmurowana. Powróciły do niej migawki z przeszłości, które połączyły się w zaskakujący obraz.

– Pani Raiso, dobrze się pani czuje? Trochę pani pobladła. Może wody? – Magda wstała i sięgnęła po butelkę.

– Jak nazywa się pani mama? – wykrztusiła Raisa.

Magda odkręciła butelkę i nalała wody do szklanki.

– Beata Nowak.

Że też nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać sąsiadkę o nazwisko!, wyrzucała sobie w duchu Raisa.

– A ten mężczyzna? – zapytała.

Magda spojrzała zaskoczona.

– Bartosz Bielecki – odparła niepewnie.

– To... To nieprawdopodobne!

– Co takiego? – zaniepokoiła się Magda.

– Pani mama z tym panem Bieleckim byli przez jakiś czas naszymi sąsiadami w Szczecinie. Mieszkali pod nami.

– Co pani mówi? Jest pani pewna?

Raisa skinęła głową. Upiła kilka łyków.

– Zdecydowanie. A na dodatek z pani mamą uczestniczyliśmy w katastrofie pociągu w Reptowie.

– O Boże! – Magda zakryła dłonią usta.

– Spokojnie. Ona wyszła praktycznie bez szwanku. Podobnie zresztą jak ja. A kiedy tkwiłyśmy w zmiażdżonym wagonie, opowiedziała mi o swojej córce. O Magdzie. – Raisa podniosła oczy. – O pani...

Magdzie pociemniało przed oczami. Z trudem dowlok-ła się do łóżka.

Nie miały kontaktu od niemal piętnastu lat. Wcześniej, gdy Magda mieszkała jeszcze u ciotki, matka dzwoniła czasem. Bywało, że pisała. Ale nigdy, przenigdy nie zająknęła się choćby słowem o tym, że mogłaby córkę zabrać do siebie. Ostatni raz odezwała się, kiedy Magda kończyła studia, i oznajmiła, że wyemigrowała do Niemiec. Podjęła pracę w domu opieki. Moja matka w roli opiekunki! Magdzie

wydało się to ponurym żartem. A potem nastąpiła cisza. Temat nie wypływał nawet w rozmowie z ciotką. Lecz Magdzie to nie przeszkadzało. Skoro rodzice zapomnieli o niej, ona nie będzie już nigdy tęsknić za ich miłością, postanowiła.

Tyle że było to tylko postanowienie. Z jego realizacją bywało różnie.

Raisa przysiadła na łóżku.

– Pani Magdo, jak się pani czuje? Może zrobię pani zimny okład? Jeszcze mi tu pani zemdleje!

– Bardzo możliwe – odparła Magda słabym głosem.

Raisa powachlowała ją poduszką.

– Niedobrze mi...

Odgłosy dobiegające z toalety sugerują, że opowieść nie przysłużyła się córce sąsiadki, pokiwała głową Raisa. W jej głowie trwała gonitwa myśli.

Dziennikarka wróciła do pokoju jeszcze bledsza niż wcześniej. Ocierała twarz papierowym ręcznikiem.

– Nie wiem, czy to te pani rewelacje, czy ta cholerna ciąża – poskarżyła się.

– Jest pani w ciąży?

Magda przytaknęła. Podeszła do stolika i opadła na krzesło.

– Nie chcę tego dziecka – powiedziała. – Nie potrafię być matką dla nikogo, chyba nawet nie chcę. Jak może się pani domyślać, słowo „matka” nie kojarzy mi się z niczym dobrym. – Raisa chciała coś wtrącić, ale ją powstrzymała. – Nie mogę uwierzyć, że znała pani moją mamę. Jestem ciekawa pani opinii o niej. Jaka się pani wydawała?

– Nie znałyśmy się dobrze. Wydawała się uprzejma i miła, choć nieco wycofana i cicha. W pewnym momencie często się z panem Bartkiem kłócili, więc niepokoiłam się o nią.

– Kłócili się? – Magda uniosła brwi. – Czyli nie miała sielanki z tym facetem. A mimo to zostawiła córkę...

Raisa postanowiła oszczędzić jej pozostałych szczegółów.

– Nie mam pojęcia, gdzie ona teraz jest – ciągnęła Magda, zgniatając papierowy ręcznik w kulkę. – A szkoda, bo zadzwoniłabym i powiedziała, że zrujnowali mi z ojcem życie. Że to przez nich czuję się wybrakowana, niezdolna do zaopiekowania się kimś słabszym, do ofiarowania miłości, której nie doświadczyłam w dzieciństwie. Potrafi pani to sobie wyobrazić? Taki ciągły niedosyt? Właśnie dlatego nie można porzucać dzieci! Nie można ich krzywdzić. Ja nie chcę zranić własnego dziecka. Nie mogę tego zrobić. Dlatego podjęłam decyzję...

Zadrzała. A Raisa delikatnie ujęła jej dłoń; była lodowata. W jednej chwili zrozumiała, co takiego zatliło się w sercu Magdy, gdy okazało się, że bohaterka jej reportażu, niby taka poszkodowana przez los, mogła dopuścić się czegoś, co według niej było niewybaczalne. Raisa obudziła w niej głęboko uspięte uczucia:

wściekłość i żal.

– Jak rozumiem, myśli pani, żeby usunąć ciążę? – zapytała ostrożnie. – A co na to pani mąż?

– On nic o tym nie wie.

Ona jest jak ja przed laty, pomyślała Raisa. Zdała sobie sprawę, jak bardzo są do siebie podobne. Magda, zagubiona i zdjeta strachem, bała się samej siebie. I odpowiedzialności.

– Proszę mi wybaczyć, jeśli panią urażę – powiedziała Raisa. – Ale wygląda to trochę tak, że jeszcze niedawno pragnęła mnie pani napiętnować za coś, co sama planuje zrobić...

Magda zaśmiała się gorzko.

– Nie dość, że jestem zimna, to jeszcze zakłamana!

– Wydaje mi się, że ocenia się pani zbyt surowo. Może warto dać sobie szansę?

– Pani Raiso, pani nie wie, jak to jest. Pani mama umarła, a nie odeszła od pani. Ja czuję się niepełna. A nawet gorsza, choć nikt tego nie podejrzewa. Własne słabości przykrywam pozorną pewnością siebie.

– Co pani wygaduje! – zaprotestowała poruszona Raisa. – Ma pani wiele do zaoferowania! Jest pani mądra i silna, skoro tyle pani przetrwała. Kto wie, może nie byłaby pani taka, gdyby nie przytrafiło się to wszystko? I jestem przekonana, że potrafi pani okazywać uczucia. Skoro ma pani męża...

– Nie jestem dla niego najlepszą żoną. Robert zasługuje na coś więcej – wykrztusiła Magda przez ściśnięte gardło.

– To akurat zawsze można naprawić. A nie wszystko się da. Nie wiem, czy chce pani to usłyszeć, ale pamiętam, że wtedy w pociągu pani mama mówiła mi, że żałuje swojej decyzji.

Magda zamarła.

– Skoro żałowała, mogła przecież ją zmienić – odparła. – Chyba że, według niej, była to akurat jedna z tych rzeczy, których nie da się naprawić – zakpiła.

– Z tego, co pamiętam, wydawało się jej, że jest pani dobrze u ciotki. Ale czuła też, że po tak długim czasie nie ma już powrotu do tego, co było. Bała się, że pani jej nie wybaczy.

Magda przymknęła oczy.

– Sama nie wiem, czy chciałam to usłyszeć – powiedziała. – Brzmi to jak wymówka kogoś, komu zwyczajnie nie chciało się postarać!

– Może warto o to zapytać?

– Mam jej szukać? – Magda spojrzała z niedowierzaniem. – Ja? Całe życie czekałam, aż ona się na to zdobędzie. Aż zapragnie naprawić błąd!

– Przecież widzę, że jest to pani bardzo potrzebne. A skoro tak, może warto o tym pomyśleć?

– Nie wiem. Jestem na nią taka zła!

– Tyle że ta złość działa przeciwko pani. Nie warto! Za panią trudna przeszłość, a teraz robi pani wszystko, żeby zatruć nią sobie przyszłość. To bez sensu! Tak nie można!

Magda przygryzła wargę. Te słowa poruszyły w niej czułą strunę.

Raisa miała nadzieję, że zanim podejmie nieodwracalne kroki, Magda przemyśli tę rozmowę. Tyle mogła dla niej zrobić. Tak dobrze ją rozumiała!

– Przepraszam – powiedziała. – Ale muszę się zbierać. Niedługo ma po mnie przyjechać kierowca prezydenta. Podobno głowa państwa pragnie mnie widzieć ponownie.

– To ciekawe. Uważa pani, że on naprawdę chciał się zabić?

– Nie mam pojęcia. Ale nigdy nic nie wiadomo, prawda?

– Zgadza się. – Dziennikarka uśmiechnęła się słabo. – Ja też wracam do domu. – Podniosła się, by odprowadzić gościa do drzwi. – Raz jeszcze przepraszam. Nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że dałam wiarę temu, że mogła pani podjąć taką decyzję... Pani, tak heroicznie biorąca się z życiem za bary!

– Może to dlatego, że sama pani o tym myślała? – zapytała przewrotnie Raisa.

Klimatyzacja w hotelowym pokoju sprawiła, że upał na zewnątrz dokuczał jeszcze bardziej. Mogłam jednak pojechać samochodem, stwierdziła Raisa, wsiadając na rower. Ruszyła do domu. Po rozmowie z Magdą powinna czuć się lepiej, a było wręcz przeciwnie. Bo fakty pozostały niezmiennie. Dlatego właśnie starała się wesprzeć dziennikarkę, odwieść ją od decyzji, której, jak ona, najprawdopodobniej żałowałaby latami.

Magda potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie po niespodziewanej wizycie. To, co usłyszała, wciąż zajmowało jej myśli. Z trudem docierało do niej, że pani Hedwig znała jej matkę. Potrzebowała czasu, żeby przetrwać tę rewelację. Przed wyjazdem z Bornego chciała raz jeszcze przejechać obok domu pani Raisy. Domu najbardziej pechowej osoby na świecie. Mało brakowało, a nabruździłabym jej w życiu, pomyślała. Jakby brakowało jej w nim atrakcji. Ten przejazd pragnęła potraktować jako swego rodzaju memento. Chciała pamiętać o tym wydarzeniu. O tym, jak pozwoliła się zwieść i niemal wyrządziła komuś krzywdę.

Znajdowała się pod zakonem, gdy zobaczyła przed jego bramą Edytę Niemirską. Powiem jej kilka słów do słuchu, postanowiła. I pal licha obecność zakonnicy! Najwyżej dowie się co nieco!

Gdy blada jak ściana Magda wysiadła z auta, Edyta aż złapała się za głowę, przeczuwając kłopoty. Dziennikarka spostrzegła, że nie jest mile widziana, uznała zatem, że Niemirska już wie, co usłyszy.

– Dzień dobry, pani Edyto! – przywitała się. – Chciałam tylko powiedzieć, że nieładnie pani postąpiła wobec przyjaciółki – wypaliła bez ogródek.

– Może odejdziemy na bok? – zaproponowała zdenerwowana Edyta.

– Dlaczego? Czy siostra – Magda wskazała na zakonnice – nie może usłyszeć o pani intrydze? Mogłaby się pani przynajmniej zawstydić, zamiast udawać świętą!

Siostra zakonna patrzyła z zadziwieniem. Była dojrzałą kobietą, choć jeszcze nie starą. Magda miała wrażenie, że już ją gdzieś widziała. Spodziewała się po niej reakcji, ale zakonnica najwyraźniej nie zamierzała się wtrącać.

– Do widzenia paniom – powiedziała cicho i popchnęła ciężką bramę, za którą znikła.

– Chyba ją spłoszyłam – stwierdziła Magda, biorąc się pod boki.

– Czy pani oszalała? Ja niby mieszam w życiu Raisie? – uniosła się Edyta. – A kto zamierzał obwieścić całej Polsce jej tajemnicę?

– I prawie bym to zrobiła, gdyby nie partnerka Marka Szewczyka! To dzięki niej wiem, że to bzdura! Przed chwilą rozmawiałam też z panią Raisą, przeprosiłam ją i ostrzegłam przed panią. Niech wie, że ma przyjaciółkę, która najwyraźniej nie życzy jej dobrze!

Edycie na moment odebrało mowę.

– Czyli wie pani, że to bzdura... – powiedziała wreszcie powoli.

– Bardzo mi przykro, nie udało się pani! Szkoda mi tylko pani Hedwig! Choć widzę, że aktywnie próbuje sobie pani załatwić fory w niebie, obawiam się, że przy takim zachowaniu nie będzie o to łatwo.

I kto to mówi?, pomyślała Edyta.

Pot cienkimi strużkami spływał pod jej bluzką. I wcale nie dlatego, że było przeraźliwie gorąco.

A Magda poczuła, że wreszcie może wrócić do domu. W drodze powrotnej zameldowała się u szefa, oznajmiając, że poszła fałszywym tropem i niestety z jej sensacyjnego materiału nici. Mrozowicki aż cmoknął.

– Niemożliwe! Wyszło na to, że i Magda Sajewicz się myli.

– Na to wygląda – przyznała niechętnie.

– Czyli jednak nie pokażemy ciemnej strony Raisy Hedwig?

– Najwyraźniej nie ma takiej.

– Każdy ma! – roześmiał się Mrozowicki. – Po prostu się nie dokopałaś! Ale to bardzo dobra wiadomość.

– Serio? Byłam pewna, że się na mnie wściekniesz. Obiecałam ci bombę, a jest niewypał.

– Cieszę się, naprawdę. Bo aż do dziś byłaś zbyt idealna. Czego się nie tknęłaś, wychodziło. Zaczynałem się czuć zagrożony.

Magda wyszła od Mrozowickiego uśmiechnięta, że szef zareagował w ten sposób, choć mało zadowolona. Bo po raz pierwszy w karierze zawiodła ją intuicja.

Robert nie zamierzał czekać z obiadem, jak zazwyczaj gdy Magda wracała

do domu. Był na nią wściekły za to, jak go traktuje ostatnio. Jak zbędny mebel, na którym można było usiąść, gdy była potrzeba, albo przestawić go w kąt, gdy zaczyna zawadzać. Nie liczyła się z jego potrzebami ani uczuciami. Usiadł w salonie, wyciągnął nogi na sofie, włączył muzykę i otworzył piwo. Sprawy wernisażu były już dopięte, choć to jego żony też nie interesowało. Czy ona zawsze była taką egoistką?, zamyślił się.

Przysypiał, gdy usłyszał, że otwierają się drzwi.

– Już jestem! – zawołała Magda od progu.

Nie zamierzał wstawać. Zastanawiał się nawet, czy nie udać, że śpi. Po chwili usłyszał lekkie stąpanie. Chodzi jak kot, pomyślał. Starał się nie wyobrażać sobie smukłych nóg żony, które doprowadzały go do szaleństwa. Zacisnął mocniej powieki.

– Hej, śpisz? – Magda pogładziła go po włosach.

Były miękkie i gładkie.

Mruknął coś niewyraźnie.

– Obudź się – wyszeptała mu do ucha.

Ciepło jej oddechu sprawiło, że Roberta przebiegł dreszcz. Zrobiło mu się rozkosznie, ale postanowił nie poddawać się temu uczuciu. Miał wrażenie, że przy niej robi się słaby, że ona ma nad nim ogromną władzę. Poderwał się jak oparzony.

– Czy myślisz, że będę warował jak pies, czekając na ciebie? – podniósł głos. – Że możesz mnie ignorować, zbywać, odtrącać? A ja zawsze na twój widok będę merdać ogonem?

Magda aż się cofnęła. Widziała go w takim stanie po raz pierwszy.

– Mam dość! – ciągnął. – Mam po uszy tego, że myślisz wyłącznie o sobie. Ciągłe ja, ja, ja! Mnie skrzywdzono, ja mam problemy! Moja kariera, moje plany! A gdzie w tym wszystkim jestem ja? – Robert zmrużył oczy. – Jaka jest moja rola? Kiedyś wydawało mi się, że przy mnie w końcu poczujesz się bezpiecznie, odetchniesz, uspokoisz się. Ale tak się nie stało. Widocznie nie jestem dla ciebie właściwym partnerem!

Magda patrzyła przerażona. Wiedziała, że Robert ma prawo być zły, ale nie podejrzewała, że w tym spokojnym człowieku skumulowało się tyle emocji.

– Robert, to nie tak... – zaczęła.

– A jak? Czy ja ciebie w ogóle obchodzę? W ostatnich dniach uganiałaś się wyłącznie za tą biedną pani Hedwig. I chyba już w końcu udało się zrujnować jej życie, skoro postanowiłaś wrócić. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie rujnujesz także mojego.

Magda nie wierzyła własnym uszom. Słowa raniły, lecz podświadomie czuła, że zasłużyła na nie. Pod powiekami czuła łzy. Nie płakała latami, a teraz jakby ktoś odkręcił tajemniczy kurek. Zacisnęła pięści.

To nie było łatwe, a jednak się przemogła.

– Masz rację – powiedziała.

Robertowi, który ponownie otwierał usta do krzyku, słowa uwięzły w gardle. Spojrzał zaskoczony.

– Co powiedziałaś?

– Że masz rację. Przepraszam. A jeśli chcesz wiedzieć, nie zrobiłam krzywdy pani Hedwig. Zatrzymałam się, choć nie wiem, jak by było, gdybym w porę nie otrzymała pewnych informacji. Ale dzięki całej tej sprawie dowiedziałam się czegoś o sobie. Możliwe, że faktycznie zrujnowałam ci życie. Całkiem prawdopodobne, że powinieneś być z inną kobietą.

Robert nie był na to przygotowany.

– Dobrze się czujesz? – zapytał niepewnie.

– Niedobrze! Źle mi z tym, jak się ostatnio do ciebie odnosiłam. Ale to dlatego, że jestem przerażona.

– To ty bywasz przerażona?

– Cały czas jestem! Życie mnie przeraża. Choć może tego nie widać.

Olbrzymie okna tarasowe wychodziły na ogród. Jego prostota przeczyła temu, co działo się w duszy Magdy. Tam nie było ani harmonii, ani spokoju.

– Magda... – Robert musnął dłoń żony. – Co się stało?

– Muszę ci o czymś powiedzieć. – Popatrzyła mu prosto w oczy.

Jej źrenice niemal przesłoniły orzechowe tęczówki.

– Masz kogoś – stwierdził bardziej, niż zapytał.

Ściągnęła brwi z niedowierzaniem.

– Nie – oznajmiła. – Jestem w ciąży.

– Co takiego?

– No tak. Dziewiąty tydzień. Wiem od jakiegoś czasu, ale nie mogłam się zdobyć, żeby ci powiedzieć.

– No, ale przecież... To fantastyczna wiadomość! Jeśli to moje dziecko, rzecz jasna – dodał.

– Mógłbyś mnie nie obrażać?

Robert wziął żonę w ramiona i podniósł. Śmiał się i wykrzykiwał, że będzie ojcem. W końcu postawił Magdę z powrotem.

– Właśnie takiej reakcji się obawiałam – powiedziała ze smutkiem.

Usiadła na sofie, Robert obok niej. Zamknął jej dłonie w swoich.

– Obawiałaś się, że się ucieszę?

– Tak. A ja nie potrafię!

– Nie potrafisz czy boisz się sobie pozwolić na radość? Nie będziesz jak matka, słyszysz? Oderwij się w końcu od przeszłości!

Magda rozpląkała się na dobre.

– Jak to możliwe, że tak dobrze mnie znasz? Skoro ja nie znam tak siebie? – zapytała przez łzy.

– To się nazywa miłość, kochanie. – Poglądził ją po policzku.

Przed szpitalną salą Raisa została dokładnie sprawdzona przez ochronę. Rozbawiona, wytrzymała ten brak zaufania.

Prezydent już na nią czekał. Pielęgniarka pomogła mu usiąść w fotelu, bo nie chciał przyjmować gościa na leżąco.

– Dzień dobry, panie prezydencie. Jak pan się czuje? – przywitała się Raisa.

– Przywiozłam konfitury domowej roboty. Bez cukru!

– Jak miło z pani strony! Jest trochę lepiej, niż na to wygląda – odparł. – Cieszę się, że nic poważnego się pani nie stało. Proszę usiąść. – Wskazał fotel obok. – Ma pani ochotę na sok? Świeżo wyciskany, z pomarańczy. Albo może truskawki? – Podsunął miskę.

– Bardzo dziękuję. Ciekawa jestem, dlaczego chciał się pan ze mną widzieć.

– Żeby porozmawiać.

– Akurat ze mną? – zdumiała się.

– Ma pani spore życiowe doświadczenie. Chciałbym z niego skorzystać.

– Coś się tam przeżyło, fakt – roześmiała się Raisa.

– O tym właśnie chciałbym pomówić. Słyszałem, że początkowo to panią obwiniano o ten nieszczęsny żyrandol. Potem skupiono się na wersji Kuźbika. Szkoda słów! Ludzie zawsze wietrzą sensację tam, gdzie jej brak.

– To akurat się zgadza. Jednak, proszę wybaczyć śmiałość, pamiętam, o czym rozmawialiśmy wtedy przy śniadaniu. Przyznam też, że zauważyłam dziwną relację między panami. Czy naprawdę nic nie było na rzeczy? Czy naprawdę nie chciał pan targnąć się na życie?

– Jestem już szczerze zmęczony tym wątkiem i nie zamierzam go rozwijać. A Kuźbik i ja... To skomplikowane. Powiem pani tylko, że samobójstwo przez głowę mi nie przeszło, choć przyznaję, że mam teraz trudny okres i jestem, hm, zagubiony. Czy mogę liczyć na pani dyskrecję? – Popatrzył poważnie.

– Oczywiście.

– Niedawno doszedłem do wniosku, że wcale nie chcę być prezydentem. Wspiąłem się na wyżyny urzędu tylko po to, żeby zyskać szacunek w oczach rodziców. Co, nawiasem mówiąc, się nie udało. Natomiast popsuły się moje relacje z żoną. I niestety nie potrafiłem wykazać się prezydencką niezależnością.

– To rzeczywiście trudny moment...

– Zatem pragnę zwrócić się o poradę właśnie do pani. Nie do tych wszystkich doradców i terapeutów, dobrych wyłącznie w teorii. Chcę znać opinię kogoś, kto zjadł zęby na życiu. Kto doświadczył tylu prób.

Raisa była przytłoczona. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, więc sięgnęła po truskawkę. Była słodka i soczysta. Prezydentowi nie dawano byle czego.

– Chyba mnie pan przecenia – odezwała się. – No i w czym konkretnie miałabym pomóc?

– Czy uważa pani, że rezygnacja to wstyd? – odpowiedział pytaniem prezydent.

– Mnie pan o to pyta? – Sięgnęła po kolejny owoc.

– A kogo? Pani się nigdy nie poddała, choć jest pani, było nie było, najbardziej pechową osobą na świecie.

– Tak mówią. – Raisa uśmiechnęła się i splotła dłonie. – Rzecz jednak w tym, że z perspektywy czasu uważam, że tak naprawdę miałam w życiu ogromne szczęście. Owszem, doświadczałam katastrof, wypadków, niefortunnych zdarzeń, nieszczęść, strat, popełniałam też błędy, ale przez cały czas kochałam i byłam kochana. Żyłam! A w życiu najważniejsze jest życie. Dobrze, gdy przechodzimy przez nie w zgodzie ze sobą, z tym, co aktualnie czujemy. Nawet jeśli nie będzie idealnie i nie ze wszystkich decyzji będziemy dumni, to będzie ono nasze!

Prezydent pokiwał głową.

– To genialne! – zachwycił się. – Dlaczego nikt z WHO nie pomyślał o tym w ten sposób? Oto druga strona medalu. Tak naprawdę jest pani największą szczęściarą!

– Może dlatego, że szczęście dostrzec najtrudniej? Jest ciche i skromne. Nic dziwnego, że czasem się od nas odwraca, zapewne po to, żebyśmy je wreszcie zauważyli. Ale jeśli chce pan mojej rady... – Raisa spojrzała na niego poważnie. – Nie wstyd się poddać, jeśli jest pan naprawdę przekonany, że należy tak zrobić. Proszę tylko nie rezygnować z życia. Ostatecznie to wszystko, co mamy.

Nowaczyk przez chwilę rozważał te słowa.

– Dziękuję, pani Raiso – powiedział. – Intuicja co do pani mnie nie zawiodła. No i mam sporo do przemyślenia...

– Czy obrazi się pan, jeśli pana opuszczę? Mam w domu rodzinę w komplecie i chciałabym skorzystać z jej obecności. To nie zdarza się, niestety, zbyt często. Choćby z tego powodu warto było poleżeć chwilę pod tym żyrandolem. – Raisa się uśmiechnęła.

Nowaczyk roześmiał się tubalnie.

– Oczywiście! Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas. Kierowca odwiezie panią niezwłocznie.

Raisa odwróciła się w progu.

– Życzę powodzenia – powiedziała. – Aha, jeszcze jedno. Czy mogę liczyć na pańską pomoc w pewnej sprawie?

– Oczywiście. A o co chodzi?

– O ustalenie adresu pewnej polskiej obywatelki. Ostatnio podobno mieszkającej w Niemczech.

– To drobiazg, miła pani – odparł prezydent. – Walczak! – ryknął na całe gardło.

2046–2050

Spacerowały brzegiem jeziora. Był przyjemny, bezwietrzny majowy dzień, a woda spokojna, jak wyprasowana żelazkiem.

– Wiesz, będzie mi brakowało tego miejsca – powiedziała Edyta. – Ale jestem zmęczona i chcę trochę odpocząć. Jak nie teraz, to kiedy? – Spróbowała się uśmiechnąć.

– Wiem, ile znaczy dla ciebie „Filiżanka” – odparła Raisa. – Przez te wszystkie lata zawsze było w niej pełno gości. Potrafiłaś stworzyć wyjątkową atmosferę.

– Potrafiłyśmy.

– No coś ty! Ja przyszedłam na gotowe. I udało mi się tego nie zepsuć. Owszem, w moim przypadku było to spore wyzwanie.

Doszły do pomostu, przy którym zacumowane były łódki. Usiadły na nieodległej ławce. Wystawiły twarze do słońca.

– Podobno nowy właściciel też zamierza prowadzić tam kawiarnię – odezwała się Edyta.

– Byłby niemądry, gdyby tego nie zrobił. To przecież miejsce z tradycją.

Edyta zamknęła oczy.

– Ech, wszystko się kończy...

– Kończy? Ja mam wrażenie, że wiele się zaczyna. Odkąd dwa lata temu zostałam babcią, wstąpiła we mnie nowa energia. Wiesz, że jest to nawet przyjemniejsze niż bycie matką? A Mikołaj to już zupełnie oszalał na punkcie Hanulki – roześmiała się Raisa.

– Nie dziwię się. Może gdyby Maciek pojawił się wreszcie z jakąś dziewczyną, też bym myślała inaczej. Ale on zdaje się myśleć wyłącznie o pracy. Ma już swoje lata, powinien założyć rodzinę.

– Może mu nie zależy.

Edyta westchnęła ciężko.

– Właśnie tego się obawiam. Od dawna zastanawiam się, czy ten nasz rozwód nie odcisnął na nim piętna. Choć starałam się, żeby tak nie było.

– Nie masz powodu, żeby zarzucać sobie cokolwiek. Ja myślę, że jego po prostu pasjonuje kariera bankowca. Ale zapewniam cię... – Raisa dotknęła dłoni przyjaciółki. – Jeśli trafi na właściwą osobę, rola rekina finansjery przestanie mu wystarczać.

– Oby jak najszybciej, bo młodsza już nie będę. Też chciałabym pobawić wnuczeta.

Przyjaciółki jednocześnie skinęły głowami, bo na pomoście pojawiła się pani Anna, lekarka z ośrodka zdrowia, ze swoim psem. Potężnym buldogiem, przy którym wydawała się mała jak skrzat. Wyglądało to trochę tak, jakby to on

wyprowadzał ją na spacer.

– To wpadnij do mnie w sobotę. Będzie Hania – zaproponowała Raisa. – Nadia przywozi ją do nas na weekend. Jadą z Łukaszem trochę nacieszyć się sobą.

– Na pewno wpadnę. Nie mam teraz co robić całymi dniami.

– Przecież chciałaś odpocząć. Może kupisz sobie buldoga? – zachichotała Raisa i dostała kuksańca.

Choć Raisa rozumiała decyzję przyjaciółki, sprzedaż kawiarni ją zaskoczyła. To miejsce wydawało się potrzebne Edycie jak tlen. Było jej częścią. Jednak czas upływał.

Mimo to myśl o emeryturze wcale nie wydawała się Raisie straszna. Teraz nie kojarzyła tego z beznadziejną starością. Myślała o tym jak o strumieniu wolnego czasu, który będą spędzać z Mikołajem, robiąc to, co im tylko przyjdzie do głowy.

Raisa wyszła do ogrodu, by przyciąć róże. Wiosna za pasem, myślała, więc to ostatni dzwonek.

Najpierw zabrała się do usuwania chorych i martwych pędów, później za cięcie, które pozwoli utrzymać rośliny w pożądanym kształcie. Zależało jej, aby pięknie rosły i obficie kwitły. Odkąd jej ojciec postanowił je zasadzić, zrosły się z domem nierozdzielnie. Zatem i Raisa postawiła sobie ten różany zakątek za punkt honoru. I miała powody do dumy.

Sięgała właśnie po sekator, gdy do ogrodu wpadła zmachana Edyta w rozpiętym płaszczu. Apaszka zwisała nierówno i groziła ześlizgnięciem.

– Zgadnij, kogo spotkałam w mieście? – rzuciła.

– Cześć! – powitała ją Raisa. – Zaraz zgubisz chustkę. Sądząc po twoim zaaferowaniu, musi to być jakaś znakomitość.

– Aż tak to nie – odparła przyjaciółka. – W sklepie spotkałam Bernarda.

Raisa przecięła gałązkę, która spadła na trawnik. Podniosła ją odruchowo.

Nowina zrobiła wrażenie.

– Podobno wrócił do Bornego na stałe. Bez żony! „Dorota została w Czaplinku, a ja kupiłem mieszkanie na Reja. Teraz możesz pobiec do Raisy i jej donieść”, powiedział. Oto jestem. – Edyta rozłożyła ręce.

– Rozumiem, że nie chce przyjść w odwiedziny?

– Tego nie wiem.

Raisa powróciła do przycinania.

– Dorota i tak długo wytrzymała, a na stare lata chce zaznać spokoju. Mam nadzieję, że obecność Bernarda na miejscu niczego nie zmieni w moim życiu. Cenię sobie harmonię.

Edyta schowała ręce w kieszeniach beżowego płaszcza.

– Może się nie dogadywaliście, ale przecież on nie jest szalony – powiedziała ostrożnie. – Na pewno nie zjawił się tutaj, żeby uprzykrzać ci życie.

Po co? Pewnie wrócił dożyć swoich dni na starych śmieciach.

– Racja. Nieważne, co było. W końcu jesteśmy rodzeństwem. – Raisa wypuściła powietrze. – Czyli jednak odezwały się w nim sentymenty... No proszę!

– O tym miejscu się nie zapomina.

– To prawda. Masz może ochotę na coś ciepłego do picia? – zmieniła temat Raisa. – Robota nie zając.

W domu zaparzyły kawę i posiedziały z Mikołajem przy stole, planując chrzciny Bartusia, który urodził się w styczniu. Hedwigowie byli już podwójnymi dziadkami, a Edyta groziła, że jeśli tak dalej pójdzie, ona podkradnie im jedno z wnucząt.

– Dobrze przynajmniej, że Maciek o mnie nie zapomina – kwitowała czasami gorzko.

Raisa bardzo się starała, by przyjaciółka nie czuła się samotna. Nie licząc syna, Edyta nie miała nikogo, podczas gdy ona cieszyła się miłością rodziny. Wprawdzie Filip zaglądał do domu zdecydowanie zbyt rzadko, ale Raisa wiedziała, że w razie potrzeby może na niego liczyć.

Rodzina była tym, co sprawiało, że czuła się szczęśliwa i bezpieczna. Bez względu na wszystko. Była całym jej światem.

– Mikołaj, pamiętaj, że nie masz już czterdziestu lat! – Raisa upomniwała męża, który, ku uciesze dwuletniego Bartusia i pięcioletniej Hani, udawał, że jest koniem. Woził na zmianę na plecach to jedno, to drugie.

Uwagi żony były dla niego niczym wobec radosnych śmiechów dzieci, więc dziadek robił, co mógł, byleby tylko zabawiać ukochane wnuki. Robił za konia, słonia, pirata dokonującego abordażu, a nawet bohatera bajki, której nie znał, o którego dopominała się Hania.

– Babciu, dziadek jest super! – oświadczyła zziębnięta, wbiegając do kuchni po wodę.

To akurat wiem, pomyślała Raisa. Dotknęła karku wnuczki.

– Odpocznijcie trochę – powiedziała. – Cała jesteś mokra.

Hania upiła kilka łyków.

– Teraz nie możemy. Bawimy się w wyspę skarbów. Dziadek jest królem Rufusem.

– Te wasze zabawy zmieniają się w błyskawicznym tempie – zauważyła Raisa.

– Babciu, bo dziadek ma takie świetne pomysły!

– No to leć! – odparła Raisa. – Niedługo będzie obiad – dodała, choć pamiętała z własnego dzieciństwa, że posiłki zawsze rujnowały najlepsze zabawy.

Wieczorem, kiedy dzieci już dawno spały, Mikołaj padł na łóżko.

– Uwielbiam je, ale chyba dzisiaj przesadziłem – powiedział.

– Ostrzegałam! Tyle że do ciebie czasami nic nie dociera!

– Wiem, wiem. Nie rozkręcaj się. Jutro przystopuję.

Raisa bardzo wątpiła, czy tak się stanie. Przy własnych dzieciach wykazywał daleko większą konsekwencję, pokiwała głową. I przytuliła się do męża, rozczulona tym spostrzeżeniem.

Zasnęli niemal natychmiast.

Pobudka nastąpiła o świcie.

Mikołaj ciężko oddychał, trzymał się za klatkę piersiową. Był mokry od potu.

– Dzwon po pogotowie – wykrztusił.

Przerażona Raisa wezwała karetkę, pomogła mężowi ułożyć się wygodnie i podała mu aspirynę. I wybrała numer Edyty, by ta przyjechała i zajęła się dziećmi.

Zachowanie spokoju było zadaniem niemal ponad jej siły.

Pojechała za karetką do szpitala. A kiedy siedziała samotnie w poczekalni, pożałowała, że nie ma przy sobie nikogo, kto potrzyzymałby ją za rękę. Zazwyczaj mogła liczyć na Mikołaja.

Dzieciaki były już w drodze – Nadii można się było spodziewać niebawem, Filip złapał szczęśliwie pierwszy samolot z Lizbony. Raisa nie chciała ich denerwować, ale sytuacja wyglądała naprawdę poważnie.

Przerażenie chwyciło ją za gardło. Tak bardzo nie chciała stracić Mikołaja!

Był miłością jej życia.

Lekarze przeprowadzili zabieg pierwotnej angioplastyki wieńcowej, po czym przewieźli pacjenta na OIOM. Pozwolili Raisie wejść do męża na chwilę. Był słaby, wyczerpany, ale żył. I to było najważniejsze.

– Kocham cię! – zdążyła wyszeptać i pogłaskać go po rękę.

Siedziała na korytarzu, wciąż zdenerwowana, lecz tym razem z uczuciem ostrożnej ulgi.

Poszła po kawę, licząc, że choć trochę oprzytomnieje. Wróciła pod salę z kubkiem w rękę, z zamiarem skontaktowania się z dziećmi. Chciała powiedzieć im, że zabieg się udał. Wyczuła jednak, że coś się zmieniło, że coś jest nie tak.

Na intensywnej terapii panował ruch. Lekarz zimnym, zdecydowanym głosem wydawał zespołowi polecenia. Raisa chciała wejść do środka, ale jej nie pozwolono.

– Co się dzieje?! – zapytała przerażona, lecz pielęgniarka tylko potrząsnęła głową i zamknęła drzwi.

Raisa wyrzuciła kawę do kubła i znieruchomiała. Gapiła się w mleczną szybę, za którą wkrótce zapadła cisza.

Gdy ujrzała lekarza, wiedziała już, że dzieci nie zobaczą już ojca.

– Doszło do nagłego zatrzymania krążenia – usłyszała. – To się zdarza po takich zabiegach. Robiliśmy, co w naszej mocy. Bardzo mi przykro.

W to ostatnie zdanie doktor postarał się włożyć trochę uczucia.

Tak czy siak, były to najgorsze słowa w życiu Raisy.

A potem osunęła się na ziemię.

Gdyby nie Edyta, która w początkowym okresie żałoby spędzała z przyjaciółką całe dni, Raisa nie miałaby powodu, żeby wstawać z łóżka. Strata ukochanego męża zmieniła jej życie. Powstała w nim pustka, której nie dawało się zapełnić niczym.

Pewnego dnia jednak obudziła się i postanowiła, że musi iść dalej. Bo ma dla kogo żyć. Są dzieci, ukochane wnuki, jest Edyta. Należało też zadbać o róże. Bez jej opieki zmarniałyby, a tego nie chciała. Życia w stagnacji i beznadziei na pewno nie chciałby też dla niej Mikołaj.

Kiedy zadzwoniła do Nadii z pytaniem, czy może zabrać dzieci do wesołego miasteczka, ta zgodziła się chętnie. Wręcz entuzjastycznie. Był to objaw, że matka w końcu wychodzi na prostą i nie trzeba się już tak bardzo o nią martwić.

Raisa zaprosiła Edytę i spędziły czerwcowy dzień wspólnie z wnukami. Nie wiadomo, kto był bardziej zadowolony z tej wyprawy – one czy Hania z Bartkiem.

Jeszcze nie przeszli przez bramę wesołego miasteczka, gdy stało się jasne, jaką atrakcją muszą odwiedzić w pierwszej kolejności.

– Babciu, chodźmy tam! – Hania wskazywała na ogromny diabelski młyn.

Raisa nie przepadała za wysokością, ale wnuczce nie odmówiłaby frajdy. Ustaliły, że Edyta zostanie z Bartkiem na dole. Mały początkowo protestował i płakał zawiedziony, że omija go coś tak wspaniałego, ale Edyta szybko zainteresowała go karuzelą, gdzie można było przejechać się w miniaturowym statku kosmicznym. Kupiła bilet i po chwili Bartuś śmigał w migającym świetle statku. Ona obserwowała małego i za każdym obrotem karuzeli machali do siebie.

Dziecięcą histerię łatwo opanować, pomyślała.

Gdy usłyszała krzyki i piski, machnęła tylko ręką. Ludzie ciągle tutaj krzyczeli, a to na kolejce górskiej, a to na maszynie w kształcie młota, której sam wygląd wywoływał sensacje żołądkowe. Krzyki jednak nie ustawały, więc Edyta odwróciła głowę, by sprawdzić, skąd dobiegają.

Koło diabelskiego młyna stało w miejscu. No tak, westchnęła w duchu Edyta. Na pewno utknęły z Hanią w gondoli na samym szczycie...

– Patrzcie, awaria młyna! – wołał jakiś facet w czapce bejsbolowej.

– Biedni ci na samej górze! – odezwała się jakaś kobieta, przechodząca obok z nastolatkiem.

– Mają przerabane! – skwitował wyrostek.

– Boże, tam jest moja siostra! – pisnęła młoda kobieta obok Edyty. – A jak spadną?

– Proszę się nie przejmować. W gondoli utknęła moja przyjaciółka. – Edyta zachowywała kamienny spokój.

– I co z tego? To niby gwarancja bezpieczeństwa? – Roztrzęsiona kobieta wybałuszyła oczy.

– Przetrwiała już niejedną katastrofę.

– Słucham? Mam nadzieję, że to tylko chwilowa awaria, a nie żadna katastrofa!

– Chciałam tylko panią uspokoić...

– Wariatka! – fuknęła kobieta i pobiegła do obsługi zapytać, co się dzieje.

Tymczasem Raisa siedziała na samej górze, przytulając wnuczkę.

– Nie martw się, zaraz wrócimy na dół – zapewniła.

Hania, kiedy zorientowała się, że nic złego się nie dzieje, wyciszyła się i zaczęła rozglądać po okolicy. Trafiła się jej niezwykła okazja pooglądania czubków sosen od góry.

– Szkoda, że nie ma z nami dziadka – powiedziała. – Na pewno by mu się podobało.

Raisa pogłaskała ją po głowie.

– Też tak myślę, serduszko. Byłby zachwycony.

– Pochwalę się mamie! Nie uwierzy, co się nam przytrafiło! – ekscytowała się Hania.

Raisa struchlała.

– Kochanie, może lepiej nie – odparła. – Po co ją denerwować. Jeszcze się przestraszy i już nas nigdzie razem nie puści.

– Ale przecież to nie twoja wina!

– W zasadzie nie. – Raisa wzruszyła ramionami. – Ale niech to pozostanie naszą małą tajemnicą, dobrze?

– No dobra – powiedziała Hania po chwili namysłu. – Lubię tajemnice.

Raisa wyciągnęła dłoń do wnuczki.

– Jesteśmy umówione. Przybij piątkę!

I zaczęła się śmiać. Jeśli Mikołaj patrzy na mnie teraz z góry, na pewno robi to samo, pomyślała.

Rozdział 16

Małgorzata Nowaczyk odłożyła sztućce na brzeg talerza.

Kucharz przygotował na obiad wspaniałe gołąbki z młodej kapusty z pęczakiem. Sos koperkowy dopełniał całości, która wręcz rozpływała się w ustach.

W letniej willi prezydencka para przebywała już drugi tydzień. Głowa państwa miała dochodzić do siebie w ciszy i spokoju.

Stało się to nieco łatwiejsze, bo wreszcie media porzuciły wątek o próbie samobójczej prezydenta. W wyniku ekspertyzy technicznej okazało się, że korozji uległa część mechanizmu dźwigowego, przez co „księżniczka” spadła na ziemię. Nie można było obwiniać o to technika, który pracował w pałacu dopiero od roku, a poprzedni kierownik pionu technicznego już nie żył, więc nie miało sensu szukanie kozła ofiarnego. Postanowiono wymienić przerdzewiałe urządzenie i wprowadzić obowiązkowe coroczne przeglądy.

– To o czym chciałeś porozmawiać? – zapytała nieco znużona.

Miała nadzieję, że rozmowa nie zepsuje tego posiłku i pozwoli rozkoszować się obiadem.

Rano włożyła szmaragdową sukienkę, która podkreślała jasny odcień jej skóry. Jest wciąż tak samo piękna jak w dniu, kiedy się poznaliśmy, zauważył jej mąż. No, może tylko trochę starsza.

– Podjąłem pewną decyzję i chciałbym się z tobą nią podzielić – zaczął.

– To interesujące – odparła bez przekonania. – Zamieniam się w słuch.

– Postanowiłem złożyć prezydenturę.

– Proszę, nie żartuj.

Jacek Nowaczyk odruchowo nachylił się ku żonie, ale skrzywił się z bólu i wyprostował natychmiast. Żebra nie dawały mu spokoju.

– Mówię poważnie – ciągnął. – Dużo ostatnio myślałem. Miałem sporo wolnego czasu w szpitalu. Wyciągnąłem wnioski z całego mojego życia, z ostatnich lat. Z tego, jak się czułem, i z tego, co powiedziałaś mi ostatnio. Miałas rację. Od dawna sprzeniewierzam się samemu sobie. Od dawna nie czuję, że mam na cokolwiek wpływ.

Chciał dodać, że jego decyzję przyspieszył wypadek z żyrandolem, spotkanie Kuźbika, rozmowa z synami, a w szczególności z Raisą Hedwig, ale doszedł do wniosku, że lepiej będzie przekonać Małgorzatę o autonomiczności postanowienia.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki będzie skandal? – zapytała. – Przewodniczącemu to się nie spodoba! I co powie świat?

– Cudze opinie jakoś przestały mnie obchodzić. Teraz liczy się wyłącznie to, co myślę o sobie ja sam. I co ty o mnie sądzisz. – Prezydent wyciągnął rękę i dotknął palców żony.

Nie cofnęła dłoni.

– Przyznam, że mnie zaskoczyłeś – powiedziała. – Nigdy nie pomyślałabym, że jesteś zdolny do aktu takiej odwagi.

– Obawiałem się, że uznasz to za tchórzostwo...

Małgorzata wyprostowała plecy.

– Biorąc pod uwagę to wszystko, w czym uczestniczyłeś przez ostatnie lata, twoje wycofanie się traktuję jak objaw rozsądku i mądrości.

Nowaczyk poczuł, że robi mu się ciepło na sercu. I zdał sobie sprawę, że właśnie usłyszał najpiękniejszy komplement w życiu. I, jeśli dobrze dostrzegął, jego żona patrzyła na niego inaczej. Już nie tak surowo jak ostatnio ani ze współczuciem, jak w szpitalu. Jej roześmiane oczy pozwalały mieć nadzieję.

– Mówiłeś już o tym komuś? – Ściszyła głos.

– Nie, tobie pierwszej – odparł. – Tak mi przykro, że przez moją chorobę ambicję oddaliśmy się od siebie. Po deserze zadzwonię do Walczaka.

– Biedak nie uwierzy. – Małgorzata pokręciła głową. – A nawiasem mówiąc, to jego oddanie jest ujmujące...

– Fakt! – Prezydent się zamyślił. – Zwłaszcza że nie bywałem dla niego najmilszy. Pewnie dlatego, że w głębi duszy uważam go za znacznie lepszego kandydata na urząd niż ja. Powiem mu, że powinien o tym pomyśleć!

Kiedy Rafał Walczak odebrał tego popołudnia telefon od prezydenta, nie podejrzewał, co zaraz usłyszy. Teraz był zdruzgotany, bo choć oficjalnie podano, że ze stanem psychicznym głowy państwa wszystko jest w porządku, on wiedział swoje. Kto przy zdrowych zmysłach podejmuje taką decyzję?, myślał gorączkowo. Zwłaszcza że Jacek Nowaczyk był dla niego miły jak nigdy. Gdy tuż przed rozłączeniem się dodał: – Pomyśl o prezydenturze, Rafale. To robota dla ciebie! – pod Walczakiem aż ugięły się nogi. Z nim jest naprawdę źle, spanikował. – Przedstawię twoją kandydaturę przewodniczącemu. A on już wie, jak cię wypromować.

Robert był spięty, ale podekscytowany.

Na jego pierwszy wernisaż przybyło naprawdę sporo gości. Dumna z męża jak paw Magda cieszyła się, że to on jest dzisiaj w centrum uwagi. Zasłużył na to. Jego prace aż tętniły radością, smutkiem, spełnieniem i bólem. W rzeźbach kumulowało się życie we wszystkich jego przejawach. Nie sposób było przejść obok nich obojętnie.

– Są zachwyceni! – wyszeptała mężowi do ucha po rekonesansie na sali. Podśluchiwała, o czym mówili goście, jak komentowali. – Mrozowicki mnie zaczepił. Stwierdził, że celowo tak długo ukrywałam cię przed światem, żebyś nie

robił mi medialnej konkurencji.

– Przesadza. Ale miło to słyszeć – odparł Robert, rozcierając chłodne ze zdenerwowania dłoń.

– On zawsze mówi, co myśli.

– I tak najbardziej się cieszę, że wernisaż podoba się tobie. – Przytulił żonę.

– Wiesz przecież, że jestem twoją największą fanką.

Kurator wystawy dał znak, że czas na wystąpienie, a Robert natychmiast podszedł do mikrofonu. Żeby tylko zdążyć przed tremą!, dodawał sobie otuchy. W przeciwieństwie do Magdy nie był przyzwyczajony do publicznych występów i skupiania na sobie uwagi.

– Dobry wieczór państwu! – zaczął. – Jestem zaszczycony waszą obecnością. Dziękuję za przybycie. Długo myślałem, co mam wam powiedzieć. Chciałem przekazać tak wiele, że ostatecznie z ogromnym trudem przyszło mi sklecić tych kilku słów. Wystawa nosi tytuł „Koło życia”. Starałem się w swoich pracach ukazać nasze życie takie, jakim jest. Z tym wszystkim, co nas cieszy, wzrusza, bawi, dotyka, martwi, smuci, rani i daje nadzieję. Doniesiono mi przed chwilą, że podobno udało mi się wzbudzić w was te emocje. Bardzo mnie to cieszy, bo lata mojej pracy nie poszły na marne. Przy czym żadna z tych rzeźb nigdy by nie powstała, gdyby nie wsparcie mojej żony Magdy. – Robert spojrzał w jej kierunku. – Której niniejszym dziękuję. – Rozległy się oklaski. – To ona jest moją inspiracją, muzą, która potrafi wywołać we mnie wszystkie te emocje. Nierzadko w jednej minucie. – Robert się roześmiał. – Myślałem ostatnio, co bym zrobił, gdyby galeria była znacznie mniejsza, a ja musiałbym postawić tylko na jedną pracę. Zastanawiałem się, co wówczas bym wyrzeźbił. I postanowiłem spróbować...

Odwrócił się i dał znak pracownikom technicznym przy zapleczu.

Gdy trzech chłopaków wytoczyło na środek sali ruchomy podest z ukrytym pod białą tkaniną kształtem, po sali przebiegł szmer.

– Nie miałem wątpliwości! – Robert zgrabnie ściągnął okrycie.

Oczom zgromadzonych ukazała się zgrabna, niemal wiotka, wręcz eteryczna postać siedzącej kobiety ze skrzyżowanymi nogami i odrzuconą do tyłu głową. Gładkie włosy spływały po jej smukłych ramionach. Zatrzymane w czasie i przestrzeni piękno, urok i swoboda.

– Magdo! – zwrócił się do żony. – Dla mnie właśnie taka jesteś. Jak metafora życia. Jesteś po prostu doskonała!

Zerwały się wiwaty i oklaski.

Zarumieniona Magda podeszła do męża. Udało mu się zawstydzić ją po raz pierwszy.

– Jesteś szalony! – szepnęła. – Ależ niespodzianka!

– Właśnie dowiedziałem się, że jestem szalony! – powiedział Robert do

mikrofonu. – Dziękuję raz jeszcze wszystkim i życzę udanego wieczoru!

Objął żonę i razem podeszli do zakłętego w glinie archetypu kobiety.

Pasja i uczucie, pomyślała Magda. I zrobiło się jej ciepło na sercu.

Podobnie jak dzisiejszego ranka, gdy odebrała zaskakujący telefon z Kancelarii Prezydenta i poznała adres matki w Düsseldorfie. Robert przyciągnął ją do siebie i obiecał, że będzie jej towarzyszył, jeśli postanowi tam pojechać. I że będzie ją wspierał, jeśli zdecyduje inaczej.

Od pamiętnej rozmowy coraz wyraźniej dostrzegała, że ma w nim wsparcie. Powoli zaczynała w to wierzyć. Próbował udowodniać jej to przez lata, lecz ona nie chciała tego zauważać. Tak bardzo bała się kolejnego zawodu...

Nie miała jeszcze pojęcia, jak wykorzysta poranną informację. Ale wiedziała na pewno, że jeśli chce w spokoju wychować dziecko, powinna rozliczyć się z przeszłością.

Stała z glinianą kobietą twarzą w twarz.

– Ej, a dlaczego ona ma skazę na policzku? – zapytała.

– Jak to dlaczego? Przecież nie ma ludzi bez wad. – Mrugnął. – To taki przekaz, dla uważnych.

Magda poczuła niepokój, ale w pobieżnie przejranych myślach i wspomnieniach nie znalazła niczego, co mogło być jego przyczyną. Mimo to uczucie narastało, zwłaszcza gdy powracała wzrokiem do znamienia na policzku. Nie potrafiła pochwycić skojarzenia.

Edyta Niemirska pod bramą klasztoru!, nadeszło olśnienie. Tak! Rozmawiała z zakonnicą z podobnym znamieniem! Gdzieś już widziałam podobne, myślała gorączkowo Magda.

A gdy zdała sobie sprawę gdzie, poczuła uderzenie gorąca.

Zapadał wieczór.

Powietrze zelżało i pozwalało oddychać swobodnie, więc Raisa z Edytą po podwieczorku postanowiły przejść się na plażę. Przez las, który pachniał intensywnie suchą ściółką.

– Pamiętasz, jak się poznałyśmy? To było tutaj, niedaleko – zagadnęła Raisa.

– Tak mnie wtedy wystraszyłaś!

– Ucieszyłam się, że w końcu nie jestem sama w tej ciemnicy.

– Tyle lat minęło, a my wciąż razem. – Raisa objęła przyjaciółkę.

Przechodziły akurat obok kamiennego klasztorowego muru.

Może to ten moment?, przemknęło przez głowę Edycie. Może zrobić to teraz?

Spojrzała na Raisę, na jej twarz, spokojną w ciepłym popołudniowym świetle, i po raz kolejny straciła pewność.

Szarpała się ze swoją tajemnicą przez niemal całe dorosłe życie.

Gdy ciężarna przyjaciółka poprosiła o pomoc, ustaliły, że Edyta weźmie jej

córkę i pozostawi w domu dziecka. Raisa za wszelką cenę pragnęła uniknąć zamieszania w szpitalu, przekonywania jej i piętnowania. Tyle że Edyta postanowiła dać przyjaciółce czas i szansę na zmianę decyzji.

Tamtego dnia zawiozła jednak dziecko do klasztoru. I tak długo waliła w bramę, aż wyszła jedna z zakonnice. Po wyjaśnieniu sytuacji i wyłuszczeniu prośby była niemal pewna, że siostra wezwie policję, ale nie. Obiecała natomiast zająć się małą przez jakiś czas.

Raisa nie zmieniła zdania. Nie mówiła o wątpliwościach. Nie pozostawało zatem nic innego, jak zwolnić siostrę z obowiązku.

Przytłoczoną obietnicą Edytę czekała jednak niespodzianka – zakonnice obiecały jej załatwić sprawę we własnym zakresie. A ona w ciemno zgodziła się na takie rozwiązanie.

Jednak z upływem lat coraz częściej zastanawiała się nad losem dziecka przyjaciółki. Edyta poprosiła wreszcie o rozmowę siostrę Weronikę, która litościwie poinformowała ją, że dziecko zostało umieszczone w domu dziecka. Sprawa była zamknięta. A Edyta, wiedzona wdzięcznością, pomagała odtąd zakonnicom w załatwianiu najróżniejszych spraw.

Aż pewnego dnia w nowicjacie pojawiła się młoda dziewczyna.

Nie, Edyta nie mogła się mylić – Elżbieta miała takie samo charakterystyczne znamię na policzku jak jej matka.

Okazało się, że dziewczynki nikt nie adoptował. Dorastała w domu dziecka, a przejęta jej losem siostra Weronika odwiedzała ją regularnie. Zakonny świat kojarzył się jej siłą rzeczy z czymś dobrym, przyjemnym i bezpiecznym. Aż w końcu postanowiła, że do niego przystąpi.

Edyta nie przestała zaglądać za furkę, lecz choć wielokrotnie rozmawiała z Elżbietą, nigdy jednak nie powiedziała jej, że Raisa mieszka tuż obok. Dobrze jest, jak jest, stwierdziła. A ja nie mam prawa nakładać na nią takiego ciężaru i mącić spokoju jej ducha. Jej i Raisy.

Gdyby tylko można było zapomnieć o wątpliwościach...

Podzieliła się nimi, a i to nie do końca, tylko z jednym człowiekiem.

Gdy porzucił ją Paweł, spędzała długie godziny z panem Lechowiczem. Nierzadko rozmawiali przy winie. Pewnego razu Edyta być może wypła za dużo. A może noszony latami bagaż odpowiedzialności urósł do zbyt dużych rozmiarów? Tak czy siak, Edyta wyznała ojcu Raisy, że jego córka urodziła dziecko Marcina, dziewczynkę. I że oddała małą.

Wstrząśnięty pan Lechowicz wyrzucał sobie, że nie zauważył niczego. Że jego Raisa musiała przejść przez tę traumę samotnie. A jednocześnie nie potrafił pojąć, dlaczego nie szukała wsparcia u niego.

– Nie chciała pana obciążać sobą po raz kolejny – wyjaśniła mu Edyta.

Od tych słów wcale nie poczuł się lepiej. Pragnął porozmawiać z córką, lecz

nie zdołał zebrać się na odwagę. Zdawał sobie sprawę, że mogłaby na tym ucierpieć relacja Raisy z przyjaciółką. Dlatego gdy odczytano jego testament, ta ostatnia wcale nie była zdziwiona, lecz nie zamierzała nikomu niczego tłumaczyć.

– Hej, co się tak zamyśliłaś? – Raisa lekko ją szturchnęła. – Wspominasz czasy młodości?

– Coś w tym stylu.

Minęły klasztorny mur i weszły w las.

Najrozsądniej będzie zabrać moją wiedzę do grobu, postanowiła Edyta.

Bernard nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Prezydent stał na tle biało-czerwonych flag i oznajmiał, że ustępuje z urzędu. I wcale nie wyglądał na kogoś niepokozowanego z tą decyzją, choć Bernard sądził, że powinien.

– Co za tchórz! – mamrotał, popijając mrożoną herbatę. – W głowie się nie mieści, jacy ludzie stają na czele tego kraju! A potem jest to, co jest!

– Na koniec – powiedział prezydent poważnym tonem – chciałbym podziękować wszystkim moim współpracownikom, rodakom, którzy we mnie uwierzyli, wybierając mnie dwa lata temu. A w szczególności pani Raisie Hedwig, niezwyklej kobiecie, która dodała mi odwagi!

Bernard parsknął. Herbata wylądowała na podłodze.

– I jeszcze jej dziękuję! To niemożliwe! To absolutnie nieprawdopodobne! – Grzmotnął w stół zaciśniętą pięścią.

Z samego rana Raisę obudził dzwonek.

Bez otwierania oczu wyciągnęła dłoń i spróbowała wymacać leżący na szafce telefon. Może naprawdę powinnam pomyśleć o wszczepieniu chipa, pomyślała.

– Halo? – powiedziała zaspana.

– Tu Damian Wysocki z Radia News. Czy jestem pierwszy? – usłyszała.

– W jakim sensie?

– Czy ktoś już do pani dzwonił?

– Spałam. Miał pan przyjemność mnie obudzić.

– To świetnie! Pani Raiso, potrzebuję pani komentarza. Nie mogę uwierzyć, że będziemy go mieli jako pierwsi.

Wibracje w głosie mężczyzny wskazywały na potężne emocje.

– Nie będę komentować decyzji prezydenta – ucięła zdecydowanie.

– Nie dzwonię w tej sprawie. Otóż WHO ogłosiło sprostowanie. Podobno w ostatnim raporcie nastąpiła pomyłka i to nie pani jest najbardziej pechowym człowiekiem na świecie, a Węgier László Orbán.

– Chyba pan żartuje! – Raisa usiadła na łóżku.

– Czy to mam podać jako pani oficjalny komentarz?

Raisa złapała się za głowę. Dziennikarstwo najwyraźniej schodzi na psy,

stwierdziła w duchu.

– Nie, proszę pana.

– No to co pani na to? Jak pani skomentuje tę wiadomość? Ostatnio miała pani niewątpliwie swoje pięć minut. Wszędzie było o pani pełno. Nawet dostała pani odznaczenie od prezydenta, co dla obojga państwa omal nie skończyło się tragicznie...

– Niektórzy byli o to moje pięć minut bardzo zazdrośni... – Raisa weszła dziennikarzowi w słowo.

– No właśnie! – zapalił się, wężąc sensację.

– A niepotrzebnie – uściśliła. – Bo przecież każdy z nas ma swoje pięć minut. Dokładnie tyle trwa nasze życie. Jest jak mgnienie, ulotna chwila, której nie sposób pochwycić ani zatrzymać. Choć bywa trudne, czasem nawet kuriozalne, ale... Jest tak poruszająco piękne!

– Czy to pani oficjalny komentarz? Trochę patetyczny, ale da się coś z tym zrobić!

– Proszę uprzejmie. I proszę też dodać, że współczuję panu Orbánowi. Mam nadzieję, że ma duży trawnik.

Raisa wyciszyła telefon i odłożyła go na miejsce.

A później się roześmiała. Głośno i serdecznie.

Ta pomyłka WHO doskonale wpisuje się w życie Raisy, pomyślała Magda, wyłączając radio. Ale jej przeżyć i tak nie sposób podważyć, nawet jeśli zdetronizował ją jakiś Orbán.

Miała już pewność, że Marek Szewczyk, niespełna rozumu czy normalny, powiedział jej prawdę. Tyle że ta prawda nie obchodziła jej już w najmniejszym stopniu. Od kiedy zrozumiała, że w życiu każdego istnieje obszar zakazany dla innych, nie zamierzała nikogo oceniać. Ani się wtrącać. A już na pewno nie ona i nie w życiu Raisy Hedwig.

Ułożyła się wygodniej na poduszce.

Do sypialni wszedł Robert ze śniadaniem. Od progu zapachniało ulubioną owsianką z cynamonem.

– Proszę uprzejmie. – Postawił tacę na pościeli i ucałował żonę. – Jeśli będziesz miała jeszcze jakieś życzenia, daj znać.

Popatrzyła w jego ciepłe, śmiejące się oczy.

Cały czas miałam szczęście na wyciągnięcie ręki, a zachowywałam się jak ślepiec. Pani Raisa miała rację, westchnęła. Życie jest poruszająco piękne.

Spis treści

Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7
Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział
14 Rozdział 15 Rozdział 16

